

DALE BROWN

**OSTATNIA MISJA OLD
DOGA**

przełożyły

JADWIGA WERALSKA

ELŻBIETA ZYCHOWICZ

AGENCJA WYDAWNICZA „PRIMA PRESS”

INSTYTUT PRASY I WYDAWNICTW „NOVUM”

WARSZAWA 1992

Tytuł oryginału FLIGHT OF THE OLD DOG

Opracowanie graficzne Jan Sarnecki

Redaktor merytoryczny

Andrzej Kuryłowicz Krzysztof Weralski

Redaktor Maria DziedzicWesołowska

Redaktor techniczny Grażyna Ejsbrener

Korekta Barbara Wiśniewska

Copyright © 1987 by Dale F. Brown, Inc.

For the Polish edition Copyright © 1992 by Prima Press

Published in cooperation with Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”

ISBN 8385299297

Prima Press

Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”.

Warszawa 1992 Wydanie I.

Ark. wyd. 22; ark. druk. 40

Zam. 1181/91

NA POKŁADZIE BOMBOWCA B-52

Bombowiec B-52, należący do Strategicznych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych (SAC*), był gotów do przeprowadzenia ostatniego ataku. Wcześniej już zużył część ładunku bomb. Jeszcze jedna bomba grawitacyjna i cztery rakiety krótkiego zasięgu SRAM*¹ zostały w komorach. Załoga wysłużonego bombowca liczyła sześć osób. W czasie tego lotu uzupełnili już paliwo w powietrzu i zbombardowali cel z wysokości trzydziestu siedmiu tysięcy stóp. W chwilę później zostali niespodziewanie zaatakowani raketami ziemia-powietrze typu SA2. Następnie dokonali trzech kolejnych nalotów na obiekty w płataninie wzgórz i dolin.

Zbliżali się do celu z szybkością sześciu mil na minutę. Broniły go wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze, artyleria przeciwlotnicza z naprowadzaniem radarowym i polujące na zdobyc patrole najnowocześniejszych na świecie myśliwców przechwytyjących.

— IP* za trzy minuty — zameldował przez telefon pokładowy porucznik David Luger. Śledził kurs B-52 na wąskim kartonowym wykresie, mierząc

wzrokowo pozostały dystans i obliczając w pamięci czas dzielący ich od IP, jak nazywali moment rozpoczęcia ataku bombowego z małej wysokości. „Trzeba zacząć przegląd czynności kontrolnych — pomyślał Luger. — Akcja zaraz się rozpocznie.”

Miał przed sobą instrukcje: „Przygotowanie do ataku bombowego” i „Atak bombowy (nuklearny)”. Przebiegał wzrokiem strony powleczone plastikową folią, przewidując z góry każdy punkt, zanim do niego doszedł. Lata treningu wyrobiły w nim zdolność dokładnego zapamiętywania wszystkich szczegółów czynności, które miał wykonać.

— Kontrola przed symulowanym wystrzeleniem rakiet SRAM zakończona. Komputerowe programowanie odpalenia zakończone.

Nikt się nie odezwał, ale David wcale nie czekał na odpowiedź. Mimo że cała załoga zaznajomiła się z instrukcjami kilka godzin wcześniej, Luger ponownie odczytał przez telefon pokładowy kolejne punkty, aby uświadomić wszystkim, że właśnie teraz, po dziesięciu godzinach lotu, miała się rozpocząć najważniejsza część ich operacji. Był tak podniecony, że nie mógł spokojnie usiedzieć. Wydał polecenie:

— Ustawić radia na częstotliwość Centrum Oceniającego. — Spojrzał na tabelę i dodał: —

¹ * Wykaz i objaśnienie skrótowców opatrzonych gwiazdką znajdzie Czytelnik na końcu książki.

Dwieście siedemdziesiąt pięć przecinek trzy.

— Ustawione — odpowiedział drugi pilot, Mark Martin. — Obydwa radia są ustawione na łączność z Centrum Oceniającym. Ogłoszę IP po odczytaniu z radaru.

— Kamera włączona, jeden do czterech — oznajmił Luger, przekręcając małą, czarną gałkę z prawej strony. Atak bombowy i wystrzelenie rakiet miały być od tej chwili rejestrowane na trzydziestopięciomilimetrowym filmie i poddane późniejszej analizie.

— Obrona, za sześćdziesiąt sekund włączysz zakłócanie.

— Obrona przyjęła — odpowiedział porucznik Hawthorne, sprawdzając pozycje przełączników urządzenia zakłócającego oraz urządzenia utrudniającego śledzenie. Hawthorne, rówieśnik Lugera, był oficerem zakłócania elektronicznego, EW*. Jego zadaniem była obrona bombowca przez zakłócanie oraz zwodzenie rakiet ziemia-powietrze i radarów naprowadzających artylerię. Miał również ostrzegać załogę przed atakiem samolotów i rakiet.

— Zrozumiałem — odpowiedział Luger. — Czynności kontrolne zakończone. — Popatrzył na staroświecką, napędzaną zębatą przekładnią tarczę TGmetru wskazującego czas do następnego punktu zwrotnego. Otworzył instrukcję na stronie „Atak bombowy (synchroniczny)” i zwrócił się do siedzącego obok nawigatora radarowego:

— TGmetr wskazuje minutę pięćdziesiąt do IP. Wszystko w porządku, stary?

— Uhm — mruknął Patrick McLanahan. Siedział pochylony nad wykresami ataków bombowych i przewidywanych wskazań radaru, studiując uważnie swoje „zadania bojowe”, jakby widział je po raz pierwszy. Jego miejsce pracy było zaśmiecone skrawkami papieru, rysunkami, notatkami. Na aparaturze radarowej leżał termos przywalony stosem książek i papierów. Wyciekała z niego kawa na oscyloskopowy ekran i przełączniki radaru.

Luger nie mógł się doczekać, aż jego partner zacznie działać. Obaj nawigatorzy, reprezentujący w zawodach ten sam dywizjon bombowy, różnili się jak niebo i ziemia. Luger, wysoki szczupły chłopak z Teksasu, dążył do doskonałości we wszystkim, co robił. Czarne włosy miał starannie ostrzyżone, a buty nienagannie lśniące. Niedawno przeszedł szkolenie dla załóg bojowych B-52. Wcześniej ukończył z pierwszą lokatą Wojskową Akademię Lotniczą i Studium Nawigacyjne. Można śmiało powiedzieć, że był najbardziej fachowym i sumiennym nawigatorem w swoim dywizjone. Dużo się uczył, wzorowo wypełniał obowiązki i stale podnosił kwalifikacje.

A McLanahan to był po prostu... McLanahan, opalony blondyn z Kalifornii, średniego wzrostu, mocno zbudowany. Sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wrócił z plaży. Jednak mimo niedbalej powierzchowności i nonszalancji w traktowaniu zwierzchników McLanahan był uważany za najlepszego nawigatora w dywizjone, a może nawet w Strategicznych Siłach

Powietrznych. Razem z Lugerem tworzyli najbardziej skuteczną załogę bombowca w całych amerykańskich siłach powietrznych. I oto mieli przystąpić do pracy.

— No to zaczynamy — powiedział w końcu McLanahan.

— Świetnie. — Luger przeszedł do kolejnych punktów instrukcji, sprawdzając razem z pilotem, kapitanem Garym Houserem, położenie przełączników. Gdy były już prawidłowo ustawione, pozostało tylko uaktywnić system bombowy i sprząc wszystkie jego elementy z komputerami bombowymi.

— Główny wyłącznik sterowania bombami.

— Włączyć — powiedział McLanahan.

— Przełącznik systemu bombardowania.

— Pozycja auto.

Teraz komputery bombowe decydowały o wszystkim: o sterowaniu, o momencie zrzucenia bomby, nawet o otwarciu i zamknięciu drzwi komory bombowej. McLanahan naprowadzi tylko krzyż elektronicznego celownika na uprzednio wybrany punkt celu na ekranie radaru, a komputery bombowe dokonają reszty.

Na podstawie położenia tych linii na ekranie komputery obliczą odległość i azymut celu. Dane te zostaną wyświetlone na wskaźniku sterowania lotem (FCI*), który znajduje się na stanowisku pilota. Komputery uwzględnią wysokość, kierunek, znoszenie, prędkość lotu względem powietrza i ziemi oraz wcześniej obliczone parametry balistyki. Opierając się na tych informacjach, dokładnie wyznaczą moment zrzucenia bomby. Uwzględnią nawet niewielkie zmiany prędkości lotu czy kierunku wiatru i dokonają korekty momentu zrzutu.

— Załoga, osiągamy IP za sześćdziesiąt sekund — ogłosił Houser. — FCI wycentrowany. TG sześćdziesiąt. Gotowi... Teraz!

— Przyjąłem. Atak bombowy — powiedział Luger, włączając stoper, by zapewnić sobie dodatkowy pomiar czasu.

— Przyjąłem — potwierdził McLanahan. — Pamiętajcie, że to jest prawdziwy zrzut na poligon. Nie spieprzmy tego, panowie. Założę się, że jakiś facet wybiegnie tam zaraz z centymetrem i będzie mierzył nasz wynik.

— Nawigator? — zwrócił się do Lugera.

— Podaję namiary dla rakiet SRAM — odparł Luger. — Lotnisko — namiar numer trzydzieści; cel Bravo — numer trzydzieści jeden; stacja pomp — numer trzydzieści dwa. Mamy pełną synchronizację, wszystkie komputery sprawne, dryf mniejszy niż...

— On chce powiedzieć — wtrącił McLanahan — że uporaliśmy się z tymi rakietami szybciej, niż Gary z tą dziewicą w stopniu porucznika, za którą się ostatnio ugania.

W telefonie pokładowym rozległy się porozumiewawcze chichoty.

— Trzydzieści sekund do IP — oznajmił Houser. — Obrona?

— Oficer obrony elektronicznej gotowy do IP, kapitanie — odpowiedział Mike Hawthorne. — Radar zakresu India przeszukuje, ale jeszcze nas nie uchwycił.

— Melduje się strzelec pokładowy — odezwał się Bob Brake. — Radar artyleryjski jest czysty. Wróć do niego po zrzuceniu bomby i będę próbował namierzyć się na te myśliwce z Ochrony Powietrznej, przed którymi nas ostrzegali.

— Dwadzieścia sekund do IP — ogłosił McLanahan.

— Strzelec, nie spuszczaaj ekranu z oka — powiedział Houser. — Ci faceci z Gwardii Narodowej bywają w gorącej wodzie kąpani. Pamiętacie ubiegłoroczne zawody? Uderzyli na nas przed zakończeniem ataku bombowego. Komisja sędziowska uznała to. Takie jest życie.

— W porządku, będę uważał.

Brake przestawił kilka przełączników i powrócił do obserwacji małego monitora radaru ogonowego. Na ogonie olbrzymiego bombowca wieżyczka z czterema karabinkami kalibru 50² zaczęła się powoli poruszać zgodnie z zaprogramowanym cyklem przeszukiwania.

Brake zameldował:

— Działa uruchomione, system sprawny, radar przeszukujący i radar śledzący pracują.

— Dziesięć sekund do IP — powiedział Luger. — Następny kurs będzie zero jeden zero. Rzeczywista prędkość lotu trzy pięć zero. Wysokość pięćset stóp. — Odwrócił się do McLanahana, który właśnie zdjął hełm i zaczął rozcierać sobie uszy, a potem masować szyję. — Co ty do diabła wyprawiasz?

— Relaksuję się, Dave. Wykańcza mnie ten garnek na głowie.

Luger prowadził rozmowy za swego partnera, dopóki ten nie włożył z powrotem hełmu.

Wskazanie FCI na stanowisku pilota powoli spadało.

— Załoga. Podchodzimy do IP... uwaga... gotowi... już!

— Pilot, zakręt w prawo, kierunek zero-jeden-zero — powiedział Luger.

Olbrzymi samolot natychmiast zareagował.

— Chłopie, tam jest całkiem płasko — powiedział McLanahan studiując ekran radaru.

— Przyjąłem — odparł Houser. — Wygląda na to, że jesteśmy dostatecznie wysoko nad terenem.

Była to dla niego bardzo ważna informacja. Sterował ręcznie olbrzymim bombowcem na

² W USA kaliber broni podaje się w 1/1000 cala. Kaliber 50 odpowiada 12,7 mm.

wysokości zaledwie pięciuset stóp nad ziemią, przy prędkości prawie sześciu mil na minutę. Profil terenu wyznaczył mu EVS*, czyli elektrooptyczny system obserwacji, sprzężony z komputerem do unikania przeszkód terenowych przy niskich lotach. Najbardziej jednak przydatny był radar McLanahana o zasięgu trzydziestu mil oraz doświadczenie samego nawigatora w kierowaniu wielkim bombowcem w trudnych warunkach. Może McLanahan nie zawsze żył w zgodzie z regulaminem, ale w swoim zawodzie był najlepszy i Houser miał do niego bezgraniczne zaufanie. Wszyscy mieli.

— Dziesięć stopni do wyjścia ze skrzyżowania — przypomniał pilotowi Luger. — Dryf zerowy, a więc kierunek ciągle zero-jeden-zero. Radar — zwrócił się do McLanahana — skoryguję żyroskop po skręcie. Pilot, nie odczytuj FCI przed uzyskaniem obrazu na EVS. Załoga, osiągnęliśmy IP. Pilot, wycentrować FCI i tak trzymać. Patrick, sprawdzę twoje przełączniki...

— Pilot, echo na radarze, pozycja godzina druga! — krzyknął nagle Hawthorne przez telefon pokładowy. — Prawdopodobnie F-15. Teraz rozdziela się... jest ich dwóch! Łapie nas radar przeszukujący... przełączył się na śledzenie celu... zobaczyli nas!

— Przyjąłem, EW — potwierdził Houser. Wiedział, że strefa działania myśliwców przechwytyjących była oddalona o ponad osiemdziesiąt mil. Pomyślał, że Hawthorne na pewno odbiera sygnały innego samolotu zaatakowanego przez myśliwce, zlekceważył więc ostrzeżenie.

Hawthorne chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, gdyż B-52 rozpoczął właśnie atak bombowy.

— Drugi pilot, nadaj do centrum, że osiągnęliśmy IP — polecił Luger.

McLanahan skoncentrował się na echu radiolokacyjnym, które było ledwie czytelne na tle terenu.

— Pilot — odezwał się Hawthorne nerwowo — to nie lipa... naprawdę nas atakują.

— Glasgow Bomb Plot, Glasgow Bomb Plot, tu Sabre trzy-trzy, India Papa, Alpha Sierra — nadawał przez radio Martin.

Pięćdziesiąt mil dalej, na miejskim lotnisku ustawiono kilka przyczep. Zainstalowane na nich cztery anteny paraboliczne skierowały się na południe. W kilka sekund później namierzyły B-52 i zaczęły śledzić jego lot w kierunku celu, obrazując go na elektronicznej tablicy. Inne anteny rozpoczęły emisję sygnałów zakłócających pracę radaru B-52, a jeszcze inne symulowały pracę radarów śledzących artylerii przeciwlotniczej i baterii rakiet ziemia-powietrze. Operator obliczający wyniki sprawdził, czy samolot został pewnie uchwycony przez radar, po czym wrócił do radia.

— Glasgow do Sabre trzy-trzy. Dopuszczam cię na poligon i potwierdzam częstotliwość. Przyjąłem IP. Pasma India jest zastrzeżone. Nie zakłócajcie radaru pasma India. Poligon otwarty dla działań bojowych.

I wtedy operator zauważył na swoim ekranie dwa nowe punkty. Natychmiast zawołał podoficera nadzorującego.

— Znowu tu są — powiedział, wskazując na nowe echa.

— To te asy z Gwardii Narodowej — mruknął podoficer, patrząc na ekran. Kiwał głową i zapytał: — Czy następny samolot zgłosił IP?

— Tak jest — odparł operator. — Sabre trzy-trzy. Ten Buff od Forda.

— Buff? — podoficer uśmiechnął się na wspomnienie żartobliwego przydomku, jaki przed laty nadano bombowcom B-52. Był on skrótem niezbyt cenzuralnych epitetów, ale wyrażał respekt.

— Czy masz na niego pewny zamiar? Czy te myśliwce nie wpłyną na wynik bombardowania?

— Nie sędzę.

Dowódca zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Niech robią swoje. Lubię oglądać polowanie na kaczki.

— Tak jest — odparł operator.

Mark Martin przełączył się na telefon pokładowy.

— Załoga, zostaliśmy dopuszczeni na poligon. Patrick, masz zezwolenie na użycie broni.

— Przyjąłem, Mark — odpowiedział McLanahan. Otworzył plastikowe zabezpieczenie przełącznika uaktywniającego układ zwalniania i włączył go. — Zaraz im przywalimy! — zawołał.

— Mike, zakres India jest zastrzeżony — przekazał Martin.

— Przyjąłem — odpowiedział Hawthorne. — Załoga, atakują nas. Myśliwce w pozycji godzina druga i szybko się zbliżają.

— Mike, czy jesteś pewien, że idą na nas? — zapytał Houser.

— W stu procentach.

— Mark, przełącz drugie radio na częstotliwość kontrolną myśliwców.

— Nie możemy tego zrobić — zaprotestował Luger. — Obydwa odbiorniki potrzebne są na częstotliwości podstawowej.

— Wobec tego nadaj, żeby wykurzyli te myśliwce z obszaru bombardowania — powiedział Houser z irytacją w głosie. — Nie mają prawa tam być.

— Bob ich załatwi — odezwał się McLanahan.

— Strzelec, weź się za nich.

— Zwariowałeś, Radar — odpowiedział Bob.

— Musielibyśmy manewrować w trakcie ataku bombowego.

— Zestrzel sukinsynów — zawołał MacLanahan. — Spróbujemy. Jeśli będzie kiepsko, zgłosimy zagrożenie bezpieczeństwa lotu.

— Gadanie — mruknął Brake, odwracając się do swoich urządzeń.

— Patrick, jesteś zdecydowany? — spytał Houser. — To jest w końcu twój atak bombowy.

— Ale nasze trofeum — odparł McLanahan.

— Mówię wam, dajmy im nauczkę.

— Zgoda — odpowiedział Houser, pstrykając przełącznikami na głównym pulpicie. — Przejmuję sterowanie od komputerów.

— Myśliwce zbliżają się do pozycji godzina czwarta — zameldował Hawthorne. — Są ciągle poza zasięgiem artyleryjskim.

— Atak rakiet naprowadzających się na podczerwień — powiedział Brake, obserwując radar śledzący i oczekując na pojawienie się myśliwców.

— Symulowane uderzenie rakietami Sidewinder.

— Zbliżamy się do punktu odpalenia rakiet SRAM — oznajmił Luger.

— Za kilka sekund będziemy musieli wykonać manewr — ostrzegł Brake.

— Strzelec, poczekaj jeszcze chwilę. Mam wskazanie „cel w zasięgu” i rakiety gotowe do odpalenia — odpowiedział Luger. — Nie możemy wykonać manewru przed odpaleniem. Daj mi jeszcze parę sekund.

— Myśliwce na godzinie czwartej, odległość trzy mile, szybko maleje.

Luger nacisnął guzik ODPALENIE RĘCZNE. Komputer kontroli rakiet rozpoczął odliczanie pięciu sekund.

— Odliczanie odpalenia — zameldował Luger.

— Drzwi komory otwierają się...

Początkowo z pokładu myśliwca F-15 trudno było zauważyć B-52 lecący nisko nad ziemią. Zakłócenia wywołane przez obiekty terenowe powodowały, że na dużej wysokości echo Buffa na radarze F-15 zanikało, a gdy B-52 włączył zakłócanie, stało się prawie nie do uchwycenia. Kamuflaż bombowca sprawiał, że trudno go było dostrzec na tle ziemi. Teraz jednak, po otwarciu olbrzymich, białych drzwi komory bombowej, samolot widoczny był jak na dłoni. Pilot F-15 dał znak drugiemu myśliwcowi, aby zajął pozycję obserwacyjną; sam przechylił się, wchodząc na pozycję do odpalenia rakiet. Z odległości trzech mil B-52 z

ośmioma wielkimi silnikami odrzutowymi, ziejącymi ogniem, powinien przedstawiać pewny cel dla rakiet naprowadzających się na źródło podczerwieni. Sam myśliwiec miał pozostać bezpieczny, znajdując się poza zasięgiem karabinów bombowca. Nie było powodów do obaw. W czasie ataku Buff nie mógł zbyt manewrować i będąc zajęty zakłócaniem obrony naziemnej, stanowił łatwy łup.

— Tu Sabre trzy-trzy. Rakieta odpalona, rakieta odpalona — nadał Martin do centrum kontrolnego.

— Glasgow potwierdza odpalenie rakiety.

— Odliczanie odpalenia drugiej rakiety — zaczął Luger, gdy wtem włączył się Brake.

— Pozycja godzina szósta, dwie mile.

— Druga rakieta odpalona — zakończył Luger. — Drzwi komory bombowej zamknięte. Gotów do uniku.

— Pilot, natychmiast zredukuj moc! — krzyknął Brake. — Wessiemy tego drania!

Houser zareagował błyskawicznie, zmniejszając obroty do minimum. Równocześnie Martin ustawił hamulce powietrzne na maksimum i wysunął podwozie. Prędkość lotu gwałtownie spadła z trzystu pięćdziesięciu do dwustu węzłów. Na ekranie radaru artylerzysty rezultat był natychmiastowy i aż zapierał dech w piersiach, natomiast dla pilota myśliwca rozpoczął się koszmar.

F-15 leciał o dwieście mil na godzinę szybciej, chcąc podejść Buffa od tyłu i zająć najlepszą pozycję do ataku. Nagle olbrzymi bombowiec jak gdyby zastygł w powietrzu. Myśliwiec zbliżał się teraz do celu z prędkością prawie sześciuset jardów na sekundę. Widok wielkiego samolotu, wypełniającego przednią szybę, sparaliżował pilota do tego stopnia, że nie był w stanie pociągnąć za spust. Z przerażeniem wpatrywał się w cztery wycelowane w siebie lufy.

— Godzina szósta, dwie mile — zawołał Brake, obserwując radar. — Nadal utrzymuje dwie mile... o cholera! Jedna mila, pół mili... Fox-cztery! Dowaliłem mu ze wszystkich luf. Zgłoś Foxa-cztery!

Drugi z myśliwców pozostał w górze na prawym skrzydle, na pozycji obserwacyjnej. Widział, jak kolega pokazowo przeprowadzał atak raketowy. Nagle coś się stało. Spojlery, hamulce powietrzne, drzwi podwozia i podwozie zaczęły wyskakiwać niespodziewanie z wielkiej bryły bombowca i odległość między dwoma samolotami w mgnieniu oka zmniejszyła się prawie do zera. Pilot był pewien, że zaraz nastąpi kolizja. W ostatniej chwili jego partner dał nura pod brzuch Buffa, prowadząc F-15 zaledwie trzysta stóp nad wzgórzami Wyomingu. Lufy bombowca szły cały czas jego śladem. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak

plują ogniem, jak trzycalowe pociski przebijają kabinę i kadłub, jak myśliwiec eksploduje na tysiące drobnych części.

— Glasgow, zaliczyć Foxa-cztery dla Sabre trzy-trzy — nadał Martin do centrum.

— Przyjąłem, trzy-trzy. Przekażę Foxa-cztery. Młody operator, który obsługiwał radar śledzący, spojrzął zdumiony na swego zwierzchnika.

— O kurwa! — zaklął podoficer, który nie był przecież nowicjuszem. — Ten cholerny Buff zestrzelił myśliwca!

— Ma pan swoje polowanie na kaczki, sierżancie — zaśmiał się operator. — Tylko kto tu do kogo strzela?

„Ale go załatwili!” — pomyślał pilot obserwującego myśliwca. Wiedział, że teraz przyszła kolej na niego. Zaczął przygotowania do ataku, postanawiając trzymać się w bezpiecznej odległości od karabinów kalibru 50.

Mimo hałasu ośmiu turboodrzutowych silników Luger i McLanahan słyszeli, jak ci z obrony wiwatowali na górnym pokładzie.

McLanahan ręcznie ustawił układ automatycznego naprowadzania na cel Bravo i wcisnął mały guzik na pulpicie.

— Pilot, przeszedłem na BOMBARDOWANIE. Wycentruj. Zdrowo im przyłożymy. Dave, skontroluj moje przełączniki.

— Gotowe — Luger porównał odliczanie przez komputer ze swoim stoperem. — Na moim zegarku pozostały dwie minuty do zrzucenia bomby.

— Zgadza się ze wskazaniem FCI — potwierdził Houser, obserwując, jak Martin zwiększył z powrotem prędkość.

— Pilot, myśliwiec na pozycji godzina druga, pięć mil — zameldował Hawthorne. — Skręć w prawo!

Houser zwrócił się do McLanahana:

— Mam skrócić? Decyduj.

— Chwileczkę — odpowiedział nawigator. — Skurczybyki zakłócają mi radar. — Pochylił się tak nisko nad ekranem, że prawie dotykał go maską tlenową i próbował skorygować ustawienie krzyża celownika. Luger nie pojmował, w jaki sposób jego partner mógł rozróżnić prawidłowe echo w całym tym bałaganie zakłóceń. Po chwili McLanahan osiągnął wreszcie to, co chciał, i zadowolony krzyknął:

— Skręcaj!

— Zakręć w prawo! — oznajmił Houser. Pochylił olbrzymi bombowiec o trzydzieści stopni w prawo tak gwałtownie, że wszystkie papiery nawigatora pofrunęły w górę.

— Myśliwiec na pozycji godzina dwunasta — powiedział Hawthorne. — Przesuwa się na pierwszą... Jest już prawie na drugiej...

— EW, nie możemy pozostać w tym skřęcie zbyt długo — przypomniał drugi pilot Martin. — Przy ataku bombowym korytarz zwęza się do dwóch mil.

— Myśliwiec już w pozycji godzina trzecia — zawołał Hawthorne i uwzględniając ostrzeżenie drugiego pilota, dodał: — Zakręć w lewo! Strzelec, oczekuj celu na godzinie piątej.

— Przyjąłem, EW — odparł Brake.

— Pilot, wycentruj FCI — powiedział Luger. — Wskazanie TG zbliża się do setki.

— Zgadza się — potwierdził Houser.

— Pilot, zwiększ obroty, jeśli możesz — polecił Brake.

Houser przesunął manetki do przodu.

— Przygotuj się do ponownego wytracenia szybkości — dodał.

— Strzelec, zaczekaj, aż zrzucimy bombę — poprosił Luger.

— Pilot, trzymaj stałe obroty. Houser zwrócił się do McLanahana:

— Radar, decyduj.

— Zwiększaj prędkość, ale bardzo powoli. Nie za szybko, bo spieprzysz balistykę, nie mówiąc już o całej cennej robocie Dave'a. Mógłby się na nas pogniewać.

— No pewnie — odpowiedział Luger z łobuzerskim uśmiechem.

— Pilot — zawołał Brake — myśliwiec na godzinie siódmej, cztery mile, przesuwa się na ósmą. Skręcaj w lewo!

— Skręcaj! — ponaglił McLanahan.

Houser pochylił samolot o trzydzieści pięć stopni. Czterdziestoletni bombowiec aż zatrzeszczał na znak protestu.

— Myśliwiec przesuwa się na godzinę siódmą... teraz na szóstą. Pilot, prostuj. Wycentruj FCI — powiedział Brake.

B-52 wyszedł z ostrego zakrętu i zaczął powolny zwrot w prawo, aż do momentu wycentrowania cienkiej białej wskazówki w obudowie przyrządu FCI. Nagle Luger zauważył, że na pulpicie komputera świeci się czerwona lampka ostrzegawcza.

— Doppler przestał działać! — krzyknął.

Doppler był systemem, który dostarczał komputerom dane o prędkości względem ziemi oraz o sile i kierunku wiatru. Bez tych informacji komputery stawały się bezużyteczne, gdyż przekazywały fałszywe rozkazy do układów sterowania i zrzucania bomb.

Luger usiłował uruchomić doppler, włączając i wyłączając go kilka razy. Liczył

nadaremnie, że system sam się wyzeruje.

— Pilot, wygląda na to, że doppler jest do niczego. Daj sobie już spokój z FCI. Radar, musimy natychmiast wyjść z modu BOMBARDOWANIE!

— Cholerne myśliwce! — zirytował się Martin.

Luger popatrzył na stoper.

— Radar, mam awaryjny pomiar czasu. Siedemdziesiąt sekund do zrzucenia. Pilot, utrzymuj tę prędkość.

Luger chciał właśnie odczytać McLanahanowi instrukcję „Bombardowanie awaryjne (nuklearne)", ale ten już rozpoczął wykonywanie kolejnych czynności z pamięci. Odłączył komputery od układów sterowania samolotem i bombami. Musieli teraz polegać na wzrokowej ocenie kursu, awaryjnym pomiarze czasu oraz na wskazaniach radaru. Już nie

komputery miały wysłać impuls zwalniający bombę, lecz McLanahan poprzez naciśnięcie przycisku wyrzutnika bombowego.

— Drzwi komory bombowej otwierają się — powiedział. — Przesyłka będzie dostarczona zgodnie z instrukcją. Dave, jeśli możesz, to skontroluj moje przełączniki. Gdzie ja posiałem filizankę?

— Przełącznik D-dwa — Luger przypomniał McLanahanowi o przycisku ręcznego zwalniania bomby. Palce Lugera biegały po klawiaturze komputera sterującego raketami SRAM, przeprogramowując go tak, aby można było uaktualnić pozycję w momencie, gdy B-52 znajdzie się nad celem.

— Dlaczego to się nam musiało przydarzyć właśnie teraz? — skarżył się Luger. — Powinniśmy złożyć formalny protest w sprawie tych myśliwców.

— Nie przejmuj się, Dave — uspokajał Patrick kolegę. Siedział niedbale w fotelu,)Z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Nagle jednym ruchem ręki zrzucił wszystkie papiery z pulpitu.

— Hej! — krzyknął Luger. — Co ty, do diabła, wyprawiasz?!

— Nic — McLanahan pokazał zęby w uśmiechu. — Wszystko w porządku.

— Chcesz, żebym wyzerował integrator współrzędnych? — zapytał Luger z ożywieniem i nie czekając na odpowiedź zaczął odpinać pasy spadochronu.

— Nie, nie trzeba. Nie odpinaj się. McLanahan rozluźnił pasek hełmu pod brodą.

Jego kolega nadal wyrzekał: ,

— Mam ochotę kopnąć ten pieprzony stabilizator i całą tę resztę. Cholerne myśliwce! Przez nie diabli wzięli naszą szansę!

— Nie denerwuj się — uspokajał go McLanahan.

Luger popatrzył na Patricka jak na wariata. W trakcie ataku bombowego zepsuł im się doppler, a on ani razu nie zerknął na ekran radaru. Wreszcie jednak zainteresował się ekranem i, patrząc nań jakby od niechcienia, polecił:

— Pilot, pięć na prawo. Nawigator, jaki masz czas na stoperze?

— Zaraz minie sześćdziesiąt sekund — odpowiedział Luger, patrząc ciągle na kolegę z nieufnością.

— Zostaw ten stoper. Jest do kitu, śpieszy się o co najmniej siedem sekund. Będę zrzucał na podstawie odległości i namiaru celu. Albo wiesz co, odejmij te siedem sekund, na wypadek gdyby wysiadł radar lub stało się coś równie dziwnego. — Popatrzył znowu na ekran radaru. — Pilot, jeszcze cztery na prawo.

— Siedem stopni na prawo od planowanego kierunku — przypomniał mu Luger.

— Nieważne. Sprawdź położenie moich przełączników. Gdy będziemy nad celem, wprowadź jego współrzędne do komputera. Drugi pilot, daj mi natychmiast znać, gdy dostrzeżesz jakiegokolwiek punkty orientacyjne. Wiem, że w tym obszarze nie ma ich zbyt wiele, ale próbuj.

— Postaram się, chociaż jak dotąd niczego nie zauważyłem.

— Rozumiem.

McLanahan uśmiechnął się do Lugera.

— Dave, jesteś gotów do wprowadzenia współrzędnych?

— Jestem, ale przecież ty...

— Pilot, jeszcze dwa stopnie na prawo — polecił McLanahan. — Bob, gdzie te myśliwce?

Myśliwce! Luger nie wierzył własnym uszom. McLanahana spotkała najgorsza rzecz, jaka może się wydarzyć na zawodach, a on jeszcze zawraca sobie głowę myśliwcami — i to na minutę przed zrzuceniem bomby!

— Na razie nie widać żadnego myśliwca — zameldował Brake.

— Radar przechwytyjący szuka — oznajmił Hawthorne. — Pewnie zaraz się pojawią.

— W porządku — odpowiedział McLanahan.

— Pilot, utrzymuj prędkość! — zawołał Luger. Za bardzo się zmienia.

— Uspokój się. Na pewno nam się uda — pocieszał kolegę McLanahan.

— Mamy dziewięć stopni odchylenia od planowego kierunku! — denerwował się Luger, obserwując swój mały ekran. Spojrzał w bok. McLanahan siedział rozparty w fotelu i bawił się przełącznikiem.

. — Nie dostrzegłem ostatniego punktu orientacyjnego przed celem — zameldował Martin.

Wszyscy wstrzymali oddech, tylko McLanahan nie stracił animuszu:

— Nie szkodzi, Martin. Dziękuję za dobre chęci.

— Nie będę uaktualniał współrzędnych. Dam sobie radę bez nich — powiedział Luger. Coraz bardziej zbaczali z kursu, a Patrick jakby tego nie widział.

— Zdejmij namiar — polecił McLanahan dziwnie spokojnym głosem. Dał Lugerowi znak, unosząc kciuk do góry.

— Ale...

— Nie przejmuj się. Coś mi mówi, że wszystko będzie dobrze.

Lugerowi nie pozostało nic innego, jak się podporządkować. Odnalazł współrzędne celu, sprawdził je i przygotował komputer do uaktualnienia pozycji.

— Pilot, wciśnij lekko pedał lewego steru — powiedział McLanahan. Nachylił się nad ekranem, wpatrując w jeden drobny punkcik, podobny do tysiąca innych, które się na nim pojawiły. — Stopień w lewo, może pół.

— Pół stopnia? — zdziwił się Houser.

— Tak, muśnij go tylko — powtórzył spokojnie McLanahan. — Bardzo delikatnie... jeszcze troszkę... jeszcze mocniej... stop! W porządku. Nawigator, czy dryf ciągle zerowy?

— Doppler nie działa — odparł Luger. — Wiatry i dryfy mają wychodne. Podobnie prędkość względem ziemi i pomiar czasu. Opieram się jedynie na wskazaniu rzeczywistej prędkości lotu i ostatnich wiarygodnych pomiarach prędkości wiatru. — Luger pokręcił ze zdumieniem głową. Zastanawiał się, o co chodzi. Czy McLanahan robił wszystko na pokaz? Chryste, zboczyli już o osiem stopni z kursu!

— Ach, rzeczywiście zapomniałem — odparł McLanahan. — Zaraz będziemy zrzucać... Nawigator, przygotuj się!

Luger spojrział na radar kolegi. Na ekranie lampy oscyloskopowej była widoczna cała masa łuków i kresek stanowiących efekt zagłuszenia. Jak Patrick mógł się rozeznąć w tym bałaganie?

McLanahan sięgnął do gałki regulatora częstotliwości i przekręcił ją lekko. Zakłócenia zniknęły na kilka sekund z ekranu. Patrick uśmiechnął się. Jego palce spoczywały jakby od niechcenia na przełączniku D2, przy czym kciuk nawet nie dotykał umieszczonego na nim przycisku.

— Delikatnie ze sterem, Gary — przypomniał pilotowi. Nagle błyskawicznym ruchem nacisnął przycisk. Zaświeciła lampka kontrolna, sygnalizując zrzucenie ostatniej bomby.

Luger odliczył trzy sekundy i wcisnął klawisz PRZYJMIJ na klawiaturze komputera sterującego pociskiem SRAM. Przy tej wysokości i prędkości lotu powinni znaleźć się nad celem w trzy sekundy po zrzuceniu bomby, jeśli trafienie było precyzyjne. Ku jego wielkiemu

zdumieniu na komputerze zapaliła się zielona lampka PRZYJĘTE.

— Namiar zdjęty — powiedział Luger z niedowierzaniem.

— Trafiliśmy! — zawołał McLanahan.

— A jakże! — mruknął Luger. Uważał, że McLanahan zdrowo przesadzał. Zboczyli o osiem stopni z wyznaczonego kursu i przyśpieszyli o siedem sekund w stosunku do planu, co równało się błędowi trafienia rzędu co najmniej dziesięciu tysięcy stóp. Gdy wystrzeliła rakiety, wynik będzie jeszcze gorszy. Błędne uaktualnienie pozycji i nieprawdziwa prędkość, jaką komputer obliczy na jej podstawie, pogrzebią ostatecznie ich szansę. Nagle rozległ się piskliwy sygnał radiowy.

Luger pstryknął przełącznikiem ODPALENIE AUTOMATYCZNE i zaczął meldować:

— Odliczanie rozpoczęte... drzwi otwarte... rakieta wystrzelona. Odliczanie drugiej rakiety... druga rakieta wystrzelona. Wszystkie rakiety wystrzelone. Drzwi zamykają się...

— Rakieta wystrzelona, rakieta wystrzelona — nadawał Martin do centrum.

— Dobra robota, chłopcy — powiedział McLanahan otwierając oczy. — Dave, przejmij nawigację. Zapytam centrum o wyniki, a potem pójdę się odlać. Strzelec, pilnuj, żeby nas nie zestrzelili. Nie teraz, po tym wszystkim!

— Idź, idź, Radar — odpowiedział Brake. — Możesz się tu czuć tak bezpiecznie jak u mamusi lub w objęciach Catherine, jeśli wolisz.

— Poczekaj, Radar — odezwał się Houser. — Chciałem ci przypomnieć, że odpinanie pasów na małej wysokości jest zabronione. Ale komu ja to mówię? Zanim je więc odepniesz, opowiedz nam o zrzutach. Jak daleko byliśmy od celu?

— Nie jestem pewien. Może ze dwieście-trzysta stóp.

— To tylko twoje pobożne życzenia — powiedział Martin. — Wyglądało na to, że byliśmy blisko, ale z pewnością nie aż tak.

— No, powiedz prawdę — niecierpliwił się Houser.

— Uwzględniłem wszystkie zmiany kierunku i prędkości lotu — mówił z udaną obojętnością McLanahan — ponieważ spodziewałem się, że doppler wysiądzie. Niemal czekałem na to.

— Założę się o skrzynkę piwa, że poważnie spudłowałeś — rzucił Martin.

— Dziękuję za zaufanie i przyjmuję zakład — odparł McLanahan, po czym zwrócił się do Lugera:

— Może ty to rozstrzygniesz?

— Myślę... że się grubo pomyliłeś.

— Odwołujesz zakład, Radar? — zaśmiał się Martin.

— Trafienie było idealne — dokończył Luger.

— Zero-zero. Perfekcyjne. Nie wiem, jakim cudem, ale udało się.

**PRZESTRZEŃ POWIETRZNA NAD
PÓLWYSEM KAMCZATKA, REJON KAWAZNI,
ZWIĄZEK RADZIECKI**

Trzy tysiące kilometrów na zachód od miejsca, gdzie odbywały się doroczne zawody Strategicznych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, rozgrywała się inna akcja. Tym razem dla biorącej w niej udział załogi następstwa były znacznie poważniejsze.

Dwie różne maszyny rozpoznawcze zbliżały się do tego samego punktu na kuli ziemskiej. Były to: amerykański satelita Alfa Omega 9, poruszający się po geostacjonarnej orbicie na wysokości około dwudziestu dwóch tysięcy trzystu mil, i amerykański samolot rozpoznawczy typu RC-135, lecący na wysokości czterdziestu tysięcy stóp. RC-135 z mieszaną dwunastoosobową załogą świadomie naruszył strefę rozpoznawczą radzieckiej obrony przeciwlotniczej, aby zebrać dane o tajemniczym radarze, który zaczął go śledzić, gdy w drodze z Japonii na Alaskę znalazł się w odległości stu mil od wybrzeży ZSRR.

Nagle zrobiło się przeraźliwie jasno.

Niesamowity, pomarańczowoczerwony blask oślepił na kilka sekund załogę. Wydało im się, że znaleźli się w środku reaktora jądrowego. Ich ciała stały się gorące i lepkie, jakby miały się za chwilę roztopić.

Gdy pomarańczowoczerwone światło zniknęło, kabina pogrążyła się w ciemności. Widać było jedynie kilka małych lampek kontrolnych i parę wskaźników zasilanych z akumulatorów. Cała reszta zgasła. Ryk silników stopniowo zanikał.

— Wysiadły wszystkie generatory! — zameldował drugi pilot.

— Silniki drugi, trzeci i czwarty nie pracują — zawołał pierwszy pilot. — Instrukcja „Rozruch w powietrzu”. Szybko!

— Załoga, tu pilot — kontynuował. — Zaczynamy rozruch silników. Sprawdź tlen. Sprawdź swoje stanowiska. Meldować o uszkodzeniach i ofiarach.

Na szczęście większych usterek nie zgłoszono. Pilot kazał przesłać zaszyfrowaną informację przez SATCOM*. Nagle w telefonie pokładowym rozległ się głos oficera rozpoznania:

— Wzrasta natężenie sygnału radaru śledzącego!

Pilot pchnął drążek do przodu, zmuszając samolot do ostrego nurkowania.

— Tamten atak był wymierzony w kogoś innego. Teraz polują na nas... Schodzimy na tysiąc stóp.

— Pilot, wzrasta natężenie sygnału. Wygasza mi...

Oficer rozpoznania nigdy nie dokończył tego meldunku.

Jaskrawy snop pomarańczowoczerwonego światła wtargnął nagle do RC-135 ze wszystkich stron. Po przebiciu się przez aluminiową powłokę nie napotkał żadnego oporu i wtargnął do wnętrza. Gęsta tlenowa atmosfera natychmiast się rozpałała, tworząc olbrzymią kulę plazmy. Nastąpiła eksplozja, która w ułamku sekundy zamieniła samolot wartę ścią dwustu milionów dolarów w drobny pył. Dwadzieścia dwie tony rozpylonego w powietrzu paliwa momentalnie się zapaliły, potęgując jeszcze siłę detonacji.

W chwilę później było już po wszystkim. Ognista kula rozrosła się do średnicy trzech mil i zniknęła w ciemnościach azjatyckiej nocy.

WASZYNGTON, KOLUMBIA

Generał Wilbur Curtis, szef Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych powitał, w pozycji na baczność, prezydenta Stanów Zjednoczonych, który wchodził właśnie do Pokoju Operacyjnego pod Białym Domem. Pokój ten był salą narad i schronem w sytuacjach kryzysowych. Prezydentowi towarzyszyli sekretarz stanu Marshall Brent oraz dyrektor CIA Kenneth Mitchell. W pewnej odległości za nim szedł mężczyzna w cywilnym ubraniu, ale ostrzyżony krótko, po wojskowemu. Niósł czarną, skórzaną walizeczkę.

Prezydent miał na sobie niebiesko-czerwony dres. Siadł u szczytu olbrzymiego, podłużnego stołu i spojrzał z niechęcią na Curtisa. Jego gęste, ciemnoblond włosy były potargane i wilgotne od potu. Curtis podszedł do stalowych, pancernych drzwi i sprawdził, czy są zamknięte.

Prezydent rozpiął górę dresu i sięgnął po telefon stojący przed nim na stole.

— Jeff, poleć, żeby zaraz przynieśli do Pokoju Operacyjnego kawę i rogaliki. I sprawdź, czy nie da się przesunąć posiedzenia Komisji Budżetowej na popołudnie. Jeżeli nie, to mnie zawiadom. Spróbuję się jakoś wyrwać... Co? Nie, nie mam pojęcia, jak długo to potrwa. — Rzucił słuchawkę na widelki.

Mężczyzna w cywilnym ubraniu ustawił walizeczkę przy pulpicie w odległym kącie pokoju. Założył hełmofon i wystukał kilka cyfr na klawiaturze. Rozmawiał przez chwilę, obserwując wskaźniki na pulpicie. Po chwili skinął głową i powiedział:

— Panie prezydencie, nawiązaliśmy łączność. Pański helikopter wylądował zaraz na trawniku z południowej strony. Air Force One jest gotów do natychmiastowego startu.

Prezydent nie odpowiedział.

W walizeczce, którą przyniósł mężczyzna siedzący teraz przy pulpicie, znajdowała się miniaturowa radiostacja nadawczo-odbiorcza oraz komplet kodów i dokumentów uwierzytelniających. To przenośne centrum komunikacyjne było zawsze w zasięgu ręki prezydenta. W razie niespodziewanego ataku czy innego zagrożenia, prezydent mógł dowodzić wszystkimi siłami strategicznymi Stanów Zjednoczonych, wystukując jedynie zakodowane instrukcje na klawiaturze miniaturowego nadajnika. Pokój Operacyjny pod Białym Domem był wyposażony w systemy łączności z centrami dowodzenia na całym świecie.

— No cóż, panie generale, znowu nas pan tutaj zaprosił. Czy to jakaś kolejna niezaplanowana pozoracja sytuacji kryzysowej? Jeżeli tak, to nie mógł pan wybrać gorszej

pory. Przerwano mi właśnie trening, pierwszy, jaki miałem w tym tygodniu, i czeka mnie jeszcze...

— To sprawa wielkiej wagi, sir — odparł Curtis. — Dokładnie piętnaście minut temu otrzymałem meldunek, że straciliśmy satelitę wywiadowczego Alfa Omega 9. To...

— Satelitę? I to jest ta ważna sprawa — zdziwił się prezydent.

— Właśnie ten satelita był naszą główną stacją ostrzegającą przed raketami wystrzelonymi z obszaru wschodniej Rosji i zachodniego Pacyfiku. Obecnie, panie prezydencie, zostaliśmy pozbawieni możliwości wykrywania około jednej piątej sowieckich międzykontynentalnych rakiet balistycznych.

— Chyba pan przesadza — wtrącił Kenneth Mitchell. — Dysponujemy przecież kilkudziesięcioma satelitami wywiadowczymi...

— Ale tylko jednym nad wschodnią Rosją — przerwał Curtis — specjalnie zaprogramowanym, aby ostrzegać o starcie rakiet z morza i lądu. Teraz nie mamy żadnego, przynajmniej dopóki nie przemieścimy innego satelity, a to musi trochę potrwać.

Curtis zwrócił się ponownie do prezydenta:

— Tymczasem musi pan być przygotowany, by w razie potrzeby ewakuować Waszyngton w niecałe dziesięć minut.

— Dlaczego akurat w dziesięć minut?

— Tylko tyle czasu zostanie nam od chwili, gdy sowieckie rakiety pojawią się na horyzoncie w środkowej fazie lotu, do momentu wybuchu głowic bojowych. Sądzymy, że żaden z tych pocisków nie będzie wymierzony w Waszyngton, ale nie wolno nam ryzykować.

Prezydent milczał przez chwilę. Ciszę przerwało wejście szefa kancelarii prezydenckiej i adiutanta, niosącego tacę z kawą i ciastkami. Adiutant obszedł stół dookoła, napełniając każdemu filiżankę.

— Panie prezydencie, nie udało mi się skontaktować ze wszystkimi członkami komisji — powiedział Hampton. — Będę nadal próbował.

— To nieistotne, Jeff. Z całą sprawą uporamy się bardzo szybko.

Generał Curtis drgnął. Zauważył, że ten prezydent nigdy nie traktował serio żadnego z ćwiczeń, które przeprowadzali w celu sprawdzenia planu ewakuacyjnego i łączności w razie kryzysu. Ale teraz niebezpieczeństwo było rzeczywiste, a on spieszył się do wyjścia.

— Mam jeszcze jedną wiadomość, sir. Dziś w godzinach rannych straciliśmy w pobliżu Rosji samolot wywiadowczy typu RC-135.

Prezydent przymknął oczy i z brzękiem odstawił filiżankę na spodek.

— Jak to możliwe?

— Wypadek zdarzył się w czasie rutynowego lotu szkoleniowego na trasie Japonia-Baza Sił Powietrznych Eielson w Fairbanks. Samolot zboczył z kursu, aby zbadać dziwne sygnały, dochodzące z rejonu pomiędzy bazą okrętów podwodnych w Pietropawłowsku a olbrzymim kompleksem badawczym w Kawazni, w północnej części półwyspu.

— Czy ktoś ocalał?

— Według aktualnych informacji — nie. Grupy poszukiwawcze z Japonii dopiero jadą na miejsce. Radziecka grupa już tam jest, ale nic nie znaleźli.

Prezydent pokręcił głową.

— Ile osób?

— Dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety.

— A niech to... — Prezydent zaczął masować skronie. — Co się, u diabła, stało? Co oni tam robili?

— Misja wywiadowcza — wyjaśnił dyrektor CIA. — Rutynowa operacja nanoszenia na mapę rozmieszczenia radarów. Celowo zbaczają z trasy w pobliżu radzieckiego wybrzeża, aby sprowokować Rosjan do użycia radarów. Wówczas identyfikują je, zaznaczają na mapie i określają ich możliwości.

— Jak daleko byli od wybrzeża? — dopytywał się prezydent.

Curtis zawahał się.

— Jak daleko?!

— Zbliżyli się na odległość trzydziestu pięciu mil. Ale w momencie gdy straciliśmy kontakt, samolot znajdował się około dziewięćdziesięciu mil od wybrzeża.

— Do diabła! Ja też bym się zdenerwował, gdyby rosyjski samolot szpiegowski znalazł się trzydzieści pięć mil od Waszyngtonu. — Prezydent popatrzył na sekretarza stanu, który pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Panie prezydencie, dopóki nie znaleźli się bezpośrednio nad terytorium radzieckim, formalnie przebywali w międzynarodowej strefie powietrznej. Jednakże Rosjanie bardzo gorliwie strzegą studwudziestomilowego pasa wokół wybrzeży, określając go jako strefę rozpoznawczą obrony przeciwlotniczej.

— W jaki sposób ich zestrzelono?

Curtis ponownie się zawahał.

— Generale?!

— Dokładnie nie wiemy, panie prezydencie.

Prezydent zachnął się.

— Sir, nawet nie jesteśmy pewni, czy to rzeczywiście Rosjanie stracili ten samolot.

— Nie jesteście pewni?...

— Nie mieliśmy możliwości dokładnego zrekonstruowania przebiegu wypadków.

— Cholera! Generale! Straciliśmy dwanaścioro ludzi, nie uzbrojony samolot wywiadowczy, a pan nie jest w stanie wyjaśnić, jak to się stało?

— Nie mamy jeszcze wszystkich danych, sir.

— Ale oskarża pan Rosjan o zestrzelenie tego samolotu? — wtrącił Marshall Brent. — Bez żadnych dowodów?

— To musieli być Rosjanie — odparował Curtis. — Nie widzę innej możliwości...

— A więc od początku, generale. Co już wiecie w tej sprawie? — zapytał zniecierpliwiony prezydent, dolewając sobie i Brentowi kawy.

Curtis odchrząknął.

— Sir, RC-135 patrolował duży kompleks badawczy na północ od Pietropawłowska.

— Wywiad doniósł, że w tym rejonie Rosjanie prowadzą badania nad tajemniczą bronią — dodał Mitchell. — Rozbudowali urządzenia obronne. Mają lotnisko i stacjonarne baterie rakiet ziemia-powietrze. Prawie tak duże, jak te w Pietropawłowsku, przy schronach łodzi podwodnych. Niepokoi nas również wielki reaktor jądrowy.

— To prawdopodobnie jeszcze nie wszystko — dodał Curtis. — Otrzymaliśmy dane z RC-135 o kilku nowych radarach wczesnego ostrzegania i kontroli powietrznej, mających daleki zasięg. Jeden z nich ma tak ogromną moc, że przerywał łączność z RC-135 na wszystkich pasmach.

— Zagłuszali nas?

— Nie zagłuszali. Zakłócili. Tym jednym radarem zakłócili szeroki zakres częstotliwości.

— To co tam w końcu jest? — prezydent zwrócił się do wszystkich. — Czy to jakaś nowa instalacja przeciwlotnicza? Stacja zakłócająca?

— Sir, mamy podstawy przypuszczać — odparł Curtis — że Rosjanie prowadzą w Kawazni badania nad potężnymi laserami do zwalczania satelitów i rakiet balistycznych. Radar, o którym mowa, ma wystarczającą moc i możliwości techniczne, aby wykrywać i śledzić obiekty na orbicie ziemskiej. Podejrzewamy istnienie laserowego systemu obronnego.

Zaskoczony prezydent spojrział na Mitchella i Brenta.

— Jezu! Curtis! — zawołał Mitchell z irytacją. — Przecież to czyste spekulacje. Nie mamy podstaw, żeby...

— A pan wie, co oni tam naprawdę mają? — przerwał Curtis.

— Oczywiście — odparł szef CIA. — Wielki reaktor, duże lotnisko, wzmocnioną obronę przeciwlotniczą, ale system obrony laserowej? Sądzymy, że prowadzą próby różnych broni:

głowic nuklearnych, gazów paraliżujących, może strumieni cząstek i promieniowania laserowego dla przyszłych urządzeń antybalistycznych i antysatelitarnych. Ale działający system obronny? Niemożliwe.

— To radar ogromnej mocy. Do naprowadzania raket na cele w atmosferze wystarczyłby znacznie słabszy. Oceniamy, że radar w Kawazni może wysledzić obiekty na wysokości do trzydziestu tysięcy mil, a więc tak odległe jak nasz najdalszy satelita.

— Podejrzenia, przypuszczenia, domysły. — Prezydent znów spojrzał na zegarek. — To wszystko? Nie wiecie nic bardziej konkretnego?

— Nie mamy wątpliwości, że jest to gigantyczne centrum badawcze — powiedział Curtis, próbując odzyskać wiarygodność w oczach prezydenta. — Mają źródło energii oraz urządzenia do śledzenia i namierzania celu. Wiemy też, że zainwestowali tam wystarczająco dużo pieniędzy, aby osiągnąć spektakularne wyniki...

— Wiadomo jednak — przerwał Mitchell — że mimo olbrzymich pieniędzy, jakie Rosjanie przeznaczyci na badania, upłynie jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, zanim skonstruują laser umożliwiający stworzenie skutecznego naziemnego systemu obronnego.

— A jak dalece my jesteśmy zaawansowani? — spytał z ciekawości Brent.

— Taki system będziemy w stanie zbudować najwcześniej za dziesięć lat — odpowiedział Curtis. — Najpóźniej do końca stulecia. Ale już obecnie mamy działający system antysatelitarny — dwie grupy myśliwców F-15 stacjonujących w Andrews i w Tacoma. Nie zapominajmy też o projekcie Ice Fortress, stacji kosmicznej do obrony antyrakietowej. Moglibyśmy ją wynieść promem kosmicznym nad biegun już w przyszłym roku. Istnieje możliwość rozwinięcia stacji w antysatelitarny system wykorzystujący energię kinetyczną.

— Ale przecież zrezygnowaliśmy z Ice Fortress'? — wykrzyknął zaskoczony prezydent. Odstawił filiżankę z kawą i zwrócił się do Brenta: — Zrezygnowaliśmy, prawda?

— Oczywiście, sir — zapewnił sekretarz stanu.

— Mam nadzieję, panie generale, iż nie muszę panu przypominać, że umieszczenie Ice Fortress na orbicie byłoby jawnym naruszeniem jedyne go ratyfikowanego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń, jakie zawarliśmy z Rosjanami w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

— Nie chodzi w tej chwili o Ice Fortress. Chodzi o to, że nie możemy zakładać, iż Związek Radziecki osiągnął zaledwie pięćdziesiąt procent naszego poziomu technologicznego. Błędem jest przyjmowanie, że skoro my czegoś nie mamy, to i oni nie mogą tego mieć. Rosjanie działają na zupełnie innych zasadach. Nie muszą liczyć się jak my z Kongresem, prasą, społeczeństwem ani z opinią świata. Nie rezygnują z projektów badawczych, nie zamykają fabryk, nie przejmują się bezrobociem ani budżetem. Jeżeli chcą

mieć system obrony laserowej, to go po prostu budują. Jeżeli potrzebują dodatkowych pieniędzy, to kupują o dwadzieścia procent mniej mięsa, trzydzieści procent mniej papieru toaletowego i mają w nosie opinię publiczną.

— Ależ generale — odezwał się Mitchell — jestem przecież tego samego zdania. Tyle tylko, że nasze informacje nie potwierdzają pańskich teorii. Trzeba nieprawdopodobnej technologii, aby skonstruować system laserowy zdolny do zniszczenia satelity geostacjonarnego, a cóż dopiero głowic bojowych długości jednego jarda — to po prostu nie mieści się w głowie. Precyzja musiałaby być kolosalna.

— No właśnie. Tylko dlatego, że my czegoś nie potrafimy, Rosjanie z pewnością też nie potrafią, prawda?

— No już dobrze, dobrze! — odezwał się prezydent. — Ta dyskusja do niczego nie prowadzi.

Przejechał ręką po wilgotnych włosach, starając się zebrać myśli.

— Widzę, że dwaj wybitni eksperci mają przeciwstawne opinie na ten sam temat. Pan, generale, uważa, że w tym kompleksie może znajdować się laser antysatelitarny czy też antybalistyczny. Natomiast Mitchell twierdzi, że Rosjanie nie umieją zbudować takiego systemu. Wybaczcie, panowie, ale dalsza dyskusja nie ma sensu.

— Zapewniam, panie prezydencie — powiedział pośpiesznie Curtis — że...

— Mitch — zwrócił się prezydent do dyrektora CIA — przydałyby się nam dodatkowe informacje o tym syberyjskim kompleksie. Czy mógłbyś je zdobyć?

— Istnieją pewne możliwości, sir. Przypuszczam, że uda nam się uzyskać bardziej szczegółowy plan zabudowań. Wówczas złożę panu natychmiast raport.

— Dobrze. — Prezydent znów spojrział na zegarek. — Generale, zdaję sobie sprawę, jak ważne jest przygotowanie mojej nagłej ewakuacji z Waszyngtonu. Nie uważam jednak, aby sytuacja na świecie wymagała od nas aż tak wielkiej ostrożności. Mój dzisiejszy plan dnia jest bardzo napięty i nie mogę go zmienić.

Curtis popatrzył na prezydenta z niedowierzaniem. Czy naprawdę nie ma sposobu, by go przekonać o tym, jak poważnie została naruszona obronność kraju?

— Chcę być na bieżąco informowany o wszystkim, co dotyczy tej katastrofy. I proszę mnie natychmiast zawiadomić, gdyby Rosjanie odmówili współpracy w poszukiwaniach.

Katastrofa lotnicza — pomyślał Curtis. — Nie zestrzelenie. Nie zniszczenie. Nie morderstwo. Zupełnie zlekceważył moje podejrzenia.

Generał opanował wzburzenie i odpowiedział spokojnym głosem:

— Nie ma żadnych doniesień o braku współpracy, sir.

Prezydent zwrócił się do sekretarza stanu:

— Marshall, uważam, że trzeba wybadać Rosjan. Zacznij od ONZ. Postaraj się zwołać nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. Przedstawimy Karmarowowi wszystkie zarzuty, jakie uda nam się zebrać, i przyjrzymy się jego reakcji. Powiedz Adamsowi, aby ich ostro zaatakował, oskarżył, o co się da. Ciekawe, jak zachowa się ten ugrzeczniony drań Karmarow. Takimi jak on trzeba mocno potrząsnąć, żeby wydobyć z nich, co knują.

— Wolałbym nie stosować takich metod, panie prezydencie — odparł sekretarz stanu. Słowa prezydenta budziły w nim niesmak.

— Rób, co do ciebie należy. — Prezydent zwrócił się do Curtisa. — Wilbur, boleję nad stratą naszych ludzi. Niestety nie mamy wystarczających dowodów, by oskarżyć Związek Radziecki o morderstwo. Musimy to potraktować jako wypadek. Po rozbitkach nie pozostał żaden ślad, a Rosjanie twierdzą, że nie znaleźli ani ciał, ani wraku. Nawet gdyby znaleźli, to i tak w tym samolocie nie rejestrowano rozmów ani parametrów lotu, prawda? Tragiczny wypadek.

— Nie zakończyliśmy jeszcze analizy sygnałów nadanych przez samolot i satelitę. Złożę panu raport, gdy tylko prace dobiegną końca.

— Doskonale. Proszę mi bezpośrednio meldować o...

— Proszę również o upoważnienie na opracowanie strategii odwetowej, gdyby się okazało, że Rosjanie mają tam jednak laser antysatelitarny — powiedział szybko Curtis.

— Strategii odwetowej? To brzmi jak przygotowywanie planu ataku.

— Czy w ten sposób nie utracimy kontroli nad sytuacją, generale? — wtrącił Brent. — Nie uważam za konieczne, by...

— Poczekaj, Marshall — przerwał mu prezydent. Popatrzył uważnie na generała. — Proszę kontynuować, Wilbur. O jaką strategię panu chodzi?

— Myślę o tym, jakie kroki poczyni rząd, jeśli potwierdzą się moje podejrzenia.

Prezydent znowu spojrzął na zegarek. Kończył się czas przewidziany na dzisiejszą rekreację.

— Panie generale, gdyby choć jedno pańskie słowo wydostało się poza ściany tego pokoju, mielibyśmy niemałe kłopoty. Zdaje pan sobie sprawę, jak bliscy jesteśmy podpisania traktatu o redukcji zbrojeń.

— Nie ma mowy o żadnych przeciekach, panie prezydencie. Ta sprawa nie wyjdzie poza moje biuro. Ograniczymy się tylko do zebrania i analizy danych o Kawazni oraz do opracowania wariantów działań. Nie będzie żadnej mobilizacji, koncentracji sił zbrojnych czy zwiększania wydatków.

Prezydent zamyślił się. Po chwili ruszył ku wyjściu, pozostawiwszy generała bez odpowiedzi. Wszyscy obecni powstali, a Curtis otworzył drzwi. Przechodząc obok czterogwiazdkowego generała, prezydent powiedział krótko: — Ma pan pełnomocnictwo. — Po czym zatrzymał się i dodał stanowczym tonem: — Ale jeśli cokolwiek przedostanie się na zewnątrz, jeśli zakłóci rozpoczęte negocjacje, odpowie pan za to osobiście.

Generał Curtis dogonił Marshalla Brenta w drodze do podziemnych garaży Białego Domu. Gdy zrównali tempo marszu, zapytał:

— Podrzucić gdzieś pana, panie sekretarzu?

Brent zawahał się, patrząc z niechęcią na szefa Kolegium Połączonych Sztabów, ale po chwili, zrezygnowany, skinął głową.

— Dziękuję, generale. Jadę do Andrews, chcę złapać samolot specjalny do Nowego Jorku.

Brent i Curtis wraz z adiutantem wsiedli do zielonego samochodu marki Lincoln Continental. Wyjechali na zimne i mokre ulice Waszyngtonu. Po chwili znaleźli się na obwodnicy. Curtis dał znak adiutantowi, by zasunął dokładnie grubą szybę oddzielającą ich od kierowcy.

— Ciężki tydzień, prawda, generale?

— Bywały gorsze... i lepsze.

— Czy pan rzeczywiście wierzy, że oni mają ten... laser?

— Panie sekretarzu, może i jestem starym, upartym osłem — odpowiedział Curtis, rozpinając guziki marynarki — ale mam uszy i umiem słuchać. Nasz wywiad już od dziesięciu lat sygnalizuje, że Rosjanie są o krok od zbudowania lasera przeznaczonego do śledzenia i niszczenia satelitów. Kompleks w Kawazni może być właśnie ukoronowaniem ich wysiłków. Mam przecucie, że gdy tylko zakończy się analiza sygnałów przesłanych przez RC-135, przybiegnie do mnie jakiś młody zapaleniec z Pentagonu z wiadomością, że Rosjanie mają coś rewelacyjnego.

— Trudno w to uwierzyć, że Rosjanie rzeczywiście odważyli się na atak. Można ich posądzać o różne rzeczy, ale nie są przecież szaleńcami.

— Szaleńcami nie, ale jeśli uważali, że ujdzie im to na sucho, to mogli zaryzykować. Do diabła, nie byłby to przecież pierwszy przypadek zaatakowania przez nich naszego samolotu zwiadowczego.

— Chce pan powiedzieć, że już do nas strzelali?

— Oczywiście, że tak — zaśmiał się Curtis. — Ci dranie potrafią być naprawdę bezczelni. Gdy tylko RC-135 znajdzie się blisko ich wybrzeży, namierzają się na niego radarami artyleryjskimi, jakby mieli zamiar odpalić rakiety. Strzelają mu pociskami tuż przed nosem,

podlatują tak blisko, że prawie dotykają go skrzydłami. Posuwają się nawet do tego, że nadają fałszywe sygnały nawigacyjne, aby spowodować naruszenie przez samolot wywiadowczy radzieckiej przestrzeni powietrznej. Dlatego właśnie nasi chłopcy mają rozkaz korzystać wyłącznie z naszego systemu nawigacyjnego. Rosjanie nadają przez radio fałszywe informacje lub rozkazy, a zakłócają czy wręcz zagłuszają prawdziwe.

— Jaka jest nasza reakcja?

— Najczęściej ich ignorujemy. Dopóki są przestrzegane reguły gry i nie ma ofiar, pozwalamy im robić z siebie głupków. Wnosimy formalną skargę, oni natychmiast gwałtownie protestują, a po jakimś czasie sprawa sama się wycisza.

— A to głośne zestrzelenie samolotu Koreańskich Linii Lotniczych...

— Sam pan widzi, że nie można im ufać. W pewnych sytuacjach nie ma z nimi żartów.

Zapadła cisza. Po chwili Curtis ciągnął.

— W przypadku naszego RC-135 musiało być inaczej. Niezależnie od tego, co się wydarzyło, załoga z pewnością nie straciłaby głowy. W razie ataku lub choćby jakiegoś podejrzenia błyskawicznie przekazaliby do nas wszelkie zebrane informacje.

— Błyskawicznie?

— Radzieckie sygnały elektromagnetyczne, w szczególności radarowe, są rejestrowane, kodowane i umieszczane w pamięci komputera samolotu zwiadowczego w specjalnym buforze. Jeśli cokolwiek się dzieje — atak, problemy z samolotem czy wyposażeniem, zawartość bufora może być w ułamku sekundy przekazana do satelity Ministerstwa Obrony. Wystarczy tylko nacisnąć odpowiedni guzik. Większość operatorów jest przeczulona na tym punkcie. Jedno kichnięcie silnika i zgromadzone dane są już w drodze. Ponadto zawartość pamięci jest co pewien czas przekazywana samoczynnie, a poprawność transmisji sprawdzana za pomocą procedury korygowania błędów. Gdyby załoga RC-135 wiedziała, że jest obiektem ataku, przesłałaby pozostałe dane oraz sygnał ostrzegawczy. Przelatując tak blisko radzieckich wybrzeży załoga reaguje niemal instynktownie na najmniejsze niebezpieczeństwo. A jednak tak się nie stało. Musieli być kompletnie zaskoczeni.

— Atak z zaskoczenia — zasugerował Brent. — Czy to możliwe, by nie zauważyli myśliwca, który do nich strzelał?

Curtis przytaknął.

— Mało prawdopodobne, ale możliwe, jeśli zaatakował ich w nocy rakieta na podczerwień. Samoloty RC-135 mogą monitorować bardzo wiele częstotliwości komunikacyjnych, zwłaszcza częstotliwości używane przez radzieckie dowództwo. Gdyby załoga przechwyciła jakikolwiek rozkaz ataku dla myśliwca, natychmiast przekazałaby dane i

rozpoczęła odwrót. Żaden radziecki myśliwiec nie odważyłby się na atak, nie mając bezpośredniego rozkazu z Kremla. Chyba że sam zostałby zaatakowany. Strącenie samolotu koreańskiego było poprzedzone dwugodziną wymianą sygnałów w eterze, odbieraną nawet w Japonii. Załoga RC-135 pozostała nieświadoma ataku aż do końca.

Curtis umilkł, ogarnięty nagłą złością. Brent poszukiwał w myśli jakiegoś logicznego wyjaśnienia. Po chwili spytał:

— Co możemy zrobić w tej sprawie?

— Niestety, absolutnie nic — westchnął Curtis. — Pozostaje tylko czekać, aż Rosjanie popełnią jakiś błąd i dadzą się przyłapać. Jeśli rzeczywiście mają tam tę nową zabawkę, to trochę sobie poużywali. Niech spróbują jeszcze raz, a nasz młody prezydent da im niezłą nauczkę.

— Hm, jeśli dadzą się przyłapać — powtórzył Brent w zamyśleniu.

— Wie pan, co mi się podoba u naszego prezydenta? — odezwał się Curtis z ożywieniem.

— To, że jest politykiem, ale tylko do chwili, kiedy się go nie wyprowadzi z równowagi. Podobnie było wtedy, gdy trenował w drużynie piłkarskiej. Na początku grał czysto i ładnie, ale kiedy strzelili im gola, liczył się dla niego jedynie wynik.

Brent popatrzył na Curtisa z niepokojem.

— Gdyby sprawy przyjęły taki obrót, niech Bóg ma nas w swojej opiece.

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

NOWY JORK

— Niniejszym otwieram nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych — ogłosił Ian McCaan, sekretarz generalny ONZ i ambasador Irlandii. W Nowym Jorku dochodziła godzina dwudziesta trzecia. Na salę obrad przybyło piętnastu delegatów, ich doradcy i sekretarze. Wielu z nich trzymało filiżanki z gorącą kawą lub herbatą. Jedni wyglądali na niezadowolonych, inni z ciekawością spoglądali na dwóch adwersarzy, dla których zwołano to posiedzenie. Byli to Gregory Adams, ambasador Stanów Zjednoczonych i Dmitrij Karmarow, ambasador radziecki.

— Proszę zaprotokołować, że posiedzenie zostało zwołane w trybie nagłym, na prośbę rządu Stanów Zjednoczonych — powiedział McCaan, który mimo dwudziestu lat spędzonych w Stanach zachował wyraźny irlandzki akcent. — Powodem jest naruszenie postanowienia dziewiątego, które mówi o nieuzasadnionym użyciu siły militarnej przeciwko nie uzbrojonej jednostce pływającej czy latającej w pobliżu wód terytorialnych. Delegacja amerykańska prosiła również, aby ta sesja miała charakter zamknięty i dopuszczeni do niej byli tylko członkowie Rady Bezpieczeństwa. Poufne nagranie z tego posiedzenia będzie jednak udostępnione przedstawicielom wszystkich krajów członkowskich. Panie ambasadorze Adams, proszę szczegółowo przedstawić zarzuty.

Gregory Adams ustawił mikrofon i powiódł wzrokiem po pozostałych czternastu delegatach zgromadzonych wokół stołu. Nie była to zbyt przychylna publiczność. Ambasador radziecki robił wrażenie osoby kompletnie znudzonej. Pozostali też nie wyglądali na zainteresowanych. Adamsa zaczęły teraz ogarniać wątpliwości, czy zwołanie sesji nadzwyczajnej w tych okolicznościach było mądrym posunięciem. Poprawił ciemne rogowe okulary, które miały nadawać mu poważniejszy wygląd, odchrząknął i powiedział:

— Dziękuję, panie sekretarzu generalny. W nocy trzynastego listopada, dwa dni temu, nie uzbrojony samolot wywiadowczy RC-135 patrolował wschodnie wybrzeże Związku Radzieckiego w rejonie Kamczatki. Był to pokojowy lot ćwiczebny...

— Przepraszam pana, ambasadorze Adams — przerwał Dmitrij Karmarow, mocniej przyciskając słuchawkę do ucha. Uśmiechnął się i zaczął mówić po angielsku: — Tłumacz mówi, że RC-135 odbywał lot ćwiczebny. Chciałbym mieć absolutną pewność w tym względzie. Czy lot ćwiczebny to to samo co lot szpiegowski?

— Nasze samoloty z różnych powodów latają wokół wybrzeży wszystkich kontynentów.

Akurat ten RC-135 odbywał rutynowy lot rozpoznawczy, zbierając dane o zasięgu sygnałów dla celów nawigacji satelitarnej. Te informacje mają zastosowanie zarówno w lotnictwie cywilnym, jak i w wojsku.

— Dane do nawigacji! — Sześćdziesięcioletni ambasador Związku Radzieckiego zakrztusił się, powstrzymując śmiech. Przesadnym ruchem zasłonił twarz i udawał, że stara się uspokoić. — Rozumiem... Przepraszam, że przerwałem, panie Adams. — Ponownie stłumił śmiech.

Pozostali delegaci nie podzielali wesołości Karmarowa, ale było widać, że ani przez chwilę nie wierzyli wyjaśnieniom Adamsa. Wszyscy wiedzieli, do jakich celów służyły RC-135.

— Ten samolot — tym razem głos ambasadora Stanów Zjednoczonych zabrzmiał głośniejsze — został zniszczony. Nagle, bez ostrzeżenia i bez powodu. — Adams powiódł wzrokiem po twarzach delegatów, ale jego słowa najwidoczniej nie zrobiły na nikim wrażenia. — Panowie, to stanowi wyraźne zagrożenie bezpieczeństwa ruchu lotniczego dla nas wszystkich. Tragedia wydarzyła się poza przestrzenią powietrzną Związku Radzieckiego.

— Wyraża się pan nieścisłe — przerwał Karmarow. — Mam raporty z naszych radarowych stacji śledzących w bazach obronnych na Wyspach Komandorskich i w Ossorze na Kamczatce. Donoszą one, że samolot RC-135 zbliżył się do wybrzeży Związku Radzieckiego na odległość trzydziestu trzech mil...

— Trzydzieści trzy mile od wybrzeża to przecież nie radziecka przestrzeń powietrzna.

— Przepraszam bardzo, ale regulamin Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego określa w artykule siedemnastym, paragraf sto trzydziesty pierwszy, że studziesięciomilowy pas powietrzny dookoła wybrzeży oceanu jest strefą rozpoznawczą obrony przeciwlotniczej. Aby poruszać się w tej strefie, należy uzyskać pozwolenie od kraju, któremu ona podlega. Podejrzewam, że wasz RC-135 nie miał takiego pozwolenia.

— W strefie obrony przeciwlotniczej, panie ambasadorze, nie ma zakazu lotów * odpowiedział Adams, zaglądając do papierów, które podał mu asystent. — Zgodnie z paragrafem sto trzydziestym siódmym wspomnianego regulaminu samolot wkraczający w tę strefę bez pozwolenia zobowiązany jest, na żądanie służb obrony przeciwlotniczej, podać kod identyfikacyjny, dokładną pozycję, wysokość, prędkość i kierunek. Lot może być kontynuowany, pod warunkiem że nie stanowi zagrożenia ruchu lotniczego ani bezpieczeństwa państwa. Nie ma tu mowy o użyciu broni.

— Tak duży amerykański odrzutowiec wojskowy jak ten, który wtargnął w radziecką przestrzeń powietrzną, z całą pewnością zagraża naszemu bezpieczeństwu. Artykuł precyzuje, że w przypadku samolotów wojskowych, zdolnych do przenoszenia broni dalekiego zasięgu

typu powietrze-powietrze lub powietrze-ziemia, obrona przeciwlotnicza ma prawo żądać identyfikacji, zawrócić je, zmusić do lądowania lub zestrzelić. — Karmarow wskazał palcem na Adamsa. — Wzięliście na siebie ryzyko i nikt inny, tylko wy odpowiadacie za to, co się wydarzyło.

— RC-135 nie jest przystosowany do przenoszenia broni.

— Nie wiedzieliśmy, co to za samolot, dopóki wasz rząd nie skontaktował się z nami. Leciał nietypową trasą jak na jednostkę szpiegowską. A zważywszy na to, że rejon Kamczatki ma dla nas wielkie znaczenie strategiczne, uważam, że rząd radziecki zachował dużą powściągliwość.

— Powściągliwość?! — ambasador Adams nie posiadał się z oburzenia. — Zestrzeliliście samolot bez ostrzeżenia, nie wahając się przed zamordowaniem dwanaściorga niewinnych ludzi. Samolot nie był uzbrojony i przeprowadzał pokojowe zadanie.

— Zwracam panu uwagę, panie ambasadorze, że są to bezpodstawne oskarżenia — powiedział Karmarow twardym tonem. — Oświadczam, że nie mamy nic wspólnego z zaginionym RC-135 poza tym, że nakazaliśmy mu opuszczenie radzieckiej strefy powietrznej. Nie wiedzieliśmy nawet, o jaki samolot chodzi, dopóki wasze Ministerstwo Obrony nie zawiadomiło nas o katastrofie. Natychmiast rozpoczęliśmy poszukiwania z powietrza i z morza. Nie wiemy, co się stało z waszym szpiegowskim samolotem. Nie czyńcie odpowiedzialnymi za tę nieszczęsną katastrofę niewinnych ludzi.

— Tuż przed atakiem RC-135 meldował o niezwykłym promieniowaniu radarowym. Załoga była przekonana, że to sygnał naziemnego radaru śledzącego przygotowującego atak.

— To jest oskarżenie. Mamy tam tylko radary kontroli rejonu, a pan twierdzi, że był to radar naprowadzający rakiety na cel. Proszę nam przedstawić dowody, jeśli pan takowe posiada.

— Panie ambasadorze — odezwał się ze swego podium McCaan. — Czy jest pan teraz przygotowany do przedstawienia Radzie dowodów potwierdzających oskarżenie?

— Dopiero je zbieramy.

— Chciał pan powiedzieć, że je dekodujecie, zmieniacie i preparujecie — odezwał się szyderczo, Heinrich Braunmueller, ambasador Niemiec Wschodnich. — Odpowiednie spreparowanie danych wywiadowczych wymaga sporo czasu.

— Zapewniam panów, że przedstawimy szczegółowe informacje. Mówią one wyraźnie o bardzo silnym radarze, który może bez trudu naprowadzać rakiety z głowicami nuklearnymi na samolot.

— To jest złośliwe, bezpodstawne oskarżenie — zawołał Karmarow, trzęsąc z oburzenia

głową. — Nie uda wam się obciążyć Związku Radzieckiego tym nieszczęśliwym wypadkiem!

Adams splótł ręce przed sobą i powiedział spokojnym tonem:

— Ambasadorze Karmarow, proszę powiedzieć Radzie, jaki rodzaj działalności prowadzicie w Kawazni. Cóż tam takiego macie, że bez wahania zestrzeliliście nie uzbrojony samolot wywiadowczy, który pojawił się w pobliżu?

— Zaczyna się pan powtarzać, ambasadorze Adams. — Podkreślam raz jeszcze: nie wiemy, co się stało z waszym samolotem. W Kawazni prowadzone są różne badania, ale nikt z obecnych tutaj nie jest upoważniony do dyskusji na ten temat. Ponadto, jak pan sam przyznał, wasz samolot nie znajdował się w międzynarodowej strefie powietrznej, lecz naruszył radziecką strefę obronną. Winnym jest nie Związek Radziecki, nie załoga RC-135, ale wasi dowódcy wojskowi w Pentagonie, którzy kazali tym ludziom wtargnąć w granice naszego państwa. Wasz samolot nie próbował podać swoich danych, nie prosił o pomoc, nie określił celu lotu. Był to nie zidentyfikowany samolot...

— Który wy zestrzeliliście! — zawołał Adams, wskazując palcem na Karmarowa. Postanowił rzucić na stół ostatnią kartę. — Wiemy, ambasadorze, że prowadzicie w Kawazni badania nad użyciem strumieni cząstek i laserów do celów wojskowych. Chyba pan nie zaprzeczy? Postanowiliście wypróbować swoją nową zabawkę na bezbronnym amerykańskim samolocie.

— blefuje pan, ambasadorze Adams.

Karmarow zwrócił się teraz do Iana McCaana: — Panie sekretarzu generalny, Związek Radziecki stanowczo odrzuca bezpodstawne oskarżenia, jakie wysuwają przeciwko nam Stany Zjednoczone. Domagamy się, aby natychmiast przedstawiono nam dowody winy. Jeśli, jak podejrzewam, nie ma takich dowodów lub jeśli nie będą one przekonujące, to żądamy wycofania oskarżeń. Domagamy się również, by zarówno ambasador Adams, jak i prezydent Stanów Zjednoczonych oficjalnie nas przeprosili.

— Ambasadorze Adams, czy jest pan gotów przedłożyć konkretne dowody? — zapytał Ian McCaan.

Adams popatrzył badawczo na Karmarowa, potem rozejrzał się po sali. Twarze zebranych nie wyrażały nic, poza znudzeniem lub zażenowaniem.

— Dowody będą przedstawione jeszcze w tym tygodniu, na sesji plenarnej...

— A zatem delegacja amerykańska zmarnowała tylko nasz czas — oświadczył Karmarow. — Ambasadorze, czuję się w obowiązku przypomnieć panu, że nadzwyczajne posiedzenia Rady nie są odpowiednim forum do politycznych ataków na Związek Radziecki. Ponadto nie wolno wnosić podobnych oskarżeń bez dostarczenia niezbitych dowodów. Będę zmuszony

poprosić Komitet Wykonawczy ONZ o ustosunkowanie się do tego nieuzasadnionego zwołania Rady i nadużycia przez pana uprawnień. Panie sekretarzu, wnoszę o zakończenie posiedzenia.

— Popieram wniosek — powiedział szybko Braunmueller.

W momencie gdy McCaan zamykał posiedzenie stuknięciem młotka, większość delegatów opuszczała już salę, nie szczędząc wrogich komentarzy. Nawet McCaan, znany ze swej przychylności dla Stanów Zjednoczonych, a ponadto przyjaciel Adamsa, wyglądał na poirytowanego.

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH BARKSDALE, BOISSIER, LUIZJANA

Trzygwiazdkowy generał Bradley Elliott trzymał w ręku listę zwycięzców i z niedowierzaniem patrzył na ostatnią pozycję. Już po raz trzeci pełnił funkcję mistrza ceremonii w corocznych zawodach w bombardowaniu i nawigacji, organizowanych przez Strategiczne Siły Powietrzne, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Jedna załoga zgarnęła prawie wszystkie nagrody. Nikt, ani prognostycy, ani ci, co wróżą z fusów, nie potrafiliby przewidzieć takich rezultatów.

Generał wstrzymywał się z werdyktem, aż żołnierze wyznaczeni do służby porządkowej zajmą swoje miejsca. Wyprostował się i uśmiechnął. Biedni chłopcy, pomyślał, miesiącami czekają na te zawody, a gdy wreszcie przychodzi moment ogłoszenia wyników, zwodzi się ich i trzyma w niepewności co do tego, kto naprawdę wygrał. Faceci ze służby porządkowej krążący po sali podbijają im jeszcze bębenka; zatrzymują się przed jakąś jednostką w znaczącym geście, a kiedy ci zaczynają wznosić już okrzyki zwycięstwa, ruszają dalej, jak gdyby nigdy nic.

Elliott wspomniał z dumą, jak przed kilku laty sam stał na podium, przyjmując nagrodę dla swojej załogi. Jeszcze teraz słyszał okrzyki aplauzu rozlegające się w tamtej wielkiej hali. Jego dawna załoga i smukły naddźwiękowy FB-111 z bazy Sił Powietrznych Pease w New Hampshire znajdowali się w czołówce przez wiele lat. Ale minęły już czasy, kiedy jedynie nowoczesne wyposażenie bombowca decydowało o zwycięstwie. Teraz podstawowe znaczenie miały kwalifikacje załogi.

— Nagroda imienia Curtisa E. LeMaya — po pierwszych słowach generała sala natychmiast ucichła — jest przyznawana załodze, która łącznie uzyska najwięcej punktów w konkurencjach bombardowania z dużej i małej wysokości. Ubiegać się o nią mogą załogi bombowców B-52, FB-111 i B-1B. Chciałbym przypomnieć, że w latach 1948—80 nazywano tę nagrodę Trofeum Bombowym. Potem przemianowano ją, aby uhonorować zasługi generała Curtisa E. LeMaya dla Strategicznych Sił Powietrznych. Ośmiokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat zwycięstwo odniosły załogi z Pease i Plattsburgh. Niektórzy uważali, że B-1B wyposażone w unowocześnione elektroniczne systemy ofensywne wyprą pocziwe FB z konkurencji! — Generał przerwał, czekając na reakcję słuchaczy. Potem, uśmiechając się przebiegle, spojrział na dowódcę 8 Grupy Sił Powietrznych i załogi samolotów FB-111. — 95.9% zniszczeń przy bombardowaniu z małej wysokości i znakomite

90% przy bombardowaniu z dużej osiągnęła 715 Eskadra „Orłów” z bazy Pease w New Hampshire. Jest to nowy rekord zawodów.

Na te słowa rozległa się ogólna wrzawa, a załogi FB-111 z Portsmouth zaczęły wiwatować. W czasie zawodów patrzyły z zawiścią na kolegów, latających lepszymi samolotami, obawiając się, że nie sprostają bombowcom B-52 wyposażonym w nowoczesną technikę komputerową i smukłym B-1 z jeszcze bardziej udoskonaloną elektroniką. Ostatnim razem wygrała załoga B-52 i również w tym roku chłopcy z FB-111 czuli się przez nich zagrożeni. Aż do tej pory, pomimo że FB-111 osiągały bardzo wysokie wyniki, nie udało im się zdobyć zbyt wielu nagród. Teraz pobicie rekordu miało być dla nich punktem zwrotnym.

Elliott pozwolił im cieszyć się jeszcze przez chwilę, myśląc jednocześnie: „Przykro mi, chłopcy, że muszę wam to zrobić...” Podniósł głos, aby można go było usłyszeć w ogólnym hałasie.

— Ale...

Na sali natychmiast zapanowała cisza.

— Ale... zdobywcą Trofeum Bombowego imienia Curtisa E. LeMaya z bezprecedensowym wynikiem 98,77% zniszczeń i nieprawdopodobnym stuprocentowym wynikiem bombardowania z małej wysokości, została załoga E05 z 470 Eskadry Bombowej.

Olbrzymi hangar lotniczy w bazie Barksdale w Luizjanie, zamieniony teraz na centrum zawodów, aż zatrzęsł się od owacji. Wiwatowała zwycięska eskadra i jej goście. Gdy nagrodzona załoga torowała sobie drogę w kierunku podium, towarzyszyły jej równie głośne pohukiwania tych, którym się nie udało. Reakcja sali przypominała atmosferę na stadionie piłkarskim, gdy na kilka minut przed zakończeniem meczu zespół gości uzyskuje kolejnego gola, praktycznie przesądzając wynik.

470 Eskadra Bombowa, a właściwie załoga E05 otrzymała już pięć nagród, pozostawiając tylko jedną dla załogi innego B-52 i trzy inne, które mogły być przyznane tylko FB-111 i B-1B. Ponadto 325 Dywizjon Bombowy, do którego należała 470-ta zdobył trzy nagrody dla samolotów system KC135 B; 470-tej przypadła dodatkowo nagroda Doolittle'a. Główna, najbardziej pożądana nagroda, Trofeum Fairchilda, nie została jeszcze wręczona, ale wszyscy już wiedzieli, kto ją dostanie. Nie było więc napięcia towarzyszącego zwykle tej ceremonii i gdyby nie wojskowy charakter imprezy, połowa sali już dawno byłaby pusta.

Po zakończeniu ceremonii Patrick McLanahan, jego załoga, oficerowie i zaproszeni goście 325 Dywizjonu jeszcze przez co najmniej godzinę nie schodzili z podium. Stali obok dwóch długich stołów, na których błyszczały srebrne puchary, pozowali do zdjęć i udzielali wywiadów. Dowódca Dywizjonu, pułkownik Edward Wilder, i jego zwierzchnik,

trzygwiazdkowy generał Ashland, dowódca 15 Grupy Sił Powietrznych, unosili na zmianę olbrzymi puchar Fairchilda, a kilkunastu fotoreporterów przepychało się, aby zdobyć najlepsze ujęcia.

Dwóch mężczyzn nie brało bezpośredniego udziału w uroczystościach. Obserwowali radosny tłum na scenie z odległej kabiny projekcyjnej, górującej nad hangarem. Byli to generał Elliott i ubrany po cywilnemu pułkownik Andrew Wyatt. Elliott przeglądał wydruki komputerowe, a jego towarzysz kręcił z niedowierzaniem głową.

— B-52 wygrał zawody. Kto by to pomyślał. Wydaliśmy przecież bająnskie sumy na B-1 i na program modernizacji elektroniki w FB-111. Nie mówiąc już o tym, ile pochłonął ofensywny system komputerowy dla tych B-52, które przenoszą pociski samosterujące Cruise. A tu niespodziewanie taki odkurzacz, nie zmodernizowany B-52, zdobywa Trofeum Fairchilda. Przecież wszedł do wyposażenia trzydzieści lat temu, kiedy wstępowałem do wojska. Nieprawdopodobne.

— Ci chłopcy są po prostu bardzo dobrzy. I tu tkwi tajemnica — stwierdził Elliott, oddając Wyattowi poufne dokumenty, które przed chwilą przeglądał. Pułkownik przeliczył szybko strony i zamknął je w teczce na klucz.

— Myślałem, że FB-111 będą tym razem górą — powiedział Elliott — ale przecież to dopiero pierwszy rok po modernizacji ich systemu uzbrojenia i ciągle jeszcze wychodzą błędy w oprogramowaniu.

Wyatt pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym zmienił temat.

— No to co pan powie na zaproszenie nas do centrum badawczego w Newadzie? Generał nie daje nam spokoju. Jest przekonany, że ma pan tam zabawki, które mogłyby go zainteresować.

Elliott uśmiechnął się i przytaknął.

— Oczywiście, dlatego nazywamy ten ośrodek Dreamland.

Zapadła cisza. Przez chwilę obaj mężczyźni obserwowali bawiących się na dole, po czym generał Elliott odchrząknął i zapytał:

— O co chodzi, Andy?

Pułkownik Wyatt rzucił okiem dookoła i widocznie doszedł do wniosku, że kabina projekcyjna nie jest odpowiednim miejscem do prowadzenia poufnych rozmów.

— Nie tutaj, sir — odpowiedział zniżonym głosem. — Ale generałowi bardzo zależy na spotkaniu z panem. Bardzo. I chciałby to zrobić nieoficjalnie.

Elliott zmrużył oczy i spojrzał z ukosa na adiutanta generała Curtisa.

— Nieoficjalnie? Co to do diabła znaczy?

— To znaczy, że zależy mu na prywatnej wizycie. Będzie po cywilnemu. Chce się rozejrzeć i zdobyć współpracowników.

— Do czego?

— Wszystko panu osobiście wyjaśni.

— To brzmi bardzo tajemniczo. Ale zgoda. Pojutrze. Z personelu pozostawię tylko niezbędną kadrę. Nie będzie królewskiego przyjęcia, ale pokażę mu wszystko, co tylko zechce.

— Widzę, generale, że zrozumiał pan, o co nam chodzi — Wyatt wyciągnął rękę na pożegnanie. — Miło mi było pana znowu spotkać.

— Mnie również — odrzekł Elliott, ściskając dłoń adiutanta. — Czy masz zamiar wrócić kiedyś do swojego dywizjonu myśliwców, czy też wystarcza ci wysługiwanie się generałowi?

Słowa Elliotta ubodły pułkownika.

— Zawsze miał pan ostry język, potrafi pan dopiec człowiekowi. Nie, nie mam zamiaru. Uważam, że potrzebny jestem w sztabie bardziej niż gdzie indziej. Służbę w dywizjonie pozostawiam młodszym.

Zmieszany Elliott odezwał się pojednawczo.

— Pułkowniku, liczę, że zostanie pan do końca uroczystości. To największy festyn, jaki organizuje SAC. Za kilka godzin ma przybyć wiceprezydent. A nasze panie z Sił Powietrznych co roku wyglądają piękniej.

— Dobrze pan zna generała Curtisa. Gdybym nie wrócił do Waszyngtonu przed kolacją, pewnie musiałbym się zadowolić dowodzeniem drużyną skautów. Ale bardzo dziękuję za zaproszenie. — Wyatt pośpiesznie skierował się ku wyjściu.

Elliott zszedł na dół i ruszył do przedsionka wielkiego hangaru. Tam, przed dużym modelem bombowca B-1B, stał samotnie kapitan Patrick McLanahan, trzymając plastikowy kubek z piwem. Nietrudno było go rozpoznać, gdyż młody bombardier prawie całe popołudnie spędził na podium, odbierając nagrody.

Elliott spojrział na niego uważnie. Ci najlepsi zawsze są do siebie podobni. Samotnicy. Nadgorliwcy. Pierwszy bombardier w SAC-u, a może i na świecie — a zamiast bawić się z innymi stoi tu samotnie, studiując model samolotu. Dziwactwo. Elliott przyjrzał się dokładnie młodemu oficerowi. Jednak nie taki znowu gorliwiec... Buty nie wyczyszczone. Kombinezon rozpięty prawie do pasa. Włosy za długie. I do tego pije. Zupełnie nie przestrzega punktów regulaminu dotyczących ubioru i wyglądu żołnierza. Generał z trudem powstrzymał się od udzielenia mu nagany. W końcu podszedł i zagadnął.

— Chciałby się pan przesiąść na taki samolot, kapitanie McLanahan?

Patrick odwrócił się, pociągnął łyk piwa i spojrzał obojętnie na Elliotta. Generał nieczęsto spotykał się z taką postawą. Nie zauważył u McLanahana żadnych oznak zdenerwowania, jak jąkanie się czy przesadne pozdrawianie zwierzchnika, tak charakterystycznych dla młodszych stopniem, gdy staną twarzą w twarz z generałem.

Po chwili McLanahan uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Dzień dobry, generale Elliott. — Po czym wskazując ruchem głowy model B-1B powtórzył: — Przesiąść się na ten samolot? Nie, za nowoczesny dla mnie.

— Większość załóg B-52 czeka w kolejce na taki przydział — zauważył generał.

— Nie ja. — Wyciągnął rękę w stronę starego, zakurzonego modelu B-52, który wisiał w rogu. — To moja ukochana maszyna. — Ukazał zęby w szerokim uśmiechu. — Przykro mi z powodu chłopców z Pease. Byli naprawdę dobrzy.

— Dziękuję. Wierzę, że w przyszłym roku pójdzie im lepiej. Zostali pokonani przez najlepszych.

Słowa generała nie zrobiły na McLanahanie spodziewanego wrażenia.

— Mówisz, Patricku, że wolisz latać na B-52? — spytał Elliott wyraźnie zaintrygowany. — Dlaczego? Przecież B-1 wyprą je całkowicie jeszcze w tym stuleciu.

McLanahan zawahał się.

— Nie wiem. Zwykle, gdy pojawi się nowy samolot, ludzie uważają, że te starsze nadają się już o na złom. — Pociągnął łyk piwa. — Trochę za wcześnie spisali B-52 na straty. One mają w sobie jeszcze dużo ikry.

Elliott ze zdumieniem uniósł brwi. Ten młody człowiek niemal czytał w jego myślach.

— Stary kocur ma twardy ogon — powiedział.

McLanahan uśmiechnął się.

— Obaj o tym wiemy.

— Moje gratulacje, Patricku. Trofeum Fairchilda i Trofeum Bombowe dwa lata pod rząd. Wygląda na to, że jesteś nie do pokonania.

— Trafiała mi się najlepsza załoga, generale. — Patrick wysączył piwo do końca i zgniótł kubek. — No i dużo pracujemy. Ale muszę już iść.

Elliott uściśnął mu dłoń.

— Wstąp do mnie później do pokoju gościnnego dowództwa. Pogadamy sobie jeszcze o starych maszynach.

— Dziękuję, chętnie przyjdę.

No cóż, nie wygląda jak spod igły, pomyślał Elliott. Uśmiechnął się na wspomnienie młodego pilota sprzed trzydziestu lat, o którym można było powiedzieć to samo. Czy to już

naprawdę minęło tyle czasu? Generał pokręcił głową z niedowierzaniem. Zestarzał się tak jak B-52, ale miał nadzieję, że i w nim zostało jeszcze trochę ikry.

Centrum zawodów w bombardowaniu i nawigacji, organizowanych przez Strategiczne Siły Powietrzne, mieściło się w olbrzymim hangarze lotniczym. Przystosowano go specjalnie do potrzeb tej imprezy. Dookoła hangaru znajdowało się kilkanaście mniejszych biur i sal konferencyjnych. Raz w roku, w tę właśnie noc, po wręczeniu nagród, zamieniały się one w sale recepcyjne. Każda jednostka, biorąca udział w zawodach, czyniła honory gospodarza w jednej z nich. Wystrój wewnątrz był związany z charakterem lub z miejscem stacjonowania danych formacji.

Niełatwo było się tam dostać. Tłum rozbawionych kobiet i mężczyzn tak szczelnie wypełniał hangar, że szpilki nie dało się wetknąć. Załoga kapitana Housera ponad dziesięć minut walczyła, by się przedrzeć przez wielki hali hangaru do sal recepcyjnych. Wywieszono tam dużą tablicę, informującą, które sale przydzielono poszczególnym jednostkom. Ale tej nocy nie była ona potrzebna. Chodziło przecież o to, aby przed zakończeniem imprezy o trzeciej nad ranem odwiedzić każdą z nich.

— Nie do wiary, co się tu dzieje — powiedział Luger, gdy razem z Patrickiem torowali sobie drogę. — Co roku jest większy tłum i lepsza zabawa.

Najpierw udało im się przedostać do jednostki z Teksasu, która swoje pięć pokoiów zamieniła w wielką piwiarnię. Było tu tłoczno, jak wszędzie. Główną atrakcją stanowił potężny byk stojący pośrodku sali w skrzyni wypełnionej piaskiem. Na każdym boku zwierzęcia namalowano samolot B-1B Excalibur. W tylnej części skrzyni znajdował się pas czerwonego piasku z napisem: „Pozdrowienia dla Rosji od Excalibura” częściowo zapaskudzony odchodami. Byk, przystrojony w wielki kowbojski kapelusz, ze spokojem zajadał ziarno i kanapki, które wrzucano mu do żłobu.

Zaraz przy wejściu dwie dziewczyny, ubrane jak fanki drużyny Dallas Cowboy, wręczyły Lugerowi i McLanahanowi po puszcze piwa i miseczce chili.

— Skąd jesteście? — spytała jedna z nich.

— Z Amarillo — odpowiedział Luger. — A ten tu, Patty, z Kalifornii, ale da się go lubić.

— To się dobrze składa, bo ja bardzo lubię Amarillo — zachichotała druga dziewczyna.

— A ja wolę Kalifornię — odparła pierwsza.

— Pokażcie nam tę swoją teksaską „herbaciarnię”, moje księżniczki z Południa — zaproponował McLanahan, obejmując jedną dziewczynę i podając ramię drugiej.

McLanahan siedział w kącie pomieszczenia urządzonego jak saloon na Dzikim Zachodzie i kiwał się nad kuflem piwa. Czerwony kowbojski kapelusz zsunął mu się na plecy, za pasem

sterczał mały dziecięcy kolt. Wokół było tłoczno i gwarno. Jedni głośno oblewali swoje sukcesy, inni starali się utopić smutki w piwie. Za barem stał podoficer, szef załogi z 5 Eskadry Myśliwców Przechwytyjących z Minoty w Północnej Dakocie.

McLanahan wziął z baru potężny kufel piwa i podszedł z nim do korkowej tarczy. Dokładnie w samym środku tkwiło pięć wbitych strzałek.

— Niezły wynik, co, sierżancie Berger? — zwrócił się do stojącego za barem kolegi, wyglądającego jak właściciel saloonu.

Ten uśmiechnął się zyczliwie.

— To drobnostka w porównaniu z tym, co zademonstrował wasz sierżant Brake. Gdyby mi ktoś wcześniej powiedział, że B-52 może w biały dzień strącić F-15, wziąłbym go za wariata. To ja byłem dowódcą tego F-15, który zestrzeliliście, ale nie mam do was żalu. Powiedz Brake'owi, żeby tu przyszedł, a z przyjemnością postawię mu piwo.

— Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby to była prawdziwa wojna. — McLanahan pociągnął duży łyk piwa. — Załatwilibyście nas jedną z tych nowych rakiet już z odległości trzydziestu mil. Ale w ćwiczeniach symulowanych nie dostaje się punktów za trafienia spoza zasięgu widzenia. — Znow pociągnął łyk i pomyślał z goryczą: „Dlatego wszystko to lipa”.

W chwilę później Patrickowi udało się zdobyć wolne miejsce przy barze. Ogarnął go smutny nastrój. Niedługo minie sześć lat, odkąd jest w Siłach Powietrznych, a jeszcze nigdy nie miał okazji zrzucić prawdziwej bomby. Zawsze, gdy naciskał przycisk wyrzutnika bombowego, z komory wypadła bomba — tyle że z betonu. Nie powinien chyba narzekać, bo ostatecznie jego zadaniem było bronić kraju. I jeżeli w warunkach pokoju polegało to na przeprowadzaniu nie kończących się ćwiczeń, to niech tak będzie. Lubił jednak wyobrazić sobie, jak by wyglądało zrzucenie prawdziwej bomby. Czuł się trochę jak strażak, który po wielu przygotowaniach ma być wezwany do pierwszego pożaru. Boi się i jednocześnie czeka na tę chwilę.

Gdy McLanahan ocknął się z zadumy, spostrzegł, że obok niego siedzą dwie dziewczyny. Przystojna brunetka w cywilnym ubraniu i uczesana w kok blondynka w mundurze porucznika.

— Przepraszam panie — głos Patricka brzmiał już nieco bełkotliwie — czy któraś z pań zagrałaby ze mną w rzucanie strzałkami do tarczy?

Blondynka uśmiechnęła się i spytała swoją towarzyszkę:

— Wendy, może ty spróbujesz? Bo ja nigdy nie umiałam tym celnie rzucać.

— Ja też nie. A poza tym, jakie miałabym szansę wygrać z królem zawodów w bombardowaniu?

Patrzyła na niego tak, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że wszystkie jego nagrody nic dla niej nie znaczą. McLanahan jednak zrozumiał jej spojrzenie jako zachętę, mówił więc dalej:

— Jeśli jestem królem zawodów, to ty bądź moją królową. — I stuknąwszy kuflem o jej kufel, wznosił toast. — Zdrowie... jak ci na imię? Wendy. A więc zdrowie Wendy, królowej dzisiejszych zawodów i chluby Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Nie pracuję w wojsku. Moja firma jedynie konstruuje, i testuje dla was elektroniczne systemy przeciwdziałania.

— Wybaczymy ci to — Patrick spojrzał z wesołym uśmiechem na blondynkę.

Wendy zawahała się, po czym wstała, obciągnęła sukienkę i podała rękę Patrickowi.

— Miło cię było poznać... — McLanahan szybko odpowiedział jej swoje imię. — Ach, oczywiście, Patrick. Jak mogłam zapomnieć. A więc miło cię było poznać, Patricku. Muszę już jednak iść.

Pomachała na pożegnanie koleżance.

— Spotkamy się później, Cheryl. Uważaj na siebie.

— Postaram się — powiedziała Cheryl, choć jej oczy mówiły całkiem co innego. Uśmiechała się do McLanahana, ale on tego nie widział, zaprzątnięty myślami o dziewczynie, która właśnie wyszła.

**POLIGON DOŚWIADCZALNY,
BAZA SIŁ POWIETRZNYCH NELLIS,
LAS VEGAS, NEWADA**

W dwa dni po uroczystościach zakończenia zawodów generałowie Elliott i Curtis jechali niebieskim samochodem terenowym należącym do Sił Powietrznych. Pojazd z napędem na cztery koła podskakiwał i zarzucał na wyboistych drogach pustyni Newada, ciągnąc za sobą tumany kurzu. Był ciepły wieczór. Słońce właśnie schowało się za malowniczymi górami. Elliott miał na sobie zielony mundur polowy z krótkimi rękawami i niebieską lotniczą czapkę. Curtis, mimo gorącego powiewu pustyni, był ubrany w tradycyjny szary garnitur i krawat.

— Nie do wiary — powiedział Elliott, zamykając teczkę ze ściśle tajnymi dokumentami.
— To się po prostu nie mieści w głowie.

— A jednak takie są fakty. Mamy zamiar przedstawić je na forum ONZ. Jestem przekonany, chociaż nikt nie chce w to uwierzyć, że Rosjanie mają laserowy system obronny. I to chyba już od kilku miesięcy, pewnie nawet od islandzkiego spotkania na szczycie.

— To zdumiewające. Kto by przypuszczał, że Rosjanie mogą nas tak prześcignąć w dziedzinie broni laserowej. I co teraz zrobimy? Zwrócimy się do ONZ? Zażądamy, żeby zamknęli instalacje?

— To jeden z wariantów działania — Curtis poluzował nieco krawat — ale zostałem upoważniony do opracowania dwóch innych. Między innymi projektu Ice Fortress.

Elliott zamilkł, wyraźnie zaskoczony, ale po chwili powiedział:

— Tego nie uda się zachować w tajemnicy, a Ice Fortress będzie łatwym celem, jeśli ten laser ma rzeczywiście takie możliwości, jak mówisz.

— Nie odważyliby się zestrzelić załogowej stacji kosmicznej.

— Powiedz to rodzinom tych z RC-135.

— Ice Fortress to co innego.

— Nie powiedziałbym. — Chwilę jechali w milczeniu, po czym Elliott dodał: — Wydawało mi się, że zrezygnowaliśmy z tego projektu. Ośrodek kontrolny w Vandenburg jest przecież zamknięty.

— Zrezygnowaliśmy, ale nie z powodu trudności w jego realizacji. Zmusił nas do tego ten cholerny traktat, który podpisaliśmy. Sytuacja jest beznadziejna. Rosjanie zestrzelili jeden z naszych RC-135, a my nie możemy nic zrobić, bo mamy ręce związane traktatem. — Zdenerwowany Curtis krzychał tak głośno, że słyhać go było w budce wartowniczej

oddalonej o sto jardów.

— Nic nie słyszałem o tym incydencie — powiedział Elliott. — Wydaje się, że panuje spokój.

— Tak, ostatnio sytuacja polityczna nieco się ustabilizowała. Biały Dom ma nadzieję, że ta sprawa przycichnie. Prezydent byłby najszczęśliwszy, gdyby Rosjanie jakoś się wytłumaczyli i wyrazili chęć zadośćuczynienia. Liczy na to, że sekretarz stanu Brent załagodzi całą aferę.

— Ale rozumiem, że Sowieci nie chcą się przyznać do winy, nie mówiąc już o zadośćuczynieniu?

— Do diabła, dlaczego, mieliby się przyznać? Mają w ręku wszystkie atuty. My, wojskowi, alarmujemy, że Rosjanie zestrzelili nasz samolot wywiadowczy, a w Białym Domu albo nam nie wierzą, albo nie chcą słuchać, ponieważ krzyżuje to ich plany — Curtis umilkł. Po chwili odezwał się znowu: — Brad, przykro mi z powodu załogi RC-135. Wiem, że z nimi pracowałeś. To wielka strata.

— Ja też nad tym boleję. Ta załoga wykonywała po prostu swoje zadania, do których przygotowały ją lata ćwiczeń. To było okrutne i bezsensowne morderstwo.

Elliott otrząsnął się ze smutnych myśli o straconych przyjaciółach.

— Więc Ice Fortress jest jedną z możliwości. A teraz przyjechałeś zobaczyć, co jeszcze mamy w zanadrzu.

— Brad, dobrze, że Ministerstwo Obrony właśnie tobie powierzyło ten ośrodek. Bo tu był potrzebny człowiek, dla którego nie ma rzeczy trudnych. Człowiek, który nie boi się stawić czoło Kongresowi i wszystkim, którzy przeszkadzają w realizacji śmiałych zamierzeń. Zastanawiam się, czy mógłbyś znaleźć dla mnie coś odpowiedniego. Chcę...

— Chcesz zniszczyć... to miejsce? — Elliott spojrział kątem oka na kierowcę. — Zaatakuj je!

Curtis był zaskoczony.

— A kto tu mówi o niszczeniu czegokolwiek, szczególnie w tej przeklętej Rosji. — Potem roześmiał się i dodał. — Jezu, Brad, ależ z ciebie skurwysyn.

Elliott odpowiedział uśmiechem i, pochyliwszy się do przodu, klepnął kierowcę w ramię.

— Wysadź nas tutaj i czekaj za godzinę przy wartowni.

Samochód gwałtownie zahamował. Kierowca, młody podporucznik w mundurze polowym, uzbrojony w pistolet maszynowy Uzi, wysiadł i obiegł samochód, by otworzyć drzwi generałowi Curtisowi. Obydwaj mężczyźni wysiedli. Kierowca zbliżył się do Elliotta i zapytał ściszym głosem, tak aby Curtis go nie słyszał:

— Trafi pan stąd, generale? Prosto tą drogą, jeszcze ze czterysta...

— To jest moja pustynia, Hal — burknął Elliott, ale natychmiast się uśmiechnął. — Zmiataj stąd. Dopilnuj, żeby chłopcy z wartowni przygotowali świeżą kawę. I nie wypij wszystkiego.

Młody oficer zsalutował, wskoczył do samochodu i odjechał.

— Oto Dreamland — powiedział Elliott, rozpościerając ramiona. — Tutaj realizują się marzenia. Teorie zamieniają się w rzeczywistość. Ludzie, tacy jak ty, nie składają nam kurtuazyjnych wizyt, lecz przyjeżdżają w określonym celu.

Curtis słuchał tych słów z prawdziwą przyjemnością.

— Wywiad donosi, że Kawaznia ma mocny system obronny — kontynuował Elliott.

— To za łagodnie powiedziane. Przekształcili małe lotnisko zaopatrzeniowe w bardzo rozbudowaną i świetnie wyposażoną bazę.

— Musimy zatem wykluczyć lotniskowce — rozważał głośno Elliott. — Rosjanie załatwiliby je, zanim zdążyłyby odpłynąć na odległość tysiąca trzystu mil od Japonii. Z kolei gdybyśmy wysłali F-15 wspomagane cysternami, również wysledziliby je bardzo szybko. Nie zdążyłyby się nawet zbliżyć do Kawazni. Do przedarcia się przez obronę i zniszczenia bazy potrzebne by nam były co najmniej dwie eskadry. — Popatrzył pytająco na Curtisa. — Chyba bombowce... ciężkie bombowce. B-1?

— A cóż innego mógłbym dostać od starego weterana z SAC-u?

— Rosjanie nie mogą się domyślić — rozważał dalej Elliott — że rozpoczynamy wojnę. Dobrze byłoby wysłać trzy bombowce, ale do ataku wybrać jeden, najlepszy. Samotny bombowiec ma szansę przebić się nawet przez ciężką obronę. Szczególnie bl.

— Otóż to!

Elliott uśmiechnął się.

— Nie przyjechałeś tu po to, by się rozejrzeć, lecz żeby kupić, prawda? Zapłacić i zabrać towar. Cena nie gra roli. Mam rację?

— Spodziewałem się, że coś u ciebie znajdę, chociaż chciałem również rzucić trochę okiem na twoje gospodarstwo.

— Nie mam tu akurat B-1. Ale mam coś, co cię zadziwi.

— Wiedziałem, że będziesz chciał się popisać. Ale gdzie my właściwie jesteśmy?

— W Newadzie.

Elliott powiódł wzrokiem po linii horyzontu, obserwując bacznie, czy nie zauważy jakiegoś ruchu. Ojciec nauczył go kiedyś chwytu stosowanego w marynarce. Kątem oka łatwiej wykryć ruch, ponieważ na brzegach siatkówki jest mniejsza koncentracja receptorów światła.

— Jesteśmy na całkowitym odludziu. Tam jest pasmo górskie Groom. — Elliott wskazał ciemną linię na horyzoncie. Możesz nawet dostrzec zarys góry Bald. Pasma Papoose leży bardziej na południe. Znajdujemy się w północno-zachodniej części jeziora Groom.

— Jeziora? — Curtis kopnął zbity piasek pod nogami, wzbijając tuman kurzu.

— To wyschnięte jezioro. Dokładnie zbadane i umocnione. Tworzy naturalny i łatwy do ukrycia pas startowy o długości trzech mil.

Elliott ponownie rozejrzył się dookoła, wdychając głęboko czyste, orzeźwiające powietrze.

— Dreamland — prawdziwa Kraina Snów.

Szli jeszcze przez chwilę. Nagle w odległości kilkunastu mil ujrzeli dwie smugi światła, które to zniżały się, to wznosiły nad postrzępioną linią gór. Chwilę później dwa ogłuszające grzmoty przetoczyły się ponad pustynią, odbijając się echem po całej dolinie.

— Cóż to do diabła było?

— Prawdopodobnie FB-111 — odparł Elliott z uśmiechem. — To na siedemdziesiątym czwartym poligonie ćwiczą nocne loty na małych wysokościach. Włączają dopalacze i przekraczają barierę dźwięku na wysokości dwustu stóp.

— Strasznie blisko. A co...

— Nie denerwuj się. Były co najmniej piętnaście mil stąd. Poza tym mają wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby się nie zbliżać do Dreamlandu. Przestrzeń powietrzna aż do wysokości osiemdziesięciu tysięcy stóp jest zamknięta dla wszystkich lotów — zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Naruszenie jej oznaczałoby natychmiastowe zawieszenie załogi i taki opieprz, że popamiętałiby na długo. Gwarantuję ci to.

Po kilku minutach Elliott spostrzegł przyćmione światła niskiego budynku.

— Mimo że odwiedzam to miejsce raz w tygodniu, zawsze mam kłopoty z odnalezieniem tej cholерnej wartowni.

— Myślę, że twoi strażnicy nie pozwoliliby nam zbyt długo błądzić.

— To prawda. Wysłaliby po nas owczarka niemieckiego.

Po chwili obydwaj generałowie dotarli do małej, betonowej budowli. Od frontu wartownia miała duże okno z podwójną, kuloodporną szybą i jedne drzwi. W pozostałych ścianach było kilka otworów strzelniczych. Na prawo i lewo od wartowni ciągnęło się ogrodzenie, wysokie na dwanaście stóp, zakończone u góry zwojami ostrego, kolczastego drutu. Z budynku wyszli trzech wartownicy i bez słowa otoczyli przybyszów. Byli uzbrojeni w karabiny M-16. Na lufie jednego z nich zamocowano groźnie wyglądającą nasadkę M-203 do miotania granatów. Wartownicy wyprowadzili wilczura, który najpierw obwąchał obydwu generałów, a potem usiadł naprzeciwko Curtisa, tuż obok jego butów.

— Proszę się nie ruszać, sir — ostrzegł przewodnik psa. — Czy pańska karta identyfikacyjna znajduje się w wewnętrznej kieszeni marynarki?

Curtis skinął głową, ale tylko raz i to bardzo powoli.

Jeden z wartowników wyjął mu portfel, a drugi szybko obszukał generała.

— Czy mam podnieść ręce? — zapytał Curtis.

— Nie, nie ruszaj się — pośpiesznie odpowiedział Elliott, czekając, aż wartownicy sprawdzą jego dokumenty. — Ten Bambi waży ze sto pięćdziesiąt funtów i pewnie mógłby cię przewrócić jedną łapą.

— Bambi? — Curtis spojrzał na psa i poczuł, jak cierpnie mu skóra.

— Nie wiedziałem, że masz przy sobie broń — powiedział Elliott, gdy wartownik wyjął spod marynarki Curtisa pistolet kalibru 9 mm.

Szef Kolegium Połączonych Sztabów mruknął tylko, bojąc się nawet poruszyć ustami.

Następnie wartownik pobieżnie zrewidował Elliotta. Gdy odprowadzono wilczura, generałowie czekali na zewnątrz, aż zakończy się sprawdzanie ich tożsamości. Przyniesiono im kawę. Curtis z ciekawością zerkał na ogrodzony teren.

Niewiele mógł zobaczyć. W ciemności majaczyły ustawione w szeregu trzy hangary, otoczone mniejszymi zabudowaniami. Nie było widać żadnych świateł. Szerokie rampy, wylaniające się zza hangarów, ciągnęły się aż do linii horyzontu.

— Dlaczego tu nie ma oświetlenia? — spytał Curtis, gdy sprawdzono im dokumenty i wpuszczono ich za ogrodzenie.

— Jest oświetlenie, tyle że w podczerwieni. Dla wartowników wyposażonych w odpowiednie czujniki i celowniki noktowizyjne jest jasno jak w dzień. Poza tym dobermanym czują się lepiej w ciemności.

— Dobermanym? — Curtis przełknął ślinę.

— Tak. Wypuszcza się je swobodnie, bo wtedy są najbardziej skuteczne. A światło im przeszkadza. Biedaczyska, przeszły operację krtani. Jeśli cię zaatakują, nie możesz liczyć nawet na ostrzegawcze warknięcie.

Curtis rozejrzał się nerwowo.

— Nie ma ich tu teraz — uspokoił go Elliott. — Przynajmniej mam taką nadzieję. Gdyby ich nie zamknięto, nie mielibyśmy szans.

Po przejściu stu jardów dotarli do tylnego wejścia jednego z hangarów.

— Wejdziemy pojedynczo — uprzedził Elliott. Na dźwięk sygnału pociągnął za klamkę, otworzył duże, metalowe drzwi i wszedł do środka. Po chwili sygnał odezwał się znowu i Curtis uczynił to samo. Znalazł się w długim korytarzu o przezroczystych ścianach.

Wszystko, nawet podłoga, było wykonane z grubego tworzywa. Widział Elliotta, który właśnie opuszczał to dziwne przejście. Kolejni strażnicy obserwowali Curtisa, jak szedł korytarzem i zatrzymał się przed zamykającymi go plastikowymi drzwiami. Przez cały czas miał świadomość, że jego ruchy śledzi duże urządzenie, podobne do lufy armatniej i szumiącym aparatem rentgenowski.

Zabrzącał zdalnie sterowany zamek i generał wszedł do drugiej części korytarza. Za kolejnymi drzwiami czekał na niego Elliott.

— To była komora rentgenowska. Ja też pierwszy raz przez nią przechodziłem, bo została wprowadzona zaledwie kilka dni temu. Służy do wykrywania wszczepów, na przykład miniaturowych nadajników umieszczonych w zębie, pod paznokciami czy nawet w jelitach.

— Hm, nie wiem, czy to się na wiele zda. Jestem przekonany, że Rosjanie obserwują ten teren ze wszystkich możliwych stron. Nawet zając się nie przemknę, aby nie wykrył go ich szpiegowski satelita.

— Może wiedzą o wszystkim, co się tu dzieje, o wszystkich środkach bezpieczeństwa, może nawet zrobili nam zdjęcia podczas spaceru, ale na pewno nie wiedzą jeszcze nic... o tym!

W tej właśnie chwili generałowie opuścili teren wartowni, przekraczając próg hangaru. Curtis aż oniemiał. Nawet Elliott, który przecież widział kolejne fazy przemiany tego samolotu, był pod wrażeniem.

— Generale Curtis, oto jest Old Dog.

Olbrzymi B-52 był zupełnie czarny. Ta dziwna, wprost niesamowita czerń zdawała się pochłaniać światło. Powodowała, że mimo wielu zapalonych reflektorów, pomieszczenie sprawiało wrażenie mrocznego. Powierzchnia samolotu była gładka jak kula bilardowa. B-52 — wysłużony, trzydziestoletni weteran, wyglądał tak, jakby go przygotowano do filmu science-fiction.

— A cóż to za diabeł?

— Nie poznajesz? — zaśmiał się Elliott. — Oficjalnie jest to model B-52, a w rzeczywistości zmodyfikowany B-52 H. Bez wątpienia jedyny samolot tego typu. Używamy go do testowania nowych rozwiązań: technologii wykorzystywanej w „niewidzialnych” bombowcach typu Stealth, raketach klasy powietrze-powietrze. lotniczym sprzęcie komputerowym itp. Mimo to nasz B-52 jest. całkowicie sprawny — może wystartować w każdej chwili. Pracownicy przechrzcili go z Superfortecy na Megafortecę. Gdy go obejrzysz, zrozumiesz dlaczego.

Podeszli do dziobu. W tej części dokonano przeróbek najbardziej rzucających się w oczy.

Nos samolotu był długi i spiczasty, a okna kabiny pilotów mocno pochylone.

— Kształt jak w samolotach naddźwiękowych. Czy to nie przesada?

— Przebudowując go, wzięliśmy pod uwagę niemal wszystko. Aż trudno uwierzyć, jaki wpływ na prędkość ma wydłużony kształt nosa i zbiorników paliwa. Bardzo dużą rolę odgrywa odpowiednie nachylenie okien kabiny, gładkość poszycia, brak zewnętrznych kamer telewizyjnych i na podczerwień. Po przeróbkach prędkość bombowca wzrosła z osiemdziesięciu czterech setnych do dziewięćdziesięciu sześciu setnych macha. W dodatku sprawuje się tak samo dobrze na małych wysokościach, jak w stratosferze.

Curtis przesunął ręką po kadłubie.

— Co to za metal! A może włókna szklane? Z pewnością nie aluminium. Z czego jest wykonane to poszycie?

— Z włókien stalowych pochłaniających promieniowanie radarowe. Zastosowaliśmy materiał będący połączeniem włókien szklanych ze stalą węglową. Bardziej wytrzymały od aluminium, a na dodatek nie odbijający promieni radaru. Nie umiemy uczynić bombowca w pełni niewykrywalnym, ale to tylko kwestia czasu. Jeśli Old Dogowi uda się dotrzeć czterdzieści mil bliżej celu, zanim zostanie wykryty, to nasz trud i nakłady nie pójdą na marne. Nieprzyjacielski myśliwiec będzie musiał zbliżyć się o dodatkowe dziesięć, dwadzieścia mil dla pewnego namierzenia swoich rakiet, co zwiększa szansę bombowca na skuteczny kontratak. Pokryliśmy kadłub specjalną czarną farbą pochłaniającą światło. W nocy jest ona naprawdę na wagę złota, gdyż samolot staje się całkiem niewidoczny dla oka. Myśliwiec może lecieć obok naszej Megafortecy i nie będzie jej widział. Poza tym czarny kolor i kształt nosa nadają Old Dogowi groźniejszy wygląd.

Gdy podeszli do skrzydeł, Curtis stanął jak wryty

— Ależ to niemożliwe!... Elliott, jak ci się to udało?

Szef Kolegium Połączonych Sztabów nie mógł oderwać oczu od długich wsporników zamontowanych na skrzydłach pomiędzy kadłubem a gondolami silników wewnętrznych. Na każdym z nich umieszczono sześć długich, smukłych rakiet.

— Niezłe, co? To Scorpiony. Najnowocześniejsze rakiety średniego zasięgu klasy powietrze-powietrze. Są sterowane radarem, a w końcowej fazie lotu naprowadzane na podczerwień lub źródło elektronicznego zakłócania. Zasięg dwadzieścia pięć mil. Głowice o dużej sile wybuchu i działaniu zbliżeniowym. Zmodyfikowaliśmy główny radar ofensywny B-52 tak, by mógł naprowadzać te rakiety.

— Cholera, Elliott. Scorpiony nie weszły jeszcze do wyposażenia myśliwców bojowych!

— A ja je zamontowałem na tym bombowcu! I zrobię to samo w twoich B-1. Ponadto,

zamiast jednego zbiornika o pojemności tysiąca pięciuset galonów, umieściliśmy na skrzydłach po dwa zewnętrzne zbiorniki, każdy o pojemności tysiąca galonów. Obydwa wsporniki raketowe i wszystkie cztery zewnętrzne zbiorniki mogą w razie potrzeby zostać odrzucone. Drzwi komory bombowej są rozsuwane i wykonano je z włókien stalowych, dzięki czemu stały się lżejsze i dają mniejsze odbicie dla radaru. Zaraz zrozumiesz, dlaczego. W tym samolocie jest wiele części, przez które promienie radaru przenikają bez żadnych odbić. W tradycyjnym B-52 po otwarciu komory bombowej odbicie wzrasta dwukrotnie. Tymczasem B-1 ma przekrój czynny dla radaru dwa razy mniejszy, więc gdy zastosujemy w nim to samo rozwiązanie, będzie prawie niewykrywalny.

Generałowie podeszli do ogona samolotu. Tu również wprowadzono wiele zmian.

— Zrezygnowaliśmy z pionowych i poziomych stabilizatorów i nadaliśmy ogonowi kształt litery V. Wbudowaliśmy tam detektory promieniowania radarowego ostrzegające przed atakiem i tylne anteny systemu elektronicznego zakłócania. W ogonie jest również umieszczony przeszukujący system ostrzegania na podczerwień, zaprojektowany tak, aby wykrywał rakiety wystrzelone do bombowca od tyłu.

— Zlikwidowaliście karabiny maszynowe na ogonie? Nie ma sprzężonych karabinów jak w modelu H?

— Karabiny maszynowe na ogonie to już historia. Przypuszczam, że nawet te naprowadzane radarem nie byłyby skuteczne przeciwko najnowszemu radzieckim myśliwcom, zdolnym do prześcignięcia pocisku kalibru 50.

Curtis przyjrzał się ogonowi samolotu.

— Co tam jeszcze macie? To jest chyba duży radar artyleryjski, a tamto? Miotacz ognia?

— Nie, stawiacz min powietrznych. Wyrzuca do tyłu dwunastocalowe rakiety odłamkowe. Tylny radar artyleryjski śledzi jednocześnie myśliwiec wroga i własne rakiety, którym wysyła sygnały sterujące. Kiedy odległość między nimi zmaleje do około dwustu jardów, komputer artyleryjski wysyła rozkaz detonacji. Wybuch wyrzuca masę metalowych odłamków, a efekt jest taki, jakby wystrzelono naraz tysiące pocisków kalibru 50. Bezpośrednie trafienie jest w tej sytuacji zbędne.

Zdumiony Curtis aż pokręcił głową.

— Zwiększyliśmy zasięg radaru artyleryjskiego do trzydziestu mil — kontynuował Elliott.
— Miny powietrzne mają zasięg około trzech mil, a to jest właśnie optymalna odległość do odpalenia przez myśliwiec raket na podczerwień.

— Elliott, chyba przesadzasz. Aż trudno w to uwierzyć.

— Generale, to dopiero początek. Za chwilę zobaczysz jeszcze więcej.

Elliott skinął na wartownika, stojącego przy lewym skrzydle. Żołnierz powiedział parę słów do radiotelefonu i otrzymawszy potwierdzenie, dał znak generałowi.

Schylając się pod czarnym brzuchem samolotu, Elliott i Curtis weszli do wielkiej komory, długiej na sześćdziesiąt stóp. Szef Kolegium Połączonych Sztabów stanął jak wryty. W tylnej części, na obrotowej wyrzutni w kształcie bębna, zamontowano czternaście smukłych rakiet.

— To nasz ukryty atut. Dziesięć dodatkowych Scorpionów AIM-120, sterowanych radarem artyleryjskim lub bombowym. Mogą się też same naprowadzać na radar innego samolotu albo na jego sygnał zagłuszający. Pomimo że są zwrócone do tyłu, można nimi atakować każdy cel w dowolnym kierunku. Jeżeli któryś z radarów lub detektorów systemu ostrzegania wykryje myśliwiec wroga, jedna z tych rakiet jest w stanie go zniszczyć. Obrotowa wyrzutnia może odpalać pociski co dwie sekundy.

— Nie do wiary. Ale to chyba naturalna kolej rzeczy. Bombowiec przenoszący ładunki nuklearne i wyposażony tylko w małe karabiny maszynowe nie ma szans przy spotkaniu ze współczesnym myśliwcem. — Curtis z zainteresowaniem oglądał wyrzutnię. — No, ciekaw jestem, co powiesz o pozostałych rakietach.

— Tu są cztery rakiety HARM* typu AGM-88B. Inaczej mówiąc szybkie rakiety naprowadzające się na źródło promieniowania elektromagnetycznego. Doskonale sprawdziły się w Libii w osiemdziesiątym piątym roku. Naprowadzają się bezpośrednio na radar, a po jego wyłączeniu kontynuują lot według ostatnio obliczonego kursu. Łącznie ten bombowiec ma do obrony dwadzieścia dwie rakiety powietrze-powietrze, cztery rakiety powietrze-ziemia i pięćdziesiąt min powietrznych. No i do tego jeszcze bomby oświetlające, system elektronicznego przeciwdziałania i paski folii wyrzucane w celu zakłócania radarów. Niewątpliwie Old Dog ma teraz znacznie większe szansę dotarcia do celu. Jak sam widzisz, ten samolot to prawdziwa latająca forteca.

— Uzbrojona po zęby, to prawda. — Curtis przyjrzał się rakietom umieszczonym na wyrzutni, po czym skierował wzrok w głąb komory i zapytał:

— A co jest tutaj?

— Miejsce przeznaczone na broń ofensywną. Ten samolot to model eksperymentalny, służący do testowania nowych systemów obronnych dla bombowców strategicznych. Ale Old Dog może też przenosić piętnaście tysięcy funtów standardowego uzbrojenia, jak bomby nuklearne i konwencjonalne, rakiety, miny. Możemy też to miejsce wykorzystać na dodatkowe paliwo, rakiety obronne, środki symulacji czy dodatkową załogę. Co na przykład powiesz o bocznych artylerzystach jak w bombowcach B17 w czasie drugiej wojny światowej? Próbowaliśmy już tego w Old Dogu. Testowaliśmy również nową bombę

ślizgową Striker AGM-130*, naprowadzaną kamerą telewizyjną oraz na podczerwień. Jest to nasza największa bomba konwencjonalna. Pomimo że waży półtorej tony, zrzucona z małej wysokości, może się ślizgać nawet dwanaście mil.

— Aż trudno uwierzyć. To zdumiewające!

Obaj mężczyźni opuścili komorę, a wartownicy zamknęli za nimi cztery pokrywy drzwi bombowych. Elliott poprowadził gościa do wjazdu pod brzuchem Old Doga i obydwaj wspięli się do góry.

— Bardzo mało miejsca w środku, jak na taki duży samolot — zauważył Curtis.

— Wierz mi, że w porównaniu z normalnym B-52 jest tu bardzo przestronnie. Wiele elementów usunęliśmy, a część zminiaturyzowaliśmy lub przenieśliśmy w inne miejsce kadłuba. Tu, na dolnym pokładzie jest dosyć miejsca na ustawienie dwóch normalnych foteli lotniczych, podczas gdy w typowym Buffie dwie osoby nie mogą stanąć obok siebie, tak jak my teraz. Aby zmniejszyć wagę samolotu, usunęliśmy wszystko, co nie było absolutnie konieczne.

Usiedli w fotelach nawigatorów.

— A gdzie są urządzenia nawigacyjne i do bombardowania? — spytał Curtis.

Kabina wydawała się niemal pusta. Po lewej stronie pozostał tylko radar nawigacyjny z dziesięciocalowym ekranem, a obok niego mały monitor z klawiaturą. W środku umieszczono trzy niewielkie pulpity sterownicze. Po prawej stronie znajdowało się zaledwie kilka urządzeń kontroli lotu i nic poza tym. Miejsca po usuniętym wyposażeniu zakryto plastikowymi płytami.

— Widzisz tu prostą w obsłudze aparaturę nawigacyjną. Megaforteca korzysta z ogólnosiwiatowego satelitarne systemu określania pozycji i jest wyposażona w inercyjny system nawigacyjny (INS*) z żyroskopem laserowym. INS jest uaktualniany przez satelitę, a więc radar przestał być potrzebny do nawigacji i mogliśmy go użyć, po pewnych przeróbkach, jako system ostrzegania przed atakiem. Nawigator dysponuje wymiennymi kasetami z zapisem wszystkich punktów nawigacyjnych oraz procedur dla komputera. Żyroskop potrzebuje trzech minut, żeby się rozpędzić i całkowicie zsynchronizować. Jego własna dokładność wynosi ćwierć stopnia na godzinę. System nawigacyjny samolotu ustawia się automatycznie na dwa spośród ośmiu satelitów, umieszczonych na orbicie przez Siły Powietrzne i uaktualnia pozycję samolotu co pięć minut. Robi to z dokładnością kilku stóp. Nawigator ma ponadto monitor z klawiaturą i może ręcznie przeprogramować komputer.

Elliott wskazał na dwudziestocalowy ekran radaru.

— Old Dog jest teraz wyposażony w radar ofensywny typu Hughes APG-75,

zaprojektowany dla używanego przez Marynarkę myśliwca Hornet FA-18. To on przekazuje dane Scorpionom i naprowadza je na cel. W razie potrzeby może też służyć jako radar nawigacyjny lub można go wykorzystać do zobrazowania przeszkód terenowych. Ale to jeszcze nie wszystko. Chodźmy na górę.

Wspięli się po schodach na górny pokład.

— W kokpicie nie dokonaliśmy większych przeróbek, ku rozczarowaniu pilotów. Ich praca będzie wyglądać podobnie jak dotychczas. Systemy paliwowy i elektryczny są kontrolowane automatycznie, co pozwala drugiemu pilotowi przejąć dodatkowe funkcje. Wprowadziliśmy też system automatycznego unikania przeszkód terenowych przejęty z rakiet Cruise, które porównują ukształtowanie terenu z zaprogramowanym profilem. Dzięki temu Old Dog może lecieć bardzo nisko nad ziemią nie używając radaru, który zdradzałby jego położenie. Inercyjny system nawigacyjny, wspomagany systemem satelitarnym, dostarcza do komputera informacje o pozycji, kierunku i prędkości lotu. Na podstawie wprowadzonych wcześniej danych o ukształtowaniu terenu i zabudowaniach w rejonie przelotu komputer oblicza bezpieczną wysokość samolotu na wyznaczonej trasie i przesyła ją do automatycznego pilota. Radar używa się tylko w wyjątkowych wypadkach. Jest on dodatkowym zabezpieczeniem tego systemu. W ten sposób praktycznie wyeliminowaliśmy emisje, które mogłyby zdradzić położenie bombowca.

Schylając się nisko, obydwaj generałowie przycisnęli się w kierunku ogona samolotu, do pomieszczenia obrony.

— Na stanowisku oficera zakłócania elektronicznego także niewiele się zmieniło. Może przybyło tylko trochę elektroniki i specjalistycznego wyposażenia. Sporo zmian zaszło natomiast na stanowisku artylerzysty. Jest tu ośmiocalowy radar artyleryjski, przełączniki i wskaźniki do wyrzutni rakiet obronnych oraz sterowanie wyrzutnią min powietrznych i rakiet odpalanych do przodu. Ten chyba nie będzie narzekał na brak zajęcia.

— Widzę, że całe wyposażenie to ostatni krzyk techniki.

— Inaczej nie miałbym ci czym zaimponować, a chyba mi się to udało, prawda?

Po opuszczeniu Old Doga generałowie musieli zaczekać, aż dwaj strażnicy przeprowadzą inspekcję wnętrza bombowca. Dopiero po zakończeniu tej kontroli Elliott mógł odprowadzić gościa do wyjścia.

— Brad — odezwał się Curtis — chciałbym podkreślić, że była to tylko przyjacielska wizyta, Nie byłem zainteresowany żadnym konkretnym projektem czy urządzeniem. Po prostu odwiedziłem cię.

— Jasne, generale.

— Świetnie. Powiedz mi jeszcze...

— Za trzy tygodnie otrzymamy do testowania egzemplarz samolotu B-1B. Został wciągnięty do planu już kilka miesięcy temu, na długo przed twoją rozmową z prezydentem. Nikt nie może więc łączyć tych dwóch spraw.

— Tylko jeden egzemplarz bl? — spytał Curtis z uśmiechem.

Elliott zastanowił się chwilę.

— Za kilka dni spotykam się na lunchu z dowódcą oddziału testowania i analiz w Edwards. Pułkownik Jim Anderson jest świetnym fachowcem i prawdziwym tytanem pracy, chociaż okropny z niego sztywniak. Myślałem, żeby go tu zaprosić, gdy będziemy przeprowadzać próby nowego uzbrojenia Old Doga. Sądzę, że mógłby nam dostarczyć jeden egzemplarz B-1A, będący aktualnie w odstawce. Sprowadzenie tego samolotu teraz wzbudziłoby zainteresowanie naszymi poczynaniami, ale dzięki pułkownikowi możemy go mieć na zawołanie. Ściągniemy go w dogodnym czasie.

Curtis pokręcił z niedowierzaniem głową.

— A mnie się wydawało, że to ja mam wpływy. — Po czym dodał z uśmiechem: — Brad, od początku czytasz w moich myślach.

— Po rozmowie z Andy Wyattem nie marnowałem czasu na pucowanie latryn przed twoją wizytą. Tak się szczęśliwie składa, że testowanie Old Doga zbiega się z rozpoczęciem prac nad nowym B-1. Większość wyposażenia, które ci dzisiaj pokazałem, może być do niego przeniesiona prawie natychmiast.

— Brad, wystarczy. Nie zapędzajmy się zbyt daleko. Pamiętaj, że o nic cię nie prosiłem, a ty nie widziałeś moich tajnych dokumentów.

— To już uzgodnione — odparł Elliott, po czym spojrzał na szefa Kolegium Połączonych Sztabów i dodał: — Będziemy gotowi za dwa miesiące.

— Mówisz serio?

— Próby będą zakończone w ciągu dwóch miesięcy bez względu... na wszystko.

— A jeśli... z jakichś powodów ten samolot będzie mi potrzebny wcześniej?

— To dam ci Old Doga — odparł Elliott bez wahania.

Curtis wybuchnął śmiechem, ale zaraz się opanował, widząc, że to nie był żart.

— Zwariowałeś, Wilbur. Masz na myśli tego trzydziestoletniego B-52? Chyba już za długo siedzisz na pustyni.

Elliott odpowiedział z uśmiechem:

— To tylko propozycja, generale.

CENTRUM MANHATTANU

Andrina Asserni, zaufana sekretarka i asystentka Dmitrija Karmarowa, radzieckiego ambasadora przy ONZ, nie chciała wierzyć, gdy dyżurny wartownik poinformował ją, że do prywatnego apartamentu ambasadora przybył właśnie amerykański sekretarz stanu, Marshall Brent.

— Proszę go natychmiast wpuścić — poleciła.

W chwilę później gość się pojawił.

— Sekretarz Brent!...

— Zdrawstwujcie. Dobry wieczór, pani Asserni.

Marshall Brent mówił swobodnie po rosyjsku.

Sekretarka uśmiechnęła się. Jakże dziwnie i pięknie zarazem brzmiał jej ojczysty język w ustach tego wysokiego, wytwornego Amerykanina.

— Czy mógłbym rozmawiać z ambasadorem?

— Ależ tak... oczywiście. Najmocniej przepraszam, panie sekretarzu. Proszę, proszę wejść.

Asserni z szacunkiem otworzyła drzwi do kancelarii. Po raz pierwszy widziała amerykańskiego sekretarza bez asysty.

— Najmocniej przepraszam, panie sekretarzu. Nie spodziewałam się, że złoży nam pan wizytę...

— Zapewniam, że wizyta ma charakter zdecydowanie nieformalny i pozaprotokolarny...

W tym momencie do pokoju wszedł ambasador Karmarow. Zamiast marynarki miał na sobie prosta, niebieską bluzę. W ręku trzymał puszkę z piwem. W niczym nie przypominał sztywnego, nieprzystępnego ambasadora, jakim jawił się w życiu publicznym.

— Towarzyszko Asserni, proszę mi znaleźć akta...

— Towarzyszu ambasadorze!

Karmarow podniósł wzrok znad dokumentów i cofnął się o krok.

— Marshall... Brent... To jest, chciałem powiedzieć, pan sekretarz?

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ambasadorze?

— Ależ nie, oczywiście, że nie.

Wręczył szybko plik papierów Asserni i ofuknął ją.

— Dlaczego nie odbierasz płaszcza od pana sekretarza? Co się z tobą dzieje? I dlaczego mnie nie uprzedzono?

Brent zręcznie zsunął z ramion długi ciemny płaszcz i oddał go Asserni.

— Co za miła niespodzianka — zwrócił się Karmarow do gościa.

— Oczeń żal. Najmocniej przepraszam za kłopot, który sprawiłem tą nie zapowiedzianą wizytą, ambasadorze. Ale bardzo mi zależy na rozmowie z panem w ważnej sprawie.

— Ależ proszę — powiedział Karmarow i wskazując na drzwi do gabinetu, dodał: — Serdecznie zapraszam. — Podaj nam kawę i koniak — zwrócił się do sekretarki. — Niech nam nikt nie przeszkadza.

Asserni była tak zaskoczona, że nic nie odpowiedziała.

Natychmiast pobiegła do kuchni. Karmarow wszedł do pokoju za wysokim, szczupłym, nienagannie ubranym Amerykaninem i zamknął drzwi.

W dużym gabinecie ambasadora wzdłuż wszystkich ścian ustawione były półki z książkami o różnorodnej tematyce. Najwięcej miejsca zajmowało antyczne, pięknie rzeźbione biurko. Pośrodku stał stolik, przy którym piło się kawę. Brent od razu zauważył, że był to oryginalny chippendale.

— Piękne wnętrze — powiedział, głaszcząc miękkie skórzane obicie* fotela.

W tym momencie do pokoju weszła Asserni. Postawiła na stoliku tacę, na której znajdowały się: srebrny dzbanuszek z kawą, kryształowa karafka z brandy, chińskie filiżanki i duże kieliszki do koniaku. Spiesznie opuściła pokój, odprowadzana niecierpliwym wzrokiem Karmarowa.

— Bolszoje spasibo — zwrócił się ambasador do gościa, dziękując mu za komplement. — Panie sekretarzu, jeżeli pan woli, możemy rozmawiać po angielsku. Nie ma potrzeby...

— Jestem teraz w Związku Radzieckim — odpowiedział Brent po rosyjsku — i z przyjemnością będę rozmawiał w pańskim języku.

Przez chwilę obydwaj patrzyli na siebie w milczeniu. Karmarow widział przed sobą wysokiego, eleganckiego mężczyznę z przyprószonymi siwizną skroniami i starannie przystrzyżonym, srebrnym wąsem. Wydatna broda nadawała jego twarzy wyraz zdecydowania. Amerykanin miał na sobie świetnie skrojony garnitur i nienagannie lśniące buty. mimo szarugi na ulicach Manhattanu.

Przed Brentem stał niski, mocno zbudowany mężczyzna o szerokich ramionach i gęstych siwych włosach. Po latach wygodnego życia w eleganckiej dzielnicy Nowego Jorku jego sylwetka zaokrągliła się nieco, ale oczy wciąż były jasne i błyszczące jak w dawnych czasach, gdy był jeszcze młodym rewolucjonistą.

W końcu Karmarow wskazał gościowi wygodny fotel z szerokimi oparciami.

— Pożałujsta, sadiities. Proszę usiąść, panie sekretarzu.

Usiedli obok siebie. Karmarow sięgnął najpierw po dzbanek z kawą, ale trafnie odczytując spojrzenie Brenta, natychmiast ujął karafkę z brandy i szczerze napełnił kieliszki.

— Pańskie zdrowie, panie sekretarzu — Karmarow wznosił toast po angielsku.

— Za wasze zdrowie — odpowiedział gość. Przez chwilę delektowali się alkoholem, po czym Brent odstawił kieliszek. Karmarow odezwał się pierwszy.

— Jestem zupełnie zaskoczony, panie sekretarzu. Nie miałem pojęcia...

— To ja powinienem się usprawiedliwić. Może to pana zdziwi, ale po prostu czułem, że muszę z panem natychmiast porozmawiać.

— Ależ, proszę bardzo. — Karmarow pociągnął duży łyk brandy.

— Otóż niektórzy członkowie mojego rządu są zaniepokojeni badaniami prowadzonymi w Kawazni. Uważają...

— Przepraszam, panie sekretarzu. — Karmarow zmrużył oczy. — Nie jestem upoważniony do prowadzenia rozmów na temat Kawazni. Ten kompleks jest absolutnie tajny i mam zakaz rozmawiania o nim.

— A więc proszę pozwolić, że ja będę mówił. Niech pan to potraktuje jako wiadomość, którą mój rząd chciałby przekazać pańskiemu. Nie musi pan odpowiadać.

Brent oparł wygodnie łokcie na poręczach fotela i splótł dłonie.

— Pentagon, powołując się na niepełne, w moim odczuciu, informacje, twierdzi, że pański rząd jest odpowiedzialny za zniszczenie naszego satelity wywiadowczego oraz samolotu RC-135.

— Przecież mój rząd kategorycznie zaprzeczył, by miał cokolwiek wspólnego...

— Tak, panie ambasadorze, wiem o tym — przerwał mu Brent. Podniósł kieliszek z brandy, ogrzał go trochę w dłoni i wciągnął w nozdrza aromat. Usadowił się wygodniej w fotelu. — Chciałbym być z panem szczerzy. Nie jestem poplecznikiem kół wojskowych. To chyba Montesquieu powiedział: „Jeśli światu grozi zagłada, to przyczynią się do niej ci, którzy mają nas bronić”.

— Myślę, że mówił o Europie — zauważył Karmarow mrużąc oczy.

— To odnosi się także do stosunków między naszymi krajami. Ambasadorze, jesteśmy o krok od podpisania historycznego porozumienia o kontroli zbrojeń. Przez całe dwa lata udało nam się prowadzić negocjacje bez udziału wojskowych, co było

faktem bezprecedensowym. Zamiast próbować się wzajemnie przelicytować, usiedliśmy razem, aby rozmawiać o prawdziwym rozbrojeniu.

Przez chwilę Brent obracał w palcach kieliszek, wpatrując się w złocisty płyn.

— Ale są tacy — ciągnął — którzy rozbrojenie uważają za słabość. Szukają okazji, aby zniweczyć nasze wysiłki. To właśnie przed ich działaniami chciałbym przestrzec pański rząd.

— O jakich... działaniach pan mówi?

— Jak już wspomniałem, wiele osób w Waszyngtonie obciąża was winą za zniszczenie tego samolotu. Utrzymują, że zainstalowaliście w Kawazni na Kamczatce jakieś fantastyczne urządzenie laserowe. Nie wiem, czy mają na to dowody, ale prawie udało im się przekonać prezydenta o istnieniu tego lasera i o tym, że zagraża on bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych.

Karmarow nie mógł wytrzymać spojrzenia Brenta. Amerykanin, widząc jego zakłopotanie, pomyślał: „Cholera, czyżby to jednak była prawda? Czy to możliwe?”

— Niechże ich pan zapewni — ambasador starał się patrzeć prosto w oczy swego rozmówcy — że mój rząd jest całkowicie oddany idei trwałego pokoju i dąży do pełnego wyeliminowania broni nuklearnej z naszego globu. Nie można dopuścić, by cokolwiek w tym przeszkodziło.

— Chciałbym zaręczyć, że zrobię wszystko, abyśmy osiągnęli realne porozumienie w sprawie rozbrojenia. Muszę jednak pana ostrzec przed tym, co nam grozi. Otóż mówi się w Waszyngtonie o

przygotowaniu jakiejś broni, która dorówna waszemu laserowi. Nie wolno mi podawać żadnych szczegółów, niemniej jednak...

— Ice Fortress! Uzbrojona stacja kosmiczna! To ją chcieliby uruchomić wasi wojskowi, prawda?

Brent westchnął.

— Nie jestem upoważniony do rozmowy na ten temat...

— Ale nie myślę się? — Twarz Karmarowa aż poczerwieniała ze złości. — Pan zdaje sobie sprawę, że umieszczenie Ice Fortress w przestrzeni byłoby jawnym naruszeniem zarówno porozumienia z roku siedemdziesiątego drugiego o raketach antybalistycznych, jak i porozumienia z osiemdziesiątego drugiego roku o demilitaryzacji przestrzeni kosmicznej. Zaprzepaściliby to negocjacje rozbrojeniowe. To czyste szaleństwo!

— Nasi dowódcy są przekonani, że ten laser istnieje. On także narusza...

— Gdyby nawet kiedyś skonstruowano taki laser, to i tak nie naruszałby on porozumienia o raketach antybalistycznych, ponieważ nie wspomina ono nic o broni, która jest płodem fantazji kilku zwariowanych naukowców. Po cóż byłoby spisywać umowy zabraniające czegoś, co realnie nie istnieje?

Szyderczy ton, jakim Karmarow wypowiedział ostatnie zdanie, zrobił bardzo niemiłe wrażenie na Brencie.

— A traktat o demilitaryzacji przestrzeni kosmicznej — kontynuował ambasador — nie dotyczy, rzecz jasna, naziemnych urządzeń obronnych. Został zawarty, aby wyeliminować

umieszczanie jakichkolwiek broni na orbicie. Miał powstrzymać szaleństwo wyścigu zbrojeń, które ogarnęło nasze kraje. Nie możecie więc zrealizować planu Ice Fortress. To absolutnie wykluczone.

— Nie powiedziałem przecież, że chodzi tu o Ice Fortress. Rozpatrywane są różne możliwości. — Brent umilkł na chwilę i spojrzał Karmarowowi prosto w oczy, jakby chciał podkreślić wagę swych słów. — Ten laser jest zagrożeniem. Znajdźcie jakiś sposób, aby przekonać mój rząd, że obawy dotyczące Kawazni są bezpodstawne. Uchylcie rąbka tajemnicy. Powinniśmy coś wiedzieć o badaniach, które tam prowadzicie. Przekażcie nam kilka szczegółów dotyczących tego urządzenia. W ten sposób uciszycie zwolenników wyścigu zbrojeń.

— Nic nie mogę obiecać.

— Dmitrij, nie wolno nam przegrać. — Mówiąc te słowa, Brent wstał i ujął rękę Karmarowa. — Przyszłość... przyszłość naszych dzieci zależy od tego.

Powoli zwolnił uścisk, skinął głową i skierował się do drzwi. Po wyjściu Marshalla Brenta Karmarow opadł na fotel i siedział dłuższą chwilę bez ruchu. W końcu wezwał sekretarkę.

— Wiedzą? — zapytała Asserni, wchodząc do gabinetu.

— Podejrzewają. Jakże mogłoby być inaczej? — Karmarow ujął oburącz kieliszek. — Cóż oni tam do diabła wyprawiają? Chcą zniszczyć to porozumienie? Czy może chcą sprowokować Amerykanów?

Asserni nie odpowiedziała. Karmarow długo wpatrywał się w kieliszek. W końcu przerwał milczenie.

— Jutro rano chcę mieć bezpośrednie połączenie z Kremlem.

— Oczywiście towarzyszu ambasadorze. Wypił brandy i wzdrygnął się — po trosze pod wpływem alkoholu, po trosze z powodu nękających go obaw.

— Cóż oni wyprawiają?

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH FORD, KALIFORNIA

Patrick McLanahan był w niemałym kłopotcie. Jego partner, Dave Luger, został ciężko zraniony odłamkami szkła i metalu, gdy rozerwała się pięciocalowa lampa oscyloskopowa radaru.

Eksplozję spowodował bliski wybuch radzieckiej rakiety ziemia-powietrze typu S.A.-4. W dodatku teraz, gdy skończyli bombardowanie z małej wysokości i zaczęli się wznosić, zaatakowały ich znienacka cztery myśliwce MIG-25. W świetle dziennym B-52 stanowił łatwy cel.

Luger siedział beczynnym w fotelu, patrząc, jak jego partner przełączał radar nawigacyjno-bombowy z pozycji ATAK na pozycję SKOORDYNOWANY, przez co antena radaru ustawiła się wzdłuż osi samolotu. Radar pracował teraz w modzie przeszukiwania. Obraz na ekranie obejmował pięciomilowy obszar ze znacznikami co pół mili. McLanahan robił wszystko, aby wyszli cało z tej opresji.

— Mogę ci w czymś pomóc? — zapytał Luger, jakby od niechcienia.

— Obserwuj te cholerne myśliwce!

— Tego, stary, nie mogę zrobić. Nie zapominaj, że jestem ranny — odpowiedział Luger i demonstracyjnie opadł na poręcz fotela, zwalniając

przy tym zapięcie pasów spadochronu, którymi był przymocowany. Ręce zwisały mu bezwładnie, a twarz była zwrócona ku umieszczonej na górze tablicy z bezpiecznikami. Znajdowali się w kabinie treningowej do ćwiczeń w katapultowaniu i awaryjnym opuszczaniu B-52.

McLanahan mruknął coś na temat głupiego wyglądu kolegi.

— Ciekaw jestem, kiedy oni wprowadzili to do programu.

— Nie wiem, ale jest całkiem fajnie — odparł Luger.

— Widzę, że się cholernie dobrze bawisz.

— Lubię patrzeć, jak pracujesz za dwóch.

— Szkoda, że nie odebrało ci mowy zamiast wzroku.

McLanahan przestawił przełączniki na tablicy kontrolnej i spojrzał na kolegę.

— Powinieneś się przypiąć, jak należy. Chyba możesz sięgnąć do uchwyty zwalniania katapulty, czy ręce też ci odstrzelono?

Luger zaczął w zabawny sposób obmacywać dłonie.

— Wydaje mi się, że są w porządku.

Gdy sięgał do pasów spadochronu, zauważył lekkie rozjaśnienie w lewym górnym rogu ekranu radaru nawigacyjnego.

— Godzina dziesiąta — powiedział Luger, wskazując ekran. — Siatka interferencji. To może być...

— Luger, nie wypadaj z roli! — przerwał mu instruktor, major White, siedzący przy pulpicie

kontrolnym poza kabiną. — Pamiętaj, że nic nie widzisz. Jesteście gotowi do finału?

— Cholera, założyli tu podsłuch. — Luger pospiesznie zaczął poprawiać zapięcie spadochronu.

— Dave, już dawno byś nie żył, gdyby te myśliwce wystrzeliły raketę — odezwał się ponownie White. — I nie wmawiaj mi, że się tak rozepniesz w czasie prawdziwej akcji.

— Jeżeli w pobliżu będzie jakiś instruktor, to na pewno nie.

Ponieważ White nie zareagował na żart, Luger umilkł i przypiął się do fotela.

— Pilot! — McLanahan zachowywał się tak, jakby naprawdę meldował pilotowi. — Odbieram nie rozpoznany obiekt na godzinie dziesiątej, pięć mil. Szybko przesuwa się na jedenastą.

— Przyjąłem — powiedział White, grając teraz rolę pilota.

Następnie, przejmując funkcję oficera zakłócania elektronicznego, krzyknął:

— Pilot, w lewo! — Równocześnie przekręcił dużą, czarną gałkę na swoim pulpicie, powodując, że kabina treningowa mocno przechyliła się na lewo. Pudło, w którym znajdowali się McLanahan i Luger, stało na czterech hydraulicznych nogach, wysokich na dziesięć stóp, i dzięki nim instruktor mógł dowolnie zmieniać jego położenie.

— Obiekt na godzinie pierwszej, trzy i pół mili — meldował McLanahan.

Siatka interferencji na ekranie, będąca wynikiem nałożenia się promieniowania radaru nieprzyjacielskiego myśliwca oraz radaru B-52, zniknęła,

a na jej miejscu, w górnym prawym rogu ekranu, pojawił się jasny, świecący punkt. Gdy radar ponownie omiół ekran, punkt znacznie się przesunął.

— Zaraz zniknie mi z ekranu, pozycja godzina trzecia, trzy mile. Strzelec, powinieneś go wkrótce mieć.

— Pilot — White przyjął teraz na siebie rolę strzelca — system kierowania ogniem nie działa. Wszystkie lufy zablokowane. Ekran czysty.

— Pilot! — White był ponownie oficerem zakłócania elektronicznego — wysiadł radar. Ostatnie echo było na godzinie piątej, w odległości dwóch mil. Możemy spodziewać się ataku z działek lub raketami na podcierwień. Kontynuuj manewry uniku. — White przekręcił

gałkę w prawo, co spowodowało, że symulator ruchu wcisnął załogę w fotele.

— Wyrzucam paski metalowej folii i bomby oświetlające. Kontynuuj uniki.

Zapanowała cisza. Instruktor, by stworzyć iluzję rzeczywistego lotu, potrząsał i kręcił kabiną tak szybko, jak tylko pozwalały na to hydrauliczne siłowniki. Żyrokompas i wysokościomierz szalały, usiłując nadążyć za wskazaniem. W końcu White wypoziomował kabinę i powiedział:

— Załoga, tu drugi pilot. Rakieta trafiła w czwartą gondolę silników. Wyłączyły się generatory numer siedem i osiem. Pilot, uruchomiłem gaśnice w siódmym i ósmym silniku.

White obserwował monitor przekazujący obraz z kamery telewizyjnej, ukrytej we wnętrzu kabiny treningowej. Była to kolejna niespodzianka, o której nie wiedzieli jego podopieczni. McLanahan i

Luger siedzieli wyprostowani, z głowami odchylonymi do tyłu, walcząc o zachowanie pionowej pozycji w tańczącej kabinie. Ich ręce spoczywały na umieszczonych między nogami uchwytach zwalniania katapulty.

Wreszcie instruktor przekręcił gałki i wściekle skaczące na hydraulicznych nogach pudło uspokoiło się. Nawigatorzy czekali w napięciu na rozkaz katapultowania.

— To jeszcze trochę potrwa — mruknął do siebie White.

Odwrócił się i dał znak technikom, by byli w pogotowiu, po czym włączył telefon pokładowy.

— W porządku, panowie. Koniec zabawy. Sprawdziłem zakres nowego symulatora ruchu. Co o nim sądzicie?

— Zanim cokolwiek powiem, obrzygam ci mundur — odpowiedział McLanahan.

— Dziękuję. Jesteście na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Mnóstwo czasu na katapultowanie, prawda, Dave?

— Obawiam się, że nie — odpowiedział Luger. — Pamiętam, że zanim sprawiłeś mi jeszcze jedną piekielnie miłą niespodziankę w tej kabinie tortur i uszkodziłeś radar, lecieliśmy nad terenem górzystym. Wysokość niektórych szczytów przekraczała sześć, siedem tysięcy stóp.

— Świetnie — odparł instruktor. — Wysokość ciśnieniowa jest w tym przypadku drugorzędna. Dla was liczy się przede wszystkim wysokość nad powierzchnią ziemi. Pod wami ciągle góry. O czym jeszcze musisz pamiętać, McLanahan?

— Martwię się tylko, jak daleko uda nam się uciec pod wiatr od tej megatonowej bomby, którą przed chwilą zrzuciłem.

— Rzeczywiście prawdziwe z was orły — powiedział z uśmiechem White. — Nic

dziwnego, że na zawodach zgarnęliście aż osiem nagród. Wróćmy jednak do naszego treningu. Zrzuciliście bomby zaledwie dziesięć minut temu. Udało wam się uciec przed falą uderzeniową, ale opad ciągle się rozprzestrzenia. Dave, co byś zrobił, gdybyś był pilotem?

Luger zastanawiał się chwilę.

— Straciliśmy tylko dwa silniki. Leciałbym w kierunku wybrzeża najdalej, jak się da, a gdyby już dłużej nie można było utrzymać się w powietrzu, to pewnie bym wyskoczył.

— Przecież masz MIG-i na ogonie — przypomniał White.

— Niech to cholera — zaklął McLanahan. — Sprawa i tak jest przegrana! Może nas trafią, a może nie. Może w ogóle zawrócą, gdy zobaczą, że pali nam się skrzydło. Któż to może przewidzieć? Jeśli nas walną drugi raz, to powinniśmy mieć parę sekund na katapultowanie, zanim samolot się rozleci. Tak czy siak jesteśmy załatwieni.

— No dobra. Nie podniecajcie się za bardzo. Wprawdzie ta kabina służy głównie do treningu katapultowania, ale chciałbym, żebyście nauczyli się czegoś więcej. Są tacy, co wyskakują, gdy tylko usłyszą słowo „ogień”. Inni czekają na rozkaz. Jeszcze inni nie są w stanie wykonać żadnego ruchu. Są też tacy, którzy nigdy nie wyskoczą, gdyż w samolocie czują się bezpieczniej i liczą, że zawsze jakoś

uda im się wylądować. A ja chcę, chłopcy, żebyście zaczęli myśleć, zanim cokolwiek zrobicie. Pamiętajcie, że katapultowanie wiąże się zawsze z dużym stresem i ryzykiem. Wiem coś o tym, bo katapultowałem się już trzy razy. Widziałem, jak kilku pilotów zginęło niepotrzebnie tylko dlatego, że działali bez zastanowienia.

— No już dobrze — mruknął McLanahan.

— Słuchajcie — powiedział White. — Muszę iść na chwilę do kibla, a jak wrócę, to pogadamy jeszcze trochę o katapultowaniu i wcześniej skończymy. Dobra?

— Może być — odparł Patrick.

— No to poczekajcie. — Major wyłączył telefon pokładowy.

Luger spojrzał zdziwiony na kolegę.

— Wcześniej skończymy? Tego jeszcze nie było.

— On coś kombinuje.

— Nie przejmuj się. — Dave na wszelki wypadek trzymał rękę tuż obok uchwytu zwalniania katapulty. — Wskakiwałem już z tego pudła wiele...

Nie dokończył zdania. Kabina nagle zatrzęsa się i przechyliła w prawo. W chwilę później opadła do przodu i zahamowała tak raptownie, że obydwaj nawigatorzy uderzyli hełmami w pulpity. Zapalił się czerwony napis KATAPULTOWANIE. Luger próbował złapać uchwyt zwalniania katapulty, ale kabina przechyliła się tym razem na lewą stronę, niemal się kładąc

na boku, co udaremniło jego wysiłki.

McLanahan, przeklinając pod nosem, nacisnął małą dźwignię w przednim lewym rogu fotela. Prawą ręką uchwycił za oparcie i wyprostował się. Układ bezwładnościowy napiął pasy ramieniowe, przytrzymując go w fotelu.

Jego partner został kompletnie zaskoczony i gdy kabina położyła się na lewym boku, zgięty w pół, nie panował nad sytuacją. McLanahan z wielkim trudem zdołał sięgnąć pasów ramieniowych kolegi i zapiął je. Luger miotając przekleństwa, odzyskał prawidłową pozycję.

— Dalej chłopcy — zawołał instruktor, ubawiony zmaganiem nawigatorów, które obserwował na ekranie. Zerknął przez ramię, by upewnić się, że grupa obserwatorów i technicy byli na miejscu. — Czas leci...

Światła w kabinie zgasły: W ciemności jarzył się tylko czerwony, napis KATAPULTOWANIE. Po chwili i on zniknął. Nagle rozległy się odgłosy wybuchów, zgrzyt rozrywanego metalu, syk uchodzącego gazu i kolejne eksplozje. Do środka wpuszczono dym. „Czy White nie przesadza z tym realizmem?” — pomyślał McLanahan. Zaczęły go szczypać oczy. Kabina ponownie się zakołysała, najpierw powoli przechylając się na prawo, a potem opadając do przodu.

Luger zaklął głośniej niż kiedykolwiek. Złapał mocno palcami obu rąk za uchwyt katapulty, umieszczony pomiędzy kolanami, i pociągnął z całej siły, wbijając głowę w zagłówek. Zamknął oczy i wykrzywiając twarz, zawołał:

— Niech cię szlag trafi, majorze White... McLanahan ujrzał, jak pod fotelem kolegi pojawił się prostokąt światła i w chwilę później Luger

zniknął, wyrzucony z wielką siłą z podskakującej wściekle kabiny. Mrucząc z zadowoleniem, McLanahan ujął mocno uchwyt, zaparł się nogami i pociągnął.

Bez rezultatu.

Patrick zaklął głośno, ale nie stracił głowy. Szybkim ruchem pociągnął za dwa żółte kółka umieszczone po bokach fotela i uwolnił się od ciężkiego zestawu ratunkowego. Z trzaskiem odpiął przytrzymujące go pasy i sięgnął do góry. Natychmiast wymacał uchwyt na tablicy bezpieczników. Podciągnął się i wyswobodził z niesprawnego fotela. Klamry pasów odpadły z brzękiem.

Kabina była teraz przechylona o kilka stopni w prawo. McLanahan musiał poszukać drugiego uchwytu, aby nie wypaść przez otwór powstały w miejscu, gdzie przed chwilą siedział jego partner. Przytrzymał się drabinki umieszczonej za fotelem Lugera i szyny, służącej do katapultowania.

Poruszając się po omacku jak ślepiec, zjeżdżał ostrożnie po szynie katapulty, zapierając się

nogami o ściany luku. Usiłował namacać stopami zewnętrzną krawędź.

Kabina przechyliła się jeszcze mocniej i Patrick uderzył hełmem o ścianę. Spadochron ciążył mu na ramionach jak kamień i spychał coraz bardziej w głąb. Hałas dochodzący z kabiny niemal go ogłuszał. McLanahan zapał się teraz nogami i rękami o ściany luku, wysuwając głowę na zewnątrz. W kabinie nastąpiła jeszcze jedna potężna eksplozja. Rozbłysło oślepiające, białe światło. Nawigator odbił się od ściany, pociągając równocześnie prawą ręką

linkę wyzwalającą spadochron, a lewą objął się wpół. Zwinięty w kłębek, z kolanami pod brodą, wypadł na zewnątrz.

Przez ułamek sekundy miał uczucie nieważkości, ale natychmiast wylądował na grubej, nylonowej poduszce powietrznej, umieszczonej osiem stóp poniżej kabiny. Poduszka powoli opadała, z sykiem wypuszczając powietrze i po chwili McLanahan miękko osiadł na podłodze. W prawej ręce trzymał linkę wyzwalania spadochronu, a w lewej zieloną gałkę zaworu awaryjnego zasilania tlenem.

Zadźwięczał sygnał i kilku ubranych na zielono techników z Sił Powietrznych podbiegło do niego. Patrick nie poruszał się, leżąc skulony w zagłębieniu poduszki.

— Czy wszystko w porządku? — White pomógł mu odpiąć hełm. — Nie jesteś ranny?

McLanahan rozprostował ostrożnie nogi i zaklął, patrząc na kabinę.

— Widzę, że wszystko w porządku — roześmiał się major, pomagając Patrickowi wstać i odpiąć pasy spadochronu. — Dobrze się spisaleś. Gdy się okazało, że twój fotel jest niesprawny, natychmiast wyskoczyłeś. Zajęło ci to mniej czasu niż katapultowanie> Lugerowi. Wielu facetom w ogóle się to nie udaje. Jeśli nie wyskoczą w ciągu trzydziestu sekund, to nie mają szans, szczególnie na małej wysokości. A ty to zrobiłeś w piętnaście sekund.

Major podał mu piwo. Na szczęście była to już ostatnia godzina zajęć. Przeszli do sąsiedniej sali. Luger siedział rozparty na krześle w rozpiętym do połowy kombinezonie. Miał zmierzwione włosy.

Obok niego stała opróżniona puszka po piwie, drugą trzymał w dłoni. Był wściekły.

— Koniec z takimi numerami, White. Opowiem o tym w całej eskadrze i nikogo już nie zaskoczysz.

— Nie opowiesz — zaśmiał się major. — Dobrze cię znam. Chcesz, żeby ich spotkała ta sama niespodzianka. A zresztą sam wiesz, że gdybyś to zrobił, musiałbym wymyślić coś bardziej nieprzyjemnego. Ale, ale, kiedy to ostatni raz wyskakiwałeś bez katapulty?

Luger chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

— Aha, byłbym zapomniał — White zwrócił się do McLanahana. — Był do ciebie telefon z biura pułkownika Wildera. Czy to nominacja?

— Z biura Wildera? — zdziwił się Patrick. — Nic nie wiem o żadnej nominacji.

— Chyba już najwyższy czas, Pat — Luger dokończył piwo i beknął. — Mówiłem ci, że tak będzie. Przeniosą cię do dowództwa SAC-u. Przeczucie mnie nie myli. Szef chce ci to oznajmić osobiście.

— Czy powiedzieli, o co chodzi? — Zwrócił się McLanahan do White'a.

— Nie. Przekazali tylko, że masz się zgłosić jutro rano o siódmej trzydzieści w biurze dowódcy. O jakie stanowisko się ubiegasz?

Zdziwienie wciąż jeszcze malowało się na twarzy McLanahana.

— A co się może marzyć kapitanowi z sześcioletnim stażem? Opłacone studia w Akademii Sił Po

wietrznych, stanowisko w dowództwie SAC-u, etat w Siłach Powietrznych, pilotowanie B-1 w bazie Ellsworth, królestwo Kanady? Nic nadzwyczajnego.

— No, życzę powodzenia — powiedział White. — Lubię patrzeć, jak ktoś tak dobry jak ty pnie się w górę.

Gdy nawigatorzy opuścili halę treningową i podążyli w stronę samochodów, Luger nie mógł ukryć entuzjazmu.

— Stary, wiedziałem, że nie będą cię tu wiecznie trzymali.

— Przecież jeszcze mi niczego nie zaproponowali. Zastanawiam się, dlaczego sam Wilder chce ze mną rozmawiać.

— Tego nie wiem, ale to na pewno dobra wiadomość. Ze złą nie czekałby do jutra. Jesteś jego pupilkiem. Przynosisz mu najwięcej nagród. Jeśli kiedykolwiek zostanie generałem, to dzięki tobie.

Luger zauważył, że Patrick go nie słucha.

— Stary, czy ty w to naprawdę nie wierzysz? Nie będziesz tu przecież wiecznie siedział. Musisz się zdecydować...

— Daj mi spokój, nie potrzebuję niczyich rad.

— Może rzeczywiście nie powinienem się wtrącać, ale jestem twoim przyjacielem i nie będę milczał, gdy widzę, że robisz głupstwo. A wydaje mi się, że popełnisz wielki błąd, jeżeli nie przyjmiesz tego, co ci zaproponują.

McLanahan westchnął, kręcąc głową.

— To wszystko nie jest takie proste, Dave. Wiesz o tym dobrze. Matka... Catherine... Oby dwie mają mi za złe, że jeszcze siedzę w wojsku. I to już od dłuższego czasu. Po śmierci

ojca matka z trudem radzi sobie z prowadzeniem restauracji. Muszę jej pomagać. A Catherine... znasz ją dobrze. Nie wyobraża sobie życia w roli żony oficera. Wierci mi dziurę w brzuchu, żebym rzucił wojsko i zajął się biznesem. Ostatnio zacząłem się nawet do tego przymierzać.

— Cholera, o czym ty mówisz? Chciałbyś siedzieć w garniturku i przekładać papiery albo pomagać matce w knajpie? To bez sensu. Tutaj u Forda jesteś kimś. Nie ma chyba lepszego nawigatora w całym SAC-u. Kim byłbyś w cywilu? Jeszcze jednym groszorem? Pat, nie będzie ci z tym dobrze. Ty masz prawdziwy talent. I nie możesz się po prostu na to wypiąć.

McLanahan patrzył w stronę lotniska, obserwował B-52 kołującego na start. Po chwili zwrócił się do przyjaciela.

— Czasem myślę, że powrót do cywila nie byłby taki zły. Przynajmniej robiłbym coś konkretnego i coś z tego miał. Tutaj zajmujemy się tylko pozoracją i wykonywaniem ćwiczeń. No, weź na przykład dzisiejsze zajęcia w kabinie treningowej. Nieraz widzę w tym jakiś sens, ale na ogół wydaje mi się, że to nikomu niepotrzebna zabawa w wojsko.

— Sam dobrze wiesz, że ta zabawa może ci kiedyś uratować życie.

— Tak, wiem. No, muszę już jechać. Do jutra. Luger patrzył chwilę za odchodzącym, potem

zawołał:

— Hej, Pat!

McLanahan odwrócił się.

— Tworzymy razem niezły zespół, co?

Patrick uśmiechnął się i uniósł kciuk do góry.

Pół godziny później McLanahan zaparkował samochód przed restauracją i barem „Shamrock”, które były własnością jego rodziny. Wszedł bocznym wejściem i od razu pobiegł do swego mieszkania na trzecim piętrze. Jakoś nie miał teraz ochoty na spotkanie z matką czy rodzeństwem.

Awans! Im dłużej o tym myślał, tym więcej miał wątpliwości. Wiedział, że tym razem nie można odkładać decyzji. Jeśli odrzuci kolejną propozycję, to nie będzie mógł liczyć na karierę w Siłach Powietrznych.

Schował do szafy kurtkę lotniczą i teczkę, rozsunął do pasa zamek błyskawiczny w kombinezonie i rzucił się ciężko na kanapę, aż jęknęła. Rozejrzał się po swoim niewielkim, lecz wygodnym pokoiku.

Było tu bardzo czysto, ale nie dlatego, że McLanahan tak lubił porządek. To matka przychodziła codziennie o piątej rano, by posprzątać. Kiedyś, chcąc zmienić ten zwyczaj,

zamknął drzwi na klucz i zabrał go ze sobą. Matce nawet przez myśl nie przeszło, że Patrickowi chodzi o zachowanie odrobiny prywatności. Pewna, że zamek się zaciął, wysłała młodszego syna Paula do ślusarza.

Wstał, zrzucił z nóg lotnicze buty i kopnął je w kąt jadalni. W lodówce znalazł kilkanaście puszek z piwem. Otwierając jedną z nich, uśmiechnął się. Matka najchętniej kazałaby mu pić tylko mleko lub wodę, mimo to dbała o pełne zaopatrzenie jego lodówki. Bez sprawdzania wiedział, że w łazience na pewno wiszą świeże ręczniki, a w kuchni wszystkie naczynia są umyte i starannie pochowane do szafek. Poczł wyrzuty sumienia. Boże, dlaczego miałby to wszystko rzucić? Czy nie powinien się cieszyć, że może mieszkać razem z rodziną i nie musi się martwić o gotowanie i sprzątanie? Luger oddałby wiele za takie wygodne życie. Poza tym McLanahan był w domu kimś więcej niż tylko najstarszym synem. Uważano go za głowę rodziny. To on podejmował najważniejsze decyzje i zapewniał środki finansowe. Młodszy brat Paul prowadził restaurację i bar, matka zajmowała się gotowaniem, sprzątaniem i obsługą gości, ale Patrick jako najstarszy odgrywał główną rolę w całym tym interesie. Taka była tradycja w ich rodzinie. Tę samą pozycję zajmował niegdyś jego ojciec, Patrick McLanahan senior.

Ojciec pracował w policji od dwudziestego roku życia. Przez czterdzieści lat żył tylko swoją pracą i nawet na emeryturze zatrudniał się dorywczo w ochronie albo jako prywatny detektyw. Gdy Paul dorósł i mógł prowadzić „Shamrock”, stary McLanahan całą swoją energię przeniósł na to nowe rodzinne przedsięwzięcie i od świtu do nocy harował z młodzieńczą energią. Bar stał się dla nich wszystkim. Nie przynosił wprawdzie wielkich zysków, ale był ich dumą i oczkiem w głowie.

Po śmierci ojca matka szukała oparcia w Patricku. Nie dopuszczała do siebie myśli o sprzedaniu restauracji i znajdujących się nad nią mieszkań. Przekonała dzieci, że utrzymanie interesu to sprawa honoru całej rodziny. Ponieważ Patrick był najstarszym synem, na nim spoczęła cała odpowiedzialność.

Jak dotąd stara restauracja prosperowała nie najgorzej dzięki wsparciu ze strony braci i sióstr, a przede wszystkim dzięki wysokim zarobkom Patricka, które można było przeznaczyć na modernizację. Młody nawigator nie żałował pieniędzy, wiedząc, że zabezpiecza przyszłość rodziny. Matka wierzyła w swego pierworodnego. W końcu był McLanahanem i głową domu. Musiało im się powieść.

Na szczęście Siły Powietrzne szły młodemu oficerowi na rękę. Przydzielono go do bazy położonej blisko domu rodzinnego i przedłużono kontrakt, by mógł skończyć pracę magisterską i zająć się doglądaniem restauracji. Dzięki swojej wiedzy i sukcesom

odnoszonym przez ostatnie dwa lata w zawodach stał się cennym pracownikiem. Musiał jednak liczyć się z tym, że lotnictwo zechce wykorzystać jego umiejętności także gdzie indziej. Wkrótce zaproponują mu nową pracę. Może w dowództwie SAC-u w Omaha w Nebrasce, może w Pentagonie albo w jednostce B-1 Excalibur w Południowej Dakocie lub w Teksasie. Nominacja była dużym wyróżnieniem i podnosiła prestiż, ale jednocześnie oznaczała rozłąkę z domem. I to go najbardziej martwiło. „Czemu tak trudno mi stąd wyjechać? Czego się boję?” — pytał sam siebie.

— Dzień dobry! Jest tu kto? McLanahan podskoczył.

— Chryste, Cat! Nie nauczyli cię pukać do drzwi?

Catherine McGraith podeszła do Patricka. Po

ciągnęła lekko nosem, patrząc na jego gruby, przepocony kombinezon. Pocałowała go w usta, trzymając się jak najdalej.

— Chciałam cię zaskoczyć i chyba mi się udało?

Na widok Catherine McLanahan od razu poweselał i przestał myśleć o tym, co go gnębiło. Zawsze z przyjemnością patrzył na jej szczupłą, wysportowaną sylwetkę łyżwiarki, zadarty nosek, jasną cerę i lśniące włosy.

Objął ją mocno i pocałował.

— Ślicznie wyglądasz.

Nie wypuszczając Catherine z objęć, przeszedł z nią do pokoju i pociągnął za sobą na kanapę.

— Patrick! — Dziewczyna odepchnęła go lekko. — Zachowujesz się, jakby cię przez miesiąc trzymali na służbie.

— Zawsze szaleję na twój widok.

— To chyba przez ten zielony kolor. Zielone mundury, samoloty, zielone budynki. Zieleń tak na was wszystkich działa.

— To ty tak na mnie działaś.

Catherine zdołała w końcu uwolnić się z jego ramion. Wstała.

— Mamy dziś zarezerwowany stolik na dziewiętnastą trzydzieści w „Firehouse” w Old Sacramento. Mama już ci przygotowała garnitur i możesz...

— O rany — jęknął McLanahan. — Jestem wykończony po dzisiejszych ćwiczeniach. Musiałem wyskoczyć bez katapulty. Jutro mam służbę i naprawdę nie jestem w nastroju do...

— Znowu służba? Przecież dopiero co wróciłeś z zawodów. Powinni wam dać kilka dni wolnego. —

Umilkła na chwilę. — Patrick, mają przyjść moje koleżanki ze szkoły. Nancy i Margaret.

Proszę cię, chodźmy.

McLanahan spojrział w sufit.

— Zdaje się, że chcą mnie przenieść.

— Przenieść? Co to znaczy?

— Dzwonił dowódca skrzydła, pułkownik Wilder. Akurat ćwiczyłem, więc rozmawiał z Whitem. Major przypuszcza, że chodzi o nominację.

— Nominację? Jaką?

— Nie wiem. Kilka miesięcy temu pułkownik Wilder polecał mnie pewnemu facetowi od planów i operacji w dowództwie SAC-u. Wydaje mi się, że tam właśnie mogą mnie przenieść.

— Do dowództwa SAC-u w Omaha? — Catherine zmarszczyła brwi. — Wyjedziesz do Nebraski?

— To jeszcze nic pewnego. — Czuł jak opuszcza go podniecenie wywołane jej widokiem.

— Ale przecież zawsze tego chciałem.

— Wiem, wiem. — Catherine zaczęła oglądać swoje paznokcie.

— To byłby duży awans. — Patrick starał się odczytać jej myśli. — W bazie Forda, zdaje się, niczego już więcej nie osiągnę. Chyba czas się przenieść.

Catherine popatrzyła mu prosto w oczy.

— Ale przecież obiecywałeś wrócić do cywila. Mieliśmy się pobrać, założyć dom i ...

— Ależ ja ciągle tego chcę. Bardzo mi na tym zależy. Tylko widzisz... Gdybym rzeczywiście dostał stanowisko w dowództwie SAC-u, to byłaby bomba.

— Patrick, prowadzisz restaurację. Największą w...

— Ależ nie przesadzaj. Nie jest wcale duża. To zwykła knajpka, z której trudno byłoby utrzymać się mnie, nie mówiąc o większej rodzinie. A poza tym ja jej tylko doglądam. Nic więcej.

Podszedł i objął czule dziewczynę.

— Wiesz dobrze, że nie musisz się martwić o nasze utrzymanie. Tata...

— Nie. Nie chcę być zależny od twojego ojca.

— Niepotrzebnie się obawiasz. — Catherine pocałowała go w czubek nosa. — Chcę, żebyś był szczęśliwy. A czy to możliwe w wojsku? No, sam powiedz.

Upłynęła chwila, zanim McLanahan odpowiedział.

— Pewnie, że dobrze byłoby otworzyć własny interes i zyskać niezależność. Ale praca w lotnictwie też mi odpowiada. W dodatku Siły Powietrzne płacą za moje studia.

— Tak, za każdy rok nauki dodają ci dwa lata służby. Chyba to oni robią lepszy interes.

— Być może. — Patrick usiadł na kanapie. — Cat, nie chciałbym się przechwalać, ale

jestem niezłym nawigatorem. To, że mogę być w czymś dobry, sprawia mi satysfakcję.

— Mógłbyś pomyśleć również o sobie. Stałeś się marionetką w ich rękach. Zaslugujesz chyba na coś lepszego. Zaczynj dbać o swoje interesy, a nie tylko interesy tych facetów z Sił Powietrznych.

Usiadła w fotelu w najdalszym kącie pokoju.

— Ty nie lubisz palić za sobą mostów, a ja nie

lubię koczowniczego trybu życia. Niedobrze mi się robi na samą myśl, że mielibyśmy się przenosić z miejsca na miejsce co dwa, trzy lata, gdy tylko jakiś generał z tłustym tyłkiem kiwnie palcem w Pentagonie. Nie mogę słuchać o tych B-52. Nienawidzę twojej pracy!

Wstała gwałtownie i skierowała się do kuchni. W drzwiach odwróciła się.

— Jak mogę się z tobą związać, skoro sam nie wiesz, czego chcesz. Nie żyjesz własnym życiem, tylko tą przeklętą armią. — Wychodząc dodała: — Bądź gotów przed siódmą.

— Dzień dobry, pani King. Wzywał mnie pułkownik Wilder.

Sekretarka rzuciła okiem na terminarz i uśmiechnęła się.

— Dzień dobry, Patricku. Pułkownik oczekuje cię w centrum dowodzenia. Już dzwonię, że jesteś w drodze.

„W centrum dowodzenia? To dziwne. Cała ta sprawa wygląda zagadkowo” — pomyślał.

— Dziękuję, pani King.

— Gratuluję zwycięstwa w zawodach. Pułkownik jest bardzo dumny z ciebie i z całej załogi.

— Miło mi.

Patrick już miał wyjść, ale zatrzymał się w drzwiach.

— Pani King?

— Słucham.

— Mówią, że sekretarka dowódcy to druga osoba po Bogu.

— O co chodzi, Patricku?

— Nie wie pani, w jakiej sprawie pułkownik mnie wezwał?

— Widzę, że lubisz się przejmować. Może dlatego właśnie zbierasz tyle nagród. Ale nie, ta druga po Bogu nie ma pojęcia, dlaczego szef cię wzywa. — Uśmiechnęła się. — Czyżbyś miał nieczyste sumienie?

— Ja? Skąd?

— Idź już lepiej. Dzwonię, że jesteś w drodze.

— Dzięki.

W ciągu sześcioletniej służby w bazie Forda McLanahan był tylko kilka razy w centrum

dowodzenia. Po raz pierwszy znalazł się tam, gdy jego oddział przechodził próbny alarm bojowy wojny. Wszyscy członkowie załóg SAC-u musieli wykazać się przed dowódcą skrzydła dokładną znajomością czynności, jakie każdy z nich miał wykonać na dźwięk syreny alarmowej. Później wstępował czasem, by zostawić kontrolerom z centrum dowodzenia sprawozdania z nocnych lotów, albo oddawał tajne dokumenty dotyczące łączności. Mimo wszystko zawsze był stremowany, gdy musiał się tu zameldować.

Ten nastrój potęgowała jeszcze wzmożona kontrola, przez jaką trzeba było przejść, aby dostać się do centrum dowodzenia. McLanahan wyjął z portfela plakietkę identyfikacyjną, którą zwykle miał w kieszeni kombinezonu, i przypiął ją do koszuli. Stał przed ciężkimi okratowanymi drzwiami i nacisnął dzwonek. Krata otworzyła się, odblokowana przez kogoś od środka. Wszedł do krótkiego korytarza, zwanego „pułapką” i usłyszał za sobą trzask zamka. Pomyślał, jak bardzo denerwująca jest świadomość, że nie ma się odwrotu. Przeszedł do końca korytarza i zatrzymał się przed drzwiami z lustrzanego szkła. Oświetlenie ustawiono w ten sposób, by nie było widać ludzi pracujących wewnątrz. McLanahan podniósł słuchawkę telefonu znajdującego się przy wejściu.

— Słucham — odezwał się natychmiast czyjś głos.

— Kapitan McLanahan do pułkownika Wildera. Zamek zabrzączał. Patrick pchnął drzwi i wszedł do środka. To nie był jeszcze koniec kontroli. Za drzwiami stał podpułkownik Carl Johannsen. Mimo że obydwaj byli przez kilka miesięcy w jednej załodze, Johannsen z pistoletem u pasa podszedł do swojego byłego nawigatora i rzucił okiem na plakietkę.

— Dzień dobry, pułkowniku — przywitał się McLanahan.

— Cześć, Pat. — Pułkownik był lekko zmieszany. — Znamy się wprawdzie kopę lat, ale kiedy szef jest u siebie, musimy postępować zgodnie z regulaminem, żeby się nie przyczepili. Zwracaj się do niego „panie pułkowniku”.

— Tak jest. Lubi pan pracę w dowództwie?

— Czasem żałuję, że już nie latam Buffem. Szef czeka w Pokoju Operacyjnym. Tam, na wprost. Do zobaczenia.

Idąc do biura, McLanahan przeszedł przez główny salę łączności. To miejsce zawsze go fascynowało. Aż trudno było uwierzyć, że zasiadając tu za pulpitem, dowódca skrzydła czy dyżurni operatorzy mogli się porozumiewać z kimkolwiek chcieli na lądzie czy w powietrzu. Mieli bezpośrednie połączenie z dowództwem SAC-u, z Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych, z napowietrznym stanowiskiem dowodzenia i z setkami innych punktów dowodzenia na całym świecie. Do komunikacji wykorzystywali telefony, komputery, satelity, radio na wysokich częstotliwościach i kodowane dalekopisy. Głównodowodzący SAC-u w

Omaha mógł błyskawicznie wysłać rozkaz, na który wszystkie bombowce i cysterny z bazy Forda znajdują się po paru minutach w powietrzu. Równie łatwo i szybko prezydent mógł przekazać im rozkaz ataku.

Pokój Operacyjny był miejscem, z którego w razie wojny czy ćwiczeń dowódca i jego sztab kierowali akcją wszystkich sił bazy Forda. Podlegało im dwa tysiące osób, dwadzieścia bombowców B-52, dwadzieścia pięć samolotów-cystern KC-135.

McLanahan zapukał do drzwi.

— Wejdz, Patricku.

Pośrodku sali, za biurkiem siedział dowódca bazy Forda, pułkownik Edward Wilder. Był wysokim szczupłym mężczyzną o młodym wyglądzie, co zapewne zawdzięczał temu, że kilka razy w roku biegał w maratonach. Mimo iż dawno przekroczył czterdziestkę, w jego ciemnych, krótko przyszytych włosach nie było śladu siwizny.

Wstał, wyciągnął rękę na powitanie i wskazał przybyłemu miękki fotel z napisem „zastępca dowódcy”. Nalał dwie filiżanki kawy.

— Pijesz czarną, prawda? — zapytał, podając Patrickowi filiżankę.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Powinienem to już zapamiętać. Widziałem nieraz, choćby po zawodach, że piłeś tylko taką.

Mówiąc to, nacisnął guzik na biurku. Po metalowej szynie umieszczonej nad oknem, oddzielającym Pokój Operacyjny od sali łączności, przesunęła się z szumem zasłona i szczelnie zakryła szybę. Na ten odgłos podpułkownik Johannsen i inni pracownicy unieśli głowy, ale natychmiast powrócili do pracy.

Na biurku przed pułkownikiem leżała czerwona teczka.

— Próbowałem skontaktować się z tobą wczoraj rano, ale już zacząłeś ćwiczenia.

— Tak, panie pułkowniku. Ćwiczenia w kabinie majora White'a są coraz bardziej realistyczne.

— A tak, to domorosły wynalazca. Prawdziwy geniusz. Niewielkie pieniądze, jakie przeznaczyliśmy dla niego, to chyba nasza najlepsza inwestycja. Choć może pomogliśmy w narodzinach potwora.

McLanahan roześmiał się, ale niezbyt swobodnie. Wilder zauważył jego skrępowanie, westchnął i zapytał:

— Wiesz, dlaczego cię wezwałem?

Patrick nie cierpiał, gdy zaczynano z nim rozmowę w taki sposób.

— Nie wiem, panie pułkowniku. Przypuszczam, że może chodzi o przeniesienie.

— Zgadłeś. — Pułkownik umilkł na chwilę i Popatrzył na blat biurka. — Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Chcą cię w dowództwie SAC-u. I to prawie od zaraz. Wydział Planów i Operacji programu B-1. Gratuluję. Ja też tak zaczynałem w dowództwie, choć wtedy pracowaliśmy nad programem dla B-52, który był wówczas najnowocześniejszym bombowcem.

McLanahan uściśnął wyciągniętą dłoń pułkownika.

— To wspaniała wiadomość, panie pułkowniku.

— Niechętnie się z tobą rozstaję, ale oni bardzo naciskają na szybkie przeniesienie. Dają na to tylko trzy miesiące.

McLanahanowi zamarł uśmiech na ustach.

— Tak szybko?

— Wniosek właśnie wpłynął. To wielka okazja. — Wilder popatrzył na Patricka uważnie.

— Jakies kłopoty?

— Muszę o tym porozmawiać w domu. To przecież ważna decyzja.

— Potrzebna jest natychmiastowa odpowiedź. Nie mogę czekać.

Patrick odwrócił wzrok i powiedział:

— Przykro mi, panie pułkowniku, ale nie podejmę decyzji bez porozumienia z rodziną. Jeśli odpowiedź potrzebna jest natychmiast, to...

— Zaczekaj, nic nie mów. Patricku, nie lubię pochlebstw, ale muszę powiedzieć, że w ciągu osiemnastu lat służby nie spotkałem lepszego od ciebie nawigatora. Jesteś energiczny, inteligentny, zaangażowany w pracę i zdobyłeś taką wiedzę i umiejętności w swoim zawodzie jak nikt inny. Przez cały okres służby zbierałeś znakomite noty. W ciągu ostatnich dwóch lat miałem zaszczyt wystawiać ci oceny, mimo iż byłem najniższym rangą pośród oficerów podpisujących opinię o tobie. Teraz otrzymałeś propozycję przejścia do SAC-u i to wcale nie była nasza inicjatywa. Wystąpił o to głównodowodzący. Osobiście. Ludzie z wydziału planów liczą na twoją pomoc.

Wilder umilkł i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Nie możesz wiecznie zwlekać. Trzeba wykorzystywać nadarżającą się okazję.

— Może wkrótce zaproponują mi coś innego...

— Nie licz na to — odpowiedział prędko pułkownik, a widząc zdziwienie Patricka, wyjaśnił: — Nie przesadzałem, mówiąc, że jesteś najlepszym nawigatorem, z jakim się zetknąłem. Tak, najlepszym. Ale... musisz się trochę zmienić.

— Zmienić?

— Myślę, że Gary zwracał ci już na to uwagę. Przyjrzyj się sobie. Inni oficerowie przed

stawieniem się u dowódcy czyszczą buty, strzygą włosy, wkładają świeży mundur.

McLanahan nie odezwał się, tylko niecierpliwym ruchem skrzyżował ręce na piersi.

— To prawda, że masz lepsze osiągnięcia w pracy niż inni. Ale Siły Powietrzne potrzebują dzisiaj oficerów, a nie tylko... techników. Potrzebują ludzi, którzy chcą być zawodowcami. Dlatego powinieneś wyglądać i postępować jak zawodowy oficer, który jest całkowicie oddany służbie, nie traktuje jej jako przejściowego zajęcia.

Wilder otworzył teczkę z papierami eskadry, do której należał McLanahan.

— Obroniłeś pracę magisterską, jesteś w poło

wie drugiego fakultetu, ale masz zaledwie podstawową edukację wojskową. Sześć lat zajęło ci ukończenie kursu korespondencyjnego, na który inni potrzebowali tylko dwunastu miesięcy. Nie masz żadnych dodatkowych obowiązków. Twój stosunek do...

— Panie pułkowniku, mój stosunek do pracy jest właściwy — przerwał McLanahan. — Chciałem być najlepszy i ciężko pracowałem, aby to osiągnąć. — Umilkł na chwilę. — Poza tym mam na głowie restaurację.

— Wiem o tym. Znam twoją sytuację rodzinną. Ale musisz dokonać wyboru.

Wilder wstał i podszedł do wiszącej na ścianie tablicy z wykazem stanu samolotów.

— Czasy się zmieniły. To już nie te Siły Powietrzne co dawniej. Teraz nie wystarczy być przeciętnym. Trzeba się wybijać i to we wszystkim, nie tylko w swojej wąskiej specjalności.

— Tak zwana „konceptcja wszechstronnego rozwoju jednostki”.

— Może brzmi to śmiesznie, zresztą nie tylko dla ciebie, ale taka jest prawda. Wymagamy całkowitego zaangażowania. Trzeba być dobrym albo nawet powyżej przeciętnej. Masz warunki, by osiągnąć sukces. Musisz podjąć decyzję. Tak lub nie.

Wilder zamknął teczkę.

— No, koniec wykładu. Daj mi znać, gdy tylko się zdecydujesz. Postaram się przeciągnąć sprawę, ale nie mogę ci nic obiecać.

Po dłuższej chwili milczenia Patrick wstał.

— To chyba wszystko, sir. Mam teraz nad czym myśleć.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

Pułkownik ponownie usiadł i McLanahan uczynił to samo.

— Dlatego przyjąłem cię właśnie tutaj i dlatego chciałem, żebyś się od razu zdecydował co do przeniesienia. Otrzymałem niezwykle zapotrzebowanie na doświadczonego nawigatora w B-52, który ma wziąć udział w ćwiczeniach. Sprawa jest objęta absolutną tajemnicą. Zawsze myślałem, że „ściśle tajne” to najwyższy stopień utajnienia, a okazało się, że może być jeszcze wyższy. Zanim przekazano mi wiadomość, musiałem usunąć wszystkich z centrum

łączności, by odebrać ją bez świadków. Naturalnie pomyślałem zaraz o tobie.

— Chętnie się tego podejmę. Co to za ćwiczenia?

Wilder otworzył leżącą przed nim teczkę w czerwonej oprawie.

— Tego mi nie powiedzieli. Moje instrukcje są bardzo proste. Czy możesz być gotów do wyjazdu za dwa dni?

— Dwa dni? — McLanahan zastanowił się. — No cóż, nie dają mi zbyt wiele czasu, ale... oczywiście, będę gotów. Dokąd mam jechać?

— Tego również nie wiem.

— Co?... Nie rozumiem.

— Patricku, to bardzo tajne przedsięwzięcie. Masz się zgłosić pojutrze o ósmej rano w informacji na miejskim lotnisku. Pokażesz swoją kartę identyfikacyjną i ten list. — Przy tych słowach Wilder wręczył McLanahanowi kopertę. — Zabierzesz tylko cywilne ubranie i przybory toaletowe zapakowane w jedną torbę. Po sprawdzeniu twojej tożsamości i zweryfikowaniu listu przekażą ci dalsze instrukcje. Wilder popatrzył uważnie na Patricka.

— Czy wszystko jasne?

— Tak jest. Zrozumiałem, tylko że wygląda to trochę... dziwnie.

— Gdy popracujesz w wojsku tak długo jak ja — powiedział pułkownik wstając — to stwierdzisz, że potrzeba utrzymania tajemnicy może stać się drugą naturą. Zaczynasz wszędzie węszyć wroga, który tylko czeka na sposobność, aby cię przechytrzyć. Pozwólmy im prowadzić tę grę.

McLanahan wstał.

— Rozumiem, pułkowniku.

— Pamiętaj, że nikt nie może o niczym wiedzieć. Schowaj ten list. Nie mów nikomu o tym, co będziesz robił ani dokąd jedziesz.

— Tak jest. To nie będzie trudne, ponieważ sam nie wiem.

— Tego też nikomu nie mów — uśmiechnął się pułkownik.

— Tak jest.

McLanahan skierował się ku wyjściu. Przy drzwiach odwrócił się.

— Po powrocie chciałbym z panem porozmawiać o przeniesieniu i w ogóle o pracy w wojsku.

— Oczywiście. Zawsze znajdę czas na rozmowę z tobą. Rozumiem twoją sytuację i wahania, ale odłóżmy to na później. Niech ci to nie zepsuje ćwiczeń.

— Dziękuję.

McLanahan wyszedł. Pułkownik przemierzył kilka razy pokój, podszedł do biurka,

wyciągnął z szuflady papierosa i zapalił. Pierwszy raz po kilkuletniej przerwie.

— Gdy popracujesz w wojsku tak długo jak ja, mój chłopcze — powtórzył Wilder przedrzeźniając samego siebie — to stwierdzisz, że potrzeba utrzymania tajemnicy może stać się drugą naturą. „Co za bzdura. Cholerna bzdura” — pomyślał.

Siedział długo bez ruchu, paląc papierosa.

SUNRISE, KALIFORNIA

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała w końcu matka.

Weszła do sypialni w chwili, gdy McLanahan wciskał właśnie ostatnią parę skarpetek do wypchanej torby. Spoglądała na niego z niepokojem, skrzyżowawszy szczupłe ramiona na piersiach. Powoli zasunął zamek błyskawiczny.

— Mamo — powiedział, podnosząc torbę — tu nie ma nic do zrozumienia.

— Czy to jakaś tajna misja — spytała półzartem Maureen McLanahan. — A może jesteś szpiegiem?... Patricku, naprawdę nie możesz nic powiedzieć?

— Mamo, czytasz za dużo książek Johna Le Carrego. Po prostu muszę wyjechać. Przecież to tak samo, jakbym jechał na zawody bombowców czy ćwiczenia poza bazą. Tyle że takie zadania specjalne zawsze spadają na człowieka niespodziewanie.

— Ale ten rozkaz nie mówi ani dokąd, ani na jak długo, ani po co.

— Oj, mamo. Nie dostałem przecież rozkazu na piśmie. Pułkownik Wilder wezwał mnie do siebie i ustnie poinformował o wszystkim.

— O czym?

— Tego nie mogę powiedzieć. — Odwrócił się i opadł dłonie na biodrach. — Przecież dobrze wiesz, że nie ma sensu tak mnie naciskać, skoro jestem związany tajemnicą.

Maureen McLanahan przyglądała się synowi przez chwilę.

— Catherine wspomniała coś o nominacji, jaką otrzymałeś od pułkownika.

Patrick skinął głową.

— Dostałem nominację, o jakiej marzyłem. Świetne stanowisko w dowództwie SAC-u. Musiałem bardzo zabiegać, aby je zatrzymali do mojego powrotu z zadania. Każdy na moim miejscu spakowałby się i stawiał u nich w trzy dni. Mogę stracić tę szansę. Może nawet już ją straciłem.

— To wygląda na wspaniały awans — odezwała się Maureen uspokajającym tonem.

— Bo to jest wspaniały awans. Ale nie wiem, czy Catherine będzie chciała ze mną jechać do Nebraski. Ona uważa, że wojsko mnie wykorzystuje. A ty... już wiem, co by się działo, gdybym wyjechał.

Patrick przewiesił torbę przez ramię i pośpiesznie minął matkę stojącą w drzwiach sypialni.

— Tylko tyle zabierasz? — zapytała, patrząc, jak wchodzi do salonu.

— Tylko tyle pozwolili mi wziąć. Przypuszczam, że na miejscu dadzą mi wszystko, czego

będę potrzebował.

— Patricku — powiedziała załamując ręce — tak chciałabym ci pomóc w powzięciu właściwej decyzji, ale sama nie wiem, co robić. Zdajesz sobie sprawę, ile dla nas znaczy ta restauracja. Jeśli wyjedziesz, nie mam pojęcia, jak sobie poradzimy. Podszedł i pocałował ją w policzek.

— Mamo, ja rozumiem. Naprawdę. Ale interes... jakoś się kręci. A poza tym jest Paul. Nie jestem już tak potrzebny jak dawniej. — Przytulił ją. — Wszystko będzie dobrze. Wierz mi.

Maureen McLanahan zapięła górny guzik synowskiej koszuli.

— Nie opuścisz nas, prawda? Nic do niej jednak nie dotarło.

— Dobrze — westchnął. — Nie martw się. Zgarnęła kosmyk z czoła i uśmiechnęła się.

— Wiesz, że cię kocham.

— Ja też cię kocham, mamo.

Spojrzał na nią, jak gdyby chciał jej dodać otuchy, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Jechali na lotnisko mercedesem Catherine. Trzymał ją za rękę, dopóki samochód nie podjechał do krawężnika przed portem lotniczym United Airlines. Podczas jazdy zamienili jedynie kilka słów. Dziewczyna nie wyłączyła silnika, wrzuciła tylko wolny bieg i patrzyła, jak zabierał z tylnego siedzenia torbę i kurtkę.

— Będzie mi ciebie brakowało — powiedział do niej czule.

— Ja też będę tęskniła. Zapadła niezręczna cisza.

— Wolałabym, abyś nie musiał wyjeżdżać.

— Taką mam pracę, Cat. Sama przyznasz, że jest w tym coś podniecającego, jakaś przygoda. Jakbym miał bilet na Orient Express.

— Nie widzę w tym nic podniecającego. To nie ma sensu! Wysyłają cię Bóg wie gdzie i nawet nie mówią, kiedy wrócisz. Dzięki Bogu, że to się niedługo skończy — dodała. — Tu właśnie najlepiej widać, jak wojsko obchodzi się z takimi ludźmi jak ty. Najlepszy nawigator w Siłach Powietrznych, a traktowany jest jak śmieć, z którym można robić, co się chce.

— Nie mogę narzekać na swoją pracę. Oczywiście, jak każda, ma plusy i minusy...

— Och, cały Patrick! — Popatrzyła na niego gniewnie. — Prawie bez uprzedzenia wysyłają cię nie wiadomo dokąd, a ty ich jeszcze bronisz.

Obserwowała, jak otwierał drzwi samochodu.

— Muszę już iść. — Pochylił się i musnął ustami jej policzek. — Dzięki za podwiezienie.

— Patricku — odezwała się nagle — jak wrócisz... będziemy musieli porozmawiać — o nas.

Popatrzył na nią, usiłując wyczytać coś z jej twarzy.

— Dobrze — odparł, wzruszając ramionami. Wsiadł z mercedesa i odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód.

W biurze informacji potraktowano zlecenie McLanahana tak, jakby tajemnicze instrukcje dotyczące wydania biletów były tu chlebem powszednim. Gdy pokazał kartę identyfikacyjną, jedyny dokument, jaki mógł ze sobą zabrać, pośpiesznie wręczono mu zapieczętowaną kopertę i wskazano odpowiednie wejście.

Poniosła go ciekawość i otworzył kopertę już podczas jazdy schodami na wyższe piętro. W środku znajdował się bilet powrotny do Spokane w stanie Waszyngton. W miejscu, gdzie zwykle wpisuje się nazwisko nabywcy, widniał czteroliterowy symbol wojskowy bez zaznaczonego adresu bazy czy biura.

Przy wejściu wymienił jeden z biletów na kartę wstępu do samolotu. Usiadł, czekając na swój lot. I po co ta cała aura tajemniczości — zapytał sam siebie. W Spokane mieściła się Baza Sił Powietrznych Fairchilda. Była tam szkoła przetrwania. Już przeszedł podstawowe szkolenie w przetrwaniu, bezpośrednio po kursie nawigacyjnym niższego stopnia, ale Fairchild prowadzi kilka szkół tego typu oraz wiele innych kursów.

A więc o to chodzi. Został skierowany na jakieś niezwykle szkolenie, może do specjalnego ośrodka. Słyszał pogłoski o otwarciu nowej szkoły, w której uczono przetrwania w środowisku skażonym opadem radioaktywnym. A może chodzi o przetrwanie w obozie jenieckim? W Fairchild mieli makietę takiego obozu — kompletny zespół z centrum przesłuchań, barakami więziennymi oraz wartownikami i oficerami śledczymi, jakby żywcem wziętymi z bloku wschodniego.

Gdy sobie to wszystko uzmysłowił, czekanie stało się o wiele znośniejsze. Fairchild. Cała ta durna konspiracja, całe to zamieszanie — wszystko z powodu głupich ćwiczeń, jakiegoś bezsensownego kursu, który pracownikom CIA lub DIA* da szansę zetknięcia się z prawdziwym nawigatorem. Niepotrzebna strata czasu.

McLanahan nie czekał długo. Wkrótce wywołano jego lot; po kilkunastu minutach wszyscy pasażerowie znaleźli się na pokładzie samolotu. Do Spokane leciało niewiele osób: kilku cywilów i kilku wojskowych, sądząc po krótko ostrzyżonych włosach. Patrick przejrzał pismo linii lotniczej, żalując, że nie wziął ze sobą żadnego czasopisma lub książki, że to przekłete wojsko nie pozwoliło mu na to.

Łagodny szum silników działał na jego nerwy kojąco jak narkotyk. Gdy samolot oderwał się od ziemi, Patrick był już pogrążony w głębokim śnie.

— Strata czasu — mruknął do siebie tuż przed zaśnięciem. — Cholerna strata czasu.

SPOKANE, STAN WASZYNGTON

Był już późny wieczór, kiedy McLanahan odebrał swój bagaż i stanął przy wejściu do głównego hallu międzynarodowego lotniska w Spokane. Położył torbę na pustym krześle i ponownie przeczytał wydruk komputerowy z tajnymi instrukcjami, które otrzymał na początku podróży.

„PRZYLOT DO SPOKANE GODZ. 21.35. ODBIÓR BAGAŻU GODZ. 22.00. CZEKAĆ NA DALSZE INSTRUKCJE.”

Minęła dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Czekał już ponad dwie godziny. Jeszcze jeden typowy przykład wojskowego podejścia do sprawy: śpiesz się, by być o czasie na wyznaczonym miejscu, a potem siedź na dupie i czekaj.

McLanahan zrzucił torbę z ramienia i podszedł do stanowiska z napisem AUTOBUS DO FAIRCHILD. Było puste, ale zegar z dwoma ręcznie ustawianymi wskazówkami obiecywał, że szeregowiec Willis wróci o dwudziestej czwartej. Wskazówki wyglądały tak, jakby ich nikt od miesiący nie przesunął. Patrick usiadł na krześle obok i czekał.

Po kilku minutach za kontuarem pojawił się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w charakterystycznym mundurze Sił Powietrznych, wykończonym podwójnym ścięciem. Zapisał coś w dzienniku służbowym, który trzymał pod blatem, po czym włączył wielki przenośny radiomagnetofon i usiadł na wysokim stołku. McLanahan podszedł do niego.

— Dobry wieczór — przywitał go Willis. — Czy jedzie pan do bazy?

— Tak. Kiedy będzie najbliższy autobus?

— Powinien być pięć minut po północy. Ponownie wyciągnął dziennik.

— Proszę o kopertę z rozkazem i kartę identyfikacyjną.

— Nie mam pisemnego rozkazu. — Patrick wy dostał z kieszeni dzinsów kartę powleczoneą plastikową folią. Willis obejrzał ją dokładnie i po zapisaniu paru słów w dzienniku, oddał McLanahanowi.

— Czy ma pan zamówioną kwaterę?

— Nie. Wyjechałem dość niespodziewanie.

— Czy ktoś pana oczekuje? Mógłby pan podać nazwisko osoby w bazie lub opiekuna, z którym moglibyśmy się skontaktować?

McLanahan wyciągnął instrukcję i jeszcze raz przebiegł ją uważnie wzrokiem.

— Umieścili tu nazwisko jakiegoś majora Millera, ale podali tylko symbol jego biura w Waszyngtonie. Nie... nie znam nikogo w Fairchild. Nie wiedziałem... to znaczy... nie byłem

"pewien, że tu przyjadę...

Willis popatrzył kpiąco na Patricka, jakby miał ochotę zapytać go, czy nie spadł z Księżycy.

— No cóż, mogę zadzwonić do biura zakwaterowań, ale jeżeli pana nie oczekują i nie ma pan rozkazu, to mogą być kłopoty z miejscem.

McLanahan schował instrukcję do kieszeni.

— Autobus odjeżdża pięć minut po północy, tak?

— Zgadza się.

— Proszę zadzwonić do biura zakwaterowań i zapytać o wolny pokój. Ktoś miał się tu zgłosić po mnie około dwudziestej drugiej. Jeśli nie pojawi się do przyjazdu autobusu, to mogę spokojnie przespać się w bazie i odszukać go rano.

— Już się robi, sir — odparł wesoło Willis. Wykręcił numer, rozmawiał przez chwilę, po czym z uśmiechem odłożył słuchawkę.

— Ma pan szczęście — powiedział i zaczął coś pisać w dzienniku, kiwając głową w takt muzyki dochodzącej z magnetofonu. — Jest jeden wolny pokój i już na pana czeka. Jeśli zgłosi się major Miller, to skieruję go do bazy.

— Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

— Nie ma sprawy — odpowiedział Willis, wystukując ołówkiem rytm. — Jedzie pan do szkoły przetrwania? Ma pan coś na pchły i do neutralizowania smrodu?

— Już przez to kiedyś przeszedłem. Chyba uznali, że potrzebna mi powtórka.

— Rozumiem, sir — odparł Willis zdawkowo. Widocznie uznał, że sprawa zagubionego kapitana została ostatecznie zakończona, gdyż przestał zwracać uwagę na McLanahana. Patrick chciał jeszcze dodać coś w stylu, że „od czasu do czasu każdy potrzebuje trochę wycisku”, ale Willis był już całkowicie pogrążony w muzyce i egzemplarzu „Playboya”.

Autobus przyjechał piętnaście minut po północy. Przez cały czas szeregowiec nie odezwał się do McLanahana ani słowem. Hali był prawie pusty. Gdy Patrick usłyszał dźwięk klaksonu, raz jeszcze podziękował Willisowi i wyszedł. Był jedynym pasażerem rozklekotanego niebieskiego autobusu.

Baza Sił Powietrznych Fairchilda leżała niedaleko. Przy wejściu McLanahan pokazał wartownikowi swoją kartę identyfikacyjną. Drugi żołnierz, uzbrojony w karabin M-16, z olbrzymim owczarkiem niemieckim u nogi, przeszukał jego torbę. W piętnaście minut później Patrick był już w pokoju gościnnym dla oficerów.

Rozebrał się, wziął prysznic, położył się na wygodnym łóżku, ale nie mógł zasnąć. Minęła już pierwsza w nocy. Sięgnął po książkę telefoniczną i przebiegł listę z nazwiskami

pracowników bazy. Było tam kilku Millerów, nawet dwóch majorów, ale symbole ich biur nie zgadzały się z symbolem figurującym na wydruku. Patrick sprawdził też spis jednostek organizacyjnych bazy, ale i tu symbol żadnej z nich nie był nawet zbliżony do umieszczonego w instrukcji.

— Kij im w oko — powiedział półgłosem. — Jeśli im zależy, to domyśla się, gdzie jestem. — Zamówił budzenie na szóstą trzydzieści i wsunął się pod szorstki wojskowy koc.

Ze snu wyrwało go gwałtowne łomotanie do drzwi. Wydawało mu się, że minęło już kilka godzin. Widocznie nie usłyszał dzwonka telefonu i dlatego dyżurny z recepcji przyszedł go obudzić. Spojrzał na zegar stojący na toaletce. Mylił się. Spał zaledwie godzinę.

Włożył szybko spodenki gimnastyczne, przygładził włosy i otworzył drzwi. W progu stali dwaj Murzyni. Jeden w ubraniu cywilnym, drugi w mundurze Żandarmerii Sił Powietrznych.

— Kapitan McLanahan? — zapytał cywil, nie patrząc na Patricka, lecz uważnie obserwując korytarz.

— Tak — odparł Patrick ze złością, drapiąc się po głowie.

— Patrick McLanahan?

— No tak.

Jeszcze nie rozbudzony kapitan nie był w nastroju do rozmowy, ale jego nieprzyjemny ton bynajmniej nie zraził intruzów. Wprost przeciwnie, cywil wydawał się wyraźnie zadowolony. Zwrócił się do towarzyszącego mu żołnierza i, jakby dla podkreślenia wagi swych poleceń, przytknął wskazujący palec do jego piersi.

— Mamy go. Zawiadom straże przy bramie. I natychmiast przyślij samochód. Pamiętaj, żeby na drzwiczkach nie było żadnego oznakowania Sił Powietrznych czy Ministerstwa Obrony.

— Mamy taki samochód.

Żołnierz pobiegł korytarzem. Cywil, nieproszony, wszedł do pokoju Patricka i zamknął drzwi na klucz.

— Kapitanie, proszę o kartę identyfikacyjną — powiedział szorstkim tonem.

— Nic z tego! — McLanahan wreszcie otrząsnął się ze snu. — To pan pokaże mi swoją kartę albo zawołam tego gliniarza, którego pan przed chwilą odesłał.

Przybyły mruknął coś niechętnie pod nosem, ale wyjął portfel i rozłożył go przed oczyma kapitana. Patrick zapalił górne światło i przecierając powieki, przyjrzał się legitymacji i odznace.

— Sierżant Jenkins, Biuro do Zadań Specjalnych Sił Powietrznych — przedstawił się cywil, zamykając portfel. — A teraz, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, to proszę...

— W porządku. — McLanahan namacał w džinsach swoją kartę i pokazał ją.

Jenkins już trzymał w ręce radiotelefon.

— Centrum, tu Siedem-Siedem — powiedział ściszym tonem. — Mamy poszukiwanego. Doprowadzę go na miejsce spotkania.

— Siedem-Siedem, przyjąłem.

— Kapitanie, proszę się ubrać i spakować rzeczy — powiedział sierżant, oddając Patrickowi kartę identyfikacyjną.

— Chwileczkę, o co chodzi? — zaprotestował McLanahan.

Jenkins zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Nie lubił, gdy ktokolwiek, nawet oficerowie, zadawali mu pytania.

— Wracamy na spotkanie z majorem Millerem, panie kapitanie. — Spojrzał na radiotelefon i wyłączył go. — Miał pan przecież czekać na lotnisku na dalsze instrukcje, prawda?

— Tak.

McLanahan czuł, jak czerwienieją mu uszy. Cholera, pomyślał, ale zawałiłem. Sięgnął po džinsy. Był ciekaw, czy Jenkins wyjdzie, czy ma zamiar tak stać i gapić się.

— Spotkanie było wyznaczone na dwudziestą drugą. Nikt nie przyszedł. Pomyślałem, że przenocuję w bazie i poczekam...

— Dlaczego w bazie?

— Co to znaczy „dlaczego w bazie?”. Dostałem przecież rozkaz stawienia się w Spokane. To niby gdzie...

Jenkins z trudem powstrzymywał się, by nie krzyknąć: „Ty dumny oficerze, nie jesteś tu od myślenia!” Opanował się jednak. — Panie kapitanie, to pański błąd. Był pan umówiony z majorem Millerem na lotnisku. Major nie mógł przybyć w porę, ale miał nadzieję, że nie ruszy się pan z miejsca aż do otrzymania dalszych poleceń.

— W porządku. Macie rację, sierżancie. Za minutę będę gotów.

Najwyraźniej Jenkins nie zamierzał wyjść.

— Dokąd idziemy? '

Sierżant nie odpowiedział. To kolejne pytanie jeszcze bardziej go rozzłościło. McLanahan w milczeniu dokończył pakowania torby i włożył kurtkę. Miał mało rzeczy i naprawdę zajęło mu to wszystko nie więcej niż minutę. Odnalazł klucz i gdy wyszli na korytarz, skierował się w stronę recepcji.

— Tędy, panie kapitanie — Jenkins złapał go za ramię i zawrócił w kierunku słabo oświetlonego przejścia na tyły budynku.

— Ależ klucz...

— Zajmiemy się tym. Tędy, proszę. — Sierżant poprowadził go do bocznych drzwi wychodzących na rampę przeznaczoną do wynoszenia brudnej bielizny i śmieci. W pobliżu stał niebieski samochód osobowy. Silnik pracował na wolnych obrotach. McLanahan zaczął schodzić po schodach. Sierżant zdjął mu z ramienia torbę.

— Wezmę ją. Proszę wsiadać.

Pobiegł do samochodu i zapukał w szybę. Kłapa bagażnika otworzyła się. Obszedł auto i ukrył torbę pod kocem. Następnie zajął miejsce na tylnym siedzeniu, obok Patricka.

Minęli bramę i wjechali na autostradę w kierunku lotniska. Jenkins sięgnął po jakiś przyrząd leżący na siedzeniu obok kierowcy i włączył go.

— Proszę się nie obawiać — powiedział, przesuwając szybkim ruchem urządzenie wzdłuż ciała kapitana. Powtórzył tę czynność dwukrotnie, wyłączył urządzenie i odłożył na miejsce.

— Czy teraz, sierżancie, możecie mi powiedzieć, co się tu dzieje?

— Mogę tylko powiedzieć, że major Miller miał się z panem spotkać o dwudziestej drugiej. Spóźnił się, ponieważ trochę przedłużyło się załatwianie bezpiecznego transportu. Major zakładał, że skoro instrukcje urywały się na lotnisku, to właśnie tam będzie pan czekał. Pomylił się jednak...

— No cóż, nie tylko on przyjął fałszywe założenie. Uważałem, że skoro wysłano mnie do Spokane, to punktem docelowym musi być baza Fairchilda. A teraz widzę, że wcale tak nie jest.

— Kapitanie, nie znam pańskiego punktu docelowego, ale do Spokane przyleciał pan tylko z jednego powodu.

— Z jakiego?

— Na ten lot było zarezerwowanych tylko osiem miejsc. — Ton głosu Jenkinsa sugerował, że jest to wystarczające wyjaśnienie.

— Nie bardzo rozumiem.

— Chodziło o upewnienie się, czy pana nie śledzą. Wiedziano o wszystkich, którzy mieli rezerwację na ten lot i odprawiali się po panu. Sprawdzono, kto przyleciał do Spokane, a także co robił po przylocie. Było to możliwe tylko dzięki małej liczbie pasażerów. Dlatego wybrano dla pana niemal pusty samolot. I tylko przypadek sprawił, że znalazł się pan w Spokane. Nie miało to nic wspólnego z Fairchild. Ciekaw jestem, jaką historyjkę wymyśli facet, któremu przypadnie zadanie wyjaśnienia pańskiego nagłego zniknięcia z bazy.

— Dlaczego miałbym być śledzony? — Jenkins roześmiał się.

— No, jeśli pan tego nie wie, nie wróży to nic dobrego.

W tym momencie Patrick poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Światła lotniska stawały się coraz większe i jaśniejsze, a słowa sierżanta ciągle dzwoniły mu w uszach. „Jeśli pan tego nie wie, nie wróży to nic dobrego.”

Monotonny głos Jenkinsa wyrwał go z zadumy dopiero wtedy, gdy minęli główny budynek dworca lotniczego. Skierowali się ku hangarom stojącym w szeregu przy bocznych pasach, daleko od płyty postojowej samolotów. Kierowca jechał z wyłączonymi światłami.

— Niech się pan nie martwi o torbę, kapitanie. Teraz proszę wysiąść, przejść dziesięć kroków i... czekać.

McLanahan uśmiechnął się, słysząc, jak Jenkins z naciskiem wymawia słowo „czekać”, ale sierżant nie zwrócił na to uwagi i kontynuował:

— Ktoś przyjdzie do pana i powie, co robić dalej.

Samochód zatrzymał się pośrodku opustoszałego placu, z dala od jasno oświetlonego dworca lotniczego. Jakaś ciemna postać otworzyła drzwi od strony McLanahana. Wewnętrzna lampka nie zapaliła się. Ktoś ją uszkodził, dziurawiąc nożem plastikową osłonę.

— Sierżancie, przepraszam za to zamieszanie — powiedział Patrick półgłosem, poddając się nastrojowi ciszy i napięcia.

— Nie ma sprawy.

Zaskrzeczał radiotelefon. Jenkins powiedział do mikrofonu kilka słów, następnie zwrócił się do kapitana:

— Powodzenia!

Zamknął drzwi. Samochód ruszył i po chwili zniknął w mroku.

„Życz mi raczej, żebym się mógł z tego wykręcić” — mruknął do siebie Patrick, usiłując przeniknąć wzrokiem otaczającą go ciemność.

Bezskutecznie. Wyłączono nawet małe niebieskie lampy wskazujące drogę na pas startowy. Mając z prawej strony odległe światła dworca, McLanahan postąpił dziesięć kroków naprzód. Odmierzał je tak dokładnie, jakby szukał skarbu z piracką mapą w ręku. Nie widział nikogo, a mimo to czuł, że otaczali go jacyś ludzie, obserwowali go i mówili o nim. Z tyłu majaczyły zarysy ogromnego hangaru, z czarną czeluścią otwartych drzwi. Gdy jego wzrok przyzwyczaił się trochę do ciemności, zauważył po lewej stronie kilka małych jednosilnikowych samolotów Cessna.

Była wietrzna pogoda i Patrick zaczął odczuwać chłód. Już chciał obciągnąć rękawy kurtki i sprawdzić czas, ale powstrzymał się. Tym razem będzie po prostu stał i czekał. Spoglądanie na zegarek spotęgowałoby tylko jego niecierpliwość. Zapiął więc kurtkę pod samą szyję i schował ręce do kieszeni.

Od chwili, gdy wysiadł z samochodu, upłynęło jakieś piętnaście minut. Oczy całkowicie przywykły mu już do ciemności — widział teraz wokół siebie mnóstwo skaczących i rozglądających się nerwowo ptaszków. Po asfalcie przemykał królik, przystając od czasu do czasu i nasłuchując, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Raz nawet Patrickowi wydało się, że słyszy szum radiotelefonu, nikogo jednak nie zauważył. W tym czasie wylądowały dwa samoloty. Kapitan spodziewał się, że lada chwila któryś podkołuje do niego, ale nic takiego nie nastąpiło.

Minęło następnych dziesięć minut — a może nawet piętnaście czy dwadzieścia. Niebo zaczynało się rozjaśniać, a temperatura znacznie spadła. Jeśli major Miller przyjdzie, to z pewnością zostanie soplem lodu, a nie nawigatora, którego się spodziewa. Patrick bowiem postanowił, że tym razem nie pokpi

sprawy i będzie czekał, nawet gdyby miał dostać zapalenia płuc. Marzył w tenisówkach i cienkiej nylonowej wiatrówce. Zaczął się rozgrzewać, chuchając w zgrabiące dłonie i przytupując nogami.

— „Pospieszcie się, do cholery” — powiedział do siebie. Uszy coraz bardziej szczypały go z zimna. Z niecierpliwością uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Nie usłyszał kłaśnięcia. Zagłuszył je ostry wysoki dźwięk, który dobiegł nagle z ciemnego hangaru. Patrick drgnął i gwałtownie się odwrócił. Oślepiło go światło czterech reflektorów do lądowania i kołowania, skierowane prosto na niego. Trudno było ocenić odległość, przypuszczał jednak, że nie była większa niż pięćdziesiąt jardów. Przeciągłe wycie przeszło w potężny niski ryk i dwusilnikowy odrzutowiec wytoczył się z hangaru. Wydawało się, że skoczy na McLanahana jak dziki tygrys. Patrick stał przygwożdżony do ziemi, nie mogąc wykonać ruchu.

Samolot podkołował szybko do niego. Zbiornik paliwa umieszczony na końcu skrzydła przesunął się zaledwie pięć stóp od jego głowy. Otworzyły się drzwi z wbudowanymi schodami. Jakiś mężczyzna w lotniczym mundurze złapał McLanahana pod ramię i prawie wciągnął do środka ryczącego odrzutowca. Poprowadził go, lekko popychając w kierunku twardego lotniczego fotela. Patrick poczuł szarpnięcie pasów bezpieczeństwa. Zaciągnięto je tak mocno, że zdjął go strach. Uświadomił sobie, że nikogo nie obchodzi jego bezpieczeństwo. Chcieli go po prostu unieruchomić.

Mężczyzna, który go wciągnął na pokład, włożył na głowę słuchawki, pochylił się nad McLanahanem i krzyknął:

— Kartę identyfikacyjną, szybko!

Ten nagły rozkaz zaskoczył Patricka. Odruchowo sięgnął do prawej tylnej kieszeni, gdzie

zazwyczaj trzymał kartę. Nie było jej tam. Odwrócił się i zaczął obmacywać lewą tylną kieszeń. Bez skutku.

— Szybciej — ponaglił mężczyzna. Zbliżył mikrofon do ust i rzucił kilka urywanych słów. McLanahan spojrzął w jego ciemne gniewne oczy i zaczął nerwowo przeszukiwać wszystkie kieszenie. Gdy popatrzył przed siebie, zauważył, że drugi pilot, w zielonym kombinezonie lotniczym i hełmie z kamuflażem, pochyła się w lewo ku przejściu dzielącemu go od pilota. Patrick z przerażeniem dostrzegł w jego rękach pistolet maszynowy Uzi. Krótka lufa masywnej broni, częściowo ukrytej za kotarą kabiny, wycelowana była prosto w niego.

— O cholera! — zaklął McLanahan. Przesunął rękami po całym ubraniu i w końcu znalazł kartę w przedniej kieszeni na lewej piersi. Wyjął ją i podniósł do oczu stojącego przed nim mężczyzny tak gwałtownie, że o mało nie zahaczył o jego nos.

Mężczyzna zapalił małą latarkę z czerwonym światłem i dokładnie obejrzał dokument. Potem skierował światło na Patricka. Mięśnie jego twarzy rozluźniły się. Odetchnął z wyraźną ulgą. Przesunął mikrofon bliżej ust i kładąc kartę na kolanach McLanahana zawołał:

— Pilot, ruszamy!

Uzi za kotarą zniknął. Mężczyzna podbiegł do wyjścia, podniósł schody i dokładnie zarygłował

drzwi. W chwilę później samolot z rykiem silników oderwał się od ziemi.

Strażnik ciężko opadł na fotel naprzeciw Patricka i zaczął głęboko oddychać.

— Kapitanie, przepraszam za to wszystko — zwrócił się do niego, gdy samolot był już w górze. — Zdenerwowaliśmy się, gdy zniknął pan z lotniska. Może dlatego nasza reakcja była trochę przesadna. Przepraszam, jeśli byliśmy zbyt brutalni.

— To chyba ja powinienem przeprosić... — Patrick powoli wracał do siebie. — Zachowałem się niezbyt odpowiedzialnie. Czy pan jest majorem Millerem?

Mężczyzna roześmiał się i wskazał swoje naramienniki.

— Nie, kapitanie. Nazywam się porucznik Harold Briggs, pracuję dla koordynatora projektu. To właśnie my jesteśmy majorem Millerem.

— My?

— Major Miller to hasło. Gdyby pan lub ktoś z jednostki wspomniał tylko to nazwisko, moja sekcja zostałaby natychmiast powiadomiona. Jestem odpowiedzialny za przywiezienie pana do koordynatora.

— Kto jest tym koordynatorem?

— To się wkrótce wyjaśni. Właśnie do niego lecimy. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać. Może pan mówić do mnie Hal. Będziemy współpracować przez cały czas

realizacji projektu.

— Co to za projekt?

— Tego nie mogę ujawnić. Koordynator wszystko panu wyjaśni. Od tej chwili jestem pańskim adiutantem.

— Adiutantem? Ho. ho! To coś nowego. Nie wiem, jak się znajdę w tej nowej roli. — Wyciągnął rękę. — Zwracaj się do mnie po imieniu. Zgoda?

— Zgoda.

Uścisnęli sobie ręce. Briggs odłożył słuchawki na półkę i zapalił światło. Patrick zauważył, że porucznik był bardzo młodym mężczyzną. Miał czarne, krótko ostrzyżone włosy, szczupłą, pociągłą twarz i piwne oczy. Nosił niebieski mundur z naramiennikami porucznika, a nad lewą kieszenią, na piersi, naszyte były odznaki wojsk spadochronowych i Żandarmerii Sił Powietrznych.

Przy zielonym plecionym pasie, identycznym z tymi, jakie noszono w piechocie, Patrick nie dostrzegł broni.

Briggs wyjął z małej lodówki obok fotela dwie puszki z piwem i wręczył jedną kapitanowi.

— Sierżant Jenkins wspomniał, że mogłem być śledzony — zagadnął McLanahan.

— A tak. — Porucznik otworzył swoje piwo, trącił się z Patrickiem i pociągnął łyk. — Może uważasz, że przesadziłem, ale kiedy nagle zniknąłeś z lotniska, bardzo się zdenerwowałem. Wezwałem z bazy Fairchilda sierżanta Jenkinsa, którego przydzielono mi do pomocy i ogłosiłem alarm. Żebyś ty widział, jak ci faceci z Biura do Zadań Specjalnych ruszyli do akcji.

— Ty nie jesteś od nich?

— Nie — uśmiechnął się Briggs. — W każdym razie Jenkins błyskawicznie zorganizował poszukiwania. Kontrolowaliśmy z grubsza tak zwany obszar taktyczny na lotnisku, ale kiedy wyjechałeś do

bazy, straciliśmy cię z oczu. Cholera... Gubiłem się w domysłach. Wyobrażałem sobie najróżniejsze rzeczy, które mogły ci się przytrafić, jedną gorszą od drugiej.

— Zaraz, zaraz — Patrick powstrzymał go gestem dłoni. — Co mi się mogło stać? Nie rozumiem. Czego wy się tak boicie? Co mi grozi i dlaczego akurat mnie?

Briggs wysączył do końca piwo i sięgnął po następną puszkę.

— Pat, w tej chwili jesteś dla nas naprawdę bardzo ważny — mówił, patrząc na zdumionego kapitana. — Gdybyś zniknął albo gdyby ci się coś stało i nie przybylibyśmy do dowództwa jutro przed południem... — Wypił do końca piwo kilkoma haustami. — Nieźle by

się zatrzęsło i to aż do samej góry.

McLanahan poczuł nagle suchość w ustach.

— Hał, to nie jest odpowiedź. — Po raz drugi miał wrażenie, że włosy jeżą mu się na głowie. — O jakiej górze mówisz?

— Dajmy już temu spokój. — Briggs ponownie sięgnął do lodówki, ale po krótkim namyśle cofnął rękę. Usiadł głębiej w fotelu i popatrzył na Patricka. — Słuchaj, niewiele mogę ci powiedzieć. Ale wiem jedno. Miałem specjalne pełnomocnictwo. Mogłem nawet rozwalić to pieprzone lotnisko.

I wtedy właśnie Patrick dostrzegł Uzi u boku Briggsa.

**BAZA SIŁ POWIETRZNYCH NELLIS,
LAS VEGAS, NEWADA**

Był już późny wieczór, kiedy Briggs przyszedł po McLanahana do jego ciasnej, zatęchłej kwatery. Prowadził go teraz do budynku oddalonego o kilkaset jardów. Patrick zastanawiał się, dlaczego tak bardzo starano się, aby nie odgadł, gdzie właściwie wylądował po długim locie ze Spokane. Ale on i tak się domyślał.

Przywieziono go wprawdzie w nocy, wprowadzono do kwatery jakimś tylnym wejściem i ukryto przed nim prawie wszystko, co mogłoby mu zdradzić miejsce pobytu, zapomniano jednak usunąć napis NELLIS AUX 5, widniejący na boku biurka w jego pokoju. Patrick wiedział też, że mały odrzutowiec Learjet, którym przyleciał ze Spokane, mógł przy pełnych obrotach silnika, jakie przez cały czas utrzymywał pilot, pokonać około tysiąca mil. Podejrzenia jego potwierdziło również suche i chłodne powietrze wieczoru oraz dochodzące z oddali wycie silników odrzutowych — z pewnością nie były to samoloty pasażerskie, lecz myśliwce.

Był więc w Nellis lub na jednym z wielu otaczających bazę lotnisk, obozów szkoleniowych czy poligonów. Cały dzień spędził beczynnie w swoim

pokoju. Dopiero teraz Briggs zapukał do drzwi, oznajmiając, że idą do koordynatora projektu. Patrick miał nadzieję, że wkrótce wszystko się wyjaśni.

Porucznik zaprowadził go do małej i pustej o tej porze sali odpraw. Po co najmniej dwudziestu minutach oczekiwania McLanahan miał już spytać, jak długo to jeszcze potrwa, gdy wtem otworzyły się drzwi i wszedł...

— Generał Elliott! — wykrzyknął Patrick. Stanął szybko na baczność.

— Spocznij, Patricku — uśmiechnął się generał, podając mu rękę. — Witaj w moim piekle.

McLanahan był tak oszołomiony, że nie odwzajemnił nawet uścisku. Widząc to, generał posadził go z powrotem na krzesło.

Elliott był ubrany w kombinezon lotniczy z trzema matowymi gwiazdkami na każdym ramieniu i z insygniami Strategicznych Sił Powietrznych na piersi i na rękawach. Widniał na nich symbol 3 ACCS, oznaczający Powietrzną Eskadrę Dowodzenia SAC-u. Do pasa generał miał przytroczony pistolet automatyczny kalibru 0,45. Pod pachą trzymał duży mapnik i trzy termosy.

Generał przysunął sobie krzesło i opadł na nie z łoskotem. Skierował spojrzenie na

kapitana, którego twarz w dalszym ciągu wyrażała zdumienie.

— Spokojnie, Patricku. Zaraz, się wszystkiego dowiesz.

McLanahan zreflektował się. Czyżby gapił się z otwartymi ustami? Głęboko odetchnął i otarł spocone dłonie.

— Kawy? — Elliott podsunął McLanahanowi i Briggsowi dwa osobne termosy. — Hał, w twoim jest oczywiście cola. Wiem, że wolałbyś piwo, ale... '

— Rozumiem, panie generale — uśmiechnął się Briggs.

— W porządku. Przejdźmy teraz do sprawy. Cała nasza rozmowa jest absolutnie tajna i nikt poza nami nie może o niej wiedzieć. Nawet żaden z moich pomocników, adiutantów czy współpracowników. Nie muszę sprawdzać, czy tu nie ma podsłuchu, ponieważ to mój pokój, na moim terenie i wiem, że jest bezpieczny. W całym tym przedsięwzięciu najważniejsze jest zachowanie tajemnicy. Hał, wezwałem cię, abyś orientował się we wszystkim, co się tu będzie działo. Uważam, że mając obraz całości będziesz mógł działać bardziej skutecznie. Patricku, Hał już od roku pracuje w mojej służbie bezpieczeństwa. Zanim go tu ściągnąłem, był w oddziale ochrony Pentagonu i SAC-u. Teraz przydzielam go tobie. Zadba o to, by nie powtórzyła się już taka sytuacja, jak w Spokane.

McLanahan czuł, że się czerwieni.

— Patricku, mamy tutaj wyraźnie określone zadania. Dreamland jest ściśle tajnym centrum naukowo-badawczym. Chyba nie jesteś zaskoczony. Na pewno docierały do ciebie różne plotki na jego temat. Wykonując loty bojowe, musiałeś się nieraz zastanawiać, dlaczego przeloty nad tym terenem były tak ostro karane. Teraz już wiesz. W ciągu ostatnich dziesięciu lat prawie każde nowe opracowanie dla myśliwców, bombowców czy raket przechodziło pierwsze testy właśnie tutaj.

Generał umilkł na chwilę i napił się kawy. — Chcemy teraz przeprowadzić w powietrzu próby kolejnego samolotu. Ściągnęliśmy cię, abyś uczestniczył we wszystkich etapach prac, wypróbował elektronikę lotniczą, przeprowadził kilka praktycznych ataków bombowych i wycisnął z tej maszyny, ile się tylko da. Większość urządzeń, które przetestujesz, ma być zainstalowana w specjalnym samolocie bl.

McLanahan wydawał się zaskoczony.

— Tylko tyle?

— Zapewniam cię, że nie będziesz się nudził. Mamy bardzo napięty plan prac. Wyniki naszych badań mogą być potrzebne w każdej chwili. Im więcej informacji będziemy mogli przekazać, tym lepiej.

McLanahan wzruszył ramionami.

— Rozumiem. Zastanawia mnie tylko, dlaczego moja podróż była otoczona taką tajemnicą. Mam wrażenie, że nie powiedział mi pan wszystkiego.

— Sam nie lubię niedomówień — uśmiechnął się Elliott. — Przekazałem ci wszystko, o czym powinieneś wiedzieć teraz. Reszty dowiesz się później. Ale o jednym musisz pamiętać — to miejsce, twoje obowiązki, wszystko, co zobaczysz i zrobisz, jest objęte absolutną tajemnicą. Nikt spoza tego pokoju, bez względu na stanowisko czy rangę, nie może wiedzieć, co się tu dzieje. Jasne?

— Tak jest, panie generale. Ale mam jedno pytanie.

— Słucham.

— Dlaczego właśnie ja?

Elliott uśmiechnął się, dopił kawę i wstał.

— To proste. Jesteś najlepszy. Jak mógłbym pominąć nawigatora, który zdobył tyle nagród co ty?

McLanahan skinął głową, choć odpowiedź Elliotta nie rozwiała w pełni jego wątpliwości.

— Chcesz go zobaczyć?

— Kogo?

— Nie kogo, tylko co. Samolot. Twój samolot. Old Doga.

— Old Doga? I taka nazwa ma mnie zachęcić do latania?

— Przekonasz się, że tak.

— Czy ja aby nie śnię? — spytał Briggs.

McLanahan miał na końcu języka podobne pytanie, ale dosłownie zaniemówił na widok imponującej sylwetki Megafortecy. Chodzili teraz dookoła samolotu, oglądając go ze wszystkich stron. Generał nie popędział ich i chętnie odpowiadał na wszystkie pytania.

— Aż się wierzyć nie chce, że to ten sam odrzutowiec — powiedział w końcu Patrick, przesuając palcami po gładkiej powierzchni kadłuba. — W niczym nie przypomina B-52.

— To prawdziwy wilk w owczej skórze — powiedział Elliott.

McLanahan wszedł za Briggsem do komory bombowej.

— Czyżby spodziewał się pan kłopotów, panie generale? — spytał, oglądając pociski. — Scorpiony\ Osiem... nie, dziesięć Scorpionów. WB-52?!

Przecież to najnowsze rakiety. Nie ma ich nawet w F-15. A tu zamontowano jeszcze dwanaście dodatkowych na skrzydłach! Nie do wiary.

Briggs przyglądał się rakietom umieszczonym na obrotowej wyrzutni. Widniał na nich napis HARM.

— Co oznacza HARM?

— To rakiety antyradiolokacyjne — wyjaśnił McLanahan. — Naprowadzają się na radary stanowisk wyrzutni raketowych i artylerii przeciwlotniczej. — Popatrzył na Elliotta. Z twarzy generała zniknął uśmiech. — Widzę, że spodziewa się pan niemałych kłopotów.

— Dziewięć dziesiątych wyposażenia Megafortecy służy do obrony i przedarcia się nad cel —: wyjaśnił Elliott. — Na tym nam najbardziej zależało. To jest oczywiście tylko samolot doświadczalny. Przez ostatnich kilka lat ciągle go udoskonalaliśmy. Najlepsze rozwiązania, sprawdzone w trakcie lotów bojowych, wykorzystamy w innych typach samolotów, przede wszystkim w B-1. Ale proponuję, żebyśmy weszli teraz do środka. W tej chwili technicy testują elektronikę lotniczą, przeprowadzając symulowany lot. Będziesz miał sposobność obejrzeć swoje nowe urządzenia nawigacyjne na dolnym pokładzie.

Po otrzymaniu zezwolenia od strażników, weszli do środka. McLanahan odruchowo zajął fotel z lewej strony. Zaczął dokładnie się przyglądać pulpitemu przed sobą. Dłoń sama powędrowała do dźwigni naprowadzającej krzyż celownika na obiekt.

Briggs stał za nimi, w pobliżu drzwi prowadzących do komory przedniego podwozia i rozglądał się po ciasnym pomieszczeniu.

— Oto proste w obsłudze, a zarazem bardzo precyzyjne i szybkie w działaniu wyposażenie nawigacyjne — powiedział Elliott. — Satelitarny system nawigacyjny o dokładności dwudziestu stóp. Prędkość działania wynosi około jednej setnej sekundy, a dokładność pomiaru prędkości względem Ziemi — jedną czwartą węzła. Do tego inercyjny system nawigacyjny z żyroskopem laserowym, określający kierunek z dokładnością do jednej dziesiątej stopnia, nawet gdy nie uaktualniano go przez dwanaście godzin.

McLanahan położył ręce na pulpicie, obejrzał klawiaturę i monitor komputera.

— Usunęliście fotel drugiego nawigatora. Gdzie on będzie siedział?

— Po co drugi nawigator? — zdziwił się Elliott. — Wyjaśniłem ci już przed chwilą. To urządzenie działa automatycznie i z taką precyzją, o jakiej mógłbyś tylko marzyć. Do jego obsługi wystarczy jedna osoba. Po co ci pomoc?

— A jeśli to wszystko zostanie uszkodzone? Albo wyzeruje się pamięć?

— Wyzeruje? — Elliott był wyraźnie dotknięty. — Do tego nie dojdzie. Nawet po wyłączeniu zasilania awaryjny akumulator przez pół godziny będzie podtrzymywał pracę żyroskopu laserowego. Po przywróceniu zasilania żyroskop w ciągu dziewięćdziesięciu sekund uaktualni wskazania. A GPS*, czyli globalny system pozycyjny,

potrzebuje jednego cyklu satelity, a więc około dziesięciu minut, aby się odnaleźć i od nowa rozpocząć nawigację. Jak widzisz, nie będzie przerwy we wskazaniach.

— No, nie jestem taki pewien. — McLanahan obejrzał dokładnie przełączniki po lewej

stronie oraz mały zestaw przekaźników i skrzynek umieszczonych za swoimi plecami.

— Zostawiliście oryginalny zestaw radarowy, prawda?

— Tak — odpowiedział zdziwiony Elliott. — Chociaż jest teraz bardziej wykorzystywany w systemie obronnym, do śledzenia celu i...

— Pozostawiliście jednak elektroniczny celownik — przerwał Patrick. — Mam możliwość korekcji wysokości oraz wprowadzenia współrzędnych pozycji i prędkości wiatru?

— Oczywiście, że tak — odparł Elliott niecierpliwie. — W dalszym ciągu możesz uaktualniać wskazania INS na podstawie odczytu z radaru. Możesz wprowadzić do systemu dane o prędkości wiatru, ale nie musisz...

McLanahan nie pozwolił mu dokończyć. Sięgnął do przełączników radaru, umieszczonych blisko lewego kolana, i wcisnął równocześnie trzy przyciski.

Rezultat był zaskakujący. Przełącznik za jego plecami zaczął dymić i iskrzyć, wszystkie bezpieczniki nad głową wystrzeliły i cały dolny pokład pogrążył się w ciemności.

— Co jest, do cholery! — krzyknął Elliott.

W przejściu, łączącym dolny pokład z górnym, pojawił się technik z zapaloną latarką.

Co się tam u was stało? — spytał wystraszony.

— A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć? Złaż tu i...

— Wyskoczyły bezpieczniki prądu zmiennego w układzie zasilania BNS* — powiedział spokojnym głosem McLanahan. W ciemności słychać było głośny oddech Briggsa. — Na górnym pokładzie, na głównej tablicy bezpieczników po prawej stronie, wywaliło zabezpieczenie w układzie transformatora BNS. A tu na dole poszło pierwsze i drugie zabezpieczenie układu zasilania radarowego systemu określania pozycji oraz bezpieczniki zasilania plus sześćset woltów, minus trzysta woltów i minus sto pięćdziesiąt woltów. Zapach spalenizny wydobywa się z lewego przekaźnika układu sterowania BNS. Tego przekaźnika nie ma zazwyczaj w skrzynce z zapasowymi częściami. Panie generale — McLanahan zwrócił się teraz do Elliotta — wysiadło wszystko, co współpracuje z radarem BNS. Mogę spróbować naprawić radar, ale nie jestem w stanie uruchomić układów towarzyszących, łącznie z systemem nawigacji, monitorami i klawiaturą. System satelitarny ciągle działa i zapewne jest zdolny do określenia naszej pozycji, ale nie ma jej jak przekazać, bo monitory są martwe. Skasowały się też dane nawigacyjne w pamięci komputera i założę się, że nie działa czytnik danych. A więc nici z automatycznej nawigacji.

— A niech to cholera! — zaklął Elliott.

— Panie generale, czy mogę zaproponować... — wtrącił się Briggs.

— Odezwij się słowem, a wyślę cię do pilnowania magazynów z lodem na Islandii!

Masuroki! — Elliott zwrócił się do technika. — Włącz z powrotem to pieprzone zasilanie!

— Ale nie wiem...

— Najpierw wyłącz pozostałe zasilania, zanim zupełnie wysiądą — pospieszył z pomocą McLanahan. — Potem ustaw wszystkie zabezpieczenia w pozycji WŁĄCZONE. Układy elektronicznego zakłócania i sterowania ogniem trzeba wyłączyć i rozgrzać przed ponownym uruchomieniem głównego zasilania. Zajmie to około pół godziny, a razem z pozostałymi urządzeniami, jakie dodaliście, pewnie z godzinę. Tutaj, na dolnym pokładzie, potrzebny jest nowy przekaźnik... i prawy fotel, sekstans, a także nawigator...

— To nierealne — stwierdził Elliott, gdy Masuroki udał się na górę, by przywrócić zasilanie. — W rzeczywistości nigdy nie wciśniesz wszystkich trzech przycisków równocześnie.

— Przeciążenie przekaźnika w BNS może nastąpić pod wpływem wielu czynników. Trochę wilgoci, wadliwie podłączony przewód, impuls napięcia czy wyładowanie i... trach!

Generał przypomniał sobie tajne sprawozdanie, które pokazał mu Curtis, i ostatnie słowa załogi strąconego RC-135 o niesamowitej mocy radzieckiego radaru. Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

— No już dobrze, dobrze — powiedział z irytacją w głosie. — Być może moje zabawki nie są tak całkiem niezawodne, jak myślałem. Chodźmy stąd. Spędzisz tu jeszcze dużo czasu.

— Wydaje mi się, panie generale, że znalazł pan odpowiedniego człowieka do tej roboty — powiedział Briggs, gdy wychodzili z samolotu.

— Tak — zgodził się Elliott, a po chwili zastanowienia dodał: — Martwi mnie tylko, do czego to wszystko będzie wykorzystane.

Minęły dopiero trzy dni od przygody w Spokane, a McLanahanowi wydawało się, że siedzi już całą wieczność na tej pustyni. Wczoraj po raz pierwszy zobaczył Megafortecę. Od tej pory prawie cały czas studiował pisane na maszynie notatki i instrukcje techniczne. Dotyczyły one elektroniki lotniczej, zakresu działania bombowca oraz bomb ślizgowych typu Striker. Wszystkie urządzenia były bardzo nowoczesne i skomplikowane, a mimo to proste w obsłudze.

Tego dnia po raz pierwszy, odkąd przybył do Dreamlandu, znalazł się w dużej grupie ludzi. Gdy weszli z Briggsem do dusznej, pozbawionej okien sali, napotkali osiem osób czekających na generała Elliotta. Największą niespodzianką dla Patricka była obecność czterech kobiet. Dwie z nich wyglądały na pracownice służby bezpieczeństwa. Trzecia, w średnim wieku, ubrana w dżinsy i bluzę safari, stała obok starszego wiekiem mężczyzny. Czwarta, znacznie młodsza, chyba poniżej trzydziestki, patrzyła na przybyszów z wyraźnym

zdumieniem. Pozostali nie zwracali na nich większej uwagi.

W chwilę później wszedł generał Elliott, tym razem w cywilnym ubraniu, w koszuli z krótkimi rękawami, wciąż jednak z wielkim automatycznym pistoletem kalibru 0,45 umieszczonym w kaburze pod lewą pachą.

— Sądzę, że najwyższy czas, abyśmy się wszyscy poznali — zaczął bez żadnego wstępu — chociaż podczas tych kilku tygodni, spędzonych przy pracy nad Old Dogiem, niektórzy z was na pewno już się ze sobą zetknęli. To jest pułkownik Anderson.

Wysoki, ciemnowłosa mężczyzna w zielonym lotniczym mundurze SAC-u odwrócił się twarzą do zebranych. Zajmował środkowe krzesło w pierwszym rzędzie i gdy generał wchodził do sali, stanął na baczność.

— Pułkownik James Anderson — przedstawił się donośnym, niskim głosem. — Zastępca dowódcy Centrum Badań i Analiz numer cztery tysiące sto trzydzieści pięć przy Strategicznym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym w Bazie Sił Powietrznych w Edwards.

— Pułkownik Anderson wspomaga nas doświadczeniem i wiedzą o różnych systemach broni — powiedział Elliott. — Dostarczył wiele pomysłów i pomógł w wykryciu i usunięciu niejednego błędu. Bez niego Old Dog nie byłby tym, czym jest.

— Dziękuję, sir — odpowiedział pułkownik. Usiadł na krześle i otaksował zebranych zimnym wzrokiem, celowo pomijając McLanahana.

Patrick natychmiast przyjrzał mu się krytycznie; zwrócił uwagę na imponująco duży srebrny sygnet na jego palcu, przyćmiewający obrączkę ślubną, na emblemat spadochroniarza naszyty poniżej odznaki pilota-dowódcy, na jego szczupłą sylwetkę i spiczastą, wydatną brodę. Z pewnością absolwent Akademii Lotniczej — pomyślał. I chyba nie lubi nawigatorów.

Następnie wstał mężczyzna siedzący obok Andersona. Przypominał go wyglądem, ale był młodszy, niższy i miał łagodniejsze rysy twarzy. Wcześniej, gdy McLanahan i Briggs weszli do sali, powitał ich przyjaznym skinieniem głowy.

— Podpułkownik John Ormack, z sekcji techniczno-badawczej w Bazie Sił Lotniczych Wright-Patterson — przedstawił się zebranym.

— Pułkownikowi zawdzięczamy wiele nowych rozwiązań w kabinie pilotów. Zapewne kierował się egoistycznymi pobudkami, gdyż teraz, jako drugi pilot, ma znacznie mniej pracy. Może wspomagać obronę lub koordynować działania załogi. Pułkownik Ormack jest doświadczonym pilotem. Spędził w powietrzu kilka tysięcy godzin, latając na różnych typach samolotów. Pełni funkcję zastępcy kierownika prac nad naszym projektem.

Gdy Ormack usiadł, Anderson sztywno skinął mu głową i wykonał potwierdzający gest

kciukiem.

Następnie wstała młodsza z kobiet w cywilu.. Nikt poza McLanahanem i Briggsem nie zwrócił na nią uwagi. Była średniego wzrostu, niewiele starsza od Patricka. Ciemne włosy upięła na czubku głowy w mały kok. Na nosie miała duże, grube okulary i chociaż wyglądała trochę jak nauczycielka, zrobiła na Patricku wrażenie. Wydało mu się, że gdzieś już ją widział.

— Doktor Wendy Tork — przedstawiła się krótko, akcentując słowo doktor tak, jakby rzucała wyzwanie oficerom SAC-u. — Inżynier strategicznych systemów obrony elektronicznej z Palmdale w Kalifornii.

McLanahan o mało nie podskoczył na krześle. Nie, to niemożliwe, pomyślał. Wendy uśmiechnęła się do niego. Była to ta sama dziewczyna, którą poznał w barze na przyjęciu po zawodach w bombardowaniu.

— Doktor Tork — przedstawił ją Elliott — jest jednym z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie elektronicznych środków przeciwdziałania oraz w ich zwalczaniu. Jest również specjalistką od technologii Stealth — zmniejszania wykrywalności obiektów przez radar. Pełni funkcję operatora systemów zakłócania elektronicznego.

— O cholera — mruknął McLanahan. Wpatrywał się w Wendy, próbując wyobrazić ją sobie w mundurze lotniczym, potem bez munduru..., ale w tych warunkach jego wyobraźnia nie pracowała najlepiej.

Rozejrzał się po sali i zauważył, że Anderson patrzy na Wendy z wyraźną niechęcią. No cóż, kobiet też nie lubi, pomyślał. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę; domyślił się, że przyszła kolej, aby sam się przedstawił. Wstał trochę zmieszany i powiedział:

— Kapitan Patrick McLanahan, nawigator radarowy w B-52 z Bazy Sił Powietrznych Ford. A to porucznik Harold Briggs.

— Dzień dobry — powiedział Briggs z szerokim uśmiechem, ale szybko tego pożałował, gdy pochwycił lodowate spojrzenie Andersona. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Zebrani odpowiedzieli im zdawkowymi ukłonami.

— Wielkie dzięki, stary — szepnął Hal.

— Skoro ja musiałem się pocić przed Andersonem, to dlaczego tobie miało się upiec?

— Bezkonkurencyjny w swoim fachu — z dumą mówił Elliott. — Nikt w całych Stanach Zjednoczonych, a może i na świecie, nie może, się pochwalić takimi sukcesami w bombardowaniu jak kapitan McLanahan, nawigator Old Doga.

— Panie Generale, gdzie jest Mentzer? — spytał ostro Anderson.

— Dogrzebali się czegoś przy sprawdzaniu jego przeszłości — odparł Elliott.

Anderson rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Panie generale, zaszło jakieś nieporozumienie! Ręczę za niego osobiście. To przecież Mentzer zmodyfikował i przetestował telewizyjny system naprowadzania bomby Striker. To on przeprowadzał doświadczenia z bombą subatomową. Nie widzę nikogo innego na tym stanowisku.

— Przykro mi, James. Kapitan McLanahan przekonał mnie jednak, że potrzebny jest drugi nawigator. Jeśli więc sprawdzanie Mentzera zakończy się pomyślnie, wrócimy do sprawy.

— Drugi nawigator? Przecież w Old Dogu wystarczy jeden.

— Patrick właśnie dowiódł, że drugi nawigator jest niezbędny.

— Panie generale, niezbędny jest człowiek, który budował bomby Striker i makiety pozorujące. Człowiek, który pomagał...

— Pułkownikowi Anderson — głos Elliotta wyrażał zniecierpliwienie, chociaż jego twarz nadal pozostawała pogodna. — Joseph Mentzer nie może w tej chwili uczestniczyć w naszych pracach. Gdyby sytuacja się zmieniła, poinformuję pana. Nawigatorem w Old Dogu jest kapitan McLanahan. Zrozumiał pan, pułkowniku?

Słowo „pułkownik” zostało wypowiedziane z takim naciskiem, że Anderson umilkł.

— Oto ostatni, choć nie mniej ważni członkowie zespołu — powiedział generał, skinąwszy głową mężczyźnie i kobiecie, którzy siedzieli obok niego.

— Dziękuję, panie generale. Jestem doktor Lewis Campos, emerytowany pracownik Sił Powietrznych. A to moja asystentka, doktor Angelina Pereira. Jesteśmy doradcami w zakresie konstruowania nowych rodzajów broni. Reprezentujemy kilku producentów z przemysłu zbrojeniowego.

— Ten dwuosobowy zespół to prawdziwa kopalnia pomysłów — dodał Elliott. — Doktor Campos i doktor Pereira są projektantami wyposażenia obronnego w Old Dogu — karabinów, rakiet i pocisków. We wszystkich próbach doktor Campos będzie pełnił funkcję strzelca. Myślę, że prezentację mamy za sobą. Od tej chwili, proszę państwa, będziecie ściśle współpracować przy zbieraniu potrzebnych nam informacji. Wszyscy, może z wyjątkiem Patricka, świetnie znacie swoje własne urządzenia. A kapitan McLanahan zademonstrował ostatnio taką znajomość systemów nawigacyjnych, że zaimponowałby każdemu. Ale najważniejsze, byście stworzyli dobrze współpracujący zespół, bo tylko wtedy nasze próby mogą zakończyć się sukcesem. — Elliott umilkł i powiódł wzrokiem po zebranych. — Są wśród was cywile, którzy współpracowali z wojskiem, projektując w naszych ośrodkach badawczych różne rodzaje broni, nigdy jednak nie uczestniczyli bezpośrednio w lotach

doświadczalnych. Poprosiliśmy was o współpracę, ponieważ nikt z naszych inżynierów wojskowych nie zna tych urządzeń tak jak wy, a mamy za mało czasu, by ich odpowiednio przeszkolić. Cieszy mnie, że wszyscy zgodziliście się na współpracę, ale to nie oznacza, że musicie brać udział w lotach. Jeżeli ktoś z was, teraz czy później, dojdzie do wniosku, że nie może sprostać wymaganiom, powinien mnie o tym zawiadomić, a zostanie zwolniony z tych obowiązków.

Wszyscy przyjęli słowa Elliotta z ulgą. Wszyscy, z wyjątkiem Andersona.

— Pułkowniku, przekazuję panu pałeczkę. Anderson podziękował generałowi skinieniem głowy i zwrócił się do swych podwładnych z taką miną, jak sierżant musztrujący poborowych.

— Proszę państwa, nasze zadanie jest proste. Mamy przeprowadzić próby elektroniki lotniczej, uzbrojenia, wyposażenia i oprogramowania w samolocie B-52 model India. Wyniki prób będą wykorzystane w specjalnie przygotowywanym bombowcu. Najpierw musicie poznać ten samolot jak własną kieszeń. Przydzielimy wam konkretne zadania i powinniście wykorzystać każdą minutę, aby się do nich przygotować. Nie ograniczajcie się tylko do własnej specjalności. Musicie dokładnie zapoznać się z obowiązkami i zadaniami wszystkich pozostałych członków zespołu. Ze względu na konieczność zachowania tajemnicy, loty będą się odbywać w nocy. Całe popołudnie, od trzynastej do osiemnastej, przeznaczymy na ich przygotowanie, a trzy godziny przed startem rozpoczniemy odprawę. Lot trwa cztery godziny. Po wylądowaniu kolejne trzy godziny zajmie omówienie wyników. Potem ośmiogodzinna przerwa na odpoczynek. W te dni, kiedy samolot będzie niedostępny, wykorzystamy symulator. Wtedy plan będzie następujący: pięć godzin na przygotowanie i odprawę, pięć godzin ćwiczeń, trzy godziny na podsumowanie.

Anderson zaczął przechadzać się przed zebranymi, lustrując każdego od stóp do głów.

— Proszę pamiętać — kontynuował — że nie jesteśmy w laboratorium naukowym, w biurze czy na konferencji. Tworzymy ściśle tajny oddział i realizujemy bardzo ważne zadanie. Nasza praca musi być wykonana dokładnie i szybko, od tej chwili zatem będziemy postępować tak jak w warunkach bojowych. Nie ma mowy o urlopach, opuszczaniu zajęć, zwolnieniach lekarskich czy wolnych dniach. Nie wolno przyjmować gości, prowadzić rozmów telefonicznych, musicie skupić się wyłącznie na tej pracy. Zrozumieliście? Spotkamy się jutro w południe. Do tego czasu macie się zapoznać z całą dokumentacją techniczną modelu „I”. Będziemy omawiać jej szczegóły... Jakies pytania?

Cisza.

— Panie generale? — zwrócił się Anderson do Elliotta.

Generał pokręcił przecząco głową.

— Radzę się na jutro dobrze przygotować — powiedział Anderson z pogroźką w głosie. — Jesteście wolni.

Wszyscy w milczeniu opuścili salę, bojąc się odezwać w obecności pułkownika. Pozostali tylko Elliott, McLanahan i Briggs.

— Cholerny skurwysyn — zaklął Hal.

— Zdaje się, że praca pod jego kierunkiem będzie prawdziwą przyjemnością — powiedział z przekąsem Patrick. — Dziękuję, panie generale, za udział w tym zadaniu specjalnym.

— Drobiazg, nie ma za co — odpowiedział Elliott z uśmiechem. — Mam nadzieję, że zdązysz się do jutra dobrze przygotować, bo już podwójnie podpadłeś.

— Wiem. Po pierwsze jestem nawigatorem, a po drugie nie jestem Mentzerem. Kto to jest ten Mentzer?

— Inżynier lotniczy, specjalista od aeronautyki. Współpracował z Andersonem przez pięć lat — wyjaśnił Briggs.

— Były jakieś przeszkody w zatrudnieniu go?

— Hal dogrzebał się czegoś w jego papierach. Zbyt dużo zachodzących na siebie zajęć. Nasz Hal jest bardzo podejrzliwy, ale jak dotąd nie zawiodłem się na jego intuicji.

— Dziękuję, panie generale.

— No, pamiętaj, że nie ma ludzi nieomylnych — zaśmiał się Elliott.

— Ciekawe, jak zareaguje Anderson, gdy się dowie, że to jakiś porucznik odsunął Mentzera od Old Doga. Dopóki jednak wszystko się nie wyjaśni, nie dopuszczę go do udziału w pracach zespołu — powiedział Briggs.

— Wówczas będę mógł opuścić ten dom wariatów? — spytał półzartem Patrick.

— Mentzer konstruuje bomby, ale nie potrafi ich zrzucać. A ty robisz to lepiej niż ktokolwiek inny — odrzekł Elliott.

McLanahan spojrział na Briggsa.

— Hal, zorganizuj trochę piwa, bo inaczej nie wytrzymam do rana nad tymi papierzyskami.

— Jeśli chodzi o piwo, możesz zawsze na mnie liczyć.

Gdy już wyszli na zewnątrz, Patrick zauważył Wendy Tork.

Stała samotnie na placu przed barakiem zajmowanym przez kobiety. Przeprósivszy Elliotta i Briggsa, podszedł do niej.

— Nie poznałem cię w pierwszej chwili. Zmieniły cię te okulary.

— Witam króla zawodów. Co słyhać?

— Nie narzekam... Chociaż wygląda na to, że Anderson da nam nieźle popalić. Mam ochotę zrzucić go z Old Doga zamiast bomby ślizgowej Striker.

— Może nadarzy się taka okazja, ale pamiętaj, że za to nie dają nagród — odparła z uśmiechem.

— Rzeczywiście — zakłopotany Patrick zaczął szurać butem po ziemi, nie wiedząc co dalej mówić.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wtedy, że jesteś ekspertem od zakłócania elektronicznego? Sądziłem, że pracujesz jako technik.

— Nie pytałeś. A poza tym byłeś tak podekscytowany swoim sukcesem, że nic cię poza tym nie interesowało.

— Ależ nieprawda! — wykrzyknął Patrick i natychmiast zdał sobie sprawę, że zaprzeczył ze zbytnią gorliwością. — To znaczy... bardzo mnie interesowało — brnął coraz dalej.

Wendy zaczęła iść w stronę swojego baraku; McLanahan starał się dotrzymać jej kroku.

— Hej, czytałem w dokumentacji o systemach elektronicznego zakłócania i prawie nic nie rozumiem. Myślę, że potrzebna mi twoja pomoc. Masz czas dziś wieczorem?

Wendy zatrzymała się.

— Dzisiaj wieczorem?

— Oczywiście, jeśli nie sprawi ci to kłopotu — dodał szybko.

Dziewczyna wahała się przez chwilę, obrzucając go badawczo spojrzeniem.

— Dobrze — powiedziała w końcu. — Spotkamy się po obiedzie.

— Świetnie. — Patrick pomachał jej, gdy wchodziła do baraku. Pomyślał, że mimo wszystko pobyt tutaj może być całkiem przyjemny.

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

Sekretarz generalny ONZ, Ian McCaan, otworzył posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. Natychmiast zabrał głos Gregory Adams:

— Panie sekretarzu generalny, mój rząd otrzymał pewne wyjaśnienia dotyczące incydentu, który był przyczyną naszej skargi przeciwko rządowi Związku Radzieckiego. Wobec tego strona amerykańska wstrzymuje się od przedstawiania dalszych dowodów na forum ONZ i zgadza się, by ambasador Karmarow złożył przed Radą Bezpieczeństwa oficjalne wyjaśnienie w odpowiedzi na postawione zarzuty.

— Czy mam rozumieć, panie ambasadorze — zapytał zbity z tropu Ian McCaan — że pański rząd wycofuje zarzuty przeciwko Związkowi Radzieckiemu?

— Niech mi będzie wolno wyjaśnić, panie sekretarzu generalny — wtrącił Dmitrij Karmarow. — Związek Radziecki prowadzi w spornej sprawie negocjacje ze stroną amerykańską. Ponieważ oskarżenie dotyczy centrum naukowo-badawczego, o którym mój rząd nie chciałby dyskutować nawet na zamkniętej sesji Rady Bezpieczeństwa, postanowiliśmy szukać rozwiązania konfliktu w bezpośrednich rozmowach ze Stanami Zjednoczonymi.

— Chciałbym jednak podkreślić — dodał Adams, patrząc prosto w oczy Karmarowa — że nadal podtrzymujemy zarzuty przeciwko Związkowi Radzieckiemu i w każdej chwili jestem gotów przedstawić na tym forum dowody oskarżenia.

— Ależ to zrozumiałe, panie ambasadorze — odpowiedział Karmarow. — Opierając się na ustaleniach naszych rządów, chciałbym złożyć następujące oświadczenie:

— W odpowiedzi na zarzuty Stanów Zjednoczonych Związek Radziecki opowiada się za formułą *nolo contendere*. Uznajemy, mimo braku przekonujących dowodów, że badania prowadzone w Kawazni mogły stanowić pewne trudne do określenia niebezpieczeństwo dla przebywającego w pobliżu samolotu amerykańskiego. Nie można jednak z całą pewnością stwierdzić, iż przyczyniły się one do jego zaginięcia. Rząd USA przyznaje, że samolot wywiadowczy RC-135 naruszył strefę rozpoznawczą obrony przeciwlotniczej, nie zgłosił planu lotu, nie nadał sygnału wywoławczego, nie uzyskał zgody od żadnej z radzieckich stacji kontroli lotów. Stany Zjednoczone nie chcą wprawdzie potwierdzić, że był to lot szpiegowski, ale...

— Ależ to nie oznacza...

— Chciałem powiedzieć — przerwał Karmarow, podnosząc znacznie głos — że

operatorzy obrony przeciwlotniczej, pełniący wówczas służbę, nie podjęli niezbędnych w takim przypadku działań ani nie powiadomili załogi samolotu o przeprowadzanych w tym rejonie badaniach, które mogły stanowić pewne zagrożenie. Pragnąc zachować pokój i dobre stosunki międzynarodowe, ZSRR wyraża gotowość współpracy w wyjaśnieniu przyczyn zaginięcia amerykańskiego samolotu szpiegowskiego. Ze swej strony Stany Zjednoczone zgadzają się, by Związek Radziecki nie odpowiadał na zarzuty oskarżenia aż do czasu zakończenia dochodzenia. Zwracamy się również do Rady Bezpieczeństwa, by do tego czasu wstrzymała się z orzeczeniem w sprawie spowodowania ewentualnego zagrożenia bezpieczeństwa lotu RC-135, jak i w sprawie przypuszczalnego zaniedbania obowiązków przez radziecką służbę ochrony przeciwlotniczej.

Karmarow pochylił się nad notatkami i czytał dalej monotonnym głosem.

— Związek Radziecki pragnie złożyć wyrazy ubolewania rodzinom tych, którzy zginęli u naszych wybrzeży. Zapewniamy zainteresowanych, że uczynimy wszystko, aby wyjaśnić okoliczności sprawy. Dziękuję.

Ostatnie zdania były wypowiedziane tak szybko, że tłumacz z języka rosyjskiego ledwie nadążył za Karmarowem. Ambasador odłożył notatki i podniósł wzrok na zebranych. Wstał Braunmueller, przedstawiciel Niemiec Wschodnich i wyciągnął ręce do Karmarowa.

— Towarzyszu ambasadorze, to było wspaniałe wystąpienie. Otwartość Związku Radzieckiego i chęć współpracy w dochodzeniu mogą być wzorem dla wszystkich.

— Przecież do niczego się nie przyznali — zaczął Adams, ale został zagłuszony przez tubalny głos Braunmuellera.

— Panie sekretarzu generalny, wnoszę o niezajmowanie stanowiska w tej sprawie do czasu, gdy dochodzenie będzie zakończone.

— Popieram wniosek — odezwał się inny ambasador.

— Ja również jestem zadowolony z gotowości Związku Radzieckiego do współpracy — odezwał się McCaan. — Zarządzam głosowanie.

Adams wstrzymał się od głosu. Tak jak się spodziewał, wniosek został jednomyślnie poparty.

— *Nemine contradicente* — ogłosił McCaan. — Proszę zaprotokołować, że głosowanie przebiegło jednomyślnie. Formuła *nolo contendere* ma być wniesiona do protokołu. Niniejszym oskarżenie przeciwko Związkowi Radzieckiemu zostało zawieszona na czas nieokreślony. Rada Bezpieczeństwa ONZ zwraca się z prośbą do rządu Stanów Zjednoczonych, by przyjął wyciągniętą dłoń i w pełni współpracował z rządem ZSRR przy wyjaśnieniu przyczyn katastrofy. Spodziewamy się również, że ze strony Waszyngtonu nie

będą stosowane żadne restrykcje czy sankcje z powodu tego zajścia.

DREAMLAND

McLanahan był zdany wyłącznie na siebie w dusznym pudle bombowca. Wprawdzie obok siedział Hal Briggs obserwując to, co działo się na dolnym pokładzie i robiąc notatki, jednak McLanahan pozostawał sam na sam z O Id Dogiem i jego urządzeniami.

Znajdowali się na wysokości trzystu stóp nad potężnymi, groźnie wyglądającymi pasmami górskimi Newady. Patrick obserwował ekran radaru pracującego w modzie śledzenia i naprowadzania. Szukał atakujących myśliwców. Gdyby jakiś zauważył, wówczas ustawiłby na nim kółeczko kursora i poinformował Camposa, że ma cel w zasięgu. Komputer przesłałby Scorpionom dane o odległości, azymucie, elewacji, kierunku i prędkości wiatru, niemal gwarantując skuteczność trafienia. Ale ekran już od kilkunastu minut był pusty. Wendy Tork, obsługująca elektroniczne systemy ofensywne, również nie meldowała o odbiorze sygnałów, świadczących o zbliżaniu się myśliwców. Lecieli zbyt blisko szczytów gór — na myśl o tym McLanahana przechodził zimny dreszcz.

Spojrzał na mapę. Niektóre z najwyższych grzbietów znajdowały się tuż przed nim i mimo że automatyczny system unikania przeszkód terenowych był sprawny, Patrick czuł się niewyraźnie, nie mogąc obserwować terenu na ekranie radaru.

Do cholery z myśliwcami, pomyślał. Jeśli zahaczmy o szczyt, to nic nas nie będą obchodzić. Nie mógł dłużej znieść myśli, że ich bezpieczeństwo zależy całkowicie od supernowoczesnej aparatury dwudziestego pierwszego wieku, kierującej dwustutonowym bombowcem. Przełączył radar. Na martwym dotychczas ekranie pojawił się obraz terenu w zasięgu dwudziestu mil wokół Old Doga. Prowadzony przez satelity i małą kasetę z danymi o ukształtowaniu terenu, bombowiec automatycznie wznosił się i nurkował, trzymając się możliwie nisko nad ziemią. Satelity krążące po geostacjonarnych orbitach, oddalonych o dwadzieścia trzy tysiące mil, informowały go dokładnie o położeniu. System nawigacyjny INS, wskazywał kierunek lotu, a komputer, pamięć ROM oraz kasecja z danymi, informowały samolot o ukształtowaniu terenu.

Komputer przekazywał dane do automatycznego pilota, ten z kolei zmuszał Old Doga — co za głupia nazwa, pomyślał McLanahan — do wznoszenia się lub nurkowania, tak aby samolot pozostawał zawsze kilka stóp ponad ustawioną minimalną odległością od ziemi. Proste.

Tyle że to wszystko się nie sprawdzało.

Ekran radaru był prawie całkowicie ciemny, ale z zupełnie innego powodu. Znajdujące się

przed nimi pasmo górskie długości pięciu mil przewyższało o siedemset stóp dotychczasowy pułap lotu bombowca. Za górami rozpościerał się głęboki cień. Promieniowanie radaru odbijało się od grani jak od muru.

McLanahan zdawał sobie sprawę, że jeśli cień za grzbietem górskim będzie się powiększał, zamiast zmniejszać, to w końcu muszą się rozbić. Przy prędkości ponad siedemset stóp na sekundę bombowiec o wadze dwustu ton roztrzaska się o grań na drobne kawałki. Odczyt wysokościomierza radarowego migał na ekranie, ostrzegając, że samolot znajduje się poniżej minimalnej wysokości przejścia nad szczytem.

McLanahan spojrzął na przyrządy kontroli lotu. Wskaźnik prędkości pionowej informował, że się wznoszą, ale Patrick czuł, że działo się to zbyt wolno. Od grani dzieliły ich zaledwie trzy mile, a czarny cień za nią wypełniał już prawie cały ekran.

— Wzniesienia w odległości trzech mil — zameldował przez telefon pokładowy.

— Nie otrzymuję sygnałów z radaru śledzącego — odezwał się Campos.

Patrick szybko spojrzął na uwagi, które poprzedniego dnia naniósł na mapę.

— Wzniesienie na wysokości ośmiu tysięcy stóp — meldował. — Na ekranie brak obrazu terenu poza grzbietem. Miga lampka ostrzegawcza wysokościomierza radarowego.

Komputer do unikania przeszkód terenowych, w który wyposażony był bombowiec, zaprojektowano dla samolotów B-1 Excalibur i FB-111. Rozpoznawał ukształtowanie terenu i obliczał prędkość wznoszenia tak, aby samolot mógł przelecieć nad górami z jak najmniejszym zapasem ponad zaprogramowaną przez pilota wysokość minimalną.

Montując go w B-52, konstruktorzy nie uwzględnili, że moc tego olbrzymiego bombowca jest niedostateczna, aby zrealizować polecenia komputera. Zbliżając się do grzbietu, samolot powinien lecieć na wysokości większej od wyznaczonego minimum. I to znacznie większej. Old Dog wznosił się zdecydowanie za wolno.

— Pilot, ostro w górę! — rozkazał McLanahan.

Wskazanie prędkości pionowej skoczyło do wartości prawie trzykrotnie wyższej niż poprzednio. Manetki pchnięte do oporu wyciskały z silników ostatnie poty. Mimo to, w miarę jak Old Dog zwiększał wysokość, prędkość gwałtownie spadała.

Prawie cały ekran radaru był czarny. Już tylko mila dzieliła ich od grani... Tylko osiem sekund...

W momencie gdy Old Dog przelatywał nad grzbietem górskim z prawie minimalną prędkością bezpieczną dla małej wysokości, wysokościomierz radarowy wskazywał mniej niż sto stóp. Gdy tylko minęli grań, automatyczny pilot natychmiast skierował nos bombowca w dół, ale McLanahan uspokoił się dopiero wtedy, gdy samolot ponownie zwiększył prędkość o

dwieście węzłów, które wytracił podczas ostrego wznoszenia, i znalazł się na bezpiecznej wysokości.

— Przestrzeń w obrębie piętnastu mil wolna od przeszkód terenowych — zameldował.

— Przerwać ćwiczenie! — odezwał się pułkownik Anderson przez telefon pokładowy.

Cyfrowe odczyty i obraz na ekranie radaru zamarły. Patrick odchylił się na oparcie fotela i, otarłszy pot z czoła i dłoni, pociągnął łyk ze stojącej przed nim puszką.

— McLanahan, co to wszystko miało znaczyć, do cholery! — krzyknął Anderson.

Patrick przezornie ściszył telefon pokładowy, a Briggs, siedzący obok w nowo zainstalowanym fotelu drugiego nawigatora, na wszelki wypadek zdjął z głowy hełmofon.

— O co panu chodzi, pułkowniku?

— O te komunikaty. Teren siaki, teren owaki. To nie twoja sprawa.

— Jak to nie moja sprawa? Moim głównym zadaniem jest dbać o bezpieczeństwo samolotu.

Harold Briggs wykonał nieprzyzwoity gest pod adresem Andersona. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż pułkownik wraz z Ormackiem znajdowali się w symulatorze B-52, jakieś dwieście mil od nich, elektronicznie połączeni z komputerem na pokładzie Old Doga. Wendy Tork, która również brała udział w tych ćwiczeniach, siedziała w komputerowym centrum badawczym, oddalonym o dwadzieścia mil od Andersona, a Campos i Pereira znajdowali się na stanowisku kierowania ogniem, gdzieś na terenie Dreamlandu. Oni także byli podłączeni do komputera kontrolującego ćwiczenie. Tylko Briggs i McLanahan znajdowali się w Old Dogu, który wciąż stał w hangarze w Groom Lake. Komputer symulował warunki prawdziwego lotu, a oni musieli na nie odpowiednio reagować.

— McLanahan, nie zapominaj, że masz tam komputer wart kilka milionów dolarów. Zapewniam cię, że on reaguje na przeszkody terenowe szybciej i lepiej niż ty — krzyczał Anderson. — Po co meldujesz o wzniesieniach? Jeśli będą mi potrzebne te informacje, zawsze mogę wyświetlić je na ekranie. Ja też widziałem, że wysokościomierz miga. Nie było powodu, abyś zaśmiewał eter takimi bzdurami.

— Chciałem panu zwrócić uwagę, że w momencie gdy powinniśmy być siedemset stóp powyżej ustalonego minimum, znajdowaliśmy się pięćdziesiąt stóp poniżej. Gdyby system działał prawidłowo, zaczęlibyśmy się wznosić jakieś trzy mile wcześniej i przelecielibyśmy dwieście stóp ponad granią. A my mieliśmy tak małą prędkość, że z trudem wywalczyliśmy sto stóp zapasu, i to chyba tylko dzięki wiatrom wznoszącym. Doszło prawie do trzepotania i wygaszenia silnika. System nie powinien dopuścić do tego, by wysokościomierz zaczął migać, a już na pewno nie wtedy, gdy znajdowaliśmy się tak blisko szczytu.

Andersonowi zabrakło argumentów, ale kto inny przyszedł mu z pomocą.

— Przepraszam, kapitanie — wtrącił Campos. Jego głos, przekazywany za pośrednictwem „bezpiecznej” linii transmisyjnej, brzmiał głucho. — Proszę zrozumieć sytuację, w jakiej pan się znalazł. Właśnie w tej chwili ma pan przed sobą, w zasięgu radaru, dwa atakujące myśliwce. Powinien pan skoncentrować się na nich i zdecydowanie więcej czasu poświęcić na pracę w modzie śledzenia i naprowadzania niż obrazowania terenu. Detektor zagrożeń reagujący na sygnały radarowe wroga może

zainicjować odpalenie Scorpionów, ale bez informacji o odległości, elewacji i pozostałych danych, szansę na trafienie z dużej odległości są nikłe. Główny radar jest potrzebny do naprowadzania Scorpionów.

— Poza tym — odezwał się podpułkownik Ormack — to tylko ćwiczenia. Podczas lotów symulowanych dane o ukształtowaniu terenu nie są zbyt precyzyjne. Z kasetą do działań bojowych będzie inaczej. W tej chwili nie jest ważne, czy jakiś szczyt podrapie nas trochę po brzuszku, czy nie. Chodzi tylko o to, by każdy dobrze przećwiczył powierzone mu zadanie. Dopóki nie znajdziemy się w pobliżu celu, pańskim zadaniem jest ułatwienie naprowadzania rakiet. A nawigację pozostawmy komputerowi.

McLanahan przetarł oczy i westchnął głęboko.

— Ale bzdury — powiedział do Briggsa.

— Nie przejmuj się, stary. W końcu ty odgrywasz tutaj najważniejszą rolę i muszą się z tobą liczyć. •

— Akurat. Jestem tylko pasażerem. I to zdaje się niezbyt potrzebnym.

— Coś jak zbędny balast?

— Dziękuję. Trafnie to ująłeś.

— Uwaga — zwrócił się Anderson do swojej rozproszonej załogi — pięć minut przerwy i zaczynamy od początku. McLanahan, tym razem masz znaleźć te myśliwce, zanim nas zaatakują.

Patrick przywołał wprowadzony wcześniej do komputera plan ćwiczenia oraz współrzędne punktu jego rozpoczęcia i teraz obserwował, jak odczyt

współrzędnych zaczął się powoli cofać, by w końcu osiągnąć wartość odpowiadającą początkowi lotu na małej wysokości.

— Hal, chcesz zobaczyć, jak wygląda zderzenie z górą? To patrz teraz na ekran.

— Ja kiedyś widziałem — dobiegł z tyłu czyjś głos.

McLanahan odwrócił się i zobaczył Elliotta. Generał siedział w tylnej części kabiny nawigatorów i, robiąc notatki, słuchał ich rozmów z Andersonem.

— A, witam, generale z Krainy Koszmarnych Snów. Jak nam idzie?

— Patricku, nie chciałbym podważać autorytetu Andersona, ponieważ jest doświadczonym pilotem i włożył dużo pracy w projekt, ale kieruj się własnym instynktem i wiedzą. Wszyscy pozostali mają bezgraniczne zaufanie do tych urządzeń, gdyż brak im twojego doświadczenia. Anderson i Ormack widzieli sygnały ostrzegające o zejściu poniżej minimalnej wysokości, ale zlekceważyli je. Obserwuj więc zarówno myśliwce, jak i teren według własnej oceny.

Generał rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu nawigatorów, ważąc dalsze słowa.

— Patrzyłem, jak pracujesz. Zdajesz się wyczuwać myśliwce, nim wykryją je detektory. Ustawiasz radar na ŚLEDZENIE jeszcze przed meldunkiem Wendy o ich zbliżaniu się i przechodzisz na OBRAZOWANIE TERENU w samą porę, by uniknąć zderzenia z górą.

— Panie generale, dziękuję za dobre słowo. Mój szósty zmysł, czy jakkolwiek by to nazwać, każe mi wycofać się z tej zabawy, zanim pułkownik

Anderson rozbije nasz samolot gdzieś w centrum Las Vegas.

— Pomówimy o tym później. — Elliott włączył telefon pokładowy. — Pułkowniku Anderson, tu generał Elliott. Kończymy na dzisiaj. Chcę, aby wszyscy zebrali się w sali odpraw możliwie najszybciej.

— Tak jest — odpowiedział Anderson. — Przyjedziemy tam z pułkownikiem Ormackiem za dwie

' godziny. Spodziewam się, że wszyscy będą już obecni. — Każdy kolejno potwierdził polecenie pułkownika i linia transmisyjna została wyłączona.

— Panie generale, o co chodzi? — spytał Briggs z niepokojem. Elliott wyglądał blado w półmroku czerwono oświetlonej kabiny.

McLanahan z jakiegoś powodu odzyskał nagle dawny(spokój i równowagę.

— Idziemy w odstawkę, Patricku — powiedział generał, marszcząc brwi. — Otrzymałem właśnie wiadomość, że projekt Old Dog wypadł z planu.

— Czy to oznacza, że...

— Przykro mi, ale nie oznacza to dla ciebie powrotu do domu. Udało mi się przedłużyć twój pobyt w Dreamlandzie. Niestety, nie było to możliwe w przypadku pracowników cywilnych, będzie tu więc znacznie spokojniej. Możemy zwolnić trochę tempo, gdyż wyniki prac nad Old Dogiem nie są już pilnie potrzebne. Zapewniam was jednak, że roboty nam nie zabraknie.

McLanahan popatrzył na niego sceptycznie.

— Przykro mi — dodał generał — ale nie mogę nic więcej powiedzieć. No, chodźmy na zimne piwo, zanim wszyscy się tam zjawią.

— Co ja słyszę! — ucieszył się Briggs.

— Myślałem tylko o Patricku — odpowiedział Elliott.

Wszyscy trzej opuścili samolot. Na zewnątrz czekali już technicy, by spuścić paliwo do cystem i zasłonić pokrywami wloty silników. Podjeżdżały wózki do transportu uzbrojenia.

Elliott zatrzymał się na chwilę i obserwował krzątanie robotników przy Old Dogu. Potem wyszedł wraz z McLanahanem i Briggsem z hangaru.

PIĘĆDZIESIĄT MIL NA WSCHÓD OD KAWAZNI, NA PÓLNOCNYM PACYFIKU

Na północnym Pacyfiku szalał sztorm. Wzburzone fale miały trzydziestometrowym kutrem rybackim. Samotny mężczyzna na wściekle kołyszącym pokładzie przywarł do stalowego masztu. Pod sztormiakiem miał kilka podszytych futrem kurtek. Z wysiłkiem odrąbywał z kabestanu bryły lodu. Deszcz zamarzał na jego rękawicach i gumowy młotek z pewnością wysunąłby mu się z rąk do morza, gdyby nie był przymocowany do nadgarstka grubym rzemieniem.

Ogromne fale rozbijały się o nadburcia i zalewały pokład. Mimo maski ochronnej na twarzy zamarzający pył wodny siekł mężczyznę w policzki. Nie musiał już walczyć o utrzymanie się na śliskim, tańczącym pod nogami pokładzie, gdyż buty przymarzły do metalowej powierzchni.

Nagle poprzez huk fal i wycie wichru przedarł się potężny, niski warkot. Mężczyzna uchwycił się mocniej kabestanu i z niechęcią odwrócił wzrok ku morzu. Od mroźnego podmuchu poczuł ostry ból w gałkach ocznych. Zmrużył powieki i wpatrywał się w horyzont, próbując zorientować się, skąd pochodzi narastający hałas.

W pewnej chwili zobaczył samolot, który niczym gigantyczny drapieżny ptak wyłonił się z gnanych wiatrem chmur i niemal poziomych strug lodowatego deszczu. Wyrównał lot tuż nad spienioną powierzchnią oceanu i kierował się wprost na kuter.

Mężczyzna wypuścił z ręki młotek, pozwalając, by zawisł na rzemieniu i, sięgnąwszy do kieszeni sztormiaka, wyciągnął mały radiotelefon. Odwrócił twarz od wiatru i nadlatującego intruza, pochylił się do przodu, zsunął z twarzy maskę i włączył mikrofon.

— Mostek, tu Marceaux. Bear zbliża się od lewej burty.

Usłyszał jakąś odpowiedź, ale była zbyt cicha, by ją mógł zrozumieć. Nie miała zresztą znaczenia. Najważniejsze, że odebrano jego meldunek. Nie mógł już dłużej wytrzymać stania z nie osłoniętą twarzą. Schował radiotelefon do kieszeni, zapiął ją dokładnie i odwrócił się, by obserwować samolot.

Był to jeden z radzieckich bombowców Bear, od kilku dni nękających kuter. Ten okazał się na tyle bezczelny lub nierozsądny, że wyłonił się z chmur, by gołym okiem zobaczyć statek.

Wyglądał naprawdę imponująco. Największe wrażenie robiły cztery niezgrabne turbośmigłowe silniki pod olbrzymimi skrzydłami. Każdy miał po dwa czteropłatowe śmigła,

co stanowiło rzadkość w tak dużych samolotach. Dzięki śmigłom silniki robiły znacznie mniej hałasu. Ich warkot nie nasilał się, choć bombowiec był coraz bliżej. Mimo słabej widoczności Marceaux bez trudu dostrzegł olbrzymie czerwone gwiazdy pod skrzydłami. Dwie ko

pułki anten radarowych na spodniej części kadłuba świadczyły o tym, że był to znacznie zmodyfikowany model morskiego samolotu rozpoznawczego typu Bear-F. Podczas przeróbek na każdym skrzydle umieszczono wspornik z sześcioma pociskami typu AS12 do niszczenia statków. Były to kopie rakiet Harpoon, używanych przez Marynarkę Stanów Zjednoczonych. Marceaux zastanawiał się, po co bombowiec miał aż tyle rakiet. Przecież wystarczyłaby tylko jedna, by zatopić ich starą krypę.

Bear przeleciał nad dziobem USS Lawrence, naruszając przepisy prawa morskiego, a zarazem dając bezpośrednie ostrzeżenie załodze. Z powodu ogromnych rozmiarów bombowca miało się wrażenie, że przeleciał tuż nad statkiem, ale Marceaux ocenił jego wysokość na około tysiąc stóp, czyli minimum określone przepisami międzynarodowymi.

Mimo stosunkowo cichych silników turbośmigłowych ryk bombowca przedarł się przez odgłosy szalejącego sztormu, przydając gwałtowności jego atakom.

— Cochon! — krzyknął za bombowcem Marceaux, ale huk silników zagłuszył wyzwisko. Po chwili samolot wznosił się wyżej i zniknął w chmurach. Mężczyzna odczekawszy chwilę, by upewnić się, że bombowiec nie wraca, powoli i ostrożnie przeszedł po oblodzonym pokładzie do włazu na śródokręciu. Na dole od razu objęło go miłe ciepło. Marceaux rozpiął sztormiak, zasypując podłogę kawałkami lodu, i wepchnął go do jednej z szafek w kajucie załogowej. Gdy zrzucił z siebie kolejne futrzane kurtki, podszedł do niego bosman.

— Zgłoś się natychmiast do sekcji wywiadu — powiedział, klepiąc Marceaux po plecach.

— O rany, szefie! Przemarzałem do szpiku kości — zaprotestował marynarz. — Byłem na górze przez...

— Do wywiadu. I to biegiem!

Chcąc nie chcąc, Marceaux minął kambuz, skąd dochodził zapach świeżo parzonej kawy, i skierował się do ładowni.

Sekcja wywiadu jednostki udającej kuter rybacki Lawrence mieściła się w dawnej ładowni, wykorzystywanej niegdyś do wstępnego przerobu ryb. Stały tam jeszcze urządzenia do filetowania i mrożenia. Od dawna były nieczynne i służyły tylko jako atrapy. Prawdziwe wyposażenie stanowiły elektroniczne czujniki, odbiorniki i nadajniki radiowe, mapy i komputery. Cały ten sprzęt był obsługiwany przez kilku osowiałych mężczyzn.

Szef wywiadu, komandor-podporucznik Markham, wchodził właśnie do środka. W ręce

niósł kubek z parującą kawą.

— No i co? — zapytał podając zmarzniętemu marynarzowi gorący napój. Marceaux jednym haustem opróżnił kubek do połowy. — A teraz złóż mi raport, zanim wpiszesz się do dziennika.

— Merci, komandorze. Bear-F. Wersja morska, przystosowana do niszczenia statków. Nie byłem w stanie odczytać numerów rozpoznawczych. Dwie anteny radarowe. Jedna z przodu, druga z tyłu. Kopuły obserwacyjne pośrodku i z tyłu; nie zauważyłem, czy ktoś w nich był. Luk kamery K7 na spodzie kadłuba — otwarty. Końcówka do tan

kowania mocno oblodzona. Nie do użytku. Łącznie dwanaście rakiet AS12, po sześć na każdym skrzydle, z miejscem na dwie dodatkowe. Komora bombowca zamknięta, ale nie zaryglowana. Skrzydła oblodzone na całej powierzchni. Pilot miał tres grands bouettes.

— Wysokość, prędkość?

— Przepisowe tysiąc stóp, chociaż przeleciał bezpośrednio nad dziobem. Prędkość dwieście węzłów, mimo że klapy nie opuszczone. Nisko i wolno.

— Przekazał ostrzeżenie przez radio. Powiedział, że jesteśmy zbyt blisko Wyspy Karagińskiej.

Marceaux wzruszył ramionami. — I tak dobrze, że ograniczył się tylko do ostrzeżenia. Mógł użyć mocniejszych argumentów.

— Gdyby spróbował odpalić rakiety AS12, to na pewno wpadłyby do morza — powiedział Markham, sięgając po stojący na bufecie dzbanek z kawą. — Może nasłać na nas kumpli z marynarki, ale myślę, że przy takiej okropnej pogodzie to chyba nierealne.

— Śledzi nas jeszcze?

— Nie, szybko odleciał w stronę lądu. Musiał być mocno oblodzony. A swoją drogą brawurowy facet, żeby się odważyć na lot w takiej marznącej mżawce.

— Myśli pan, że nas rozszyfrowali?

— Już od dawna nie mają wątpliwości, że jesteśmy statkiem wywiadowczym — odpowiedział Markham, napełniając kubek kawą. — Ale chyba

13 — Ostatnia misja...

coś się tam musi dziać, skoro zaryzykowali wysłanie samolotu w taką pogodę.

Gdy Marceaux ponownie napełniał kubek, Markham podszedł do jednej z konsol operatorskich wyposażonych w ekrany przypominające lampy oscyloskopowe.

Uwagę komandora przyciągnęły dwa dziesięciocalowe ekrany, obsługiwane przez siwego operatora. Popijając kawę, Markham spoglądał na nie ponad ramieniem technika. Obrazy sygnałów na obydwu ekranach, choć całkowicie różne, były ze sobą idealnie

zsynchronizowane. Pojawiały się i znikwały równocześnie.

— Garrity, czy są jakieś zmiany? — zapytał Markham.

Operator pokręcił przecząco głową i dodał:

— Komunikują się ze sobą. To pewne. — Podał komandorowi wydruk z komputera i wskazał lewy ekran. — Częstotliwości, czas i treść przekazu. Wszystkie dane zakodowane i gotowe do przesłania. Kawaznia nadaje coraz silniejszy sygnał. A ten — wskazał na prawy ekran — jest ciągle słaby, ale idealnie zsynchronizowany.

— Zidentyfikowaliście go?

Garrity podstroił lekko przyrząd i odchylił się na oparcie krzesła.

— Mogę tylko zgadywać. Łącze satelitarne do przekazywania danych.

— Satelita? Czyżby radar w Kawazni miał łączność z satelitą?

— Może nawet z dwoma — odparł Garrity. — Zdaję sobie sprawę, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale wydaje mi się, że na tle sygnału radarowego

ciągle widzę sygnał cyfrowy. Jest trochę niesynchronizowany z dwoma pozostałymi...

— Co to może oznaczać?

— To oznacza, że Kawaznia i ten drugi mogą się ze sobą komunikować. — Garrity przetarł oczy i mówił dalej. — Kawaznia wysyła jednak nie tylko sygnał radarowy, ale również przekazuje dane.

— Jakie to mogą być dane? — spytał Markham, usiłując zrozumieć, o co chodzi operatorowi.

— To wszystko są tylko moje domysły. — Garrity pokręcił głową.

— Próbuje zgadywać dalej. Operator ponownie przetarł oczy.

— Chyba sygnały sterujące.

Gdy Markham pochylił się nad pulpitem, by lepiej widzieć, operator wskazał na ekrany i wyjaśnił:

— Tu i tu. Kawaznia i satelita informują się nawzajem o swoim położeniu. I wtedy Kawaznia wysyła to... — Garrity narysował kółko na kartce wydartej z notesu i odtworzył sygnał nadawany z Kawazni. — Dokładnie tutaj. Pojawia się co jakiś czas. — Narysował krzywą, biegnącą prawie równoległe do sygnału nadawanego z Kawazni, ale o znacznie mniejszej amplitudzie, trochę innej częstotliwości lub kształcie. — Najistotniejsza różnica polega na przesunięciu sygnałów w czasie. Korelacja czasowa między sygnałami Kawazni i satelity jest oczywista. Ale Kawaznia przekazuje sygnały jeszcze komuś innemu. I chyba nie są to informacje o położeniu, raczej sygnały sterujące.

— Sterujące? Czym?

— Nie wiem. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Nawet nie jestem pewien, czy to naprawdę widzę. Transmisja danych na tle transmisji radarowej? — Garrity pokręcił głową.

— Jestem na służbie już od osiemnastu godzin. Może to tylko wytwór mojej wyobraźni. '

— Zakoduj to.

Operator spojrział na komandora ze zdumieniem.

— Co mam zakodować?

— Dokładnie to, co mi powiedziałeś. Wszystko.

— Przecież to tylko moje przypuszczenia. Nie mam nic konkretnego. Komputer nie potwierdził żadnego z moich domysłów co do roli tego drugiego sygnału.

— To nieważne. Mamy przekazywać wszystko, czego się dowiemy o Kawazni. Polecenie przyszło od kogoś z samej góry. A więc zakoduj to, daj staremu do podpisu i wyślij.

— Nie wiemy nic pewnego — zaprotestował operator. — To tylko domysły, w dodatku niczym nie poparte.

— Słuchaj, Garrity. Tu coś się święci. W taką potworną pogodę Rosjanie ryzykują wysłanie bombowca za pięćdziesiąt milionów rubli tylko po to, żeby nas przepłoszyć? Kawaznia uaktywniła się.

— Przecież już od kilku dni jest aktywna.

— Więc jak to możliwe, że poprzednio nie widziałeś tych dodatkowych sygnałów?

Garrity nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Coś się szykuje i jesteśmy w to zamieszani — I' powiedział Markham. — Zakoduj dokładnie wszystko, co mi powiedziałeś i przekaż.

Garrity pokręcił głową.

— No cóż, pan tu jest szefem. Ale czy muszę , się pod tym podpisywać? Wyśmieją mnie.

— Jeśli twoje domysły się potwierdzą, to dostaniesz medal.

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH VANDENBURG, KALIFORNIA

Zamaskowana lokomotywa pokonywała zakręt na opuszczonej boczniczy kolejowej. Jechała z prędkością około dwudziestu mil na godzinę, bez wysiłku ciągnąc długi skład krytych wagonów.

W odległości ośmiu mil, w podziemnym centrum kontrolnym, grupa cywilnych techników z firm realizujących kontrakt informowała oficerów Sił Powietrznych o mającej się odbyć próbie.

— Panie Newcombe, poligon zgłasza gotowość — zameldował technik.

Newcombe, reprezentujący głównego wykonawcę, skinął głową.

— Niech czekają — powiedział. — Panie generale Taylor, panowie — zwrócił się do zebranych — właśnie otrzymałem meldunek, że poligon jest gotów. Wszystkie stacje śledzące Sił Powietrznych aż do Guam są gotowe do przeprowadzenia pierwszej próby nowej amerykańskiej broni strategicznej GLM-123 Javelin — małej międzykontynentalnej rakiety balistycznej, wystrzeliwanej z ruchomej wyrzutni, którą prasa pieszczotliwie nazwała Midgetman, czyli Karzelek. — Czy są jakieś pytania? — Newcombe przebiegł wzrokiem po twarzach obecnych.

Taylor pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się, zapalając fajkę z korzenia białego wrzosu. Znajdujący się w pokoju generałowie Sił Powietrznych współpracowali z Newcombem już od kilku lat. Taylor, dwugwiazdkowy generał, szef sekcji Broni Strategicznych Wydziału Systemów Aeronautycznych przy Dowództwie Logistyki Sił Powietrznych — był jego starym przyjacielem. Dzisiejsza próba, której sukces był właściwie przesądzony po wcześniejszych siedmiu udanych testach, zapewni Taylorowi trzecią gwiazdkę i kolejny awans. Sam Newcombe miał już w kieszeni stanowisko wiceprezesa firmy będącej głównym wykonawcą rakiety Javelin.

— Pociąg kursujący wahadłowo po próbnym torze reprezentuje typowy sposób rozmieszczenia rakiet Javelin — mówił Newcombe. — W jego skład wchodzi: lokomotywa, dwa wagony z wyrzutniami, dwa wagony ochrony i jeden wagon dowodzenia i sterowania. Wszystkie są specjalnie zabezpieczone przed tzw. efektem impulsu elektromagnetycznego, jaki wywołałby niedaleki wybuch jądrowy.

— Ed, a co będzie po podpisaniu nowego układu o ograniczeniu zbrojeń? — spytał jeden z adiutantów generała Taylora. — Fundusze na dalsze prace nad rakieta Javelin zostaną obcięte

w pierwszej kolejności.

— Oczywiście, wszyscy chcemy, by na świecie zapanował pokój — odparł Newcombe. — Podpisanie nowego traktatu rozbrojeniowego byłoby wielkim osiągnięciem. Niemniej jednak uważam, że badania należy kontynuować. Dzisiejsza próba będzie ukoronowaniem naszych wysiłków. Stany Zjednoczone otrzymają broń strategiczną nowego typu. Javelin jest najbardziej wszechstronnym rozwiązaniem tego rodzaju na świecie. Dzisiaj zademonstrujemy zaledwie jedno z wielu możliwych zastosowań tej rakiety — odpalenie jej z pociągu, znajdującego się w ruchu w kilkadziesiąt sekund po wydaniu rozkazu. Wierzcie albo nie, ale wypróbowaliśmy również inne techniki odpalenia. Javelin jest na tyle mała, że można ją wynieść samolotem transportowym — na przykład C5B czy zmodyfikowanym Boeingiem 747 — i po zrzuceniu na spadochronie odpalić w powietrzu. Nie wymaga silosu, wyrzutni czy łodzi podwodnej. Różne wersje Javelin przeszły pomyślnie tak zwane próby „słupów telefonicznych”. Wyrzucaliśmy te rakiety za burtę z pokładu niszczyciela. W wodzie ustawiały się pionowo, dając się zdalnie odpalić. Mają prawie nieograniczone możliwości i tę zaletę w stosunku do innych taktycznych czy strategicznych nośników ładunków jądrowych, że pomimo małych rozmiarów przenoszą trzy głowice, a nie jedną czy dwie. Javelin została tak zaprojektowana, iż może przenosić powracające głowice manewrujące, co byłoby szczególnie ważne, gdyby Sowieci w przyszłości powrócili do idei antybalistycznej obrony raketowej. Jeśli porozumienie w sprawie redukcji zbrojeń zostanie ratyfikowane, to może okazać się korzystne zastąpienie rakiet Cruise i broni grawitacyjnych rakietami Javelin. — Generał Taylor przytakiwał entuzjastycznie, oczyma wyobraźni widząc już czwartą gwiazdkę na swoim mundurze.

Newcombe podszedł do mapy linii kolejowej, przebiegającej przez teren Bazy Sił Powietrznych Vandenburg.

— Ruchoma wyrzutnia jeździ już po torze od kilku godzin. Za chwilę zademonstrujemy wystrzelenie rakiety w sześćdziesiąt sekund od wydania rozkazu. Poinformowaliśmy załogę pociągu, że odpalenie rakiety jest zaplanowane na dzisiejsze popołudnie. Są całkowicie odizolowani i nie mają pojęcia, że w rzeczywistości nastąpi ono za chwilę. Po otrzymaniu rozkazu pociąg natychmiast się zatrzyma. Nieprzerwanie pracujący układ nawigacyjny z żyroskopem laserowym przekaże do systemu sterowania rakietą informacje o pozycji pociągu i wskazaniach żyroskopu. Zanim rakietą będzie gotowa do wystrzelenia, podnośnik ustawi ją w pozycji do odpalenia, a załoga uzyska potwierdzenie rozkazu prezydenta.

Newcombe sprawdził pulpit sterowniczy i wskazując na mapę, powiedział:

— Generale, załoga znajduje się dokładnie tutaj, osiem mil na południe od naszego

stanowiska. Powinniśmy stąd wszystko widzieć. Teraz czekamy tylko na pana rozkaz.

Generał Taylor spojrzął na zegarek.

— Jest dokładnie godzina dziesiąta. Zaczynamy. Newcombe wskazał generałowi duży czerwony przycisk na pulpicie sterowniczym, Taylor go nacisnął, a Newcombe włączył zegar. Wszyscy obecni odruchowo spojrzeli na swoje zegarki.

— Panowie, proszę za mną — powiedział generał. Wyszli na zewnątrz, na rozległe piaszczyste wydmy porośnięte karłowatymi drzewkami. Newcombe ustawił się lewym ramieniem do słońca i wskazał na zachód.

— Rozkaz generała Taylora zaalarmował obsługę wyrzutni oraz stacje śledzące i telemetryczne. Oto przebieg kolejnych czynności. Pociąg zatrzymuje się. Otwierają się drzwi i pojemnik z rakieta ustawia się w taki sposób, że jego koniec, z dyszami wylotowymi silników, wystaje poza krawędź wagonu. Tymczasem załoga dekoduje rozkaz i występuje o jego potwierdzenie. Zanim otrzyma odpowiedź i wsunie swoje klucze, pocisk będzie gotowy do odpalenia, ponieważ wszystkie czynności są zautomatyzowane.

Newcombe spojrzął na zegarek. Minęło siedemdziesiąt pięć sekund. Podniósł oczy na otaczających go wojskowych.

— Mówiłem, panowie, że was zaskoczymy...

W tym samym momencie potężny grzmot przetoczył się nad wydmami. Kilku mężczyzn, nie wyłączając Newcombe'a, aż podskoczyło z wrażenia. Wszyscy spojrzeli na południe.

Z odległości ośmiu mil rakietę wyglądała jak mały, czarny punkcik, natomiast ciągnący się za nią półmilowy ognisty ogon był wyraźnie widoczny. Słup ognia wznosił się z coraz większą, wręcz nieprawdopodobną prędkością. Patrzący mieli uczucie, że dysze wyrzucają go bezpośrednio nad ich głowami.

— Kilka sekund opóźnienia — powiedział Newcombe, przekrzykując cichnący z wolna huk. — Efektowne widowisko, prawda? — Wyjął radiotelefon. — Centrum sterowania, mówi Newcombe. Przekazujcie nam aktualne dane telemetryczne.

— Zdumiewające — stwierdził generał Taylor. — Żeby wystrzelić raketę międzykontynentalną o zasięgu ośmiu tysięcy mil w czasie niewiele dłuższym niż sześćdziesiąt sekund...

— Javelin na wysokości sześćdziesięciu mil morskich, odległość siedemdziesiąt trzy mile — rozległ się głos operatora. — Odrzucenie pierwszego członu za czterdzieści sekund. Szybkość dochodzi do dwóch tysięcy mil na godzinę. Wysokość osiemdziesiąt trzy mile morskie. Odległość sto siedem mil.

— Imponujące — skomentował generał Taylor. — Bardzo udana próba.

— Panie generale, to dopiero początek przedstawienia — powiedział Newcombe. — Wkrótce przekażą nam dane telemetryczne z Guam i z Wysp Marshalla. Poznamy wtedy tor lotu głowic. Spodziewamy się, że błąd trafienia nie przekroczy stu stóp.

— Tylko sto stóp? — zdziwił się jeden z adiutantów generała. — Po pokonaniu przez rakietę ośmiu tysięcy mil? Przecież to...

— Nieprawdopodobne, wiem — uśmiechnął się Newcombe. To że Javelin jest mobilna i można ją odpalać na tyle różnych sposobów nie oznacza, że jest ona tylko minirakieta balistyczną. Jeśli idzie o dokładność, Javelin nie ustępuje rakiecie MX Peacekeeper, a jest przecież trzy razy mniejsza i o połowę tańsza.

— Javelin osiągnęła wysokość dwustu siedemdziesięciu trzech mil. Skręca w stronę morza. Jest w odległości trzystu mil — przekazywał operator. — Pierwszy człon pomyślnie odrzucony, nastąpił zapłon drugiego. Prędkość siedem tysięcy mil na godzinę. Systemy bezwładnościowe działają prawidłowo.

— Dalsze przekazy odbierzemy w pomieszczeniu gościnnym — powiedział Newcombe. — Szampan już czeka.

— Nieznaczna korekta kursu inercyjnego — zameldował kontroler. W jego głosie wyczuwało się napięcie. Zaskoczony Newcombe spojrzął na głośnik, przetarł twarz dłonią i pokrył zmieszanie szerokim uśmiechem. Zebrani niczego nie zauważyli lub nie dali tego po sobie poznać...

— Guam melduje, że Javelin podąża prawidłowym kursem. Jest teraz na wysokości czterystu mil morskich, w odległości tysiąca stu mil. — Nagle informacje zaczęły napływać coraz szybciej. — Javelin koryguje kurs... wróciła na właściwy tor... Znowu koryguje kurs... Przedwczesne odpalenie trzeciego stopnia. Guam melduje, że przestali odbierać sygnały telemetryczne z Javelin. Pan Newcombe proszony do centrum kontrolnego!

To wezwanie nie było konieczne, gdyż Newcombe już biegł w stronę centrum.

— Straciliśmy kontakt z Javelin. Straciliśmy kontakt z Javelin — powtarzał monotony głos.

NA POKŁADZIE USS LAWRENCE

— Meldować o stratach! Niech wszystkie sekcje meldują o stratach!

Komandor podporucznik Markham trzymał się kurczowo oparcia krzesła, by nie upaść. Z zaciśniętych dłoni odpływała cała krew. W sekcji wywiadu zgasły nagle wszystkie światła, tysiące lampek, wskaźników, wszystko. Co prawda włączyło się automatycznie parę układów zasilanych z akumulatorów, ale nie były one w stanie rozświetlić całkowitej ciemności pozbawionego okien pomieszczenia o stalowych ścianach.

Markham zastanawiał się, w jaki sposób nadawano rozkaz meldowania o uszkodzeniach. System łączności wewnętrznej musiał mieć podtrzymanie bateryjne. Komandor przesuwiał się po omacku między podwójnymi rzędami krzesel ustawionych po obu stronach przejścia do frontowej części pomieszczenia sekcji wywiadu. Tych, którzy się podnieśli, popychał, by z powrotem usiedli.

— Kelly, nie wstawaj. Nic się nie stało. Wysiadło tylko to cholerne światło. Sprawdź swoje urządzenia.

— Tak jest — usłyszał nieśmiałą odpowiedź. Markham dotarł do skrzynki radiostacji, umieszczonej na przedniej grodzi. To radio nie było prawie nigdy używane. Rozproszone promieniowanie, emitowane przez komputery sekcji, mogłoby zostać odebrane w promieniu wielu mil, gdyby tylko ktoś podniósł słuchawkę. Teraz Markham ją podniósł. Przez bardzo silny szum przebijał się czyjś głos.

— Sekcja wywiadu! Słyszycie mnie? Sekcja wywiadu!...

— Tu wywiad, mówi Markham! — krzyknął do słuchawki. — Mostek, tu Markham! Czy mnie słyszycie?

— Bardzo słabo — odpowiedział czyjś głos. Markham domyślił się, że był to pierwszy oficer, komandor porucznik Christopher Watanabe. — Meldujcie o uszkodzeniach!

— Jak dotąd, nie stwierdziliśmy żadnych uszkodzeń mechanicznych. Wysiadło zasilanie. Urządzenia nie działają!

— Zrozumiałem, nie ma uszkodzeń mechanicznych. Nie usłyszałem reszty. Przyślij natychmiast kogoś z informacją. Ogłaszam Pogotowie Żółte. Powtarzam. Pogotowie Żółte.

— Przyjąłem. — Markham odwiesił słuchawkę. — Uwaga, słuchajcie wszyscy! — zawołał głośno. — Jesteśmy w stanie Pogotowia Żółtego. Jeszcze raz sprawdzić swoje stanowiska. Meldować o uszkodzeniach. Kelly!

— Tak...,słucham pana? — odpowiedział drżący, nieśmiały głos.

— Chciałeś się stąd wydostać, to teraz masz świetną okazję. Chodź tutaj! — Młody marynarz podszedł do komandora. — Będiesz naszym łącznikiem. Nie wychodź na górę bez futrzanej kurtki i rękawic, kamizelki ratunkowej oraz liny ubezpieczającej. I pamiętaj, żebyś tym razem jej użył. — Markham odepchnął Kelly'ego na bok, usiłując dojrzeć coś w mroku pograżonej w bezruchu sekcji wywiadowczej. — Słuchajcie! Jeśli stwierdzicie jakiegokolwiek uszkodzenia, wodę, pęknięcia, gaz, podejrzaną dźwięki, natychmiast meldować. Nikt się nie zgłosił.

— Ruszaj, Kelly! Zamelduj Watanabe'owi, że nie ma uszkodzeń. Powiedz, że sam później złożę raport o sprawności sprzętu.

Kelly skinął głową na potwierdzenie i zniknął w czeluściach drzwi wejściowych, wyposażonych w bezużyteczny w tym momencie zamek magnetyczny.

Markham ruszył w kierunku rufowej części pomieszczenia, wypełnionego bardzo kosztownym, choć nieczynnym teraz sprzętem elektronicznym.

— Czy coś w ogóle działa? — spytał. — Podtrzymanie bateryjne? Bufory drukarek? Cokolwiek?

— U mnie nic — odpowiedział jeden z operatorów. — Ten nowy system podtrzymywania bateryjnego jest gównem wart. Całkiem wysiadł.

— Co to mogło być? — zapytał ktoś inny. — Wszystkie moje wyświetlacze i ekrany rozjaśniły się nagle, jakby pod wpływem przesilenia napięciowego, a potem... puf!

— Trudno — powiedział Markham, wkładając pomarańczową kamizelkę ratunkową. — Dopóki nie będzie zasilania, nic nie poradzimy. Pozbierajcie wszystkie swoje wydruki. Trzeba będzie użyć ręcznej maszyny do niszczenia dokumentów. Jeśli i ona okaże się niesprawna lub papierów będzie za dużo, wrzucimy wszystkie wydruki do worka i spalimy w śmietniku, na pokładzie. Masters, Lee, ubierzcie się i przynieście ten śmietnik. Nie ma sensu czekać, aż wkroczą tu Rosjanie.

Dwaj mężczyźni pośpieszyli na zewnątrz.

— Taśmy z drukarek, notatki, dzienniki, pisemne polecenia, brudnopisy — wyliczał głośno komandor, nadzorując przygotowania do niszczenia dokumentów. — Astelman, do cholery, włóż kamizelkę! — Markham podszedł do stanowiska Garrity'ego i pochylił się nad doświadczonym operatorem.

— Co to mogło być?

Garrity otworzył pokrywę kasety drukarki i zaczął z niej wyciągać taśmę. Gdy spojrzał na Markhama, w jego oczach malował się przestach.

— Widziałem, jak to nadchodziło — wyszeptał. — To było jak... jak fala energii.

Stopniowo narastała i w pewnym momencie zrobiło się ciemno.

— Kawaznia? — wyszeptał komandor. — Czy to przyszło z Kawazni?

Garrity przytaknął. Brudną ręką ocierał pot z czoła.

— Komandorze, skoro jeszcze żyjemy, to ten atak nie był skierowany na nas...

WASZYNGTON, KOLUMBIA

— Gdzież on się, do diabła, podziewa? — zapytał Curtis rzecznika prasowego prezydenta, Jacka Pledgema, który nie zwracał najmniejszej uwagi na czterogwiazdkowego generała. — Spóźnia się — dodał tak głośno, że wszyscy zebrani w Sali Konferencyjnej Białego Domu mogli go usłyszeć. Na szczęście zwrócili na niego uwagę tylko najbliżsi współpracownicy prezydenta i członkowie Gabinetu, przyzwyczajeni już do wybuchów generała. Kamerzyści i technicy byli zbyt zajęci przygotowywaniem sprzętu do pracy. Korespondenci akredytowani przy Białym Domu i inni dziennikarze czekali na zewnątrz, licząc, że uda im się dotrzeć do prezydenta w przejściu i zadać bezpośrednio pytanie, zanim rozpocznie się planowa poranna konferencja prasowa Gabinetu. Curtis niecierpliwie uderzał pięścią w otwartą dłoń.

— Kiedy się dowie, co...

— Generale, proszę ciszej — upomniął go Pledgeman. — Już nagrywają.

— Oni nie będą...

— Prosiłem pana...

Pledgeman nie zdążył dokończyć zdania, w tym bowiem momencie wszedł szybkim krokiem prezydent. Kobiety i mężczyźni, siedzący wokół podłużnego stołu, powstali. Tuż za prezydentem podążył tłum reporterów. Terkotały kamery i błyskały flesze.

Prezydent odgarnął z czoła gęste ciemnoblonde włosy i wskazując na krzesła, powiedział:

— Dziękuję państwu. Proszę siadać.

Nikt nawet nie drgnął. Wszyscy czekali, aż prezydent przekroczy zwoje kabli leżące na wzorzystym dywanie i zajmie swoje miejsce przy stole. Oślepiające światło reflektora rozbłysło tuż nad głową sekretarza do spraw zdrowia i polityki socjalnej.

— Przepraszam — powiedział prezydent, mrużąc oczy od światła — czy chce pan upiec jednego z moich ludzi?

Reflektor natychmiast zgasł. Prezydent podziękował skinieniem głowy, zdjął okulary i zaczął je przecierać chusteczką. Pledgeman po cichu upomniął fotografa i wskazał mu miejsce na ustawienie kamery w odległym kącie pokoju.

— Ależ tu dzisiaj tłum — zwrócił się prezydent do rzecznika prasowego. Pledgeman przytaknął skinieniem głowy. Prezydent włożył okulary i spojrzał na plan dzisiejszego, transmitowanego na żywo, posiedzenia Gabinetu.

Reporterka jednej z sieci telewizyjnych, z mikrofonem w ręku, szybko zajęła miejsce zwolnione przez niefortunego kamerzystę. Generał Curtis ominął ją i, torując sobie drogę

poza oparciami krzeseł sekretarza stanu i sekretarza obrony, dopchał się wreszcie do prezydenta. W tym samym momencie dziennikarka, rzuciwszy raz jeszcze okiem na notatki, uśmiechnęła się. To ona, a nie generał Curtis, przyciągnęła uwagę głowy państwa.

— Panie prezydencie, zanim rozpoczną się obrady, chciałabym spytać...

W tej samej chwili Curtis wcisnął się między sekretarza obrony, Thomasa Prestona a prezydenta i nachylając się nad nim powiedział półgłosem:

— Panie prezydencie, mam sprawę, która nie może czekać.

Prezydent, zafascynowany orientalną urodą dziennikarki, nie zauważył generała, ale głos Curtisa zagłuszył jej pytanie.

Pledgeman, wyczulony na takie kłopotliwe sytuacje, podszedł i spytał cicho:

— Coś się stało, generale?

Curtis pochylił się jeszcze niżej nad prezydentem.

— Panie prezydencie, musimy natychmiast porozmawiać. Wydarzyło się coś ważnego w... tym ośrodku, o którym dyskutowaliśmy.

— Po zakończeniu posiedzenia — szepnął Pledgeman.

Curtis zawahał się.

— Wilbur, musisz z tym poczekać — powiedział prezydent. — Czy istnieje bezpośrednie zagrożenie?

Wszystkie oczy zwrócone były na Curtisa. Nikt dokładnie nie wiedział, co mogło oznaczać „bepośrednie zagrożenie”, ale gdyby teraz powiedział „tak”, to jutro jego słowa znalazłyby się na pierwszych stronach wszystkich gazet. „Bepośrednie zagrożenie” w ustach szefa Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych mogło oznaczać tylko jedno. Trudno byłoby mu się z tego, później wytłumaczyć.

— Musi pan z tym poczekać, generale — powtórzył za prezydentem Pledgeman. — Nie możemy dłużej zwlekać z otwarciem spotkania.

— Generale, natychmiast po zakończeniu obrad będę na pana czekał u siebie w biurze — powiedział prezydent, a jeden ze współpracowników Pledgema odprowadził Curtisa do wyjścia.

Gdy drzwi sali konferencyjnej zamknęły się za nim, generał zwrócił się do swojego adiutanta.

— Pułkowniku Wyatt, proszę tu stać i czekać. Gdy tylko prezydent wyjdzie, przypomni mu pan, że jestem w Gabinetcie Owalnym. Niech pan mu powie, że chodzi o bezpieczeństwo kraju. I proszę rozmawiać bezpośrednio z prezydentem. Gdyby Pledgeman lub ktokolwiek inny chciał w tym przeszkodzić, niech mu pan da w mordę. To rozkaz. Jasne?

Wyatt zaskoczony manierami szefa, skinął głową i bez słowa odprowadził generała wzrokiem.

— To nieprawdopodobne. — Prezydent Stanów Zjednoczonych patrzył przez okno Gabinetu Owального na opadające wolno płatki śniegu. Generał Curtis zebrał notatki i wydruki komputerowe, popatrzył na sekretarza obrony, Thomasa Prestona, i usiadł. Sekretarz stanu, Marshall Brent, stał przy biurku prezydenta, przeglądając sprawozdania wywiadu, przyniesione przez Kennetha Mitchella, dyrektora CIA. Ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ, Gregory Adams, siedział na kanapie. Wszystko w nim aż kipiało na wspomnienie obłudnego wystąpienia Karmarowa na sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ.

— Zapowiadają się cholernie wesołe święta — mruknął prezydent.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Curtis poczuł wyraźną ulgę. „Nareszcie zaczyna mi wierzyć” — pomyślał. Kosztowało to dwanaście istnień ludzkich i utratę sprzętu bojowego wartości miliarda dolarów, nie mówiąc już o nowych dowodach, jakie miał w ręku.

— Skąd jednak mamy pewność, generale, że umieścili na orbicie zwierciadło? — spytał prezydent, nie odwracając się od okna. Trzymał w ręku czarno-białą odbitkę przedstawiającą duży, srebrzysty, lekko wygięty przedmiot o prostokątnym kształcie. Jego powierzchnia przypominała błyszczącą pikowaną kołdrę. Otaczała go cienka siatka wzmocnień oraz kilka podłużnych zbiorników.

— Panie prezydencie, zgromadzone dowody wskazują, że...

— Generale, prezydent zadał panu konkretne pytanie — przerwał Tom Preston. — Skąd mamy pewność?

— Nie możemy mieć stuprocentowej pewności. To zdjęcie może przedstawiać różne rzeczy — zestaw baterii słonecznych, ekran słoneczny, ale... przyjrzyjmy się faktom: załoga RC-135 melduje o olbrzymiej fali energii emitowanej z Kawazni. Dokładnie w tym samym momencie rejestrujemy zniszczenie satelity geostacjonarnego, znajdującego się bezpośrednio nad tym kompleksem. Jestem przekonany, że następne uderzenie zostało skierowane w RC-135, aby uniemożliwić przesłanie danych, jakie zebrała jego załoga. Po upływie niecałych dwóch tygodni otrzymujemy meldunek ze statku wywiadowczego Lawrence, wysłanego w celu inwigilowania Kawazni, o kolejnej emisji wielkiej fali energii. W kilka sekund trzeci człon rakiety Midgetman ulega przedwczesnemu zapłonowi, co zmusza nas do zniszczenia pocisku. Informacje ze statku Lawrence pokrywają się z tym, co przekazywał nam RC-135.

— Czy to ma dowodzić, że Rosjanie umieścili na orbicie zwierciadło? — przerwał sekretarz obrony Preston.

— Lawrence doniósł, że przed uderzeniem fali energii radar w Kawazni wysyłał jakieś

dziwne sygnały cyfrowe. Ciągle jeszcze analizujemy te informacje, ale eksperci ze statku są przekonani, że była to transmisja danych pomiędzy radarem a dwoma radzieckimi satelitami umieszczonymi na orbicie okołoziemskiej. Twierdzą, że pierwszy satelita przekazywał do Kawazni informacje o położeniu rakiety Midgetman w początkowej fazie jej lotu. Radar śledził drugiego satelitę i przekazywał mu sygnały sterujące. Ten złożony protokół transmisji mógł służyć nakierowaniu zwierciadła na pocisk. Gdy otrzymałem meldunek o zniszczeniu Javelin, zarządziłem odtworzenie całego zajścia. Zakładając, że uderzenia dokonał laser z Kawazni — czego z początku nie podejrzewaliśmy, ponieważ jeszcze nie dotarł do nas meldunek z Lawrence'a — i przyjmując założenie, że na orbicie znajduje się zwierciadło, obliczyliśmy wszystkie możliwe punkty, w których mogłoby zostać umieszczone, żeby zniszczyć Javelin. Potem wykorzystaliśmy zainstalowany w Pulmosan, w Korei Południowej, teleskop optyczny Spacetrack do sfotografowania interesujących nas obszarów nieba. Oto dowód — rzucił Curtis, tłumiąc złość. Zdawał sobie sprawę, że problem nie polega na tym, iż prezydent mu nie wierzy. On po prostu nie chciał wierzyć.—Zwierciadło ma sto pięćdziesiąt stóp długości i siedemdziesiąt stóp szerokości. Jest zainstalowane na stacji Salut19, która krąży po orbicie już prawie od roku. Ta stacja ma przedziały dokowe, duże zbiorniki paliwa i małe pomieszczenie załogowe, aczkolwiek nie przypuszczamy, by znajdowali się tam ludzie.

Marshall Brent poprosił prezydenta o fotografię i zaczął ją uważnie studiować.

— Mam nadzieję, generale, że eksperci przeanalizowali to zdjęcie.

— Tak. A czemu pan pyta?

— Chodzi o to, że dla laika może ono przedstawiać różne rzeczy. Jakiegoś satelitę czy samolot...

— Ale to nie jest...

— Mogłoby być nawet sfabrykowane. — Brent uważał za swój obowiązek podważanie każdego faktu.

— Chce pan tam wysłać promem kosmicznym przedstawicieli ONZ z aparatami fotograficznymi, by zrobili zdjęcia z bliska?

Brent już chciał coś odpowiedzieć, ale prezydent go uprzedził:

— Generale, ja wierzę pańskim ekspertom. Ale jak przekonać innych, że zwierciadło naprawdę istnieje. Poza tym oskarżenie Związku Radzieckiego o morderstwo jest działaniem ryzykownym...

Prezydent zwrócił się do Kennetha Mitchella.

— Kenneth, mówiłeś, że masz informacje o Kawazni. Mógłbyś je teraz przedstawić?

— Oczywiście — Dyrektor CIA skinął na adiutanta, który wstał i z przejęciem w głosie

zwrócił się do prezydenta:

— Panie prezydencie, zakończono analizę informacji przekazanych zarówno przez zaginiony samolot RC-135, jak i statek wywiadowczy Lawrence. Wiele wniosków ciągle pozostaje w sferze przypuszczeń.

— Proszę kontynuować — powiedział prezydent niecierpliwie.

— Zdobyte przez nas informacje dotyczą głównie elektrowni atomowej o mocy, jak oceniamy, około pięciuset megawatów. Zbudowano ją na absolutnym pustkowiu, gdzie nie ma obiektów zasilanych energią. Nie ma też żadnych transformatorów czy linii przesyłowych. A więc elektrownia pracuje wyłącznie dla kompleksu kawaznijskiego, wybudowanego w północno-wschodniej części Kamczatki, w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się niewielka wioska rybacka. Małe lotnisko polowe przekształcono w duże lotnisko wojskowe. Na początku służyło ono tylko do zaopatrywania budowy, a teraz znajduje się tam centrum dowodzenia obrony całego kompleksu. Szacujemy, że w Kawazni mieszka około dziesięciu tysięcy osób, cywilnych i wojskowych... — adiutant poruszył się nerwowo, czując na sobie wzrok wszystkich zebranych. — Dane o falach energii emitowanych z Kawazni, przekazane nam przez statek wywiadowczy Lawrence, okazały się bardzo cenne. Według naszych szacunków przyczyną zakłóceń w działaniu sprzętu elektronicznego mógł być impuls laserowy o mocy dwustu do trzystu megawatów. Był on w stanie poważnie uszkodzić lub zniszczyć zarówno satelitę Alfa Omega, jak i raketę Javelin. Moc radaru śledzącego jest tak duża, że jego źródłem zasilania musi być siłownia nuklearna.

— Jak to się stało, że nas zaskoczyli? — spytał prezydent. — Czy nie wiedzieliśmy nic o budowie tak olbrzymiego centrum?

— CIA i DIA przyglądają się tej budowie już od czterech lat — odpowiedział Mitchell. — Ale, prawdę mówiąc, nie przywiązywaliśmy zbyt wielkiej wagi do tego, co się tam dzieje. Poza tym nie mogliśmy znaleźć w tej okolicy informatorów. Obserwowaliśmy działalność typową dla budowy i przygotowań do prób nowych broni. Zaklasyfikowaliśmy więc Kawaznię jako jeszcze jeden ośrodek badawczy. O istnieniu potężnego radaru dowiedzieliśmy się dopiero z przekazów RC-135. Nie mieliśmy pojęcia, że Rosjanie budują tam laser do niszczenia satelitów i rakiet balistycznych.

— Czy jesteśmy aż tak pewni swojej przewagi, że uważaliśmy za niemożliwe, by Rosjanie zbudowali coś, czego my nie potrafimy?

Szef CIA milczał przez chwilę, po czym odchrząknął i dał znak adiutantowi, by mówił dalej. Prezydent uprzedził go jednak.

— A więc zgadzamy się, że w Kawazni działa laser do niszczenia rakiet balistycznych?

Mitchell popatrzył na Prestona i Curtisa.

— Panie prezydencie, przemawiają za tym fakty

— Niech to cholera! — zaklął pod nosem prezydent i skinął na adiutanta Mitchella: — Proszę kontynuować.

— Jak już mówiłem, Rosjanie wybudowali wielką elektrownię wyłącznie dla potrzeb śmiertelności lasera. Dzięki niej mogą z łatwością wysyłać impulsy o mocy ponad trzystu megawatów. I to raz po raz. Szacujemy, że już niedługo, po całkowitym dopracowaniu, laser będzie zdolny do emitowania dwóch impulsów na sekundę, co oznacza, że teoretycznie będzie mógł zniszczyć ponad sto satelitów w ciągu minuty.

— Albo sto głowic bojowych — dodał prezydent.

— To nie byłoby takie proste, panie prezydencie — wyjaśnił Mitchell. — Trafienie geostacjonarnego satelity jest stosunkowo łatwe. A poza tym Omegę tylko uszkodzono. Straciliśmy kontrolę nad tym satelitą i nasze Siły Powietrzne same zepchnęły go w atmosferę, by nie dostał się w ręce Rosjan. Jak widać, laser nie ma aż tak wielkiej mocy, jak przypuszczaliśmy. Podobnie rakieta Midgetman została przez niego tylko nieznacznie uszkodzona. Sami musieliśmy ją zniszczyć. I tutaj nie zgadzamy się z generałem Curtisem, który twierdzi, że to laser zakłócił jej działanie. Wiele czynników mogło wpłynąć na przedwczesny zapłon trzeciego członu.

— Laser mógł to zrobić z łatwością.

— Zgadzam się z panem, że mógł — odparł Mitchell — ale CIA nie wyciąga tak daleko idących wniosków jak pan. Wyśledzenie i zestrzelenie bojowych głowic rakiet balistycznych jest bez porównania trudniejsze niż wyśledzenie i trafienie tych obiektów, o których rozmawialiśmy do tej pory. Omega był stacjonarny i kilkakrotnie większy niż głowica rakiety. Midgetman też nie była trudna do wyśledzenia, ponadto stanowiła cel pojedynczy. Amerykańskie uderzenie odwetowe zostałyby przeprowadzone przy użyciu setek rakiet balistycznych i tysięcy głowic. Laser mógłby unieszkodliwić zaledwie kilka z nich. Na pewno nie aż tyle, by usprawiedliwić olbrzymie koszty budowy tego kompleksu.

— A co z RC-135? — spytał Curtis.

— Był najłatwiejszym celem. Duży obiekt, wolno poruszający się w pobliżu Kawazni. Nie udowodniono jednak, że został rzeczywiście zniszczony przez laser. — I zanim Curtis zdążył zaprotestować, Mitchell dodał szybko: — Pomimo to CIA uważa, że zebrano dostatecznie dużo dowodów, by tak twierdzić.

Prezydent pokręcił głową.

— Elektrownia atomowa, radar i działło laserowe. Wszystko to w małej wiosce rybackiej

na Kamczatce?

— Do tego jeszcze dwie eskadry MIG-ów 27, eskadra MIG-ów 25, dwa stanowiska wyrzutni rakiet ziemia-powietrze SA-10, prawdopodobnie dwa stanowiska artylerii przeciwlotniczej i radary wczesnego ostrzegania na statkach, które patrolują wybrzeże, gdy tylko puści lód — powiedział Mitchell. — Nawet mewa się tam nie prześlizgnie.

Prezydent zaczął masować czoło i skronie, by rozluźnić napięte mięśnie twarzy.

— Czy macie coś jeszcze? — spytał.

— Tak, panie prezydencie — odezwał się ambasador Adams, powstając z miejsca. — Myślę o sesji Rady Bezpieczeństwa. Gdy oskarżyłem Rosjan o zestrzelenie laserem naszego samolotu zwiadowczego, Karmarow stracił zimną krew i bardzo gwałtownie zaprzeczył. Oficjalne stanowisko rządu ZSRR jest niezmiennie. Podkreślają, iż mają prawo do obrony własnych wybrzeży i utrzymują, że nie wystrzelili rakiety ani nie wysłali myśliwca, żeby zaatakował RC-135. Nigdy wyraźnie nie zaprzeczyli, że użyli lasera.

— Może dlatego, że wydaje się to tak nieprawdopodobne — powiedział Mitchell, jakby parafrazując wcześniejszą wypowiedź prezydenta. — Nasze strategiczne plany obronne nazwano „Wojnami Gwiezdnymi”, ponieważ uważano, że są futurystyczną i możliwą do urzeczywistnienia wizją dopiero za wiele lat. Nie liczyliśmy, że taki system będzie miał szansę realizacji przed końcem stulecia. Tym bardziej trudno uwierzyć, że Rosjanom już się to udało.

— Fakty, niestety, to potwierdzają — wtrącił Marshall Brent. — Panie prezydencie, muszę powiedzieć, że podzielam obawy Gregory'ego. Spotkałem się osobiście z Karmarowem.

— Naprawdę? — spytał zdziwiony prezydent. — Kiedy? Nic mi o tym nie mówiłeś.

— Poszedłem do jego rezydencji bez zapowiedzi. Efekt był taki, jakiego się spodziewałem. Karmarow stracił swój kamienny spokój. Oczywiście zaprzeczył istnieniu lasera, ale jego zachowanie mówiło zupełnie co innego. Myślę, że to właśnie w wyniku naszego spotkania Związek Radziecki postanowił ratować twarz, godząc się na wspólne dochodzenie.

— Do którego nigdy nie doszło — powiedział Curtis. — Od początku nas oszukiwali.

Po krótkiej chwili Brent podszedł do prezydenta.

— Jest jeszcze jedna ważna sprawa, którą poruszył Karmarow. Jeśli udowodnimy światu, że antysatelitarny laser rzeczywiście istnieje, Rosjanie natychmiast wykażą, że nie podważa on żadnego z porozumień czy traktatów międzynarodowych. Laser nie jest umieszczony w kosmosie, jak byłoby w przypadku naszej Ice Fortress. Nie narusza więc porozumienia z 1982 roku o demilitaryzacji przestrzeni kosmicznej. Nie przekreśla także porozumienia o rakietach antybalistycznych z 1972 roku ani jego nowelizacji z 1976. Żaden z tych traktatów nie

wspomina bowiem o naziemnym systemie laserowym. Piętnaście lat temu taki zamysł był jeszcze bardziej fantastyczny niż teraz. Umieszczenie zwierciadła na orbicie może być uznane za naruszenie porozumienia z 1982 roku — jeśli uda nam się udowodnić, że to zwierciadło naprawdę istnieje i' wykorzystano je przeciwko obiektowi innego państwa, znajdującemu się w atmosferze lub na orbicie.

— Wtedy będą winni morderstwa — powiedział

Curtis — i takie powinno być oskarżenie. Musimy się domagać zdemontowania lasera jako rekompensaty za ich zbrodnię.

Sekretarz stanu pokręcił głową.

— Generale, chyba nigdy nie będziemy w stanie dowieść, że to Rosjanie stracili RC-135. Nawet mając nieodparte dowody, że użyli lasera do zniszczenia satelity i rakiety Javelin, nie będziemy mogli przekonać światowej opinii publicznej, że skierowali go również na nie uzbrojony samolot. Takie prowokacyjne działanie nie mieści się po prostu w głowie.

Zapadła cisza. Przez długą chwilę nikt nie chciał zabrać głosu. Wszyscy zdawali sobie sprawę z przemiany, jaka się w nich dokonała. Zarówno ci, którzy dotychczas nie wierzyli w możliwość użycia lasera, jak i ci, którzy stanowczo zaprzeczali wszelkim faktom, musieli teraz uznać wagę nieodpartych dowodów i konieczność poczynienia odpowiednich kroków.

— Czekam na propozycje, panowie — odezwał się prezydent.

— Widzę tylko jedno wyjście, panie prezydencie — powiedział Adams. — Rosjanie muszą zdemontować laser.

— Ależ, Gregory, nie ma do tego żadnych podstaw — odparł Brent. — Przecież już mówiłem, że nie istnieje porozumienie między naszymi państwami, które zabraniałoby zbudowania na ziemi systemu obronnego.

— To przecież nie jest zwykły system obronny. — Brent powstrzymał Adamsa gestem dłoni. — Gregory, zastanów się, jakich argumentów użyłbyś na ich miejscu? Pomyłka w naprowadzaniu, niesprawność urządzeń, podjęcie błędnej decyzji przez jakiegoś biurokratę? Urzędnika wyrzucą, spadnie parę głów, a laser będzie działał, jak dotychczas.

— I zagrożenie pozostanie — dopowiedział Curtis. — Już poważnie ograniczyli możliwości naszego systemu wczesnego ostrzegania. — Zwrócił się teraz do prezydenta. — Panie prezydencie, niezależnie od zapewnień Rosjan, że nie jest to broń ofensywna, jak długo laser będzie aktywny, może być użyty do ataku. A co będzie, jeśli przez przypadek zaczną kolejno zestrzeliwać nasze satelity? Może nawet zgodzą się zapłacić za wyrządzone szkody, ale i tak będziemy pozbawieni podstawowej informacji wywiadowczej.

— Skoro mają również możliwość niszczenia rakiet balistycznych... — mruknął prezydent.

— Z łatwością mogą unieszkodliwić jedną trzecią naszych rakiet — powiedział Curtis. — A gdy zaatakujemy bombowcami, wystrzelają je jak kaczkę. Cholera, wystarczy już samo włączenie tego radaru, żeby zakłócić działanie elektroniki w każdym samolocie, który się do nich zbliży.

— Chwileczkę — zdenerwował się prezydent — czy chce nas pan przekonać, że jedynym wyjściem jest atak wyprzedzający? — Popatrzył gniewnie na zebranych i zatrzymując wzrok na szefie Kolegium Połączonych Sztabów, zapytał spokojniejszym już głosem: — Generale, jak wygląda sytuacja w Dreamlandzie?

— Zgodnie z pańskim rozkazem, prace zostały wstrzymane. Nie chcieliśmy dopuścić do żadnych zadrażnień w okresie, gdy sytuacja zdawała się normować.

— Rozumiem, że w każdej chwili możemy je wznowić?

— Oczywiście, mogę ponownie zebrać cały zespół.

Prezydent wahał się przez chwilę, po czym uderzył pięścią w blat biurka i powiedział:

— Niech pan to zrobi.

Generał uśmiechnął się i z aprobatą skinął głową.

Marshall Brent nie wytrzymał:

— To szaleństwo planować jakąkolwiek akcję militarną przeciwko Sowiecom! — Sekretarz stanu aż poczerwieniał ze wzburzenia. — Mówiłem już panu, generale, że istnienie tego lasera nie narusza podpisanych przez nas porozumień. Możemy jedynie domagać się odszkodowań za zniszczony sprzęt. Jestem przekonany, że gdy przedstawimy Rosjanom dowody winy, zapłacą, i to niemało. A do ataku na mamy żadnych podstaw prawnych.

— Nie mamy podstaw?! — odparował Curtis. — Śmierć dwanaściorga niewinnych ludzi na pokładzie RC-135 jest dla mnie wystarczającym powodem!

— Marshall, upoważniłem generała, by przygotował specjalne strategie militarne bez określonego terminu wdrożenia. Nie czas teraz na rozwlekłe dyskusje. Znajdź jakiś sposób, by zmusić Rosjan do likwidacji lasera.

Brent był zakoczony tym nieprawdopodobnym i niewykonalnym żądaniem, ale nie dał nic po sobie poznać. Skinął tylko głową i odparł:

— To będzie trudne. Nie mamy jednak innego wyjścia. W tym nasza ostatnia nadzieja.

— A może rzucić im w twarz posiadane przez nas informacje? — zaproponował Gregory Adams. — Przedstawić dowody na forum ONZ, jak to zrobiliśmy w czasie kryzysu kubańskiego? Obrócić opinię światową przeciwko nim? Przekonać świat, że ten laser narusza równowagę sił i stanowi zagrożenie dla wszystkich?

— Bardzo dobry pomysł — przyklasnął Brent. — Właśnie tak powinniśmy zrobić.

— Doskonale — rzekł z nadzieją w głosie prezydent. — Podoba mi się ten plan. Marshall, Greg, liczę na was. Tak dalej być nie może. Muszą zrozumieć, że żarty się skończyły.

— Widzę jeszcze inny sposób na zmuszenie Rosjan do ustępstwa — odezwał się Curtis. Z twarzy prezydenta zniknął uśmiech. Marshall Brent spojrzał na generała.

— Ice Fortress — powiedział sekretarz obrony Preston. — Reaktywujemy Ice Fortress.

— Albo przynajmniej postraszmy ich, że mamy taki zamiar — poparł go szybko Curtis.

— To niemożliwe — sprzeciwił się Brent. — Po dwóch latach trudnych negocjacji podpisaliśmy wreszcie w 1976 traktat o redukcji zbrojeń, który wyklucza Ice Fortress. Gdybyśmy wznowili prace nad tą bronią, stracilibyśmy wiarygodność.

— Ice Fortress jest jedyną bronią, którą możemy przeciwstawić laserowi — zaproponował Curtis. — Inaczej nie będziemy mieć w rozmowach z nimi żadnych atutów. Dlaczego Rosjanie mieliby przystać na nasze warunki? Dlaczego mieliby zlikwidować instalację w Kawazni? Tylko dlatego, że ich grzecznie prosimy?

— Nie pozostawimy im innego wyjścia — powiedział Brent — gdy przedstawimy na forum ONZ wszystkie fakty i informacje, jakimi dysponujemy. Niech spróbują zaprzeczyć. Jestem przekonany, że wtedy skończą się kłopoty z laserem.

— Masz rację, Marshall — odezwał się prezydent. — Wstrzymajmy wszelkie działania związane z Ice Fortress. W tej chwili nie byłoby to dobrym rozwiązaniem.

Marshall Brent przyjął jego słowa z wyraźną ulgą.

— Dojdzie do porozumienia, panie prezydencie. Zakończymy tę sprawę. — Mówiąc to sekretarz stanu naprawdę wierzył, że mu się powiedzie.

Prezydent skinął głową i bez słowa obrócił się z krzesłem w stronę olbrzymiego okna Gabinetu Ovalnego. Zebrani zaczęli w milczeniu opuszczać salę.

**RADA BEZPIECZEŃSTWA
NARODÓW ZJEDNOCZONYCH, NOWY JORK**

— Końcowym punktem porządku dnia dzisiejszych obrad, ostatnich już przed noworoczną przerwą — zapowiadał Ian McCaan na planowej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ — jest zaprezentowanie przez delegację amerykańską postępów śledztwa prowadzonego w sprawie zaginięcia amerykańskiego samolotu RC-135 u wschodnich wybrzeży Związku Radzieckiego. Mamy zaszczyt gościć dzisiaj sekretarza stanu Stanów Zjednoczonych, pana Marshalla Brenta. Panie sekretarzu, proszę...

— Przepraszam, panie sekretarzu generalny — przerwał zaskoczony Karmarow. Uniósł się lekko z krzesła, gdy Marshall Brent przechodził przez środek sali. — Panie sekretarzu generalny, to... — starał się opanować — nikt mnie nie poinformował, że ta sprawa znajdzie się na porządku dnia. Moje biuro nie zostało zawiadomione...

Tymczasem Marshall Brent dotarł już do mównicy. Gregory Adams ustąpił mu swego miejsca i usiadł z tyłu, po prawej stronie sekretarza. Brent uniósł rękę i uśmiechnął się do przewodniczącego radzieckiej delegacji.

— Obawiam się, że to moja wina, panie Karmarow — powiedział. Ambasador ZSRR umilkł w połowie zdania i usiadł. — Pozwoliłem sobie odwołać się do mało znanego i rzadko używanego paragrafu regulaminu Rady. Uzupełnienie, wprowadzone w 1957 roku do artykułu trzydziestego dziewiątego przepisów regulujących zasady postępowania Rady Bezpieczeństwa, pozwala każdej ze stron toczącego się na tym forum sporu przedstawiać okresowe sprawozdania z zarządzanego przez Radę dochodzenia. Pozwoliłem sobie przygotować takie sprawozdanie i jestem przekonany, że zainteresuje ono wszystkich zebranych.

— Przepraszam, panie Brent — przerwał ponownie Karmarow, tym razem bardziej zdecydowanie. Pochylił się do Andriiny Asserni i szepnął jej kilka słów. Sekretarka natychmiast wybiegła z sali. Karmarow mówił dalej: — Dochodzenie jest ciągle w toku. Wiem, że dokonano pewnych postępów, niemniej jest jeszcze za wcześnie, by...

— To prawda, panie ambasadorze — odparł Brent. — Mamy jednak prawo przedstawić sprawozdanie z każdego etapu dochodzenia. Niepotrzebnie pani Asserni poszła sprawdzić wspomniany artykuł, gdyż Komitet Wykonawczy już go rozpatrzył i zaaprobował.

Karmarow spojrział na McCaana, który potakująco skinął głową.

— Widzę, że radziecki sekretarz z Komitetu Wykonawczego nie zawiadomił pana.

Wszystko przebiega zgodnie z przepisami. Oczywiście będzie pan mógł wnieść także swoje uwagi.

Właśnie w tym momencie wróciła Asserni, niosąc założony palcem gruby tom w skórzanej, czerwonej oprawie. Szeptnęła coś do Karmarowa, który zmrużył oczy i utkwiał wzrok w Brennie.

— Artykuł, na który pan się powołuje, nie dotyczy tej sprawy i nie może być podstawą pańskiego wystąpienia — powiedział Karmarow. — Stosowanie go byłoby niezgodne z przepisami...

— Charakter i treść przedłożonego dokumentu — przerwał McCaan — skłoniły Komitet Wykonawczy, by zastosować wspomniany paragraf. Poza tym, panie ambasadorze, jest to ostatni punkt naszego porządku dnia i aż do sesji wiosennej nie przewidujemy innych spraw. Jestem przekonany, że Rada jest zainteresowana treścią amerykańskiego sprawozdania.

Karmarow nie protestował dłużej, wprost przeciwnie, nagle stał się pojednawczy.

— Dochodzenie rozpoczęto niecały miesiąc temu...

— A mimo to nie wniosło nic nowego — wtrącił Brent ostrym i stanowczym tonem. — Nasze prośby o zapisy rozmów, zwykle zapisy rozmów prowadzonych przez wojskowych kontrolerów ruchu lotniczego w dniu, gdy nastąpiła katastrofa RC-135, do dzisiaj pozostały bez odpowiedzi. Podobnie zlekceważono prośby Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego ICAO. Zgodnie z przepisami tej organizacji takie zapisy są zwykle dostarczane zainteresowanym stronom w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Karmarow oburzył się.

— Osobiście zbadam, kto jest odpowiedzialny za...

— Moje biuro już zbadało tę sprawę — przerwał mu Brent. — Radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało nas, że zapisy zostały przekazane waszej delegacji przy ONZ.

Karmarow znów chciał coś wtrącić, lecz Brent powstrzymał go gestem dłoni.

— Doskonale rozumiem, panie ambasadorze — powiedział pojednawczym tonem. — Wasze MSZ wyjaśniło, iż pańskie biuro miało zbyt mało czasu, by dokładnie przestudiować dokumenty. To zupełnie zrozumiałe, że przekazywanie ich przed dokładnym zapoznaniem się z treścią nie miałyby sensu.

— Proszę Radę o wybaczenie. Nawał pilnych spraw i gorączka ostatnich dni przed przerwą noworoczną nie pozwoliły mi na wcześniejsze przestudiowanie dokumentów — wyjaśnił Karmarow.

— Oczywiście, panie ambasadorze. Niemniej wasze ministerstwo odpowiedziało mi na

parę pytań. Mam nadzieję, że zdążył pan jednak rzucić okiem na dokumenty i teraz będzie mógł wyjaśnić Radzie kilka szczegółów.

— Przykro mi, panie sekretarzu, ale ja...

— Radzieckie MSZ stwierdziło, że trzy myśliwce przechwytyjące MIG29, które wystartowały z lotniska w Ossorze na północnej Kamczatce, niedaleko od Kawazni, nie natknęły się na żaden obcy samolot naruszający przestrzeń powietrzną ZSRR. Zezwolono RC-135 zbliżyć się do wybrzeży radzieckich i nie wezwano go do podania kodu identyfikacyjnego. Panie ambasadorze, chciałbym zrozumieć, dlaczego zezwoliliście, by nie zidentyfikowany samolot zbliżył się na odległość trzydziestu pięciu mil do waszych wybrzeży, by znalazł się zaledwie trzydzieści pięć mil od ściśle tajnego centrum badawczego, a trzy myśliwce, wysłane w jego kierunku, nie zażądały identyfikacji?

Oczy obecnych zwróciły się w kierunku Karmarowa.

— Panie sekretarzu — wycedził przez zaciśnięte zęby ambasador — w tej chwili nie mogę panu odpowiedzieć...

— MSZ przyznało również, że nie próbowano nawet skontaktować się z RC-135 na powszechnie przyjętych kanałach alarmowych. Czyli, panie ambasadorze, Związek Radziecki wysłał trzy nowoczesne myśliwce przechwytyjące w kierunku amerykańskiego samolotu, który, jak mówiliście, naruszył radziecką przestrzeń powietrzną w bardzo newralgicznym obszarze, a mimo to nie zbliżyły się one do intruza. Piloci z pewnością musieli go widzieć, a jednak nie próbowali się z nim połączyć przez radio, nie wysłali ostrzeżenia. Dlaczego? — I pospiesznie dodał: — Może sam spróbuję to wyjaśnić.

Dał znak i na głównej ścianie, pokrytej freskiem „Feniks odradzający się z popiołów”, zaczął się opuszczać ekran projekcyjny. Brent wziął od Adamsa elektroniczny wskaźnik i szybko podszedł do okrągłego stołu prezydialnego. W momencie gdy wchodził na podium, na ekranie pojawił się obraz przedstawiający po prawej stronie kilka rzędów słów i cyfr, a po lewej parę wykresów słupkowych.

— Chciałbym państwu wyjaśnić, co naprawdę wydarzyło się na pokładzie nie uzbrojonego samolotu wywiadowczego — zaczął Brent. — Mamy tu oryginalne dane o pozycji i stanie samolotu, wysłane przez RC-135 w chwili, gdy zbliżał się do Kawazni. Informują skrótowo o jego funkcjonowaniu jak również o tym, co odbierały jego czujniki.

Brent nacisnął przycisk na pulpicie. Na ekranie, poniżej pierwszego przezrocza, pojawiło się drugie. Przedstawiało mapę tej części wschodniej Azji, w której znajdowała się Kawaznia.

— Aby lepiej zrozumieć dane po lewej stronie — kontynuował sekretarz stanu — będziemy nanosić pozycję samolotu RC-135 na mapę. Wykresy słupkowe obrazują odczyty

natężenia pola różnych rodzajów promieniowania elektromagnetycznego na zewnątrz samolotu. Pokazują poziomy: ciepła, światła w paśmie widzialnym, promieniowania przenikliwego, emitowanej energii i spolaryzowanego światła monochromatycznego. Wskazania tych wielkości zostały zsynchronizowane z przebiegiem wydarzeń. — Obraz na ekranie ożył. — RC-135 znajduje się teraz sto czterdzieści mil od Kawazni. Radar kontroli rejonu na lotnisku w Ossorze, na północ od kompleksu, zaczyna go śledzić. — W tym momencie na mapie pojawił się okrąg. — To koło przedstawia oszacowany przez komputer obszar zasięgu radaru. Jak widać, samolot znajduje się w tym obszarze. — Słupek ilustrujący emitowaną energię zaczął rosnąć. Inne wykresy pozostały nieruchome. Brent dotknął zmieniającego się obrazu. — RC-135 znajduje się teraz w odległości dziewięćdziesięciu pięciu mil od Kawazni. Radar nadal go śledzi. Ta linia obrazu mówi, że jest to standardowy radar zakresu India. Siły obrony powietrznej zostały już prawdopodobnie zaalarmowane, ale tylko brakujące zapisy rozmów mogłyby to potwierdzić. Tutaj... — Brent wskazał na słupek emitowanej energii — włącza się jakiś nowy radar. RC-135 dotrze do wybrzeża za dziesięć minut. Czy zwróciliście państwo uwagę, jak bardzo wzrósł poziom energii? Potwierdza to obraz... o tutaj. — Częstotliwość, moc fali nośnej, modulacja — wszystko zupełnie inne niż w przypadku normalnego radaru kontroli rejonu. Moc jest tysiące razy większa.

Na mapie pojawił się nowy okrąg. Był kilkakrotnie większy od poprzedniego.

— Panie sekretarzu generalny, muszę zaprotestować! — zawołał Karmarow.

Brent zatrzymał projekcję.

— Panie ambasadorze, Komitet Wykonawczy zaaprobował wystąpienie delegacji amerykańskiej — odpowiedział McCaan. — Na jakiej podstawie zgłasza pan protest?

— Sposób, w jaki pan Brent przedstawia wszystkie wydarzenia, jest bardzo przekonywający, ale skąd pewność, że nie mamy tu do czynienia z fałszerstwem? Ja mógłbym zaprezentować na swoim komputerze równie wspaniały pokaz.

— Jeśli pan podważa ocenę Komitetu Wykonawczego, proszę do niego wystosować protest — odpowiedział McCaan.

— Ale przecież nie miałem "okazji, by ocenić choćby jeden z przedstawionych tu faktów!

— Komitet Wykonawczy...

— Wiem, wiem, że Komitet to zaaprobował. Jednak nie potwierdzone informacje nie powinny być prezentowane na tym forum bez...

— Widzę, że pańskie zastrzeżenia są natury proceduralnej — przerwał McCaan — i jako takie muszę je odrzucić. Komitet uznał fakty przedstawione przez delegację amerykańską i zaakceptował sposób ich prezentacji. Wszystko przebiega zgodnie z regulaminem Rady

Bezpieczeństwa. Panie Brent, proszę kontynuować.

Obraz na ekranie znowu ożył.

— RC-135 znajduje się teraz czterdzieści dwie mile od wybrzeża. — Brent wskazał na odczyt po lewej stronie. Mapa przedstawiała w powiększonej skali już bezpośrednio okolice Kawazni. Czerwona linia, oznaczająca trasę samolotu, zaczęła zmieniać kierunek. — RC-135 skręca w prawo i zaczyna oddalać się od wybrzeża. Jak państwo widzicie, właśnie w tym momencie emitowana energia gwałtownie wzrosła. Wszystkie radary w rejonie kompleksu zostały wyłączone. Wszystkie, z wyjątkiem jednego. Wyłączono radary zakresu India, a w Kawazni włączył się na zakresie Lima radar o potężnej mocy. — Brent zwrócił się do Karmarowa. — Panie ambasadorze, dlaczego operatorzy obrony powietrznej wyłączyli radary, chociaż w pobliżu znajdował się obcy samolot? Wysłaliście za nim trzy myśliwce, ale one bez naprowadzania radarowego niewiele mogły zdziałać. Dlaczego więc radary zostały wyłączone? I gdzie są te myśliwce?

Karmarow milczał.

Nagle obraz na ekranie znieruchomiał. Słupki wykresu zatrzymały się na maksymalnym poziomie. Brent wskazał na ekran.

— Niespodziewanie w tym momencie nastąpiła eksplozja emitowanej energii, światła zakresu widzialnego, promieniowania przenikliwego i światła spolaryzowanego. — Obraz ponownie ożył. — Impuls trwał prawie sekundę. Proszę państwa, światło spolaryzowane to światło o ściśle określonych parametrach. Ma ściśle określoną częstotliwość, długość fali i płaszczyznę polaryzacji. — Sekretarz stanu odwrócił się i spojrzał na Karmarowa. — Takie światło może wytworzyć tylko laser. Laser w Kawazni o mocy rzędu dwustu megawatów wyemitował właśnie impuls energii.

Mimo że projekcja trwała nadal, wartości odczytu po lewej stronie i wysokość słupków wykresu nie zmieniały się przez kilka minut.

— Przekazywanie danych zostało przerwane po wystrzeleniu wiązki laserowej — kontynuował Brent. — Olbrzymia ilość wyemitowanej energii zakłóciła pracę urządzeń elektronicznych w promieniu setek mil. Ambasadorze Karmarow, może właśnie dlatego w pobliżu nie ma ani jednego myśliwca? Gdyby znajdowały się w okolicy Kawazni, zostałyby strącone do morza. Czyż nie tak?

Karmarow nadal milczał.

Po chwili dane i wykresy na ekranie zaczęły się ponownie zmieniać.

— Jak widać — objaśniał dalej Brent — poziomy promieniowania przenikliwego i emitowanej energii są ciągle wysokie. Wykresy dla światła spolaryzowanego i energii

cieplnej zostały usunięte. A to dlatego, że te dane były przekazywane z satelity rozpoznawczego Alfa Omega 9, a ten satelita został właśnie zniszczony przez wiązkę laserową.

— To niemożliwe! — zawołał któryś z delegatów. Na sali podniósł się gwar.

— RC-135 znajduje się teraz dziewięćdziesiąt mil od brzegu — kontynuował Brent. — Ludzie na pokładzie zapewne otrzymali już śmiertelną dawkę promieniowania, ale żyją. — Jeden ze słupków na ekranie gwałtownie podskoczył. — Znowu wzrósł poziom emitowanej energii. Radar w Kawazni ponownie się uaktywnił. Szuka nowej ofiary.

— To są bezpodstawne oskarżenia! — zaprotestował Karmarow. — Panie sekretarzu generalny...

— Radar pasma Lima pracuje pełną mocą. — Mówiąc to, Brent obserwował Karmarowa, wpatrzonemu w zmieniające się na ekranie dane. — Nastąpiła zmiana fazy impulsów, co oznacza, że radar namierzył się na samolot. Na nie uzbrojony samolot wywiadowczy znajdujący się już dziewięćdziesiąt mil od brzegu. Na jego pokładzie są dwie kobiety i dziesięciu mężczyzn. — Ekran zgasł i salę ogarnęła ciemność. Włączono światła. Żarówki rozjaśniały się powoli. — Bez ostrzeżenia, z zimną premedytacją. — Brent zwracał się teraz do Karmarowa: — Związek Radziecki zniszczył satelitę, a potem, aby to zatuszować, skierował laser na nie uzbrojony samolot, zabijając dwanaście osób.

Na sali zapanowała cisza.

— Panie ambasadorze, w Ameryce morderstwo z premedytacją uważa się za najcięższą zbrodnię. — Brent umilkł na chwilę i powiódł wzrokiem po twarzach delegatów. — Cztery dni temu laser z Kawazni zaatakował naszą nową rakietę międzykontynentalną, odbywającą próbny lot. Przedstawię szczegóły, gdy tylko zostaną mi przekazane. Tym razem informacje o ataku otrzymaliśmy nie z satelity, lecz ze statku zakotwiczonego w pobliżu Kawazni. Dowodzą one, że oprócz lasera Związek Radziecki użył jeszcze tego.

Światła przygasły. Brent ponownie włączył projektor i na ekranie pojawił się powiększony i poprawiony techniką komputerową obraz stacji Salut 19 z przymocowanym wielkim, prostokątnym zwierciadłem.

— To stacja Salut 19. Zamontowano na niej nowe, groźne urządzenie — zwierciadło odbijające wiązkę światła emitowanego przez laser, by razić cele znajdujące się poza linią horyzontu.

Na sali rozległ się pomruk niedowierzania.

— Nie spodziewam się, że udzieli mi pan w tej chwili odpowiedzi — Brent ponownie zwrócił się do Karmarowa. — Z pewnością zechce pan otrzymać nagranie wideo z tej sesji,

aby przeanalizować je w ambasadzie i omówić szczegóły z Moskwą. Dobrze. Niemniej Stany Zjednoczone ponawiają oskarżenie wniesione przeciwko Związkowi Radzieckiemu w dniu piętnastym listopada. Oskarżenie o morderstwo z premedytacją, krzywoprzysięstwo i świadome zacieranie śladów zbrodni. Zainstalowanie lasera i sterującego nim radaru zakresu Lima oraz wyposażenie stacji orbitalnej Salut 19 w zwierciadło do odbijania promieni laserowych i niszczenia rakiet balistycznych jest pogwałceniem traktatu z 1972 roku o rakietach antybalistycznych. Dlatego domagamy się, by natychmiast usunięto z orbity stację Salut 19 i zamknięto całą instalację w Kawazni aż do czasu, gdy specjalna komisja ONZ będzie mogła dokonać inspekcji kompleksu. Domagamy się również odszkodowania w wysokości pięciuset milionów dolarów amerykańskich jako rekompensaty za śmierć załogi i zniszczenie samolotu RC-135, satelity Alfa Omega 9 i rakiety Javelin.

Brent zwrócił się do członków Rady Bezpieczeństwa.

— Zdajemy sobie sprawę, że mimo najlepszych chęci ONZ nie zawsze może podjąć szybkie i efektywne działania. Ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych uważa, że laser i zwierciadło na orbicie stanowią bardzo poważne zagrożenie naszego bezpieczeństwa, nie możemy i nie będziemy czekać, aż te urządzenia zostaną rozbrojone. — Patrząc na Karmarowa, Brent oznajmił podniesionym głosem. — Dajemy Związkowi Radzieckiemu trzy dni na zdemontowanie lub rozbicie stacji Salut 19. Jeśli po upływie tego czasu nie otrzymamy przekonujących dowodów na to, że zwierciadło umieszczone na stacji nie może już kierować odbitych promieni tak, by niszczyć cele w atmosferze lub na orbicie, będziemy uważać, że zarówno traktat z 1972 roku o pociskach balistycznych, jak i porozumienie o redukcji zbrojeń, podpisane podczas islandzkiego spotkania na szczycie, straciły moc prawną i poczynimy odpowiednie kroki, by zapewnić Stanom Zjednoczonym bezpieczeństwo.

— O jakich krokach pan mówi? — spytał Karmarow. — Rozpoczniecie wojnę, by udowodnić, że macie rację? Zniszczycie świat z powodu jakiegoś wymyślanego zagrożenia?

Brent podszedł do radzieckiego ambasadora i opierając się dłońmi o blat jego stolika, spytał tak cicho, że prawie nikt, poza Karmarowem, nie mógł go usłyszeć.

— Dmitrij, dlaczego to zrobiliście? Po co? Od samego początku domyślaliśmy siłą wszystkiego. Wziąłem na siebie ogromne ryzyko i ostrzegłem cię o naszych podejrzeniach, ale twój rząd nie zaprzestał ataków laserem. Dlaczego? Nie rozumiem.

— Brent, sam wiesz, że niezbyt mądrze postąpiłeś, prezentując wasze pseudo-dowody w ten sposób — odpowiedział równie cicho Karmarow. — Urządzenie takiego przedstawienia i

przyparcie mojego rządu do muru na pewno nie przyniesie rezultatów, jakich oczekiwałeś.

— Dmitrij, powiedz mi, po co to robicie? Do jasnej cholery, ja...

— Ten laser jest urządzeniem obronnym — wycodził Karmarow przez zaciśnięte zęby. — Wyprzedza naszą epokę. Nawet najwięksi optymiści w waszym kraju nie przypuszczali, że uda się zbudować takie urządzenie przed upływem następnego dziesięciolecia. Instalując ten laser, nie naruszyliśmy żadnego z traktatów. Jest on naszą tarczą obronną i żadnymi groźbami nie zmusicie nas do jego likwidacji.

— W tej chwili laser jest bronią ofensywną i posłużył do zamordowania dwunastu niewinnych Amerykanów — powiedział Brent tak głośno, żeby mogli go usłyszeć pozostali delegaci. — Musicie dokonać wyboru. Albo rozbroicie stację Salut 19, usuniecie zwierciadło i w ten sposób przekonacie Stany Zjednoczone, że chcecie używać lasera tylko do obrony, albo będziecie musieli ponieść konsekwencje swoich dotychczasowych działań.

Brent wrócił na miejsce, usiadł i rozejrzał się po sali.

— Jakie konsekwencje ma pan na myśli, panie Brent? — spokojnie zapytał Karmarow po angielsku. — Wojnę światową? Powszechnie unicestwienie? — Ambasador radziecki patrzył prowokacyjnie na swego przeciwnika, ale amerykański sekretarz wytrzymał jego wzrok. Obydwaj przypomnieli sobie poprzednie prywatne spotkanie. Brent zebrał notatki, skinął na Adamsa i zaczął przygotowywać się do wyjścia.

— Oczeń żal — powiedział szeptem Karmarow. Delegaci pospiesznie sięgnęli po słuchawki. Brent zmrużył oczy, jakby pod wpływem bólu.

— Nie możecie tego zrobić — powiedział Karmarow. — To byłby koniec wszystkiego. Nie możecie...

— Możemy i zrobimy. — Głos Brenta brzmiał stanowczo, jakby na przekór nękającym go wątpliwościom. Sekretarz wstał, skinął głową łanowi McCaanowi i opuścił salę obrad.

WASZYNGTON, KOLUMBIA

W Pokoju Operacyjnym pod Białym Domem panował prawdziwie pogrzebowy nastrój. Odzwierciedlał dokładnie to, co działo się w duszy Marshalla Brenta. Sekretarz stanu odczekał, aż prezydent da mu znak, po czym podniósł leżącą przed sobą kartkę i powiedział:

— Proszę państwa, otrzymałem od premiera Związku Radzieckiego odpowiedź na nasze oskarżenie dotyczące użycia lasera w Kawaznii i zwierciadła zainstalowanego na stacji orbitalnej Salut 19 przeciwko samolotowi RC-135, satelicie Alfa Omega 9 i małej rakiecie balistycznej Javelin. Oto jego treść. Cytuję:

„Rząd Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich kategorycznie odrzuca oskarżenia wniesione przeciwko niemu na zamkniętej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Przedstawione dowody zostały sfalszowane i jako takie nie mogą być brane pod uwagę. ZSRR zaprzecza, by w jakikolwiek sposób przyczynił się do zaginięcia samolotu oraz satelity szpiegowskiego w dniu 13 listopada 1987 roku. Nie będziemy odpowiadać na uwłaczające nam bezpodstawne i niepoważne oskarżenie o zestrzelenie rakiety nad Pacyfikiem.”

— A to skurwysyny! — mruknął Curtis.

Brent czytał dalej:

„Związek Radziecki utrzymuje, że żadne urządzenie laserowe zbudowane na ziemi nie narusza traktatu z 1972 roku o raketach balistycznych, albowiem traktat ten nie wspomina o tego typu broni. Umieszczenie na orbicie statku kosmicznego z zainstalowanym na nim zwierciadłem nie pozostaje także w sprzeczności z jakimkolwiek traktatem.

Niniejszym odrzucamy jako całkowicie bezpodstawne prowokacyjne ultimatum postawione przez amerykańskiego sekretarza stanu na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zanim Stany Zjednoczone zgłoszą pretensje wobec naszego suwerennego państwa, winny przedstawić prawdziwe dowody na to, że poniesione przez nie straty nie zostały spowodowane ich własną niekompetencją względnie awarią sprzętu.

Stanowczo sprzeciwiamy się, by rząd Stanów Zjednoczonych szantażował Związek Radziecki groźbami jednostronnego zerwania porozumienia z 1972 roku o raketach antybalistycznych i nie ratyfikowanego jeszcze porozumienia z 1986 roku o redukcji zbrojeń. Odpowiedzialny naród zawsze będzie dążył do uczciwych i otwartych negocjacji przy rozwiązywaniu konfliktów. Nie zaryzykuje pokoju światowego, szafując groźbami zerwania międzynarodowych traktatów.

Związek Radziecki jest gotów wznowić dochodzenie w sprawie amerykańskiego samolotu,

który zaginął w pobliżu naszych wybrzeży. Jesteśmy przygotowani do natychmiastowego podjęcia rozmów na temat naruszania międzynarodowych traktatów mającego jakoby związek z badaniami naukowymi prowadzonymi we wschodniej Syberii. Deklarujemy chęć pełnej, bezwarunkowej współpracy w imię zachowania światowego pokoju."

— Zaprzeczyli wszystkiemu — podsumował Brent. Wyrażają gotowość rozpoczęcia rozmów na temat, czy radar narusza porozumienie o raketach antybalistycznych, czy też nie. I nic poza tym.

— Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód — powiedział Curtis. — Panie prezydencie, jestem za natychmiastową realizacją projektu Ice Fortress.

— I wywołaniem trzeciej wojny światowej? — spytał Brent. — Takie rozwiązanie pogłębiłoby tylko problem.

— Panie Brent, dosyć już dyskutowaliśmy na ten temat. Nadeszła pora działania — odparł Curtis. — Panie prezydencie, jeśli pan się zgodzi, możemy w ciągu miesiąca wynieść stację dwoma promami kosmicznymi. Jednym z Canaveral, a drugim z Vandenburg. Z uzbrojeniem stacji możemy poczekać, aż wyczerpią się wszystkie środki dyplomatyczne. Gdy nie będzie już innego wyjścia, wystarczą dwa kolejne loty, by stację uzbroić. Zajmie to nie więcej niż dwa tygodnie.

Na sali rozległ się szmer aprobaty. Brent spojrzął na zebranych doradców i powiedział:

— W ten sposób zniżyliśmy się do ich poziomu. Możemy wywołać taką eskalację zbrojeń, że sytuacja wymknie nam się spod kontroli.

— Jakże mają zamiary? — spytał prezydent, masując skronie. — Czyżby chcieli nas sprowokować?

— Planowali osłabienie naszego systemu wywiadowczego i strategicznego ostrzegania i udało im się tego dokonać — odpowiedział Curtis.

— Ależ generale — odezwał się, ciężko wzdychając Brent. — Wszędzie widzi pan radziecką inwazję. Moglibyśmy wynieść w kosmos z dziesięć nowych szpiegowskich satelitów i jestem przekonany, że nic by im nie groziło, bo Rosjanie już osiągnęli swój cel. Wprowadzili wśród nas zamieszanie, zastraszyli i podzielili nasz rząd. Czyż pan tego nie dostrzega, generale? Przecież oni chcą, żebyśmy umieścili Ice Fortress na orbicie. Chcą, byśmy podjęli próbę zbombardowania Kawazni czy rozpoczęli zbrojną akcję w jakimś zakątku ziemi. I niezależnie od tego, co Rosjanie mają na sumieniu, to my w oczach świata uchodzić będziemy za agresorów.

— Wobec tego co pan proponuje? — odparował Curtis. — Mamy siedzieć cicho i nie reagować? Najpierw ich straszymy, a potem, gdy zagrają nam na nosie, mamy udawać, że się

nic nie stało? — Uderzył pięścią w stół. — Tu nie chodzi tylko o demonstrację siły. Jestem przekonany, że Rosjanie planują atak.

Brent nic nie odpowiedział.

— Przykro mi, Marshall — odezwał się prezydent. — Wiem, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, i jestem ci za to wdzięczny. Ale, jak widzisz, ta metoda nie poskutkowała.

— Nie, lecz...

— Zyskali tylko na czasie, i chyba o to im właśnie chodziło. Storpedowali nasze starania i następstwa są do przewidzenia. Rozzuchwalili się i na pewno posuną się dalej... — Prezydent zwrócił się do Curtisa. — Generale, proszę jeszcze dziś po południu przedstawić mi szczegółowe plany dotyczące Ice Fortress.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Pomysł z Ice Fortress nie ma sensu — Brent nie dawał za wygraną. Uczestnicy posiedzenia poruszyli się niespokojnie.

— Marshall, słyszeliśmy już twoje argumenty...

— Generale Curtis, przecież zdaje pan sobie sprawę, że Ice Fortress będzie tak samo narażona na atak, jak satelita Alfa Omega. Wyniesiecie na orbitę stację za siedemset milionów dolarów po to, by Rosjanie mieli do czego strzelać?

— Marshall — odezwał się Ken Mitchell — nie zapominaj, że to nie laser, tylko my sami zniszczyliśmy Omegę i Javelin.

— Co?! — wykrzyknął zdumiony prezydent.

— Nie pamięta pan? Zdawałem o tym sprawozdanie zaraz po ataku na Midgetmana. — Mitchell wyglądał jak zniecierpliwiony nauczyciel. — Laser tylko uszkodził satelitę. Omega uległ zniszczeniu dopiero podczas przechodzenia przez atmosferę w czasie próby sprowadzenia go na ziemię. Z kolei u Javelin laser spowodował przedwczesny zapłon trzeciego stopnia. Gdy rakieta zboczyła z kursu, automatycznie została zniszczona. Nie wiemy więc dokładnie, w jakim stopniu była to wina lasera.

Brent uderzył dłonią w stół.

— Przecież to nie jest odpowiedź na moje...

— Żaden z tych obiektów — przerwał mu Curtis — nie był zabezpieczony przed atakiem lasera.

Stacja tak duża jak Ice Fortress, instalowana na orbicie, może mieć opancerzenie, które wytrzyma uderzenie lasera zasilanego z elektrowni atomowej. Wiązka światła laserowego, niezależnie od swej siły, jest tylko wiązką światła i może zostać odbita. W razie czego poprosimy naukowców z Wright-Patterson o przedstawienie szczegółów, ale zapewniam

pana, że Ice Fortress może być chroniona.

— Jeśli się pan myli, panie generale, stracimy masę pieniędzy — powiedział Brent, kręcąc głową.

— Czyżby martwił się pan o pieniądze?

— Nie, do diabła! — wybuchnął Brent. — Panie prezydencie, nie chodzi tu tylko o ryzyko utraty sprzętu. Ice Fortress jest symbolem militaryzacji przestrzeni kosmicznej i budzi najgorsze obawy. Czy zdaje pan sobie sprawę, pod jaką presją światowej opinii publicznej się znajdziemy, gdy umieścimy stację na orbicie?

— Bardziej obawiam się, by nasze środki odstraszające nie straciły skuteczności — podsumował Curtis. — Być może nie dotarło do pana, iż nasze strategiczne siły nuklearne utraciły w znacznym stopniu dawną moc odstraszania. Teraz, dokładnie w tej chwili, nie jesteśmy w stanie wykryć rakiet wystrzelonych z obszaru wschodniej Azji. W Pietropawłowsku znajduje się dwanaście łodzi podwodnych. Każda z nich dysponuje piętnastoma pociskami balistycznymi odpalanymi z morza. Takie rakiety przenoszą trzy lub więcej głowic. I nie możemy ich wykryć wcześniej, niż na dziesięć minut przed uderzeniem. To są fakty, nie domysły. Natomiast Rosjanie pokazali, że potrafią niszczyć nasze rakiety w początkowej fazie lotu. Jeśli więc przeprowadzą atak raketowy, a my nań odpowiemy, znaczna część naszych pocisków nie dotrze do celu. — Wszyscy słuchali Curtisa z uwagą. — Mimo że Ice Fortress jest symbolem totalnej konfrontacji, nie możemy z niej zrezygnować. Konieczność wykazania, że nie odstajemy w tej próbie sił, jest ważniejsza niż ryzyko utraty stacji. Brent nic nie odpowiedział.

— Marshall, przygotuj i daj mi do podpisania notę protestacyjną adresowaną do Kremla. Skontaktuj się w ONZ z Karmarowem i spytaj, o co tu do diabła chodzi. Chcę, żeby Rosjanie wiedzieli, że czyn, którego się dopuścili, to akt agresji i nie może pozostać bez odpowiedzi.

— Odradzałbym użycia tak ostrych słów — wtrącił Brent.

Prezydent rozejrzał się po Pokoju Operacyjnym. Zebrani z aprobatą przytakiwali jego słowom. Powtórzył z naciskiem:

— Akt agresji, Marshall. Właśnie tak to należy nazwać.

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH, KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ

— To jest akt agresji!

Marshall Brent rozsiadł się wygodniej w fotelu i zmniejszył poziom głośności dobiegającej go ze słuchawek tyrady Karmarowa na forum Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Obok siedział Gregory Adams i pilnie notował wypowiedzi ambasadora radzieckiego, od czasu do czasu nanosząc na marginesie swoje uwagi.

Karmarow podniósł pięć tomów, tak aby wszyscy mogli je zobaczyć, i potrząsając nimi zawołał:

— Pięć traktatów, panowie delegaci. Stany Zjednoczone bezprawnie zerwały pięć traktatów podpisanych ze Związkiem Radzieckim. Zniszczyły efekt wieloletnich negocjacji, które miały zapewnić światu pokój.

Cisnął książki przed siebie, a delegat rumuński zaczął je pośpiesznie zbierać.

— Na śmietnik z nimi! To już tylko sterta bezużytecznych papierów. — Karmarow machnął ręką i, wskazując palcem na delegację amerykańską, mówił dalej. — Panowie delegaci, militaryzacja przestrzeni kosmicznej to zagrożenie nie tylko dla Związku Radzieckiego, ale dla nas wszystkich. Stany Zjednoczone będą teraz umieszczać, jedną po drugiej, olbrzymie maszyny destrukcji wprost nad naszymi głowami, nad naszymi domami, nad siedzibami naszych rządów. Amerykanie zapewniają, że Ice Fortress pozostanie nad biegunem północnym, ale nie dajmy się zwieść złudnym obietnicom. Pamiętajmy, że ta stacja może w każdej chwili zostać umieszczona w dowolnym punkcie nad Ziemią. Nikt nie jest bezpieczny. Stany Zjednoczone twierdzą, że na jej pokładzie nie zainstalowano broni nuklearnej. Proponują nawet, by grupa obserwatorów dokonała inspekcji na miejscu, jakby chodziło tylko o krótką przejażdżkę łódką po jeziorze. Ale nie dajmy się oszukać. Podobnie utrzymują, że amerykańskie lotniskowce i okręty wojenne stacjonujące w Japonii nie są wyposażone w broń jądrową. Z technicznego punktu widzenia jest to prawda. Dopóki nie zmontuje się wszystkich części składowych i nie uzbroi bomby, rzeczywiście nie można mówić o broni jądrowej. Ale to wszystko błaga. — Karmarow zwrócił się do delegacji amerykańskiej. — Nie obchodzi mnie, czym kierowały się Stany Zjednoczone, umieszczając Ice Fortress na orbicie. I tak z pewnością całą winą obarczą Związek Radziecki, jak to już niejednokrotnie czyniły. Bez wątplenia wymyślą jakąś nową, mrozącą krew w żyłach, historijkę. Ale nic nie usprawiedliwi złamania przez Stany Zjednoczone pięciu

międzynarodowych porozumień i wyniesienia na orbitę tego śmiertelnie niebezpiecznego urządzenia, które zagraża pokojowi i spokojnemu bytowi na całym świecie. Wzywamy Stany Zjednoczone, by natychmiast zlikwidowały tę nielegalną stację. Ponieważ, jak widać, nie można ufać Amerykanom, że dotrzymają jakiegokolwiek umowy międzynarodowej, wzywamy ONZ do powołania zespołu niezależnych obserwatorów, którzy kontrolowaliby loty wszystkich wahadłowców. W ten sposób nie dopuścimy do ułożenia na pokładzie Ice Fortress jakiegokolwiek broni. Ponadto domagamy się, by nie dokonywać korekty obecnej orbity stacji, dzięki czemu wejdzie ona w atmosferę i ulegnie zniszczeniu.

Gregory Adams chciał wstać, by przemówić do członków Rady, ale Marshall Brent przytrzymał go za rękę. Położył na stole splecione dłonie i patrząc na zebranych delegatów powiedział:

— Bywają takie sytuacje, że międzynarodowe porozumienia tracą znaczenie. Przez długi czas Rząd Stanów Zjednoczonych wierzył, że negocjacje doprowadzą do prawdziwego rozbrojenia i trwałego pokoju. Wbrew wszelkim przesłankom oba nasze rządy miały nadzieję na wyeliminowanie broni jądrowej ze swych arsenałów do roku dwutysięcznego. Mogę wszystkim zapewnić, że mój rząd jest gotów do kontynuowania tych negocjacji mimo dowodów, iż Związek Radziecki dopuścił się bezprawnego ataku na amerykańskiego satelitę, raketę i samolot wywiadowczy, w wyniku czego poniosło śmierć dwanaście osób oraz uległ zniszczeniu sprzęt wartości miliarda dolarów. Z żalem stwierdzamy, że Związek Radziecki wszedł na bardzo niebezpieczną drogę. Wymowa faktów jest przygniatająca, niepodważalna. Żaden traktat zawarty w przeszłości, obecnie czy w przyszłości nie może nas zmusić do rezygnacji z obrony własnego kraju. Nasze oskarżenia i przedstawiona tu dokumentacja są ciągle aktualne. Brak poparcia, którego oczekiwaliśmy ze strony tej Rady, zmusza nas, byśmy sami poczynili niezbędne kroki zapewniające bezpieczeństwo Stanom Zjednoczonym. Nasza stacja do niszczenia rakiet balistycznych pozostanie w kosmosie do czasu, aż Związek Radziecki przekona nas, iż zaprzestał wszelkich ataków na amerykańskie samoloty i satelity wywiadowcze. Jeszcze raz apelujemy, by Związek Radziecki wykazał dobrą wolę i natychmiast zdemontował zwierciadło umieszczone na stacji Salut 19. Nie możemy już dłużej czekać. — Brent spuścił głowę, jakby starał się zebrać siły. — Bardzo mi przykro, ale nie możemy już dłużej czekać.

Wstał i szybkim krokiem opuścił salę obrad. Gregory Adams podążył za nim.

PROM KOSMICZNY ATLANTIS

Znowu brali udział w akcji.

Czterdziestodwuletni komandor-podporucznik marynarki Richard Seedeck przygotowywał swój skafander do pracy w przestrzeni kosmicznej — na zewnątrz statku. Był w swoim żywiole. Już po raz drugi brał udział w locie promu kosmicznego.

Właśnie przed chwilą wrócił z pokładu załogowego, gdzie przez godzinę oddychał czystym tlenem. Teraz znajdował się w służbie powietrznej, sprawnie i szybko szykując swój ekwipunek. Inżynier Jerrod Bates, pracownik firmy cywilnej realizującej kontrakt wojskowy, pełniący na pokładzie Atlantis funkcję eksperta, podziwiał zręczność, z jaką komandor radził sobie ze skafandrem. On sam potrzebowałby na to dwa razy tyle czasu.

Seedeck cieszył się, że znowu jest w kosmosie. Pobyt na pokładzie wahadłowca zawsze sprawiał mu radość. Tutaj nikt nie był pasażerem, każdy miał jakieś zadanie do wykonania i czuł się potrzebny. Ostatecznie pracowali po siedemnaście godzin na dobę. Niestety, takich lotów badawczych jak ten było coraz mniej. Mieli na pokładzie najnowocześniejszy sprzęt wojskowy. Całe zadanie było otoczone absolutną tajemnicą i tym razem do prasy nie przedostały się żadne informacje — lub objęto je skuteczną cenzurą.

— Z czego pan taki zadowolony, komandorze? — spytał go Bates.

— Cieszę się, że znowu tu jesteśmy — odpowiedział Seedeck przez przezroczystą maskę, którą miał na twarzy. Właśnie założył spodnie skafandra kosmicznego i zdejmował z wieszaka jego górną część. Bates pospieszył, by przytrzymać komandorowi obszerny skafander, ale w warunkach nieważkości okazało się to zupełnie niepotrzebne — skafander zawisł po prostu w powietrzu.

— W ciągu czterech dni powinienem się już być przyzwycząić, że tutaj nic nie spada, a jednak ciągle o tym zapominam — powiedział Bates przez maskę.

— Mnie też się to zdarza. Nauczyłem się jednak wykorzystywać nieważkość. — I rzeczywiście, wszystkie części ekwipunku Seedecka: hełm, rękawice, zestaw słuchawek z mikrofonem, przenośny aparat tlenowy, wszystko to unosiło się dookoła niego w zasięgu ręki.

Komandor wstrzymał oddech, zdjął maskę tlenową i jednym zręcznym ruchem wślizgnął się w górną część skafandra. Gdyby zaczął teraz oddychać powietrzem kabiny, do jego krwi i tkanek dostałby się azot, co mogłoby spowodować narkozę azotową lub chorobę kesonową. Dlatego. Bates również miał maskę tlenową. Nadal wstrzymując oddech, Seedeck podłączył do skafandra kilka przewodów wychodzących z dużego, zawieszzonego na plecach aparatu

regulującego skład mieszanki oddechowej.

Obydwaj usłyszeli pyknięcia zaskakujących końcówek węży. Teraz komandor połączył ze sobą obie części skafandra.

Bates z podziwem patrzył na kolegę. Minęły już dwie minuty, a Seedeck ciągle wstrzymywał oddech i poruszał się swobodnie. Zapiął rękawice, założył zestaw słuchawek z mikrofonem, hełm, po czym zaczął obserwować manometr, umieszczony, wraz z innymi wskaźnikami na jego piersi. Ciśnienie w skafandrze powoli wzrastało do dwudziestu ośmiu kilopaskali. Gdy już się ustaliło, komandor sprawdził, czy ubiór jest szczelny, i dopiero wtedy głośno wypuścił powietrze z płuc.

— To nieprawdopodobne — odezwał się z podziwem w głosie Bates, który przed chwilą założył na głowę hełmofon do komunikowania się z Seedeckiem. — Nie oddychał pan prawie przez sześć minut.

— To naprawdę nie takie trudne, gdy się najpierw przez godzinę oddycha tlenem. A poza tym mam trochę wprawy, ponieważ robiłem to już parę razy. Mógłby pan sprawdzić mój układ zasilania mieszanką oddechową?

— Ależ oczywiście. — Bates dokładnie skontrolował połączenia i wskaźniki na skafandrze komandora, po czym uniósł kciuk do góry. — Wszystko w porządku.

— Dzięki. Proszę teraz wyjść ze służy. Admirale, tu Seedeck. Przygotowuję się do rozhermetyzowania służy.

— Przyjąłem, Dick — odpowiedział dowódca promu Atlantis, Ben Woods. — Możesz wychodzić.

Woods przekazał meldunek komandora do Centrum Kontrolnego, znajdującego się w Houston, pięćset mil morskich pod nimi.

Seedeck odwrócił się do pulpitu sterującego i przestawił przełącznik DEKOMPRESJA ŚLUZY na pozycję „5”, a następnie „0”. Cekał, aż powietrze wydostanie się na zewnątrz. W trzy minuty później opuścił służę.

Ten widok zawsze go na nowo zachwycał. Planeta Ziemia wirująca w odległości pięciuset mil wyglądała jak wielka kolorowa kula, na której można było rozróżnić liczne szczegóły. Wahadłowiec był „zaparkowany” nad biegunem północnym. Komandor widział więc całą północną półkulę: kontynenty Północnej Ameryki, Europy, Azji, Arktykę oraz Atlantyk i Pacyfik. Smugi chmur, jakby namalowane niedbałymi pociągnięciami pędzla, miejscami gęstniały tworząc ciemniejsze plamy nad obszarami burz. Prom zajmował taką pozycję na orbicie, że cały czas Ziemia znajdowała się ponad głową Seedecka.

Komandor zamknął i zaryglował luk służy, przypiął linę zabezpieczającą i przesuwając

ręce po stalowych uchwytach, zaczął przemieszczać się w kierunku komory bagażowej promu. Jej przednią część zajmowały trzy zespoły manewrowo-napędowe MMU*. Seedeck obejrzał dokładnie jedno z masywnych urządzeń i odpiął mocujące je klamry. Następnie odwrócił się i oparł plecami o MMU, przesuwając odpowiednio tułów, dopóki nie usłyszał czterech cichych trzasków — urządzenie połączyło się z układem zasilania mieszanką oddechową.

— Atlantis, MMU przypięty.

— Przyjąłem.

Seedeck, ciągle połączony z promem za pomocą liny, kilkakrotnie uruchomił dla próby silniki raketowe MMU. Następnie odpiął linę i wysunął się wraz z urządzeniem z przytrzymującego go uchwytu. Odepchnął się lekko od luku komory bagażowej i znalazł się w przestrzeni.

— Opuściłem komorę bagażową. Rozpoczynam próby MMU.

Seedeck domyślał się, że admirał Woods, obserwujący go za pośrednictwem jednej z ośmiu kamer zainstalowanych w komorze bagażowej i na ramieniu manipulatora, miał ochotę zaprotestować. Pokusa była jednak silniejsza. Rutynowe próby sterowności MMU obejmowały kilka krótkich ruchów, cały czas na uwięzi, blisko śluzy powietrznej i w zasięgu zdalnie sterowanego ramienia manipulatora. Kosmonauta powinien wzniesć się o kilka stóp, zatrzymać, zrobić parę skrętów i przechyłów na boki.

W wykonaniu Seedecka wyglądało to zupełnie inaczej. Nie był ubezpieczony liną. Naciskając przyciski sterujące silnikami, wykonał kilka beczek, pętli, pełnych obrotów i ósemek. Wszystko to w odległości kilku metrów od otwartego luku komory bagażowej.

— Zakończyłem próby sterowności MMU — zameldował w końcu, zatrzymując się powyżej komory bagażowej.

— Bardzo ładnie — odpowiedział Woods. — Wielka szkoda, że NASA nie przeprowadza transmisji z twoich popisów.

Seedeck puścił tę uwagę mimo uszu. Był w ekstazie. Po odpięciu liny stanowił jeszcze jedno ciało okrążające Słońce, tak jak inne planety, asteroidy, komety czy satelity. Podlegał tym samym prawom, co one. Kierowały nim te same siły. Rozkoszował się jeszcze przez chwilę rozpierającym go poczuciem swobody, zanim skupił myśli na zadaniu, które miał wykonać. Natychmiast wypatrzył obiekt.

— Atlantis, widzę magazyn. Rozpoczynam przemieszczenie.

Przez radio wolno było używać wyłącznie określenia „magazyn”. Atlantis znajdowała się sześćset metrów od obiektu — w minimalnej odległości, na jaką wolno im się było zbliżyć.

Będzie to więc krótkie „przemieszczenie” — tym terminem określali między sobą spacer w przestrzeni kosmicznej. Seedeck otworzył pojemnik wiszący po prawej stronie komory bagażowej i wyciągnął z niego koniec stalowej liny, nawiniętej na bęben przymocowany do ściany. Zaczepił linę o pierścień po prawej stronie MMU, wy dostał się z komory i skierował w stronę widocznego w dali obiektu.

Jak dotąd znał go tylko ze zdjęć i makiet, a teraz po raz pierwszy miał okazję widzieć go w całej okazałości. Był to wielki stalowy kwadrat, przypominający olbrzymią dekorację w stylu popart, zawieszoną w przestrzeni. Wszystkie boki zbudowano z rur o długości stu stóp i przekroju piętnastu stóp kwadratowych. Do przeciwległych boków przymocowano dwie prostokątne anteny radarowe, każda o powierzchni dwóch tysięcy stóp kwadratowych. Skierowano je ku Ziemi. Na jednym z pozostałych boków umieszczono dwie mniejsze anteny paraboliczne do transmisji danych. Jedna ustawiona w stronę Ziemi, druga w przestrzeń. Na ostatnim z boków znajdował się cylinder o średnicy ośmiu i długości dwunastu cali, zakończony wielkim szklanym okiem, również skierowany ku Ziemi. Na krawędziach kwadratu umieszczono w opancerzonych pojemnikach ogniwa paliwowe, zbiorniki z paliwem raketowym, przewody paliwowe oraz inne połączenia i układy sterujące, których kable przechodziły przez całą stalową konstrukcję.

Pośrodku kwadratu znajdował się wielki cylinder o średnicy siedemdziesięciu i długości trzydziestu stóp — opancerzony i pokryty warstwą błyszczącego aluminium. Atlantis musiała co jakiś czas zmieniać swą pozycję, by odbite promienie słońca nie zniszczyły jej kamer. Koniec cylindra skierowany w przestrzeń był zamknięty, a przeciwny, od strony Ziemi, miał ruchomą, opancerzoną pokrywę, odsłaniającą pięć rur o średnicy piętnastu stóp. Ich wypolerowane i błyszczące wnętrza były puste.

Seedeck miał przed sobą Ice Fortress, czyli tę Stalową Fortecę.

W opracowaniach i na rysunkach wyglądała jak nieszkodliwa zabawka z dwudziestego pierwszego wieku, ale teraz, zawieszona w przestrzeni, wydała mu się bardzo groźna. Seedeck wiedział, że dwie anteny radarowe służyły do wykrywania i śledzenia międzykontynentalnych rakiet balistycznych wystrzelonych z lądu lub morza. Mniejsze anteny paraboliczne zapewniały przekazywanie danych. Jedna miała wysyłać sygnały sterujące, a druga odbierać z satelitów wywiadowczych, umieszczonych na dalszych niż Ice Fortress orbitach, dane o położeniu celu. Duży cylinder ze szklanym okiem był detektorem podczerwieni i zaprojektowano go tak, by mógł wykrywać i śledzić ciepło gazów wyrzucanych z dysz rakiet balistycznych w początkowej fazie ich lotu. Radary miały śledzić nośniki głowic bojowych w środkowej fazie lotu, a nawet poszczególne głowice w trakcie

przechodzenia w dół przez atmosferę. Ponadto potrafiły rozróżnić głowice prawdziwe od makiet pozorujących.

Duży cylinder pośrodku konstrukcji zawierał rury wyrzutni „pocisków”. Całą stację pokryto opancerzeniem ze specjalnej stali węglowej, odpornej na wysoką temperaturę. Gładkie powierzchnie i ważne elementy, takie jak pokrywa cylindra z pociskami czy zbiorniki paliwa, zostały dodatkowo pokryte odblaskową warstwą aluminium. Do Seedecka dotarły wcześniej pogłoski na temat tych dziwnych modyfikacji, ale w końcu nie była to jego sprawa.

Jego dzisiejsze zadanie polegało na uzbrojeniu Ice Fortress — po raz pierwszy. Po dokładnym obejrzeniu stacji Seedeck uznał, że pod wieloma względami była ona samodzielną jednostką wojskową. Korzystając z przekazanych przez satelity wywiadowcze informacji o starcie rakiet balistycznych, dzięki swoim radarom i detektorom podczerwieni lokalizowała je w atmosferze i obserwowała ich lot. Gdyby kierowały się ku Ameryce Północnej, zadaniem Ice Fortress było zniszczenie ich za pomocą „pocisków”.

Pociski. Seedeck pomyślał, że to niezbyt odpowiednia nazwa dla uzbrojenia stacji. W rzeczywistości chodziło przecież o satelitarne bomby laserowe, emitujące promieniowanie rentgenowskie. Bomby te składały się z głównej komory reakcyjnej i piętnastu owiniętych przewodem cynkowym rdzeni ołowiowych, przypominających druty wbite w motek wełny. Komora reakcyjna była w rzeczywistości dwudziesto-kilotonową bombą uranową, o sile niszczenia podobnej do tej, jaką miała pierwsza bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę.

Czujniki stacji wysledzą każdą balistyczną raketę międzykontynentalną atakującą Stany Zjednoczone i wystrzelą w jej kierunku bombę laserową. W momencie gdy bomba i rakietka znajdą się blisko siebie, Ice Fortress przekaże rozkaz detonacji głowicy jądrowej, umieszczonej wewnątrz bomby-satelity. Wybuch nuklearny wywoła olbrzymią falę promieniowania rentgenowskiego, które zostanie zogniskowane i skoncentrowane przez rdzenie impulsowe. Energia tego promieniowania wytworzy impuls laserowy olbrzymiej mocy, który przebiegnie wzdłuż rdzeni i dalej we wszystkich kierunkach. W ułamku sekundy obiekty w promieniu stu mil zostaną porażone i przestaną istnieć. Wprawdzie skutek eksplozji bomba ulegnie zniszczeniu, ale straszliwa siła laserowego impulsu promieniowania rentgenowskiego w jednej chwili unieszkodliwi dziesiątki, może nawet setki rakiet balistycznych i głowic. Ze względu na efekt była to broń bardzo wydajna i tania.

Seedeck znalazł się na bombach laserowych. Pięć sztuk czekało teraz w ładowniach Atlantis, aż komandor przetransportuje je na stację i umieści w wyrzutniach. Na tym polegało jego dzisiejsze zadanie.

Przymocował linę do głównego cylindra i zawrócił w kierunku Atlantis. Tymczasem Bates

zdążył ubrać się w skafander i gdy komandor zakończył kontrolę stacji, był już gotów do opuszczenia śluzy.

— Seedeck do Atlantis. Magazyn w porządku. Nie ma uszkodzeń. Za chwilę będziemy mogli przystąpić do pracy.

— Przyjąłem — odpowiedział Woods.

— Tu Bates. Przyjąłem. — Inżynier wsunął się do komory bagażowej i zaczął otwierać pojemniki, zawierające częściowo zdemontowane bomby. Jego zadaniem było rozpakowanie, a następnie złożenie wszystkich części. Dopiero w całości urządzenie będzie można nazwać bronią nuklearną, aczkolwiek jego uzbrojenie nastąpi później, po zainstalowaniu w wyrzutni na Ice Fortress.

Seedeck w tym czasie powrócił do Atlantis, zbliżył się do bębna z nawiniętą liną i uruchomił napędzający go silnik. Lina naprężyła się. Seedeck sprawdził dokładnie działanie układu. Aby nie dopuścić do zerwania liny w wyniku niewielkich zmian odległości dzielącej Atlantis i Ice Fortress, była ona utrzymywana w stanie naprężenia przez układ sprzęgła ciernego i dodatkowo wyposażona w układ awaryjnego odłączania. W razie potrzeby układ ten mógł uruchomić Bates — z komory bagażowej, Seedeck — z Ice Fortress, lub Woods — z pokładu Atlantis. Komandor przymocował do liny plastikowe siodło, które mogło się po niej przesuwac dzięki teflonowemu ślizgaczowi.

— Atlantis, prowadnica gotowa — zameldował. Przemieścił się ostrożnie, zajmując pozycję tuż nad głową Batesa. Inżynier kończył właśnie montaż pierwszej bomby. Ołowiano-cynkowe rdzenie były złożone i przylegały do jej ścian. Masywny satelita miał średnicę przekraczającą dziesięć stóp, na Ziemi ważył ponad tonę, a Bates obchodził się z nim, jak z plażową piłką.

— Gotowy — zameldował Bates i odczepił taśmę przytrzymującą satelitę w łożu transportowym. Posługując się windą hydrauliczną, uniósł łoże o kilka cali i nagle je zatrzymał. Satelita, po wpływie siły bezwładności, opuścił komorę bagażową i trafił prosto w ręce czekającego Seedecka.

Komandor złapał za uchwyt i bez trudu skierował cylindrycznego satelitę w stronę siodła. Ustabilizował jego drgania i umocował go z taką wprawą, jakby robił to przez całe życie. Mimo iż nie odczuwało się działania siły grawitacji, Seedeck nie zapominał, że satelita był ciałem o masie dwóch tysięcy funtów i niełatwo było go zatrzymać, gdy już raz został wprawiony w ruch. Założył dodatkową linę, zabezpieczającą bombę przed wypadnięciem z siodła i zameldował:

— Przemieszczam numer pierwszy w kierunku magazynu.

Bates nie mógł powstrzymać śmiechu na widok Seedecka, który uniósł się ponad satelitę i usiadł na nim, jak na olbrzymim bębnie. Przytrzymując się butami i kolanami, jechał na bombie zawierającej pięćset funtów materiałów wybuchowych i dziewięćdziesiąt osiem funtów uranu. Włączył silniki MMU i wraz z satelitą zaczął przesuwac się po linii długości dwóch tysięcy stóp w kierunku Ice Fortress.

Ta metoda transportu bomb laserowych okazała się bardzo skuteczna. Wystarczyły dwie minuty, by Seedeck dotarł z ładunkiem do stacji. Łagodnie regulując siłę ciągu napędzanych azotem silników MMU, zaczął zwalniać, aż do zupełnego zatrzymania. Woods i załoga Atlantis obserwowali całą operację za pośrednictwem kamer telewizyjnych zaopatrzonych w teleobiektywy. Widzieli, jak Seedeck oderwał się od satelity i przemieścił pod niego, odpiął zatrask taśmy ubezpieczającej i zsunął bombę. Popchnął puste siodło w kierunku wahadłowca.

Pomagając sobie zestawem ramion przymocowanych do MMU, Seedeck skierował satelitę w stronę środkowej wyrzutni. Dzięki wprawie, nabytej w ciągu kilkunastodniowych ćwiczeń w olbrzymim basenie treningowym NASA w Teksasie, nie miał trudności z wprowadzeniem bomby do wyrzutni. Gdy tylko satelita znalazł się w rurze, zatrzasnęła się na nim para uchwytów i wciągnęła w głąb. Seedeck odczekał, aż usłyszy cichy trzask, oznaczający, że niepozorne z wyglądu, lecz groźne urządzenie dotknęło stalowej płyty zamykającej spód wyrzutni.

— Atlantis, tu Seedeck. Proszę o potwierdzenie, czy numer pierwszy zajął prawidłową pozycję.

— Czekaj — odparł Woods. Zwrócił się do Centrum Kontrolnego o potwierdzenie. Po kilku

chwilach otrzymał odpowiedź i przekazał ją komandorowi:

— Seedeck, tu Atlantis. Centrum potwierdza zajęcie przez numer pierwszy prawidłowej pozycji.

— Atlantis, przyjąłem. Wracam do statku. Powrót Seedecka do komory bagażowej trwał dwie minuty. Bates zdążył przygotować już następnego satelitę. Siodło, raz tylko pchnięte przez komandora, przebyło po linii drogę dwóch tysięcy stóp i czekało na niego przy Atlantis.

— Admirale, Seedeck powrócił do komory — zameldował Bates.

— Przyjąłem, czekajcie. — Woods poinformował Houston, że nikt nie przebywał w pobliżu Ice Fortress. Po kilku minutach przekazał: — Centrum melduje pełne połączenie. Stacja jest aktywna. Dobra robota, Rich. Nieźle się spisałeś.

Seedeck podziękował skinieniem głowy, gdy Bates uniósł kciuk do góry. Ice Fortress została uzbrojona. Była teraz pierwszym amerykańskim strategicznym urządzeniem obronnym z arsenału „Wojen Gwiezdnych”. Pierwszą bronią nuklearną na orbicie okołoziemskiej.

— Umieszczenie jednego satelity zajęło czterdzieści pięć minut — stwierdził Seedeck. — Powinniśmy skończyć do obiadu.

— Dzisiaj moja kolej na gotowanie — powiedział admirał Woods. Termo-stabilizowany befsztyk z sosem barbecue, rehydratyzowany kalafior z serem i najonizowana fasolka szparagowa z grzybami. Pycha!

— Admirale, przecież zamawiałem golonkę — zaprotestował Seedeck.

Bates z uśmiechem obserwował, jak komandor umieszcza drugiego satelitę w siodle. Wkrótce po tym Seedeck jechał wzdłuż liny w kierunku groźnej stacji.

— To musi być niezła zabawa — mruknął z zazdrością Bates, zabierając się do rozpakowania i montażu następnego satelity.

I wtedy właśnie ujrzał błysk. Snop jasnego pomarańczowego światła oblał wszystko dookoła. Przybierał na sile, aż stał się oślepiająco biały. Bates czuł się tak, jakby Seedeck zawrócił nagle i silnym pchnięciem zwałił go z nóg. Albo jakby siodło pchnięte przez komandora, ślizgając się po linie, uderzyło w układ zasilania na jego plecach. Bates nie miał MMU. Ze statkiem łączyła go lina przymocowana do zaczepu, przy wejściu do śluzy powietrznej. Żaden dźwięk, absolutnie nic nie wskazywało na to, iż mogło wydarzyć się coś złego. W pewnym sensie było nawet... przyjemnie. Zapomniał na chwilę, że znajduje się w przestrzeni kosmicznej. Praca wydała mu się lekka, wokół panowała cisza. Ogarnął go wesoły nastrój...

Jakaś siła odwróciła Batesa do góry nogami i cisnęła w prawy przedni kąt komory. Niewidzialna ręka przypierała go do grodzi. Nie słyszał nic, poza sykiem gdzieś nad głową. Zacisnął powieki, by nie widzieć jasnych punktów migających przed oczyma.

Ocknął się. Seedeck i drugi satelita zniknęli.

— Atlantis, tu Bates... — Nic. Słyszał tylko syk. Miał trudności z oddychaniem. Ciśnienie nie sprawiało mu bólu. Czuł się raczej jak w mocnym uścisku.

— Atlantis?...

— Seedeck! Rich, odezwij się! — To był Woods. Syk ucichł i przez słuchawki dobiegł teraz głos admirała.

— Atlantis, tu Bates. Co się stało? Co?... Znowu błysnęło. Zobaczył wielką czerwonopomarańczową kulę, tak oślepiającą, że przyćmiła nawet obraz świecącej jasno

Ziemi. Otworzył oczy i z piersi wydarł mu się krzyk.

Nie wiadomo skąd pojawił się jasny snop światła o średnicy kilkunastu stóp. Wyglądało tak, jakby ktoś grubą świetlistą krechą połączył Ziemię z Ice Fortress.

Błyszcząca, pancerna powłoka stacji zdawała się jarzyć niesamowitym pomarańczowym blaskiem. Snop światła zniknął. W ułamku sekundy w cylindrycznej wyrzutni na pokładzie Ice Fortress nastąpił straszliwy wybuch. W kierunku Ziemi wystrzelił długi na kilka jardów język ognia. Po jednym z boków stacji przeskakiwały iskry i błyskawice wyładowań elektrycznych. Ice Fortress, leniwie koziołkując, zaczęła się powoli oddalać, sypiąc we wszystkie strony deszczem iskier i odłamków. Bates skulił się, gdy zerwana pod wpływem szarpnięcia lina, łącząca Atlantis ze stacją kosmiczną, uderzyła w przednią grodz komory bagażowej. Krzyknął:

— Komandor Seedeck! O Boże...

— Centrum Kontrolne, tu Atlantis... — Bates słyszał meldunek admirała Woodsa. — Straciliśmy Ice Fortress. Powtarzam, straciliśmy Ice Fortress. Jaskrawe pomarańczowe światło, następnie potężna eksplozja. Zaginął jeden z członków załogi.

— Tu Bates. Co?...

— Bates, tu admirał Woods. Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

Inżynier sięgnął lewą ręką do jednego z uchwytów na przedniej grodzi i przekonał się, że ciśnienie ustąpiło.

— Wpadłem do komory bagażowej. Nic mi się nie stało. — Nagle poczuł przeszywający ból i krzyknął.

— Bates...?!

Bates popatrzył w dół i spostrzegł, że jego lewa noga zgięła się pod nienaturalnym kątem.

— O Boże, chyba złamałem nogę!

— Czy możesz przedostać się do śluzy?

— Admirale, tu Connors. Włożę skafander i...

— Nie wolno ci, jeśli nie oddychałeś tlenem — przerwał mu Woods. — Sprawdźcie wszyscy swoje stanowiska. Meldować o uszkodzeniach. Potem wróćcie do kamer i znajdźcie Seedecka. Connors i Matsumo, włożcie aparaty tlenowe. Bates, możesz wrócić do śluzy?

Bates złapał za uchwyt. Myślał, że trudno mu się będzie podnieść, a tymczasem stwierdził, iż w warunkach nieważkości musi się przytrzymać, by nie wylecieć z komory bagażowej. Zaczął powoli przesuwając się w kierunku śluzy.

— Bates, co tam się stało?

— Boże, wydaje mi się, że... że eksplodował jeden z tych przeklętych pocisków —

odpowiedział Bates.

Satelity-bomby są wyposażone w szereg zabezpieczeń przed przypadkowym wybuchem jądrowym. Aby zapoczątkować reakcję łańcuchową potrzeba jednak tradycyjnych materiałów wybuchowych, a te nie mają zabezpieczeń. Coś, może fala energii, spowodowało eksplozję pięciuset funtów materiałów wybuchowych w komorze reakcyjnej satelity.

Dotarłszy do śluzy, Bates odwrócił się, by popatrzeć na Ice Fortress. Nie od razu ją zobaczył, przesunęła się bowiem już o kilkaset jardów od miejsca, gdzie ją ostatnio widział. Oddalała się powoli, wirując jak bąk. Radary i anteny przypominały ramiona machające na pożegnanie. Co pewien czas z powierzchni stacji strzelał snop iskier. Ice Fortress ciągnęła za sobą smugę odłamków, jak gdyby rzucała okruchy dla oznaczenia drogi powrotnej.

Komandor Seedeck zniknął. Nie pozostał po nim nawet najmniejszy ślad.

WASZYNGTON, KOLUMBIA

Prezydent przyglądał się wielkiej mapie, wyświetlonej na tylnej ścianie Pokoju Operacyjnego w Białym Domu. Przesuwał palcem po czarnej linii, by się upewnić, że przechodzi ona przez Kawaznię. Linia, wykreślona przez komputer, nie była prosta — przedstawiała ortodromę, narysowaną w postaci wielu prostych kreseczek o zmieniających się kierunkach. Prezydent wiedział jednak, że wyznaczała najkrótszą drogę do miejsca nieuniknionej, jak się wydawało, konfrontacji.

Generał Wilbur Curtis i jego adiutant stali za krzesłami obserwując prezydenta. Curtis zdawał sobie sprawę, że prezydent patrzy na coś, czego nie oglądał dotąd żaden z jego poprzedników — mapę przedstawiającą plan ataku na Związek Radziecki w okresie pokoju. Chociaż istniały setki takich planów, żaden nie był do tej pory bezpośrednio przedstawiony głowie państwa do akceptacji.

Po szybkim zapoznaniu się z mapą prezydent siadł u szczytu owalnego stołu. Jego doradcy również zajęli swoje miejsca. Curtis przez cały czas bacznie przyglądał się prezydentowi. Zauważył, że jest zgarbiony, ma podkrążone oczy i wyraźnie schudł.

Był to dla nich wszystkich trudny okres, ponieważ w sprawach polityki zagranicznej młody prezydent polegał w znacznym stopniu na swoich doradcach. Świetnie sobie radził z polityką wewnętrzną i w kraju był bardzo popularny, na arenie międzynarodowej jednak wyglądało to zupełnie inaczej. Prezydent i jego rząd usiłowali przekonać świat, że Związek Radziecki zagraża Stanom Zjednoczonym i zmierza do konfliktu. Tylko nieliczni dali temu wiarę; większość po prostu obawiała się spojrzeć prawdzie w oczy. Skutki konfrontacji wydawały się zbyt przerażające. Polemiki wyczerpały również sekretarza stanu Marshalla Brenta. Zwykle swobodny i energiczny, ostatnio był wyraźnie przygaszony.

Teraz, gdy przybyła kolejna ofiara lasera, prezydent stanął w obliczu tego, czego się najbardziej obawiał — bezpośredniego ataku na Kawaznię. Na terytorium ZSRR...

Dzisiejsze zebranie zostało poprzedzone zwołanym naprędce posiedzeniem rządu, Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych. Jego uczestnicy przyszli na spotkanie z prezydentem, by przedstawić uzgodniony przez siebie plan.

— Proszę zaczynać, generale — zachęcił prezydent szefa Kolegium Połączonych Sztabów. Curtis wstał i podziękował skinieniem głowy.

— Tak jest, panie prezydencie. Do wykonania misji wyznaczaliśmy dwa bombowce B-1B Excalibur z nowo utworzonego Dziesiątego Skrzydła Bombowego, stacjonującego w bazie

Ellsworth. Wczoraj samoloty opuściły Dreamland, gdzie dokonano w nich modyfikacji konstrukcyjnych i powróciły do Ellsworth. Tam każdy z nich został dodatkowo wyposażony w dwie bomby Striker AGM-130, naprowadzane kamerą telewizyjną i na podczerwień. Wszystko zgodnie z pańskim rozkazem, panie prezydencie. Striker to największa bomba konwencjonalna w naszym arsenale. Zrzucana z małej wysokości, może, dzięki niewielkiemu silnikowi rakietowemu, pokonać w locie ślizgowym dystans piętnastu mil. Ma siłę wybuchu odpowiadającą jednej tonie trotylu. Bomba może być naprowadzona na cel przez bombardiera, dzięki umieszczonej w niej kamerze telewizyjnej, lub automatycznie, przez czujnik podczerwieni.

— Aż dwie bomby Striker, generale?

— To dodatkowe zabezpieczenie. Dwie bomby zrzucane na jeden cel. Jeśli jedna nie wybuchnie, druga zniszczy cel w pięć sekund później. Jeśli pierwsza eksploduje, druga zostanie zniszczona wskutek wybuchu. Wysłanie dwóch samolotów daje większą gwarancję zniszczenia głównego celu i ułatwia przełamanie obrony przeciwlotniczej.

Słowa generała zaniepokoiły nawet tych, którzy od początku uczestniczyli w rozwiązywaniu kryzysu. Tym razem Curtis nie mówił przecież o ćwiczeniach czy symulacji.

— Bombowce zostały wyposażone w zabezpieczające wyłączniki, uruchamiane zakodowanym rozkazem, oraz łącze do przekazania tego rozkazu — kontynuował Curtis. — Te wyłączniki to elektroniczne klucze umieszczone pomiędzy bombami a pulpitem bombardiera. Zastosowaliśmy takie zabezpieczenia, jak w przypadku broni jądrowej — uzbrojenie bomb i ich zrzucenie będzie możliwe dopiero wtedy, gdy wydany przez pana zakodowany rozkaz ataku zostanie przekazany łączem satelitarnym lub na zakresie UHF i będzie wprowadzony do tych kluczy. W akcji wezmą udział dwie najbardziej doświadczone załogi Excaliburów. Obydwie osiągnęły najlepsze oceny podczas lotów kwalifikacyjnych. Przeszły już odprawę i czekają w pogotowiu. Samoloty polecą przedstawioną tutaj trasą. — Curtis wskazał na wielką, narysowaną przez komputer mapę. — Wystartują z Ellsworth i polecą nad Kanadą, następnie nad Alaską. Zatankują z dwóch cystern KC-10* z bazy Sił Powietrznych Eielson, po czym będą kontynuować lot na północ, nad Morze Arktyczne. Na północ od Przylądka Barrow, w miejscu, gdzie zwykle odbywają się ćwiczenia SNOWTIME, zaczną krążyć, czekając na pański rozkaz. Przekáže go pan za pośrednictwem centrum łączności Green Pine na Przylądku Barrow. Na tym etapie nie będzie im wolno uzbroić bomb. Jeśli każemy im kontynuować krążenie, to nie powinni wzbudzić niczyich podejrzeń. Dla każdego obserwatora z zewnątrz będzie to wyglądało na kolejne ćwiczenia SNOWTIME. SAC przeprowadza je w rejonie Arktyki kilka razy w roku. Rosjanie i Kanadyjczycy już się

zdążyli przyzwyczać do tego, że nasze bombowce krążą nad Morzem Arktycznym podczas lotów treningowych. Po otrzymaniu pierwszego rozkazu ataku bombowce skierują się, wraz z towarzyszącą im drugą grupą cystern KC-10, na południowy zachód i będą kontynuować lot aż do osiągnięcia sześćdziesiątego stopnia szerokości geograficznej północnej. Tam, w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, zaczną krążyć nad Morzem Czukockim, na północ od Syberii, oczekując na drugi rozkaz ataku — chyba że już uprzednio otrzymały razem z pierwszym. Gdy przyjdzie drugi rozkaz, po raz ostatni uzupełnią paliwo i skierują się nad cel.

— Czy bombowce krążące tak blisko Związku Radzieckiego nie wzbudzą podejrzeń? — spytał sekretarz obrony Thomas Preston. — Przecież zazwyczaj nie prowadzimy tam ćwiczeń.

— Ma pan rację — odparł Curtis. — B-1 jednak pozostaną w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, daleko poza zasięgiem radzieckich radarów. Jest mało prawdopodobne, by je zauważono. Jeśli nawet Rosjanie wykryją bombowce i nabiorą pewnych podejrzeń, to jesteśmy przekonani, iż i podejmą żadnych działań. Tak daleko na północy siły obrony powietrznej są bardzo słabe.

— Czy istnieje ryzyko, że laser zaatakuje nas samoloty? — spytał prezydent. Wyjaśnienia, jak doszło do tego, że laser zdołał zniszczyć Ice Fortress, ciągle budziły jego wątpliwości. Rosjanie uderzyli dokładnie w tym momencie, gdy cylindryczna wyrzutnia satelitów-bomb laserowych była otwarta, nie zabezpieczona. Gdyby zaatakowali w kilka godzin później, wszystkie satelity byłyby uzbrojone, a cylinder zamknięty.

— Nie ma żadnego ryzyka, panie prezydencie — Zapewnienie Curtisa chyba niezupełnie przekonało prezydenta. — Aby zaatakować nasze bombowce — mówił dalej generał — Rosjanie muszą je najpierw wysledzić. B-1 będą leciały ukryte między pasmami górskimi Kameczatki i mogą zostać wysledzone przez radar dopiero wtedy, gdy zbliżą się do Kawazni na odległość dwudziestu, trzydziestu mil, a wówczas cel będzie już w zasięgu bomb ślizgowych Striker.

— A co ze zwierciadłem na orbicie?

— Rosjanie wykorzystali je przeciwko rakiecie balistycznej lecącej na wysokości czterystu mil — wyjaśnił Curtis. — Czujniki podczerwieni satelitów mogą bez trudu wykryć taką ракетę, gdy z rozgrzаныmi do czerwoności silnikami przebijają się przez atmosferę. Dzięki łączu do przekazywania danych laser ma możliwość niszczenia obiektów wykrytych przez satelitę. Nie może jednak dokładnie wysledzić samolotu, znajdującego się na wysokości zaledwie siedmiu mil. Nie widząc celu, nie może go zaatakować. Gdyby jednak laser uderzył w nasze bombowce, uważamy, że rozproszenie energii przy dwukrotnym przejściu wiązki

przez atmosferę, najpierw do góry, a po odbiciu od zwierciadła w dół, na tyle zmniejszy moc uderzenia, że samolotowi nic się nie stanie. Nie, panie prezydencie. Laser nie będzie zagrażał B-1, dopóki nie zbliżą się do Kawazni. A wtedy cel znajdzie się już w zasięgu bomb Striker i laser powinien zostać zniszczony, zanim zdoła wystrzelić. — Curtis skierował teraz wskaźnik na Azję. — Dopóki będziemy daleko od kompleksu, nie musimy się obawiać, że Rosjanie nas wykryją. Nasze samoloty zejdą na małą wysokość tuż przed przekroczeniem północnego wybrzeża Syberii i przed dostaniem się w zasięg radaru dla dużych wysokości w okolicach miasta Ust'-Chaun. Dla oszczędzenia paliwa powrócą na dużą wysokość nad wschodnią Syberią. Gdy zbliżą się do północnego krańca półwyspu Kamczatka, zejdą tak nisko, jak tylko pozwolą na to przeszkody terenowe, i przedrą się do celu przez Góry Koriackie i Środkowe.

Curtis wyświetlił nowe przezrocze ukazujące w dużym powiększeniu obiekt sfotografowany z lotu ptaka.

— Panie prezydencie, ma pan przed sobą m. nowsze zdjęcie Kawazni, zrobione przez satelitę rozpoznawczego na początku ubiegłego roku. O główny cel ataku. — Generał jeszcze bardziej powiększył obraz. — Pod tą kopułą o średnicy około czterdziestu stóp umieszczono zwierciadło. Eksperti z CIA uważają, że to stąd właśnie emitowana jest w przestrzeń wiązka laserowa. Dwa Strikery zaprogramujemy tak, by uderzyły w ten budynek. Trzecia bomba ma zniszczyć główny radar śledzący, sterujący laserem, a ostatnia lotnisko w Ossorze, na północny wschód od Kawazni. Jak pan widzi, wokół budynku ze zwierciadłem jest zupełnie pusto. Wszystkie urządzenia kompleksu, poza elektrownią atomową, znajdują się pod ziemią. Tę siłownię rozpatrujemy jako cel alternatywny. Jeśli piloci uznają...

— Nie — przerwał prezydent. — Tylko nie siłownia. Zniszczenie jej dałoby taki efekt, jak rzucenie bomby atomowej. Nie chcę być odpowiedzialny za drugi Czarnobyl. Jeśli B-1 nie mogą zaatakować kopuły ze zwierciadłem, odwołujemy akcję.

Curtis, choć niezbyt zadowolony, skinął głową i jeszcze raz wyświetlił zdjęcie północnego Pacyfiku.

— Po wykonaniu zadania B-1 zawrócą w kierunku gór i będą lecieć na małej wysokości tak długo, dopóki nie opuszczą obszaru kontrolowanego przez radar. Następnie przelecą nad oceanem w kierunku Alaski. Mogą zatrzymać się na Attu, Shemyi, w Elmendorf lub w Eielson. Po wylądowaniu uzupełnią paliwo i wrócą do Ellsworth... Tam oczywiście zostaną ponownie uzbrojone i przygotowane do lotu, pozostając w pełnym pogotowiu nuklearnym.

— Jeśli Ellsworth będzie jeszcze istnieć do tego czasu — odezwał się czyjś głos. Prezydent patrzył na mapę z zaznaczoną trasą lotu.

— To wszystko wydaje się zbyt... łatwe — mruknął.

— Słucham, panie prezydencie?

— To wydaje się zbyt proste — powtórzył prezydent niewiele głośniejszym głosem. — Curtis wyteńczył słuch. — Gdzie jest ich obrona? Od lat mówił mi pan o silnej obronie przeciwlotniczej. A teraz nie ma żadnego zagrożenia?

— Cel jest bardzo silnie broniony przez...

— Generale — przerwał prezydent. — Czy Excalibury dadzą radę? Przedrą się?

Curtis spojrzał w stronę trzygwiazdkowego generała Bradleya Jamesa Elliotta, który wstał i patrzył na prezydenta.

— Cieszę się, że pana znów widzę, generale Elliott — przywitał go prezydent. — Jak pan uważa, Brad? Uda im się?

— Uważam, że tak. Po zainstalowaniu w bombowcach nowego wyposażenia, które testowaliśmy w Dreamlandzie, mają naprawdę duże szanse. Gdy będą leciały na małej wysokości, Rosjanie mogą je zauważyć dopiero czterdzieści, pięćdziesiąt, no sześćdziesiąt mil morskich od celu. Przy prędkości dziewięciu mil na minutę Excalibury zniszczą cel, zanim myśliwce zdążą je zaatakować, a gdy będą w górach, na wysokości dwustu stóp, odnalezienie ich będzie niemożliwe. W razie gdyby bombowce zostały jednak zaatakowane, zaopatrzyliśmy je w takie rezerwy paliwa, że będą mogły przekroczyć prędkość dźwięku i szybciej dolecieć nad cel. Poza tym wyposażyliśmy je w specjalne urządzenia zagłuszające i makiety pozorujące do obrony przed pociskami ziemia-powietrze. Ponieważ bomby Striker mogą być wystrzelone z odległości piętnastu mil od kompleksu, B-1 będą praktycznie przez cały czas w górach.

Prezydent spojrzał na powiększone zdjęcie Kawazni, po czym zwrócił się do swych doradców.

— Zdaję sobie sprawę z tego, co was gnębi. Nikt z nas nie chciał nawet dopuścić do siebie myśli o tym ataku, a teraz wszystko wskazuje na to, że jednak nie da się go uniknąć... W ciągu ostatnich dni wielokrotnie ponawialiśmy starania, by zmienić nie przejednaną stanowisko Rosjan. Niestety, bez skutku. Ciągłe jeszcze próbujemy rozwiązać kryzys środkami dyplomatycznymi. Mam nadzieję, że sekretarzowi Brentowi uda się jakoś wpłynąć na Rosjan i akcja B-1 zostanie odwołana. Jeśli mu się nie powiedzie i będę zmuszony wydać rozkaz ataku chcę jednak, by dla wszystkich było jasne, iż nasze postępowanie ma wyłącznie charakter akcji policyjnej. Dołożyliśmy wszelkich starań, by zasięg i skutki tej akcji były ograniczone. Nie chcemy wojny ze Związkiem Radzieckim. Nie chcemy konfrontacji nuklearnej. Nie możemy jednak nie dostrzegać, że istnienie instalacji laserowej oraz polityka Moskwy zmierzająca do ukrycia tego, co dzieje się w Azji, prowadzą do osłabienia

skuteczności naszego systemu obronnego i naszego ewentualnego uderzenia odwetowego. Wydaje się, że powinniśmy przeprowadzić tę ryzykowną akcję teraz, w przyszłości bowiem niebezpieczeństwo będzie z całą pewnością większe... Generale Curtis, proszę, niech pan powtórzy, jak wygląda system zabezpieczenia akcji.

Szef Kolegium Połączonych Sztabów wstał.

— Panie prezydencie, bombowce wystartują tylko na pański bezpośredni rozkaz. Na drugi rozkaz opuszczą arktyczny obszar przeprowadzania ćwiczeń SNOWTIME i dopiero po kolejnym, trzecim rozkazie przekroczą ostatni punkt decyzyjny i uzbroją rakiety. Trzeci rozkaz będzie równoznaczny z decyzją ataku. System łączności satelitarnej bombowców i odbiorniki radiowe będą na nieustannym nasłuchu, w każdej więc chwili możliwe będzie przekazanie zakodowanego rozkazu o przerwaniu lub zakończeniu akcji. Ponadto warunkiem przeprowadzenia akcji będzie stuprocentowa sprawność bombowców i pocisków. Satelity komunikacyjne zostaną tak zaprogramowane, by co pół godziny automatycznie wysyłać rozkaz zakończenia akcji, o ile każdorazowo nie odwołamy emisji. Jeśli więc nasza łączność z satelitą zostanie przerwana, tym samym będzie to oznaczało zakończenie akcji.

Prezydent skinął głową na znak zgody i popatrzył na zebranych. Nikt nie zgłaszał żadnych uwag ani propozycji. Po długiej, pełnej napięcia chwili prezydent otworzył czerwoną teczkę przygotowaną poprzedniego dnia i wyjął z niej dokument. Złamał pieczęć i odczytał jego treść, próbując tym samym pierwszy punkt planu Curtisa.

DREAMLAND

Patrick McLanahan siedział sam w półmroku ciasnego pokoju mieszczącego się w lichym baraku, gdy wtem usłyszał ciche pukanie do drzwi. Otworzył je z uśmiechem.

W drzwiach stał jego partner Dave Luger. Miał na sobie ciemnoszarą kurtkę lotniczą, kombinezon i ocieplane zimowe buty, takie same jak Patricka. Trzymał ręce w kieszeniach i rył czubkiem buta w piasku.

— Jesteś gotów, Pat? — spytał, nie przestając grzebać w ziemi.

McLanahan rzucił okiem na zegarek, potem spojrział w niebo.

— Och, od siedmiuset godzin — powiedział. — Trochę się spóźniłeś, prawda?

Luger sprawdził czas na swoim zegarku i wzruszył ramionami.

— Co za różnica? Przez ostatnie dwa dni nie było powodu, by się spieszyć. Nie robiliśmy nic poza siedzeniem na tyłkach.

McLanahan odwrócił się, by wziąć kurtkę przewieszoną przez oparcie łóżka.

— Zaraz, co ja słyszę? — rzucił mu przez ramię. — Czyżbym miał do czynienia z tym samym facetem, który przez ostatnie dwa miesiące narzekał na każdą spędzoną tutaj godzinę? Tym samym, który przez trzy tygodnie co noc groził, że mnie udusi za to, że go ściągnąłem do Dreamlandu?

Luger przyjął swą zwykłą niedbałą postawę rewolwerowca.

— No cóż, wciąż prześladowuje mnie niezbyt słodkie wspomnienie o poruczniku Briggsie. Wpakował się do mnie, gdy byłem z Sharon, by mi zakomunikować, że czeka mnie mała wycieczka. Poza tym średnia przyjemność mieć na karku przez czternaście godzin na dobę tę primadonnę Andersona. A już odkąd dwa dni temu B-1 odleciały do Ellsworth, nudno tu jak cholera! Co, u diabła, można tu robić poza siedzeniem w symulatorze albo lotami ćwiczebnymi?

— Kompletnie nic — odpowiedział McLanahan, zamykając na klucz drzwi swego pokoju. To wcale nieprawda, pomyślał.

Mógł spędzić więcej czasu z Wendy w ciągu ostatnich kilku dni i był za to wdzięczny losowi. Taka prawdziwa okazja, by sforsować kamienny mur, którym się otoczyła i dowiedzieć się, co w niej siedzi, trafiła mu się po raz pierwszy od jej powrotu wraz z innymi cywilami pracującymi nad projektem. Poprzednio, nawet podczas wspólnych ciągnących się do późnej nocy sesji szkoleniowych, trzymała się zawsze na uboczu. Teraz, spędziwszy z nim trochę czasu „na luzie”, zrozumiał lepiej przyczynę owej izolacji. Pragnęła być przede

wszystkim akceptowana jako profesjonalistka, jako ktoś, kto potrafi podjąć się każdego męskiego zadania i wykonać je możliwie najlepiej. Domyślał się, że musiała przeżywać ciężkie chwile w opanowanym przez mężczyzn świecie Sił Powietrznych i że ukrywanie jednej strony osobowości — tej łagodnej i kobiecej — stało się po pewnym czasie jej drugą naturą. Nie mógł się powstrzymać od porównywania jej z Catherine, którą elitarne wychowanie uczyniło znacznie bardziej pewną siebie, towarzyską i... no cóż, mniej interesującą...

— Hej, Pat — odezwał się Luger w drodze do baraku odpraw — jak sądzisz, dlaczego Elliott zwołał zebranie dzisiaj rano? Myślisz, że zamierza puścić nas na zieloną trawkę?

— Być może coś więcej.

— Co masz na myśli?

McLanahan szedł dalej. Zbliżali się do baraków zajmowanych przez personel kobiecy.

— Hm, wydaje mi się, że nie tracilibyśmy tyle czasu na testowanie urządzeń Old Doga, a później na instalowanie identycznych systemów w tamtych B-1, gdyby nie miały być do czegoś użyte. Być może czegoś wielkiego. Przypomnij sobie kasetę z opisem terenu, którą sprawdzaliśmy przed odlotem B-1. Bili Dalton, nawigator z Zero-Sześć-Cztery, wspomniał, że odpowiada ona obszarowi nad pustynią Sarir Calanascio w Libii. To kompletna bzdura. Tamte samoloty będą przelatywały ponad górami.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę, pogrążeni we własnych myślach.

— Hej, widzę Wendy i Angelinę — powiedział Luger poznając dwie kobiety nadchodzące od strony swych baraków. Pomachał im ręką i przyłączył się do nich na kilka jardów przed wejściem do baraku odpraw.

— Widzę, że nie tylko my jesteśmy spóźnione — powiedziała z uśmiechem Angelina Pereira. Była w tym towarzystwie jedyną osobą nie noszącą kombinezonu lotniczego.

Ładna kobieta, przyznał w duchu McLanahan. Ładna i twarda. Przypominała mu trochę jego matkę.

— Dave musiał uciąć sobie drzemkę — powiedział wskazując ruchem głowy Lugera. — Jako dobry kolega postanowiłem na niego poczekać.

Wendy wyglądała na zaniepokojoną.

— Pat — spytała — czy nie domyślasz się, po co generał Elliott wezwał nas wszystkich razem?

McLanahan wzruszył ramionami.

— Sądzę, że się wkrótce dowiemy — powiedział otwierając drzwi do baraku.

Generał Bradley Elliott zdjął ciemne okulary i przebiegł wzrokiem po słuchaczach, których

tu ściągnął. Miał na sobie grubą zimową kurtkę lotniczą w kolorze zielonym, pod spodem standardowy mundur polowy Sił Powietrznych z matowoczarnymi znaczkami identyfikacyjnymi, także naszywkę Strategicznych Sił Powietrznych i matowymi, czarnymi gwiazdkami na kołnierzu. Oparty na biurku z roztargnieniem bawił się okularami.

— Cieszę się, że stawiliście się tutaj w komplecie — powiedział. — Nawet z małym opóźnieniem — dodał, spoglądając na czwórkę maruderów, którzy właśnie weszli do pokoju. — Wezwałem was — mówił dalej — aby rzucić trochę światła na wydarzenia ostatnich dni, jak również ostatnich kilku miesięcy. Jak się większość z was domyśla, udoskonalenia i modyfikacje, które wprowadziliśmy do tamtych dwóch Excaliburów, nie zostały wdrożone ot tak sobie, w nadziei, że mogą być wykorzystane kiedyś, w bliżej nie określonej przyszłości. Przeciwnie, zostały wykonane w określonych zamiarach.

Elliott przerwał i powiódł wzrokiem po twarzach obecnych.

Dokładnie na wprost niego siedział sztywno w fotelu pułkownik James Anderson. Tuż po jego lewej ręce zajmował miejsce Lewis Campos z czołem błyszczącym od potu, w głębi pokoju zaś Patrick McLanahan, z wyciągniętymi nogami i spojrzeniem utkwionym w podłogę.

— Panie i panowie — oznajmił Elliott — około dwudziestu pięciu minut temu dwa B-1 — te, nad którymi pracowaliście przez ostatnie kilka miesięcy — wystartowały z Bazy Sił Powietrznych Ellsworth. Stanowią część składową ewentualnych sił uderzeniowych na terytorium Związku Radzieckiego.

Zebrany w pokoju zapało dech w piersiach. McLanahan poczuł wzbierające mdłości. Spojrzał na Lugera i pokiwał głową.

— Powiedziałem: ewentualnych. Będą zataczały coraz węższe kręgi w pobliżu Rosji, a tymczasem politycy spróbują wynegocjować rozwiązanie. Jeśli im się nie uda, B-1 ruszają do akcji...

— Wynegocjować rozwiązanie czego? — spytał Lewis Campos zagłuszając czynione szeptem komentarze.

— Proszę o ciszę — zażądał Elliott otwierając teczkę.

Wyjął z niej serię zdjęć i wręczył je podpułkownikowi Johnowi Ormackowi, ten zaś puścił je w obieg.

— Zdjęcia, które oglądacie — mówił dalej Elliott — pokazują urządzenie zbudowane w Związku Radzieckim, w małej wiosce rybackiej o nazwie Kawaznia. Rosjanie skonstruowali tam nowoczesny laser do niszczenia satelitów i pocisków balistycznych. W ciągu ostatnich kilku miesięcy użyli go kilkakrotnie.

— Przeciwno czemu? — spytał Dave Luger, tymczasem McLanahan studiował zdjęcia wykonane przez satelitę wywiadowczego. — W wiadomościach nie podawano nic na ten temat...

— I nie podadzą — przerwał mu generał Elliott. — Rozbudzanie publicznych emocji w takiej sytuacji mogłoby sprawić, że stałaby się jeszcze bardziej wybuchowa. Faktem jest, że laser w Kawazni okazał się niezwykle skuteczny. Chociaż Rosjanie nie przyznali się nawet do posiadania takiej broni, zniszczyła ona urządzenia amerykańskie warte ponad pięć miliardów dolarów i zabrała trzynaście istnień ludzkich.

— Mój Boże! — okrzyk Lugera odzwierciedlał uczucia wszystkich zebranych.

— Nasza praca tutaj dobiega końca — mówił dalej Elliott. — Chcę, abyście wszyscy przez następne kilka godzin byli w stanie pogotowia, gdyby SAC potrzebował waszej pomocy w razie nieprawidłowego funkcjonowania podwozia B-1 — co jest zresztą mało prawdopodobne — potem zaś jesteście wolni. Zleciłem już Działowi Transportu zorganizowanie waszego odlotu. Nie wolno wam wyjawić nawet słowa z tego, co dziś usłyszeliście. Wszyscy posiadacie status osób dopuszczonych do najwyższych tajemnic państwowych i uważam, że macie prawo wiedzieć, w czym bierzecie udział. Ta wiedza powinna wam z całą ostrością uświadomić konieczność zatrzymania przy sobie wszystkiego, co tu robiliście.

Nagle drzwi do baraku odpraw otworzyły się raptownie i do pokoju wpadł porucznik Harold Briggs. Zatrzymał się na dwa kroki przed Elliottem.

— Generale — wysapał — mamy problem!

Elliott zbladł. Spostrzegł, że Briggs jest uzbrojony w swój Uzi, mały pistolet maszynowy o krótkiej lufie, przewieszony przez ramię na pasie z przytroczonymi do niego trzema ręcznymi granatami.

— Hal?

— Otrzymaliśmy raport, że kilka minut temu zniknął z ekranu radaru lekki samolot, generale — zameldował Briggs. — Sądzymy, że wślizgnął się od strony Las Vegas, kryjąc się za wzgórzami. Służba bezpieczeństwa patroluje cały obszar.

— Czy dostał się do Dreamlandu? — spytał Elliott.

Prawdopodobieństwo, że tak właśnie się stało, było znikome: bez względu na typ każdy samolot o wadze przekraczającej kilkaset funtów byłby wychwycony przez tuzin różnych czujników penetrujących pustynię.

— Mimo wszystko zakładamy najgorsze.

Luger i McLanahan wstali już ze swych foteli, Anderson, pochylony do przodu, czekał na rozkaz Elliotta.

— James — powiedział generał. — Zabierz natychmiast swoich ludzi do hangaru Old Doga. Będą tam bezpieczniejsi.

Anderson skinął głową i zwrócił się do pozostałych:

— Zgoda, słyszeliście, co powiedział generał. Ruszamy!

Gdy McLanahan wyprowadzał spieszenie Wendy z baraku odpraw w kierunku czarnego hangaru z Old Dogiem, usłyszał odgłosy strzelaniny i wybuchów. Spojrzał w lewo i zobaczył chmury dymu kłębiącego się przy wejściu do obozu.

— Cholerne gówno! — wykrzyknął z tyłu Luger. — Zostaliśmy zaatakowani!

Nie minęło nawet pół minuty, a wszyscy członkowie grupy testującej Old Doga znaleźli się w hangarze, McLanahan zarygłował wrota. Odwracał się właśnie, by przejść w głąb hangaru, gdy usłyszał, że ktoś dobija się od zewnątrz oraz głos Elliotta. Otworzył, wpuszczając do środka generała i Briggsa.

— Sprawa jest poważniejsza, niż sądziliśmy — powiedział Elliott do Andersona, który podszedł do nich. — Musicie...

Nie zdążył dokończyć zdania. Pierwszą eksplozję raczej poczuli, niż zobaczyli. Pocisk trafił w odległy róg czarnego hangaru. Elliott miał wrażenie, jak gdyby cały czteroakrowy dach ponad ich głowami wpadł w wibrację niczym arkusz blachy.

Elliotta i Ormacka zwała z nóg fala uderzeniowa. Anderson runął na przednie koła Old Doga, lądując na głowie i ramionach. Briggs zdołał utrzymać się na nogach. Ściskając wciąż kurczowo swój Uzi, pomagał Elliottowi wstać.

— Niech pan się kryje, generale! — krzyknął Briggs, gdy nastąpiła druga eksplozja, trzykrotnie potężniejsza od pierwszej. W dachu tuż nad końcówką lewego skrzydła powstała wyrwa o średnicy pięćdziesięciu stóp, a na bombowiec posypały się odłamki metalu i betonu. Ściana poniżej wyrwy pękła, jak gdyby ktoś rozsunął w niej gigantyczny zamek błyskawiczny.

Zapalił się przewód z acetylenem i płomienie strzeliły w niebo. Na zewnątrz rozpięta się strzelanina z broni automatycznej. Przez wyrwę w ścianie widać było biegnących pracowników i uzbrojonych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa usiłujących zlokalizować napastników i powstrzymać paniczną ucieczkę przerażonych ludzi. Padły pierwsze ofiary.

Elliott otrząpał gruz z włosów i odkaslnął, próbując pozbyć się gryzącego pyłu z oczu i gardła. Odwrócił się i popatrzył na pierwszy punkt trafienia w odległym rogu hangaru, drugi tuż obok bombowca, na walkę toczącą się na zewnątrz. Nie musiał być generałem, by zdać sobie sprawę, że następny pocisk z moździerza rozerwie się nad ich głowami, a ofiar na zewnątrz będzie coraz więcej.

— John! — Chwytał Ormacka za ramię i wykrzyczał mu prosto do ucha: — Włóż na pokład! Zapuść je!

— Co?

— Silniki. Zapuść silniki. Uruchom to pudło!

— Uruchomić?

— Wykołuj stąd ten przeklęty samolot, oni chcą zdmuchnąć to miejsce z powierzchni ziemi! Rusz się! — Popchnął Ormacka w stronę włazu.

Ormack przewrócił się na gładką betonową podłogę i przez ułamek sekundy Elliott myślał, że już się nie podniesie. On jednak stanął na czworakach, znalazł właz i wdrapał się do środka.

— Campos, Pereira!

Odnalazł operatora systemów obronnych i jego asystentkę przy prawym skrzydle bombowca. Kręcili się w kółko, objęli o wspornik Scorpionów, niepewni, w którą stronę się obrócić lub uciekać. Elliott chwycił ich oboje za kark i wepchnął pod brzuch bombowca.

— Włóżcie na pokład!

Angelina zareagowała natychmiast, wdrapując się po drabince. Campos patrzył przerażony, jak jego asystentka znika wewnątrz samolotu. Odwrócił się do Elliotta.

— Nie, ja nie mogę...

— Włóż na górę, do jasnej cholery!

— Nie wejdę do tego pudła!

Campos uwolnił się, wprawiając w ruch swe kościste łokcie oraz pięści i czmychnął w kierunku otwartych wrót hangaru, nie zwracając uwagi na strzelaninę na zewnątrz. Wpadł na krawędź wrót, zatrzymał się na chwilę i rzucił ostatnie spojrzenie na czarny bombowiec.

— Campos! — krzyknął Elliott. — Kryj się!

Za późno. W chwili, gdy Elliott go wołał, Campos odwrócił się i wybiegł. Właśnie wtedy trzecia eksplozja rozpruła całą ścianę hangaru i Campos zniknął w oślepiającym błysku światła, wśród zgrzytu topiącego się gruchotanego metalu. Lewe skrzydło wrót hangaru wygięło się i runęło na ziemię.

Elliott mógł już tylko obserwować całą sytuację i uchylać się, gdy runęły wrota hangaru i kule zaczęły świstać obok niego. Odwróciwszy się, zobaczył przy dziobie samolotu Andersona, który próbował wstać; głowę i całą twarz miał zalane krwią.

Generał podbiegł, by pomóc Andersonowi wgramolić się na pokład bombowca. Nagle poczuł uderzenie w łydękę, dotknął jej, a gdy podniósł rękę do oczu, zobaczył, że jest cała czerwona od krwi. Chciał stanąć na prawej nodze, by sprawdzić, co się stało, odmówiła mu

jednak posłuszeństwa i Elliott osunął się bezwładnie na ziemię.

— Generale — zawołał Anderson, próbując doczołgać się do leżącego w kałuży krwi Elliotta — musimy się stąd wydostać. — Jedno jego oko znajdowało się w stanie oczopląsu.

— Na pokład! — rozkazał Elliott.

Z silnika numer cztery rozległ się wysokotonowy dźwięk. Anderson obejrzał się i spostrzegł smugę gazów spalinowych wydobywających się z gondoli silnika.

— Silniki... pracują...

— Ormack jest na pokładzie. Wchodź!

Usiłując podnieść się z podłogi, by pomóc Andersonowi w dostaniu się do włazu, Elliott zauważył dużą ranę na jego głowie. Jęk silnika przeszedł w ryk, a wkrótce zaczął pracować silnik numer pięć.

— Jim... pośpiesz się... — Elliottowi udało się stanąć na lewej nodze. W tym momencie na szarym kombinezonie Andersona wykwitło sześć czerwonych plam wielkości ćwierćdolarówki, od obojczyka aż do prawego uda. Anderson zdawał się tego nie zauważać. Szedł dalej w stronę otwartego włazu, póki nie natknął się na gładki czarny bok samolotu i nie runął na podłogę, pozostawiając krwawą smugę na lśniącej powierzchni Old Doga.

Nieoczekiwanie u boku Elliotta pojawił się Hal Briggs, wygarniając z trzymanego w jednej ręce automatu do wszystkiego, co się ruszało na zewnątrz budynku. Z dymiącym Uzi w prawej ręce, z trudem postawił znów generała na nogi.

— Musi się pan dostać na pokład samolotu, generale!

— Nie muszę...

— Proszę wejść do samolotu!

— bloki... muszę usunąć...

— Już to wszystko zrobiłem, generale. Bloki, wloty powietrza, generatory. A teraz niech pan załaduje tyłek na pokład!

Briggs wypalił do biegnącej postaci w prześwicie wrót, potem podciągnął generała do włazu, gdzie dwoje rąk — McLanahana — uchwyciło go za klapy munduru polowego i podholowało do góry, aż jego nogi zniknęły we włazie.

— Briggs! — ryknął Elliott. — Właz tu natychmiast!

McLanahan położył ręce Elliotta na drabince. Generał zrozumiał, czego po nim oczekują i, krzywiąc się z bólu, podciągnął się na górny pokład. McLanahan pochylił się znów nad otwartym włazem i wyciągnął rękę do Briggsa, który ostrzeliwał się z przykłąku.

— Właz na pokład, frajerze — powiedział.

— To nie mój samolot, przyjacielu — odparł Briggs w chwili, gdy McLanahan usłyszał

dzwonek. — Adios.

Briggs zniknął, a w chwilę później właz się zatrzasnął i zewnętrzna zasuwka powróciła na swoje miejsce.

McLanahan próbował jeszcze otworzyć właz, ale Megaforteca gwałtownie się zakołysała i Patrick poleciał w kierunku pomieszczenia załogi odpowiedzialnej za działania ofensywne.

— Ruszamy — stwierdził ze zdumieniem Luger.

— Albo tak, albo wysadzą w powietrze pół tego pieprzonego samolotu — powiedział McLanahan, podniósł się i wszedł po drabince na górny pokład.

Na widok tego, co tam zastał, dosłownie go zemdliło. Wendy Tork i Angelina Pereira stały nad nieprzytomnym, zakrwawionym Bradleyem Elliottem. Pereira, zwalona z nóg przez gwałtowny start samolotu, usiłowała właśnie odzyskać równowagę; jej dzinsy i robocza bluza były pokryte krwią.

Elliott wyglądał jak unurzany w czerwonej farbie. Prawą nogę miał pokrytą ciemną zakrzepłą krwią. Krew była wszędzie — na Angelinie, na Wendy, na Elliotcie, na pokładzie, na tablicach bezpieczników — wszędzie! Wendy próbowała obandażować rękawem swojej kurtki dwie duże rany postrzałowe w łydce Elliotta. Sam Elliott balansował na pograniczu świadomości — przytomny na tyle, by odczuwać intensywny ból, a jednocześnie tak oszołomiony, że nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu czy też pomóc komukolwiek. Pot spływał ciurkiem po jego twarzy.

— McLanahan — Ormack odwrócił się w fotelu. — Chodź tutaj.

Ormack, siedząc w fotelu drugiego pilota, sprawdzał przyrządy pomiarowe. McLanahan pośpiesznie przyczołgał się do części dziobowej samolotu i ukląkł pomiędzy fotelami pilota i drugiego pilota. Wpatrzył się przez lśniące szyby kabiny w nachylony ostry nos Old Doga.

— Ruszamy się.

— Tak, do cholery! — potwierdził Ormack — Siadaj. Pomożesz mi.

McLanahan wytrzeszczył oczy.

— Powiedziałem: siadaj! — Ormack chwycił McLanahana za kurtkę i popchnął na fotel pilota. Sięgnął po hełmofon i wcisnął mu na głowę.

— Startujemy?

— Jeśli nam się uda — odpowiedział Ormack.

— Mamy zezwolenie?

— Otrzymałem rozkaz. Od niego. — Ormack wskazał kciukiem górny pokład. — Jemu podlega te sześć tysięcy mil kwadratowych, na których siedzimy, nie mówiąc o samolocie. A także ten hangar, który zamierzają wysadzić razem z nami. Teraz słuchaj! Obserwuj tylko

wskaźniki — paliwa, temperatury gazów wylotowych, obrotomierze. Jeśli zauważysz, że któryś z nich opada, krzycz! Patrz, co robię — Ormack pchnął manetkę gazu i potężny samolot ruszył ku wylotowi hangaru.

— Wrota leżą na ziemi, nie uda nam się. Skręć w prawo...

Ormack uchwycił drążek, przesunął dźwignię na centralnym pulpicie sterowniczym z pozycji START/LĄDOWANIE na KOŁOWANIE, musnął prawy pedał steru kierunku. Bombowiec łagodnie skręcił w prawo. Ormack przesunął z powrotem dźwignię na pozycję START/LĄDOWANIE.

— Mam bardzo mało miejsca.

— Nie sędzę, żeby nam się udało...

McLanahan wpatrywał się w przybliżający się wylot hangaru. Zanim do niego dotarli, spostrzegł klęczącego w ościeży Hala Briggsa, który próbował schronić się za zwałoną stalową belkę. Briggs zauważył zbliżającą się niebezpiecznie końcówkę skrzydła. Puściwszy automat, który zawisł na ramieniu, Briggs rozłożył ręce jak mógł najszerzej i uniesionymi do góry kciukami dał znak McLanahanowi, a następnie wybiegł na osłep z hangaru.

— Jak wyglądamy?

— Hal pokazał — cztery stopy.

— Cztery stopy czego?

Odpowiedzią był dudniący w głowie, przeraźliwy zgrzyt metalu dobiegający od strony lewego skrzydła. Old Dog skręcił ostro w lewo. Mniej przykry, choć przerażający odgłos chrzęszczącego metalu doleciał też z prawej strony.

Ormack popatrzył na wskaźniki paliwa.

— Straciliśmy lewy zbiornik zewnętrzny, a może obydw.

McLanahan nie obejrzał się. Widział tylko dziesiątki ciał zaściewających drogę przed nimi, płonąca cysternę z paliwem i przewrócone ciężarówki służby bezpieczeństwa. Garstka funkcjonariuszy wciąż ostrzeliwała drewniane baraki na zewnątrz płotu otaczającego czarny hangar.

— Szczęście, że całe to wyschnięte jezioro jest pasem startowym — powiedział McLanahan.

Ormack skinął głową.

— Obserwuj wskaźniki! Mam nadzieję, że otworzą bramę...

Dogonił ich jeep, z łatwością wyprzedzając bombowiec; chociaż Ormack zwiększył obroty do maksimum, ważący pół miliona funtów samolot powoli nabierał prędkości.

— To Hal!

W oddali McLanahan widział jeep Briggsa pędzący w kierunku zamkniętej bramy. Mógłby przysiąc, że porucznik na pewno próbował zahamować, ale łaźnik rąbnął z całego rozpędu w prawe skrzydło bramy jadąc z szybkością co najmniej pięćdziesięciu mil na godzinę. Celowo czy też nie, dokazał tej sztuki. Brama puściła. Jeep wpadł w poślizg na pokrytym piaskiem betonie, po chwili się zatrzymał. Z chłodnicy buchnęły kłęby pary. Prawe skrzydło bramy było półotwarte, lewe zaś, choć podważone, wciąż było zamknięte. Jeep utknął na podjeździe.

— No chłopcze — wymówił półgłosem McLanahan — dasz radę!

Odległość pomiędzy bombowcem a bramą szybko się zmniejszała. Briggs usiłował ponownie uruchomić samochód. Po paru sekundach, nie tracąc już więcej czasu, wyskoczył i zaczął go pchać.

Ormack ustawił dźwignię na wolne obroty, co nie przyniosło widocznego rezultatu.

— Musimy zmniejszyć szybkość.

Jak gdyby w odpowiedzi trzy pociski z moździerza eksplodowały przed nosem bombowca. Briggs potknął się i rozciągnął jak długi. Kolejna eksplozja wzbijała tuman piasku po stronie prawego skrzydła i Briggs wraz ze swym jeepem zniknęli w wirującym kurzu. Eksplozje rozkołysały bombowca, jakby znalazł się w strefie tajfunu. Ormack sprawdził prędkość.

— Siedemdziesiąt węzłów. Jeśli zahamuję gwałtownie przy, tej prędkości, hamulce szlag trafi. W żaden sposób nie damy rady zatrzymać się w porę. Briggs...

Briggsowi udało się usunąć jeepa z pasa startowego za ogrodzeniem. Podbiegłszy do bramy, odciągnął jej prawe skrzydło, które otworzyło się powoli. Następnie przebiegł przez unoszące się tumany piasku i pchnął lewe skrzydło. Bolec zabezpieczający zarył się głęboko i Briggs musiał naprzeć całym swym szczupłym ciałem na bramę, by ją poruszyć.

— Nie puszca — powiedział Ormack.

— To będzie bardzo krótki lot, jeśli nie uda mu się otworzyć bramy — dodał McLanahan.

Mimo wysiłków Briggsa brama nie chciała drgnąć, wbijał się nogami w piasek, niestety, wszystko na próżno. Brama była na wpół otwarta, gdy Briggs pośliznął się i upadł. Przekoziółkował szybko, chcąc stanąć na nogach. W tej samej chwili spostrzegł Old Doga.

Samolot wyglądał jak zmierzający w jego stronę gigantyczny pterodaktyl. Spiczasty nos bombowca, pochylony w dół do startu, zdawał się celować prosto w serce porucznika.

Briggs zerwał się i utkwivszy wzrok w skrzydlatym potworze, zbliżającym się coraz szybciej do niego, rzucił się całym ciałem na bramę. Ustąpiła wreszcie o parę stóp, Briggs nie zaprzestał jednak wysiłków, zapierając się w piasku, dopóki podmuch z ośmiu turbinowych silników odrzutowych nie zbił go z nóg, przygważdżając do siatki.

— Udało mu się! — wykrzyknął McLanahan.

— Ale nam jeszcze nie. — Ormack powoli zwiększył obroty do maksimum, sięgnął w dół i nacisnął przełącznik sterowania klapami. — Za ogrodzeniem zostały nam trzy mile betonowej nawierzchni. Opuszczenie klap zajmie minutę, kolejną minutę rozpędzenie tego żelastwa do prędkości, przy której zdoła się unieść w powietrze. Zjedziemy z utwardzonej nawierzchni w czasie krótszym niż minuta...

McLanahan odnalazł wreszcie wskaźnik położenia klap.

— Nawet nie drgnął...

— Prawdopodobnie coś się zablokowało przy którejś eksplozji — powiedział Ormack, zaciskając dłonie na drążku. — Potrwa dłużej, zanim klapy się opuszczą, albo w ogóle szlag trafi ich silniki.

Wskaźnik pokazywał dziesięć procent. Bombowiec zaczął dygotać.

— Czterdzieści procent. — McLanahan rzucił okiem na przyrządy, następnie wyjrzał przez okno. W mdłym świetle poranka dostrzegł błysk metalu na horyzoncie. Wytężył wzrok. Dokładnie pośrodku ich pola widzenia znajdował się ogromny, przypominający pudło samolot, a wokół niego rozproszone postacie ludzkie.

— Co tam jest, u diabła? — Ormack wpatrywał się w dal.

— Samolot na betonowym pasie — odpowiedział McLanahan. — Zatarasowali nam drogę. — Jeszcze raz sprawdził wskaźnik położenia klap. W dalszym ciągu wskazywał czterdzieści procent. — Klapy zablokowane.

— Nie damy rady. Potrzebny nam długi rozbieg — całe wyschłe jezioro. — Ormack sięgnął do wyłącznika klap i przekręcił go, zatrzymując klapy opuszczone tylko w czterdziestu procentach.

— Czy możemy wystartować z zablokowanymi klapami?

— Zabraknie nam czasu, rąbniemy w tamten samolot. Musimy wyhamować... wypuścić spadochron...

— Zaczekaj! — McLanahan przebiegł wzrokiem po pulpicie sterowniczym w poszukiwaniu przełącznika UZBROJENIE SYSTEMÓW OBRONNYCH. Pstryknął nim, ustawiając go w pozycji ODBEZPIECZONE.

— Angelino! — odwrócił się w fotelu. — Przygotuj rakiety do odpalenia!

— Co?!

— Scorpiony. Przygotuj je.

Pereira doczłogała się do fotela pilota i uchwyciła za oparcie.

— Przygotować do odpalenia? To niemożliwe. Muszą być naprowadzone, sprzężone elektronicznie z celem...

— Nie trzeba ich naprowadzać. — McLanahan wyjrzał przez okno. Podążając za jego wzrokiem, Angelina zauważyła wreszcie samolot tarasujący pas startowy. Dostrzegli również napastników usiłujących wycelować w nich z pancernicy. — Zrób to — polecił McLanahan.

Angelina pośpiesznie wróciła na swoje stanowisko. Dla McLanahana oczekiwanie było udręką. Obejrzał się kilka razy, ale gdy samolot nabrał szybkości, skoncentrował się na zamaskowanych napastnikach. Było ich czterech — dwaj strzelali z karabinów, ukryci za samolotem, dwaj pozostali ładowali pancernicę.

— Angelino...

— Gotowe — zawołała.

— Ognia! — McLanahan zasłonił twarz rękami. Nie widział samego momentu odpalenia rakiety z lewego wspornika, ale też żadna ludzka istota nie byłaby zdolna dostrzec, jak nowoczesna rakietka AMRAAM * typu powietrze-powietrze startuje z prędkością dwóch machów, czyli podwójną prędkością dźwięku. Rakietka wystrzeliła, ciągnąc za sobą smugę ognia. Główny silnik na paliwo stałe ledwie zdołał przekroczyć próg zapłonu, gdy pocisk uderzył w samolot w odległości niespełna pół mili od Old Doga.

McLanahan zobaczył wyłącznie oślepiający błysk i ogromną czarną chmurę dymu pomieszanego z kurzem. W chwilę później spiczasty nos Old Doga zanurzył się w chaosie.

Nic się nie zdarzyło — nie rozległ się zgrzyt metalu, nie rozprysła się przednia szyba. Jeszcze chwila i okna w kabinie pilota rozjaśniły się, odsłaniając przeszkodę nieskończenie potężniejszą od samolotu, który właśnie zmiotli z powierzchni ziemi — granitową skałę wysokości siedmiu tysięcy stóp zwaną Groom Mountain.

— Kieruj się na nią — zawołał McLanahan do Ormacka.

Daleko w tyle za Megafortecą, przygwożdżony do ogrodzenia Hal Briggs, z odcisniętym na twarzy wzorem siatki, usłyszał w parę chwil później huk eksplozji. Spodziewał się łoskotu, wybuchu paliwa, czekał na kulę ognistą, która go pochłonie. Nic takiego się nie zdarzyło. Minęła wieczność, zanim zdołał oczyścić twarz i oczy z gorącego piasku i popatrzył na horyzont.

Zobaczył Old Doga wznoszącego się poprzez chmurę szarocznego pyłu nad pustynię Newady. Góra płonącego żelastwa leżała kilka metrów od pokrytego piaskiem pasa startowego, dalej — rozrzucone palące się ciała.

Spowity w chmurę pyłu Old Dog znajdował się może pięćdziesiąt stóp ponad wyniosłym płaskowyżem pustyni. Briggs jak przez mgłę dostrzegł potężne koła chowające się w

ogromnym kadłubie — i samolot wzbił się niczym skrzydlata rakietą w przejrzyste powietrze poranka.

— Jezus Maria! — wymamrotał Briggs siedzący na kopcu z piachu i ostów. — Udało im się! Udało!

Ormack pstryknął przełącznikiem na pulpicie sterowniczym poniżej wskaźnika wysokości. Czarny nos bombowca powoli uniósł się w górę i ustawił we właściwej pozycji.

Przesłaniał teraz połowę szyby kabiny pilotów; kładły się na nim lśniące refleksy od okien.

— Obserwuj przyrządy — zawołał Ormack.

Mimo hałasu panującego wewnątrz bombowca ani on, ani McLanahan wciąż nie korzystali z telefonu pokładowego, mówili wystarczająco głośno.

— Podwozie się chowa. Mam nadzieję, że ktoś zabezpieczył wszystkie rygle. — Przesunął dźwignię podwozia do góry. Na rączce zapaliło się czerwone światelko.

— Przyrządy w porządku — powiedział McLanahan. Odnalazł wskaźniki podwozia na przednim pulpicie obok dźwigni podwozia. Kolejno małe kółka wskaźników pokrywały się siatką kresiek, a następnie ukazywało się słowo SCHOWANE, dał się również słyszeć łomot i skrzypienie opon kryjących się w komorach podwozia.

— Prawe podwozie schowane... przednie podwozie schowane... tylne podwozie schowane... na wskaźniku lewego podwozia ciągle kratka.

Ormack skontrolował dla pewności wskaźnik z lampką ostrzegawczą BOCZNE PODWOZIE OPUSZCZONE — on także sygnalizował niebezpieczeństwo.

— Albo jest całkiem opuszczone, albo częściowo schowane. Prawdopodobnie urwaliśmy całą lewą końcówkę skrzydła. — Wykonał kilka próbnych zakrętów w lewo i w prawo. — Stery w porządku. Spojlery chyba działają. — Spojrzał w dół, sprawdzając dwukrotnie, czy zamknął zawory paliwa w lewych zbiornikach zewnętrznych. — Możemy wypróbować później awaryjne podnoszenie podwozia.

Powiódł ręką po spoconej twarzy i przebiegł uważnie wzrokiem przyrządy z lewej i prawej strony, gdy tymczasem bombowiec przelatywał właśnie nad ośnieżonym grzbietem Groom Mountain.

— Wygląda na to, że straciliśmy osiemnaście tysięcy funtów paliwa w lewym zewnętrznym zbiorniku A, zapewne poszedł w ogóle cały zbiornik. Lewy zewnętrzny zbiornik B znajduje się na swoim miejscu, ale podaje paliwo zbyt szybko, dużo szybciej niż prawy. Przypuszczalnie gubi paliwo na zewnątrz. — Ormack wyłączył dopływ paliwa do lewego zbiornika B. — To oznacza, że straciliśmy około czterdziestu tysięcy funtów.

Spojrzał na McLanahana wpatrującego się ciągle w grzbiet górski przemykający pod

spiczastym czarnym nosem Old Doga.

— Pat, sprawdź układ hydrauliczny.

McLanahan zlustrował spojrzeniem wskaźniki układów hydraulicznych znajdujące się w lewym pulpicie. W pierwszej chwili jego uwagę przyciągnęły różnokolorowe schematy pokazujące kierunek i dozowanie ciśnienia hydraulicznego z sześciu napędzanych silnikiem pomp.

— I co?

— Ciśnienie w układzie hydraulicznym podnoszenia lewego podwozia jest niskie — zauważył wreszcie McLanahan.

Ormack pokręcił głową.

— Hm, niedługo wysiądzie mechanizm lewego podwozia. Upewnij się, czy przełącznik pompy rezerwowej znajduje się w pozycji zero.

— Pompa wyłączona.

— Nie będziemy próbowali awaryjnego systemu chowania podwozia — powiedział Ormack. — Została chyba strzaskana cała końcówka skrzydła. Ryzykowalibyśmy wyczerpanie układu hydraulicznego bez powodu. — Sprawdzał prędkość lotu i wysokość. W porządku, jesteśmy w powietrzu. Klapy się podnoszą.

McLanahan bacznie obserwował urządzenia kontrolne. W chwilę później stwierdził, że klapy wróciły do normalnej pozycji.

— Wreszcie coś dobrze działa — ucieszył się Ormack.

— Świetna robota — pochwalił generał Elliott przekrzykując hałas panujący w kabinie.

Ormack i McLanahan odwrócili się zaskoczeni. Generał stał pomiędzy dwoma wyrzuconymi fotelami pilotów, kiwając z uznaniem głową. McLanahan spojrzał na jego nogę. Łydka i udo były spowite grubą warstwą bandaża.

— Jak pańska noga, generale?

— Boli jak diabli, Patricku. Mam uczucie, jak gdyby mi wyrwano zębami kawał łydki. Ale Wendy i Angelina spisały się na medal. Szczęście, że mamy na pokładzie aż tyle zestawów opatrunkowych.

— Co się, do cholery, wydarzyło, generale? Kim byli ci faceci, którzy nas zaatakowali?

— Nie jestem pewny, Patricku. Wywiad doniósł mi wprawdzie o jakichś pogłoskach, ale nigdy nie przypuszczałem... Wygląda na to, że gdzieś musiał być przeciek. Podejrzewam, że ktokolwiek kryje się za tym atakiem, spodziewał się, że tamte B-1 wciąż jeszcze znajdują się w Dreamlandzie. — Elliott odchrząknął. — Zajmę się tym teraz, Patrick.

— Jest pan pewny, że pan podola, generale? Pańska noga...

— John będzie naciskał pedał steru kierunkowego, jeśli zajdzie potrzeba. Poza tym poradzę sobie z tą bestią.

Z tymi słowy Elliott odsunął się na bok, by przepuścić McLanahana, po czym z pomocą Ormacka usiadł w fotelu pilota i zapiął pasy spadochronu.

— W porządku — powiedział zakładając na głowę hełmofon i ujmując uchwyt drążka sterowego. — Przejmuję samolot.

— Potwierdzam, przejmuje pan samolot. — Ormack chcąc się upewnić, że generał ujął już stery, wykonał nieznaczne ruchy drążkiem.

— Skończmy z postartowym wykazem czynności kontrolnych. Podwozie.

— Podwozie w górze — odpowiedział Ormack. — Pięć wskaźników wyświetla SCHOWANE. Na

wskaźniku lewego podwozia ciągle kratka. W jego systemie hydraulicznym spadło ciśnienie i pewnie wkrótce całkiem zniknie.

— Potwierdzam. — Elliott sprawdził jeszcze raz

wskaźniki układu hydraulicznego. — Na razie w porządku. Klapy.

— Dźwignia w górze — zabezpieczona, klapy podniesione.

— Manetki.

— Ustawione na MRT — wznoszenie na maksymalnym ciągu. Nawigator gotów?

— Tak jest — odpowiedział natychmiast Luger.

— Temperatura na zewnątrz zero stopni, odmrażanie wyłączone.

— Ciśnienie w silnikach przy MRT dwa przecinek jeden siedem.

— Obroty ustalone — zameldował Ormack sprawdzając wskaźniki.

— Przełączniki startowe.

— Wyłączone i w pozycji LOT.

— Główny przełącznik klimatyzacji.

— Uwaga, Radar i Obrona, ciśnienie 7,45 psi, możliwe normalne chłodzenie powietrza — poinformował Ormack, gdy chłodne powietrze wionęło z otworów wentylacyjnych w kabinie.

— Atak przyjął — odpowiedział Luger, tymczasem McLanahan zapinał mu pasy spadochronu i sprawdzał jego ekwipunek.

— Obrona przyjęła — potwierdziła mechanicznie Pereira, przyglądając się, jak Wendy Tork sadowi się w fotelu. Angelina uważnie przesunęła wzrokiem po swojej tablicy kontrolnej, następnie otworzyła wykaz i zaczęła dokonywać przeglądu systemów obronnych.

— Drzwi komory bombowej — otwieram, następnie zamykam. — Ormack ustawił

przełącznik DRZWI KOMORY BOMBOWEJ na pulpicie nad głową w pozycji OTWARTE. Zielona lampka ZAMKNIĘTE ZARYGLOWANE zgasła. Ustawił ponownie przełącznik w pozycji NORMALNIE ZAMKNIĘTE i lampka zapaliła się znowu. — Otworzyłem, następnie zamknąłem, sprawdzone.

— Ta bestia wznosi się jak anioł — powiedział Elliott. — Przekroczyliśmy już dwanaście tysięcy. Załoga, sprawdź tlen. — Rozejrzył się wokół swego fotela, nie widząc nigdzie maski tlenowej. — Rusz się i sprawdź je, John — polecił. — Sprawdzę swoją, gdy zakończymy wznoszenie.

Ormack wyglądał na lekko zakłopotanego. Przysunął bliżej mikrofon i zapytał:

— Obrona?

— Mhm... nie mamy kompletnego wyposażenia.

— Atak również nie ma.

Elliott spojrzał zdumiony na drugiego pilota.

— Nie mamy...?

— Nikt nie ma — potwierdził Ormack.

— Nikt nie ma maski tlenowej? Ani hełmu? — spytał Elliott przez telefon pokładowy.

— Nie starczyło nam czasu na zapakowanie drugiego śniadania, generale — powiedział McLanahan.

— Cholera jasna! — zaklął Elliott.

Spojrzał na wskaźnik wysokości kabiny. Kabina była częściowo hermetyzowana i jego wskazania odpowiadały pozornej wysokości, wynikającej z panującego w niej ciśnienia.

— Wysokość kabiny ciągle siedem tysięcy. Jak wygląda sytuacja z maskami w ogóle? Maski awaryjne? Cokolwiek?

Ormack sięgnął za fotel.

— Maski przeciwpożarowa na miejscu — powiedział wyciągając ją z za siebie. Była to zasłaniająca całą twarz maska ze złączem bagnetowym do przewodów tlenowych samolotu. W razie pożaru w kabinie można ją było również podłączyć do przenośnej butli tlenowej.

— Jedna maska tlenowa — podsumował Elliott. — Brak hełmów.

— Musimy po prostu utrzymywać wysokość poniżej dziesięciu tysięcy stóp — stwierdził Ormack. — Nie możemy ryzykować wyższego pułapu. Przy najmniejszym spadku ciśnienia w kabinie cała załoga znalazłaby się w stanie niedotlenienia — zanim zdążylibyśmy się połapać, byłoby po nas.

— Nie wolno nam tego zrobić — odparł Elliott. — Ten samolot nie może się ujawnić. Musimy wnieść się wyżej i pozostawać w ukryciu, dopóki mój sztab lub ktoś nie

zapropnuje nam odpowiedniego lądowiska. Poniżej dziesięciu tysięcy stóp zbyt wiele oczu może nas obserwować z ziemi i z powietrza.

— Wobec tego będę ją nosił, dopóki nie wylądujemy, panie generale — powiedział Ormack. — W najlepszym razie przez kilka godzin. Poradzę sobie.

— Nie — sprzeciwił się Elliott. — Maski zbyt ogranicza pole widzenia i wyklucza możliwość porozumiewania się. No dobrze, panie i panowie, posłuchajcie uważnie. Dopóki nie wylądujemy, wszyscy znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Nikt z nas nie ma tlenu, a przynajmniej bezpiecznego zasilania. Możecie przysunąć do ust wąż z tlenem i otrzymać zastrzyk tlenowy z inhalatora awaryjnego — niewykluczone, że tak zrobimy — ale istnieje realne zagrożenie. Będziemy przeprowadzać kontrolę stanowisk i pomieszczeń co piętnaście minut. Kontrolę wyrywkową jeszcze częściej. Bądźcie szczególnie uwrażliwieni na objawy niedotlenienia. Drugi pilot i ja będziemy na zmianę nosić maskę przeciwpożarową. Sprawdźcie na swoich stanowiskach, czego jeszcze brakuje.

— Czy to ma jakieś znaczenie, generale? — spytała Wendy. — Przecież wkrótce wylądujemy, prawda?

— Wylądujemy po zapadnięciu ciemności, gdy znajdziemy bazę, która nas przyjmie. Oczywiście Dreamland nie wchodzi w rachubę. Ewentualnie Tonopah lub Indian Springs. Angelina, Wendy, nawiążcie łączność z kierownictwem misji...

— Problem polega na tym, generale — przerwała Angelina — że nie mamy tajnych dokumentów.

— Żadnych dokumentów komunikacyjnych? Tablic kodów? Kodów IFF*?

— Obawiam się, że nie.

— Co więc mamy na pokładzie?

— Cały świat dowie się o nas w okamgnieniu, generale — powiedział Ormack. — O ataku na Dreamland, o naszym samolocie, o wszystkim. Nie da się utrzymać tego w tajemnicy. Gdy samolot wylądnie, wszyscy się zbiegną, by go obejrzeć.

Wpatrując się w długi, spiczasty dziób bombowca, Elliott pchnął do przodu drążek sterowy, by wyrównać lot na wysokości siedemnastu tysięcy stóp.

— Sądę, że masz rację — zwrócił się do Ormacka. — Wykonaj kontrolę po wyrównaniu lotu. Angelino, nawiąż łączność na częstotliwości UHF przez Nellis z Cobalt Control. To moja sekcja w Waszyngtonie. Zawiadom ich, że u nas wszystko w porządku, i poproś o jak najszybszą bezpieczną łączność radiową na zastrzeżonej częstotliwości.

— Przyjęłam.

Przerwał im zwielokrotniony głos ze wszystkich odbiorników radiowych znajdujących się

na pokładzie. Nadawano na częstotliwości UHF.

— Tu centrum w Los Angeles. Samolot na kursie dwa-osiem-pięć, wysokość siedemnaście tysięcy stóp, jeśli mnie słyszysz, przełącz się na częstotliwość pięć-dwa-jeden-dziesięć i nadaj sygnał rozpoznawczy.

— To do nas — powiedział Ormack.

Elliott sięgnął do bocznego pulpitu, ustawił częstotliwość identyfikacji IFF, włączył nadajnik i nacisnął guzik z napisem IDENTYFIKACJA.

— Mamy twój samolot na radarze — odpowiedział kontroler ruchu lotniczego. — Zmień częstotliwość na dwa-dziewięć-siedem przecinek osiem.

Elliott zmienił częstotliwość.

— Centrum w Los Angeles, tu Genesis na częstotliwości dwa-dziewięć-siedem przecinek osiem.

— Genesis, nadaj i przeliteruj pełny sygnał wywoławczy — odpowiedział z Los Angeles i Elliott przeliterował całą nazwę.

— Genesis? — zdziwił się Ormack. — Co to takiego?

— To stary, objęty tajemnicą, sygnał wywoławczy dla całego wojskowego lotnictwa eksperymentalnego z Edwards — wyjaśnił Elliott. — Używaliśmy go, gdy mieliśmy przejść do lotu na dużej wysokości, a nie chcieliśmy, by ktokolwiek, nawet kontrolerzy lotów, wiedzieli, kim jesteśmy. Z Dreamlandu startowało wiele samolotów bez planów lotu nad całym tym obszarem. Mam nadzieję, że facet zapyta o to kogoś innego, nie mnie.

— Genesis... — w głosie kontrolera pobrzmiwała wyraźna irytacja. — Genesis, nie mamy twojego planu lotu. Podaj miejsce startu.

— Niemożliwe, Los Angeles.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

— Genesis, cel twojego lotu jest niejasny. Podaj typ samolotu, zamiary i punkt docelowy.

— Ten facet chciałby nas wypatroszyć, nawet jeśli nie wie, co robi — powiedział Elliott do Ormacka, następnie nadał przez radio: — Los Angeles, Genesis prosi o potwierdzenie kierunku Friant do przecięcia z kierunkiem Talon i utrzymanie kierunku Talon przez pięćdziesiąt mil morskich na wysokości trzy-dziewięć-zero.

— Odrzucam prośbę. Przejście przez obszar ruchu powietrznego bez planu lotu jest niemożliwe, Genesis...

— Proszę o skontaktowanie się z naszym stanowiskiem dowodzenia przez wojskowy kanał łączności AUTOVON lub z Ministerstwem Obrony na radiowym kanale telefonicznym dziewięć-osiem-jeden, jeden-cztery-dwa-cztery, by uzyskać nasz plan lotu, jeśli nie znajdzie

się w waszym systemie w ciągu dwóch minut. Tymczasem proszę kierunek Friant, kierunek Talon, na wysokości trzy-dziewięć-zero.

— Genesis... — kontroler, nie przyzwyczajony do tego, by piloci dyktowali mu, co ma robić, był najwyraźniej wzburzony. — To niemożliwe. Weź kurs dwa-pięć-trzy na północ od Coaldale i zacznij krążyć zgodnie z ruchem wskazówek zegara, promień dwadzieścia-trzydzieści mil na wysokości siedemdziesięciu tysięcy pięciuset stóp aż do wyjaśnienia sprawy.

— Los Angeles, obecnie Genesis stosuje się do przepisów lotu z widocznością ziemi — powiedział Elliott. — Utrzymujemy wysokość szesnastu tysięcy pięciuset stóp i kierunek Talon. Nasz plan lotu będzie przekazany do obsługi lotów w Coaldale.

— Genesis, wydałem ci polecenie — odpowiedział kontroler. — Masz je wykonać.

— Przelatujemy nad stacją radionawigacyjną w Coaldale, generale — poinformował Ormack.

— Niech to diabli porwą! — zdenerwował się Elliott i przełączył nadajnik z częstotliwości identyfikacji IFF na 7600, częstotliwość identyfikacji w przypadku awarii radia. — Załoga, wznosimy się trzy-dziewięć-zero — powiedział przez telefon pokładowy — John, połącz się z Friant.

— Chyba musi być wściekły — skomentował Ormack, zmieniawszy częstotliwość systemu nawigacji, aby skierować samolot do następnego punktu nawigacyjnego.

— Jeśli on nie dostanie naszego planu lotu, nie dowie się nigdy, kim jesteśmy, chyba że wyśle za nami myśliwce przechwytyjące — stwierdził Elliott. — Jeśli dostanie plan lotu, to i tak się zdekonspirujemy. Jeśli wyśle myśliwce... cóż, nie mamy numeru na ogonie. Nie jesteśmy podobni do prawdziwego B-52.

— Genesis, tu centrum w Los Angeles — w głosie kontrolera wyczuwało się tłumioną wściekłość. — Łamiesz przepisy. Zwrot w lewo na kurs...

Elliott wyłączył radio.

— Będę kontynuował nadawanie sygnału o awarii radia, dopóki nie znajdziemy się nad wodą. Kontroler może być wściekły, ale oczyści dla nas przestrzeń powietrzną.

— Początek nie najlepszy — powiedział Luger do McLanahana w dolnym pomieszczeniu.

McLanahan wrzucił ramionami. Otworzył swój wykaz czynności kontrolnych i zaczął uruchamiać radar, system nawigacji satelitarnej i żyroskop laserowy. W parę minut później radar był już rozgrzany i gotowy do użytku.

Tymczasem Luger wykreślił pozycję na mapie nawigacyjnej dla dużych wysokości, którą znalazł w torbie z publikacjami lotniczymi za swoim fotelem.

— Nie ma tam żadnych map dla odrzutowców? Ogólnych map nawigacyjnych? Niczego?
— spytał McLanahan.

— Nie, to standardowy zestaw planów lotów — odparł Luger.

— Świetnie. Po prostu świetnie. Mamy plan lotu. Powinny być dane z bombowych lotów treningowych Red Flag. — McLanahan sprawdził, czy do czytnika została włożona właściwa kasetka, i nacisnął dźwigienkę ODCZYT. Wystarczyło dwadzieścia sekund, aby w głównym komputerze znalazł się plan lotu, współrzędne celu, punkty nawigacyjne, parametry systemów obronnych i ofensywnych oraz ukształtowanie terenu dla całych południowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych. Następnie skontrolował żyroskop, komputer nawigacyjny i satelitarny system określania pozycji.

— Żyroskop laserowy i system satelitarny gotowe do uruchomienia — powiedział McLanahan. Ustawił nawigację satelitarną w pozycji SYNCHRONIZACJA. — Potrzebny nam jest namiar aktualnej pozycji, by zestroić żyroskop i uruchomić komputer nawigacyjny. Po upływie minuty sam zaczniesz prowadzić nawigację.

Luger odczytał radarowy namiar pozycji i zaczął prowadzić obliczenia nawigacyjne na obrzeżach map radionawigacyjnych, a McLanahan czekał, aż nastąpi zestawienie automatycznego nawigatora z satelitą. Minęło kilka minut, a lampka ostrzegawcza BŁĄD SYNCHRONIZACJI wciąż się paliła.

— W porządku — powiedział Luger, odkładając wykresy. — Mamy całkiem dobry kurs na Talon. A co u ciebie?

— Gorzej niż źle. Właśnie uprzytomniłem sobie, dlaczego. Satelitarny system nawigacyjny wymaga kodu synchronizacji.

— A my oczywiście go nie mamy?

— Oczywiście — potwierdził McLanahan. Ustawił radar sterujący rakietami Scorpion na NADAWANIE i przełączył go w nawigacyjny mod pracy. Popatrzył na ekran radaru, obserwując linię brzegową Pacyfiku ukazującą się w odległości około stu mil i zawiedziony wrócił do pozycji STANDBY.

— Trudno określić położenie bez mapy radarowej czy opisu punktów nawigacyjnych. Zapewne zestroiłbym żyroskop z namiarem pozycji w momencie przelotu nad punktem nawigacyjnym albo pozycję obliczeniową, ale nie wiem, jak dokładny będzie kurs.

— Wszystko się wali i dopiero wtedy Luger okazuje się potrzebny — zauważył Dave. — Miałeś rację, kolego. Od początku twierdziłeś, że niezbędny jest drugi nawigator.

McLanahan pstryknął przełącznikiem telefonu pokładowego.

— Chce pan znać aktualną sytuację u nas, na dole, generale?

— Boję się nawet pomyśleć. Cóż, skoro nie mamy kanału łączności satelitarnej ani sygnału rozpoznawczego IFF, z pewnością nie mamy też kodu synchronizacji GPS*. Ani GPS, ani pewnego żyroskopu. Czego jeszcze?

— Co pan powie na brak map, brak celu i opisów punktów nawigacyjnych?

Telefon pokładowy zamilkł na chwilę, po czym rozległ się znów głos Elliotta:

— Róbcie wszystko, co w waszej mocy.

— Jasne! — mruknął McLanahan. — Jesteśmy głusi, niemi, ślepi i zagubieni, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

WASZYNGTON, KOLUMBIA

— W porządku. Załatwmy to — powiedział ze znużeniem prezydent.

Generał Curtis skinął głową i mówił dalej, wodząc wskazówką po mapie wyświetlonej na ekranie znajdującym się na tylnej ścianie Pokoju Operacyjnego w Białym Domu.

— Tak jest, panie prezydencie. — Zatrzymał wskazówkę na terytorium Dreamlandu. — Jak wszystkim wiadomo, eksperymentalna baza Dreamland została niespodziewanie zaatakowana. W ataku wzięło udział około dwunastu osób.

— Dobry Boże, sprawy mają się naprawdę fatalnie. — Prezydent zwrócił się do Jacka Pledgema, rzecznika prasowego. — Co z prasą?

— Oczywiście wiedzą o tym — odpowiedział Pledgeman. — Komentarz Sił Powietrznych był klasycznym: „Bez komentarza”. W południowej Newadzie nawet ptaszki ćwierkają, że Dreamland jest terenem badawczym objętym największą tajemnicą. Szerzą się, rzecz jasna, rozmaite spekulacje, ale prasa nie domyśla się, jakie prace tutaj prowadzimy. Jestem pewien, że nie mają pojęcia ani o Old Dogu, ani o pasie startowym na dnie Groom Lake. Według mnie największy problem będą stanowiły ofiary. Ośmiu wojskowych i trzech cywilów.

— Na tym także połącz pieczęć milczenia — powiedział prezydent. — Napiszę do rodzin list, podkreślając poufny charakter projektu, nad którym pracowali ich bliscy, i znaczenie zachowania tajemnicy. Rodziny muszą wiedzieć, że był to projekt wielkiej wagi, opracowywany dla rządu. Zostaną powiadomione, co się stało, w odpowiednim czasie. Jasne, Wilbur?

— Tak jest, panie prezydencie — odpowiedział Curtis.

— To nie jest projekt zaklasyfikowany uprzednio jako tajny — podkreślił prezydent. — Utajniamy go dopiero teraz. Od tej chwili obejmujemy nad nim pełną kontrolę. — Zwrócił się do Curtisa: — Generale, jak się przedstawia sytuacja zespołu testującego Old Doga?

Wszyscy zebrani spojrzeli na szefa Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych.

— Pułkownik Anderson, główny projektant Old Doga, został zabity podczas ataku...

Prezydent przygarbił się.

— Zginął również Lewis Campos, cywil, projektant systemów obronnych w Old Dogu, opartych na raketach Scorpion i minach powietrznych.

— Kto więc, u diabła, znajduje się na pokładzie B-52? — zapytał sekretarz obrony, Thomas Preston.

— Dowódcą samolotu jest obecnie generał porucznik Bradley Elliott, kierownik projektu

Old Dog.

— Elliott? — zdumiał się prezydent. — Jakim sposobem on znalazł się na pokładzie?

— Był tam w czasie, gdy nastąpił atak — wyjaśnił Curtis. — Gdy pułkownik Anderson został zabity, generał wraz z drugim pilotem, podpułkownikiem Johnem Ormackiem, wykołowali bombowiec z hangaru i wystartowali.

Curtis zajrzał do swoich notatek.

— Adiutant generała Elliotta, porucznik Harold Briggs, zameldował, że podczas ataku Elliott został ranny w prawą nogę. Wszyscy członkowie zespołu badawczego znajdują się na pokładzie. Doniósł również, że bombowiec ucierpiał kołując z hangaru — stracił około czterech stóp lewego skrzydła i zewnętrzny zbiornik paliwa.

— Czy mamy kontakt z samolotem? — spytał prezydent.

— Tak, panie prezydencie — odpowiedział Curtis. — Na razie niezbyt bezpieczny na falach ultrakrótkich UHF. Wystartowali bez żadnych tajnych dokumentów kodowych. Obecnie próbujemy w zaszyfrowany sposób przekazać załodze informację o trzyliterowym kodzie adresowym dla ich radiostacji SATCOM. Jeśli się nam to uda, będziemy im mogli przekazywać instrukcje.

— Gdzie są w tej chwili?

— Krążą w odległości stu dwudziestu mil od wybrzeża Big Sur na dużej wysokości, jak najdalej od korytarzy powietrznych odrzutowców. Jasne, że Elliott próbuje jak najlepiej ukryć swój samolot.

— Czemu wciąż znajdują się w powietrzu? — spytał Thomas Preston. — Przecież samolot załadowany jest po brzegi najnowocześniejszym sprzętem uzbrojeniowym — powinien jak najszybciej wylądować.

— Przypuszczam, że generał Elliott uważa, iż w biały dzień nie uda im się wylądować bez zwrócenia na siebie uwagi. Pas startowy w Dreamlandzie nadaje się do użytku, ale hangar został zniszczony i po całym terenie kręcą się dziennikarze.

— Mamy kilka możliwości — powiedział Curtis — a Old Dog ma jeszcze zapas paliwa na osiem godzin. Po pierwsze wchodzi w grę dwa lotniska na strzeżonym obszarze Red Flag, choć bynajmniej nie są tak bezpieczne jak Dreamland. Mamy też kilka możliwości w Seattle, Waszyngtonie i na Alasce.

Prezydent odchylił się na oparcie fotela.

— Nie możemy przesłać instrukcji dla Old Doga nie narażając się na podsłuch lub zdemaskowanie. Tymczasem mamy dwa inne uzbrojone bombowce w drodze do Rosji... Jeśli Elliott nie znajduje się w niebezpieczeństwie, może wstrzymać się do wieczora i wylądować

w takim miejscu, gdzie można by samolot ukryć. Najchętniej z powrotem w Dreamlandzie lub południowej Newadzie. — Prezydent przymknął oczy i powiedział do rzecznika prasowego: — Jack, masz pomysł, jak to nazwać?

— Nazwiemy to atakiem terrorystycznym na dawne urządzenia wojskowe Sił Powietrznych. Pracownicy cywilni i wojskowi zajmowali się demontażem bazy, gdy została ona zaatakowana przez tajemniczą grupę terrorystów powiązanych z Kadafim, przekonanych, że urządzenia są czynne.

— Być może nigdy nie poznamy całej prawdy o napastnikach: skąd pochodzą i w jaki sposób udało im się prześlizgnąć przez umocnienia obronne — powiedział Curtis. — Ustaliliśmy, że przylecieli samolotem transportowym produkcji amerykańskiej, ale do tej pory wrak dostarczył nam niewiele informacji o tym, czyją był własnością. Ciała napastników zostały wysłane do laboratorium DIA w Waszyngtonie w celu przeprowadzenia analizy użębienia i odcisków palców oraz zbadania odzieży i jej zawartości, ale ktokolwiek zorganizował ten atak, diablo dokładnie pozacierał ślady. Byli tam mieszkańcy Kaukazu i Azjaci, ale wszyscy mieli na sobie ubrania wyprodukowane w Stanach. Poza znalezionym na miejscu odłamkiem metalu, który zdaje się pochodzić z radzieckiej pancernicy, nie ma tam nic, co sugerowałoby — nie mówiąc już o udowodnieniu — że zamieszani są w to Rosjanie...

— Któż inny atakowałby tę bazę? — spytał Preston.

— Zadałem sobie to samo pytanie, panie sekretarzu, ale jak dotąd dowody przeciwko Rosjanom są jedynie pośrednie...

— Na razie trzymamy się historyjki o terrorystach — przerwał mu prezydent. — Jeśli zajdzie potrzeba, sprostujemy ją. — Zwrócił się ponownie do sekretarza prasowego: — Jack, nie zapomnij o listach do rodzin. Chcę je mieć na biurku jak najprędzej.

— Za pół godziny, panie prezydencie — zapewnił Pledgeman i wyszedł z pokoju.

— Czy coś jeszcze, panowie? — spytał prezydent, przymykając oczy. Nikt się nie odezwał. — Żadnej reakcji ze strony Rosjan?

— Żadnej, panie prezydencie — odparł Brent. — Prawdopodobnie czekają, aż ich oskarżymy. Wkrótce mam spotkanie z Karmarowem.

— Sytuacja B-1, generale? — spytał prezydent Curtisa.

— Wszystko zgodnie z planem. Właśnie teraz powinni po raz pierwszy uzupełniać paliwo nad Kanadą.

Prezydent milczał przez chwilę. Curtis był pewny, że zamierza odwołać planowany atak B-1, wreszcie jednak prezydent odezwał się:

— Będę na górze w swoim gabinecie. Informuj mnie o rozwoju sytuacji co pół godziny. Będę kontrolował stamtąd całą akcję.

— Tak jest, panie prezydencie.

— I sprowadźcie Elliotta razem z jego... jego Old Dogiem na ziemię. Niech ukryją samolot najlepiej, jak się da. Mogą wstrzymać się z lądowaniem do nocy, ale na tym koniec. Mam już w powietrzu o trzy samoloty za dużo.

— Wyślemy Old Doga do Seattle — oświadczył Curtis kierującemu się ku drzwiom prezydentowi. — Jest tam wystarczająco dużo miejsca i odpowiedni ludzie do rozbrowienia go...

— Rozbrojenia? — spytał prezydent. Zebrani w Pokoju Operacyjnym zamarli. — Rozbrojenia? W co, u diabła, jest uzbrojony, generale?

— Jeśli pan pamięta, samolot generała Elliotta jest pierwszą doświadczalną maszyną. Prawdopodobnie ma na pokładzie dokładnie to samo uzbrojenie, co Excalibury — rakiety powietrze-powietrze...

— Ale chyba nie mają na pokładzie broni atomowej, prawda, generale? — powiedział Tom Presto sekretarz obrony. — Nikt nie zezwolił...

— Nie, panie sekretarzu — odparł szybko Curtis. — Na B-52 generała Elliotta były prowadzone badania nad Strikerem — bombą ślizgową sterowaną za pomocą kamery telewizyjnej. Prawdopodobnie ma na pokładzie jedną z nich.

— Upewnij się cholernie dokładnie natychmiast po lądowaniu, że samolot jest rozbrojony — powiedział prezydent. — Niepotrzebna nam kolejna afera.

I nie czekając na ciche: „Tak jest, panie prezydencie” Curtisa, minął energicznym krokiem strażników i wszedł do windy.

Curtis zaczekał, aż wyjdą pozostali, po czym skierował kroki do centrum łączności w Pokoju Operacyjnym, gdzie grupa ekspertów usiłowała dojść, jakie są możliwości transmisji kodu dla systemu łączności satelitarnej SATCOM. Gdyby Elliott był w posiadaniu kodu i wprowadził go do odbiornika SATCOM na pokładzie Old Doga, Curtis mógłby porozumieć się z załogą. Najpierw jednak musiał obmyślić sposób przekazania kodu załodze bez zdekonspirowania go.

Wszedł do centrum łączności.

— No i co?

— Właśnie nadajemy, panie generale — zameldował szef centrum. — Za kilka minut odbierze go Sieć Awaryjna SAC-u, która będzie kontynuować przekaz, dopóki nie otrzyma rozkazu, by zakończyć.

— Dobrze. Wie pan, że załoga nie ma dokumentów dekodujących.

— Tak, panie generale. Powinni dać sobie radę bez nich. W razie potrzeby mamy możliwości przesłania wiadomości otwartym tekstem.

Curtis skinął głową.

— Wiadomości z Excaliburów!

— Odebraliśmy od obydwu normalny meldunek trzy minuty temu — odpowiedział szef.
— Ciągle jeszcze nie skończyli uzupełniać paliwa.

Curtis przyjął od niego pełny wydruk meldunków załóg Excaliburów i schował go do teczki. Wyrwało mu się głośne westchnienie.

— Proszę mnie regularnie informować — polecił, zastanawiając się, co jeszcze może nawalić.

— Genesis, tu centrum w Los Angeles.

Generał Elliott odstawił puszkę z wodą, którą Dave Luger znalazł na dole w pojemniku z racjami żywnościowymi, i przeregulował swój mikrofon. — Nadawaj, Los Angeles.

— Twój awaryjny plan lotu został przyjęty — powiedział kontroler. — Otrzymałeś nowy sygnał wywoławczy Dog Zero-Jeden Fox. Masz zezwolenie na krążenie, jak tego żądałeś. Potwierdź.

Elliott popatrzył pytająco na Ormacka.

— Dziwny sygnał wywoławczy — stwierdził.

— Dog Zero-Jeden Fox potwierdza do centrum — odpowiedział Elliott przez radio. — Jakież inne wiadomości, Los Angeles?

— Nic nowego, Zero-Jeden — odparł kontroler. — Obsługa radarowa zakończona, zezwolenie na kontakt z oceaniczną kontrolą radarową.

— Zero-Jeden Fox, dziękuję — Elliott wziął oliwkowo-szarą puszkę należącą do wyposażenia ratunkowego załogi i upił łyk wody wpatrując się w okna kabiny.

— Dobra — powiedział w zadumie — mamy wolną drogę. Ale dokąd, jak, na długo?

— Próbują nawiązać z nami jakiś kontakt — stwierdził Ormack. — Mamy na nasłuchu wszystkie częstotliwości stanowiska dowodzenia SAC-u, a także SATCOM i częstotliwości awaryjne. Dodatkowo prowadzimy nasłuch radiowy na wielkiej częstotliwości w okresach Alfa. Może nie podjęli jeszcze decyzji, co robić.

— Natomiast ja podjąłem — oświadczył Elliott, udręczony świdrującym bólem w prawej łydce. — Musimy to draństwo sprowadzić na ziemię dzisiejszej nocy. Jeśli nie wskażą nam miejsca lądowania, wybierzemy je sami. Tonopah, Indian Springs, gdziekolwiek, ale trzeba lecieć. — Poinformował załogę przez telefon pokładowy: — Słuchajcie, otrzymaliśmy z

centrum wiadomość, że od tej chwili naszym sygnałem wywoławczym jest Dog Zero-Jeden Fox.

— Ani słowa o tym, co mamy robić? — spytał McLanahan.

— Na razie nie. Prowadź nasłuch ustalonych częstotliwości. Powinniśmy coś niedługo usłyszeć.

— Czy ktoś może zająć się przez chwilę wielką częstotliwością? — spytał Luger. — Ten jazgot w słuchawkach doprowadza mnie do szału.

— Ja się zajmę — powiedział McLanahan, sięgając po tabelę lotów, której Luger używał do nanoszenia komunikatów radiowych. — Popatrzył na zegarek. — Pozostały trzy minuty do nasłuchu

Alfa Ustawił przełącznik telefonu pokładowego w pozycji HF i aż drgnął włączywszy go. Sięgnął szybko do gałki natężenia dźwięku. — Niepotrzebnie zgłosiłem się na ochotnika. Pamiętaj, że ma być trzy-jedenaście. Tutaj jest rejestr, który sporządziłem.

Luger przejrzał stos meldunków radiowych odebranych na zapasowej częstotliwości UHF stanowiska dowodzenia SAC.

— Tylko zwykłe wiadomości — powiedział. — Czego szukamy?

— Czegokolwiek — odparł McLanahan. — Czegoś niezwykłego.

— Czy nie mogą po prostu powiedzieć: „Hej, chłopaki, wprowadźcie A-B-C do SATCOM-u”?

— A wówczas każdy, kto usłyszy tę wiadomość, ustawi ten sam kod na swoim dalekopisie. I w ten sposób nas rozszyfruje.

— Albo: „Hej Dog, ląduj w Tonopah”! Wszystko jedno. Na to samo wychodzi.

— Naprawdę bystry chłopak z ciebie! — powiedział McLanahan. — Okres nasłuchu Alfa. — Wyłączył wszystkie częstotliwości z wyjątkiem HF i przycisnął słuchawki mocniej do uszu, aby lepiej słyszeć komunikaty nadawane przez Sieć Awaryjną Strategicznych Sił Powietrznych. Nasłuch Alfa był podstawowym okresem nadawania przez SAC komunikatów na wielkiej częstotliwości. Swoim zasięgiem obejmowały całą kulę ziemską.

— Ile mamy paliwa, John? — spytał Elliott Ormacka.

— Na mniej więcej siedem godzin przy takim ustawieniu obrotów — odpowiedział Ormack, patrząc na swój prowizoryczny plan lotu, sporządzony na odwrocie kawałka tektury. — Możemy jeszcze przelecieć dwukrotnie przez cały kraj, jeśli zajdzie potrzeba.

— Mój tyłek tak długo nie wytrzyma.

— A co z pańską nogą?

— Ciągle rwie — odpowiedział Elliott dotykając delikatnie łydki.

Ormack sięgnął za oparcie fotela i wyjął ze skoroszytu suplement do międzynarodowego spisu częstotliwości, dotyczący obszaru Ameryki Północnej.

— Znalazłem częstotliwość ośrodka dowodzenia w McClellan — poinformował Elliotta.
— Połączę się z nim i przekażę, że opuszczamy strefę rozpoznawczą obrony przeciwlotniczej.

— Zapytał przez telefon pokładowy:

— Czy ktoś korzysta z częstotliwości HF?

— Pat notuje komunikat — odpowiedział Luger.

Spojrzał na McLanahana wsłuchującego się z natężeniem w komunikat radiowy i postukującego od czasu do czasu ołówkiem w znaki, które notował.

— Daj mi znać, kiedy skończy — poprosił Ormack. — Jakież kłopoty z utrzymaniem naszego położenia?

— Nie, panie pułkowniku.

— Za chwilę będę potrzebował dodatkowych danych na temat zużycia paliwa. Kiedy nawiążę łączność z McClellan, podasz mi również szacunkowy czas dotarcia do wskazanego przeze mnie punktu.

— Jestem do dyspozycji — powiedział Luger i znów spojrzał na McLanahana, który właśnie ustawił pokrętła telefonu pokładowego w zwykłej pozycji.

— Może pan już korzystać z częstotliwości HF, pułkowniku.

— Ja wezmę namiar za pomocą sekstansu. Hej, Pat, muszę zrobić pomiar względem słońca. Zajmiesz się tym sam, czy będziesz mierzył mi czas?

— Zrobiłem trzy ostatnie pomiary — odparł MacLanahan. — Daj mi zegarek. — Gdy Luger wstał, by udać się na górny pokład w celu odczytania położenia na sekstansie, McLanahan schwycił go za ramię. — Czy nie widzisz nic niezwykłego w komunikatach, które zanotowałeś, Dave? — Postukał ołówkiem w długie szeregi liczb oraz liter z zaznaczonym czasem przekazu i sygnałem wywoławczym stanowiska dowodzenia, z którego nadano komunikaty.

— Nie, nie widzę. Normalna liczba znaków, w żadnej specjalnej kolejności ani nic w tym sensie. Oczywiście nie jesteśmy w stanie zdekodować informacji.

— Chodzi mi o coś w samym komunikacie... jakiego użyto w nim słowa: „fox” czy „foxtrot”?

— Co? Aha, chodzi o to, co się kryje pod tymi „efami”?

Zastanowił się przez chwilę.

— Tak, masz rację. „Fox”! Nie „foxtrot”! Ale to wychodzi na jedno, prawda?

— Może tak, a może nie. — McLanahan przysunął bliżej mikrofon. — Angelino? Udało ci

się? Angelina uczyniła nieprzyzwoity gest w kierunku rzędu przycisków na dalekopisie SATCOM-u, które służyły do wprowadzania słowa kodowego uaktywniającego transmisję.

— Palec mi drętwieje od wprowadzania kodów.

— Myślę, że udało mi się coś odkryć — powiedział McLanahan. — Właśnie odebraliśmy komunikat na częstotliwości HF. Używają w nim słowa „fox” zamiast „foxtrot”. Takiego jak ten dziwny przyrostek w naszym sygnale wywoławczym.

— „Fox”? Oczywiście, czemu nie? Próbowałam dziesiątków innych kodów.

Angelina ustawiła przełącznik na dalekopisie w pozycji NIEAKTYWNY. Następnie wprowadziła jako słowo kodowe litery „FOX” i spróbowała uaktywnić urządzenie.

— Nic się nie dzieje — zameldowała.

— Spróbuj ustawić znaki w odwrotnej kolejności — podpowiedział jej McLanahan. — To musi być klucz.

Tym razem Angelina wprowadziła „XOF” i jeszcze raz ustawiła przełącznik w pozycji AKTYWNY. Dalekopis momentalnie ożył.

— Działa!

— Wspaniale — ucieszył się Elliott. — Odczytaj jak najprędzej wszystkie informacje, które odbierzesz.

— Na razie odbieram tylko nasz znak rozpoznawczy — poinformowała Angelina. — Zaraz nadam potwierdzenie. Wysunęła klawiaturę i zaczęła nadawać komunikat potwierdzający. Po upływie piętnastu minut ponownie odezwała się do mikrofonu.

— Komunikat, panie generale.

— Czytaj.

— „Krążyć nad pozycją SHARK. Lądowanie o godzinie ósmej czasu Greenwich na jedenastym lotnisku zapasowym dla Boeingów. Zabezpieczyć uzbrojenie. Kolegium Połączonych Sztabów”. To wszystko. Otrzymałam kod dla satelitarnego systemu nawigacyjnego. Przekażę go za moment nawigatorowi.

— Na to czekałem — odetchnął Elliott. — Sprowadzimy tę bestię na lądowisko za kilka godzin. — Zwrócił się do Ormacka: — Przyjemnie było usiąść znowu za sterami, John. Szkoda, że nastąpiło to w takich okolicznościach.

Elliott patrzył przez szybę na spiczasty nos Old Doga obracający się ku słońcu. Pulsujący ból przeszywał jego prawą nogę na myśl o dwóch Excaliburach podążających w kierunku Rosji.

ALASKA, NAD MORZEM ARKTYCZNYM, NA PÓLNOC OD BARROW

— Odłączam, siedem-siedem.

Operator nacisnął spust na swoim drążku sterującym i dysza wysięgnika do tankowania cysterny KC-10 Extender wyskoczyła z gniazda. W powietrzu, nad lecącym poniżej Excaliburem B-1B uniósł się biały obłoczek oparów paliwa lotniczego JP4. Operator pociągnął drążek, odsuwając szybko wysięgnik od ciemnego kształtu, który obserwował przez panoramiczną szybę pod stopami. Nacisnął inny przycisk i wysięgnik podjechał do góry, chowając się w ogonie zmodyfikowanego DC-10 firmy McDonnell-Douglas.

— Jeden-Trzy prosi o zezwolenie dołączenia na prawe skrzydło — odezwał się pilot B-1.

— Zezwalam ci dołączyć na prawe skrzydło — odpowiedział prowadzący bl.

Samolot, który zakończył tankowanie, zwolnił, położył się na prawe skrzydło i zniknął z pola widzenia operatora w KC-10. Gdy wykonywał ten manewr, operatorowi mignął przed oczyma wspornik pełen rakiet przymocowanych pod skrzydłami Excalibura.

— Tankowanie zakończone — nadał przez radio operator do drugiego pilota. Odsunął od ust mikrofon połączony ze słuchawkami i otarł pot z twarzy oraz szyi. Tankowanie B-1 zawsze nastęrczało trudności, mimo że były stabilne; ich ciemny kamuflaż, stosowany przez NATO, sprawiał, iż trudno było dostrzec otwory zbiorników, nawet przy świetle dziennym.

Jednakże te B-1 różniły się znacznie od standardowych. Szarą barwę zastąpiła głęboka matowa czerń. Nawet mimo elektro-fluorescencyjnej siatki celowniczej na nosie Excalibura operator w napięciu opuszczał wysięgnik w ciemną, nieokreśloną próżnię. Wiedział, że margines błędu wynosi około sześciu stóp, potem dysza uderzy w kopułkę anteny radiolokatora lub — co gorsza — w przednią szybę bombowca. I choć był operatorem od piętnastu lat, a sześć stóp to nie tak znów mało, zawsze istniała możliwość popełnienia błędu. Dwa samoloty lecące w odległości dwunastu stóp od siebie z prędkością prawie trzystu osiemdziesięciu mil na godzinę — cóż, łatwo było o wypadek.

Drugi pilot przekazywał bombowcom meldunek o ilości zatankowanego paliwa.

— Lot Kelly Jeden-Dwa, otrzymaliście po mniej więcej osiemdziesiąt pięć tysięcy funtów na głowę. Przejdźcie na częstotliwość taktyczną. Proszę o zezwolenie na zwrot w prawo z nabraniem wysokości.

Pułkownik Bruce Canady, dowódca samolotu prowadzącego, spojrział przez lewe okno.

— Widzisz stąd Jeden-Trzy, Bili?

Drugi pilot popatrzył przez prawe okno. W tym momencie skrzydłowy B-1 zajął pozycję w odległości około dwudziestu stóp od końcówki prawego skrzydła prowadzącego, migając światłami pozycyjnymi i antykolizyjnymi.

— Mam go. Jest tuż obok.

— Cysterna, zezwalam na zwrot w prawo z nabraniem wysokości. Dzięki za paliwo.

— Przyjąłem. Powodzenia, chłopcy.

Canady obserwował, jak potężne cysterny KC-10 skręciły, przechylając się na prawe skrzydło, i wzbiły się w przestworza, znikając z pola widzenia.

— Kelly, kontrola po tankowaniu — nadał Canady do swego skrzydłowego.

— Dwa — padła odpowiedź.

— Ed, masz gotowy komunikat po tankowaniu? — spytał Canady operatora systemów ofensywnych. Nawigator radarowy skończył właśnie układanie zakodowanego komunikatu do przekazania za pomocą systemu łączności satelitarnej AFSATCOM*, zawiadamiającego Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych o ostatnim planowym uzupełnieniu paliwa przed dotarciem nad kontynent azjatycki.

— Tak jest.

— Wyślij go. Czy otrzymaliśmy nasz codzienny komunikat „kontynuować misję”?

— Ostatni — pięć minut temu — odpowiedział nawigator. — Oczekuję w każdej chwili zgody na rozpoczęcie pierwszej fazy podejścia do ataku.

Nie zdążył dopowiedzieć tych słów, gdy zaterkotał dalekopis AFSATCOM-u. Nawigator przepisał zakodowaną fonetycznie wiadomość do książki kodowej, następnie podał ją, poprzez wąskie przejście operatorowi systemów obronnych.

Oficerowie wspólnie zdekodowali komunikat i sprawdzili go jeszcze raz.

— Jest zgoda — powiedział nawigator. — Otrzymaliśmy zezwolenie na utrzymanie kursu do następnego punktu zwrotnego. Możemy się spodziewać rozkazu „atakuj” w ciągu godziny.

— Przyjąłem — dodał operator systemów obronnych.

Canady nie odpowiedział. Przeprowadził w milczeniu błyskawiczną kontrolę tablicy przyrządów.

— Idę o zakład, że jeszcze nas wycofają — odezwał się drugi pilot.

— Mam nadzieję — mruknął Canady. — Przeszedł na łączność z drugim samolotem. — Jeden-Dwa, zezwalam ci na zwiększenie odstępu, gdy już zakończysz kontrolę po tankowaniu.

— Kontrola zakończona, zwiększam odstęp.

Drugi Excalibur wykonał lekki manewr w prawo, tak by odsunąć się od prowadzącego na

odległość około pół mili. Dla pilota było znacznie mniej męczące utrzymywać pewien dystans do prowadzącego, niż lecieć blisko przez długi czas.

— Potwierdź odbiór Golf, Tango, Sierra, Oscar, Pappa — nadał przez radio nawigator do swego kolegi po fachu w samolocie skrzydłowym, by się upewnić, że otrzymał i zdekodował ten sam komunikat.

— Przyjąłem i potwierdzam — zameldował drugi nawigator.

— Sytuacja, Jeden-Trzy?

— Jeden-Trzy, u nas wszystko gra.

— Jeden-Dwa, u nas również — powiedział Canady. Oba bombowce były w stu procentach sprawne — wszystko działało prawidłowo, żadnych odbiegających od normy odczytów, zbiorniki pełne paliwa. Gdyby którykolwiek z bombowców miał jakąś poważną usterkę, trzeba byłoby odwołać zadanie.

— W porządku. — Canady zwrócił się do załogi: — To dwa świetne bombowce, chłopcy. Na razie mamy zgodę na kontynuację. Nawigator, jestem gotów do kontroli systemu radarowego do lotów na małych wysokościach.

— Przyjąłem. — Nawigator otworzył wykaz czynności kontrolnych na odpowiednim rozdziale, który dotyczył przeprowadzania w trakcie lotu testu autopilota i sprzężonego z nim systemu radarowego do nawigacji na małej wysokości.

W czasie gdy dwaj piloci i nawigator rozpoczęli kontrolę, operator systemów obronnych DSO* wziął się za sprawdzanie systemów elektronicznego zakłócania; jednocześnie prowadził nasłuch radiowy na wielkiej częstotliwości. Gdy kontrolował wszystkie nadajniki i odbiorniki, uruchamiając autotesty na przeważnie zautomatyzowanych urządzeniach, na górze ekranu odbiornika sygnalizującego zagrożenia pojawiła się wygenerowana przez komputer litera „S”.

Pojawiająca się i znikająca litera przyciągnęła na moment jego wzrok, ale zignorował ją, po chwili bowiem całkiem znikła, nie towarzyszył jej też ostrzegawczy sygnał akustyczny. Pewnie jakiś błąd albo zakłócenie od drugiego B-1, pomyślał. Kontynuował czynności kontrolne.

Po upływie kilku minut litera „S” ukazała się ponownie — tym razem towarzyszył jej głośny wibrujący dźwięk o wysokiej tonacji. Operator systemów obronnych odłożył wykaz i przestawił wszystkie swoje elektroniczne urządzenia z modu AUTOTEST na STANDBY, czyli „gotów”.

— Pilot — zawołał przez telefon pokładowy — gdzie jest skrzydłowy?

Piloci rozpoczynali właśnie testowanie drugiego kanału radaru.

— Na naszym skrzydle — odpowiedział z irytacją drugi pilot. — Przeprowadzamy właśnie kontrolę radaru. Czy można...

Operator systemów obronnych zmienił częstotliwość, by połączyć się z drugim samolotem.

— Jeden-Trzy, określ swoją pozycję.

— Pół mili za wami — odpowiedź była raczej zwięzła.

— Z tyłu?

— A gdzie niby mam być?

— Czy widzi nas? — głos operatora zdradzał podniecenie. Zawahał się, następnie przestawił wszystkie swoje nadajniki z pozycji STANDBY na NADAWANIE.

— Potwierdzam — odpowiedział pilot drugiego bl.

— Ja go również widzę, Jeff. — To był głos operatora systemów obronnych drugiego Excalibura.

— Pilot, obrona wykryła radar przeszukujący, pozycja godzina dwunasta, na granicy zasięgu, powoli się zbliża.

— Przyjąłem. — Canady nie był zbyt zaniepokojony. Najbliższy ląd na pozycji godziny dwunastej, nie licząc pokrywy lodowcowej, znajdował się sześćset mil stąd. — Pewnie fałszywy alarm. Czy powiedziałaś, że się zbliża, Jeff?

— Sygnał ma coraz silniejszy — zameldował operator. — Mogę obliczyć dwunastosekundowe okresy obrotu jego anteny. Przesuwa się właśnie na lewo od nosa.

— Przesuwa? Jeff, wyzeruj swoje urządzenia i zobacz, czy...

— Drugi operator również go widzi, pułkowniku. Albo obaj odbieramy ten sam fałszywy sygnał, albo jest to...

Nagle komputer zweryfikował sygnał, zmieniając literę „S” na ekranie sygnalizującym zagrożenie na symbol w kształcie skrzydła nietoperza z kółeczkiem w środku.

— Samolot wczesnego ostrzegania — zameldował operator. — Tuż przed naszym nosem.

— Co takiego?

— Samolot wywiadowczy dalekiego zasięgu.

— Co u diabła robi tutaj nad cholernym biegunem północnym? — spytał drugi pilot. — Od najbliższej bazy wojskowej dzielą nas tysiące mil.

— Namierzył nas — odpowiedział operator systemów obronnych.

— Może to jeden z naszych — zastanawiał się drugi pilot.

— Wykluczone, żeby to był Rosjanin. Znajdujemy się zaledwie sto mil na północ od Barrow. Chyba powinniśmy skierować się w jego stronę i przyjrzeć mu się lub nawiązać z nim łączność...

— Nie ma mowy! — Canady sięgnął do centralnego pulpitu sterowniczego i mrugnął światłami pozycyjnymi, sygnalizując skrzydłowemu, by znów się do niego zbliżył bez używania nadajników radiowych. Drugi pilot widział ten sygnał i spojrzał przez prawe okno, przeszukując wzrokiem niebo. W chwilę później drugi Excalibur wynurzył się z półmroku i zajął pozycję tuż przy prawym skrzydle Canady'ego, tak blisko, iż drugi pilot był pewien, że końcówki skrzydeł zachodzą na siebie.

— Dwójka na miejscu — zameldował.

— Jeff, czy on mógł zobaczyć oba nasze samoloty?

— Prawdopodobnie. Zależy od tego, jaki ma zasięg, ale sądzę, że tak.

— Te skurwysyny wykryły nas. Tutaj, tysiąc mil na północ od nikąd wpadamy prosto na samolot wywiadowczy... cóż, nie możemy pozwolić mu na rozpoznanie wzrokowe.

Canady pchnął drążek w prawo i stopniowo' zwiększył obroty. Drugi pilot sprawdził natychmiast, czy ich skrzydłowy wykonuje ten sam manewr.

— Musiał przewidzieć twój manewr — powiedział. — Robi dokładnie to samo.

— Sygnał skręca w lewo w naszym kierunku. — Canady zwiększył obroty do maksimum.

— Szybkość prawie jeden mach — zameldował drugi pilot. — Schowaj skrzydła.

Canady pociągnął odpowiednią rączkę i długie skrzydła Excalibura zniknęły z pola widzenia, odchylając się do tyłu, póki prawie nie zlały się z ciemnym gładkim kadłubem B-1.

— Czy zwiększa się dystans między nim a nami?

— Nie — odparł DSO. — Przecina nam drogę.

— Szybkość jeden mach — zameldował drugi pilot.

W samolocie nie odczuwało się zmiany szybkości; jedynie wskazania prędkościomierza i machometru podpowiadały im, że przekroczyli prędkość dźwięku. Drugi pilot kontrolował przez okno zachowanie skrzydłowego.

— Jeden-Trzy zwiększył nieco odległość od nas, aby wyjść poza falę powstałą przy przekroczeniu bariery dźwięku — powiedział — ale ciągle leci obok.

— Sygnał przesuwają się na godzinę dziesiątą — poinformował operator. — Zwiększamy nieco dystans pomiędzy nami, ale on leci prostopadle do naszego kursu. Z pewnością nas zobaczy.

— Jeden przecinek pięć macha.

— Jeśli nie wiedział przedtem, kim jesteśmy, to teraz nie ma już wątpliwości — stwierdził Canady.

— Jeden-Trzy nie odstępować nas.

— Sygnał prawie na trawersie.

Canady spojrział przez lewe okno kabiny. W odległości mniej więcej dziesięciu mil od ich lewego boku zobaczył potężny biały samolot, podobny do transportowego, z dużym dyskiem anteny radarowej na kadłubie.

— Widzę go. Pozycja godzina dziesiąta — powiedział Canady. Wygląda jak AWACS E-3. Czy to może być jeden z naszych?

— Przyjrzyj się ogonowi — podsunął operator systemów obronnych. — W kształcie litery T czy konwencjonalny?

Canady musiał wyteńczyć wzrok, by to sprawdzić, gdy przemykali obok.

— W kształcie litery T — odpowiedział. — I... ma eskortę, dwa myśliwce na skrzydłach.

— Radziecki samolot wywiadowczy Mainstay — stwierdził operator łamiącym się głosem. — Wygląda jak C-141 z kopułą anteny radarowej na górze, tak? To radziecka wersja naszego samolotu wczesnego ostrzegania AWACS. Pełni podwójną funkcję — może służyć również jako cysterna.

— Zamierza wpakować nam tę podwójną funkcję prosto w tyłek! — powiedział Canady. — Nawigator, nadaj nie zakodowaną wiadomość przez SATCOM. Powiedz, że mamy na ogonie radziecki AWACS z dwoma towarzyszącymi myśliwcami. Podaj naszą pozycję oraz współrzędne lotu i spytaj o instrukcje.

— Już nadałem.

— Nie możemy ciągnąć tego zbyt długo, pułkowniku — wtrącił się drugi pilot. — Będziemy mieli kłopoty z paliwem i nie mamy zezwolenia na przekroczenie drugiego punktu zwrotnego. Jeśli zaczniemy krążyć, ten Mainstay i jego myśliwce dopadną nas.

Canady odpiął maskę tlenową i bębnił w zdenerwowaniu palcami po tablicy przyrządów.

— DSO, czy widzisz te myśliwce za nami?

— Nie. Widzę wyłącznie AWACS-a, ale myśliwce nie potrzebują włączać swoich radarów, by nas namierzyć. Jeśli wykrył nas AWACS, może pokierować myśliwcami lepiej niż ich piloci.

— Czy możesz zakłócić jego radar?

— Przy tej odległości tak, choć z trudem.

— Czy będzie mógł nas śledzić, jeśli zejdziemy na małą wysokość?

— Mainstay jest również zdolny do wykrywania obiektów znajdujących się poniżej niego — odpowiedział operator. — Moglibyśmy go zgubić, gdybyśmy równocześnie włączyli zakłócanie i ostro nurkowali...

— No i co dalej? — przerwał drugi pilot. — Wciąż jesteśmy oddaleni o godzinę od lądu i wciąż nie mamy zezwolenia na przekroczenie drugiego punktu zwrotnego. On ma dwa

myśliwce, żeby nas przyskrzynić, a myśliwce mają mnóstwo paliwa. My natomiast musimy oszczędzać.

— Do diabła z paliwem i drugim punktem zwrotnym! — zaklął Canady. — Nie będę ryzykował, że nas przechwycą lub zestrzelą. Utrzymam szybkość jeden przecinek pięć macha, dopóki nie przekroczymy granicy łądu, potem zmniejszę obroty i schowam się przed radarami nisko nad ziemią.

— Mamy jeszcze inną możliwość: zaatakować myśliwce i AWACSA — wtrącił nawigator radarowy. Reszta załogi milczała jak zaklęta. Powiedział głośno o czymś wręcz nie do pomyślenia — o wszczęciu walki powietrznej z radzieckimi myśliwcami. Excalibury były pierwszymi amerykańskimi bombowcami strategicznymi wyposażonymi w pociski raketowe klasy powietrze-powietrze — atak byłby więc całkiem nieoczekiwany.

— Jeśli będziemy zmuszeni, zrobimy to — stwierdził Canady. — DSO, przygotuj Scorpiony. Muszą być gotowe do odpalenia...

Popatrzył przez lewe okno kabiny. Białe promienie słońca oświetlały radziecki myśliwiec, lecący dosłownie nos w nos z Excaliburem, tak blisko, że radziecki pilot i siedzący w tylnym fotelu oficer, odpowiedzialny za systemy ofensywne, byli doskonale widoczni. Canady dostrzegł czerwoną gwiazdę na pionowym stateczniku MIG-a 31 Foxhound i cztery rakiety klasy powietrze-powietrze zawieszane pod jego skrzydłem. Nawet przy szybkości przekraczającej tysiąc mil na godzinę masywny radziecki myśliwiec z łatwością dotrzymywał pola Excaliburowi, lecąc w idealnie równoległym szyku.

— MIG-31 — powiedział drugi pilot. — Tuż obok nas. — Obrócił się w fotelu i spojrzał przez okno z prawej strony. — Drugi leci przy prawym skrzydle Jeden-Trzy.

— Nawigator...

— Już wysyłam — wpadł mu w słowo nawigator radarowy, wystukując na klawiaturze systemu SATCOM kolejny nie zakodowany komunikat alarmowy.

— Dostali nas — powiedział spokojnie Canady.

Członkowie załogi milczeli; czuli się jak na widelcu, wystawieni na atak. Nie było gdzie się ukryć ani uciec. Cały ten ochronny kamuflaż, uzbrojenie, zdolność lotu nisko nad ziemią, nawet szybkość — okazały się bezużyteczne.

— Niezwykle ważne komunikaty z B-1! — Jeff Hampton wpadł do Gabinetu Owального z długim paskiem wydruku komputerowego. Czując na sobie surowe spojrzenie generała Curtisa, wręczył mu komunikat.

— Co znowu, generale? — spytał z irytacją prezydent, upijając łyk kawy.

— Pierwszy zakodowany komunikat dotyczy tankowania. Ostatnie uzupełnienie paliwa przebiegło pomyślnie. Następny komunikat potwierdza odbiór pierwszego rozkazu „kontynuuj misję”, zezwalającego im na prowadzenie dalszej akcji...

Prezydent zobaczył, jak krew ucieka z twarzy Curtisa.

— Co się stało!

— Siedem minut temu... o cholera jasna... dwie kolejne wiadomości zostały przesłane otwartym tekstem — nie zakodowali ich. Pierwsza informacja, że bombowce zostały zlokalizowane przez radziecki samolot wczesnego ostrzegania Mainstay sto trzy mile na północpółnocny zachód od Przylądka Barrow na Alasce.

— Zlokalizowany przez co?

— Radziecki samolot radarowy — Curtis podszedł do mapy półkuli północnej. — Tutaj — zaledwie kilka mil od pierwszej strefy krążenia. Mainstay stanowi kopię naszego samolotu wywiadowczego E-3 AWACS. Może przeszukiwać w promieniu setek mil wokół siebie, śledzić samoloty na dużych i małych wysokościach, kierować myśliwcami...

— Czy Rosjanie widzieli B-1?

— Oni... tak, mieli je w polu widzenia — Curtis zaczął czytać ostatni meldunek; gdy skończył, wyciągnął rękę i przytrzymał się oparcia krzesła.

— Nie wierzę — powiedział prezydent. — Generale, przecież mówił pan, że w promieniu dwóch tysięcy mil od strefy krążenia nie ma żadnych radzieckich samolotów.

— Panie prezydencie...

— Słucham? To jeszcze nie wszystko?

— Nie, panie prezydencie... — generał Curtis nie mógł wydobyć z siebie głosu. — ... Excalibury zostały przechwycone przez dwa radzieckie myśliwce MIG-31 Foxhound...

— Co takiego?!

— ...wkrótce po zlokalizowaniu. — Z twarzy Curtisa odpłynęła cała krew. Prezydent opadł ciężko na swój skórzany fotel.

— Czy myśliwce zaatakowały?

— Nie. — Curtis przeczytał jeszcze raz meldunek. — Ostatni komunikat informuje, że myśliwce uczepliły się bombowców jak własnych cieni. B-1 usiłowały się od nich uwolnić, ale bezskutecznie. Według ostatnich meldunków prędkość B-1 wynosiła jeden przecinek pięć macha, odległość czterysta mil od drugiego punktu zwrotnego. Myśliwce ich nie odstępowały.

Prezydent pochylił się nad biurkiem.

— Generale, w jaki sposób te myśliwce mogły znaleźć się tak daleko od Azji?

— Mainstay może również funkcjonować jako cysterna. Jest w stanie podtrzymywać dwa takie myśliwce przez pięć tysięcy mil. — Zamilkł, po czym odwrócił się i podszedł do szerokiego wiśniowego biurka prezydenta.

— Twierdzą, że gdzieś musi być jakiś przeciek. Po pierwsze, zbieżność momentu ataku na Ice Fortress, następnie na Dreamland, a teraz tak błyskawiczne namierzenie B-1. To nie może być zbieg okoliczności...

— Owszem, zgadzam się, ale nie to stanowi obecnie problem. Mamy dwa bombowce zdążające w kierunku Rosji i dwa myśliwce gotowe zetrzeć je na miazgę.

— Panie prezydencie, mam...

— Musimy wycofać bombowce. Myśliwce mogą zlikwidować je w każdej chwili...

— Tak, panie prezydencie, ale gdyby miały taki rozkaz, zrobiłyby to od razu.

— Mogą czekać na rozkazy z Moskwy.

— Możliwe, ale Canady i Kamanski, dowódcy obu Excaliburów, to nasi najlepsi piloci. Nie dadzą się tak łatwo tym myśliwcom. Excalibury są wyposażone w nowy typ Scorpionów — rakiet powietrze-powietrze, udoskonalone urządzenia zakłócające, mają świetny kamuflaż ochronny, poza tym są równie szybkie jak Foxhoundy na dużych wysokościach, a szybsze na małych.

— Curtis — powiedział prezydent, kręcąc z niedowierzaniem głową — chyba nie sugeruje pan, by Excalibury stoczyły walkę z MIG-ami i kontynuowały zadanie.

— Nie, panie prezydencie, ale nie powinny też być wycofane.

— Dlaczego, na miłość boską?

— Naszym celem pozostaje ciągle unieszkodliwienie lasera...

— Bez rozpoczynania wojny, jeśli pozwoli pan sobie przypomnieć.

Ostatnia Misja Old Doga 345

— Owszem. Tak jak uzgodniliśmy, ograniczone środki, precyzyjne bombardowanie, bez większych zniszczeń ubocznych. W tej chwili nasze B-1 są wyłączone z gry. Prawdopodobnie mogłyby wymknąć się Foxhoundom, ale nie starczyłoby im paliwa do kontynuacji zadania. Poza tym zostały zaalarmowane radzieckie siły powietrzne. Wystarczy, że Rosjanie nakreślą linię prostą od obecnej pozycji bombowców do Kawazni, a z łatwością odnajdą oba bl.

— No więc?

— Cóż — powiedział Curtis, nachylając się do prezydenta — mamy w rezerwie tylko jeden sprawny samolot, lepiej uzbrojony i przygotowany do realizacji zadania niż tamte Excalibury, a jest nim Old Dog.

— Old... ma pan na myśli eksperymentalny B-52? Ten niemal wysadzony w powietrze w

Newadzie?

— Old Dog dysponuje znacznie większym zasobem broni defensywnej, większą mocą, ma lepszy zasięg i lepsze środki przeciwdziałania niż B-1. Załogę tego samolotu stanowią eksperci, którzy zaprojektowali wszystkie urządzenia na pokładzie Excaliburów. Mają też najlepszego bombardiera w całych Strategicznych Siłach Powietrznych.

— Curtis, do cholery, to nie wchodzi w ogóle w rachubę! — Prezydent przemierzał w zdenerwowaniu pokój, po czym raptownie zatrzymał się przed generałem.

— Jak, do diabła, mógłby się tam przedostać B-52, skoro nie udało się to B-1?

Curtis wziął głęboki oddech, by ukryć podniecenie. Nie chciał zawalić sprawy.

— Old Dog nie leciałby tą samą trasą. — Podeszedł do wielkiej mapy, a prezydent podążył za nim. — Tereny północne będą się roić od radzieckiej obrony przeciwlotniczej oczekującej na kolejnych napastników — prawdopodobnie spodziewają się zmasowanego ataku bombowców. Generał Elliott powinien wybrać drogę od południa...

— Skąd będzie wiedział, jaką obrać trasę, by uniknąć namierzenia?

— Generał Elliott, który obecnie jest członkiem załogi Old Doga, spędził wiele miesięcy, badając umocnienia obronne Kawazni i półwyspu Kamczatka. Zna je lepiej niż ja. Idę o zakład, że zdoła znaleźć lukę w obszarze pokrytym przez radar i się wślizgnąć, nie zdradzając swojej pozycji. A gdy już znajdzie się nad górzystym terenem Kamczatki, nie wykryje go nawet całe zgrupowanie myśliwców.

Prezydent pokręcił głową i odwrócił się tyłem do Curtisa.

— Old Dog znajduje się już w powietrzu — przypomniał mu Curtis. — Nie ma planu lotu ani określonego zadania. Rosjanie mogą nawet sądzić, że został zniszczony podczas ataku — spowodujemy przeciek informacyjny, że tak się rzeczywiście stało. Łatwo go również zawrócić.

— A co z uszkodzeniami, obrażeniami cielesnymi załogi?

— Sprawdź, jak wygląda sytuacja — powiedział Curtis. — Dostanę raport od generała Elliotta i pozostawię do jego uznania decyzję, czy podejmuje się tego zadania, czy też nie.

— Czy Elliott powiedziałby „nie”? Znam go. Jest zapaleńcem...

— Ale nie zaryzykowałby życia załogi, gdyby nie był pewny, że jest szansa na powodzenie akcji. Wiem to.

Ku zdziwieniu i uldze Curtisa prezydent powiedział:

— W takim razie niech Elliott decyduje.

— Tak jest, panie prezydencie. — Curtis odwrócił się, zamierzając opuścić pokój, zawahał się jednak.

— Misji Old Doga zagraża ten sam przeciek informacyjny. W tych okolicznościach byłoby rozsądne poczynienie pewnych kroków...

— Jakich?

— Proponuję, abyśmy wyłącznie my dwaj wiedzieli o specjalnym zadaniu Old Doga.

— To niemożliwe — odparł prezydent. — Korzystam z pomocy moich doradców i nie wątpię w ich prawość. Ograniczymy znajomość faktów do członków mojego gabinetu, ale oni muszą być poinformowani.

— Dobrze, ale sugerowałbym jeszcze jedną rzecz. Jeśli Old Dog ma wyjść z tego cało, Elliott będzie zmuszony do improwizacji. Aby nie narażać misji, musimy zrezygnować z wszelkich form komunikowania się z samolotem. Trzeba brać pod uwagę możliwość przecieku, gdyby załoga miała prosić przez radio o pozwolenie na przystąpienie do działań.

— Czy dobrze słyszę, generale, namawia mnie pan, bym wydał rozkaz ataku teraz, gdy toczą się negocjacje? — Prezydent pokręcił głową.

— Panie prezydencie, od samego początku negocjacji Rosjanie nie prowadzili czystej gry. Trzymali nas przy stole przetargowym pod fałszywymi pretekstami, a tymczasem sami realizowali swoje tajne plany. Utraciliśmy Midgetmana i Ice Fortress właśnie w czasie trwania tak zwanych negocjacji. Dowiedli tym, że ich jedyną intencją było zyskać na czasie. Negocjacje były nimi wyłącznie z nazwy.

Zapadło długie milczenie, podczas którego prezydent rozważał słowa Curtisa.

— To, co pan powiedział, jest prawdą. Znam nieźle historię... Roosevelt myślał, że sekretarz stanu Cordell Hull zdoła zawrzeć układ z Japończykami tuż przed ich atakiem na Pearl Harbour. Nie docenił ich dwulicowości. Wygląda na to, że popełniłem ten sam błąd i to z tych samych przyczyn. Obaj tak bardzo pragnęliśmy osiągnąć rezultat, że straciliśmy poczucie rzeczywistości.

Przez chwilę słychać było wyłącznie tykanie mosiężnego zegara na biurku prezydenta i przytłumiony szum drzew chwiejących się na wietrze.

— W porządku, generale... proszę spytać Elliotta, czy się zgadza. Jeśli tak, nie będzie odwrotu...

McLanahan i Luger drzemali w znajdującym się na dole pomieszczeniu operatora systemów ofensywnych, gdy Elliott wezwał ich przez radio.

— Załoga, proszę o uwagę. Otrzymaliśmy rozkazy z Kolegium Połączonych Sztabów. Właśnie dlatego kilka minut temu poleciłem wam przeprowadzić dokładną kontrolę urządzeń. Teraz chciałbym sprawdzić co innego — ludzi. Pamiętacie wszyscy, jak poinformowałem was dzisiaj na odprawie o zaplanowanym locie bojowym B-1, które wystartowały wczesnym

rankiem. Cóż, wygląda na to, że około piętnastu minut temu bombowce zostały odkryte i przechwycone na północ od Przylądka Barrow.

— Przechwycone? — powtórzył Ormack.

— Rosjanie dowiedzieli się jakimś cudem, skąd wylecą B-1. Samolot radarowy wczesnego ostrzegania Mainstay wraz z towarzyszącymi dwoma myśliwcami MIG-31 Foxhound już czekał na nie. Bombowce nie miały szansy ucieczki.

— Czy... czy B-1 zostały zestrzelone? — spytała Wendy.

— Nie, ale myśliwce pilnują ich. Bombowce otrzymały rozkaz, by krążyć w pobliżu punktu zwrotnego nad Morzem Czukockim tuż poza radziecką przestrzenią powietrzną. Przypuszczamy, że MIG-i ich nie odstąpią.

— Ale po co B-1 kontynuują lot? — zdziwił się Luger.

Zapadło dłuższe milczenie.

— Nie rozumiesz? — powiedział McLanahan. — Chcą, abyśmy my to zrobili.

— Jak do cholery mamy to zrobić, skoro tamtym się nie udało?

— Próba przedostania się przez radarową sieć wczesnego ostrzegania jest bardzo ryzykowna — przerwał im Elliott. — A tym bardziej lot nad Związkiem Radzieckim. Dlatego potrzebuję waszej opinii. Mamy uszkodzone lewe skrzydło, ale nasze systemy oraz broń zaczepna i defensywna są sprawne. Brakuje nam odpowiednich map wojskowych, ale dysponujemy mapami lotnictwa ogólnego, a w dodatku — na szczęście — kasetą z opisem terenu, na którym położona jest Kawaznia. Dodatkowo możemy liczyć na uzupełnienie paliwa i osłonę myśliwców.

Elliott miał nadzieję, że go zrozumieją, że jego załoga kupi ten pomysł... jego załoga? Stali się nią zaledwie przed kilkoma godzinami, gdy o włos uniknęli śmierci w tamtym hangarze na pustyni Newada.

— Nie podejmę się tego zadania bez wyraźnego poparcia każdego z was. Wiem, że nikomu nawet w głowie nie powstała myśl ewentualnego uczestniczenia w obecnej misji, a tym bardziej w wypadzie na instalacje w Związku Radzieckim. Odbyliśmy zaledwie parę wspólnych lotów i, do diabła, nie byłem nawet członkiem waszej załogi. John i ja jako jedyni lataliśmy kiedykolwiek razem na akcje. Jeśli nie będziemy w stu procentach zgodni, wylądujemy w Seattle i to wszystko. Rozważcie jednak sytuację. Rosjanie będą nadal używać lasera w Kawazni, nie bacząc na nasze protesty dyplomatyczne. Dosłownie sparaliżowali naszą zdolność wykrywania wystrzelonych pocisków balistycznych nad Pacyfikiem i biegunem północnym. Jeśli zdecydują się przypuścić atak, ostrzeżenie nadejdzie zaledwie kilka minut przed uderzeniem głowic. Sądzę, że jeśli nie powiedzie się akcja B-1 — a

praktycznie nie powiodła się — pozostanie nam tylko zaatakowanie Kawazni przy użyciu pocisków samosterujących dalekiego zasięgu albo międzykontynentalnych rakiet balistycznych, albo też przez siły uderzeniowe marynarki wojennej. Laser 'prawdopodobnie obroni się sam przed tymi zagrożeniami. A widok rakiet samosterujących lub międzykontynentalnych zmierzających w kierunku Azji może spowodować, że ktoś przycisnie nawet ważniejszy guzik i zapoczątkuje konfrontację termojądrową... — Czy nie minął się trochę z prawdą? Nie, do cholery, przedstawił tylko przerażającą alternatywę, wypowiadając coś, co z trudem przechodzi przez usta... — Naprawdę głęboko wierzę, że ta załoga i ten samolot to jedyne rozwiązanie, jakie nam pozostało. Wierzę, że mamy dużą szansę, by prześlizgnąć się przez radzieckie radary, uniknąć ich obrony przeciwlotniczej, unieszkodliwić laser i wrócić.

To była najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek wygłosił. Pulsujący ból w nodze, który ustał godzinę temu, powracał ze zdwojoną siłą.

— Jeśli macie na ten temat inne zdanie, powiedzcie mi. Jeśli nie będzie między nami pełnej zgodności, z pewnością nie przystąpimy do zadania.

W dziesięć minut później Elliott siedział znów w swoim fotelu, wypompowany. Nie miał uczucia w prawej pięcie, a pulsujący ból dotarł już do kolana. Myślał wciąż o tym, co usłyszał od Curtisa. Jak dotąd Rosjanie byli o jeden ruch do przodu. Curtis bez wątpienia obawiał się, że ktoś mógł im donieść również o misji Old Doga. Choć szansę, że tak się stanie, były cholernie małe. Seattle wydawało się równie dobrym miejscem jak każde inne do przeprowadzenia małego powietrznego kamuflażu...

— Widać linię brzegową Seattle — zameldował McLanahan, przełączając z powrotem dziesięciocalowy ekran radaru na zasięg dwustu mil. — Pozycja godzina pierwsza, sto mil.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez kogokolwiek z załogi od chwili podjęcia przez nich decyzji. Elliott polecił Ormackowi:

— Uzyskaj zezwolenie od centrum w Seattle na wejście w ich przestrzeń powietrzną, John. Wendy, sprawdź, czy uda ci się wywołać lotnisko Boeinga na częstotliwości HF. Poproś o pozwolenie na lądowanie.

— Centrum w Seattle, tu Dog Zero-Jeden Fox, jesteśmy w waszym zasięgu na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp.

Kontroler z Centrum Kontroli Ruchu Lotniczego w Seattle spojrział na ekran radaru. Rozmawiał przed chwilą z operatorem Głównego Stanowiska Dowodzenia Bazy Lotniczej McClellan i dowiedział się, że Dog Zero-Jeden Fox pojawi się w tym sektorze. Wiadomość się potwierdziła.

— Dog Zero-Jeden Fox, dobry wieczór, kontakt radarowy na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp.

Wcześniej kontroler w Seattle przekazał do McClellan kod identyfikacyjny przeznaczony do wprowadzenia przez załogę samolotu do ich systemu rozpoznawczego IFF: swój-wróg. System rozpoznawczy bombowca nada czterocyfrowy kod do komputera kontrolera, który wyświetli na ekranie blok danych obok echa radarowego samolotu. Blok danych będzie zawierał znak wywoławczy samolotu, wysokość, prędkość względem ziemi i komputerowy numer identyfikacyjny. Kontroler w Seattle sprawdził obszar, z którego — według informacji z McClellan — miał nadlecieć samolot. Rzeczywiście blok danych oraz symbol sygnału rozpoznawczego, wysyłanego przez nadajnik samolotu zwany „beacon”, pojawił się na skraju ekranu radaru obejmującego swoim zasięgiem sto pięćdziesiąt mil. Nie było pierwotnego echa radarowego — mniejszego symbolu wkomponowanego w większy, odpowiadający sygnałowi „beaconu” obiektu — ale to rzecz normalna przy dużych odległościach.

— Dog Zero-Jeden Fox, potwierdź, że twoim punktem docelowym jest lotnisko Boeinga w Seattle.

— Potwierdzam, Seattle. Będę prosił o zezwolenie na lądowanie na lotnisku zapasowym, gdy zbliżymy się na odległość dziesięciu mil. Boeing został powiadomiony.

To było co najmniej dziwne, ale kontroler słyszał już o takich przypadkach. Niektóre doświadczone lub tajne samoloty wojskowe, by nie zwracać na siebie uwagi, lądowały zamiast na głównym, na jednym z wielu zapasowych lotnisk Boeinga, rozrzuconych wokół Seattle. Piloci nie informowali kontrolera do ostatniej chwili, które lotnisko wybrali. Zmuszało go to do oczyszczenia przestrzeni powietrznej i zapewnienia zgody na podejście do lądowania na bardzo rozległym obszarze, znacznie utrudniając kontrolę ruchu lotniczego w zatłoczonym i tak już straszliwie regionie Seattle-Vancouver-Portland. Na szczęście o tej porze dnia nie byłoby z tym zbyt wielkiego problemu. Taka procedura dotyczyła nie tylko lotnictwa wojskowego — prywatne firmy lotnicze strzegły swoich najnowszych wynalazków niemal równie skrzętnie jak wojsko.

— Zostałem już powiadomiony, Zero-Jeden Fox — odpowiedział kontroler. — Przekażę to do kontroli podejścia w Seattle...

Nagle zobaczył coś, co sprawiło, że pobał jak ściana — kod rozpoznawczy „beaconu” zmienił się na 7700, czyli kod awaryjny. W jednej chwili blok danych samolotu otoczył się migającą obwódką, a nad symbolem „beaconu” zaczęły błyskać litery AWARIA. Sygnał pochodził od nowego przybysza — Doga Zero-Jeden Fox.

— Mayday, mayday! Centrum w Seattle, tu Dog Zero-Jeden Fox.

— Zero-Jeden Fox, przyjąłem twój kod awaryjny. — Kontroler wezwał dzwonkiem kierownika zmiany, który podbiegł natychmiast i podłączył swoje słuchawki do gniazdka na pulpicie.

— Kierownik zmiany A. Watt przy pulpicie siódmym, numer identyfikacyjny S-jeden jeden-trzy-jeden, godzina dwa-trzy-jeden-siedem czasu lokalnego. — Ostatnie słowa były wypowiedziane z uwagi na nieustannie obracającą się taśmę, rejestrującą wszystkie rozmowy — ich zapis byłby potem wykorzystywany w śledztwie, gdyby zdarzył się wypadek.

— Dog Zero-Jeden Fox zgłasza awarię podczas lotu — usłyszał w odpowiedzi. Głos — prawdopodobnie tego samego pilota, który po raz pierwszy połączył się z Seattle — był ledwo słyszalny z powodu ogłuszającego hałasu.

— To przypomina huk... wody? Wodospadu? — wyszeptał kontroler.

— On się rozhermetyzował, Ed — wyjaśnił kierownik. — To podmuch wiatru. Bardzo silny. Jeśli to rzeczywiście rozhermetyzowanie, hałas powinien ustać. Jeśli uszkodzenie przednich szyb — nie ustanie...

Kierownik zmiany przełączył się na telefon łączności wewnętrznej, obejmujący zasięgiem całe Centrum.

— Tu Watt do wszystkich kontrolerów. Oczyścić przestrzeń powietrzną w obszarze między kierunkami dwa-sześć-zero do trzy-dwa-zero od stacji radionawigacyjnej w Hoquiam i przygotować się na przyjęcie uszkodzonego samolotu na dziesięć minut. Powiadomić lotniska Boeinga, McChorda, Bowermana i w Portland o ewentualnym skierowaniu do nich uszkodzonego samolotu nieznanego typu. Powiadomić służby poszukiwawczo-ratunkowe McChorda i Straży Przybrzeżnej. Aktualna pozycja samolotu: kierunek dwa-osiem-dwa stopnia od Hoquiam, odległość dwieście trzydzieści mil morskich, wysokość dwa-pięć-zero, prędkość czterysta dwadzieścia węzłów.

Tymczasem pierwszy kontroler obserwował z przerażeniem, jak odczyt wysokości uszkodzonego samolotu zaczyna spadać.

— Zero-Jeden Fox, czy masz trudności z utrzymaniem wysokości?

Na tle huku dobiegającego ze słuchawek zabrzmiał głos pilota:

— Seattle, schodzimy poniżej dziesięciu tysięcy stóp... rozhermatyzowaliśmy się... ogień na pokładzie... stan zagrożenia! Stan zagrożenia! Mayday! Mayday!

— Zrozumiałem, Zero-Jeden Fox. Oczyszczamy dla ciebie przestrzeń powietrzną. Jeśli możesz, skręć w lewo, kurs dwa-osiem-zero, kierunek lądowania awaryjnego — lotnisko Boeinga, zezwalam na schodzenie i utrzymanie wysokości dziesięciu tysięcy stóp.

Bez odpowiedzi. Odczyt wysokości opadał coraz szybciej i szybciej.

— Dwadzieścia tysięcy... osiemnaście tysięcy... piętnaścietysięcy... Andy, tempo schodzenia coraz większe... przekroczył dziesięć tysięcy... Dog Zero-Jeden Fox — zawołał przez radio — wznies się na wysokość dziesięciu tysięcy stóp i utrzymaj ją. Potwierdź.

Odpowiedzią był tylko świst powietrza, który całkowicie zagłuszył słowa pilota.

— Zszedł poniżej ośmiu tysięcy... tempo schodzenia nieco się zmniejsza, ale samolot nie może utrzymać wysokości... minął pięć tysięcy... ostrzeżenie o przekroczeniu minimalnego pułapu! — Ponaglił przez radio: — Zero-Jeden Fox, wznos się! Podciągaj! Podciągaj! Jeśli wpadłeś w korkociąg, zwolnij stery! Potwierdź...

— Symbol „beaconu” zniknął! — zawołał kierownik zmiany. — Tu A. Watt przy pulpicie siódmym, czas lokalny dwatrydwazero, Centrum Kontroli Ruchu Lotniczego w Seattle. Straciliśmy Doga Zero-Jeden Fox z ekranu radaru. Ostatni raport pilota mówił o schodzeniu do wysokości dziesięciu tysięcy stóp z powodu awarii, pożaru i rozhermetyzowania. Tempo schodzenia od poziomu lotu dwa-pięć-zero oszacowane na piętnaście tysięcy stóp na minutę, potem zmniejszyło się do dziesięciu tysięcy na minutę, ale uszkodzony samolot nie był w stanie nabrać z powrotem wysokości ani wyrównać lotu. Brak pierwotnego i wtórnego echa. Brak jakichkolwiek danych lotu. Nie zauważono żadnego samolotu w obrębie sześćdziesięciu mil morskich od miejsca wypadku. Nie odebrano sygnału z nadajnika awaryjnego umożliwiającego lokalizację. Służby poszukiwawczo-ratunkowe Straży Przybrzeżnej i Sił Powietrznych zostały zaalarmowane.

WASZYNGTON, KOLUMBIA

W kilka minut później prezydent, który nadal przebywał z generałem Wilburem Curtisem w Gabinetcie Ovalnym, odebrał meldunek od Jeffa Hamptona, że Dog Zero-Jeden Fox zniknął z ekranu radaru FAA*. Samolot uległ poważnej awarii i w przeciągu niecałych dwóch minut spadł do oceanu z wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp.

Prezydent usiłował opanować drżenie ręki, gdy odkładał słuchawkę telefonu na widełki. Spojrzał na Curtisa.

— Dog Zero-Jeden Fox zniknął. Przypuszczalnie zatonął sto trzydzieści mil od zachodniego wybrzeża.

Curtis milczał. Wyraźnie wstrząśnięty prezydent podjął decyzję:

— Jak długo Excalibury mogą pozostać w strefie krążenia, generale?

Curtis spojrział na zegarek i obliczył szybko w pamięci.

— Muszą ją opuścić przed upływem sześciu godzin, aby wystarczyło im paliwa do Eielson, przy zachowaniu niezbędnej rezerwy. W pierwszej strefie krążenia będą mogli uzupełnić paliwo z cysterny, ale nie wolno im przekroczyć sześciu godzin.

— Proszę im polecić, by odlecieli ze strefy krążenia za pięć godzin — powiedział prezydent. — Zdaję sobie sprawę, że trzymanie ich tam nie ma już wielkiego sensu. Byliby łatwym celem, gdyby spróbowali jakichkolwiek działań, ale przynajmniej Rosjanie stracą trochę nerwów, obserwując dwa bombowce zachodzące ich od opłotków. Moglibyśmy nawet zablokować, że Excalibury mają więcej paliwa i większą siłę ognia, niż przypuszczają. Może skłoniłoby to Rosjan do prowadzenia prawdziwych negocjacji...

Głos prezydenta brzmiał głucho. Kto mógłby go winić? Myślał wciąż o Old Dogu, o innym planie, który się nie powiódł, i o załodze, która nigdy nie powróci.

Obrócił się wraz z fotelem i wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w szary, śnieżny krajobraz za oknami Gabinetu Ovalnego.

NA POKŁADZIE OLD DOGA

Dave Luger sprawdził zegar głównego komputera na monitorze. Niesamowite, pomyślał. Przyglądanie się, jak maszyna zajmuje się nawigacją zamiast niego. Rozgrywanie wielkiej „gry komputerowej” w brzuchu B-52, gdzieś nad północnym Pacyfikiem.

No, może nie tak znowu „gdzieś”. Mając włączony i działający satelitarny system nawigacyjny GPS, wiedział z dokładnością sześćdziesięciu stóp, gdzie się znajdują w danym momencie — GPS dokonywał pomiaru pozycji w ciągu jednej setnej sekundy.

Luger zatkał nos i dmuchnął, by wyrównać ciśnienie w uszach po karkołomnym zejściu w dół, dzięki któremu zniknęli z ekranu radaru centrum w Seattle.

— Generale?

— Melduj, Dave.

— Piętnaście minut do punktu decyzyjnego. — Luger przywołał szybko odczyt poziomu paliwa na monitorze swego komputera. — Jesteśmy dokładnie na uaktualnionej przez pana krzywej zużycia paliwa, pułkownika.

— Zgadza się — potwierdził Ormack.

— A więc nie gubimy paliwa? — upewniła się Wendy.

— Nie — odparł Ormack. — Wreszcie jakaś pomyślna wiadomość.

— No, czas pomówić i o złych — powiedział Elliott. — Właśnie mamy je przed oczami. Według Patricka i Dave'a, a także zgodnie z informacjami otrzymanymi dzięki uprzejmości dwunastu satelitów nawigacyjnych, z którymi są sprzężone nasze komputery, jesteśmy oddaleni o piętnaście minut od głównego punktu decyzyjnego. Zostało nam około trzydziestu czterech tysięcy funtów paliwa. To przez ten pozorowany upadek, który przeraził wszystkich kontrolerów ruchu lotniczego, oraz godzinne krążenie pięćset stóp nad wodą paliwo niedługo się wyczerpie. Z punktu decyzyjnego możemy wziąć kurs na Bazę Sił Powietrznych Elmendorf w Anchorage i zatankować około piętnastu tysięcy funtów paliwa. Jest to minimalna ilość potrzebna do wylądowania zwykłemu B-52. Naszym potworem z plastyku możemy przelecieć nad Elmendorf i przy sprzyjającym wietrze oraz łucie szczęścia skrócić znów w kierunku Bazy Sił Powietrznych Eielson w Fairbanks, mając wciąż rezerwę około trzech tysięcy funtów. Taka jest mniej więcej standardowa tolerancja naszych wskaźników poziomu paliwa — w Eielson możemy mieć równie dobrze jeszcze sześć tysięcy...

— Albo zero — odpowiedziała Angelina.

— Zgadza się. Ale ten plan daje nam dwa lotniska, na które możemy sprowadzić tego

potwora.

— Czy mamy inne wyjście? — spytał McLanahan.

— Tak, Patricku. Możemy lecieć dalej zaplanowaną trasą. Jedynym dostępnym lotniskiem ze średnio znośnym pasem startowym jest Shemya wchodząca w skład Aleutów. Rezerwa paliwa nad Shemyą będzie wynosiła około pięciu tysięcy funtów.

— Pięć tysięcy funtów? — powtórzyła Wendy. — To bardzo mała rezerwa. Czy są...

— Są w pobliżu inne lotniska — powiedział Elliott, przewidując jej pytanie. — Wszystkie krótsze i węższe od Shemyi, ale raczej jesteśmy w stanie wylądować na każdym z nich. Wspominam o tej możliwości, ponieważ Shemya ma dwie rzeczy, które możemy wykorzystać — całkowicie odizolowany pas startowy i paliwo. Odosobnienie jest dla nas ważne, jeśli w ogóle mamy nadzieję utrzymać ten samolot i tę misję w tajemnicy. Musimy podjąć decyzję — wziąć kurs na Elmendorf nic nie ryzykując, ale wiedząc, że będzie to jednocześnie koniec naszej misji lub też polecieć, w kierunku Shemyi, gdzie pozostawiamy sobie kilka niepewnych możliwości tankowania, ale za to szansę kontynuacji zadania.

— Nie widzę tu alternatywy, generale — powiedział Ormack. — Zabrnęliśmy już tak daleko...

Elliott skinął głową, dziękując Ormackowi bez słów. Do załogi zaś powiedział:

— Mówię o tym wszystkim, aby pozostawić każdemu z was furtkę, gdybyście chcieli sprowadzić tego ptaka na ziemię i opuścić samolot.

— Daliśmy już panu odpowiedź, generale — odparła Wendy.

— Wiem i dziękuję wam. Ale mieliście kilka godzin na przemyślenie sprawy. Dlatego ponownie was pytam.

— Ja mam inne pytanie — wtrącił McLanahan. — Jak pańska noga, generale? Nie uda nam się wykonać zadania bez stuprocentowego zaangażowania każdego z nas — to pańskie słowa. Jak wygląda pańskie sto procent, generale?

— Wszystko w porządku. — Elliott odwrócił się i napotkał badawczy wzrok Ormacka.

— Dam sobie radę, John.

— On ma argument, generale. Pan się martwi, że nas w to wciąga — ale czy pan sam ma dość siły?

Elliott milczał przez chwilę, po czym odezwał się przez telefon pokładowy:

— Nie przeczę, że noga mnie piekielnie boli. Gdybym jednak nie uważał, że mogę doprowadzić tę bestię do Kawazni i z powrotem, cóż, powiedziałbym o tym wcześniej, gdy przelatywaliśmy nad Seattle.

Cisza. I głos McLanahana:

— W porządku, panie generale. To mi wystarczy.

— Mnie również — poparła go Angelina.

— I mnie — dodał Luger. Cała załoga wyraziła zgodę.

— A więc dobrze — powiedział Elliott. — Czy ktoś z was ma może jakiś błyskotliwy pomysł, jak zatankować potrzebne do ukończenia zadania paliwo?

W znajdującym się na dolnym pokładzie pomieszczeniu operatorów systemów ofensywnych McLanahan uniósł oba kciuki do góry, dając znak Lugerowi, po czym powiedział przez telefon pokładowy:

— Mam pomysł, panie generale, ale może się on wiązać ze złamaniem pewnych przepisów.

— Jeśli w ogóle istnieje pora na łamanie przepisów, to właśnie teraz. Słuchamy, Patricku.

— Będziemy musieli potem nazywać pana Jeanem Laffitem, ale oto, co wymyśliłem...

Elliott przełączył radio na HF/NADAWANIE i odetchnął głęboko:

— Skybird, Skybird, tu Genesis, mamy awarię. Odbiór.

Starszy kontroler stanowiska dowodzenia pełniący dyżur w malutkim posterunku SAC-u na malutkiej wysepce Shemya, położonej prawie na skraju Aleutów, omal nie rozlał kawy, słysząc głośne wezwanie SOS ze swego głośnika. Rozmowy na częstotliwości HF, a zwłaszcza wezwanie SOS, zdarzały się niezwykle rzadko na tym wysuniętym najdalej na północny zachód skrawku Stanów Zjednoczonych. Złapał pospiesznie flamaster i zanotował czas na szklanym blacie pokrywającym jego biurko.

Ustawił swoje radio na częstotliwość HF i wcisnął guzik mikrofonu.

— Mówi Skybird na częstotliwości HF, tu Icepack. Przeliteruj swój znak i nadaj informację.

— Mamy go — powiedział Elliott przez telefon pokładowy. Jednocześnie nadał na częstotliwości HF: — Przyjąłem, Icepack. Literuję: Golf, Echo, November, Echo, Sierra, India. Sierra. Operacje Specjalne SAC-u. Jesteśmy jeden-osiem-zero mil na wschód-południowy wschód od waszego posterunku. Zgłaszamy stan zagrożenia z powodu zapalenia się dwóch silników i pożaru w kabinie załogi. Potężny wyciek paliwa. Prosimy o umożliwienie awaryjnego tankowania z dyżurnej cysterny lotniska oraz lądowania na Shemyi.

Zastępca kontrolera wpisywał zawzięcie informację do dziennika. Otworzył książkę tajnych znaków wywoławczych.

— Zgadza się — powiedział kontroler do swego kolegi. — Operacje Specjalne z Edwards.

— To co, do cholery, on tutaj robi? — zdziwił się starszy kontroler. — Zadzwoń do

dowódcy. — Przeczytał wydruk prognozy meteo na swoim pulpicie, po czym wrócił znowu do radia.

— Zrozumiałem twoją prośbę, Genesis. Shemya .ma fatalne warunki do lądowania. Czy możesz zmienić kurs na Anchorage? Powtarzam, czy możesz zmienić kurs na Anchorage?

— Niemożliwe, niemożliwe — odparł Elliott. — Wystarczy nam paliwa na niespełna piętnaście minut przy obecnym tempie wycieku. Nie mamy urządzeń nawigacyjnych. Tylko przyrządy magnetyczne. Jesteśmy w stanie tylko z grubsza określić naszą obecną pozycję.

— Zrozumiałem, Genesis — powiedział starszy kontroler i spojrzał na towarzyszącego mu podoficera.

— Mam szefa na linii — zameldował podoficer. Starszy kontroler chwycił słuchawkę.

— Mówi pułkownik Sands.

— Major Falls na stanowisku dowodzenia, panie pułkowniku. Samolot z awarią, zdążający do macierzystej bazy, prosi o dyżurną cysternę.

— Jak daleko stąd się znajduje? — spytał Sands.

— Według jego oceny jakieś sto siedemdziesiąt mil. Mówi, że starczy mu paliwa na niespełna piętnaście minut.

— Cholera, możemy nie zdążyć, nawet jeśli wystartujemy natychmiast. Kto to?

— Używa dziwnego znaku wywoławczego — powiedział Falls. — Genesis. To znak zarezerwowany dla Operacji Specjalnych z Edwards.

Sands zaklął szeptem. Operacje specjalne. Eksperymentalna lub ściśle tajna misja. Ale z Edwards?

— Jak wygląda pas startowy?

— Śliski jak krowie gówno, panie pułkowniku. Odczyt warunków lądowania RCR* około dziesięciu. Pięćdziesiąt stóp po obu stronach linii środkowej nie jest oblodzone do około dwunastu RCR. Drogi do kołowania — około ośmiu RCR.

— Stan cysterny dyżurnej?

— Sprawna, gotowa do akcji — powiedział Falls, spoglądając na swego asystenta. Podoficer zakrył dłonią mikrofon telefonu, przez który rozmawiał.

— Ściągamy właśnie załogę na płytę — zameldował podoficer.

— Niech natychmiast stawia się przy swoim samolocie — polecił Falls. A do swego telefonicznego rozmówcy powiedział: — Załogi przy samolotach, panie pułkowniku.

— Niech Genesis poda swój kod autoryzacji — nakazał Sands. — Jadę do was.

— Przyjąłem. — Falls otworzył książkę kodów łączności, sprawdził, że data i godzina zostały wpisane prawidłowo, i nadał przez radio: — Genesis, tu kontrola Icepack. Podajcie

kod autoryzacji Alfa Echo.

Elliott odwrócił się do Ormacka.

— Chcą, bym podał kod autoryzacji.

— Nie mamy żadnych dokumentów kodowych.

— Nie mogę podać kodu — odpowiedział szybko Elliott.

Falls drgnął. Co się, u diabła, dzieje?

— Genesis, nie możemy wysłać wam dyżurnej cysterny bez autoryzacji.

— Icepack, tu starszy kontroler na pokładzie Genesis — nadał Elliott na częstotliwości HF.

Pomieszczenie łączności zostało poważnie uszkodzone. Połowa załogi nie żyje lub jest ranna.

Nie mamy możliwości autoryzacji.

W kilka minut później pułkownik Sands oswobodził swoje pulchne ciało z futrzanej kurtki.

— Sytuacja?

— Powiedział, że nie może podać kodu autoryzacji wskutek pożaru w kabinie załogi i centrum łączności, a także obrażeń cielesnych. Samolotem dowodzi teraz chyba starszy kontroler.

— Starszy kontroler? Centrum łączności? To wygląda na samolot wczesnego ostrzegania AWACS lub EC-135 — ale czy posługują się znakiem wywoławczym Edwards? — Sands wziął do ręki mikrofon.

— Genesis, tu Icepack. Odbiór. — Pochylił się nad głośnikiem.

— Icepack, potrzebujemy pilnie waszej dyżurnej cysterny.

Sands szukał gorączkowo w pamięci.

— Głos. Poznaję ten głos. Skąd ja go znam? — Wcisnął guzik mikrofonu. — Genesis, podaj typ samolotu i liczbę osób na pokładzie.

— Niemożliwe, Icepack.

— Skurwysyn! — zaklął Sands półgłosem. — Co się dzieje? Cholera... ten głos! — Myślał intensywnie... — Połącz się z centrum w Anchorage, dowiedz się, skąd jest ten facet.

— Już to zrobiłem, pułkowniku — odpowiedział podoficer. — Nic. Nie nadał kodu identyfikacyjnego. Brak nawet kontaktu radarowego. Do tej pory był poza zasięgiem strefy rozpoznawczej obrony przeciwlotniczej.

— W takim razie olej go — powiedział Sands. — To brzmi zbyt podejrzanie. Obrona przeciwlotnicza poddaje nas próbie, czy co?

Falls pokręcił głową. Sands skrzywił się i włączył mikrofon:

— Genesis, nie mogę zezwolić na wysłanie cysterny bez odpowiedniej autoryzacji. Jeśli nie dostaniemy twego kodu, za chwilę będziesz musiał wracać wpław.

Elliott wyglądał na całkowicie zaprzątniętego swymi myślami, gdy Ormack spytał:

— Co teraz zrobimy? Mamy tylko...

— Sands! — wykrzyknął nagle Elliott. — Eddie Sands! Ten cholerny skurwysyn! Usadzili mu tyłek na Shemyi! — Włączył mikrofon. — Nie możemy podać kodu autoryzacji... szumowino.

Sands zbladł, jak gdyby zobaczył ducha. Powoli przysunął mikrofon do ust.

Falls wlepił wzrok w swego dowódcę, jakby ten został spoliczkowany. Sands wcisnął ze złością guzik mikrofonu.

— Powtórz to, Genesis.

— Przecież słyszałeś, oślizgła glisto — odpalił natychmiast Elliott. — Nie możemy podać kodu autoryzacji.

Ku ogromnemu zdziwieniu Fallsa coś na kształt uśmiechu zaczęło pojawiać się na twarzy Sandsa.

— Genesis — powiedział ostrożnie Sands. Uśmiech na jego twarzy stawał się coraz szerszy. — Jeszcze raz. To nie jest test?

— Potwierdzam... worku gówna.

Ormack patrzył na generała mocno zakłopotany.

— Co...?

— Cysterna będzie w powietrzu za pięć minut — poinformował go Elliott, poprawiając się wygodnie w fotelu. — Załoga, przygotować się do tankowania.

Sands rzucił mikrofon na kolana Fallsa.

— Czy załoga dyżurna zgłosiła gotowość do odlotu?

— Nie, panie pułkowniku, ale spodziewam się od nich meldunku w każdej chwili...

— Zadzwoń do zastępcy dowódcy — polecił Sands, zasuważąc zamek błyskawiczny futrzanej kurtki. — Powiedz mu, że przejmuję cały kramik. Umieść mnie w rozkazie startu dla dyżurnej cysterny. Zawiadom Reynoldsa, że będę na pokładzie jego cysterny podczas tankowania awaryjnego

Pucołowaty Sands wypadł za drzwi z szybkością, jakiej jego ludzie nigdy by u niego nie podejrzewali. Podoficer pracujący z Fallssem przyglądał się, skonsternowany, jak pułkownik pędzi korytarzem i wybiega na zewnątrz, nie bacząc na mróz.

— Co jest, u diabła?

— Nie pytaj mnie, Bili — odparł Falls.

— A co ze standardową procedurą postępowania w takich przypadkach?

Falls zastanawiał się przez chwilę.

— Będziemy jej przestrzegać, nawet jeśli pułkownik tego nie robi. Ogłoś stan pogotowia dla eskadry myśliwców przechwytyjących. Powiadom ich, że KC-10 startuje, by przeprowadzić tankowanie awaryjne, ale samolot, który ma obsługiwać, nie został zidentyfikowany. Nie podejrzewamy, że to nieprzyjaciel, niemniej odmówił kontaktu albo z jakiegoś powodu nie jest w stanie go nawiązać z żadną placówką cywilną ani wojskową.

— Zrozumiałem. — Podoficer podniósł słuchawkę i wykręcił numer, najszybciej jak potrafił.

— Pozycja godzina jedenasta, siedemdziesiąt mil — oznajmił McLanahan. Na świeżo wyznaczonej częstotliwości UHF dla operacji tankowania w powietrzu zgłosił: — Icepack, jeden-zero-jeden, Genesis ma kontakt radarowy, odległość siedemdziesiąt mil, u was pozycja godzina druga.

Joe Reynolds, pilot Icepacka 101, cysterny KC-10 z Shemyi, spojrział na pułkownika Sandsa siedzącego na rozkładanym siedzeniu pomiędzy nim a drugim pilotem.

— Nowy głos — zauważył. — Wygląda mi na nawigatora. Sądziłem, że przeżyła tylko jedna osoba?!

— Kontakt radarowy z odległości siedemdziesięciu mil? — zawtórował mu Sands. — Może nie są aż tak bezradni, jak nam usiłują wmówić?

— Kontynuujemy lot? — spytał Reynolds.

— Tak — potwierdził Sands. — Rozpoznaję głos na pokładzie.

Tymczasem na pokładzie Old Doga Ormack meldował generałowi:

— Czynności kontrolne przed spotkaniem z cysterną zakończone. Wszystkie światła zewnętrzne zostały wyłączone.

— Dobrze — powiedział Elliott.

— Mam kontakt na radarze przeszukującym, godzina jedenasta — włączyła się Wendy.

— To cysterna — odezwał się McLanahan.

Wendy sprawdziła widmo częstotliwości na ekranie analizatora widma.

— Potwierdzam.

McLanahan pstryknął przełącznikiem oznakowanym BEACON na tablicy kontrolnej radaru, sprawdzając, czy ręcznie strojona częstotliwość radaru pozostała w uprzednio ustawionej pozycji odpowiadającej zakresowi częstotliwości „beaconu”.

Mała kropka, symbolizująca odbierane przez radar echo cysterny, zmieniła się w sześć ustawionych w jednej linii prostokątów w konfiguracji Jeden-dwa-trzy.

— Mam jego „beacon”. — Przeszedł na kanał łączności między samolotami. — Jeden-Zero-Jeden, odbieram twój „beacon”. Przełącz „beacon” na STANDBY.

Konfiguracja sześciu prostokątów zniknęła.

— Włącz go ponownie. — Prostokąci wróciły na ekran.

— Sprawdzam na odbiorniku powietrze-powietrze systemu nawigacyjnego TACAN* — potwierdził pilot Icepacka 101. Miał na odbiorniku TACAN, który wskazywał odległość pomiędzy dwoma samolotami, powoli się zmniejszył.

— Co pan chce odkryć? — spytał Reynolds siedzącego obok pułkownika.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Sands — ale nie chciałbym tego przepuścić, cokolwiek to jest.

— Ale kim są ci faceci? Wcale mi nie wygląda na to, że mają kłopoty...

Sands pokręcił głową.

— A mnie wygląda na to, że mają kłopot, ale bynajmniej nie ten, który nam zgłosili. Musieliśmy wystartować, ale nie musimy spotkać się z nimi.

— Co więc...

— Jestem tu po to, by zbadać sprawę. Zebrać informacje. Złamałbym jednak wiele przepisów pozwalając, by nasz samolot połączył się z nie zidentyfikowaną maszyną. Gdybyśmy odmówili tankowania, tamci zniknęliby na zawsze. Nie, my polecimy w ich kierunku, ale, zamiast wykonania zwrotu do połączenia, przelecimy tuż obok tego dowcipnisia.

— A potem?

— Potem pozwolimy Dziewiętnastce odeskortować ich z powrotem do Shemyi.

— Myśliwce przechwytyjące? Są w powietrzu?

— O ile znam Fallsa, to była pierwsza rzecz, jaką zrobił po naszym starcie — powiedział Sands.

— Ale co z ich paliwem? Mówili, że starczy im tylko na piętnaście minut.

— Piętnaście minut minęło właśnie w tej chwili — odparł Sands patrząc na zegarek. — Czy wygląda na to, że ci faceci mają zamiar wpaść do oceanu? Ktoś robi nas w konia, Joe. A na to nikomu nie pozwalam. Ściągniemy ich do bazy, a potem dowiemy się, o co tu, u diabła, chodzi.

— Niespełna sześćdziesiąt mil — zameldował McLanahan, przełączając swój radar ponownie na przeszukiwanie i śledzenie.

— Przyjąłem — powiedział Elliott. — Wendy, Angelina, gotowe?

— Gotowe — odpowiedziała Angelina.

— Wszystko ustawione, panie generale — oznajmiła Wendy — ale nie widzę pozostałych.

— Wierz mi, zaraz nadlecą. Daj im na początek tylko trochę, a kiedy się przełączy, wymaż

ich.

— Tak jest.

— Sześćdziesiąt mil — zawołał McLanahan do cysterny.

Końcową część przekazu zagłuszył wysoki, świdrujący w uszach pisk.

Sands drgnął i sięgnął do pokręta natężenia dźwięku.

— Genesis, wasze radio ma głośne zakłócenia — poinformował Ashley, drugi pilot KC-10.

— Przyjąłem — odpowiedział McLanahan. Jego przekaz został niemal całkowicie zagłuszony. — Przełączam nadajniki. — McLanahan odczekał parę chwil, po czym spytał: — Jak teraz odbierasz, Icepack?

Hałas był niemal nie do wytrzymania.

— Genesis. tu Icepack. Chyba nawaliły twoje urządzenia radionadawcze. Czy możesz przejść na FM albo VHF?

— Przyjąłem — odpowiedział Elliott. — Przełączam się na VHF. Przez telefon pokładowy zaś wydał polecenie: — Dobrze, Wendy. Zamknij im dziób.

Wendy uśmiechnęła się i ustawiła przełącznik nadajnika na maksimum, dokładnie sprawdzając monitor analizatora widma.

— Tu Icepack na częstotliwości VHF do operacji tankowania w powietrzu — powiedział Ashley. — Jaki odbiór?

— Zbyt wysoki, panie generale — zameldowała Wendy, obserwując nowy zakres częstotliwości VHF na swoim ekranie.

— Niżej. Do co najmniej stu dwudziestu megaherców.

— Icepack, zmień na sto dwanaście przecinek piętnaście — powiedział Elliott.

Sands spojrział ze zdumieniem na Ashleya i Reynoldsa, którzy wyglądali na równie skonsternowanych. Ashley zmienił częstotliwość.

— Jak odbierasz, Genesis?

— Głośno i wyraźnie, Icepack — odpowiedział Elliott. Do Wendy zaś przez telefon pokładowy: — W porządku, mam go, Wendy. Załatw im teraz całą resztę.

— Tak jest, panie generale.

— Odległość, Patrick?

— Pięćdziesiąt pięć mil, panie generale. Mam dodatkowy kontakt radarowy, godzina dwunasta, osiemdziesiąt mil, szybko się przesuwa. Miał pan rację.

— Postępuje tylko zgodnie z procedurą — skomentował Ormack.

— Nic się nie zmienił — powiedział Elliott. — Był szczwanym lisem w Akademii i taki

pozostał. Zrozumiałem, Patrick.

— Załatwmy ich, panie generale.

— Icepack, tu Genesis — odezwał się Elliott na częstotliwości VHF.

— Nadawaj, Genesis.

— Eddie, nazywam się Elliott — mówił dalej generał, wpatrując się w mrok. — Znajdujemy się w odległości pięćdziesięciu pięciu mil, u ciebie pozycja godzina pierwsza. Wystartowałeś bez uzyskania właściwego kodu autoryzacji, podejrzewam więc, że nie masz zamiaru spotkać się z nami. Zamierzasz natomiast lecieć w przeciwnym kierunku albo przelecieć obok nas. Tak czy owak byłby to błąd z twojej strony.

— A czemuż to, generale Elliott? — spytał Sands szczerząc zęby w uśmiechu. — Domyśliłem się, że to pan. Co taka szycha SAC-u, jak pan, robi w takiej beznadziejnej dziurze?

— Spotkasz się z nami, pułkowniku...

— A jeśli nie, to co? Co pan sugeruje? W naszym wieku stajemy się nerwowi, prawda? Mam dla pana nowinę, panie generale — zawracamy na Shemyę i mamy zamiar...

— Spójrz na swoją godzinę pierwszą, Icepack.

— Posłuchaj, Elliott...

Podczas gdy Sands zgrywał ważniaka na pokładzie cysterny KC-10, Wendy wyrzuciła cztery wiązki pasków metalowej folii ze skrzydeł Old Doga. Angelina namierzyła swój radar kierujący minami powietrznymi na chmurę metalowej folii za samolotem i gdy odległość zwiększyła się do około mili, odpaliła jedną minę prosto w chmurę.

Z kabiny cysterny KC-10 Extender wyglądało to jak pokaz ogni sztucznych rozpryskujących się na kształt gigantycznych kwiatów, nawet z takiej odległości. Mina powietrzna, trafiając w chmurę pasków, eksplodowała tworząc mieszaninę tysięcy odłamków metalu i ognia. Detonacja spowodowała zapalenie się folii i tego, co pozostało z miny. Ognista chmura rozprzestrzeniła się szybko po wieczornym niebie.

— Odległość do skrzyżowania dwadzieścia dwa, Eddie — powiedział Elliott przez kanał łączności między samolotami. — Skręć w lewo. Albo urządzimy kolejny pokaz fajerwerków na twoim ogonie.

— Przełącz drugie radio z powrotem na stanowisko dowodzenia — poleciał ostro Sands. — Myśliwce będą na częstotliwości trzy-jedenaście. Ściągnij je tu natychmiast. — Wpatrzył się w rozpraszającą się powoli chmurę ognia i zacisnął pięści. — Pieprzę cię, generale — wymamrotał — to ja jestem reżyserem tego przedstawienia.

Gdy Ashley przełączył częstotliwości z zakresu UHF/VHF i wcisnął guzik mikrofonu,

przerażliwy pisk zagłuszył jego słowa.

— Próbuje nadawać na trzy-jedenaście — powiedziała Wendy, obserwując swój ekran analizatora widma.

— Zakłócamy również UHF i VHF — przekazał Elliott do KC-10. — Zapomnij więc o myśliwcach. Zagłuszamy IFF i to samo zrobimy z HF.

— Trzydzieści pięć mil, panie generale — zameldował McLanahan.

— I jeszcze jeden argument, Eddie — powiedział Elliott. — Rozumiem, że macie na pokładzie detektory zagrożeń. Sprawdźcie je. — Namierz się na nich, Patrick — zawołał przez telefon pokładowy.

McLanahan dotknął przełącznika NAPROWADZANIE, nacisnął dźwigienkę AKTYWNY na uchwycie naprowadzającym i ustawił kółeczko kursora na radarowym obrazie cysterny KC-10. Gdy zwolnił dźwigienkę AKTYWNY, kółeczko kursora pozostało na obrazie celu, a na ekranie McLanahana zapaliła się zielona cyfra „jeden”.

— Mam go — zameldował McLanahan.

Na pokładzie KC-10 rezultaty jego poczynań spowodowały nieco dramatyczniejszą sytuację. Na ekranie odbiornika ostrzegającego przed zagrożeniami, który znajdował się na tablicy przyrządów pomiędzy pilotami, samolot Elliotta symbolizowała litera „P” oznaczająca radar przeszukujący.

„Przyjazny” symbol na ekranie radaru ostrzegającego przed zagrożeniem zmienił się nagle w oznaczający nieprzyjaciela symbol w kształcie skrzydeł nietoperza. W chwilę później rozbłysły czerwone litery ALARM RAKIETOWY — to wewnętrzny komputer detektora zagrożeń zinterpretował stały sygnał „cel uchwycony przez radar”, nadawany z nieznanego samolotu, jako sygnał systemu naprowadzającego rakiety — wskazujący, że pocisk jest gotowy do odpalenia.

— Musimy się stąd wydostać — zdenerwował się Ashley.

— Spokojnie, koleś, spokojnie — przyhamował go Reynolds.

— Skąd mamy wiedzieć, kim on jest?

— Ten skurwysyn blefuje — powiedział Reynolds. — Jest cholernie przyjacielski. Nie będzie strzelał. Ustaw IFF na AWARIĘ. Przejdź na częstotliwość alarmową GUARD* i wezwij te myśliwce.

Sands odczekał parę chwil, podczas których Reynolds wydawał polecenie załodze. Rezultaty były łatwe do przewidzenia.

— IFF nawalił — oznajmił Ashley. — Brak wskazania odbioru.

— Silne zakłócanie na wszystkich częstotliwościach awaryjnych — zameldował inżynier

pokładowy.

— Dobrze, dobrze — powiedział Sands. — Sprzęgnij z powrotem autopilota z komputerem wyznaczającym współrzędne spotkania. Wykonaj zakręt.

— Ale nie możemy...

— Owszem, możemy. Albo ktoś nam robi wielki kawał... albo traktuje to całkiem serio. To nie ma znaczenia, i tak postawiliśmy wszystko na jedną kartę — przerwał mu Sands i przeszedł na kanał łączności między samolotami: — W porządku, Genesis, przekonałeś nas. A może powinienem powiedzieć: generale Elliott? Proszę się nie martwić, wykonamy skręt. Czy będziemy musieli słuchać tego bzdurnego sygnału alarmu rakietowego przez cały czas tankowania?

Elliott uśmiechnął się.

— Wyłącz to, Patricku.

McLanahan ustawił przełącznik NAPROWADZANIE w pozycji spoczynkowej, nacisnął klawisz z cyferką 1 na swojej klawiaturze i kółeczko kursora wróciło do pozycji wyjściowej w lewym górnym rogu ekranu radaru.

— Icepack skręca w lewo, kurs dwa-siedem-jeden — zameldował przez radio podenerwowanym tonem Ashley.

Na pokładzie Old Doga McLanahan obserwował przez pewien czas echo radarowe, wreszcie powiedział:

— Chyba w porządku, panie generale, normalna szybkość wykonywania skrętu, prawidłowy kierunek. Powinien zawrócić w odległości dwóch mil przed nami.

— Dobrze. Przełącz radar na daleki zasięg i namierz się na myśliwce. Widzę jego światła.

McLanahan przełączył się z zakresu trzydziestu mil na osiemdziesiąt i natychmiast pojawiło się jasne echo mijające właśnie znacznik na trzydziestu pięciu milach.

— Trzydzieści pięć mil, panie generale. Zbliżają się szybko.

— Genesis ma kontakt wzrokowy — powiedział Ormack.

Wskazał palcem gęstniejący mrok za oknami kabiny.

— A więc, generale — odezwał się Sands — ostatnio słyszałem, że jest pan w jednostce Looking Glass w Omaha. Zawędrował pan daleko od Nebraski, generale. — Milczał przez chwilę, po czym rzekł: — Myślę, że ten alarm rakietowy to tylko błąd, generale. Nie wystrzeliliby pan rakiety w jednego ze swoich. A teraz skończmy z tymi bredniami...

— Jeszcze nie teraz, Eddie — przerwał mu Elliott. — Wiem, że znasz słowo kodowe, które odeśle te F-15 do bazy. Odblokujemy częstotliwość do komunikacji z myśliwcami, abyś mógł przekazać, że nie są potrzebne.

— A więc musi pan również wiedzieć, generale, że znam słowo, które spowoduje, że tamci zapaleńcy rozpylą was na atomy.

Elliott popatrzył na Ormaca.

— On ma rację.

— Gra skończona. Jeśli nie powiem nic albo jeśli będziecie w dalszym ciągu zakłócać i nie pozwolicie mi nic powiedzieć — tamtych żadnych krwi chłopców mogą zaswędzić palce i przycisną spust zwalniający prawdziwe pociski Sidewinder. Już teraz może być za późno, skoro zagłuszacie ich kanał łączności między samolotami. Jeśli to tylko rodzaj ćwiczenia, to posunął się pan już za daleko — ale to nie ja jestem w roli proszącego, lecz pan. No i co teraz będzie?

— Powiem ci, Eddie...

— Proszę bardzo, generale, mam mnóstwo paliwa — i siłę ognia.

— A ja znam coś więcej niż słowo kodowe, Eddie, a mianowicie całą historyjkę. Historyjkę o pewnym dowódcy skrzydła na konferencji w Omaha. I o pewnej żonie dowódcy dywizji lotniczej. Opowieść o jasnowłosym dzieciaku we włoskiej rodzinie...

— Niech pan przestanie bredzić, Elliott.

— Moja misja to nie brednie, Sands. Być może nie robię tego całkiem zgodnie z przepisami, ale jestem z Operacji Specjalnych. Po wylądowaniu obaj będziemy musieli opowiedzieć nasze historyjki w kwaterze głównej. — Elliott szybko włączył telefon pokładowy. — Patrick, odległość od myśliwców?

— Dwadzieścia pięć mil.

— A ja znam historyjkę o pewnym w gorącej wodzie kąpanym facecie na Filipinach i pochopnie naciśniętym guziku, która mogłaby niejednego zainteresować — odbił piłeczkę Sands.

— Jadłem obiad z sekretarzem stanu dwa tygodnie temu, Eddie. W czasie, gdy ty odłupywałeś grudki lodu ze swojej bielizny, ja opowiedziałem mu tę historię. Postawił mi później martini. Posłuchaj, tracimy czas, nie życzę sobie, by te myśliwce zbliżyły się bardziej. — Przez telefon pokładowy spytał: — Czy przestałaś zakłócać częstotliwość dla myśliwców?

— Tak, panie generale — odpowiedziała Wendy. — Myśliwce przechwytyjące proszą swoje stanowisko dowodzenia o zezwolenie na włączenie się do akcji.

— Możesz mówić, Eddie — polecił Elliott.

— Lot Cutlass, tu Alfa na pokładzie Icepacka jeden Zero-Jeden na kanale dziewiątym.

— Odbieram cię głośno i wyraźnie, Icepack — odpowiedział pilot F-15 Eagle prowadzący szyk dwóch samolotów. — Mamy kontakt wzrokowy z tobą, ale nie z twoim odbiorcą. Silne

zakłócanie na wszystkich częstotliwościach. Proszę o zezwolenie dołączenia do skrzydła odbiorcy dla jednoznacznej identyfikacji. .

— Nie zezwalam — odparł Sands. — Pozytywna identyfikacja przeprowadzona. Stan — Red Aurora. Red Aurora. Skończyłem, Alfa.

— Patrick?

— Myśliwce skręcają — zameldował McLanahan. — Kierują się z powrotem w stronę wybrzeża.

— Zagłuszaj UHF, Wendy — polecił Elliott. Jego rozkaz został natychmiast potwierdzony przez głośnie zakłócenia w odbiorniku, przez który prowadził nasłuch.

— To nie będzie konieczne, Genesis — powiedział Sands na częstotliwości VHF, dla operacji tankowania w powietrzu. — Będę z wami współpracował, do cholery, ale myśliwce i moi chłopcy na stanowisku dowodzenia zdenerwują się, jeśli nie będą mogli z nami rozmawiać.

— Polegam na tobie, Eddie.

— To niech pan odblokuje zakres i ręka na zgodę, generale.

— Wendy, odblokuj znów trzy-jedenaście — polecił Elliott. — Pozostałe częstotliwości zostaw bez zmiany.

Sands odłączył swoje przewody tlenowe oraz telefonu pokładowego i udał się do gondoli do tankowania w powietrzu, znajdującej się w tylnej części zmodyfikowanego DC10. Przypiął się pasami do długiej, szerokiej ławy operatora tankowania i wpatrzył się w okno pod stopami.

— Jaka odległość? — spytał operatora.

— Prawie dwie mile. Wciąż go nie widzę. A przecież nie jest jeszcze całkiem ciemno.

— Genesis, tu Icepack. Albo jesteście bardzo mali, albo ciemni, a może i jedno, i drugie. Włączcie z powrotem światła, w przeciwnym razie zbyt dużo czasu zajmie nam połączenie z wami.

— Kto jest w gondoli, Eddie? — spytał Elliott.

— Tylko ja i operator.

— Żadnych dodatkowych obserwatorów, Eddie. Zgoda?

— Czuję, że wcale nie chcę tego oglądać — mruknął Sands. — Dobra, zgoda. Popatrzmy, o co to całe zamieszanie.

— Włączają światła.

Światła ujawniły wielkość tajemniczego samolotu, ale nic poza tym. Wyglądało to, jakby grupa gwiazd leciała w szyku za cysterną KC-10.

— Będą nam również potrzebne światła kadłuba, Genesis — powiedział operator. — Widzę wasze światło otworu paliwowego, ale muszę też ocenić azymut i elewację.

— Włącz światła kadłuba, John — powiedział Elliott. Zajął się regulacją ustawienia swego fotela, by mieć jak najlepszą pozycję podczas tankowania.

— Przyjąłem — potwierdził Ormack. W tym właśnie momencie Old Dog zaczął przechylać się na prawe skrzydło. Ormack nacisnął pedał lewego steru kierunku i spojrzał niespokojnie na Elliotta.

— Generale, dobrze się pan czuje?

— Oczywiście, panuję nad samolotem.

— Odchylam się w prawo. Proszę wyrównać samolot. Niech pan popuści prawy pedał.

Old Dog powoli wyrównał lot.

— Przejmujesz tankowanie, John — powiedział Elliott, popuszczając uchwyt drążka sterowego. Jego głowa spoczywała na podglówku fotela, pierś unosiła się w ciężkim oddechu.

— Ale...

— Sprawdzam stery — wyjaśnił Elliott Ormackowi. — Nacisnąłem prawy pedał i nic, nacisnąłem mocniej. W dalszym ciągu nic nie czuję... Myślę, że straciłem prawą nogę.

— Cholera! — zaklął Ormack, ujmując drążek i stawiając stopy na pedałach steru kierunku. — Przejmuję samolot.

— Potwierdzam, przejmuje samolot — odpowiedział Elliott, potrząsając lekko drążkiem. Ormack potwierdził takim samym gestem przejęcie sterów. Elliott przesunął dłoń w dół swojej prawej nogi, musnął lekko łydkę. Parę godzin temu takie badanie powodowało ból nie do zniesienia. A teraz — nic. Wiedział, że palec przyciska mięsień poniżej kolana, ale nie czuł kompletnie nic. Było to niesamowite wrażenie — jakby dotykał kawałka salami...

Ormack patrzył z troską na potężną cysternę KC-10 mającą w ciemności przed nimi, z wyciężnikiem przygotowanym do tankowania.

— Generale — powiedział zdecydowanym tonem — przerywam tę misję..

— Nie!

— McLanahan miał rację. To wszystko nie jest warte pańskiej nogi...

— Uzupełnij paliwo, pułkowniku — przerwał mu Elliott stanowczo. — Nie wycofamy się teraz.

— Ależ generale, ja...

— Powiedziałem: uzupełnij paliwo! Dwie osoby już oddały życie za tę misję. — Ujął drążek sterowy, potrząsnął nim gniewnie i położył dłoń w rękawiczce z powrotem na manetce gazu. — I jeśli będę zmuszony zatankować samolot bez twojej pomocy — zrobię to!

Zrozumiałeś?

Ormack powoli skinął głową.

— W porządku, panie generale, w porządku... Przejmuję samolot... ale potrzebuję pilota. Stuprocentowego, gotowego do walki pilota. Czy go mam?

— Cóż, moja prawa łydka jest sprawna w jakichś dwudziestu pięciu procentach, John. Ale na pilota, który przypadkowo jest również dowódcą Old Doga, możesz liczyć w stu procentach. Tankuj.

Ormack jeszcze raz skinął głową, poddając się i odczytał wskazanie odległości w powietrzu podawane przez system nawigacyjny TACAN.

— Icepack, Genesis zbliża się na odległość pół mili.

Operator tankowania ujął drążek sterujący wysięgnika do tankowania i wpatrzył się w ciemność poniżej. Światła pozycyjne skrzydeł tajemniczego odbiorcy były ledwo widoczne, podobnie światła kadłuba i górne pozycyjne. Światło odsuwanej klapy tańczyło niesamowicie w mroku — musiał zaniknąć oczy, by uniknąć „przechyłu”, utraty równowagi spowodowanej przesuwaniem się światła bez korelacji z linią horyzontu. Owszem, światła były widoczne, ale nawet z odległości pół mili nie mógł rozróżnić sylwetki samolotu.

— Genesis — powiedział operator — widzę wasze światła, ale nie mam wystarczającego odniesienia pionowego, poziomego oraz głębi, aby wezwać was na pozycję wyjściową przed tankowaniem.

— Za to my widzimy cię dobrze — odparł Ormack. — Daj nam zezwolenie na ustawienie się w pozycji wyjściowej przed tankowaniem, a rozpoczniemy odliczanie odległości do połączenia. Jeśli masz trudności z zobaczeniem nas... — popatrzył na Elliotta.

— Proszę o zezwolenie na ustawienie się w pozycji przed tankowaniem — powtórzył generał, uprzedzając Ormacka. — Operator, opuść wysięgnik. Ustawimy się pod nim, żebyście mogli się do nas podłączyć.

— Przyjąłem, Genesis — powiedział z niepokojem w głosie operator. — Zezwalam na ustawienie się w pozycji przed tankowaniem, ale zachowajcie ostrożność.

— Przyjąłem. Ustawiamy się.

Sands wraz z operatorem patrzyli z wyraźną obawą na przybliżające się światła odsuwanej klapy.

— Sto stóp — zameldował Ormack, gdy wreszcie był pewien, że prawidłowo ocenia odległość. Przedtem ledwie udało mu się nakierować grzbiet Old Doga w stronę oświetlenia końcówki wysięgnika.

— Wciąż nie... — operator zamilkł. Przez moment zaczął rozróżniać obiekt przesuwający

się pod szerokim oknem jego gondoli. Na podstawie tego cienia usiłował wywnioskować, jak wygląda cały samolot, okazało się to jednak niemożliwe.

— Pozycja przed tankowaniem ustabilizowana — zameldował Ormack.

— Co? — wykrzyknął operator.

Nie widział pod sobą nic poza pojedynczym światłem. Wszystko inne zlewało się całkowicie z tłem. Pozycja przed tankowaniem dla większości dużych samolotów wynosiła dwadzieścia stóp z tyłu oraz dziesięć stóp od miejsca w gondoli, które zajmowali z pułkownikiem Sandsem. Wpatrywali się w ciemność pod wysięgnikiem i widzieli jedynie małe światełko na jego końcu. W coraz głębszym półmroku Masonowi wydawało się, że być może rozróżnia zarys dużego samolotu, ale równie dobrze mogła mu płatać figle jego wyobraźnia.

— Genesis, zamierzam włączyć dolne światła kadłuba.

— Kto jest w gondoli? — spytał szybko Elliott.

— Pułkownik Sands i sierżant Mason — odpowiedział operator.

— W porządku, Eddie, upewnij się, czy nie ma tam nikogo więcej.

— Cholera, nie jestem pewien, czy ja chcę tu być.

— Zezwalam na włączenie dolnych świateł kadłuba — powiedział Ormack, ujmując mocno uchwyt drążka sterowego. Ponad nimi operator sięgnął do przełącznika i przekręcił go.

I nagle zobaczył. Pod oknami gondoli rozciągał się długi, spiczasty nos. Przy samej krawędzi okna majaczył zarys jedenastu pocisków na szarych wspornikach. W świetle padającym bezpośrednio spod brzucha cysterny była widoczna przednia część kadłuba, natomiast reszta samolotu, poczynając od nasady skrzydeł, ginęła w mroku. Przez nachylone pod ostrym kątem grube szyby można było z trudem dostrzec obu pilotów bez hełmów i masek tlenowych.

— Co do... — słowa ugrzęzły operatorowi w krtani.

— Masz go? — spytał Reynolds przez telefon pokładowy. — Co to jest?

— To jest... to jest B-52... tak sędzę — wyjąkał Mason.

— Tak sądzisz? Co to jest, do cholery?

— To pieprzony statek kosmiczny. To...

— Potwierdzam, Icepack — powtórzył Ormack. — Pozycja przed tankowaniem ustabilizowana, jesteśmy gotowi.

— Elliott, czym pan, u diabła, leci? — zapytał Sands.

— Najpierw paliwo, Eddie. Potem przyjdzie czas na pytania.

— Dziesięć do przodu — odezwał się operator. — Zezwalam na ustawienie się w pozycji

do tankowania. Icepack jest gotów.

Ormack po mistrzowsku doprowadził bombowiec. Wieloletnie doświadczenie pozwoliło mu utrzymywać stabilność, tak że operator musiał tylko opuścić wysięgnik parę stóp niżej.

— Genesis melduje o podłączeniu — powiedział Ormack. — Świetna robota!

— Icepack podłączony — odpowiedział Mason.

— Włączył pompy paliwa. — Paliwo odbierane, przecieków nie ma.

— Paliwo odbierane — potwierdził Ormack.

— W porządku, Genesis — odezwał się Sands. — A co z odpowiedzią na moje pytanie?

— Eddie, ty nie chcesz nic wiedzieć — odparł Elliott, patrząc na Johna Ormacka i zdobywając się nawet na uśmiech. Old Dog płynął w powietrzu tak gładko i statecznie, że Ormack z łatwością utrzymywał ogromny bombowiec w niezmiennej pozycji względem cysterny — zdawało się, iż ledwie muska stery. — Nie chcesz wiedzieć ani gdzie byliśmy, ani dokąd lecimy, ani też co robimy.

— Dokąd lecicie? Takie pytanie nie wchodzi w grę, generale. Wie pan, cholera, wiedział pan o moich słowach kodowych, a więc musi pan wiedzieć, że mogę wam dać jedynie tyle paliwa, by wystarczyło na dotarcie do Shemyi lub inne lotnisko awaryjne. Nie mogę zatankować was do pełna.

— Musisz, Eddie. Potrzebujemy tyle paliwa, ile się zmieści w naszych zbiornikach.

— Generale, w ciągu ostatnich dwudziestu minut pogwałciłem więcej przepisów niż przez dwa lata. A to bardzo dużo, nawet dla mnie. Nie mogę dać aż tyle...

— To już nie jest tankowanie awaryjne z dyżurnej cysterny, Eddie — powiedział Elliott. — Teraz jest to nieplanowane, zastępcze tankowanie taktyczne. Nasz plan lotu zakładał wsparcie przez cysterny z Eielson i Fairchild, ale nie wystartowały. Musisz je zastąpić.

— Miał pan dwie cysterny? — zdumiał się Sands. — Po co wam, u diabła, tyle paliwa...?
— Nagle Sands przerwał, spoglądając z niedowierzaniem na Masona. Odpowiedź nasunęła się im obu równocześnie. Rakiety pod dziwnymi skrzydłami B-52...

— Elliott — odezwał się wreszcie Sands — co się dzieje, do cholery?

Cisza.

— Jezu Chryste — wymamrotał Sands; Wlepił wzrok w bombowiec pod swymi stopami, pocierając grzbiet nosa.

— Ashley?

— Obliczam maksymalną ilość paliwa do przetoczenia, panie pułkowniku — odpowiedział drugi pilot, wyciągając swoje instrukcje, mapy i plany lotu.

— Zostaw nam tyle, byśmy mogli wylądować w Anchorage i jeszcze dziesięć tysięcy

rezerwy — polecił Sands drugiemu pilotowi. — Musimy mieć zabezpieczenie w razie pogorszenia warunków na pasie startowym w Shemyi. Niech to szlag trafi!

Pod czujnym okiem Masona na pokładzie KC-10 oraz Elliotta na pokładzie Old Doga tankowanie przebiegało sprawnie. W niespełną godzinę później Ashley dał znak głową mechanikowi pokładowemu, który z kolei połączył się przez telefon pokładowy z gondolą tankowania.

Elliott powiódł wzrokiem po kabinie, sprawdzając raz jeszcze wskaźniki systemu dystrybucji paliwa. Ormack wyłączył uprzednio sterowanie automatyczne, by zapobiec przepływowi paliwa do lewego zbiornika zewnętrznego, który prawdopodobnie uległ uszkodzeniu wraz z końcówką lewego skrzydła w Dreamlandzie, i teraz system wymagał bacznej kontroli.

— Brak wskazania dopływu paliwa — nadał do cysterny.

— Tak jest, Genesis — odpowiedział Ashley. — Zostało nam zaledwie na powrót do Shemyi i jedną próbę podejścia, ewentualną rezygnację z niego i dotarcie do Anchorage z dziesięcioma tysiącami rezerwy.

Elliott podliczył wszystkie wskazania i porównał z licznikiem paliwa. Musi wystarczyć.

— Możesz się odłączyć, Icepack — powiedział Ormack. W gondoli KC-10 Mason po krótkim odliczaniu wykonał manewr. Ormack sięgnął do przełącznika i zasunął klapę.

— Schodzimy do dwa-siedem-zero — zameldował Ormack.

— Eddie, chciałbym podziękować ci za współpracę — powiedział Elliott, gdy Old Dog zaczął oddalać się od cysterny KC-10. — Zapewniam cię, że biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie kłopoty, jakie mogą cię z tego powodu spotkać.

— Liczę na to, generale — odparł Sands. — Domyślam się, że jesteście kwita.

— Zawsze byliśmy.

— Być może... Wie pan, że muszę sporządzić raport. O tankowaniu, zakłócaniu łączności, odpalonej minie. O wszystkim.

— Oczywiście. Bez obrazy, Eddie, ale wiem, że sporządzisz ten raport we właściwy ci sposób — dokładnie, szczegółowo, punkt po punkcie.

— Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś, generale? — spytał Sands przez zęby.

— Nazwy, Eddie — odpowiedział Elliott. — Cysterny, transportowca, dużego samolotu z Anchorage, który przeleciał tędy w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

— Oczywiście, czemu nie? — Sands włączył telefon pokładowy, poprosił drugiego pilota o dokumentację przelotów, następnie powiedział przez radio: — Czemu nie mam ustanowić rekordu wszechczasów w łamaniu przepisów w ciągu jednego wspaniałego dnia?

— „Bag”, cysterna KC-10 zabezpieczająca myśliwce, z Elmendorf do Nellis — zaczął wyliczać Ashley, sprawdzając w swojej książce tajnych znaków wywoławczych. — „Crow”, samolot wczesnego ostrzegania AWACS, z Eielson do Sapporo. „Lantern”, KC-10 z Elmendorf do Kadeny.

— Nie zamierzam pytać, do czego to panu potrzebne — powiedział Sands. — Czy możemy już wracać? Jak daleko jeszcze mamy za wami lecieć w stronę iluzorycznego celu?

— Zezwalam na wykonanie zakrętu, Eddie, i dzięki.

— Do zobaczenia... — Sands patrzył, jak bombowiec roztapia się w ciemności.

— Genesis odmeldowuje się — dobiegł go głos Elliota. I zapadła cisza. Światła ogromnego samolotu zgasły i przestał być w ogóle widoczny.

Operator patrzył ze znużeniem na pułkownika Sandsa.

— Reynolds, czy radio jest już odblokowane?

— Nie — odparł pilot. — Wciąż silne zakłócanie.

— Cóż, nie są w stanie zakłócić łączności satelitarnej — powiedział Sands ze złością. — Prześlij raport po tankowaniu bezpośrednio do SAC-u. Oznacz go jako PILNY. Podaj znak wywoławczy odbiorcy paliwa, kierunek lotu, ładunek, wszystko. Gdy znajdziemy się już poza zasięgiem ich urządzeń zakłócających, poleć stanowisku dowodzenia, aby sporządzili odpisy rozmów radiowych. — Sands wpatrzył się w atramentową ciemność za oknami gondoli. — Zrobię to we „właściwy mi dokładny i szczegółowy sposób”, ty stary skurwysynu! — mruknął pod nosem. — I będę tam, aby zobaczyć, jak się smażyysz na żywym ogniu.

— No więc, jakie masz nowiny? — spytał Elliott Ormacka. Drugi pilot rozmawiał właśnie z McLanahanem przez telefon pokładowy, uzgadniając odległość, wysokość i rozmieszczenie paliwa. Po pięciu minutach oddychania czystym tlenem Elliott zdjął przed chwilą maskę przeciwpożarową i przeprowadził kontrolę wyposażenia kabiny, a następnie tablic głównych bezpieczników i wyłączników, lewej i prawej, zajmujących ściany kabiny ciśnieniowej pomiędzy pomieszczeniami pilota i operatora systemów obronnych. Sprawdzał również, czy nie ma przecieku paliwa przy zaworze do tankowania w powietrzu, znajdującym się w przejściu na górny pokład.

— Woli pan najpierw dobre, czy złe nowiny? — spytał go McLanahan.

— Proszę o te złe.

— Brakuje nam około sześćdziesięciu tysięcy funtów paliwa — powiedział Ormack.

Elliott przyjął to w milczeniu. Wchodziła w grę olbrzymia ilość paliwa...

— Osiemnaście tysięcy straciliśmy wraz z lewym zbiornikiem zewnętrznym — mówił

dalej Ormack. — Podczas tankowania skierowałem część paliwa do lewego zbiornika wewnętrznego oraz do lewych skrzydłowych zbiorników zewnętrznych, ale mają poważny przeciek i zgubiliśmy około piętnastu tysięcy. Resztę przemieściłem do głównych, żeby nie stracić wszystkiego. Możliwe, że mamy również mały przeciek w prawym zbiorniku zewnętrznym, spowodowany kolizją w hangarze. Nasz automatyczny system sterowania paliwem obecnie zda się psu na budę, przynajmniej dopóki prawy odrzucany zbiornik i pozostałe zbiorniki zewnętrzne są puste. Dlatego mamy kłopoty z wyważeniem samolotu — prawe skrzydło jest o dwadzieścia jeden ton cięższe od lewego.

— Niedobór sześćdziesięciu tysięcy funtów — mruknął Elliott. — Paliwo na dwie godziny. Dobra, kolej na dobre wieści.

— Przejrzałem mapy lotnicze, które były w samolocie — oznajmił McLanahan. — Znalazłem kilka korytarzy powietrznych lotnictwa cywilnego z Alaski do Japonii, które przechodzą bardzo blisko półwyspu Kamczatka.

— Jasne — powiedział Elliott, gdy Ormack wyciągnął swój egzemplarz mapy nawigacyjnej dla dużych wysokości. — Rosjanie nie mogą całkowicie zamknąć swojej przestrzeni powietrznej, nawet strefy rozpoznawczej obrony przeciwlotniczej. Żeby jednak skorzystać z tamtego korytarza, musimy mieć plan lotu. Jeśli wyłonimy się nagle nie wiadomo skąd, z pewnością nas przechwycą.

— Nie przechwycą, ponieważ nas nie zobaczą — odezwała się Wendy.

— Jakim cudem mogą nas przeoczyć? — spytał Ormack. — Przecież tamta trasa znajduje się zaledwie... — zmierzył odlegość ołówkiem — ...około stu dwudziestu mil od ich radaru.

— Centrum w Seattle nie zdołało nas zobaczyć, mimo że odległość była ta sama. Przypomnij sobie, nie mieli naszego echa radarowego, jedynie sygnał wysłany przez „beacon” Old Doga. A sądzę, że radar w Seattle jest znacznie lepszy od syberyjskiego. Nasza powłoka z włókien stalowych już się sprawdziła — centrum w Los Angeles nie widziało nas po starcie z Dreamlandu, a przecież znajdowaliśmy się w samym środku ich przestrzeni powietrznej.

— Ale przecież musimy przeskoczyć jakoś ich linię brzegową — wtrącił Ormack. — W jaki sposób to zrobimy?

— Dave i ja bawiliśmy się trochę naszym komputerem tutaj na dole — powiedział McLanahan — i oto, do czego doszliśmy... przy wschodnim wybrzeżu Kamczatki leży wyspa — mniej więcej w połowie drogi na południe od Kawazni i na północ od bazy okrętów podwodnych w Pietropawłowsku. Jest całkiem spora i ma lotnisko — jeśli się nie mylę, jest tam również ośrodek łączności z łodziami podwodnymi.

— Wyspa Beringa — wyjaśnił Dave, wskazując na mapę nawigacyjną. — Otoczona jest

kółkiem, co wygląda jedynie na radar przeszukujący. Brak pokrycia dużych wysokości. — Zajął się ponownie komputerem.

— Wyspa Beringa — podjął McLanahan — znajduje się właśnie w luce pokrycia radarowego dużych wysokości pomiędzy Pietropawłowskiem a lotniskiem w Ossorze w pobliżu Kawazni. To zaledwie kilka mil od korytarza z Anchorage do Japonii. Możemy polecieć w kierunku tej luki, zboczyć na południe od strefy objętej radarem przeszukującym na Wyspie Beringa i jednocześnie cały czas utrzymywać dużą wysokość. Gdy w końcu znajdziemy się w strefie pokrytej radarem operującym na dużych wysokościach, do wybrzeża zostanie nam zaledwie około siedemnastu minut. Przemkniemy się poniżej zasięgu radaru dla dużych wysokości, a następnie wślizgniemy się w góry wzdłuż grzbietu półwyspu Kamczatka. Jeśli nie uchwyci nas radar na Wyspie Beringa, wystarczy, że będziemy lecieć na wysokości pięciu tysięcy stóp, aż dotrzemy do strefy objętej radarem dla małych wysokości w Kawazni.

— Czy obliczyliście, ile paliwa potrzebujemy, by zrealizować taki plan? — spytał Elliott.

— Tak — odpowiedział Luger — i nie jest źle. Jasne, że nie starczy nam na powrót do Eielson. Zdołamy zaledwie przelecieć Cieśninę Beringa, ale powinno nam się udać. — Mam nadzieję, dodał w myśli.

Ormack popatrzył na Elliotta, który wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że nie mamy wielkiego wyboru.

— Jest za to inny problem — powiedział Luger, patrząc znów na monitor. — Komputer nie dysponuje żadnymi danymi o rzeźbie terenu Kamczatki, z wyjątkiem rejonu w promieniu około stu mil od Kawazni. To oznacza, że nad większością pasm górskich będziemy musieli przelecieć ze standardową tolerancją bezpiecznej wysokości lub sterując ręcznie i omijając wszelkie przeszkody terenowe. To piekielna przejażdżka nawet dla tak doświadczonej załogi, jak nasza. Jesteśmy dobrzy, ale czy dość dobrzy, by przez dwie godziny pilotować ręcznie na małej wysokości? Nie mamy szczegółowych map ani danych na temat ukształtowania terenu. Będziemy zmuszeni zdać się na radar przez całą drogę, dopóki komputer nie będzie mógł przejąć sterowania naszą łajbą.

— No cóż — powiedział Elliott — teraz już wiem, po co wzięliśmy ze sobą dwóch nawigatorów. Czy sądzisz, że bez nich rozpracowałbyś wszystko tak szybko, John?

Ormack pokręcił przecząco głową.

— Nie, nawet mając do dyspozycji wszystkie komputery Japonii, panie generale!

— Dobra, mamy paliwo, a teraz mamy również plan. Patrick, Dave, ile czasu zajmie wam wprowadzenie waszego nowego planu lotu do komputera?

W odpowiedzi punkt na wskaźniku kierunku lotu zawirował i ustawił się na pozycji około dwudziestu stopni na lewo od ich obecnego kursu.

— Nowy plan lotu został już wprowadzony i możemy przystąpić do jego realizacji — powiedział Luger.

— Czy nie naruszamy przestrzeni powietrznej Attu? — spytał Elliott.

— Nie — odpowiedział McLanahan, patrząc na mapę oraz na odczyt pozycji na urządzeniu nawigacji satelitarnej. — Wyspa Attu jest na prawo od godziny czwartej, w odległości ponad stu mil. Znajdujemy się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej.

— Przełączam na sterowanie przez komputer — powiedział Elliott. Podłączył autopilota do komputerów nawigacyjnych, a O Id Dog zareagował natychmiast na nowe sygnały przechyłem na lewe skrzydło. Po chwili punkt na wskaźniku kierunku lotu wycentrował się.

— Za mniej więcej godzinę znajdziemy się w strefie pokrycia radarowego dużych wysokości lotniska w Ossorze — zameldował Luger.

— Dobrze. — Elliott chciał odsapnąć, ale zorientował się, że ścisła kurczowo uchwyt drążka sterowego. — Jeśli zostały jeszcze jakieś ostatnie czynności kontrolne, to wykonajmy je teraz, a nie później. Jeśli nie, spróbujmy chwilę odpocząć.

Ormack spojrział na trzygwiazdkowego generała w fotelu obok, wymieniając z nim porozumiewawczy uśmiech.

— No to przynajmniej trochę się zrelaksujmy — poprawił się Elliott.

Luger sprawdził odczyt położenia oraz kursu i zaznaczył punkt na mapie nawigacyjnej.

— Zrelaksować się! Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Niespełna godzina do zejścia na małą wysokość, prawie dwie godziny do celu — celu w cholernej Rosji — a on chce, żebyśmy...

Rzucił okiem na McLanahana. Jego partner, z rękami założonymi na piersi i głową odchyloną na podglówek fotela, chrapał tak głośno, że niemal zagłuszał ryk ośmiu turbodrzutowych silników Old Doga.

— Zdumiewające! — Luger pokręcił z niedowierzaniem głową. — Absolutnie zdumiewające!

— Dziesięć minut do przekroczenia płaszczyzny horyzontu — oznajmił Luger.

McLanahan podłączył się właśnie ponownie do telefonu pokładowego, kiedy dobiegło go ostatnie zdanie komunikatu Dave'a. Wręczył Wendy i Angelinie po dwie puszkę wody oraz zieloną paczuszkę liofilizowanych produktów spożywczych.

— Weźcie jedną puszkę na teraz, a resztę schowajcie do wewnętrznych kieszeni

kamizelek.

Widział, jak obie kobiety rozpięły uprząż spadochronów. Miały już na sobie kamizelki ratunkowe, a zielone woreczki przymocowane były do pasów w talii, musiały więc rozpiąć uprząż i rozsunąć zamki błyskawiczne, by umieścić dodatkowe racje żywnościowe w kieszeniach.

Racje żywnościowe Angeliny wybrzuszyły mocno jej dżinsową kurtkę. Przy pomocy McLanahana zapięła z powrotem uprząż spadochronu i wciągnęła srebrne rękawice ognioodporne, których używała zamiast rękawic lotniczych. Teraz piła z filiżanki gorącą zupę, przygotowaną na dole. Mimo iż Wendy dała jej wcześniej specjalną ocieplaną bieliznę, Angelina wciąż trzęsła się z zimna w górnej kabinie Old Doga.

— Wygodnie? — spytał ją McLanahan. — Mam nadzieję, moje panie, że nie będziecie teraz musiały iść na siusiu?

Angelina odwróciła się do niego.

— Czy rzeczywiście mamy jeść to świństwo na tratwie ratunkowej dryfującej po Pacyfiku? O to chodzi?

McLanahan spojrzał na Wendy — taki scenariusz nigdy nie przyszedł jej do głowy. Odchrząknął i powiedział szybko:

— Lecąc na małej wysokości, samolot nieźle trzęsie i przedmioty mają tendencję do toczenia się po całej kabinie. Nie chcesz chyba później odpinać pasów po to, by szukać swojej wody.

Była to marna wymówka. Mimo to Angelina, spostrzegłszy zaciśnięte usta i wyraz twarzy Wendy, kiwnęła potakująco głową i zajęła się swoim ekwipunkiem. Wendy wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ekran odbiornika ostrzegającego przed zagrożeniami.

— Zastanawiam się, czy się nie oszukujemy... co do naszej wyprawy...

— Taka myśl przemknęła mi przez głowę — powiedział McLanahan. — W tej sprawie nikt nie może mieć absolutnej pewności. Sądzę, że... cóż, musicie posłuchać głosu serca... Wciąż widzę Hala Briggsa usiłującego otworzyć wrota w Dreamlandzie. Ciekaw jestem, czy przeżył...

— Patricku, zapnij pasy — polecił generał przez telefon pokładowy. — Dave, podaj czas.

— Dwie minuty do przekroczenia horyzontu — zameldował Luger.

McLanahan uściśnął ramię Wendy — z nadzieją, że jest to uścisk pocrzepiający — po czym odwrócił się, zszedł na dół i zajął miejsce w fotelu.

— Przekraczamy horyzont — oznajmił Luger, zaznaczając punkt na mapie nawigacyjnej dla dużej wysokości, którą się posługiwał. — Dwieście siedemdziesiąt mil do Kawazni.

— Ekran jest czysty — zameldowała spokojnie Wendy, myśląc wciąż o tym, co powiedział McLanahan. Jej głos odzyskał już swoją zwykłą siłę, jak gdyby rutynowe zajęcia przywróciły jej równowagę. — Jesteśmy wciąż na granicy ich zasięgu. Dzięki naszemu poszyciu z włókien stalowych i innym udoskonaleniom antyradarowym mogą nie odbierać naszego echa, dopóki nie zbliżymy się na odległość około stu mil. Jeśli w ogóle będą je odbierać.

— Czy uda ci się stwierdzić, że wysłedzili nas radarem? — spytał Elliott.

— Zauważę sygnał nadawany przez nich, kiedy do nas dotrze — odpowiedziała. — Po doświadczeniach z radarern w Seattle, z cysterną z Shemyi oraz myśliwcami, które wysłał za nami w pogoń pułkownik Sands, mam rozeznanie, jaka musi być moc sygnału, żeby mogli nas namierzyć. Upprzedzę pana, kiedy będą bliscy złapania echa. Będę również mogła stwierdzić, czy tylko przeszukują obszar, czy przeszli już w tryb śledzenia lub radarowego naprowadzania rakiet.

— I jak dotąd nic?

— Nic. Nawet radaru przeszukującego. Ale przy tej odległości od lądu z falami elektromagnetycznymi dzieją się dziwne rzeczy. Mogli nas spostrzec, zanim jeszcze przekroczyliśmy płaszczyznę ich horyzontu. Równie dobrze mogą nas zobaczyć dopiero wtedy, gdy znajdziemy się zdecydowanie nad horyzontem. Trudno to przewidzieć — odbijając się od jonosfery, fale radaru płatają dziwne figle. Jak powiedziałam, może już nas odkryli.

Elliott sprawdził przełączniki IFF, upewniając się, czy zostały wyłączone.

— Załoga, proszę dokładnie skontrolować swoje urządzenia. Musimy mieć pewność, że niczego nie nadajecie. Radary, radia, urządzenia zakłócające itp. Przełączcie się na telefon pokładowy, by uniknąć przypadkowej rozmowy przez radio.

McLanahan sprawdził dokładnie przełączniki telefonu pokładowego, stwierdził, że światła w przejściu do komory bombowej zostały wyłączone — gdyby musieli otworzyć drzwi komory, nawet tak nikła smuga światła mogłaby łatwo zdradzić położenie bombowca.

— Atak sprawdził — zameldował.

— Jak daleko jesteśmy od...

— Radar przeszukujący na godzinie drugiej — zawołała nagle Wendy. Jej komunikat poderwał McLanahana i Lugera siedzących w pomieszczeniu operatorów systemów ofensywnych.

— No, zaczyna się zabawa! — powiedział Luger. Miał na sobie kurtkę zapiętą pod samą szyję, z podniesionym kołnierzem. Już wcześniej uprzątnął swój wysuwany blat do pracy,

pozostawiając tylko mapę dla dużych wysokości.

— To dziwne — powiedział McLanahan. — Mogą nas teraz widzieć. Szczególne uczucie.

— Pewnie — mruknął Luger. — Do tej pory było to coś w rodzaju wesołej przejażdżki.

— Godzina druga? — spytał Elliott. — Co jest na godzinie drugiej? Lotnisko w Korfie? Anadyr? To nie może być Ossora ani Kawaznia — jeśli oczywiście nie zboczyliśmy z kursu — one powinny być na godzinie dwunastej.

Wendy wpatrywała się z uwagą w ekran analizatora widma.

— Ta częstotliwość nie odpowiada częstotliwości radaru naziemnego, poza tym sygnał od radaru znajdującego się tak daleko musiałby być słabszy.

— Czy nie może to być radar śledzący lasera w Kawazni?

— Nie, ten, który odbieram, ma bardzo niską częstotliwość — stary system. Myślę, że to pokładowy radar przeszukujący samolotu.

— Pokładowy? — zdziwił się Ormack. — Samolot morskiego rozpoznania lub jakiś patrol...

— Albo przypadkowe spotkanie — przerwał mu Elliott. — Poczekajmy, zobaczymy, co...

— Ma nas — zameldowała Wendy, obserwując na ekranie dziewięć częstotliwości sygnału i słuchając go po detekcji. — Przechodzi z modu przeszukiwania na śledzenie. Nie próbuje określić wysokości — jedynie szybciej przeszukuje.

— Jak radar skoordynowany? — spytał McLanahan. — Ten do wykrywania przeszkód terenowych przełączony na wąski sektor?

— To wyjaśniałoby sprawę — powiedziała Wendy. — On nadaje na częstotliwości UHF.

— Możesz ustalić na jakiej? — spytał Elliott.

— Tylko z grubsza. Wysokie UHF. Nie mogę stwierdzić, czy odbiera nasze echo.

— Proszę o zgodę na namierzenie go radarem ofensywnym — odezwał się McLanahan. — Przynajmniej dowiemy się, czy to rzeczywiście samolot.

— Zezwalam — zgodził się Elliott — ale nie dłużej, niż przez kilka sekund.

McLanahan wyregulował antenę dużego radaru ofensywnego tak, aby wskazywała na godzinę drugą, ustawił zakres na sto mil, następnie szybko wcisnął przycisk NADAWANIE. Po wykonaniu przez radar trzech pełnych cykli przeszukiwania wyłączył go.

— Wygląda rzeczywiście na samolot. Godzina druga, sześćdziesiąt mil. Przy nachyleniu anteny dwa stopnie w dół, ocenilibym jego wysokość na trzydzieści trzy tysiące stóp...

W tym momencie usłyszeli:

— Nieznany samolot, dwieście czterdzieści kilometrów na północny wschód od Wysp Komandorskich, odezwij się. — Po chwili nastąpił kolejny komunikat, wyglądający na

powtórzenie prośby, tym razem w języku rosyjskim.

— To my — potwierdził Luger. — Około stu trzydziestu mil na północny wschód od Wyspy Beringa.

— Brzmi tak, jakby nadawał na częstotliwości GUARD — powiedział Ormack, prowadzący nasłuch awaryjnego kanału UHF. — Czy mu odpowiemy?

— Jesteś pewna, że on nas śledzi, Wendy? — spytał Elliott.

— Widzi nas, to pewne, ale nie sądzę, żeby nas śledził. Po prostu ma nas na radarze. Brak sygnału śledzenia jak przy naprowadzaniu.

— W jakiej jesteśmy odległości od korytarza Alaska-Japonia?

Luger porównał swą mapę z odczytem obecnej pozycji na komputerze.

— Mamy do niego zaledwie kilka minut...

— Nieznany samolot, proszę o odpowiedź. Pożalujsta.

— Proszę? — uśmiechnął się generał Elliott. — Mówi jak dzieciak. Grzeczny dzieciak.

Ormack spojrział na niego ze zdziwieniem. — Nie wiedziałeś, że pan zna rosyjski.

— Znam akurat na tyle, aby dać się zestrzelić — powiedział Elliott. Zastanawiał się przez chwilę. — Gdybyśmy spróbowali teraz nurkować na małą wysokość...

— Może nas zgubi, jeśli zrobimy to dostatecznie szybko — potwierdził Ormack. — Powinno się udać.

— Nie sądzę, by utrzymał nas na radarze — dodała Wendy. — To chyba dość prymitywny model; wówczas jednak zamelduje, że zniknęliśmy mu z ekranu. Jest również w kontakcie z kimś na ziemi. Może z Ossorą....

— A może jest skrzydłowym — wtrącił McLanahan. — Albo myśliwcem eskortującym.

— Czy możesz mu zakłócić nadawanie, Wendy? — spytał Elliott.

— Tak, ale wtedy nasze intencje staną się oczywiste.

— W porządku. Wejdziemy w korytarz powietrzny i zobaczymy, co robi ten facet. — Przechylił drążek i bombowiec zareagował ostrym zakrętem w lewo. — Jeśli nas przechwyci, będziemy zmuszeni... spróbować go zestrzelić. Nie mamy wyboru. Angelino, potwierdź.

— Jestem gotowa, panie generale — odpowiedziała sprawdzając wskaźniki gotowości rakiet.

— Przy tym kursie będziemy tuż poza zasięgiem radaru na Wyspie Beringa — zameldował Luger, gdy Old Dog wyszedł ze skrętu.

— Proszę o zezwolenie na użycie tylnego radaru — odezwała się Angelina.

— Na razie nie. — Elliott odetchnął głęboko i przysunawszy mikrofon bliżej ust, przełączył radio na częstotliwość GUARD.

— Wzywam nieznany samolot, tu Lantern cztery-pięć Fox na kanale GUARD. Podaj swój znak wywoławczy. Odbiór.

— Lantern cztery-pięć Fox, tu Besarina dwa-dwa-jeden na kanale GUARD. Słyszę cię głośno i wyraźnie. — Tu radziecki pilot powiedział coś po rosyjsku.

— Besarina dwa-dwa-jeden, słyszę cię, ale nie znam dobrze rosyjskiego. — Elliott milczał przez chwilę, po czym rzekł: — Ja nie goworiu na waszem jazykie choroszo. Powtórz.

— Prostitie. Przepraszam cztery-pięć Fox. Jesteś... jesteś samolotem amerykańskim?

— Da.

— Amierikanskij — w głosie radzieckiego pilota wyczuwało się podniecenie. Następnie, bardziej oficjalnie, zameldował:

— Cztery-pięć Fox, jesteś na pozycji godzina dwunasta, siedemdziesiąt sześć kilometrów. — Króciutka pauza. — Ja... nigdy przedtem nie rozmawiałem z Amerykaninem.

Ormack wypuścił ze świstem powietrze.

— Wygląda na to, że zyskał pan przyjaciela, generale.

— Dwa-dwa-jeden, jesteś radzieckim samolotem wojskowym? — spytał Elliott.

— Tak! — napłynęła entuzjastyczna odpowiedź. — Pay Vay Oh Strany. Dowództwo Dalekowschodnie. — Rozmowa toczyła się w języku rosyjskim, Elliott musiał ją więc przetłumaczyć załozde.

— PVO Strany — powiedział przez telefon pokładowy. — Jednostka obrony przeciwlotniczej. To może być samolot wywiadowczy Bear lub Backfire.

— Albo myśliwiec — dodała Angelina.

— Kuda wy żywiote — przepraszam, pożałujsta. Skąd jesteś, cztery-pięć Fox? — spytał radziecki pilot. — Nowy Jork? Los Angeles? Znam jeszcze San Francisco.

— Butte, Montana — odparł Elliott. Niech to przetrawi.

— Mon-tania? Mój angielski nie jest zbyt dobry. Uczą nas angielskiego, ale nie używamy go często. Jest trudny.

Przerwa, a po chwili:

— Cztery-pięć Fox, połącz się z Kontrolą Obszaru na Komandorach na dwa-sześć-pięć przecinek pięć. Natychmiast. — Nowy głos brzmiał ostro, stanowczo, po wojskowemu.

— Da, towariszcz — odpowiedział Elliott.

— Melduję... melduję, że jesteś na kursie okay, dowódco — powiedział radziecki pilot niskim, niemal konspiracyjnym tonem. — Skorygowałeś prawidłowo. Bardziej się zbliżyć — nie okay. Zrozumiałeś, dowódco?

— Bolszoje spasibo, towariszcz — odparł Elliott. — Dziękuję.

— Pożałujsta. Miło było porozmawiać z tobą po angielsku, Montania.

— Dwa-sześć-pięć przecinek pięć, przyjąłem — powtórzył Elliott. Zanim zmienił kanał nadawania, spytał jeszcze: — Otkuda wy? Skąd jesteś dwa-dwa-jeden?

— Ja iz... ee, jestem z Kewitz — w głosie Rosjanina pobrzmiwał lokalny patriotyzm i duma. — Wielki rybak. Dziękuję za miłą rozmowę, Montania. Do swidanija, mnie było oczeń prijatno!

Ormack pokręcił głową, zmieniając częstotliwość radiową.

— Sympatyczny skurwysyn, no nie?

— Kewitz — powtórzył Elliott. — Tak nazywała się Kawaznia, zanim zbudowano tam laser.

— Dał nam szansę — powiedział Luger. — Założę się, że naniósł na mapę naszą pozycję. Musiał zwrócić na nas uwagę, ponieważ znajdowaliśmy się tak daleko od korytarza powietrznego.

— Nie prowadzi nas już na radarze — zameldowała Wendy.

Elliott przestawił częstotliwość na odbiorniku radiowym numer jeden.

— Nie ma pan zamiaru nawiązać łączności z Komandorami, prawda, generale? — spytał Ormack.

— Nie mamy wyboru, John. Jeśli nie nawiążemy z nimi łączności, nasz przyjaciel bolszewik wróci tutaj i zdmuchnie „Montanię” wraz z jego kolegami. — Włączył mikrofon.

— Kontrola na Komandorach, zgłasza się Lantern cztery-pięć Fox, poziom lotu cztery-pięć-zero.

— Lantern cztery-pięć Fox, przyjąłem, poziom lotu cztery-pięć-zero — odpowiedział zająkliwie po angielsku radziecki kontroler ruchu lotniczego. — Proszę podać kurs.

— Sto szeszdiesiat. Kurs jeden-sześć-zero.

— Przyjąłem, cztery-pięć Fox. Spasibo. — I po krótkiej przerwie: — Nie mam waszego planu lotu, Lantern cztery-pięć Fox.

— Gówno — powiedział Ormack przez telefon pokładowy.

— To wojskowy lot z Alaski do Japonii — przekazał Elliott.

— Brak planu lotu — powtórzył kontroler. — Proszę podać typ samolotu, bazę, z której wystartował, punkt docelowy, rozkład lotu, zapas paliwa, liczbę osób na pokładzie.

— Nie ma mowy — powiedział Ormack. — Nie sporządzałem międzynarodowego planu lotu od wielu lat, ale przynajmniej wiem, że nigdy się go nie podaje radzieckiemu kontrolerowi.

— Owszem, masz rację — potaknął Elliott. — Ten facet próbuje węszyć. — Przez radio

zaś nadał: — Komandory, poprosimy kontrolę lotów nad oceanem, by przekazali ci nasz plan lotu.

— Będę wdzięczny za informację — odpowiedział kontroler.

Nieżyły strzał, Iwan, pomyślał Elliott.

— Dziękuję, Komandory. Zawiadomimy Kadenę. Bądź w pogotowiu.

— Dobrze — odpowiedział chłodnym tonem kontroler. — Lantern cztery-pięć Fox, nadaj sygnał wywoławczy trzy-siedem-siedem-jeden.

— Cholera! — zaklął Ormack. — Teraz żądają identyfikacji.

— Wygląda na to, że kopujemy dla siebie grób — stwierdził Elliott i sięgnąwszy w dół, ustawił czterocyfrowy kod identyfikacji IFF, pozostawiając przełączniki modu pierwszego, drugiego i czwartego oraz kodowania wysokości w pozycji „zero”. Następnie włączył system IFF i nacisnął przycisk IDENTYFIKACJA.

— Cztery-pięć Fox podaje kod.

— Radar zidentyfikowany, Lantern cztery-pięć Fox — odpowiedział radziecki kontroler. — Nie mam odczytu wysokości. Proszę nadać ponownie mod C.

— Nadaję — powiedział Elliott. Włączył mod C kodera wysokości. — Odczytuję wysokość... — Elliott wyłączył koder.

— Odczyt wysokości znowu zniknął, cztery-pięć Fox. Nadaj jeszcze raz, proszę.

Elliott powtórzył jeszcze raz operację z „uszkodzonym” modem C.

— Brak ciągłości transmisji w modzie C, cztery-pięć Fox — powiedział w końcu kontroler na Wyspie Beringa.

— Przyjąłem, trzeba to będzie sprawdzić.

— Nie mogę zezwolić na wejście w przestrzeń powietrzną Pietropawłowska bez sprawnie działającego systemu identyfikacji, cztery-pięć Fox. Wykonaj zakręt o dwadzieścia stopni w lewo, poza radziecką przestrzeń powietrzną. Utrzymaj kurs przez piętnaście minut, potem przejdź na własną nawigację. Oczeń żal. Przykro mi.

— Jak daleko odsunie nas to od korytarza powietrznego? — spytał Elliott Lugera.

— W tej chwili jesteśmy prawie w korytarzu. Znaleźlibyśmy się około siedemdziesięciu-osiemdziesięciu mil na zachód.

Elliott skierował Old Doga na nowy kurs.

— Jak długo jeszcze będziemy w zasięgu radaru na Wyspie Beringa?

— W tej chwili jesteśmy na skraju zasięgu.

— Sygnał radiolokacyjny jest bardzo słaby — wtrąciła Wendy. — Nie mam stuprocentowej pewności, ale raczej nie przypuszczam, żeby odbierali nasze echo.

— Co oznacza... — zaczął Ormack.

— ... że jeśli wyłączymy IFF, znikniemy — dokończył za niego Elliott. — Tak, jak w Seattle. Patrick, w jakiej się znajdujemy odległości od następnego zaplanowanego przez was punktu zwrotu w kierunku lądu?

— Nigdy go nie osiągniemy lecąc tym kursem.

— Przywołaj te dane — polecił Elliott, przejmując sterowanie Old Dogiem. Punkt na wskaźniku kierunku lotu przesunął się prawie o pięćdziesiąt stopni w prawo, pokazując odchylenie od kursu obliczonego przez komputer.

— Około dwudziestu minut — oszacował generał. — To nas plasuje pomiędzy radarami na Wyspie Beringa i w Pietropawłowsku.

— I tak blisko wybrzeża, jak to tylko możliwe między tymi dwoma radarami — dodał McLanahan.

— Nie sądzę, żeby tym na Wyspie Beringa zajęło dużo czasu odkrycie, iż nie mamy żadnego planu lotu — stwierdził Elliott. — Wkrótce zrobi się gorąco. Wendy, czy jesteś pewna, że oni nie mogą nas widzieć?

— Niemal całkowicie.

— Czy zdołasz zakłócić ich radar, gdyby nas zlokalizował?

— Tak, tego jestem pewna. Elliott poprawił uprzęż spadochronu.

— To oznacza, że zbliża się decydująca chwila. Wendy, bądź gotowa do wyłączenia z akcji ich radaru. Za parę sekund rozpoczniemy schodzenie na minimalnej mocy. Gdy wszyscy będą gotowi, zaczniemy stopniowo skręcać w kierunku luki w pokryciu radarowym. Kiedy ci na Wyspie Beringa zauważą, że zesliśmy z kursu, użyjemy komputerów do unikania przeszkód terenowych i zejdziemy gwałtownie do wysokości pięciu tysięcy stóp, następnie wykonamy błyskawiczny zakręt w kierunku luki. Po przekroczeniu linii brzegowej pozostaniemy na pięciu tysiącach, chyba że nawigatorzy zadecydują inaczej. Zdamy się na radar krótkiego zasięgu do unikania przeszkód terenowych, by pozostać tak nisko, jak się da, dopóki nie dotrzemy do obszaru, którego opis znajduje się w pamięci komputera. Wykorzystamy go, gdy będziemy w zasięgu kawaznijskich radarów — lub gdyby wcześniej znalazły nas myśliwce. Są pytania? Dobrze, ile czasu pozostało do luki?

— Około piętnastu minut, panie generale — odpowiedział Luger.

— Nikt nas nie widzi, Wendy?

Wendy wpatrywała się w swój ekran, sprawdzając równocześnie niektóre z odbieranych sygnałów ze swoją tabelą porównawczą częstotliwości.

— Widzę, że szuka nas radar na Wyspie Beringa, ale jestem pewna, że nie odbierają

naszego echa — ich sygnał jest bardzo słaby. Radarów pokładowych nie ma. Jest...

— Co takiego?

— ... jeszcze jeden radar przeszukujący, który pojawia się mniej więcej co kilka minut — dodała z konsternacją w głosie. — Chyba nie radziecki, przynajmniej nie ten, co przedtem. Sygnał jest bardzo słaby i przerywany — jakby ktoś włączał go i wyłączał na chybił trafił.

— Czy może nas widzieć? Potrafiłby nas zlokalizować na małej wysokości?

— Nie sędzę. Sygnał trwa zbyt krótko, bym mogła go przeanalizować, ale' jego nieregularność raczej wyklucza, by zdołali nas zlokalizować, nawet gdyby nas widzieli. To najprawdopodobniej trawler lub statek towarowy z radarem meteorologicznym.

— Dobra — odetchnął Elliott, popuszczając lekko uchwyt drążka sterowego i próbując się rozluźnić. — Wygląda na to, że mamy aż nadto spraw do przemyślenia.

Łagodnie pochylił drążek w prawo i skierował wysmukły nos Old Doga w stronę Związku Radzieckiego.

— No, trzymajcie się...

Szef wywiadu na pokładzie USS Lawrence zbiegł po metalowych schodach do pomieszczenia radiowego, gdzie niewielka grupka oficerów, szeregowców oraz cywilnych techników skupiła się wokół zespołu odbiorników służących do nasłuchu pasm radiowych.

— Co tu się, u diabła, dzieje? — spytał Markham, zdejmując pomarańczową, podbitą futrem, kurtkę.

— Amerykański samolot, komandorze Markham — zameldował pośpiesznie starszy kontroler porucznik marynarki J.G. Beech, odchylając jedną słuchawkę na bok — nie na tyle jednak, by zaprzestać nasłuchu wybranych częstotliwości. W tym momencie podszedł do niego marynarz i podał mu kartkę z krótką notatką. Starszy kontroler przeczytał ją szybko, klnąc cicho pod nosem.

— Co to jest, do cholery, Beech?

— Amerykański samolot, panie komandorze. Nadawał przed chwilą, na UHF na awaryjnym kanale GUARD. — Pokręcił głową. — Samolot znajduje się w radzieckiej przestrzeni powietrznej, sprawdza go radziecki kontroler...

— Amerykański samolot? — Markham wyrwał notatkę z rąk Beecha. — Lantern cztery-pięć Fox — przeczytał. — Lantern. To brzmi znajomo.

— Bo powinno — powiedział Beech. — Prowadziliśmy wczoraj nasłuch czterech Lanternów z Elmendorf wspomagających grupę F4 lecących do Japonii. Te KC-10 miały międzynarodowy plan lotu, uzgodniony wiele dni wcześniej. Poczynając od Lanterna dwa-

jeden do Lanterna dwa-cztery.

— Czy macie plan lotu tego faceta?

— Lantern cztery-pięć Fox nie istnieje — odparł Beech. — Nigdy nie istniał. Nie wystartował z Elmendorf.

— A więc skąd?

— Sprawdzamy jeszcze raz. Ale on nie ma planu lotu. Próbujemy uzyskać potwierdzenie z Elmendorf, ale jak dotąd nie mamy nic.

— Kompletnie nic? — spytał Markham. — Nie znacie nawet typu samolotu? Nic?

— Nic. Przyniosę taśmę z nagraniem na zebranie sztabu, ale nic na niej nie ma. Radziecki kontroler na Wyspie Beringa pytał go o różne szczegóły, gdy szukał jego planu lotu, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi... Oto przebieg wydarzeń, panie komandorze... odrzutowiec PVO Strany z Pietropawłowska namierzył Lantern cztery-pięć Fox radarem pokładowym i skontaktował się z nim na kanale GUARD. Słyszac wezwanie, my również zaczęliśmy szukać go na naszym radarze. Przez cały czas mieliśmy na ekranie odrzutowiec PVO, nie mogliśmy natomiast znaleźć tego drugiego faceta — dopóki radziecki samolot nie podał jego pozycji. Namierzaliśmy go czterdzieści mil na wschód od korytarza powietrznego — i rozpoczęliśmy śledzenie. Wyglądało na to, że cztery-pięć Fox leci w kierunku Rosji...

— W kierunku Rosji? — Markham obrócił się w swym ciemnoszarym fotelu. — Skąd? Nie widzieliśmy go przedtem?

— Wyłonił się jak spod ziemi. Nie zajmowaliśmy się specjalnie poszukiwaniem samolotów, ale powinniśmy byli go dostrzec, zanim zrobił to samolot wywiadowczy PVO Strany.

— Gdzie jest teraz?

— Straciliśmy z nim kontakt natychmiast po jego powrocie do korytarza — odpowiedział Beech. — Wyraźnie kierował się na wschód od Komandorów, a tam mniej więcej sięga nasz radar. Proszę zwrócić uwagę — kiedy uchwyciliśmy go na radarze, nie nadawał sygnałów rozpoznawczych. Gdy nawiązał łączność z Wyspą Beringa, zlecili mu identyfikację w modzie 3, ale jego mod C z odczytem wysokości nie działał. Wobec tego kontroler z Wyspy Beringa wyrzucił go z ich obszaru powietrznego i nakazał ominięcie przestrzeni powietrznej Pietropawłowska.

— Jezu Chryste! — jęknął Markham, ocierając pot z czoła. — Ktoś tu nieźle rozrabia. — Zastanawiał się przez chwilę. — A mod jeden? Dwa? Cztery? — Były to kody identyfikacyjne zastrzeżone wyłącznie dla amerykańskich samolotów wojskowych.

— Żaden z nich — nawet po rozmowie z Wyspą Beringa.

— Samolot z wojskowym znakiem wywoławczym — powiedział Markham — ale bez czegokolwiek poza modem 3, i to dopiero na wezwanie radzieckiego kontrolera.

— Rozmawiał z nim także po rosyjsku, panie komandorze — wtrącił technik przy sąsiedniej konsoli radiowej.

— Po rosyjsku? — zdziwił się Markham. — Co, do cholery, mówił?

— Takie tam grzecznościowe kawałki. Proszę, dziękuję, coś w tym rodzaju. Zapytał pilota samolotu wywiadowczego PVO Strany, skąd pochodzi.

— Czy wyglądało na to, że pilot Lanterna jest Rosjaninem?

— Nie, raczej na to, że kiedyś mówił po rosyjsku, ale to na pewno był Amerykanin. Powiedział nawet, że jest z Butte w Montanie.

— Czy nie złapaliście już więcej kontaktu z tym facetem?

— Tylko radiowy — odparł Beech — ale od pewnego czasu nie rozmawia z Wyspą Beringa, nie mogliśmy więc namierzyć jego aktualnego położenia. — Wskazał ręką na duży, przezroczysty stół w pobliżu centrum łączności, służący do wykreślenia pozycji; razem z Markhamem podeszli do niego.

— Oto nasza pozycja — wyjaśnił Beech szefowi wywiadu, wskazując na mały znaczek statku, przyczepiony do stołu. — Jesteśmy sto pięćdziesiąt mil na północny zachód od Komandorów. Tutaj jest korytarz powietrzny — znajdujemy się niemal dokładnie pod nim. Po raz pierwszy namierzyliśmy nieznany samolot w tym miejscu, na północny zachód od nas i czterdzieści mil na wschód od korytarza — leciał w kierunku na południowy wschód.

Przeciął korytarz, o tutaj, i przez kilka minut trzymał się go, dopóki kontroler z Wyspy Beringa nie przegonił go dalej od przestrzeni powietrznej Pietropawłowska, do której dotarłby za dwadzieścia do trzydziestu minut. Przy ostatnim namierzeniu złapaliśmy go na południe od Komandorów, odrobinę na zachód od trasy. Ale centrum kontroli lotów na Wyspie Beringa potwierdziło jego magnetyczny kurs jeden-cztery-zero, co plasuje go w sporej odległości od przestrzeni powietrznej Pietropawłowska. Nawet gdyby poleciał prosto do Sapporo lub Tokio, nie zbliżyłby się na tyle, by niepokoić kogoś swoją obecnością.

— Czy jest choć w małym stopniu prawdopodobne, że to samolot radziecki? — spytał Markham. — Skąd mamy pewność, że to Amerykanin?

Beech wyglądał na zakłopotanego.

— Cóż... wskazuje na to tylko jego znak wywoławczy.

— Ale powiedziałaś, że Lantern cztery-pięć Fox nie istnieje.

— Nie uzyskaliśmy potwierdzenia z Elmendorf — wyjaśnił Beech. — Nie będą przecież mówić o swoim samolocie na ogólnie dostępnych kanałach radiowych. Wiemy jedynie, że

pod znakiem rozpoznawczym Lantern cztery-pięć Fox nie został zarejestrowany żaden plan lotu. A może go zapodziano albo zgłoszono za późno... To nie jest przyjęte, ale może się zdarzyć. I... cóż, pilot mówił jak Amerykanin, jak wojskowy.

— Te wszystkie spekulacje do niczego nie prowadzą, Beech. — Markham spróbował się uśmiechnąć, jednak bez powodzenia. — A jak wytłumaczymy to? — Wskazał zaznaczoną trasę nieznanego samolotu. — Co on tu, do cholery, robi? Beech wzruszył ramionami.

— Może zabłądził. Naprawdę zabłądził. Może wybrał się na zwiedzanie. Albo na przejażdżkę dla przyjemności. A może jakiś kawalarz ze zmyślonym znakiem wywoławczym bawi się w ciuciubabkę z Rosjanami?

— Dobra, zostawmy to CIA lub Siłom Powietrznym — powiedział Markham. Przeciągnął się. — Wyślij raport o tym facecie do kwatery głównej. Zasugeruj, by uzyskali jednoznaczną identyfikację przed zezwoleniem mu na wejście w japoński obszar powietrzny oraz by marynarka lub DI A przeprowadziły śledztwo po wylądowaniu. — Przesunął rękami po wydatnym brzuchu. — Idę zobaczyć, czy w mesie nie wymyślili, jak spreparować hamburgera, żeby się dał zjeść. Będę na górze.

— Poruczniku Beech! — wykrzyknął nagle jeden z radiooperatorów. — Kanał siedemnasty!

Beech poprawił słuchawki. Po chwili zawołał ponagląjącym tonem:

— Jonesy, puść to przez głośnik! Proszę tego posłuchać, panie komandorze!

Operator pstryknął kilkoma przełącznikami i po chwili pokój wypełniły głośne trzaski. Rozległ się głos mówiący z rosyjskim akcentem:

— Lantern cztery-pięć Fox; tu centrum kontroli lotów na Komandorach na częstotliwości GUARD. Pilne! Naruszasz radziecką przestrzeń powietrzną, Lantern cztery-pięć Fox, natychmiast wykonaj zakret o trzydzieści stopni w lewo i nadaj sygnał wywoławczy. Powtarzam. Zboczyłeś z kursu o jeden-zero-zero kilometrów i naruszasz radziecką przestrzeń powietrzną. Natychmiast wykonaj zakret w lewo o trzydzieści stopni i dokonaj identyfikacji.

Następnie ostrzeżenie zostało powtórzone w języku rosyjskim i kulawym chińskim.

— Sto kilometrów — powtórzył Beech. — Cholera, co ten facet zamierza?

— O cokolwiek mu chodzi — odparł Markham — włączył w niezłe gównno.

— Lantern cztery-pięć Fox, tu centrum kontroli lotów na Komandorach na kanale GUARD. Straciłem z ekranu twój „beacon”. Powtarzam, straciłem z ekranu twój „beacon”. Sprawdź, czy twój IFF jest włączony, i dokonaj natychmiastowej identyfikacji. Naruszyłeś radziecką przestrzeń powietrzną. Natychmiast podaj kod!

— A więc to tak — powiedział Markham. — Zapomnij o ostatnim raporcie. Przygotuj

priorytetowy meldunek dla dowództwa floty na Pacyfiku. Powiadom, że nie zidentyfikowany samolot, przypuszczalnie amerykański samolot wojskowy, naruszył radziecką przestrzeń powietrzną. Podaj naszą pozycję i ostatnią stwierdzoną oraz przewidywaną pozycję samolotu. Nie znamy zamiarów Rosjan, ale spodziewamy się, że będą go szukać, przechwycą i zniszczą. Nie mamy powodu, by wierzyć, że nieznan samolot uległ awarii, ale zaznacz, że może mieć trudności z nawigacją. Więcej szczegółów podamy później. Meldunek zanieś natychmiast do podpisu kapitanowi. I przygotuj raport staremu. Będzie go chciał mieć jak najszybciej. Mam zamiar prosić o pozwolenie na wypuszczenie balonu radiolokacyjnego.

— Czy nie moglibyśmy zbliżyć się bardziej do jego ostatniej stwierdzonej pozycji? — podsunął Markhamowi Beech. — Opłynąć Komandory z drugiej strony? Jeśli ten facet ma kłopoty, moglibyśmy...

— Nie ustaliliśmy nawet, czy ten skurwysyn jest Amerykaninem — przerwał mu Markham. — Może być częścią wymyślonego przez Rosjan planu odciążenia nas od prowadzenia nasłuchu Kawaznii. Wspomnę o tym, Beech, ale nie będę zalecał realizacji tego pomysłu. Poza tym zapędził się już zbyt daleko w obszar Związku Radzieckiego, abyśmy mogli cokolwiek zrobić.

Podczas gdy pracownicy wywiadu pośpiesznie wypełniali jego rozkazy, Markham studiował uważnie stół radiolokacyjny. Stojący przed nim technik wykonał serię obliczeń i nakreślił jeszcze jedną linię, zaznaczając przypuszczalną pozycję nie zidentyfikowanego samolotu.

— Nie wiem, kim jesteś — wymówił Markham szeptem — ale, chłopie, wetknąłeś kij w cholerne mrowisko.

— Przywołaj następny punkt — polecił Elliott. Wyciągniętymi na całą długość rękami pchał ze wszystkich sił do przodu drążek sterowy, kierując Old Doga w dół, w stronę ciemnych wód północnego Pacyfiku. Punkt na wskaźniku kierunku lotu przesunął się o dwadzieścia stopni w prawo. Gdy Old Dog posłusznie rozpoczął zakręt w prawo, by wejść na nowo obliczony przez komputer kierunek, Elliott obrócił pokrętło napędu klap wyważających, znajdujące się obok prawego kolana, by pomóc sobie w utrzymaniu bombowca w pozycji pikującej — przy obecnym tempie opadania i dużej prędkości lotu nos Megafortecy miał tendencją do poddzierania się w górę.

Sięgając do pokrętła, dotknął niechcący kolana. Uczucie mrowienia jak gdyby mu noga ścierpła, którego doznawał jeszcze parę godzin temu — zniknęło. Ból zaciskał się obręczą w połowie jego uda pomiędzy kolaniem a biodrem. Mięsień w jego prawym pośladku zadrgał

mimowolnie. Rozejrzał się i napotkał badawczy wzrok Ormacka.

— Niedobrze?

— Pilnuj swoich cholernych przyrządów, John. Ormack bez przekonania skinął głową.

Elliott przypomniał sobie, jak prawie czterdzieści lat temu doznał urazu kolana, spadając ze stryszku na ojcowskiej farmie. Siedząc w szkolnej bibliotece, odsunięty od drużyny piłkarskiej, przeczytał wszystkie książki na temat urazów kolana, witamin wzmacniających ścięgna, specjalnych ćwiczeń usprawniających mięśnie. Gdy mu zdjęto gips, wykurował osłabione kolano w ciągu zaledwie kilku tygodni, tuż przed sezonem baseballowym. W tym roku jego szkoła wygrała mistrzostwa stanowe. Pamiętał, jaką dumę wtedy odczuwał. Czy będzie równie dumny, gdy się już to wszystko skończy?

— Czy przy tym kursie jesteśmy poza zasięgiem radaru na Wyspie Beringa?

— Powinniśmy być — odpowiedział Luger. — Zatoczmy łuk o promieniu stu dwudziestu mil. — Spojrzał na wysokościomierz na przedniej tablicy przyrządów. Wysokość spadała szybciej, niż zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć, niczym w oszalałym zegarku. Znajdował się niemal w stanie nieważkości, musiał złapać w powietrzu swoje mapy i ołówek, żeby mu nie odfrunęły.

— Mijamy dwadzieścia pięć tysięcy przy schodzeniu do pięciu — zawołał. Przypomniał sobie kabinę treningową majora White'a w Ford, sposób, w jaki White zmuszał swoją ogromną mechaniczną bestię, by tańczyła na dziesięciostopowych hydraulicznych nogach. Tu jednak wszystko działa się naprawdę — i przerastało znacznie marzenia White'a... — Mijamy dwadzieścia tysięcy. — Baza Sił Powietrznych Ford wydawała się bardzo, bardzo odległa.

— W jakiej jesteśmy odległości od obliczonego przez ciebie punktu rozpoczęcia schodzenia, McLanahan? — spytał Ormack.

— Wciąż około sześciu minut.

— Dziwię się — powiedział Luger — że wychwycenie nas zajęło im tyle czasu. Cholera, zboczyliśmy prawie siedemdziesiąt mil z kursu, zanim nas wywołali.

— Zbliżamy się do piętnastu tysięcy — zawołał McLanahan.

— Obydwa kanały wysokościomierza radarowego są gotowe — powtórzył Ormack. — Wysokość samolotu ustawiona na pięć tysięcy stóp. Autopilot sprzężony z wysokościomierzem radarowym.

— Dobrze. — Elliott pstryknął przełącznikami na lewej tablicy obok swego fotela. — W porządku, załoga, teraz posłuchajcie. Upoważniam was od tej chwili do użycia wszelkich systemów obronnych. Angelino, masz zgodę na użycie Scorpionów. Drzwi komory Scorpionów są pod twymi rozkazami. Ograniczcie przekazy radiowe do minimum. Wendy,

dają ci całkowicie wolną rękę, jeśli idzie o zakłócanie. Jeżeli odbierzesz jakiegokolwiek sygnały śledzenia lub naprowadzania i będziesz uważała, że są wystarczająco silne, by nas wyłapać, zakłóć je natychmiast. Patricku, weźmiesz na siebie obserwację myśliwców przechwytyjących. Pozostaw nawigację Dave'owi, chyba żeby potrzebował pomocy w górach. Jeśli Wendy zobaczy jakieś myśliwce i oceni, że usiłują nas wysledzić, upoważniam cię do użycia radaru ofensywnego i namierzenia się na nie.

— Mijamy dziesięć tysięcy, panie generale — zameldował Luger. — Jeszcze tylko pięć tysięcy.

Elliott zaczął powoli ciągnąć do siebie drążek sterowy i popychać manetki do przodu z pozycji minimalnych obrotów do pozycji odpowiadającej prędkości podróżnej. Karkołomna szybkość schodzenia zaczęła się zmniejszać. W miarę jak Luger odliczał wysokość, Elliott zmniejszał tempo opadania, aż wreszcie Old Dog przeszedł w lot poziomy.

— Wysokościomierz radarowy sprzężony — oznajmił Ormack. Pstryknął przełącznikiem, sprawdzając jeszcze raz odczyty. — Oba kanały wysokościomierza są gotowe.

— Włączam pilota automatycznego — oznajmił Elliott, ustawiając odpowiedni przełącznik. Old Dog ani drgnął — dalej leciał na wysokości pięciu tysięcy stóp. Teraz komputer kontroli wysokości, reagujący na sygnały wysokościomierza radarowego, miał pilnować, by Old Dog utrzymywał odległość pięciu tysięcy stóp od powierzchni wody.

— Pilot automatyczny włączony — potwierdził Elliott. — Ustawiam na cztery tysiące dla sprawdzenia systemu. — Przekręcił gałkę sterującą wysokością samolotu o jeden ząbek i Old Dog zaczął łagodnie nurkować, póki nie osiągnął wysokości dokładnie czterech tysięcy stóp ponad poziomem wody.

— Wracam na pięć tysięcy! — Przekręcił gałkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara i ogromny bombowiec powoli wzbił się z powrotem na poprzednią wysokość.

— Czy ktoś nas szuka, Wendy? — spytał Elliott.

— Sygnały radiolokacyjne o bardzo małej mocy. O wiele za słabe, by nas dosięgnąć. Żadnych sygnałów radaru w Pietropawłowsku, natomiast wiele przekazów radiowych na zakresach UHF i VHF.

— Ale założę się, że żaden z nich nie jest na kanale GUARD — powiedział Ormack. — Wiedzą, że możemy prowadzić nasłuch na tym kanale.

— Co oznacza, że nie są już dłużej zainteresowani niesieniem pomocy — dodał Elliott. — Skończyły się miłe pogawędki. — Zastanawiał się przez chwilę. — Ile czasu do wybrzeża, Dave?

— Dwanaście minut — zameldował Luger, patrząc na odczyty komputerowe.

— Tutaj, na dole, czuję się jak na patelni — powiedział Elliott — jakby każdy mógł nas zobaczyć. Nie mogę się doczekać, kiedy znów będę miał pełne ręce roboty.

— Myślę, że lada moment będziemy mieli towarzystwo — odezwał się Ormack. — Spodziewam się, że myśliwce przeczesują obszar w rejonie naszej przypuszczalnej trasy, a następnie wzdłuż linii brzegowej.

— Jak sądzisz, na jakiej będą leciały wysokości? — spytał Elliott.

— Jeśli mają dość myśliwców — a założę się, że mają — będą starali się pokryć obszar od małych do dużych wysokości. Najniższa — pięć tysięcy stóp, choć bardziej prawdopodobne wydaje mi się osiem do dziesięciu tysięcy. Najwyższy pułap może sięgać około trzydziestu tysięcy stóp.

— Jak wygląda sytuacja z paliwem?

— Gorzej niż myślałem — odpowiedział Ormack. — Przetawiałem system dystrybucji paliwa z powrotem na automat. Ostre zejście w dół miało niewielki wpływ na krzywą paliwa, ale część podwozia, którą wlecemy, po prostu nam je wysysa. Mamy przynajmniej pięć tysięcy poniżej uaktualnionej krzywej zużycia.

— Każdy funt paliwa liczy się teraz na wagę złota — stwierdził Elliott. — Patrick, czy możemy obciąć parę punktów waszego planu lotu? Ściąć trochę ten narożnik?

— To ryzykowne — odparł McLanahan, studiując mapę. — Możemy wziąć kurs na następny punkt w planie lotu. Zaoszczędzi nam to około pięciu minut, ale za to zbliży do małego miasteczka na wybrzeżu. Chciałem ominąć to miasto w odległości co najmniej dziesięciu mil. Jeśli zetniemy narożnik, przelecimy prawie nad nim.

— Na dużej wysokości dziesięciminutowe zużycie paliwa to tyle co nic — powiedział Ormack. — Tu na dole...

— Czy to miasto ma system obronny? — spytał Elliott. — Jakies lotniska? Doki marynarki wojennej?

— Nie wiem — odparł McLanahan. — Na mapach, których używam, nie ma takich szczegółów.

— Będziemy zmuszeni zaryzykować — powiedział Elliott. — Im prędzej znajdziemy się nad lądem, tym lepiej się poczuje. Wywołaj następny punkt, Patricku.

McLanahan wystukał nowy numer miejsca przeznaczenia swojej klawiaturze, zweryfikował współrzędne z notatkami naniesionymi ołówkiem na marginesie prowizorycznej mapy i przywołał punkt. Punkt na wskaźniku kierunku w kabinie pilotów przesunął się o trzydzieści stopni w prawo. O Id Dog zareagował natychmiast skretem.

— Linia brzegowa za sześć minut — zameldował Luger.

— Mieście się na baczności — powiedział Elliott. — Mieście się na baczności.

— Postawili na nogi całą cholerną Obronę Przeciwlotniczą wschodniej części ZSRR! — pokręcił głową Beech. Siedział w punkcie dowodzenia sekcji wywiadu. Markham i kapitan Jacobs dowodzący USS Lawrence byli na mostku.

— Ten szaleniec nie mógł wybrać gorszego miejsca, by zniknąć z ekranu radzieckiego radaru — powiedział Markham do Jacobsa. — Akurat między Pietropawłowskiem z siedmioma atomowymi łodziami podwodnymi w schronach na południu i Kawaznia na północy.

— Ale w jaki sposób uciekł ich radarowi? — spytał Jacobs, oglądając przezroczca, które przygotowała grupa Markhama. — Sądziłem, że nawet komar nie prześlizgnie się przez ich strefę pokrycia radarowego.

— Nie mamy pewności, kapitanie. Najprawdopodobniej rozbił się lub lądował przymusowo na morzu. Od samego początku wyglądało na to, że ma problemy z nawigacją.

— Problemy z nawigacją nie kończą się przymusowym lądowaniem na morzu — stwierdził Jacobs. — Jeśli jego awaria była na tyle poważna, że spowodowała problemy z nawigacją lub sterowaniem, dlaczego jej, do diabła, nie zgłosił? Rosjanie pomogliby mu — widziałem już, jak to robili.

— Nie wiem, kapitanie; Może wpadł w panikę. — Markham wstał i wskazał na mapę. — W tym rejonie pokrycie radarowe jest dość skąpe — powiedział na poły do siebie, na poły do Jacobsa. — Pokrycie radaru pietropawłowskiego nie rozciąga się tak daleko na północ, ale radar z Wyspy Beringa pokrywa całą tę lukę.

Jacobs chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu Beech, który zgłosił się przez telefon pokładowy.

— Panie kapitanie, komunikat PVO Strany, kwatery głównej Dowództwa Dalekowschodniego, dla wszystkich jednostek. Otwartym tekstem. Nie zakodowany.

— Dziwię się, że nie ogłosili go również po angielsku — skomentował zgryźliwie Jacobs. — Co mówią?

— Ogłoszono stan alarmu przeciwlotniczego na całym obszarze. Ogólne rozkazy dotyczące wysłania w obszar myśliwców przeszukujących. Całkowite zamknięcie radzieckiej przestrzeni powietrznej.

— Wyślij to — polecił Markham. — Bezpośrednio do CINCPAC* via Kolegium Połączonych Sztabów. Absolutny priorytet.

— Tak jest, panie komandorze.

Jacobs przyjrzał się bliżej mapie, następnie wziął cyrkiel leżący na pulpicie obok fotela.

— Przyjmujemy dwieście pięćdziesiąt mil morskich dla radarów w centralach kontroli lotów, tak?

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiedział Markham. — To standardowy zasięg dla takich radarów. Może być trochę więcej, zależnie od wysokości.

— Ale wokół Wyspy Beringa nie ma dużego kółka — zauważył Jacobs, mierząc linie dookoła Wysp Komandorskich.

— Nie dysponują radarem takim, jak w innych centrach — powiedział Markham z rosnącym podnieceniem — lecz wyłącznie radarem o krótkim zasięgu, penetrującym małe wysokości. Radarem do kontroli podejść.

Jacobs zatoczył cyrklem krąg o promieniu dwustu pięćdziesięciu mil od Pietropawłowska, którego linia zahaczała o kółko odwzorowujące zasięg radaru na Wyspie Beringa.

— Częściowo zachodzą na siebie...

— Ale w tym miejscu można się prześlizgnąć — Markham wskazał na mapę.

— Zachodzą na siebie, ale pokrycie jest wciąż niewystarczające. Jeśli ominie ten krąg...

— ... znajdzie się poza zasięgiem. — Podekscytowany Jacobs stuknął w mapę i spojrzał na Markhama. — I Pietropawłowsk nie wychwyci go, jeśli...

— ... jeśli będzie leciał na małej wysokości. Poniżej pięciu czy sześciu tysięcy stóp zgubi się w radiolokacyjnym szumie tła, nawet nad wodą.

— Chwileczkę — Jacobs podniósł rękę. — Powiedziałeś, że ten facet pilotuje samolot-cysternę.

— Miał znak wywoławczy cysterny — wyjaśnił Markham, zaglądając do swoich notatek. — Lantern cztery-pięć Fox. Z Elmendorf. Nie miał jednak planu lotu, baza Elmendorf doniosła zaś, że cztery-pięć Fox nie istnieje.

— Zatem to nie cysterna. A więc co?

— Zdolny do penetracji na małej wysokości? — mruknął Markham. — Bombowiec?

— Wygląda na to, że dokładnie się orientował, którędy lecieć. Nawet bardzo dokładnie. W przeciwnym razie skąd mógłby wiedzieć o lukach w pokryciu radarowym?

Markham skinął głową.

— Ale... on zaskoczył ten samolot wywiadowczy.

— A może został przyłapany na gorącym uczynku?

Markham pokręcił przecząco głową.

— Zauważony przez samolot wywiadowczy... zmienia szybko kurs, zanim zdążą się domyślić, że kieruje się w stronę lądu...

— W stronę Kawazni — odpowiedział Jacobs.

— Po czym znika znowu, zawracając w poprzednim kierunku.

— Cholera! — wymamrotał Jacobs. — Dlaczego musiało się to przytrafić akurat teraz? I dlaczego właśnie mnie?

— Żaden z naszych kanałów łączności na statku nie jest absolutnie bezpieczny — przypomniał Markham kapitanowi, odgadując jego myśli. — Jeśli ogłosimy alarm...

— Dlaczego, do jasnej cholery, nikt nas nie poinformował, co się dzieje? No cóż, i tak jest już za późno. Całe Dowództwo Dalekowschodnie go poszukuje. Daleko nie zaleci.

— Co w takim razie robimy? Jacobs pokręcił głową.

— Nic. Nie możemy nic zrobić. Ten facet, kimkolwiek jest, może liczyć wyłącznie na siebie.

— Cztery minuty do przekroczenia linii brzegowej — zameldował Luger.

Elliott otrząsnął się z zadumy. Nie spał — naprawdę nie pamiętał, kiedy ostatnio spał — ale znajdował się w stanie jakiegoś odrętwienia od momentu zejścia na małą wysokość. Teraz wpatrywał się jak urzeczony w mglistą lunę świateł niewielkiego rosyjskiego miasteczka, do którego się zbliżali.

Malutkie miasteczko, za małe nawet, by mieć nazwę na ogólnej mapie nawigacyjnej Lugera, wyglądało z daleka jak garstka światełek. Po prostu jasna plamka, od której odchodził świetlisty sznureczek — prawdopodobnie oświetlona droga na przystań dla rybaków albo główna droga wylotowa.

Nie było to pierwsze rosyjskie miasto, które widział, ale to wyglądało inaczej. Niewinnie. Spokojnie. Moskwa, gdy przebywał tam po raz ostatni jako attache wojskowy w latach siedemdziesiątych, wydawała się groźna. Nawet w tym nowym okresie odprężenia odczuwał jej duszną, przytłaczającą atmosferę. Tutaj, ponad mroźnymi, dziewiczymi terenami wschodniej Syberii, wszystko wydawało się inne...

Bezwiednie zacisnął mocniej dłonie na uchwycie drążka sterowego. Widok długiego nosa Old Doga, o kształcie charakterystycznym dla samolotów ponaddźwiękowych, przypomniał mu, gdzie się znajduje, co tutaj robią. Poprawił mikrofon.

— Wendy?

— Nic, panie generale — odpowiedziała nerwowo Wendy, przewidując jego pytanie. Jej głos był pełen napięcia, monotony.

— Odległość od przybrzeżnych gór, Dave?

— Nie ma żadnych pewnych danych, panie generale. Mapa nawigacyjna nie zawiera dokładnych danych ukształtowania terenu półwyspu Kamczatka. Muszę parę razy przeczesać

teren radarem, by określić odległość.

Elliott rozważał przez chwilę słowa Lugera. Nie mógł doczekać się wejścia w bezpieczną osłonę gór, jednakże z drugiej strony...

— W porządku — zezwalam. Ale nie dłużej niż przez kilka sekund.

— Może lepiej ja rzucę okiem — powiedział McLanahan, regulując swój radar ofensywny.
— Mogę przeszukać teren w zasięgu osiemdziesięciu mil, radar Dave'a ma zasięg tylko trzydziestu mil i wąską wiązkę.

— Dobrze — zgodził się Elliott — Dave, czy możesz sporządzić szkic terenu? Przygotować dla nas małą mapę topograficzną?

Luger odmierzył na mapie nawigacyjnej obszar o promieniu osiemdziesięciu mil i zaznaczył go, następnie poluźnił uprząż spadochronu oraz pasy, którymi był przypięty do fotela, i wychylił się możliwie najdalej, by spojrzeć na dziesięciocalowy ekran McLanahana.

— Gotowe.

— No to jedziemy — McLanahan skończył ustawianie parametrów radaru, następnie wcisnął guzik PRZESZUKIWANIE. Ukazał się obraz radarowy wschodniego brzegu Kamczatki — pierwszy obraz radarowy, pomyślał McLanahan, z amerykańskiego bombowca, mającego przeprowadzić atak na instalacje w Związku Radzieckim. Nie myśl o tym, powiedział sam do siebie... — Teren wznosi się łagodnie przez najbliższe czterdzieści mil — oznajmił.

Luger jak szalony nanosił na swą mapę obraz z ekranu radaru.

— Z nawigacją wszystko w porządku — według radaru jesteśmy około trzydziestu mil od wybrzeża, kurs wydaje się prawidłowy na ominięcie miasta.

Powinniśmy je zostawić w odległości dwóch mil po naszej lewej stronie. Wzniesienia zaczynają się za jakieś trzydzieści mil, ale na razie nic nam nie zagraża. Coś wysokiego w odległości sześćdziesięciu mil, ale prawdziwie wysokich wzniesień — brak.

— Co oznacza — wtrącił Ormack — że pięć tysięcy stóp może się okazać wysokością bezpieczną.

— Masz wszystko, co ci było potrzebne, Dave? — spytał McLanahan.

Luger pokręcił głową i nakreślił dokładniej niektóre odległe szczyty na swej prowizorycznej mapie terenu.

— Jeszcze parę sekund... — mruknął. McLanahan skinął głową i dalej wpatrywał się w ekran.

— To miasto wygląda na dość duże — powiedział przez telefon pokładowy, patrząc na monitor i regulując jego jasność oraz wzmocnienie odbiornika, by wyeliminować odbicia od

terenu, po czym odwrócił się do swego partnera.

— Skończyłeś z dużą odległością, Dave?

Luger przytaknął.

— Sprawdzam to miasteczko w odległości trzydziestu mil. Wygląda zabawnie. — Przetawiał regulator zakresu na trzydzieści mil. Małe miasteczko ukazało się w powiększeniu u góry ekranu.

— Pośpiesz się — ostrzegł Elliott.

— Zabawnie? — spytał Ormack. — W jakim sensie?

— Sytuacji ogólnie niewesołej. Naprawdę zły — powiedział McLanahan. Nie odrywał wzroku od powiększonego obrazu przez kilka cykli, następnie szybko wyłączył radar. — Panie generale, musimy zrobić skręt. Natychmiast! Przynajmniej o dwadzieścia stopni w prawo.

— Dlaczego...?

— Okręty — odrzekł McLanahan. — Dok pełen pieprzonych wielkich okrętów...

— Radar przeszukujący na pozycji godzina dwunasta — zawołała nagle Wendy.

Elliott pchnął osiem manetek do przodu i położył Megafortecą ostro na prawe skrzydło.

— Przełącz mnie na COLA*, John — polecił Elliott.

Ormack sięgnął do przełącznika i ustawił go w najniższej pozycji. COLA — tak nazywano komputerowe ustawianie minimalnej wysokości przelotu. Teraz komputer do unikania przeszkód terenowych będzie sam wybierał najmniejszą wysokość, na jakiej może lecieć Megafortecą, uwzględniając błąd wysokościomierza radarowego i komputera, a także pochylenia samolotu w skręcie i elewację terenu.

Poczynając od wstępnie wybranej wysokości stu stóp, komputer będzie systematycznie oceniał sytuację i korygował wysokość przelotu, wybierając możliwie najmniejszą. Z uwagi na sprzężenie komputera do unikania przeszkód terenowych tylko z wysokościomierzem radarowym, nowo obliczona wysokość będzie odpowiadać maksymalnemu błędowi tego wysokościomierza — zaledwie trzydzieści stóp — i jeszcze kilka stóp na zwykłe wahania pilota automatycznego.

Ogromny bombowiec znów zwrócił dziób w kierunku atramentowo-czarnych wód Pacyfiku, następnie po osiągnięciu żądanej wysokości przeszedł z powrotem w lot poziomy. Wążąca prawie cztery tysiące funtów maszyna, wliczając w to ludzi na pokładzie, kierowana tylko słabą wiązką promieni radarowych z brzucha bombowca, leciała teraz zaledwie kilkadziesiąt jardów nad powierzchnią oceanu z szybkością ponad czterystu mil na godzinę.

— Wciąż tylko radar przeszukujący — zameldowała Wendy, pochylona do przodu,

całkiem pochłonięta obserwowaniem monitora przypominającego ekran telewizyjny. — O dużej mocy, ale ciągle w modzie przeszukiwania. Oni...

Dreszcz przebiegł McLanahanowi po plecach, zanim jeszcze Wendy skończyła analizę nowych sygnałów.

— Pojawił się nowy sygnał — zawołała nagle Wendy. — Przeszukuje wąski obszar... włączył się wysokościomierz naziemny... mają nas, panie generale. Odkryli nas, odbieram sygnały radarowe rakiety ziemia-powietrze...

Prezydent podniósł słuchawkę telefonu stojącego obok fotela i usłyszał podniecony, pełen napięcia głos Jeffa Hamptona.

— Powtórz to jeszcze raz, Jeff — powiedział wyrwany z drzemki prezydent, przecierając zaspane oczy i masując zdrętwiałe mięśnie karku. Usiłował się skoncentrować.

— Około piętnastu minut temu ogłoszono alarm przeciwlotniczy w rejonie półwyspu Kamczatka — powtórzył Hampton łapiąc oddech. — W Rosji.

—Wiem, gdzie leży ta cholerna Kamczatka, Jeff. Mów dalej.

— Nie zidentyfikowany samolot, przypuszczalnie amerykański, zniknął z ekranów ich radarów. Tuż przy granicy terytorium. Naruszył ich przestrzeń powietrzną. Miał... miał sygnał wywoławczy podobny do... do tego, którego używał generał Elliott.

— Elliott? Brad Elliott? Mój Boże!

— To nie potwierdzona wiadomość, panie prezydencie, ale...

— Zaraz będę na dole. Zaalarmuj generała Curtisa. Chcę go natychmiast widzieć w Pokoju Operacyjnym.

Prezydent opuścił spiesznie salonik, ubrał się szybko i zszedł na dół.

„Elliott, ty stary diable... przedostałeś się tam! Ty sukinsynu — udało ci się!”

Wendy nie mogła oderwać oczu od ekranu detektora zagrożeń. Miliony watów energii wysyłanej na różnych częstotliwościach i zakresach mocy znajdowały się pod jego kontrolą, a jednak teraz wpatrywała się przerażona w obraz dwóch przerywanych fal. Z dłońmi spoczywającymi płasko na udach nie reagowała nawet na ostry przechył Old Doga podczas zakrętu, który zwykle sprawiał, że chwytala się kurczowo poręczy fotela.

Otrzymane po detekcji sygnały akustyczne dwóch radarów działały hipnotyzujące. Pierwszy radar emitował skrzypiący dźwięk przypominający szczekanie foki. Najpierw był to sygnał przerywany, teraz jednak powtarzał się dwa razy częściej — radar zakresu India przeszukujący wąski obszar, wymierzony prosto w nich. Drugi radar wydawał wysoki pisk,

niczym nie naoliwiony zawias. Sygnalizował obecność wysokościomierza naziemnego, pracującego w zakresie Golf, dostarczającego informacje o wysokości samolotu komputerowi sterującemu pociskami ziemia-powietrze.

Sterowany komputerem analizator zagrożeń wyraźnie nie mógł się zdecydować — zmieniał wciąż symbol z „2” na „3” i z powrotem, sygnalizując pociski strategiczne S.A.-2 lub S.A.-3, na ogół przeznaczone do rażenia celów na dużych wysokościach. Pociski te — w Wietnamie nazywano je „słupami telefonicznymi” — były mało skuteczne w zwalczaniu nisko lecących celów, ale Old Dog znajdował się w strefie śmiertelnego zagrożenia.

— Wszystkie radary na STANDBY — ogłosił Luger, sprawdzając ponownie ustawienie przełączników swoich i McLanahana. Zamrugał ze zdumienia na widok wskazania wysokościomierza ciśnieniowego — pokazywał minus sześćdziesiąt stóp. Sprawdził odczyt wysokościomierza radarowego na monitorze McLanahana i stwierdził, że zatrzymał się na dotychczasowym poziomie stu stóp. Stu stóp! Jeśli komputer sterujący najmniejszą wysokością przelotu nie dokona odpowiedniej korekcji, przy tej wysokości i dwudziestostopniowym kącie nachylenia zaczepią końcówką skrzydła o wodę!

Drżącą ręką przeprowadził kalibrację wysokościomierza ciśnieniowego, aż wreszcie osiągnął odczyt stu stóp. Zdawało mu się, że widzi wodę przesuwającą się pod nimi z szybkością sześciuset stóp na sekundę. Nie pozostało mu nic innego, jak obserwować przyrządy i czekać.

— Wendy?

— Tak?

— Wendy! — krzyknął McLanahan przez telefon pokładowy. — Wendy! Odpowiedz mi!

— Patrick, ja... — zamknęła oczy, koncentrując się na jego głosie. Po chwili je otworzyła, odetchnęła głęboko i zdała sobie ponownie sprawę, że siedzi przed analizatorem zagrożeń.

— Stałe sygnały śledzące — zameldowała znacznie pewniejszym głosem. — Śledzą nas, bez naprowadzenia.

Elliott obserwował nieduże skupisko świateł w oddali. Nagle spostrzegł krótki rozbłysk jasnego światła na obrzeżach miasta.

— Odpalili rakietę! S.A.-2! — wykrzyknęła Wendy.

— Widzę ją — powiedział Elliott.

— Mam sygnał naprowadzający — Wendy ustawiała tak dokładnie częstotliwość urządzenia zakłócającego, jak gdyby regulowała ostrość mikroskopu. Rzuciła spojrzenie na wysokościomierz radarowy. — Jak to wygląda?

— Kieruje się prosto na nas — odpowiedział Ormack.

— Wykonajcie ostry zakręt w jego stronę — poleciła Wendy.

— W jego, stronę? On nas...

— Niech pan to zrobi, generale — ponagliła Wendy.

Old Dog położył się na lewe skrzydło.

— Ciągle go widzę... chwileczkę — napięcie w głosie Elliota opadło. — Widzę ogon pocisku... przeleciał. Jest już za nami...

— Proszę wrócić na poprzedni kurs, maksymalny skręt w prawo, maksymalne obroty — powiedziała Wendy. Elliott błyskawicznie wykonał polecenie.

— Sygnał S.A.-2 powraca — zawołała nagle. Ręce dosłownie jej fruwały nad pulpitem sterowniczym rakiet antyradiolokacyjnych HARM.— Pocisk antyradiolokacyjny numer jeden zaprogramowany i gotowy do odpalenia.

Angelina sprawdziła, przełączniki, czekając, aż wskaźniki potwierdzą, że pocisk HARM na obrotowej wyrzutni w tylnej części komory bombowej zajął dolną, startową pozycję.

— Gotowy.

Wendy wcisnęła przycisk ODPALENIE. Drzwi komory bombowej rozsunęły się i pierwszy pocisk HARM został wyrzucony w strumień powietrza pod brzuchem bombowca. Wyrzutnia obróciła się automatycznie, ustawiając kolejny pocisk w pozycji do odpalenia.

— HARM uchwycił cel — zameldowała Wendy. — Alarm rakietowy S.A.-2... HARM trzyma się celu... Alarm rakietowy trwa. — Nagle zgasły równocześnie wskaźnik zagrożenia atakiem rakietowym i wskaźnik naprowadzenia rakiety HARM. — Radar S.A.-2 trafiony — powiedziała z ulgą Wendy. Jej oddech z wolna się uspokajał. Angelina usiadła głębiej w fotelu, rozluźniając całe ciało. — Przeszli z powrotem na przeszukiwanie — dodała Wendy, wsłuchując się w sygnały akustyczne z odbiornika zagrożeń. — Nie odbieram sygnałów naprowadzających. Zgubili nas.

Miasto zniknęło z pola widzenia. Elliott wpatrywał się w odległe światła, teraz niemal przyćmione przez horyzont, sprawiający wrażenie, jak gdyby prześlizgiwał się pod oknami kabiny.

— Dobry strzał, Obrona! — Nie powiedział: „panie”. Na pokładzie nie było „pań”. — Przywołajcie następny punkt — polecił Elliott nawigatorom. — Nie chcę trzymać się tego kursu. Jeśli nas szukają, wykreślą naszą dotychczasową trasę i znajdą nas.

McLanahan wprowadził instrukcje do komputera i bombowiec zakręcił łagodnie w lewo. W kilka minut później Luger oznajmił, że przekroczyli linię wybrzeża.

— Hej, Tork! Co ty, u diabła, tutaj robisz? — spytał Ormack.

Wendy czekała na niego.

— Panie pułkowniku — powiedziała stanowczo — gdy następnym razem wydam polecenie wykonania uniku, proszę zrobić to bezzwłocznie. SA2 opuszcza wyrzutnię z szybkością trzykrotnie większą od tej, jaką jest w stanie osiągnąć nasz samolot. Przy odległości, w jakiej byliśmy, pozostaje nam tylko kilka sekund na reakcję. Najlepszym sposobem obrony jest wówczas kontakt wzrokowy z pociskiem. Jeśli go spostrzeżemy, nasze szanse przeprowadzenia uniku wzrastają. Nie mając pewności, jaki manewr obronny jest prawidłowy, powinien pan siedzieć cicho i stosować się do poleceń.

Ormack nie odezwał się ani słowem. Wendy miała rację.

— Dostał po nosie — powiedział Elliott. — Załoga, to był dopiero pierwszy test. Przejdziemy ich znacznie więcej, zanim osiągniemy cel. Dave, jak jeszcze daleko do Kawazni?

Luger spojrział na swoją mapę.

— Będziemy nad nią przelatywać za jakieś czterdzieści minut, panie generale.

Czterdzieści minut. Ta myśl była niczym wilgotny chłód przenikający hermetyzowane wnętrze Old Doga.

POKÓJ OPERACYJNY W BIAŁYM DOMU

— Proszę o natychmiastowe sprawozdanie — polecił prezydent.

— Tak jest, panie prezydencie — odpowiedział z entuzjazmem Curtis.

Prezydent, wraz z szefem Kolegium Połączonych Sztabów, znajdowali się w Pokoju Operacyjnym Białego Domu jedynie w towarzystwie adiutanta prezydenta, Jeffa Hamptona, kilku żołnierzy piechoty morskiej pełniących straż oraz techników łączności wojskowej. Curtis tradycyjnie wyglądał jak spod igły, wyświeżony, wypucowany, mimo że kazano mu się stawić natychmiast o bardzo wczesnej porze. Prezydent stanowił jego absolutne przeciwieństwo — po otrzymaniu komunikatu wciągnął tylko sportowy dres i zbiegł do Pokoju Operacyjnego.

Curtis przeszedł szybko do tylnej części pomieszczenia. Tym razem, pomyślał, mam do czynienia z prezydentem, który wymaga, by działać. Cóż za metamorfoza w porównaniu z wykrętnym politykiem, którego dotąd znałem. Podszedł do dużej mapy wyświetlanej na tylnej ścianie pokoju, przedstawiającej Alaskę i prawie całą Azję. Kompleks kawaznijskiego lasera był zaznaczony dużym trójkątem — symbolem celu. Niektóre punkty na mapie otaczały kółka: duże — nakreślone wokół miejsc usytuowania radarów wzdłuż całego radzieckiego wybrzeża i pobliskich miast, natomiast małe — wokół stanowisk rakiet obrony przeciwlotniczej.

Bardzo duże koło z centrum nad północnym Pacyfikiem, w połowie drogi między Hawajami i Aleutami, oznaczało strefę rażenia radzieckiego zwierciadła, umieszczonego na orbicie i sprzężonego z laserem w Kawazni. Koło obejmowało cały północny Pacyfik, Alaskę, Arktykę, a nawet dużą część Kanady. Czarną linią zaznaczona była planowana trasa Excaliburów, które wciąż jeszcze krążyły nad Morzem Czukockim, sześćset mil na zachód od Alaski.

— Ogłoszono alarm, ponieważ nie zidentyfikowany samolot zniknął z ekranu radzieckiego radaru sto pięćdziesiąt mil na południe od Wysp Komandorskich. Znajdował się pod kontrolą radaru na Komandorach.

Prezydent spojrzał na niego.

— Elliott? Samolot generała Elliotta?

— Znamy jego sygnał wywoławczy — odpowiedział Curtis. — Lantern. Lantern cztery-pięć Fox...

— Fox. Taki sam, jak Elliotta...

— Sądzę, że to on, panie prezydencie. Wygląda na to, że mu się udało.

— Skurczybyk! —zaklął prezydent, nie wiedząc, czy ma się cieszyć, czy martwić. Był szczęśliwy, że Old Dog dokonał tego, czego nie udało się dokonać Excaliburem, ale przecież jego też odkryto.

— Lantern to wczorajszy sygnał wywoławczy Szóstego Dywizjonu Strategicznego w Bazie Sił Powietrznych Elmendorf w Anchorage — wyjaśnił Curtis. — Szóstka ma kilka KC-135 i KC-10 oraz samoloty wywiadowcze RC-135.

— A więc to nie był Elliott?

— Cóż — odparł Curtis z wahaniem, cedząc słowa w sposób typowy dla mieszkańca Kansas. — Połączyliśmy się z Szóstką. Tego dnia nie było żadnego Lanterna cztery-pięć Fox. Owszem, było wcześniej kilka cystern eskortujących F-15, które przeleciały dość blisko radzieckiej przestrzeni powietrznej w drodze do Kadeny, żadna z nich jednak nie miała sygnału wywoławczego cztery-pięć. W tej chwili sprawdzamy inne możliwości. Centrum na Komandorach najwyraźniej nie miało w rejestrze planu lotu dla Lanterna cztery-pięć Fox. Lantern powiedział im, że zwróci się do Głównego Centrum Kontroli Lotów w Kadenie, by przekazali im brakujący plan. Jest to zgodne z przyjętą procedurą dla wojskowych planów lotu. Tymczasem Centrum na Komandorach przydzieliło Lanternowi kod identyfikacyjny i zezwoliło na dalszy lot w kierunku południowym. W parę minut później kazano opuścić ich przestrzeń powietrzną z powodu źle działającego systemu identyfikacyjnego IFF. Skierowano go w korytarz lotniczy dość odległy od ich przestrzeni. Po upływie pół godziny Komandory znowu wezwały Lanterna, ostrzegając, że wtargnął w radziecką przestrzeń powietrzną na głębokość siedemdziesięciu mil.

— Radziecką przestrzeń powietrzną? Jak to się stało?

— Nie mamy pewności, ale przyjąłem założenie, że Lantern cztery-pięć to właśnie Elliott i jego załoga. Nie wiem jeszcze, w jaki sposób zdobył paliwo — nie miał nawet tyle, by przelecieć nad północnym Pacyfikiem. Wkrótce powinienem coś na ten temat usłyszeć...

— A więc gra naprawdę się zaczęła — powiedział prezydent. Spojrzał na Curtisa. — Wygląda na to, że pański plan się powiódł, generale.

— Tak jest. Gdy ogłoszono alarm dla radzieckiej obrony przeciwlotniczej, Excalibury ściągnęły trzy czwarte radzieckich myśliwców na tamtym obszarze. Okręt wywiadowczy Lawrence nie doniósł o działaniach myśliwców dalej na południe. Jeśli to Elliott, a założę się, że to on, to wystartował ze znaczną przewagą.

Prezydent myślał przez chwilę nad tym, co usłyszał, po czym rzekł:

— Generale, proszę odwołać natychmiast oba B-1. Jeśli Rosjanie odkryją Elliotta nad

półwyspem Kamczatka, z pewnością zestrzelał Excalibury.

— Tak jest, panie prezydencie. O ile znam załogi tamtych bombowców, przycisną pedał do dechy, by tu wrócić.

— A więc ten stary spryciarz dokonał tego! — Prezydent pokręcił głową, wciąż nie mogąc w pełni uwierzyć w to, co się stało. Zwrócił się do Hamptona: — Ósma rano, Jeff. Zbierz doradców do spraw bezpieczeństwa narodowego, Kolegium Połączonych Sztabów, Przewodniczącego Izby Reprezentantów, przywódców mniejszości i większości oraz przewodniczących Komisji Sił Zbrojnych obu izb Kongresu.

Postaraj się o zapewnienie bezpiecznej łączności wideofonicznej z premierami krajów należących do NATO oraz uczestnictwa, w miarę możliwości, wszystkich ambasadorów tych krajów. Ci, którzy nie będą mogli stawić się w Gabinetcie Ovalnym, wezmą udział w naradzie za pośrednictwem bezpiecznego wideotelefonu.

Prezydent pokiwał głową, utwierdzając się w swojej decyzji.

— Tak, wtedy poinformuję ich o uderzeniu na kompleks laserowy w Kawazni. — Zwrócił się do Curtisa: — Generale, chcę, by pan osobiście kierował z pokładu samolotu misją Elliotta oraz zabezpieczył jego powrót.

Curtis skinął głową, zasalutował swemu głównodowodzącemu, odwrócił się i wyszedł z Pokoju Operacyjnego. Jego krok był pewniejszy, a oczy bardziej błyszczące niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Gdy Old Dog pokonywał przestrzeń nad półwyspem Kamczatka, jedno z jego elektronicznych oczu patrzyło przed siebie, chroniąc szóstkę załogi przed rozbiciem się o pofałdowane zbocze gór, inne zaś przeczesywały niebo w poszukiwaniu sygnałów elektromagnetycznych wroga, który usiłował ich zlokalizować.

Dave Luger sterował pierwszym „okiem” — wiązką fal radarowych, które przeczesywały obszar stożka o kącie wierzchołkowym czterdzieści pięć stopni na wprost dziobu Old Doga. Trafiając na przeszkodę, wiązka odbijała się od niej i ukazywała się w postaci obrazu na ekranie Lugera.

Pozostałe oczy — czujniki oraz anteny elektronicznych systemów zakłócających — były przeważnie sterowane przez komputer. Komputer przeprowadzał natychmiast analizę sygnału, identyfikował go, określał stopień stwarzanego przezeń zagrożenia i zakłócał, jeśli było to konieczne. „Oko” Lugera działało w inny sposób, zmuszając go do ciągłej regulacji radarowego obrazu i poszukiwania na nim najdrobniejszych wzniesień i grzbietów, by móc błyskawicznie ocenić teren i określić bezpieczną wysokość...

Luger stłumił ziewnięcie i skierował strumień zimnego powietrza z otworu wentylacyjnego prosto na twarz. Pochylony do przodu, od pół godziny wpatrywał się z uwagą w ekran. Spadochron gniótł go w okolicy nerek, ale Dave bał się oderwać oczy od ekranu, by poprawić pasy. Wiedział, że piloci na górnym pokładzie byli jak ślepcy — mogli dostrzec jedynie niektóre ostre szczyty na tle szarego rozgwieżdżonego horyzontu, co bardzo ich denerwowało.

Przy wyłączonym systemie do unikania przeszkód terenowych Luger był zdany wyłącznie na swój radar. Jego radar wobec gór. Gdy ekran był czysty, nakazywał pilotom łagodne zejście w dół, do momentu ukazania się pierwszych wzniesień, następnie łagodne wznoszenie, które trwało aż do kolejnego wyczyszczenia ekranu. Zbliżoną technikę stosowano w modelach G i H bombowca B-52 — tyle że tam piloci mieli do dyspozycji monitory przekazujące bezpośrednio z kamer telewizyjnych obraz terenu i czyhających na nich niebezpieczeństw. Tu on był ich oczyma.

Właśnie teraz był pochłonięty obserwacją pewnego szczególnego echa na ekranie. Mimo iż jego radar miał zasięg trzydziestu mil, Dave z jakiegoś powodu nie zauważył dużego pasma górskiego, póki się doń poważnie nie zbliżyli. Wcisnął szybko przycisk telefonu pokładowego pod lewym butem.

— Wzniesienie terenu, trzynaście mil, godzina dwunasta.

Elliott i Ormack wyprostowali się jak na komendę. Ormack instynktownie pchnął manetkę gazu, przygotowując się do skierowania Old Doga w górę.

— Trzynaście mil! — powtórzył. — Jakim cudem tego wcześniej nie zauważyłeś?

— Najpierw ostro w górę, potem pytania, pułkowniku.

Ormack zazgrzytał zębami i po nabraniu przez samolot szybkości ściągnął do siebie drążek sterowy; podciągnął wysokość o pięćset stóp i przeszedł z powrotem do lotu poziomego.

— Teren czysty w zasięgu trzydziestu mil — zameldował Luger. Ormack włączył ponownie pilota automatycznego, Elliott zaś sprawdził położenie przełączników.

— Powtarzam pytanie: dlaczego, do cholery, nie widziałeś tego wzniesienia wcześniej, Luger? Jak dotąd to najtrudniejsza faza naszej misji, a ty przysypiasz tam na dole...

— Pieprzysz, pułkowniku — powiedział McLanahan. — Istnieje mnóstwo przyczyn, dla których nie widać dobrze terenu, póki nie jest się blisko — śnieg, drzewa, mgła. Z pewnością nie dlatego, że ktoś tu przysypia. Może powinieneś zejść na dół i samemu przekonać się, jak to wygląda...

— Dosyć! — huknął na nich Elliott. Całkowicie spokojny od momentu, gdy wymknęli się rakietom SA2, teraz wpadł we wściekłość. Utkwił wzrok w Ormacku. — Nie czas teraz na

gówniane klótnie. John, co jest z tobą, do cholery? Nie ma żadnych wątpliwości, że te chłopaki nie przysypiają i ty cholernie dobrze o tym wiesz!

— Ach... — Ormack przetarł oczy i wpatrzył się w otaczającą ich atramentalną ciemność. — Przepraszam. Chyba jestem po prostu wypompowany. — Odetchnął głęboko i spróbował rozmasować zdrętwiałe lewe ramię. — Myślę, że jestem zdenerwowany przez cały czas od...

Spojrzał na Elliotta. Generał zwiślał bezwładnie pochylony do przodu w swym fotelu. Rękami oplótł uchwyt drążka sterowego, a głowa opadła mu na ramię.

— Generale! — Wyciągnął rękę i szarpnął Elliotta za ramię. Żadnej reakcji.

— Pereira! Chodź tu do nas!

Angelina nie od razu spostrzegła bezwładne ciało Elliotta. Zaczęła odpinać klamry pasów ramieniowych i kroczyńskich.

— Co się stało?

— Generał. Stracił przytomność, Pat.

Ormack wyłączył pilota automatycznego do lotów na małej wysokości i zaczął powolne wznoszenie, wyrównując lot na wysokości pięciu tysięcy stóp. Włączył ponownie pilota, odpiął pasy i uniósł się, by pomóc Elliottowi. Dopiero gdy nachylił się nad generałem, by odpiąć mu pasy ramieniowe, poczuł ciężki, gęsty fetor skrzepłej krwi. Jego spojrzenie pobiegło ku prawej nodze Elliotta. Spodnie munduru od kolana w dół powlekała warstwa zaschniętej krwi. Gdy Ormack chciał podciągnąć mu nogę, poczuł, że but przykleił się do podłogi. Twarz generała była trupioblada.

Ormack zawołał Elliotta po imieniu i odetchnął z ulgą, spostrzegłszy, że powieki mu drgnęły i oczy powoli się otwierają. Spojrzenie generała powędrowało natychmiast ku tablicy przyrządów i zatrzymało się na wskazaniu wysokościomierza radarowego...

— Jesteśmy... jesteśmy za wysoko, John...

— Nie szkodzi, panie generale...

Angelina podczołgała się, niosąc kilka parcianych pasków odciętych od przenośnej butli tlenowej.

— Proszę położyć się na plecach — powiedziała i zwróciła się do Ormacka: — Będziemy musieli założyć krępolec wokół kolana.

Ormack skinął potwierdzająco głową.

— Generale, proszę leżeć spokojnie. Musimy podnieść wyżej pańską nogę, by ją skrępować w kolanie.

— Nie będzie ani trochę bolało, Angelino — uspokoił ją Elliott, uśmiechając się słabo. — Nie czuję tej przeklętej nogi już od trzech godzin.

Ormack i Pereira ostrożnie unieśli nogę Elliotta do góry i ułożyli w poprzek zespołu manetek. Wówczas Angelina owinęła ją parcianym pasem poniżej kolana i z całej siły zacisnęła. Gdy skończyła, noga Elliotta wyglądała, jakby była dwa razy szczuplejsza niż normalnie.

— Powiniennem być bardziej przewidujący co do stanu mojej nogi...

— Niech pan nie przeprasza — powiedziała Angelina. — Czasem ból po prostu bierze górę nad wytrzymałością człowieka, niezależnie od tego, jak bardzo chce się go opanować.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś miała własne doświadczenia.

— Nie jestem żółtodziobem, panie generale. Wiem, że są sytuacje, w których człowiek jest po prostu bezradny.

Ich oczy spotkały się na moment, potem Elliott zaczął sadzić się z powrotem w swoim fotelu. Zanim udało mu się powtórnie zapiąć pasy, był bliski całkowitego wyczerpania.

Nagle Ormack polecił Angelinie wrócić natychmiast na stanowisko. Ująwszy mocno drążek sterowy, skierował Old Doga ponownie w dół.

— Szybciej! Jesteśmy atakowani!

Angelina czołgając się, a trochę biegnąc dotarła wąskim przejściem do swego fotela i zaczęła przypinać pasy. Wendy patrzyła z napięciem w ekran analizatora widma. Co parę sekund spoglądała na odbiornik systemu elektronicznego zakłócenia, czekając, aż komputer zidentyfikuje nowe sygnały i wytyczy kierunek na ich źródło z Megafortecy.

Wkładając słuchawki, Angelina usłyszała meldunek Wendy:

— Tylko przeszukiwanie na zakresie Golf.

— Pozycja?

— Nie mogę na razie określić pozycji.

— Wzniesienia terenu, dziesięć mil — oznajmił Luger. — Lekko w górę.

— Skręć o piętnaście stopni w prawo — polecił McLanahan, wychylając się ze swego fotela i patrząc na malutki pięciocalowy ekran na stanowisku Lugera. — Ten kierunek jest chyba bezpieczny na tej wysokości. Nie możemy sobie pozwolić na większe wznoszenie.

Ormack pochylił drążek sterowy w prawo.

— W zasięgu dwudziestu mil brak wzniesień — powiedział Luger. — Za pięć mil możemy wrócić do poprzedniej trasy na tej wysokości.

— Tork?

— Moc sygnału nieco się zwiększa, ale nie tak szybko, jak myślałam. Oceniając z grubsza, mogą to być MIG-i 25 lub 31 z lotniska w Ossorze. Prawdopodobnie zabierają się na dużej wysokości nad naszym ogonem.

— To pewnie Foxbaty E — powiedziała Angelina. — MIG-i 31 są ich najnowocześniejszymi myśliwcami. Wyślą MIG-i 25 ze zbiornikami zewnętrznymi, by nas odnalazły — wtedy określą naszą pozycję i Foxhoundy dadzą nam popalić...

— Wendy — wtrącił McLanahan — czy będziesz w stanie ocenić, kiedy nas znajdą?

— Powinam zauważyć zmianę w ich... — przerwała nagle, patrząc na duży monitor. Przebiegi na ekranie zaczęły się szybko zmieniać. — Alarm rakietowy. Jeden z sygnałów przeszedł w mod naprowadzania.

— Ale przecież powiedziałaś...

— Są za daleko — powiedziała Wendy. — Nie mogły jeszcze uchwycić celu. Sygnał jest zbyt słaby. — Skonsternowana nagłym zagrożeniem oraz gwałtownym wzrostem szybkości będącym efektem natychmiastowej reakcji Ormacka, Wendy pośpiesznie sprawdziła jeszcze raz odbiorniki i wskaźniki. Funkcjonowały normalnie.

— Nie rozumiem... — Na jej pulpicie zamigotała czerwona lampka RAKIETA W POWIETRZU. W tym samym momencie zaczęła również błyskać odpowiednia lampka w kabinie pilota.

— Odpalili raketę — oznajmił Ormack. — Można wykonać unik?

— Prawa i lewa strona wolne, dziesięć mil — zawołał Luger.

— Dalej, Tork, weź się za nich — ponaglił Ormack. — W którą stronę?

— To niemożliwe, oni blefują, poczekajmy...

— Pereira! — Ormack był bliski wybuchu. — Znajdź te cholerne myśliwce!

Zanim Wendy zdążyła odpowiedzieć, Angelina przełączyła zainstalowany w ogonie radar do naprowadzania Scorpionów na PRZESZUKIWANIE. Nie mając od Wendy żadnej informacji o azymucie, rozpoczęła pełne przeczesywanie horyzontu z tyłu za Megafortecą.

— Nie ma nic — zameldowała po kilku cyklach. — Żadnych celów w zasięgu trzydziestu mil.

— Blefują! — powtórzyła Wendy, czując się teraz znacznie pewniej. Wyciągnęła rękę i szarpnęła Angelinę za dzinsową kurtkę. Angelina wciąż szukała myśliwców na ekranie swojego radaru.

— Chcieli, żebyśmy włączyli nasze radary — zawołała Wendy. — Nie mogli nas znaleźć tutaj, na dole, udali więc, że się namierzili. Przerwij.

— Angelino, wyłącz radar — polecił McLanahan. — Jeśli do tej pory ich nie widzisz, wyłącz!

Angelina przełączyła radar na pozycję STANDBY.

— Cholera... — wyszeptała Wendy, patrząc na ekran odbiornika zagrożeń. — Znowu radar

przeszukujący... moc sygnału rośnie...

U dołu ekranu odbiornika systemu elektronicznego zakłócania ukazała się odwrócona litera „V” symbolizująca samolot.

— Myśliwiec na pozycji godzina szósta! — Pojawił się drugi symbol „V”. — Następny myśliwiec, oba na godzinie szóstej.

Ormack zwiększył już szybkość do maksimum, ryk ośmiu turboodrzutowych silników był wręcz ogłuszający... potęgowało go jeszcze wibrujące echo odbijające się ó góry, nad którymi przelatowali w odległości zaledwie trzystu stóp.

— Wciąż jesteśmy na granicy zasięgu jego urządzeń wykrywających — zameldowała Wendy. — Nie może nas zestrzelić tu na dole.

— Scorpiony gotowe — powiedziała Angelina.

— Kiedy komputer będzie mógł przejąć sterowanie autopilotem? — spytał Ormack.

— Dopiero za sto mil — odpowiedział McLanahan.

— Nie wiadomo, czy tak daleko dolecimy...

— Transmisje na częstotliwości VHF! — zawołała Wendy.

— Zamknij im gęby — polecił jej Ormack. — Przekażą naszą pozycję.

Ale Wendy już regulowała swoje urządzenia zakłócające, ustawiając znaczniki częstotliwości nadajników zagłuszających na prążki odpowiadające częstotliwościom transmisji myśliwców.

— Sygnały śledzące w wąskim paśmie — powiedziała. — Przeczesuje tuż obok nas... jego komputer nie może nas znaleźć, wygląda na to, że poszukuje nas ręcznie...

— Wzniesienia terenu, godzina dwudziesta, siedem mil — zameldował Luger.

— Pod nami dość głęboki kanion — dodał szybko McLanahan. — Lepiej przelećmy nad nim. Powolne wznoszenie.

Ormack pociągnął ku sobie drążek i samolot zaczął wznosić się z szybkością dwustu stóp na minutę.

— Mijamy brzegi kanionu — powiedział Luger. — Pięć stopni w lewo. — Ormack skierował lekko Old Doga w lewo. — Zdaje się, że za najbliższym grzbietem będziemy mieć spokój przez trzydzieści mil. Wyrównaj. To dobra wysokość, za dziesięć sekund miniemy go.

— Siła sygnału maleje — oznajmiła Wendy. — Ciągle jeszcze próbuje szukać nas ręcznie, ale zostaje w tyle.

— Zbliżamy się do grzbietu...

— Ten myśliwiec z tyłu chyba nas zgubił...

— Przelatujemy nad grzbietem...

Z ciemnej kabiny Ormackowi udało się dostrzec linię grzbietu, który właśnie mijali, góry opadające stromo w dół ku śnieżystym dolinom.

— Hej — zawołał — wygląda na dość płaski... Potężna eksplozja rozległa się tuż obok kabiny

po stronie Elliotta. Ormackowi mignęły przed oczami dwie ciemne smugi na tle przymglonych gwiazd. Fala uderzeniowa wstrząsnęła nosem Old Doga niczym gigantyczna niewidzialna ręka.

— Omal się nie zderzyliśmy z obydwooma — powiedział Ormack i pchnął nos Old Doga w dół, w kierunku pokrytego śniegiem płaskowyzu, patrząc na wskazania wysokościomierza radarowego i przez okna kabiny. Przeszedł w lot poziomy na wysokości dwustu stóp. — Autopilot sprzężony z wysokościomierzem radarowym ponownie włączony i ustawiony na dwieście stóp.

— Teren czysty na przestrzeni trzydziestu mil — zameldował Luger.

— Oba myśliwce skręcają — oznajmiła Wendy. — Jednego z nich złapałam na podczerwieni... idzie wyżej... utrzymuje kierunek.

Duża czerwona lampka sygnalizująca wykrycie odpalenia pocisku rozbłysła nagle wśród lampek ostrzegawczych Ormacka.

— Wykrycie odpalenia pocisku naprowadzającego się na podczerwień — wykrzyknęła Wendy. — Unik w prawo...

Ormack położył Old Doga w karkołomnym uniku w prawo, przekraczając trzydziestostopniowy kąt maksymalnego zakrętu, dopuszczalnego dla bombowca. Pilot automatyczny, sprzężony z niepewnym w tej chwili wysokościomierzem radarowym, momentalnie nakazał wznoszenie z przyspieszeniem dwa g. Ten rozkaz wznoszenia się w czasie, gdy Old Dog skręcał właśnie o czterdzieści stopni w prawo, zwiększył przeciążenie bombowca i zawęził skręt.

Wydając komendę skrętu w prawo, Wendy odpaliła równocześnie dwie bomby oświetlające z lewych wyrzutników Megafortecy. Wystrzelone na odległość stu jardów od bombowca, pozostały za nim w tyle, rozpalając się i emitując fale ciepła. Powoli opadały ku ośnieżonej ziemi, ciągnąc za sobą niewielkie smugi dymu i ognia; tymczasem bombowiec wykonywał ostry zakręt.

Gwałtowność skrętu wyrwała Elliotta z apatii; miał jednak na tyle przytomności umysłu, by spojrzeć na wskazania wysokościomierzy, zanim sięgnął do spustów katapulty umieszczonych w oparciach fotela po obu stronach. Przebiegł wzrokiem tablicę przyrządów, upewniając się, że ryk, odbijający się echem w jego skołatanej głowie, pochodzi ze

wszystkich ośmiu silników. Za przednim oknem dostrzegł jeszcze przemykające dwie ogniste smugi, które w chwilę później eksplodowały nad doliną.

— Przynajmniej w porządku, John — zameldował Ormackowi. Ten ze zdumieniem popatrzył na generała, który ledwie miał siłę unieść głowę, ale kontrolował wzrokiem osiem rzędów wskaźników stłoczonych na przedniej tablicy.

— Myśliwce przelatują nad nami — powiedziała Wendy. Ryk silników turboodrzutowych z włączonymi dopalaczami tuż nad czarnym jak węgiel bombowcem potwierdził jej meldunek. — Teraz znów zawracają.

— Cholera! — zaklął McLanahan, wciskając przycisk PRZESZUKIWANIE radaru ofensywnego i podporządkowując jego azymut i elewację odbiornikowi zagrożeń Wendy. Antena radaru ofensywnego natychmiast przesunęła się na azymut myśliwca i zaczęła omiatać niebo, by określić jego wysokość.

Echo radarowe atakującego myśliwca, który znajdował się w odległości zaledwie kilku mil, ukazało się na ekranie radaru McLanahana wyraźnie, niczym góra. Wystukał NAPROWADZANIE na swej klawiaturze i małe kółeczko kursora uplasowało się dokładnie na echu. Odczyty azymutu i elewacji migwały, gdy anteny bombowca śledziły położenie wycofującego się myśliwca.

— Namierzony, Angelino — powiedział McLanahan. — Przejmij.

Angelina tylko na to czekała. Mając już wcześniejsze zezwolenie pilota, nadała sygnał odpalenia do rakiet Scorpion umieszczonych na przednich wspornikach. W jednej dwudziestej piątej sekundy komputer kierujący systemami ofensywnymi wybrał pocisk na prawym wsporniku, przekazał mu początkową elewację, azymut i obliczoną odległość, po czym wyrzucił go w strumień powietrza pod brzuchem Old Doga.

Żyroskopy dziesięciostopowej rakiety AMRAAM ustabilizowały ją w strumieniu powietrza niczym sprintera szukającego oparcia dla nóg w blokach startowych. Po trzech setnych sekundy czujniki na korpusie rakiety wyczuły wokół siebie strumień powietrza, przekazując tę informację do komputera pokładowego, który uzbroił głowicę Scorpiona wypełnioną stoma funtami materiału wybuchowego. Ten sam komputer ustawił pod odpowiednim kątem duży tylny statecznik rakiety, przeprowadził ostatni autotest i odpalił silnik Scorpiona napędzany paliwem stałym.

Elliott i Ormack zobaczyli oślepiający błysk światła oddalający się od dziobu Old Doga. W odległości kilkuset jardów rakietka nagle zmieniła kierunek, poszybowała w górę i przeleciała nad ich głowami. W chwilę później olbrzymia ognista kula rozerwała się z tyłu za bocznym oknem Elliotta, rozświetlając całe górne pomieszczenie Old Doga Czerwonożółta jaskrawą

poświatą.

— Trafiony! — powiedział Elliott, osłaniając oczy przed blaskiem.

— Mam drugi myśliwiec! — zawołała Angelina, potwierdzając, że radar komputera artyleryjskiego jest namierzony na cel. Przycisnęła dźwignie odbezpieczające miny powietrzne Stinger i wystrzeliła dwukrotnie.

— Drugi myśliwiec zmniejsza szybkość — zameldowała. — Utrzymuje się w stałej odległości z tyłu... wciąż zwalnia... mamy go. Myślę, że załatwiliśmy mu silnik.

— Jak to? — spytała Wendy.

— Wessał do środka kawałki metalu.

Wendy uniosła kciuk do góry gratulując mistrzyni, tymczasem Angelina wpatrywała się w myśliwiec, który coraz bardziej zostawał z tyłu. Wendy zauważyła, że jej ogonowy detektor podczerwieni namierzył się na unieszkodliwiony myśliwiec, zignorowała jednak jego wskazanie — Angelina już załatwiła sprawę.

Radziecki pilot na pokładzie myśliwca przechwytyującego MIG E 266M Foxbat E przygotowywał się do opuszczenia samolotu. Obserwował dwie lampki ostrzegawcze sygnalizujące uszkodzenie układu hydraulicznego oraz dwie inne, które informowały go o przekroczeniu przez silniki maksymalnych obrotów. Wiedział, że choć błysk światła był daleko za nim, przeleciał przez chmurę czegoś... niemal słyszał grzechot w turbinach silnika, chrzęst łamiących się łopatek kompresora, rozrywanych przewodów hydraulicznych. Napastnik, kimkolwiek był, pozostawał niewidoczny w rażącym blasku świateł ostrzegawczych w kabinie.

Nagle zauważył zapalenie się dwóch innych lampek — wskazujących, że jego własne rakiety Atol K13A namierzyły się na napastnika. W ostatniej chwili przed opuszczeniem myśliwca pilot, trzymając jedną rękę na dźwigni zwalniania katapulty, drugą odpalił wszystkie rakiety, jakie mu pozostały.

Tymczasem Ormack sprawdzał położenie przełączników i pytał Elliotta, jak się czuje. McLanahan przełączył radar ofensywny na STANDBY i pochylił się, by pomóc Lugerowi w rozpoznaniu terenu. Angelina zakończyła krótkie przeczesywanie horyzontu za Old Dogiem i również przełączyła swój radar na STANDBY. Wendy poprawiała skręconą uprzęż spadochronu, próbując ochłonąć po swoim pierwszym spotkaniu z prawdziwym nieprzyjacielskim myśliwcem.

Tylko nie poddające się emocjom oko detektora podczerwieni, zamontowane na czubku ukształtowanego na wzór litery V ogona, wciąż czuwało, mierząc słabnący ślad cieplny myśliwca daleko z tyłu. Zarejestrowało gwałtowny wzrost emitowanego ciepła w momencie,

gdy dwie rakiety naprowadzające się na podczerwień wystrzeliły w kierunku ośmiu rozgrzanych turboodrzutowych silników Pratt and Whitney TF33 Old Doga. Wzrost emitowanego ciepła natychmiast przekroczył zaprogramowany przez Wendy kilka miesięcy wcześniej próg przyrostu $p \cdot K$ i wskaźniki ostrzegawcze wykrycia odpalenia rakiety rozbłysły jednocześnie na pulpitych Wendy i Ormacka. Dokładnie w tej samej chwili system zwodzenia bombowca wystrzelił po jednej wiązce pasków metalowej folii i po jednej fosforowej bombie oświetlającej z prawego i lewego wyrzutnika.

Automatyczna obrona przed ptakiem pewnie by się powiodła, gdyby ktokolwiek zauważył sygnały ostrzegawcze i podjął odpowiednie działania. Sygnał dźwiękowy rozległ się w słuchawkach w tej samej chwili, gdy zapłonęły lampki, jednakże Ormack i Wendy byli zbyt pochłonięci wypatrywaniem celu na odbiorniku zagrożeń, by nań zareagować. Zanim Wendy zwróciła uwagę na czerwoną migającą lampkę, rakiety Atole przyspieszyły do prędkości dwóch machów i błyskawicznie zbliżyły się do bombowca.

Nawet w tej sytuacji działanie systemu automatycznego przyniosło pewne efekty. Bomby oświetlające, wystrzelone na odległość dwustu jardów, przyciągnęły uwagę rakiet Atoli, powodując chwilową zmianę toru lotu. Jednakże z odległości niespełna mili rakiety nie mogły zareagować na masę energii emitowanej przez silniki Old Doga.

Jeden z pocisków namierzył się chwilowo na prawą bombę oświetlającą, a następnie z powrotem na prawe silniki. Nagła zmiana kierunku naprowadzającej się na podczerwień rakiety odebrana została jako sygnał, że czujnik uchwycił główny cel, i wywołała przekazanie impulsu detonacji do sześćdziesięciofuntowej głowicy bojowej — eksplozja nastąpiła niespełna dwadzieścia jardów za ogonem Old Doga. W jej wyniku został urwany dziewięciostopowy fragment prawego usterzenia ogonowego; na jego miejscu pozostał tylko poszarpany metalowy kikut.

Drugi pocisk odchylił się o kilka stóp w lewo, w kierunku zwodzącej go bomby oświetlającej, ale ta korekta kursu nie była wystarczająca. Rakieta, której silnik na paliwo stale był bliski osiągnięcia prawie pełnej mocy, uderzyła prosto w dyszę wylotową silnika numer jeden i eksplodowała. Eksplozja zamieniła w jednej chwili silnik w kulę stopionego metalu i rozpyliła to, co pozostało z uszkodzonej końcówki skrzydła, w chmurę ognia.

Old Dog, pchnięty przez eksplodującą na jego boku rakietę i szarpnięty wskutek utraty silnika, zarzucił gwałtownie w lewo. Ormackowi udało się utrzymać prędkość bombowca na granicy przeciągnięcia tylko dlatego, że wszystkie silniki pracowały na pełnych obrotach. Nacisnąwszy prawy pedał steru kierunku, pchnął drążek sterowy do oporu w prawo. W pomieszczeniu dla załogi zapaliły się lampki ostrzegawcze, telefon pokładowy zaś zaczął

wydawać cienki pisk.

— Zostaliśmy trafieni — wykrzyknął Ormack i wcisnął prawy pedał steru kierunku do oporu. Old Dog powoli, bardzo powoli zaczął wychodzić z bocznego ślizgu. Dopiero wtedy Ormack znalazł czas, by przebiec wzrokiem lampki ostrzegawcze i tablicę przyrządów, jednak to Elliott był tym, który obserwował przyrządy, w czasie gdy on walczył ze sterami.

— Pali się silnik numer jeden — zawołał.

Ormack spojrział szybko na wskaźniki silnika numer jeden, potwierdzając meldunek, następnie ustawił manetkę numer jeden w pozycji WŁĄCZONY.

Elliott pociągnął za uchwyt urządzenia gaśniczego w momencie, gdy Ormack do niego sięgał, po czym zaczął natchmiast wymieniać po kolei czynności kontrolne w razie awarii.

— Rozruch wyłączony?

Ormack sprawdził pozycję przełącznika.

— Wyłączony.

— Układ elektryczny?

— Sprawdzam — odpowiedział Ormack, przebiegając spojrzeniem wskaźniki przyrządów.

— Załoga, straciliśmy silnik numer jeden. Wyłączcie wszystkie urządzenia, które nie są absolutnie niezbędne, albo kolejny generator diabli wezmą. — Jeszcze raz sprawdził wskaźniki i potwierdził utratę generatora numer jeden. — Pozostałe generatory są obciążone do granic możliwości, ale jak dotąd działają normalnie.

— Lewy przełącznik zasilania paliwem w pozycji ODCIĘTE — Elliott odczytywał teraz listę czynności awaryjnych z ekranu komputera.

— Odcięte.

Elliott z trudem wychylił się z fotela, wyteżając wszystkie siły, by wyjrzeć przez okno kabiny.

— Nie mogę dojrzeć gondoli silnika, ale nie widać tam żadnego ognia...

— Lampka sygnalizująca pożar zgasła — potwierdził Ormack i wziął się z kolei za sprawdzanie wskaźników paliwa. — Sądzę, że mamy przeciek w zbiorniku skrzydłowym numer jeden, ale nie wygląda to na poważne uszkodzenie. — Wyciągnął rękę w kierunku dużej gałki na stanowisku kontrolnym w głównym przejściu i przekręcił ją, włączając maksymalne wyważenie prawego steru. — Generale, proszę sprawdzić układ hydrauliczny steru kierunku. Możemy mieć problemy.

Elliott skontrolował lampki ostrzegawcze na lewej tablicy przyrządów.

— Żadna lampka się nie pali.

— A więc mamy również kłopoty ze sterami kierunku — oznajmił Ormack. —

Zmniejszam moc silników numer siedem i osiem, by łatwiej utrzymać stateczność samolotu. Silnik numer dwa musi pracować w dalszym ciągu na pełnych obrotach.

Ormack rozpoczął powolne wznoszenie na wysokość czterech tysięcy stóp i ostrożnie przełączył się na pilota automatycznego. Odczekał parę chwil, by się upewnić, że autopilot jest w stanie utrzymać Megafortecą w locie poziomym.

— W porządku. Mamy kontrolę nad samolotem. Pereira, McLanahan, sprawdźcie, czy nie ma myśliwców, zanim zajmiemy się szacowaniem uszkodzeń.

Angelina i Patrick ustawili swoje radary na PRZESZUKIWANIE, zaczęli dokładnie i szybko przeczesać horyzont. Za pomocą obu radarów mogli przeszukać prawie trzy tysiące mil sześciennych w ciągu kilku sekund.

— Nic nie widać — zameldował McLanahan.

— Nie ma pościgu — potwierdziła Angelina.

— Ekran jest czysty — dodała Wendy. — Kilka bardzo słabych sygnałów od radarów przeszukujących. Wskutek wahań mocy niektóre z moich urządzeń zakłócających ustawiły się na STANDBY; za kilka minut powinny być gotowe do pracy.

— Brak wzniesień w zasięgu trzydziestu mil — oznajmił Luger.

— Dobrze — Ormack rozluźnił chwyt na drążku sterowym. Lecimy na wysokości czterech tysięcy stóp. Straciliśmy silnik numer jeden oraz jego generator. Przypuszczam, że straciliśmy również resztę końcówki lewego skrzydła, choć nie da się tego potwierdzić wzrokowo. Mamy niewielki przeciek w zbiorniku skrzydłowym numer jeden, zasilającym silnik numer dwa — niezbyt chyba groźny. Ponadto coś nawaliło w sterze kierunku, trudno mi utrzymać samolot w prostej linii...

— Wyczuwam dość silne drzenie w układzie sterowania wyrzutnią min powietrznych — powiedziała Angelina. — Muszę to sprawdzić. — Włączyła system sterujący wyrzutniami min powietrznych Stinger i uruchomiła autotest.

— System nawigacyjny przełączył się, na parę sekund na STANDBY — zameldował Luger — ale baterie uchroniły go od wyzerowania. Ładujemy ponownie dane misji z kasety.

W chwilę później Angelina zameldowała przez telefon pokładowy:

— Pułkowniku Ormack, myślę, że straciliśmy cały cholerny ogon. Mój detektor podczerwieni nie działa. Inne czujniki również. Możemy pożegnać się z automatycznym wykrywaniem zagrożeń w podczerwieni od strony ogona.

— Dobra — wtrącił Luger — a czy odbiornik zagrożeń nie może...

— Detektor zagrożeń wykrywa myśliwce wyłącznie wtedy, gdy używają radaru — wyjaśniła Angelina. — Jeśli uzyskają kontakt wzrokowy lub zastosują namierzanie w

podczerwieni, mogą odpalić w nas raz po raz — bez ryzyka, że je zobaczymy. Zbliżą się dowolnie blisko i załatwią nas bez pardonu.

— A co ze Scorpionami? — spytał Ormack.

— Miga u mnie lampka sygnalizująca niskie ciśnienie w wyrzutni obrotowej — odpowiedziała Angelina, robiąc przegląd wskaźników,. — Wszystko działa, ale ostatni atak mógł uszkodzić same rakiety.

— Wzniesienia terenu, trzydzieści mil — zawołał Luger.

— Nie da się ich ominąć?

— Zwarta linia grzbietu. Nie ma innej drogi.

Ormack zaklął i poderwał Old Doga do góry. Dopiero gdy osiągnęli blisko pięć tysięcy stóp, uznane wcześniej za wysokość bezpieczną, Luger zameldował, że ekran jest już czysty.

— Cholera! — zaklął znów Ormack. — Ponad cztery tysiące stóp nad ziemią...

— A chcesz zaczepić brzuchem o ten grzbiet, gdy będziemy nad nim przelatywać? — odezwał się McLanahan. Za chwilę będziemy mogli znowu zdać się na komputer do unikania przeszkód terenowych...

— Myśliwce przechwytyjące na godzinie dwunastej — przerwała mu Wendy. — Na granicy zasięgu wykrycia, zbliżają się szybko. Jest ich kilka.

— No, to przyparli nas do muru! — powiedział Ormack. — Nie mamy innej drogi. Pereira, McLanahan, włączcie daleki zasięg. Musimy się przebić.

Nikt nie zgłosił alternatywnej propozycji, wobec tego McLanahan włączył ponownie radar ofensywny i nastawił go na zasięg pięćdziesięciu mil. Sprzężony z odbiornikiem zagrożeń Wendy Tork, radar natychmiast ustalił położenie napastników.

— Namierzony na jednego — zawołał McLanahan. W chwili gdy wyznaczył pierwszy cel, usłyszał świst Scorpiona opuszczającego lewy wspornik.

— Namierzony na drugiego...

— Myśliwiec na godzinie szóstej, wysoko — krzyknęła Angelina. Błyskawicznie włączyła własny radar i namierzyła na myśliwiec. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, sięgnęła do przycisku zwalniającego miny powietrzne. — Odległość zmniejszyła się gwałtownie. Pikuje na nas...

— Radar nie działa — powiedziała Wendy. — I nie mamy detektora podczerwieni...

— Atakuje raketą naprowadzającą się na podczerwień — zameldowała Angelina. — Pilot, unik w prawo.

Ormack położył Old Doga w ostrym zakręcie w prawo. Bombowiec, pozbawiony kilku tysięcy funtów siły ciągu z silnika numer jeden, zadudnił na znak protestu, utrzymując się

odrobinę powyżej granicy przeciągnięcia. Wendy wystrzeliła dwie bomby oświetlające z lewego wyrzutnika, natomiast Angelina próbowała zlokalizować napastnika swoim radarem.

— Mam go, mam go na radarze — zawołała, naciskając zielony guzik NAPROWADZANIE. Gdy kółko kursora nałożyło się na echo radarowe myśliwca, nacisnęła spust min powietrznych Stinger.

Atakujący myśliwiec miał jednak przewagę. Lecąc według kursu podanego mu przez dwóch kolegów patrolujących na małej wysokości — z którymi wkrótce potem stracił łączność — namierzał intruza radarem wystarczająco długo, by wycelować w niego swój detektor podczerwieni. Gdy tylko detektor uchwycił cel, pilotowi nie był już potrzebny radar naprowadzający — wyłączył go zatem. Jego pocisk AA7 w jednej chwili namierzył się na dwa silniki Old Doga znajdujące się w lewej, bliższej kadłuba gondoli. Pilot wcisnął przycisk odpalenia rakiety w momencie, gdy zauważył krótki błysk ognia poniżej swego samolotu.

Angelina wspaniale wyliczyła moment uniku w prawo. Wskutek tego pocisk samonaprowadzający się AA7 zgubił silnik Old Doga i namierzył się na bomby oświetlające, jednakże zmiana była zbyt szybka i zapalnik zbliżeniowy, uruchomiony przez zespół czujników, spowodował jego eksplozję.

Uratowany od niechybnej zguby Old Dog był mimo to bezbronny... Eksplozja silnego ładunku wybuchowego, bomby oświetlające, spalające się w temperaturze tysiąca stopni Fahrenheita, oraz rozbłyski rozrywających się min powietrznych spowodowały, że stał się doskonale widoczny na tle ośnieżonych gór.

Pilot MIG-a, atakujący Megafortecę z góry i od tyłu, obserwował lot swego pocisku mknącego w kierunku celu. Nagle ujrzał ciemny kształt niewiarygodnej wielkości. Zamrugał powiekami ze zdumienia, gdy sylwetka ogromnego samolotu zmaterializowała się pod nim. W jego słuchawkach rozległ się ostry dźwięk sygnalizujący małą wysokość. Kilka stóp nad ziemią udało mu się wyjść z lotu nurkowego i poderwać myśliwiec do góry.

Chociaż gładki nos zmylił go w pierwszej chwili, nie mogło być mowy o błędnym rozpoznaniu całej reszty samolotu. Amerykański bombowiec B-52. Był pewien, że skoro został wezwany do obrony Kawazni przed atakiem, to zetrze się z FB-111, B-1 lub nawet należącymi do marynarki amerykańskiej F18 czy F14. Nigdy, absolutnie nigdy nie brał pod uwagę wiekowego dinozaura B-52.

Starając się nie stracić przedpotopowego bombowca z pola widzenia i ciągnąc do siebie drążek sterowy, by nabrać wysokości, wcisnął nerwowo przycisk mikrofonu.

— Aspana. Zagrożenie! Amerykański bombowiec B-52. Powtórzcie. Amerykański B-52 zidentyfikowany wzrokowo.

W jego słuchawkach rozległ się inny brzęczyk. Rozpoznał sygnał dźwiękowy ostrzegający przed przeciągnięciem, włączył więc dopalacze i wyrównał lot, by zwiększyć szybkość. Powtórzył przez radio komunikat, podając kierunek lotu bombowca i szacunkową prędkość.

Czy to możliwe, by B-52 zestrzelił inne myśliwce? Pilot MIG-a widział coś, co według jego rozeznania mogło być ogniem z małych dział kalibru 50 na ogonie, ale żaden z pilotów w Ossorze nie byłby przecież aż tak głupi, by się zbliżyć do napastnika na odległość strzału...

Angelina musiała się podciągnąć, chwytając za oparcia fotela, by odzyskać równowagę. Gwałtowny zakręt, a potem nagle wyjście z niego, sprawiły, że kręciło jej się w głowie, z trudem usiłowała skoncentrować znów wzrok na ekranie. Gdy się jej to udało, spostrzegła zdumiona, że kółko kursora wciąż znajduje się na celu. Pociągnęła za spust, wypalając dwukrotnie w niemal nieruchomy myśliwiec.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył pilot MIG-a, było szkło topiące się wokół niego jak celofan. Kabina przestała istnieć, gdy dwadzieścia funtów metalowych odłamków z obu min powietrznych Stinger rozerwało plastikowo-laminatową powłokę na strzępy. Myśliwiec leciał jeszcze przez parę minut z oślepionym i rannym pilotem w środku, zanim rozbił się o niewysokie góry.

— Angelino! Godzina dwunasta, wysoko! Zbliża się następny MIG...

Skąpany w jaskrawym świetle opadających bomb, MIG-25 atakujący od strony nosa, doskonale widział intruza. Old Dog zbliżał się do linii grzbietu i lecąc nad ośnieżoną doliną był z góry wyraźnie widoczny. Radziecki pilot musiał wyteńczyć wzrok, ale nawet wówczas, gdy bomba oświetlająca zgasła, pogrążając z powrotem niebo w ciemności, nie stracił z oczu bombowca.

Na moment przeniósł wzrok na wyświetlacz nad głową, sprawdzając szybko przyrządy, by się upewnić, czy nie uda mu się lepiej wycelować w bombowiec lecący pod nim. Detektor podczerwieni rakiety nie uchwycił jeszcze celu — byłoby to trudne, chyba że samolot znalazłby się z tyłu za B-52. Radar śledzący naprowadzał się przypadkowo na setki celów — tak skuteczne było zakłócanie. Kompletnie bezużyteczny. Wiedział, że B-52 ma siłę zakłócania większą niż dziesięć MIG-ów razem wziętych. Wyłączył radar, wykonał ostry zakręt w lewo i zaczął nurkować wprost na bombowiec, usiłując nie stracić go z pola widzenia.

— Zbliża się bardzo szybko — zawołał McLanahan. — Dziesięć mil.

Angelinie zajęło parę cennych sekund wybranie rakiety Scorpion osiągającej prędkość trzech machów i zestrojenie jej z sygnałami sterującymi McLanahana, następnie, dokładnie w sześć sekund od drugiego ostrzeżenia, odpaliła ją. W tym czasie MIG zmniejszył dzielącą ich

odległość o połowę.

Odbiorniki zagrożeń MIG-a natychmiast wykryły odpalenie pocisku i pilot szybko zamienił ręce na drążku, włączył przednie nadajniki zakłócające prawą ręką, ponownie zamienił ręce i wcisnął przycisk rozrzutnika pasków folii metalowej znajdujący się na drążku sterowym.

B-52 odpalił raketę powietrze-powietrze! To było znacznie gorsze, niż można sobie wyobrazić. Widział wyraźnie ognisty pióropusz, który pocisk ciągnął za sobą. Skierował myśliwiec prosto na pocisk, tak aby mieć jak najmniejszy profil radiolokacyjny.

Rażący blask utrudnił mu widzenie w ciemności, nie stracił jednak z oczu bombowca. Dostrzegł niewielką zmianę kształtu pióropusza pocisku — z okrągłego zrobił się bardziej podłużny. Pilot uśmiechnął się i zwolnił uchwyt na drążku sterowym. Amerykański pocisk naprowadził się na jeden z fałszywych celów. Wystrzelił błyskawicznie kolejną wiązkę folii aluminiowej. Tym razem ognisty pióropusz rozciągnął się w długą pomarańczową smugę i przemknął pod MIG-iem nie czyniąc mu szkody.

Pilot, który zmrużył oczy w obawie przed spodziewaną eksplozją, teraz otworzył je szeroko — potężny B-52 znajdował się w jego celownikach.

Mimo to czuł, że spóźnił się o mgnienie oka — powinien był wypalić ze swego działka, zanim B-52 znalazł się w celowniku. Pchnął drążek w dół, by znaleźć się bliżej celu. Przed nosem bombowca wyrosła linia ośnieżonego grzbietu. Pozostała mu więc zaledwie sekunda. Zacisnął palec na spuście i trzymał go tak długo, póki nie zaczął rozróżniać drzew na grzbiecie górskim, wówczas zwolnił spust i pociągnął drążek z całej siły do siebie...

— Scorpion chybił — powiedział Ormack, goniąc spojrzeniem raketę roztopiającą się w ciemności.

— Unik w prawo! — polecił McLanahan widząc, jak cel na radarze przybiera przerażające rozmiary.

Ułamek sekundy, który stracił radziecki pilot, uratował Old Doga przed niechybną zgubą. Dwudziestomilimetrowe pociski przeszły przednią krawędź lewego skrzydła bombowca, tam, gdzie przed chwilą znajdowały się okna kabiny po stronie Elliotta, i uderzyły w lewy wspornik Scorpionów, niszcząc połowę pozostałych jeszcze rakiet. Eksplozje oderwałyby skrzydło, ale jeden z odbitych rykoszetem pocisków trafił w petardę do odrzucania wspornika. Odrzucony wspornik eksplodował w przestrzeni. Na szczęście nie uderzył w resztki ogona Old Doga ani wyrzutnię min powietrznych Stinger.

MIG ostrzelał skrzydło i kadłub bombowca, dziurawiąc zbiornik środkowy oraz przednie zbiorniki wewnętrzne, ale pociski nie spowodowały zapłonu, tracąc większość ciepła przy

przejściu przez poszycie z włókien stalowych.

Elliott widział snop iskier wylatujący z miejsca, gdzie zwykle znajdował się wspornik Scorpionów.

— Angelino, lewy wspornik został trafiony.

McLanahan rzucił okiem na wskaźniki układu odrzucania wsporników na pulpicie kontrolnym.

— Straciliśmy cały pieprzony wspornik — zawołał wyłączając zasilanie układu odrzucania.

Angelina natychmiast sięgnęła do znajdującej się nad jej głową tablicy bezpieczników i wyciągnęła kilka z nich.

— Wspornik wyłączony.

— To lewe skrzydło robi się cholernie lekkie — McLanahan usiłował zdobyć się na wisielczy humor.

Bez powodzenia, Wendy bowiem zawołała:

— Wraca!

— Widzę go — potwierdziła Angelina, skierowując kółko kursora na echo radarowe, po czym nacisnęła przycisk NAPROWADZANIE i zaczęła przygotowywać Scorpiony w komorze bombowej do odpalenia.

Radziecki pilot zauważył wskazanie namierzającej się rakiety na swoim odbiorniku zagrożeń i natychmiast uruchomił elektroniczne systemy zakłócające.

Angelina ponownie wcisnęła przycisk NAPROWADZANIE. Zielona lampka paliła się dalej, ale kółko kursora wciąż uciekało z echa.

— Zakłóca — powiedziała. — Przełączam się na ręczne naprowadzanie. — Wyłączyła śledzenie radarowe, schwyciła dźwignie sterujące i próbowała ostrożnie naprowadzić kółko kursora na myśliwiec.

Radziecki pilot zauważył, że sygnał alarmu rakietowego nie wyłącza się, mimo iż jego urządzenia zakłócające uniemożliwiły namierzenie radiolokacyjne. Rozpoczął natychmiast serię przypadkowych zakrętów, zmniejszając gwałtownie dystans między nim a bombowcem.

Old Dog przeleciał nad grzbietem w odległości niespełna czterdziestu stóp. Wiry powietrzne łamały jodły niczym słomki, gdy prześlizgiwał się nad górami. Trąba wzbija w powietrze chmury śniegu i kurzu.

Nagle na monitorze komputera McLanahana rozjaśniły się zielone litery napisów PRZETWARZANIE DANYCH O TERENIE I DANE O TERENIE WYSTARCZAJĄCE.

— Uaktywnił się komputer sterujący lotem na małych wysokościach — powiedział

McLanahan. — Zezwalam na podłączenie.

Elliott i Ormack natychmiast podłączyli autopilota sterującego lotem na małych wysokościach do komputerów nawigacyjnych. Teraz komputer, znający już ukształtowanie całego terenu w zasięgu tysięcy mil kwadratowych i działający z dokładnością satelitarnego nawigatora, ustalił dla Old Doga COLA i będzie ją regulował zależnie od terenu przed nimi.

Pilot MIG-a25 widział przez szybę, jak B-52 nurkuje ostro w kierunku skał i znika — z ekranu radaru, detektora podczerwieni, pola widzenia... Szukał go w napięciu. Żadnego śladu, nic. Ogromny bombowiec zdematerializował się. Klnąc pod nosem, zmniejszył obroty silnika i wzbił się wyżej, by kontynuować poszukiwania.

— Nie mogę go znaleźć — zameldowała Angelina. — Nie mogę się na niego namierzyć. Zbyt mocno zakłóca. Możemy spróbować wystrzelić raketę, która namierzy się na źródło zakłóceń, ale będzie to raczej strata pocisku.

— Jest tam w górze i czeka, aż wpakujemy mu się na celowniki — powiedział Luger, wpatrując się w odczyt wysokościomierza radarowego na monitorze komputera. — Nie ma zamiaru się nam podłożyć. — Wciągnął głęboko powietrze, gdy odczyt spadł do trzydziestu stóp i wypuścił je, gdy odczyt podniósł się do stu stóp.

— Musimy go podpuścić — stwierdził McLanahan. — Ściągnąć go do siebie, a potem zredukować moc.

— Zdmuchnie nas niczym świeczkę — odparł Ormack. — Zostajemy tu, na dole.

— Z pewnością podaje też pozycję swoim kumplom — ciągnął McLanahan. — Jeśli nas nie dostanie w ciągu pięciu minut, to ściągnie tu kupę pomocników.

— Zostało nam dwanaście pocisków — oznajmił Ormack.

— Wspaniale, ale nie będziemy w stanie załatwić wszystkich — pokręcił głową McLanahan.

Ormack już otwierał usta, by mu odpowiedzieć, ale Elliott położył rękę na jego dłoni.

— Nie mamy wyboru, John.

— Jeśli go nie znajdziemy, panie generale — Ormack usiłował przekrzyczeć ryk silników — jeśli go zgubimy... jeśli wystrzeli pierwszy...

— Musimy być myśliwymi, a nie zwierzyną — powiedział Elliott. Piloci wymienili spojrzenia, następnie generał przejął od Ormacka manetki, ujął mocno drążek sterowy i potrząsnął nim. — Przejąłem samolot.

Ormack patrzył na wyczerpanego generała, gdy fala turbulencji wstrząsnęła samolotem.

— Bierzymy na siebie wielkie ryzyko, generale.

— Musimy ryzykować, John. Ormack skinął głową.

— Przejmuje pan samolot, generale.

— Dzięki, John. Pilnuj hamulców powietrznych i podwozia.

Ormack sięgnął przez zespół manetek do dźwigni podwozia.

— Wendy? Angelina?

Angelina skinęła na Wendy, która zameldowała:

— Gotowe, panie generale.

— Światła lądowania i kołowania wyłączone. Ustawiam dwa tysiące stóp. — Elliott przekręcił gałkę sterującą wysokością z pozycji COLA na 2000 i dziób Old Doga skierował się w niebo.

Radziecki pilot przeklinał samego siebie i swój radar o słabej mocy, gdy nagle B-52 wychynął nie wiadomo skąd tuż po prawej stronie MIG-a. Radarowy odczyt odległości i azymut ustawiły się natychmiast, a ostatnia z jego rakiet AA3 uchwyciła cel, meldując gotowość do odpalenia.

— Jest tuż za nami! — zawołała Angelina.

— Alarm rakietowy! — zawtórowała jej Wendy i wystrzeliła z prawego wyrzutnika paski folii metalowej. — Manewr w lewo!

Elliott wykonał ostry zakręt w lewo w chwili, gdy wskazanie ALARM RAKIETOWY zmieniło się na RAKIETA W POWIETRZU.

— Odpalił raketę, unik w lewo! — Wendy wystrzeliła z prawego wyrzutnika osiem wiązek folii metalowej. Elliott zaś zmusił bombowiec do zwiększenia przechyłu na lewe skrzydło z dwudziestu do czterdziestu pięciu stopni.

Pilot MIG-a obserwował, zawiedziony, jak na ekranie radaru pojawił się inny potężny cel. Siatka , celownika przesunęła się w stronę większej, jaśniejszej, nieruchomej plamy właśnie w momencie, gdy wcisnął przycisk ODPALENIE... i jego ostatnia rakietka poszybowała w pustą przestrzeń.

Natychmiast zwiększył obroty silników, włączając dopalacz i zboczył w lewo, by wejść na pozycję, która pozwalała mu na użycie działek pokładowych.

— Odległość szybko się zmniejsza — powiedziała Angelina. — Komputer jeszcze nie uchwycił celu. Ustawiam ręcznie odległość detonacji dla min powietrznych.

— Dystans się zmniejsza — zameldowała Wendy. — Przygotować się do zakrętu w prawo.

— Jeśli skróćmy przy wypuszczonym podwoziu i włączonych hamulcach powietrznych, by uniknąć trafienia pociskiem — powiedział Ormack — z pewnością nastąpi przeciągnięcie. Możemy nie mieć wystarczającej wysokości, żeby z tego wyjść.

— Trzy mile, odległość maleje błyskawicznie! — zawołała Angelina.

— Jeśli ma zamiar odpalić rakietę, zrobi to teraz. Dwie mile. — Wendy wpatrywała się z napięciem w monitor detektora zagrożeń. Symbol myśliwca w kształcie skrzydła nietoperza" był tuż tuż i zbliżał się coraz bardziej. — Odległość jedna mila... Teraz! Załatw go!

— Podwozie. Hamulce powietrzne, pozycja sześć — polecił Elliott. Ormack opuścił dźwignię podwozia i szarpnął drążek hamulców powietrznych do góry. Old Dog zaczął pikować w dół, pasy wcisnęły się wszystkim w ramiona. Elliott cofnął manetki na osiemdziesiąt procent mocy, a po chwili pchnął je do oporu, zwiększając maksymalnie obroty. Bombowiec był na granicy przeciągnięcia i wpadł w trzepotanie. Stracili tysiąc stóp, zanim Elliott zdołał odzyskać panowanie nad maszyną.

Radziecki pilot nie został całkowicie zaskoczony tym manewrem. Właśnie zredukował obroty, by zmniejszyć tempo zbliżania się do B-52, gdy zauważył, że odległość radarowa gwałtownie maleje.

Zlekceważył to wskazanie. I tak jego samolot nie był wyposażony w rakietę sterowaną radarem; uznał, że systemy zakłócające B-52 prawdopodobnie sfalszowały odczyt. Widząc sylwetkę potężnego bombowca odcinającą się na tle śniegu, nie zmieniał obrotów i trzymał palec na spuście.

Odczyt odległości spadł już poniżej tysiąca metrów — wszedł w zasięgu rażenia. Nacisnął prawy pedał steru kierunku, by się idealnie ustawić, i odetchnął głęboko.

Widząc kilka jasnych rozbłysków rozchodzących się od ogona bombowca, instynktownie położył myśliwiec na lewe skrzydło, rozpoczynając serię uników. Z karabinu maszynowego kalibru 12,7 mm nie da się trafić bombowca bez odpowiedniego sterowania radarowego, pomyślał, jego własne dwudziestomilimetrowe pociski mają większy zasięg i niezawodność. Nacisnął spust.

Rozblyski światła przekształciły się nagle w ogromne pulsujące kolorowe snopy światła. Natychmiast zmusił samolot do przechyłu o dziewięćdziesiąt stopni na prawe skrzydło i pociągnął ku sobie drążek. Kątem oka dostrzegł wskazanie prędkościomierza — usiłując zrównać swą prędkość z prędkością bombowca, dopuścił do tego, że spadła w sposób drastyczny.

Kontynuował manewr bezcki, dopóki nie odezwał się znów sygnalizator ostrzegający o niebezpiecznym spadku prędkości. Samolot nie reagował na ruchy drążka. Spadał szybko, bliski przeciągnięcia. Konstrukcja MIG-a25 nie czyniła go odpowiednim do przechwytywania na małych wysokościach, raczej do szybkich walk powietrznych na dużych. Pilot z ogromną ulgą zobaczył, że jego prędkość stale wzrasta. Za chwilę, pomyślał, wykończę tego

Amerykanina.

Spojrzał przez lewe okno kabiny właśnie w momencie, gdy niespełna pięćdziesiąt metrów od jego samolotu rozerwały się kolorowe fajerwerki, świetliste kwiaty przypominające mu ognie sztuczne — ogromne, jasne, z tysiącami drobnych gwiazdeczek rozbiegających się od kulistego czerwonego środka.

W chwilę później gwiazdki podziurawiły jak sito całutki lewy bok jego MIG-a 25. Osłona kabiny zamieniła się w jedną gigantyczną masę dziur i postrzępionych szpar, choć jakimś cudem nie rozleciała się na kawałki, a lewy silnik zgasł natychmiast, gdy z setek dziur w jego osłonie zaczął wyciekać olej.

Obraz radarowy MIG-a powiększył się w momencie, gdy radziecki pilot katapultował się z zestrzelonego myśliwca, ale Angelina ani Wendy nie zauważyły tego. Angelina gratulowała właśnie swojej partnerce, która była zajęta obserwowaniem ekranu detektora zagrożeń. Jedno z pasm na górze ekranu zaczęło wykazywać aktywność — transmisja o wielkiej mocy.

— Co się dzieje, Wendy? — spytał Ormack, przerywając spokojną radość załogi Old Doga.

— Radar przeszukujący... godzina dwunasta.

— Identyfikacja?

Wendy odpowiedziała, ale słowa ugrzęzły jej w gardle.

— Powtórz!

— Kawaznia — głos Wendy był teraz stanowczy, wyzbyty emocji. — Kawaznia. Jej laser. Szuka nas.

PIĘĆDZIESIĄT MIL OD KAWAZNI

Wszystkie silniki pracowały na maksymalnych obrotach — z wyjątkiem prawych zewnętrznych, których manetki zostały ustawione na dziewięćdziesiąt procent mocy, żeby skompensować stratę spowodowaną zniszczeniem silnika numer jeden.

Generał Elliott skorygował położenie dźwigni unieruchamiającej cztery manetki w ustawionej pozycji — nie zamierzał jej zmieniać, chyba że przyszłoby mu wyłączyć kolejny silnik. Silnik numer dwa został włączony ponownie na czas lotu nad cel, ale jego obroty były nierównomierne i wibracje, przenoszące się z gondoli na całe lewe skrzydło, groziły oderwaniem go od kadłuba.

— Rozpaczynam czynności kontrolne przed atakiem bombowym — oznajmił Dave Luger.

McLanahan skinął głową, rzucając krótkie spojrzenie na swego partnera. Nawigator trzymał palec na stronie wykazu gotowy do odczytania go punkt po punkcie, ale ręce odrobinę mu się trzęsły.

— Wszystko w porządku, stary? Wyglądasz na lekko zdenerwowanego.

— Ja? Zdenerwowany? Niby czym? Tylko tym, że mamy właśnie posłać Rosjanom bombonierkę wypełnioną trotylem? To ma być powód?

— Jak mówi przysłowie, bądź dobrej myśli.

— Usiłuję...

— Władujemy im to do gardła i natychmiast wyniesiemy się stąd cichutko jak trusie — przerwał mu McLanahan i odwrócił się do swojej tablicy przyrządów.

— Przełącznik systemu monitorowania uzbrojenia — zaczął wymieniać Luger.

— Pozycja środkowa.

— Przełącznik modu kalibracji dla małych wysokości.

— W pozycji — automatyczna.

— Współrzędne celu, elewacja i balistyka.

— Ustawione, wyświetlone, sprawdzone, wprowadzone. — Następnie McLanahan przeprowadził szybką kontrolę współrzędnych. — Balistyka ustawiona na mod ślizgowy. — Odpowiedział bez zastanowienia. Nie miał głównego wydruku, by sprawdzić współrzędne.

. — Przełączniki odbezpieczające, Pilot i Radar — kontynuował Luger.

Generał Elliott sięgnął z trudem do tablicy przyrządów po lewej stronie i sprawdził zespół trzech przełączników odbezpieczających rakiety Scorpion, odpalane do przodu i do tyłu, bombę ślizgową Striker oraz bomby oświetlające — wszystkie przełączniki były w górnej

pozycji.

— Przełączniki pilota są...

W słuchawkach całej załogi rozległ się sygnał ostrzegawczy, Old Dog zaś wzbił się gwałtownie w górę, z nosem uniesionym pod nienaturalnie dużym kątem.

Ormack wyłączył pilota automatycznego przyciskiem znajdującym się na uchwycie drążka i skierował nos samolotu w stronę ziemi.

— Awaryjne wznoszenie! Nawigator, sprawdź teren i sprowadź nas z powrotem na dół. Radar, co się stało?

McLanahan badał już sytuację.

— Komputer do unikania przeszkód terenowych wyłączył się. — Spojrzał na Lugera. — Dave, sprawdź dla niego teren. Ja wyzeruję komputer i jeszcze raz wprowadzę dane.

— Wzniesienia terenu, trzy mile — zawołał Luger. — Muszę się im dokładniej przyjrzeć. Nie obniżajcie jeszcze wysokości.

Palce McLanahana fruwały nad przełącznikami.

— Uruchomiłem komputer. — Przesunął dźwigienkę kasyty z pozycji ZABEZPIECZONA na pozycję ODCZYT. — To zajmie jeszcze parę chwil.

— Sygnał radarowy staje się coraz silniejszy — zameldowała Wendy. — Znajdujemy się w zasięgu wykrywalności.

— Teren sprawdzony w promieniu dwudziestu mil — oznajmił Luger. — Zaczniście łagodne schodzenie. Za dziesięć mil możliwe wzniesienia.

— Zniknęły sygnały radarowe myśliwców — powiedziała Wendy. — Albo zagłuszył je radar w Kawaznii, albo to on je teraz prowadzi...

Na ekranie ukazał się napis ŁADOWANIE DANYCH. McLanahan spojrzął na odczyt wysokościomierza radarowego. Manewr awaryjnego wznoszenia, wykonywany automatycznie w razie defektu któregoś z elementów komputera do unikania przeszkód terenowych, wyniósł ogromny bombowiec na wysokość ponad dwóch tysięcy stóp. Silniki pracowały na pełnych obrotach.

— Wysokość wciąż się zwiększa — ostrzegł McLanahan.

— Wiem, do cholery! — Ormack naparł na drążek, pomagając Elliottowi zepchać nos Old Doga ku dającym im osłonę wzgórzom Kamczatki. Old Dog osiągnął wysokość dwóch tysięcy trzystu stóp nad powierzchnią ziemi, zanim Ormack wraz z Elliottem zdołali go powstrzymać.

— Myśliwce na pozycji godzina siódma — zawołała Angelina. — Wykonują manewr do przechwycenia... — Naprowadziła kółeczko elektronicznego celownika miny powietrznej na

jednego z napastników, ale zakłócenia elektroniczne spowodowały interferencję fal na ekranie, co zepchnęło kółeczko z echa radarowego. — Coś zakłóca mój radar.

— Komputer do unikania przeszkód terenowych z powrotem podłączony — zameldował McLanahan. Ormack natychmiast sprzęgł pilota automatycznego z komputerem i nos Old Doga skierował się ku ziemi.

— Pierwszy pocisk HARM zaprogramowany i gotowy do odpalenia — powiedziała Wendy do Angeliny. — Otwieram komorę bombową.

Wendy wcisnęła przycisk ODPALENIE. Znajdujące się z tyłu samolotu drzwi komory bombowej rozsunęły się i wyrzutnia hydrauliczna ustawiła jeden z pocisków HARM w dolnej pozycji do odpalenia. Już wcześniej Wendy wprowadziła do jego elektronicznych czujników zakres częstotliwości radaru nieprzyjaciela. Wyrzutniki o potężnej sile wypchnęły pocisk w strumień powietrza pod brzuchem bombowca, nastąpił zapłon jego silnika raketowego, a wyrzutnia natychmiast obróciła się, ustawiając następny HARM w pozycji do odpalenia.

Na tablicy stanu pocisków Wendy obserwowała lampkę NAPROWADZANIE HARM wskazującą, że rakietę odnalazła źródło transmisji na zaprogramowanych częstotliwościach i kieruje się prosto na nie. Nagle wszystkie lampki ostrzegawcze i informujące o stanie pocisków zaczęły migotać. Lampka NAPROWADZANIE HARM zapaliła się znowu na chwilę, po czym zgasła.

— To radar w Kawazni — powiedziała Wendy. — Zakłóca moje urządzenia. Pocisk HARM nie naprowadzi się...

Luger wstrzymał oddech, widząc, jak smugi grzbietów górskich i rozpościerający się za nimi cień zbliżają się do krawędzi ekranu. Patrzył jak zahipnotyzowany, gdy Old Dog przelatywał nad nimi...

— Dave, komputer już działa — zawołał do niego McLanahan. — Skończmy z wykazem czynności kontrolnych. — Sięgnął do tablicy przyrządów po lewej stronie i pstryknął czerwonym przełącznikiem. — Przełącznik radaru włączony.

Luger musiał oderwać oczy od ekranu, by zająć się wykazem.

— Zasilanie układów uzbrojenia i zwodzenia.

— Włączone i sprawdzone — powiedział McLanahan i jeszcze raz przesunął dźwignię naprowadzania, by sprawdzić, czy głowica sterująca Strikera jest wciąż uaktywniona.

— Lampki zrzutu bomb.

Elliott przechylił się i wcisnął guzik kontrolny wskaźników świetlnych.

— Wyłączone i sprawdzone.

— Wyłączone i sprawdzone również u nas na dole — dopowiedział McLanahan.

— Kontrola układu zwalniania — przeczytał Luger. — Zabezpieczenie broni specjalnej.

Nagle Old Dog jeszcze raz poszybował w górę. Ormack zaklął i ponownie wyłączył autopilota. Uwagę Lugera natychmiast przykuł wąski ekran radaru.

— Wzniesienia terenu, pięć mil — zameldował.

— Wyzeruj komputer — polecił Ormack bez potrzeby, McLanahan bowiem już sięgnął do wyłącznika zasilania. Nacisnął przycisk zerowania. Komputer wyzerował się, ale zaledwie na parę sekund, po czym znowu wysiadł. McLanahan próbował jeszcze kilka razy.

— Coś jest nie w porządku, zerowanie nie pomaga. Będę musiał ponownie wprowadzić dane. Utrzymujcie kurs... cholera, wysiadł komputer nawigacji bezwładnościowej. Straciliśmy dane nawigacji. Spróbuję wyzerować...

— Zrób to! — wycedził przez zęby Ormack. — Nawigator...

— Zezwalam na schodzenie — powiedział Luger. — Powoli. Niewielki grzbiet górski, trzy mile, ale powinniśmy minąć go bez kłopotów...

— Myśliwce zbliżają się — ostrzegła Angelina. — Mam trudności z utrzymaniem ich, mój radar nadal fiksuje.

— To Kawaznia — wyjaśniła Wendy. — Radar zakłóca wszystkie nasze urządzenia.

— Będziemy nad tym przelatywać — dodał Elliott.

— Pilot, zakręt w prawo! Myśliwiec zmienia pozycję na godzinę ósmą, szykuje się do ataku z lewej ...

— McLanahan, czy mogę wykonać zakręt?

— Zestrzelą nas, jeśli tego nie zrobisz!

Old Dog położył się na prawe skrzydło; w chwilę później stłumione podmuchy, wywołane eksplozją trzech min powietrznych, wstrząsnęły bombowcem.

— Nie jestem pewna, czy któregoś trafiłam... — powiedziała Angelina.

— Nie mam czego zakłócać — jęknęła Wendy, tłukąc ze złością pięściami w oparcie fotela. Ekran detektora zagrożeń był niemal jednolicie biały — na każdej możliwej częstotliwości wykazywał transmitowaną energię. Sygnały zakłócające generowane przez nadajniki Wendy były niczym w porównaniu z zalewającymi ich falami energii, emitowanymi przez zasilany z elektrowni atomowej radar w Kawazni.

— Teren w porządku, trzydzieści mil. — Luger sprawdził dwukrotnie swój radar. Minęli ostatnie pasma górskie otaczające Kawaznię. Przy brzegu ekranu widział ciemną plamę — nagle zdał sobie sprawę, że to Morze Beringa. Tylko kilkaset mil dalej znajdował się dom — przyjazne terytorium.

W tej chwili wydawało mu się, jakby dzieliły go odeń tysiące mil.

Na samym skraju morza widniała duża zwarta plama ech radarowych. Luger dwukrotnie przeczesał radarem kompleks kawaznijski, zanim ekran obrazujący ukształtowanie terenu zgasł.

— Wysiadł mój radar. Kawaznia na pozycji godzina dwunasta, trzydzieści mil.

McLanahan usłyszał ostrzeżenie i choć był zaabsorbowany próbami uruchomienia komputerów do nawigacji i unikania przeszkód terenowych, zerknął przelotnie na monitor Lugera. Pierwsza próba zerowania nie przyniosła efektu, zaczął następną.

— Spróbuj wyzerować swój radar, Dave — zwrócił się do partnera. Luger z wściekłością przestawił przełączniki radaru z pozycji STANDBY na PRZESZUKIWANIE. Na parę sekund obraz się pokazał, po czym ekran znów był czysty.

— Nie działa, tu, na dole, jesteśmy kompletnie ślepi.

— Powiedziałaś, że teren jest sprawdzony, a widoczność z kabiny powinna być na tyle dobra, by piloci nie roztrzaskali nas o skały. Radar przyda nam się później. Na razie go wyłącz, póki nie będzie po wszystkim.

— Dwa myśliwce na pozycji godzina szósta — zawołała Angelina, po czym dodała: — Mój radar wysiadł, już ich nie widzę.

McLanahan pokręcił głową, po chwili klasnął w dłonie z radości, ponieważ zielone litery NAWIGACJA rozbłysły na monitorze komputera na jego stanowisku.

— Nawigator, komputer działa. Pilot, weź kurs na cel i utrzymuj w miarę możliwości stałą prędkość. Dave, oblicz prędkość względem ziemi oraz odległość do celu i włącz stoper. Być może będziemy zmuszeni do przeprowadzenia bombardowania na podstawie nawigacji obliczeniowej.

Luger błyskawicznie obliczył żądane parametry i włączył stoper w swoim zegarku z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. W chwilę później odkrył, że zarówno zegarek, jak i trzy ekrany radarów Old Doga, przestały funkcjonować. Natychmiast uruchomił mały, liczący czterdzieści lat, nakręcany zegar znajdujący się na przedniej tablicy, dodając w myśli stracone dwadzieścia sekund.

— Ładuję jeszcze raz dane o terenie — oznajmił McLanahan, ale nim zdążył przesunąć dźwignię kasety w położenie ODCZYT, komputer nawigacyjny wyłączył się.

— Cztery minuty do celu — zameldował Luger.

— Nie sądzę, by się znowu włączył — powiedział McLanahan. — Zbyt silne zakłócenia z Kawazni.

Choć po niespodziewanym susie w górę Ormack i Elliott poradzili sobie ze skierowaniem nosa Old Doga w dół, to teraz, po tak długotrwałym zdaniu się na autopilota, nie byli

przygotowani do samodzielnego sterowania samolotem na małej wysokości. Ormack wyrównał lot na wysokości około tysiąca stóp i jeszcze raz dokonał przeglądu instrumentów. Niestety, wskutek nabrania wysokości Old Dog stał się łatwym łupem dla dwóch ścigających go myśliwców radzieckich.

Prowadzeni przez operatorów radarowych z lotniska w Ossorze, leżącego w pobliżu kompleksu radarowego, piloci myśliwców przechwytyjących MIG-29 Fulcrum nie potrzebowali nawet uruchamiać nowoczesnych urządzeń radiolokacyjnych, by namierzyć cel lecący poniżej i odpalić w niego pociski. Dzięki podanym przez kontrolera informacjom o azymucie i odległości mogli zająć idealne pozycje strzeleckie. Kiedy już ogromny bombowiec znalazł się w ich polu widzenia, trzymali się z dala od jego śmiercionośnego ogona, pilnując, aby samonaprowadzające się głowice ich własnych rakiet nie były wymierzone w blask i ciepło bijące od leżącego w dole miasta.

— W ten sposób nie możemy podchodzić do celu — zauważyła Wendy. — Pułkowniku, proszę rozpocząć serię uników...

— Programujemy moment zrzucenia bomb opierając się na nawigacji obliczeniowej — przerwał Luger. — Nie możemy...

— Ona ma rację, Dave — uspokoił go McLanahan. — Jeśli będziemy dalej lecieć prostym kursem, zestrzelą nas jak kaczkę. Rozpoczynamy uniki.

— Przypadkowe uniki — powtórzyła Wendy. — Nie raz w prawo, raz w lewo, lecz na przykład dwa razy w lewo, raz w prawo, na chybił trafił przez cały czas. Przed każdą zmianą kierunku wystrzelę folię dla zmylenia radaru.

Ormack skinął głową na znak zgody i wykonał nagły skręt w lewo.

— To mi się zaczyna podobać...

Nagle oślepiające światło rozbłysło tuż za prawym oknem kabiny i poraziło swą intensywnością

Ormacka patrzącego z natężeniem przez przednią szybę. Kontrast był tym większy, że światła wewnętrzne były wygaszone, aby umożliwić pilotom wzrokowe rozpoznanie terenu.

— Oślepiłem...

— Spokojnie, John — powiedział Elliott, ujmując mocno drążek sterowy i wyrównując lot na wysokości pięciuset stóp nad powierzchnią ziemi. — Obok naszego prawego skrzydła eksplodował pocisk — poinformował załogę przez telefon pokładowy. — Błysk oślepił drugiego pilota. Silniki chyba w porządku...

— Trzy minuty do celu — powiedział Luger, przełączając radar na PRZESZUKIWANIE i szybko skontrolował odległość, azymut i teren, zanim obraz znowu nie zniknął z ekranu. —

Cztery stopnie w prawo. Teren sprawdzony, panie generale. Może pan powoli schodzić.

— Teraz gdy znajdujemy się nad płaskim terenem, wskazanie wysokościomierza radarowego powinno nam wystarczyć — stwierdził McLanahan.

— Jakim cudem mogą wciąż do nas strzelać? — głośno zastanawiał się Luger. — Skoro radar kawaznijski załatwił nasz radar, powinien również zakłócić radary myśliwców.

— System przeszukiwania i naprowadzania na podczerwień — wyjaśniła Wendy. — Używają pokładowego detektora podczerwieni do uzyskania danych o azymucie i elewacji, a radar kawaznijski podaje im dane o odległości. W ten sposób mogą do nas strzelać choćby całą noc.

— Dobra, czas się kończy, Dave — przypomniał

McLanahan. Wprowadził dane o azymucie, odległości i elewacji, ustawiając trajektorię początkową bomby ślizgowej Striker. — Zrzucimy bombę o maksymalnej odległości — dwunastu mil, dziewięćdziesiąt sekund do celu. Wprowadziłem wstępne dane sterujące na dwanaście mil, pozycja godzina dwunasta. Zaczynij odliczać dwie minuty.

— Przyjąłem — powiedział Luger.

— Zmiana amplitudy sygnału radarowego Kawazni — zameldowała nagle Wendy. — Wygląda jakby... przeszedł w tryb śledzenia celu. Laser... on namierzył się na nas...

McLanahan zareagował, jak gdyby ćwiczył tę .akcję wielokrotnie, choć w istocie tak nie było. Jednym płynnym ruchem przestawił przełącznik kontroli i zwolnienia bomb z przedniej pozycji centralnej do przedniej lewej — odpowiadającej jednej z makiet pozorujących, ustawił przełącznik drzwi komory bombowej na STEROWANIE RĘCZNE, wcisnął przycisk OTWIERANIE DRZWI i nacisnął znajdujący się obok lewego kolana czarny guzik zwalniający ładunek.

— Drzwi komory bombowej otwarte — oznajmił Elliott, gdy na przedniej tablicy przyrządów zapaliła się duża żółta lampka. W chwilę później rozbłysła podobna lampka z napisem BOMBA ZRZUCONA — i zgasła.

— Co się dzieje, do cholery?

— Makiety pozorujące — powiedział McLanahan do Elliotta. — Nie możemy zakłócić radaru łase. ra, ale makiety powinny przyciągnąć go na wystarczająco długą chwilę, by cel znalazł się w naszym zasięgu.

Nagle Elliott drgnął — obiekt przypominający ogromny błękitno-pomarańczowy meteor rozbłysnął nagle i poszybował, oddalając się ukośnie od Old Doga. Masa drobnych, ognistych, oślepiających kulek i strumienie błyszczących pasków folii metalowej wysypały się z jego płonącego korpusu. Od makiety pozorującej bił niemal porażający blask, mimo to

Elliott, przymrużywszy oczy, obserwował, jak leci w kierunku ziemi, manewrując w lewo i w prawo.

W następnej sekundzie McLanahan ustawił przełącznik kontroli i zwalniania bomb na przednią prawą pozycję i wystrzelił kolejną makietę. Elliott zauważył, że lampka przycisku BOMBA ZRZUCONA rozbłysła ponownie. Gdy druga makietka zapaliła się i odpłynęła w prawo, wzrok generała powędrował automatycznie za nią.

Odpalenie drugiej makiety i to, że generał Elliott śledził jej lot, uratowały jego wzrok, nie mówiąc o życiu całej załogi.

Pomimo że nieduża makietka Quail — udoskonalona wersja makiet pozorujących używanych od lat przez bombowce SAC-u — była wielokrotnie mniejsza od samego bombowca B-52, została tak skonstruowana, by dawała echo radarowe i w podczerwieni kilkanaście razy większe niż sam Old Dog. Jej korpus wielkości przeciętnej lodówki, z dziesiątkami otaczających go i odbijających promienie radaru cząstek metalu, kształt skrzydeł i ogona, jak również pięćdziesiąt funtów pasków folii wystrzeliwanych przez nią w regularnych odstępach znacznie zwiększały echo radarowe. Powodowało to, że makietka stanowiła dla radaru wyraźniejszy cel niż bombowiec o masie ćwierć miliona funtów.

Nie wyczerpywało to jej możliwości. Makieta samoczynnie emitowała sygnał radiowy o szerokim widmie, by przyciągnąć rakiety naprowadzające się na źródło promieniowania radarowego lub źródło zakłóceń. Spalający się fosfor sprawiał, że jej powierzchnia rozgrzewała się jak rdzeń reaktora atomowego i przyciągała rakiety naprowadzające się na podczerwień.

Zasilany z elektrowni atomowej radar w Kawazni, mimo pewnego namierzenia się na bombowiec, zaniechał pierwotnego celu. Pierwsza makietka Quail wykwitła niczym elektromagnetyczny kwiat na jego ekranie, przy którym pełnił służbę operator broni laserowej. Sterujący radarem komputer błyskawicznie naprowadził się na większe echo radarowe, a radziecki oficer zaakceptował zmianę. W pobliżu nie mogło przecież znajdować się nic większego od B-52, pomyślał. Sprawdził, czy wszystkie urządzenia są sprawne, i upewniwszy się, że namierzenie się jest prawidłowe, dał sygnał do wystrzelenia wiązki z lasera. Właśnie w momencie gdy Elliott był pochłonięty oglądaniem przez prawe okno drugiej makiety Quail, gruba wiązka czerwono-pomarańczowego światła przecięła ciemność i rozjarzyła wnętrze Old Doga niczym tysiąc reflektorów świecących pełnym blaskiem. Atmosfera wokół potężnej Megafortecy stała się wilgotna, prawie tropikalna.

W miejscu wybuchu wytworzyła się próżnia, która zassała tysiące akrów sześciennych powietrza.

Zmniejszona gęstość przegrzanego powietrza i powstała turbulencja spowodowały, że Old Dog zaczął spadać, i tylko błyskawiczna reakcja Elliotta oraz siedem pracujących na pełnych obrotach silników uratowały bombowiec od katastrofy.

Mała makieta pozorująca Quail nie tyle została zniszczona przez wiązkę laserową, ile po prostu wyparowała. Wyzwolona energia była tak wielka, że nie pozostały nawet resztki paliwa, by spowodować wtórną eksplozję czy chmurę dymu. W jednej chwili makieta przestała istnieć.

Elliott miał uczucie, jakby się gwałtownie opalił. Pociągnął z całej siły drążek do siebie, usiłując powstrzymać nagłe opadanie i przeciwstawić się turbulencji o sile huraganu. Rozbłysła lampka GŁÓWNE OSTRZEŻENIE, jak również inne lampki ostrzegawcze, ale Elliott miał pełne ręce roboty z opanowaniem podskakującej góry metalu.

Wstrząs rzucił Dave'a Lugera na prawą tablicę przyrządów, właśnie gdy Old Dog skręcał ostro w lewo, bliżej próżni; jego okrzyk zginął w zgrzycie metalu oraz ryku silników Megafortecy. I tak w porównaniu z innymi wyszli obronną ręką z opresji. MIG29, który zbliżył się na idealną odległość do odpalenia rakiet na podczerwień, nie usłyszał wezwania do opuszczenia obszaru i pozostał na miejscu, w momencie gdy wiązka laserowa przecięła mroźne powietrze.

Huraganowy podmuch wywołany przez mini jądrową eksplozję wewnątrz wiązki wystrzelonej przez laser, który miotał ważącym czterysta tysięcy funtów bombowcem B-52 po niebie niczym papierowym latawcem, dosięgnął znacznie lżejszego, bo ważącego trzydzieści tysięcy funtów myśliwca Fulcrum i pacnął go o ziemię jak muchę. Pilot drugiego radzieckiego myśliwca był zbyt zajęty poskramianiem własnego samolotu, by to zauważyć.

— Co to było, do diabła? — spytała Angelina.

Wszystkie jej urządzenia przestały działać — radar, system sterujący minami powietrznymi, pociskami Scorpion — dosłownie wszystko. Spojrzała na Wendy zajmującą sąsiednie stanowisko, która przełączała właśnie swoje urządzenia na STANDBY i czyniła nerwowe wysiłki, by je ponownie uruchomić.

— Laser — odpowiedział Elliott. — Wystrzelili wiązkę laserową. Wysiadły dwa generatory. — Szybko przebiegł wzrokiem wskaźniki. — Silniki w porządku. John, czy dasz radę uruchomić z powrotem generatory numer jeden i numer trzy?

— Spróbuję — powiedział Ormack. Wytarł oczy i zaczął ostrożnie przesuwając rękę wzdłuż prawej tablicy przełączników generatora w poszukiwaniu właściwych... Przerwa w zasilaniu unieruchomiła wszystkie urządzenia w dolnym przedziale nawigatora, ale doświadczony palce Ormacka poradziły sobie z przełącznikami i generatory powróciły do pracy. Całe

zmartwienie polegało na tym, że jedynym systemem, który zaczął działać po włączeniu dopływu energii, było oświetlenie.

— Dave, ile jeszcze czasu? — spytał McLanahan.

Luger gmerał przy swoim pulpicie, przyświecając sobie małą latarką.

— Musimy się stąd wydostać — mamrotał nerwowo. — Musimy wracać...

— Spokojnie, chłopie, spokojnie — McLanahan potrząsnął go za ramiona.

Luger przestał się wreszcie szamotać i wlepił nieruchomy wzrok w McLanahana.

— To koniec, Pat.

— Nie, to jeszcze nie koniec. Teraz, do cholery, podaj mi czas do osiągnięcia dwunastu mil odległości od celu.

McLanahan o mało nie odepchnął Lugera, by samemu sprawdzić czas, ale Dave trochę oprzytomniał i spojrzął na nakręcany zegar na pulpicie.

— Dwie minuty, dziesięć sekund.

— Dobra. Ustaw wszystkie urządzenia na STANDBY. Powinny zacząć działać lada chwila. Jeśli nie, odczepimy silnik od bomby ślizgowej i przelatując nad laserem zrzucimy ją jak zwykłą bombę. — Sprawdził ponownie tablicę obrazującą stan systemów ofensywnych. Mamy jeszcze inny problem.

— Jaki? — spytał Elliott.

— Wahania napięcia generatora przerwały dopływ prądu stałego do tablicy uzbrojenia bomb — odrzekł McLanahan. — Nie mam żadnych wskazań.

— Wszystko powinno być w porządku...

— Nie wiem, jak się zachowa bomba — powiedział głucho McLanahan. Wszyscy na pokładzie usłyszeli to ciche oświadczenie, nawet mimo ryku silników.

— Myślisz, że nie wybuchnie? — spytała Wendy — Przebyliśmy taką drogę, a bomba po prostu miałaby nie wybuchnąć?

— Chodzi mi o to, że nie wiem, jak z nią jest. Może być uzbrojona lub nie, może być uzbrojona, ale nie wybuchnąć... Po prostu nie wiem.

— I cała ta droga... całe to poświęcenie... na nic?

— Jedna minuta do punktu odpalenia — poinformował Luger.

— Spróbuję jeszcze raz ją uzbroić — powiedział McLanahan i zaczął sprawdzać wszystko od początku według wykazu. — To na nic — mruknął w końcu. — Zasilanie bateryjne... próbuję włączyć... zasilanie czujników... żadnej reakcji! Zasilanie układu zrzucania działa, a więc bomba poleci, ale w dalszym ciągu nie mam pojęcia, co stanie się potem.

Nikt z załogi Old Doga nie odezwał się nawet słowem.

— Włączył się system detekcji zagrożeń — przerwała ciszę Wendy. — Sygnał z Kawazni... zaczyna się znowu zmieniać.

— Wykorzystaliśmy wszystkie makiety pozorujące — powiedział McLanahan. — Odpaliłem je, zanim została wystrzelona wiązka z lasera...

— Potrzeba jeszcze dwóch minut do przywrócenia zasilania systemu odpalającego rakiety antyradarowej — odezwała się Angelina. — To była nasza ostatnia nadzieja.

— Angelino, przygotuj się do kontroli czynności przed katapultowaniem — polecił Elliott z twarzą ściągniętą grymasem.

Luger spojrział na McLanahana, który utkwiał wzrok przed siebie, zaciskając i rozwierając pięści.

— Wendy, spróbuj nas jakoś ostrzec, zanim wystrzelą wiązkę z lasera.

Wendy nie odezwała się, pstryknęła tylko wyłącznikiem mikrofonu. W morzu zakłóceń ledwie dostrzegła subtelne zmiany częstotliwości i nawet gdyby wychwyciła moment namierzenia bombowca przez radar, nie miała wątpliwości, że zanim zdążą się katapultować, wiązka laserowa rozpyli ich na atomy.

— Zaczniemy lekkie wznoszenie — poinformował załogę Elliott. — Może wskutek przeciągnięcia zwalimy się tym skurwysynom na łby. Załoga, naszym zadaniem było zniszczenie kompleksu lasera. Wydam rozkaz katapultowania i poczekam, aż znajdziecie się na zewnątrz, a następnie roztrzaskam samolot o kompleks. Przygotujcie się...

— Chwileczkę — przerwał mu McLanahan. — Nie wolno panu tego zrobić. Zrzucimy jednak tę cholerną bombę...

— Powiedziałeś przecież, że ona nie wybuchnie.

— Powiedziałem tylko, że nie wiem, czego się mogę po niej spodziewać. Moim zadaniem jest zrzucenie jej na cel. Pańskim zadaniem, generale, jest wydostanie nas stąd.

— Nie wolno nam ryzykować. Jeśli bomba nie wybuchnie, cały trud pójdzie na marne...

— Nie możemy po prostu zrezygnować...

— McLanahan, to rozkaz. Przygotować się do katapultowania!

Luger ściągnął mocniej pasy spadochronu, zasunął do końca zamek błyskawiczny w kurtce i spojrział na swego partnera.

— Pat, lepiej...

— Ile jeszcze czasu, Dave?

— Pat...

— Dave, ile jeszcze czasu?

— Trzydzieści sekund. Ale...

— Wystarczająco blisko. — McLanahan dotknął przycisku AUTOFIX na klawiaturze sterującej, wprowadzając aktualną pozycję bombowca do komputera bomby ślizgowej Striker. Następnie rozsunął drzwi komory bombowej za pomocą dźwigni mechanicznych, znajdujących się na przedniej tablicy i pociągnął żółtą dźwignię AWARYJNY ZRZUT BOMBY.

— Bomba zrzucona, generale, teraz proszę nas stąd wydostać.

Elliott regulował właśnie pasy, gdy spostrzegł rozbłyskujące lampki DRZWI KOMORY BOMBOWEJ OTWARTE i BOMBA ZRZUCONA.

— Jesteśmy za daleko, zabraknie nam czasu...

— Nie będziemy się bawić w kamikadze — sprzeciwił się ostro McLanahan. Niech pan wykona zakręt w lewo, wyciągnie nas stąd...

Później wszystko potoczyło się jak w zwolnionym filmie. Przypominało to oglądanie przezroczy, klatka po klatce, przy wyłączonym dźwięku...

Elliott przechylił Old Doga na lewe skrzydło, prawie przekraczając czterdzieści pięć stopni. Nawet jeśli ktoś z załogi usłyszał sygnał ostrzegający przed przeciągnięciem, nie zwrócił nań uwagi. Generał czuł, jak bombowiec ześlizguje się bokiem — w kierunku ziemi, wymykając się spod jego kontroli. Jakimś cudem nie uderzyli jednak o zmarznięte podłoże...

W momencie rozpoczęcia manewru Wendy puściła dźwignię katapulty i nacisnęła przycisk WYRZUTNIK FOLII wystrzeliwując pięćdziesiąt wiązek metalowych pasków, które utworzyły jedną potężną chmurę. Nie zdążyła powtórzyć tej operacji, gdyż siła odśrodkowa zepchnęła jej palec z przycisku...

Ormack, chcąc pomóc w jakiś sposób, zmobilizował wszystkie siły i mocno naparł na drążek, by utrzymać samolot w zakręcie i nie dopuścić do przeciągnięcia. Ku swemu zdziwieniu zorientował się, że działają z Elliottem niemal jak na komendę...

Pomimo gwałtownego manewrowania McLanahanowi udało się nie stracić Strikera z oczu. Kątem oka dostrzegł, jak ożywa, w momencie opuszczenia przez bombę komory, monitorujący jej ruchy ekran telewizyjny.

Pozycja obliczeniowa, ręcznie wprowadzona przez McLanahana do komputera nawigacyjnego, okazała się bezbłędna. Środek kompleksu kawaznijskiego znajdował się dokładnie pośrodku ekranu telewizyjnego. Kiedy na monitorze ukazała się informacja, że czuły sensor wizyjny namierzył się na cel, McLanahan włączył przycisk BLOKADA, co gwarantowało, że czujniki Strikera nie będą kierowały się na inne obiekty. Nawet gdyby Old Dog nie przetrwał, bomba osiągnie wyznaczonego celu... .

— Radar przechodzi w tryb naprowadzania — zameldowała Wendy.

— Załoga, przygotować się do katapultowania — polecił Elliott. — Włączam światło ostrzegawcze.

Sięgnął do centralnego pulpitu i pstryknął przełącznikiem sygnałów katapultowania. Duża czerwona żarówka między stanowiskami nawigatorów zaczęła migać jak szalona.

— Światło ciągle oznacza rozkaz katapultowania.

— Nie. Proszę kontynuować zakręt, generale. Gdy dojdzie pan do stu osiemdziesięciu stopni, niech pan zacznie następny w prawo i nie poddaje się..

— Jeśli uruchomią laser, nie starczy nam czasu na katapultowanie...

— Skazuje nas pan na śmierć, wydając rozkaz katapultowania!

— Ale bomba...

Teraz McLanahan zaczął działać, nie pytając nikogo o zdanie. Przełączył monitor na podczerwień — obraz był znakomity, prawie jak w symulatorze. Patrick mógł rozróżnić „ciepłe” miasteczko powyżej „gorącego” kompleksu lasera, a za nim „zimne” Morze Beringa. Przesunął dźwignię naprowadzającą lekko w lewą stronę, umieszczając krzyż celownika pośrodku „najgorętszego” podczerwonego echa w kompleksie. System naprowadzania Strikera działał bez zarzutu. Mały silnik raketowy przymocowany do korpusu jeszcze się nie włączył — bomba leciała przeszło tysiąc stóp powyżej zaprogramowanej wysokości, co oznaczało zdolność dłuższego ślizgu bez wspomagania.

Pomarańczowy obraz zabudowań na ekranie powiększał się z wolna, w miarę zbliżania się bomby, która kierowała się na gigantyczną podstację mocy. McLanahan miał właśnie zawęzić pole widzenia i rozpocząć precyzyjne celowanie, gdy zauważył inny „gorący” obiekt w górnym lewym rogu ekranu, znacznie powyżej głównego budynku reaktora w dolinie.

Miał zaledwie parę sekund na zbadanie tego obiektu, zanim zniknął z pola widzenia, zdołał jednak rozróżnić szczegóły potężnej budowli... tylko jej podstawa była „gorąca”, cztery piąte konstrukcji były „zimne”. Na moment przed zniknięciem obiektu z ekranu Patrick przełączył monitor z powrotem na obraz z kamery telewizyjnej.

W tym trybie obserwacji nie mogło być mowy o pomyłce. Wyraźnie widoczna była wielka kopuła, ogromna jak góra, z dużą prostokątną szczeliną wycelowaną prosto w Old Doga. McLanahan wrócił pamięcią do odprawy u Elliotta na temat Kawazni, gdy przeglądał pierwsze zdjęcia kompleksu zrobione przez satelitę wywiadowczego.

Budynek zwierciadła!

Reakcja Patricka była natychmiastowa. Przesunął dźwignię naprowadzającą do oporu w lewo i do tyłu, aż kopuła z powrotem pojawiła się na ekranie.

Luger, wstrząśnięty, obserwował własny monitor.

— Pat... co ty...?

— Zwierciadło — odpowiedział mu McLanahan. — To budynek, w którym znajduje się zwierciadło...

— Ale podstacja...

McLanahan milczał, czekając, aż na ekranie pojawi się żółty napis ZAPŁON POMOCNICZEGO SILNIKA NA PALIWO STAŁE, wskazujący, że silnik bomby ślizgowej zareagował na nowe rozkazy sterujące. Podstacja powoli zniknęła z pola widzenia.

— Podstacja... —powtórzył Luger.

— Zamierzam wywalić dziurę w budynku zwierciadła. Jeśli nawet bomba nie wybuchnie, powinna w takim stopniu uszkodzić to miejsce, by laser nie nadawał się do użytku.

Ekran zaczął ciemnieć, gdy poszarpana linia wzgórz wznoszących się nad kawaznijskim ośrodkiem oraz obraz pobliskiego miasteczka przemykały przez ekran. McLanahan musiał przytrzymać dźwignię naprowadzającą wychyloną maksymalnie do tyłu, w miarę jak zbliżali się do linii grzbietów.

— Roztrzaska się! — krzyknął Luger.

Ale w chwilę później skalisty grzbiet górski zniknął z pola widzenia i ekran telewizyjny wypełniła potężna kopuła budynku zwierciadła. McLanahan pchnął dźwignię w dół i naprowadził krzyż celownika na szczyt kopuły, Obaj nawigatorzy patrzyli zafascynowani, jak kopuła rosła coraz bardziej na ekranie.

Sześciocalowe szklane oko Strikera jakimś cudem nie zostało uszkodzone przy przejściu przez grube na jeden cal sklepienie kopuły wykonane z włókna szklanego, wobec czego nawigatorzy mogli zobaczyć, w co konkretnie trafiła bomba — w stalowe dźwigary i przeciwwagi utrzymujące masywne zwierciadło.

Bomba przeszła dokładnie pomiędzy dwoma wspornikami zwierciadła, zatrzymując się u samej podstawy podtrzymującej je konstrukcji. Natychmiast pojawili się przy niej radzieccy technicy i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa.

— Nie eksplodowała — powiedział Luger. — To niewybuch...

— Uchwycił nas radar — przerwała mu Wendy. — Pewny namiar, dopadli nas...

McLanahan, nie zwracając uwagi na glosy dobiegające z wnętrza bombowca, wpatrywał się jak zakłęty w ekran telewizyjny. Przy Strikerze leżącym pod kopułą gromadziło się coraz więcej żołnierzy.

— Załoga, przygotować się do katapultowania...

Ormack siedział sztywno w swoim fotelu, ze złożonym dźwigniem sterowniczym, gotowy do uruchomienia katapulty. Elliott sięgał właśnie do centralnego pulpitu, by dać sygnał do

katapultowania, gdy nagle coś eksplodowało na prawo od Old Doga i ognista kula o średnicy setek stóp wzbila się łukiem ku górze, oświetlając całe wybrzeże, a jej huk niemal zagłuszył ryk silników.

— Co to było? — wykrzyknął Ormack, przytrzymując się poręczy fotela, gdy fala uderzeniowa wstrząsnęła Megafortecą. — Reaktor?

— Załatwiliśmy zwierciadło, Patrick załatwił! Bomba eksplodowała! To nie był niewybuch! — zameldował podnieconym głosem Luger.

— Radar naziemny przestał działać.— poinformowała Wendy. — Nie odbieram sygnałów z Kawazni.

Elliott zaczął rozróżniać pasma górskie mającące przed nimi i powoli dźwignął nos Old Doga ponad grzbietami, z desperacją usiłując wykorzystać stopniowo rosnącą prędkość dla osiągnięcia bezpiecznej wysokości. Zauważył, że większość świateł w mieście powyżej centrum w Kawazni zgasła...

— Wybuch musiał spowodować przerwanie dopływu energii elektrycznej do miasteczka. Sprawdźcie swoje urządzenia.

McLanahan szybko przebiegł wzrokiem przyrządy.

— Komputery znów działają.

Szybko zsynchronizował swój komputer z satelitami nawigacyjnymi. Zapalił się zielony napis NAWIGACJA. W chwilę później dane o terenie zostały ponownie załadowane z kaset.

— Komputery terenowe gotowe do działania — zameldował Elliottowi, który natychmiast sprzął je z pilotem automatycznym i ustawił wysokość na COLA. Spiczasty nos bombowca znów skierował się w stronę ziemi.

— Chryste! — jęknął Ormack. — Naprawdę tego dokonaliśmy!

— Detektory zagrożeń oraz wszystkie nadajniki zakłócające działają — oznajmiła Wendy.

— Mój radar też — dodała Angelina.

— Załoga, kontrola stanowisk — polecił Elliott, wyłączając światło ostrzegawcze nakazujące przygotowanie się do katapultowania. Włożył przeciwpożarową maskę tlenową i odetchnął głęboko. — „Przejażdżka" jeszcze się nie skończyła — przypomniał im, zdjawszy maskę. — Myśliwce będą tu lada moment.

McLanahan leżał bezwładnie w swoim fotelu, podtrzymywany pasami spadochronu, których wciąż nie miał czasu porządnie zapiąć.

— To prawda, generale, ale nie ma dwóch zdań, że czas na piwo.

— Radar, możesz iść na siusiu — powiedział Elliott, pomagając Ormackowi włożyć maskę tlenową. — Potem zajmij się na powrót obserwacją. Zbliżamy się do Ossory.

Kawaznia chyba rzeczywiście już nam nie zagraża, ale powtarzam, za chwilę będziemy mieć na karku cztery eskadry MIG-ów.

McLanahan popatrzył w dół na mokrą plamę między nogami.

— Zdaje się, że nie muszę już iść do kibla.

Dave Luger wykrzesał z siebie namiastkę uśmiechu.

— Przepraszam za tę chwilę słabości, przyjacielu. Możesz odtąd liczyć na mnie bez pudła...

— Radar przeszukujący na godzinie drugiej. To lotnisko w Ossorze — zawołała nagle Wendy.

Dwaj nawigatorzy wymienili spojrzenia.

— No, do roboty! — powiedział McLanahan i przełączył swój radar w mod śledzenia.

PRZESTRZEŃ POWIETRZNA NAD KAWAZNIĄ

— Jednostka siódma, utraciłem kontakt radarowy — Jurij Papendrejow usłyszał głos radzieckiego kontrolera w odbiorniku radiowym. — Natychmiast podaj swoją pozycję. — Jak gdyby w odpowiedzi na pulpicie sterowniczym najnowocześniejszego radzieckiego myśliwca MIG29 Fulcrum pilotowanego przez Papendrejowa zapaliła się duża czerwona lampka OSTRZEŻENIE O MAŁEJ WYSOKOŚCI.

Mruknął coś z niezadowoleniem sam do siebie i zaczął powolne wznoszenie, uciekając od otaczającej go atramentowej ciemności. Nagle ziemia stała się jego wrogiem, podobnie jak wrogiem był ścigany przez niego amerykański samolot wojskowy. Utrzymując stały kurs, włączył impulsowy radar dopplerowski i podwieszony pod dziobem czujnik podczerwieni.

Do tej pory odbierał z ośrodka radarowego w Kawazni nieprzerwany ciąg sygnałów sterujących, przeznaczonych dla systemu odpalania i naprowadzania jego rakiet, zawierających informacje o odległości i kursie B-52 i umożliwiających przechwycenie go. W tej sytuacji nie musiał używać własnego radaru, co dawało mu dodatkowy atut.

Nic nie było w stanie zakłócić kawaznijskiego radaru, a nie włączając pokładowych urządzeń radiolokacyjnych funkcjonujących niezamierzenie jako „beacon”, mógł podkraść się do B-52 bez ryzyka wykrycia.

Teraz to wszystko diabli wzięli. Z jakiegoś powodu radar w Kawazni został wyłączony, wobec czego Papendrejow był zmuszony skorzystać z pokładowego radaru o wąskiej wiązce do przeczesania tysięcy mil kwadratowych nieba w poszukiwaniu bombowca. Odwróciło to jego uwagę od pilotowania własnego samolotu i poszarpanych grzbietów górskich Kamczatki.

Młody pilot radzieckiego myśliwca przechwytyjącego włączył nadajnik radiowy i zameldował podenerwowanym tonem:

— Jednostka siódma straciła kontakt z nieprzyjacielem... Nie, zaczekaj, kontynuuję ściganie. — Duże echo radarowe ukazało się na samym brzegu ekranu radaru pokładowego, po czym zniknęło. Papendrejow przechylił samolot na lewe skrzydło w trzydziestostopniowym zakręcie, upewniwszy się przedtem, że po lewej stronie teren jest wolny od przeszkód.

— Jednostka siódma ma chyba kontakt radarowy — podał przez radio, zbyt jednak zajęty, by pamiętać o przekazaniu swego położenia.

— Jednostka siódma, powtarzam, jednostka siódma, podaj swoją pozycję.

Nagle kątem oka zobaczył pożar tak ogromny i tak gwałtowny, że mimo doświadczenia i

opanowania, stracił parę cennych sekund na ocenę zniszczeń. Szczątki potężnej kopuły zbudowanej pośród wzgórz, powyżej kawaznijskiego centrum badawczego, były rozrzucone na wszystkie strony w promieniu co najmniej kilometra, a pośrodku tego, co niegdyś było budynkiem zwierciadła, sterczała masa pogniętego metalu. Wybuch musiał spowodować na pewno jakieś szkody uboczne, domyślił się, na przykład przerwać dopływ energii do kompleksu radarowego...

Papendrejow zwiększył obroty do dziewięćdziesięciu pięciu procent mocy silników odrzutowych R33D i dzieląc uwagę pomiędzy radar i detektor podczerwieni, kontynuował łagodny zakręt. Przez chwilę szukał swego skrzydłowego — bezskutecznie. Rozdzielili się dużo wcześniej, zanim jeszcze laser wystrzelił wiązkę energii, a turbulencja o niewiarygodnej sile i podmuch wichru omal nie przyczyniły się do katastrofy jego własnego samolotu. Zakładał więc najgorsze — albo partner został przypadkowo trafiony przez laser, albo strącili go Amerykanie.

Ten nocny lot, bez naziemnej kontroli radarowej, to istne samobójstwo, pomyślał Jurij. Kontroler naziemny był zwykle odpowiedzialny za wszystko — wysokość lotu nad przeszkodami terenowymi, wskazanie kursu na intruza, podejście, zajęcie pozycji do wystrzelenia rakiet — do pilota należało tylko pociągnięcie za spust. W obecnej sytuacji Papendrejow był kompletnie ślepy, zdany wyłącznie na łatwy do zakłócenia radar dziobowy oraz detektor podczerwieni o ograniczonym zasięgu i skuteczności...

W prawym dolnym rogu monitora umieszczonego nad głową pilota pojawił się symbol w kształcie rombu — to detektor podczerwieni odnalazł B-52. Dziwne, że nie wykrył go radar. Papendrejow próbował regulować zasięg radaru, wciąż jednak nie mógł namierzyć celu. Przesunął wiązkę w prawo, ześrodkował romb na poziomej osi ekranu i odczekał, aż radar zasygnalizuje uchwycenie celu. Nie było żadnego efektu. Detektor podczerwieni podawał mu tylko elewację i azymut, a nie odległość. Pociski AA8, wyposażone w czujniki podczerwieni, byłyby w stanie zlokalizować przeciwnika, ale mając mały zasięg, działały najlepiej, gdy odległość nie przekraczała ośmiu kilometrów.

Bał się nurkować, dopóki nie ustali dokładnie swojej pozycji i ukształtowania terenu. Zmniejszył obroty do dziewięćdziesięciu procent mocy i czekał. Nie ma sensu pchać się prosto pod lufy karabinów B-52, pomyślał. Dwudziestosiemioletni pilot zdał sobie sprawę, że z nikim nie rozmawiał, nie uzyskał zezwolenia na podjęcie jakichkolwiek działań, nie otrzymał żadnych wskazówek. Brakowało mu jeszcze dwóch lat do zdobycia uprawnień do samodzielnego przechwytywania — prawa do polowania na nieprzyjacielskie samoloty bez instrukcji od kontrolerów naziemnych — co właśnie w tej chwili robił. Było to łatwe,

boleśnie łatwe — samobójcze, ale bardzo łatwe.

Sprawdził wskaźniki silnika oraz paliwa. Jeśli nie włączy dopalaczy, będzie mógł tropić napastnika jeszcze przez pół godziny. Zostały mu cztery rakiety — dwie sterowane radarem oraz dwie naprowadzające się na podczerwień. Czy wystarczą?

— Napowietrzny kontakt radarowy, godzina siódma — zameldowała Wendy przez telefon pokładowy. — To chyba., chyba... Fulcrum. Impulsowy radar dopplerowski.

Równocześnie z ostrzeżeniem Wendy na monitorze komputera do omijania przeszkód terenowych pojawił się obraz terenu. Elliott, odchrząknąwszy z ulgą i zadowoleniem, sięgnął do gałki ustawiania wysokości.

— Włączył się komputer do unikania przeszkód terenowych, generale — powiedział McLanahan, ale Elliott już ustawił gałkę na COLA, co oznaczało męczący lot na wysokości nie przekraczającej stu stóp ponad szybko wznoszącym się w tej chwili terenem. Wargi Elliotta były suche, ale w ustach czuł lepkość. — Przekazałaś wiadomość o bombardowaniu, Angelino? — spytał, sprawdzając jeszcze raz pozycję przełącznika.

— Powtórzyłam ją dwukrotnie, panie generale. — Wyzerowała swój radar artyleryjski, by usunąć błędy spowodowane silnymi zakłóceniami od radaru kawaznijskiego, następnie ustawiła go na PRZESZUKIWANIE i natychmiast odkryła myśliwiec za ogonem Old Doga. — Mój sprzęt jest znowu sprawny. Kontakt radarowy, siódma godzina, wysoko, dwanaście mil — zameldowała. Obserwowała ekran przez chwilę. — Utrzymuje stały kurs...

Włączyła przycisk NAPROWADZANIE. Zapaliła się zielona lampka. Angelina opuściła dźwignie odbezpieczające i położyła palec na spuście min powietrznych Stinger, patrząc na odczyt odległości. W momencie gdy osiągnął pięć mil, nacisnęła lekko spust i wypaliła...

Pilot MIG-a usłyszał modulowany sygnał alarmowy w słuchawkach, błyskawicznie włączył dopalacze na maksimum i szarpnął maszynę do góry, przechodząc w dwudziestostopniowe wznoszenie, by uniknąć ewentualnego trafienia rakietą. Wyrównał o tysiąc stóp powyżej początkowej wysokości, na której ścigał bombowiec, i patrząc przez lewe okno kabiny, przebiegał wzrokiem horyzont w poszukiwaniu źródła alarmu raketowego.

— Myśliwiec odpalający raketę? — spytał sam siebie, usiłując przeniknąć oczyma ciemność. — Nieprzyjacielski myśliwiec nad Rosją?

Szczęście dopisało młodemu pilotowi w tej szaleńczej beczie. Mała rakietka Stinger z niedużymi statecznikami na ogonie nie była w stanie dorównać radzieckiemu myśliwcowi i jego na poły przerażonemu, na poły genialnemu pilotowi. Wykonała leniwy zakręt, niby to posłuszna sygnałom sterującym radaru Angeliny, ale promień jej skrętu był dwukrotnie większy od promienia skrętu myśliwca. Nagle znalazła się z tyłu po prawej stronie

radzieckiego samolotu — nie było jednak sposobu, by ze swoim malutkim silnikiem na paliwo stałe mogła go dogonić. Podążała więc w strumieniu powietrza za MIG-iem, z paliwem prawie na wykończeniu. Czekala na rozkaz detonacji, ponieważ jednak nie nadchodził, a paliwo wyczerpało się, wydała go sobie sama.

Eksplozja przyciągnęła natychmiast uwagę Papendrejowa. W otaczającej go szarości rozkwitł ogromny ognisty kwiat. Niemal fizycznie odczuwał dotknięcie iskier, niezliczonych ilości metalowych odłamków, lecących w jego kierunku, szukających go. Instynktownie próbował włączyć pełne dopalanie, zorientował się jednak, że już jest włączone, rozpoczął więc łagodne wznoszenie, obserwując, jak śmiercionośny kwiat pozostaje z tyłu.

Oddech miał płytki, urywany, pot spływał kroplami po szybie jego hełmu. Dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie oraz ceniom towarzysza Mikojana i towarzysza Guriewicza, projektantów jego wspaniałego odrzutowca, przechylił MIG-a na lewe skrzydło, by od nowa rozpocząć polowanie na swą zwierzynę.

— Napowietrzny kontakt radarowy na godzinie piątej — zawołała znowu Wendy.

Angelina pokręciła głową z rozczerowaniem.

— Ten facet jest niezły — powiedziała. — Wykonał manewr w samą porę.

— Znowu się do nas zbliża — ostrzegła Wendy. Luger obserwował, co się dzieje na pięciocalowym monitorze normalnie już funkcjonującego systemu do unikania przeszkód terenowych.

— Jeszcze dwanaście mil i znajdziemy się nad górami.

— Utrzymuje dużą wysokość — powiedziała Angelina, spoglądając na odczyt elewacji i azymutu na swoim pulpicie. — Jest niezły, ale nie spieszo mu do pakowania się w kłopoty.

— Czy jest w stanie odpalić w nas rakietę na podczerven? — spytał Ormack.

— Może nas tropić, ale dopóki nie zdecyduje się zbliżyć na odległość nie większą niż kilkaset stóp, mamy szansę. — W chwili gdy to mówiła, odczyt elewacji zaczął nagle opadać. Angelina gwałtownie przełknęła ślinę. — Schodzi. Załoga, przygotujcie się

W końcu Papendrejow otrzymał wiarygodne dane nawigacyjne z radiolatarni i odnalazł swoją pozycję na kartonowej mapie. Pokiwał głową. Przy obecnej prędkości — powyżej ośmiuset kilometrów na godzinę — mógł zniżyć się o dalsze tysiąc metrów i poświęcić niemal dwie cenne minuty na ustalenie położenia B-52 — zanim groźne, ośnieżone szczyty Gór Koriackich nie zaczną przemykać tuż pod jego kabiną — całkowicie dla niego niewidoczne. Zmusił Fulcrum do nurkowania, ustawił znacznik wysokościomierza na trzy tysiące dwieście metrów i zajął taką pozycję, by romb NAPROWADZANIE NA PODCZERWIEN znalazł się pośrodku ekranu.

Te kilkaset metrów wysokości zrobiło swoje. Ofensywny radar dopplerowski zasygnalizował uchwycenie celu, a informacja o gotowości do wystrzelenia dotarła natychmiast do kierowanego radarem pocisku AA7.

Jurij uśmiechnął się do siebie. Cel uchwyciony przez radar i czujnik podczerwieni — i cztery pociski w zapasie. Dystans wciąż się zmniejszał. Nagle powróciło wspomnienie ognistej eksplozji i decyzja zapadła błyskawicznie. Zmniejszył obroty, utrzymując odległość czternastu kilometrów, wybrał dwa kierowane radarem pociski AA7 i odpalił je.

Impulsowy radar dopplerowski, wymierzony w lecącego na małej wysokości Old Doga, wywołał

natychmiast sygnał ostrzegawczy ALARM RAKIETOWY i postawił całą załogę w stan nerwowej gotowości. Gdy Jurij Papendrejow wybrał do odpalenia dwa pociski AA7, jego radar ofensywny automatycznie przełączył się na mod naprowadzania. Zmiana sygnału radarowego na sygnał o fali ciągłej uruchomiła wskazanie RAKIETA W POWIETRZU na monitorze zagrożeń Wendy oraz sygnał dźwiękowy, który rozległ się w słuchawkach telefonu równocześnie na dolnym i górnym pokładzie bombowca.

Wendy zareagowała natychmiast wystrzelując osiem wiązek pasków metalowej folii z lewego wyrzutnika i wydając rozkaz błyskawicznego uniku w prawo. Jednocześnie odnalazła na analizatorze widma sygnał radzieckiego radaru sterujący pociskiem i podjęła próbę zakłócenia go.

Old Dog widziany od ogona dawał na ekranie radaru ledwie widoczne echo. Kiedy jednak Elliott i Ormack pochylił bombowiec w czterdziestostopniowym skręcie, echo powiększyło się kilkakrotnie... to było tak, jakby ktoś oglądał książkę od strony grzbietu, a potem odwrócił ją do siebie okładką. Teraz echo B-52 wyraźnie odbijało się od tła.

Paski folii zmyliły nieznacznie jedną z rakiet AA7, powodując zmianę kursu pocisku o niecałe siedem stóp. Rakieta przeleciała nad środkową częścią kadłuba Old Doga, niemal ocierając się o przednią krawędź prawego skrzydła. Gdy wykonała gwałtowny skręt, reagując na sygnał sterujący, osiemdziesięcio-funtowa głowica bojowa AA7 eksplodowała.

Dave Luger nie poczuł nic. To było tak, jak gdyby cała prawa tablica przyrządów, klawiatura komputera i części radaru zerwały się ze swych stałych miejsc i wylądowały wszystkie naraz na jego kolanach i twarzy. Wstrząs wyrzuciłby go z fotela, gdyby nie pasy ramieniowe i kroczone, które przytrzymując go w miejscu, wystawiły tym samym górną część ciała Dave'a na cały impet wybuchu.

Poczuł czyjeś ręce na piersi i ramionach, ale wciąż żadnego bólu. Próbował skupić wzrok na czymkolwiek, w końcu jednak się poddał. Wybuch wyssał mu powietrze z płuc, szczątki

przrzędów fruwały wokół niego.

— Dave! — To McLanahan wyciągnął ręce w wąskim przejściu pomiędzy fotelami i usiłował usadzić Lugera prosto, walcząc z przeciążeniem dwa g wywołanym ostrym zakrętem, w jaki wprowadzili bombowiec Ormack i Elliott. — Dave jest ranny!

— Oszalałeś, Radar — wymamrotał Luger, ale gdy McLanahan podciągnął go do góry, głowa Lugera opadła na podglówek fotela kiwając się bezwładnie, cały czas bowiem piloci walczyli o utrzymanie sterowności okaleczonego samolotu.

Luger czuł, jak głowa kołysze mu się z boku na bok, ale nie był w stanie zmusić mięśni szyi do posłuszeństwa...

— Czuję się dobrze, czuję się dobrze — powtarzał. — Hej, mój ekran nie działa.

„Nie działa" było w tej sytuacji określeniem niezwykle łagodnym. Wyglądało to tak, jak gdyby metalożerny potwór odgryzł połowę lampy oscyloskopowej wartej milion dolarów. McLanahan sięgnął w dół i zablokował układ bezwładnościowy pasów Lugera, co pomogło jego partnerowi utrzymać się prosto w fotelu.

— Co z komputerami, Patrick?

— Pieprzę w tej chwili komputery — burknął McLanahan, odpinając pasy.

— Nie odpinaj pasów, Pat...

— Zamknij się na sekundę — powiedział spokojnie McLanahan. Dostał się do podręcznej apteczki umocowanej na ścianie przepierzenia za fotelem, nie spuszczając z oka monitorów komputerów, podczas gdy ją otwierał... wszystkie działały, żadnych uszkodzeń, żadnych przerw.

— Komputery w porządku, Dave. — Oparł się na wysuwanym pulpicie nawigatora, by zbadać i opatrzeć przyjaciela. — O Boże!...

— Czuję się dobrze, mówiłem ci — wymamrotał znowu Luger.

McLanahan wyciągnął duży kwadrat gazy z apteczki, ale nie wiedział, od czego zacząć. Nigdy przedtem nie widział kości, obnażonej białej kości, poza żeberkami na obiad... to skojarzenie wywołało w nim mdłości, opanował się jednak...

— Opatrz mnie tam, gdzie to jest konieczne, i wracaj do pracy — powiedział Luger, ocierając mokre prawe oko. Spojrzał na rękę — cała była pokryta krwią.

— Oooh...

— Siedź spokojnie — to były jedyne słowa, na jakie zdobył się McLanahan. Przyłożył do prawego policzka Lugera gruby tampon gazy i przymocował go porządnie. Luger poddawał się wszystkim zabiegom cierpliwie, jakby siedział w fotelu u fryzjera.

Patrick obejrzał pierś i szyję przyjaciela, usunął odłamki szkła i włókien stalowych.

Wyglądało na to, że kombinezon lotniczy i kurtka ochroniły szczęśliwie tors Lugera.

— Czuję się dobrze — rozległ się ponownie głos Davida, stłumiony przez gazowy opatrunek. — Skręciłem trochę nogę, to drobiazg... ale czy mógłbyś włączyć mocniejsze ogrzewanie? Robi się tu zimno...

— Pozwól, że...

— Powiedziałem, że nie ma o czym mówić.

Ale McLanahan już dał nura pod blat, chcąc naocznie zbadać sytuację. Pozostał tam przez parę chwil wysunawszy się tylko po to, by wziąć podręczną apteczkę.

Luger nie czuł nic poza kilkoma szarpnięciami prawej nogi.

— A co nie mówiłem, mamusiu?

McLanahan wrócił na swój fotel, z trudem łapiąc równowagę, gdy miotany turbulencją Old Dog przelatywał nad kolejnym pasmem górskim Kamczatki. Wpatrywał się w milczeniu w swój pulpit.

— No, zrobiłeś już wszystko, Florencjo Nightingale³? — spytał Luger, przesuając ręką po udzie. Gdy spojrzał na nią, przekonał się, że cała powalana jest ciemną lepłą krwią.

Napotkał wreszcie wzrok McLanahana.

— Jestem silny jak byk. — Poprawił hełmofon, zbliżył mikrofon do ust. — Nawigator na posterunku i czuje się dobrze — zameldował przez telefon pokładowy.

— David... — zaczął generał Elliott.

— Straciłem radar, panie generale — powiedział Luger, starając się, by jego głos brzmiał znowu pewnie. Próbował uruchomić program testujący, ale na klawiaturze pozostało zaledwie kilka przycisków. Wyteżył siły, by sięgnąć do klawiatury McLanahana.

— Wygląda na to, że ciągle możemy sterować Scorpionami, ale nie mam monitora telewizyjnego do kontroli naprowadzenia. Wszystkie komputery do unikania przeszkód terenowych są chyba w porządku, wskaźniki uzbrojenia wygaszone, ale na dwoje babka wróżyła, czy jest sprawne...

— Dobra — Elliott próbował opanować drżenie głosu. — Załoga, kabina utraciła hermetyzację. Wendy, Angelino, czy widzicie tamtego faceta?

— Zakłóciłam jego radar przeszukujący — odpowiedziała Wendy. — Zgubiłam go w chwilę po odpaleniu... — Zamilkła. Nie było to już „odpalenie”, Rosjanin trafił członka ich

³ Florence Nightingale (1820—1910) — angielska pielęgniarka, w 1860 r. założyła pierwszą szkołę kształcąca kobiety w tym zawodzie.

załogi, zranił go...

— Nic mi nie jest, Wendy — powiedział szybko Luger, jakby czytając w jej myślach. — Dziewczyny... wykończcie go...

— Mój ekran jest czysty — odezwała się Angelina. — Załatwimy go!

— Na pewno... oni mieli swoją szansę, ale nie dali nam rady.

Jurij Papendrejow, wściekły, zmienił częstotliwość swego radaru ofensywnego. Amerykański intruz rozpoczął intensywne zakłócanie dokładnie w momencie, gdy radziecki pilot dotknął przycisku odpalenia rakiety na drążku sterowym. Kiedy rakietę opuszczała szynę, Jurij miał pewne wskazanie uchwycenia celu, które po chwili jednak zniknęło. Jurij nie widział pierwotnej ani wtórnej eksplozji, co świadczyłoby o rozbiciu się bombowca, natomiast zakłócenie było silniejsze niż kiedykolwiek. Należało więc przyjąć, że rakiety AA7 chybiły i trzeba zacząć wszystko od początku — tym razem jednak bliżej gór, co najmniej trzysta metrów ponad bombowcem, bez radaru, ze zbiornikami paliwa lżejszymi o trzy tysiące kilogramów.

Przeszedł do lotu poziomego na najmniejszej dopuszczalnej wysokości, zmniejszył obroty do dziewięćdziesięciu procent i zaczął powoli przechylać samolot na lewe skrzydło w kolejnej próbie odszukania B-52. Chcąc udaremnić zakłócanie, uruchomił układ automatycznej zmiany częstotliwości radaru ofensywnego, który przełączał ją w sposób przypadkowy. Niewiele mu to dało. Zmiany były zbyt nikłe, zbyt późne, zawsze zdawały się trafiać w zakłócanie pasmo. Jurij doszedł tak do końca skali, ponawiając próby znalezienia bombowca.

Kto by w to uwierzył — B-52 w samym środku zamkniętej radzieckiej przestrzeni powietrznej! Samotny B-52, bez eskorty, bez poprzedzających go pocisków Cruise, nie wchodzący w skład misji B-1 czy FB-111, jak w przypadku Libii i Syrii dwa lata temu. Tylko jeden B-52.

Cóż, dlaczego nie, powiedział Jurij sam do siebie, rozpoczynając przeszukiwanie kolejnego wycinka. Jak dotąd plan Amerykanów powiódł się aż za dobrze. Nie miał wątpliwości, że B-52 przeleciał tysiące kilometrów, kierując się prosto na Kamczatkę, i zrzucił bombę na najważniejszy, poza Placem Czerwonym, skrawek terytorium Związku Radzieckiego.

Tam... w samym dole ekranu radaru... na ułamek sekundy przedtem, zanim zalała go kolejna fala zakłóceń, ukazał się na chwilę krzyżyk otoczony kółkiem. Emisja fal nieprzyjacielskiego radaru. Radar B-52, który sterował pociskiem użytym przeciwko MIG-owi, zdradził pozycję bombowca.

Kontynuował zakręt w lewo na kurs do przechwycenia. Jednocześnie przełączył radar ofensywny na pozycję STANDBY, by się samemu nie zdradzić — urządzenie było i tak bezużyteczne przy dość intensywnym zakłócaniu — ustawiając się równolegle do bombowca. Emisje fal radarowych z B-52 były sporadyczne — szukali go, to pewne, ale robili to ostrożnie. Choć, jak się okazało, nie dosyć ostrożnie. Udało mu się przecież ustalić ich trasę.

Ustawił czujnik podczerwieni w pozycji maksymalnego pochylenia w dół, czekając, aż chłodzone oko rakiety znajdzie B-52 — wiedział, że istnieje ryzyko namierzenia się pocisku na ciepły budynek, jednakże osiem silników odrzutowych powinno stanowić gorętszy cel niż jakikolwiek inny obiekt w powietrzu lub na ziemi. Znajdował się już na minimalnej bezpiecznej wysokości dla tego sektora i dalsze schodzenie bez stałego kontaktu wzrokowego z terenem równałoby się samobójstwu. Zwiększył obroty do dziewięćdziesięciu pięciu procent i czekał. Był pewien, że wkrótce dystans zmniejszy się, osiągając wielkość, przy której pocisk uchwyci cel, a wtedy on będzie górą i straci napastnika...

Gdy w kilka minut później czujnik namierzył się na gorący obiekt, nie mogło być mowy o pomyłce, biorąc pod uwagę intensywność emisji cieplnej i rozmiar celu. Czujnik miał większy zasięg od pocisku AA6, pilot zdawał więc sobie sprawę, że będzie zmuszony zbliżyć się nieco bardziej do B-52.

Jurij rozważył możliwość ponownego użycia radaru ofensywnego w celu uzyskania choćby szacunkowej odległości dzielącej go od bombowca, ale uznał, że to by go zdradziło. Gdyby znalazł się w zasięgu naziemnego radaru kontroli obszaru, mógłby od nich uzyskać te informacje, ale z jakiegoś powodu nie odbierał stacji w Korfie i Ossorze.

Prawdopodobnie leciał zbyt nisko, zbyt blisko gór... skoro nie słyszał ich przez radio, z pewnością nie mogli go widzieć na radarze.

Przez ostatnie parę minut sygnał uchwycenia celu przez czujnik nie zmieniał się, co oznaczało, że B-52 nie robił żadnych uników. Papendrejow rozluźnił nieco chwyt na drążku sterowym i manetkach... może nie wiedzą, że leci za nimi? Radar w ogonie bombowca nie włączał się już od jakiegoś czasu. Musi wystrzelić raketę, zanim wyśledzą go za pomocą tego właśnie radaru...

Nagle poczuł lekkie drzenie przebiegające tytanowy kadłub myśliwca. Rzucił okiem na wskaźniki silnika, sprawdzając, czy wszystko działa jak należy, niemniej podejrzewał już, że przyczyną była turbulencja spowodowana przez silnik bombowca, do którego szybko się zbliżał. Wpatrzył się w ciemność, nie udało mu się jednak niczego dostrzec.

To i tak nie miało znaczenia. W chwilę później na jego pulpicie sterowania raketami rozbłysła zielona lampka... wybrane pociski AA6 na podczerwień uchwyciły cel.

Zwolnił zabezpieczenie przycisku odpalania na drążku sterowym i...

W obu odbiornikach radiowych do łączności z dowództwem rozległ się zagłuszony przez trzaski komunikat:

— Dla wszystkich jednostek Ossory i Korfu, kod żółty. Powtarzam — kod żółty. Potwierdzić natychmiast przyjęcie.

Papendrejow nie zdjął palca z przycisku odpalania rakiet, ale też go nie wcisnął. Generalne odwołanie alarmu...

Zmagał się ze sobą usiłując podjąć decyzję. Miał B-52 na celownikach, jeśli jednak nada cokolwiek przez radio w tak bliskim sąsiedztwie bombowca, mogą go usłyszeć względnie wykryć transmisję i odpowiednio zareagować, ratując się ucieczką lub kontratakami. Wszystkie jednostki przechwytyjące Korfu zareagowały natychmiast na instrukcje odwołujące. Wszystkie jednostki Ossory postąpiły prawdopodobnie tak samo — z wyjątkiem Jurija. Wystawiał zapewne na szwank swoją karierę. Młody pilot dowodzący myśliwcem o dalekim zasięgu, zdolnym dolecieć do Japonii czy Alaski, który nie zareagował bez chwili namysłu na instrukcje odwołujące, mógł łatwo skończyć na przebieraniu kartofli w magazynie jakiejś odległej syberyjskiej bazy. Albo jeszcze gorzej.

— Cholera! — zaklął głośno Papendrejow, nie przestając obserwować celu, po czym włączył radio i zameldował: — Jednostka siódma potwierdza przyjęcie kodu żółtego. Określcie moją pozycję. Czekam na decyzję. Zbliżam się do napastnika.

— Jednostka siódma, zastosuj się natychmiast do instrukcji — usłyszał w odpowiedzi. Tym razem wywołano jego numer — najwyraźniej tylko on nie zameldował się jeszcze nad radiolatarnią w Ossorze. Przypuszczalnie już wypisywano mu bilet do Ust'-Meleszyńska, trzysta mil na północ od Koła Podbiegunowego...

Tłuste, pieprzone skurwysyny, ulżył sobie Papendrejow. Z wściekłością wcisnął przycisk odpalania rakiety i zaczął się wznosić, biorąc kurs w lewo na Ossorę... dopiero ponieważ zorientował się, że zielona lampka NAPROWADZANIE NA PODCZERWIEN dawno już zgasła. Dwa pociski, a każdy wartości dwustu tysięcy rubli, zniknęły w ciemności.

Jurij klął w żywy kamień swoich przełożonych, dowódcę lotu, kontrolerów naziemnych, oficerów stanowiska dowodzenia i wszystkich, którzy przyszli mu na myśl, kiedy zawracał. Nie przejmował się już lodowątą bazą na Syberii — myślał o tym, w jaki sposób skreśli kark pierwszej osobie, która mu się napatoczy.

Generał Elliott i podpułkownik Ormack zgodnie usiłowali sprowadzić Old Doga w jak najbliższe sąsiedztwo szczytów górskich. Komputer do lotu na małej wysokości był już ustawiony na COLA, najmniejszą dopuszczalną wysokość w automatycznym trybie pracy, ale

w sytuacji gdy radziecki myśliwiec siedział im na ogonie, nawet sto stóp liczyło się za dziesięć tysięcy. W kabinie systematycznie rozlegał się przerywany sygnał ostrzegawczy, gdy piloci nie stosowali się do polecenia automatycznego wznoszenia; wysokościomierz radarowy B-52, notujący dokładną odległość od ziemi, pokazywał od czasu do czasu wartość dwucyfrową.

Patrick dwojgiem zdrowych oczu, a David jednym śledzili uważnie obraz ukształtowania terenu na dziesięciocalowym ekranie McLanahana. Nawigatorzy ostrzegali głośno przed niewielkimi nawet wzniesieniami, które mogły stanowić zagrożenie. Działania Elliotta i Ormacka były zsynchronizowane — jeden zmuszał samolot do schodzenia niżej nad ziemię, drugi pilnował przyrządów i podrywał do góry, reagując na ostrzeżenia komputera oraz informacje, które słyszał przez telefon pokładowy.

— Siedział nam na ogonie — powiedziała Wendy. — Sygnał radiowy był tak silny, że słyszałam go w słuchawkach telefonu pokładowego. — Przełknęła ślinę, wpatrując się w swój ekran. — Sygnał słabnie coraz bardziej... Chyba odlatuje...

— Mój ekran jest czysty — zameldowała Angelina i wzdrygnęła się. — Widziałam go przez sekundę, potem zniknął.

Elliott przestał ścisnąć kurczowo drążek sterowy i pozwolił, by komputer przejął znów kontrolę nad Old Dogiem.

— Niewiele brakowało — powiedział. — Widziałem rakiety, które rozerwały się tam... naprawdę blisko, a myśmy nawet nie wiedzieli, że on nas tak podszedł. Nawet nie wiedzieliśmy...

LOTNISKO W OSSORZE

Jurij Papendrejow stał na baczność przed biurkiem dowódcy eskadry w pokoju przygotowawczym Eskadry Myśliwców Przechwytyjących PVO Strany na lotnisku w Ossorze. Dowódca Waszoltow — wysoki starszy mężczyzna w stopniu komandora marynarki, w służbie czynnej od wielkiej wojny narodowej — przemierzał pokój w tę i z powrotem. Nie padło jeszcze ani jedno słowo, choć Papendrejow stał tak wyprostowany już od dobrych dwóch minut.

Muszę trochę przetrzymać tego szczeniaka, pomyślał dowódca eskadry, choć wcale nie było to jednoznaczne z reprimendą. To, czego w podobnej sytuacji spodziewali się po nim ludzie z jego jednostki, ale także zwierzchnicy — to pięć, dziesięć minut rozmowy w cztery oczy zakończonej być może trzaśnięciem drzwiami, kilkoma przekleństwami i naganą służbową. Nagana nie wychodziła nigdy poza akta eskadry — na mroźnych pustkowiach Kamezatki trudno było o dobrych pilotów, którzy na dodatek nie pili podczas pełnienia służby — i znikala z nich po kilku miesiącach. Jakżeż nienawidził tego brania na dywanik! Musiał to jednak robić, by utrzymać dyscyplinę i gotowość bojową jednostki.

— Zawiedliście całą eskadrę, Papendrejow — powiedział w końcu stary dowódca, spoglądając na pilota Fulcrum. — Brak potwierdzenia instrukcji odwołujących jest prawie tak poważnym przestępstwem jak zdrada. Albo dezercja.

Jurijowi nie drgnęła nawet posieka, nie poruszył się żaden mięsień — choć większość młodych pilotów miękła na dźwięk słowa „zdrada”.

Waszoltow obserwował go przez chwilę. Papendrejow mógłby być przybyszem z Berlina albo z jeszcze dalszych stron — Kopenhagi czy Londynu. Był barczystym, średniego wzrostu, kędzierzawym blondynem o niebieskich migdałowych oczach, które patrzyły prosto przed siebie. Jego buty lśniły jak lustro, każdy zamek błyskawiczny był zaciągnięty, naramienniki na kombinezonie lotniczym leżały idealnie prosto. Za pięć lat młody pilot będzie prawdopodobnie dowódcą klucza... Nowa generacja, pomyślał Waszoltow, ale właśnie teraz tej „nowej generacji” należała się ostra nagana. Waszoltow wiedział, jak szybko udziela się w jednostce nastrój niepokoju, znużenia, narasta niesubordynacja i brak dyscypliny, kiedy to młodym ludziom zwłaszcza wydaje się, że dowódca nic nie dostrzega. Musiał jakoś załatwić tę sprawę...

— Pewnie będziecie się teraz tłumaczyć, że nawaliło wam radio.

— Radio było w porządku, towarzyszu dowódco.

— Milczeć, Papendrejow! Milczeć albo zerwę wam odznakę pilota! — Dowódca eskadry krążył wokół młodego pilota niczym rekin szykujący się do ataku. Papendrejow stał nieporuszony wciąż na baczność.

— Czterdzieści osiem godzin odśnieżania, kapitanie! Może wietrzna syberyjska noc ostudzi waszą zapalczywość. I pilnujcie się, żebym was tam nie odkomenderował na stałe.

— Miałem tego intruza jak na dłoni, towarzyszu dowódco! — wybuchnął Papendrejow. — Widziałem go, to amerykański B-52! Wystrzeliłem rakietę!

— Co zrobiliście?

Papendrejow nie zmienił postawy.

— Wypatrzyłem B-52 trzysta metrów nad ziemią. Ścigałem go do wysokości siedemdziesięciu metrów...

— Siedemdziesięciu metrów? Myśliwcem? Bez zezwolenia! Bez...

— Wyśledziłem go! Miałem go na radarze, ale zbyt silnie zakłócał, więc namierzyłem go w podczerwieni. Zbliżyłem się do niego na odległość trzech kilometrów.

Waszoltow pohamował złość na młodego człowieka, który bez przerwy wchodził mu w słowa.

— I co dalej?

— Zostałem odwołany do bazy. Do końca się łudziłem, że zmienią rozkaz. Zanim mu się podporządkowałem, wystrzeliłem rakietę, ale tymczasem utraciłem namiar na cel. Musieli odkryć moją transmisję ra...

— Wystrzeliliście do B-52? — Przez czterdzieści lat nie przydarzyło mu się, by ktokolwiek pod jego rozkazami wystrzelił do czegokolwiek poza ćwiczebnym bezzałogowym samolotem-celem. — Czy go trafiliście?

— Pierwszy pocisk sterowany radarem... tak, myślę, że go trafiłem — odparł Papendrejow. Życzyłby sobie, by głos brzmiał mu mniej niepewnie i niezdecydowanie — niestety, wyglądało na to, że kłamie.

— Mogliście zginąć — powiedział Waszoltow. — W każdej chwili mogliście się rozbić. Lecąc na wysokości siedemdziesięciu metrów nad górami, nocą, bez kontaktu z radarem naziemnym... ryzykowaliście zbyt wiele. Będę musiał o tym zameldować...

— Pozwólcie mi lecieć za nim — znów przerwał mu Papendrejow. — Odnajdę go. Posługuje się radarem zainstalowanym na ogonie, który można wykryć z odległości czterdziestu kilometrów. Leci z prędkością najwyżej pięciuset, no, może sześciuset kilometrów na godzinę... Potrafię go dopaść! Zejdę nisko i namierzę się na niego detektorem podczerwieni. Nie zauważy mnie, jeśli nie będę używał radaru.

— Nie użyjecie radaru? — Waszoltowowi niemal odebrało mowę ze zdumienia. Papendrejow odbył właśnie nocny lot nad grzbietami górskimi Kamczatki — a dopiero niedawno uzyskał zezwolenie na nocne loty — na wysokości siedemdziesięciu metrów, czyli około tysiąca metrów poniżej pułapu ustalonego dla lotów bez użycia radaru. W ciągu jednej godziny złamał więcej przepisów niż cała eskadra przez ostatnie miesiące. Po przeczytaniu raportu dowódca Sił Obrony Powietrznej jego, Waszoltowa, z pewnością wysze na zasłużony wypoczynek. — Macie cholernie dużo szczęścia, że uszliście z życiem — powiedział. — Cholernie dużo! Przepisy są po to, by chronić takich zapaleńców, jak wy. Złamaliście co najmniej cztery z nich — nie licząc lekceważenia rozkazu odwołującego, co jest poważnym przestępstwem. Jesteście o krok od sądu wojskowego, kapitanie, o krok.

— Proszę mnie więc ukarać! — rzucił wyzywająco Papendrejow. — Wyślijcie mnie do Ust-Meryna albo do Gorkiego! Odbierzcie mi odznakę! Ale pozwólcie mi jeszcze raz zapolować na Amerykanów...

— Dość tego! — ryknął Waszoltow ochryłym od palenia głosem. — Zameldujcie się bezzwłocznie w sekcji wywiadu i zdajcie mi dokładne sprawozdanie z domniemanego kontaktu z B-52. I wracajcie natychmiast do swojego baraku! Muszę się zastanowić, co z wami zrobić — postawić przed sądem wojskowym czy oddać w ręce służby śledczej?

— Towarzyszu dowódco, błagam! — spojrzenie Papendrejowa złagodniało, a jego zimne, niebieskie oczy zrobiły się okrągłe. — Zasługuję na karę, surową karę, ale również na to, by zestrzelić ten samolot! Wiem, gdzie go szukać i w jaki sposób go podejść! Błagam...

— Wynoście się! — Waszoltow opadł na drewniane krzesło. — Wynoście się, zanim wygarbuję wam skórę i wsadzę do aresztu!

Okrągłe oczy Papendrejowa zwężyły się, wzrok stwardniał. Wyprężył się na baczność, zasalutował, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Papendrejow, zgodnie z rozkazem, wrócił szybko do swego pokoju, nie wstępując jednak po drodze do sekcji wywiadu lotniczego. Zapalił lampę nad biurkiem, wyciągnął papier i pióro. Zanim skończył, podniósł słuchawkę telefonu i wykrcił numer.

— Dyżurna sekcja mechaników, przy telefonie sierżant Błochin.

— Sierżancie Błochin, mówi kapitan Papendrejow. Dzwonię z pokoju przygotowawczego. Czy myśliwiec jeden-siedem-jeden jest gotów?

— Jeden-siedem-jeden? Wasz samolot? Ten, którym wylądowaliście przed chwilą?

— Oczywiście, mój samolot, sierżancie. Czy jest gotów?

— Towarzyszu kapitanie... my... został odholowany do strefy B, ale nie...

— Sierżancie Błochin, to niepodobne do was — powiedział Papendrejow. — Wybraliście

najgorszą porę na niezrozumienie rozkazów. Mój samolot miał być natychmiast wyposażony w czterystudekalitrowy odrzucany zbiornik zewnętrzny i cztery rakiety na podczerwień. I gotów do odlotu o najbliższej pełnej godzinie. — Zamilkł, po czym powiedział cicho: — Będę musiał zameldować dowódcy eskadry Waszoltowowi, że mój start opóźni się...

— To nie będzie konieczne! — przerwał mu szybko Błochin. — Jeden odrzucany zbiornik zewnętrzny i cztery pociski na podczerwień... wszystko będzie gotowe za piętnaście minut, towarzyszu kapitanie.

Papandrejow spojrzał na zegarek.

— Za dziesięć minut, albo nas obu czeka pogawędka z dowódcą eskadry. Muszę jeszcze zarejestrować plan lotu — powiedział, kończąc swoje pośpieszne bazgroły. — Będę tam za chwilę.

Odłożył słuchawkę, podszedł do komody i obrzucił ostatnim, pełnym miłości spojrzeniem fotografię żony i maleńkiej córeczki, następnie otworzył górną szufladę. Wpatrując się w ciemnokasztanowate włosy żony i jasne loki córki, zaczął napychać kieszenie paczuszkami liofilizowanej żywności i suszonego mięsa wołowego. Rozpiął szybko kombinezon, włożył dodatkową ciepłą koszulę na ognioodporną bieliznę i zmienił lekkie buty lotnicze na ocieplane. Poglaskał fotografię żony, po czym włożył kurtkę, rękawiczki oraz futrzaną czapkę i udał się szybko na płytę lotniska.

W pokoju zostawił nabazgraną pośpiesznie notatkę wraz z ostatnią wolą. Na ich podpisanie zabrakło mu czasu. Nieważne. Jego kariera skończyła się w momencie, gdy postawił stopę na płycie lotniska, a życie znalazłoby zapewne swój finał w chwili, gdy kołował na główny pas startowy, tyle że z powodu alarmu ogłoszonego nad całym wschodnim rejonem obrony przeciwlotniczej kontrolerzy ruchu zezwolili mu na start z nie potwierdzonym do końca planem lotu. W razie zagrożenia lepiej mieć najpierw myśliwce w powietrzu, a dopiero potem upewniać się, że dopełniono formalności. Oczywiście Papandrejow wiedział o tym. Znowu był w górze, w niecałe trzydzieści minut od powrotu z poprzedniej operacji.

Minęło zaledwie półtorej godziny od chwili, gdy zaprzestał ataku na B-52. Bombowiec, niewątpliwie uszkodzony, leciał powoli — mógł przebyć najwyżej około siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów od lotniska w Ossorze, licząc od momentu, gdy Jurij wystrzelił ostatnie pociski. W trakcie pościgu jego MIG29 Fulcrum był w stanie bez trudu utrzymać trzykrotnie większą szybkość od bombowca, pobierając przy tym paliwo wyłącznie z zewnętrznego zbiornika, i mieć w zapasie jeszcze kilka godzin na poszukiwania.

Papandrejow podał swój znak wywoławczy Kontroli Lotów Myśliwskich w Ossorze, gdzie pobieżnie wypytano go o brakujący kod rozkazu wylotu i bez zbędnych ceregieli

poinformowano o ostatniej zarejestrowanej pozycji bombowca, odległej o blisko pięćset kilometrów. Urzymując cały czas maksymalne obroty, młody pilot zaczął wznosić się z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę pod kątem dziesięciu stopni. Po kilku minutach znalazł się na wysokości dwudziestu tysięcy metrów, biorąc kurs na północny wschód z prędkością tysiąca siedmiuset kilometrów na godzinę, niemal dwukrotnie przekraczając prędkość dźwięku.

W chwilę później został przekazany Kontroli Lotów Myśliwskich w Korfie, od której otrzymał uaktualnione dane na temat pozycji bombowca; wołał jednak oprzeć się na własnych wyliczeniach. Oszacowawszy, że środkowy, zewnętrzny zbiornik paliwa jest już pusty, odrzucił go, nie zastanawiając się ani trochę, kto lub co może znajdować się pod nim... Przelatywał wysoko ponad górami, w tym rejonie domostwa ludzkie były z rzadka rozsiane. Leciał z maksymalnym dopalaniem jeszcze przez pięć minut, po czym ustawił manetki na moc przelotową i włączył pilota automatycznego.

Pozostało mu pięćdziesiąt tysięcy litrów na wytropienie Amerykanina, a zużywał dwa tysiące litrów na godzinę zaledwie mając nadzieję, że go dogoni. Ale Papendrejow nie martwił się. Wiedział, że dzięki intuicyjnie wprowadzonym korektom kursu, nos jego myśliwca jest wymierzony prosto w serce amerykańskiego samolotu.

— Nie damy rady — czuł się w obowiązku zameldować Ormack. Pozostało nam paliwa najwyżej na pół godziny lotu.

Generał Bradley Elliott sprawdził dokładnie autopilota oraz wskaźniki kontroli lotu, tymczasem Ormack jeszcze raz przeliczył ilość pozostałego paliwa. Od przeszło godziny lecieli na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, nie mogąc jej przekroczyć z powodu rozhermetyzowania kabiny.

— Przepływ paliwa?

— Prawie stały — odpowiedział Ormack — ale z krzywą zużycia paliwa jest coraz gorzej. Podejrzewam duży przeciek ze zbiorników skrzydłowych i kadłubowych. Przepompowałem całe paliwo ze zbiorników kadłubowych, ale nie mogę nic zrobić z głównymi... Mam w nich minimum konieczne do utrzymania nieprzerwanej pracy silników. Od dłuższego czasu palą się lampki sygnalizujące niskie ciśnienie...

— Czy damy radę dolecieć nad ocean? — spytał Elliott, przebiegając wzrokiem wskaźniki silników i sprawdzając je za pomocą ruchów dźwigni.

Wylądować na krze lodowej lub zwinąć manetki w pobliżu wybrzeża?

— Zwinąć manatki? — spytała Angelina. — Ma pan na myśli katapultowanie?

— Od wybrzeża dzielą nas wysokie pasma górskie — powiedział Luger, grzejąc dłonie powietrzem z otworu wentylacyjnego. — Przelatywalibyśmy nad nimi prawie na styk...

— Nadeszła pora, by podjąć decyzję — stwierdził Elliott. — Patricku, podaj mi kurs w kierunku oceanu, jak najdalej od jakichkolwiek czynnych baz radzieckich myśliwców. Załoga, proszę się przygotować do...

— Chwileczkę — przerwał mu McLanahan. — Panie generale, co oznaczają litery WXO obok symbolu lotniska?

— WXO? Czynne tylko wiosną i latem. Zamyka się je na okres zimy, ponieważ są zbyt kosztowne i trudne do utrzymania. Czemu pytasz?

— Znalazłem takie jedno — wyjaśnił Patrick, wskazując palcem punkt na mapie nawigacyjnej dla dużych wysokości i odczytując wskazania aktualnej pozycji z systemu nawigacji satelitarnej. — Piętnaście minut lotu, prosto przed nami.

— Piętnaście minut? — zdumiał się Ormack. — Najwyraźniej ci odbiło. Przecież to jest w Rosji.

— Mają przynajmniej długi pas startowy — powiedział McLanahan. — Może zdobędziemy paliwo i olej do silnika numer dwa. Jeśli lotnisko jest opuszczone lub nieczynne, moglibyśmy...

— Takie lotniska nie bywają opuszczone — przerwał mu Elliott. — Na pewno nie w naszych bazach na Alasce. Zazwyczaj w okresie zimowym trzymamy tam dozorców, przeważnie miejscowych, którzy pilnują tych obiektów. Czasem może być ktoś z Gwardii Narodowej lub jednostek rezerwy. Ormack wlepił w Elliotta zdumione spojrzenie.

— Generale, chyba nie myśli pan serio... Zwariowaliście obaj! Może powinien pan znowu łyknąć sobie tlenu. — Ostro spojrział na Elliotta spodziewając się, że zbędzie wzruszeniem ramion dziwaczny pomysł McLanahana zakrawający na czarny humor...

— Generale...

— Mamy broń...

— Pański pistolet i dwa marne rewolwery kalibru 38 w wyposażeniu ratunkowym — wtrącił Ormack. — Żeby tylko nie było z nimi więcej kłopotu niż pożytku. Niewykluczone, że przeleżały w tym samolocie wiele lat.

— Moglibyśmy uzupełnić paliwo... — powiedział Elliott właściwie do siebie.

— Robiłem to mnóstwo razy — wpadł mu w słowo McLanahan, w jego głosie wyczuwało się rosnące podniecenie. Luger gapił się na McLanahana w podobny sposób jak Ormack na Elliotta — z niedowierzaniem. — Ćwiczenia Global Shield. Pamiętasz, Dave? Symulowane

przymusowe lądowanie na awaryjnym lotnisku po wykonaniu bombardowania. Utrzymać silniki gondoli numer dwa „na chodzie”, zatankować paliwo do prawego zewnętrznego albo prawego odrzucanego zbiornika i przepompować je do pozostałych zbiorników. Kiedyś pompowałem ręcznie dziesięć tysięcy funtów...

— Już widzę, jak Rosjanie pozwalają nam zabrać swoje paliwo! — mruknął Luger. — Szalony pomysł!

— Skończymy w niewoli — dodała Angelina. — Wolę spróbować szczęścia w górach, niż wpaść w ich ręce, zwłaszcza po tym, co im zrobiliśmy.

— Nie, pomysł z górami nie jest fortunny — zaprotestował Elliott. — Nawet gdybyś wyszła cało z katapultowania, to z zestawem ratunkowym, jakim dysponujemy, masz w najlepszym wypadku pięćdziesiąt procent szans. Lądowanie na morzu też nie wchodzi w rachubę. Old Dog nie wytrzymałby zderzenia z wodą.

— Mimo wszystko uważam, że każde z tych wyjść jest lepsze od lądowania na radzieckim lotnisku...

— Naprawdę, John? — spytał Elliott. — Jak długo, twoim zdaniem, uda nam się przeżyć w górach?

— Jeśli dociągniemy do wybrzeża, nasze szansę wzrosną.

Elliott zignorował tę uwagę i spytał nawigatorów o odległość dzielącą ich od linii brzegowej.

— Sto mil w linii prostej — odpowiedział Luger. — Ale musimy przelecieć nad dwoma grzbietami górskimi, z których każdy ma około dziewięciu do dziesięciu tysięcy stóp wysokości, poza tym przez całą drogę będziemy w zasięgu radaru lotniska w Trebleski. Gdy minimy góry, możemy umknąć ich radarowi w kierunku północnowschodnim.

— A może lepiej trzymać się gór? — zaproponowała Wendy. — Oddalić się jak najbardziej od Trebleski i ukryć w górzystym terenie, gdzie radar nie odróżni nas od tła?

— Czy nie możemy w ogóle ominąć Trebleski?

— Nie od strony wybrzeża — odparł Luger, ocierając nie zasłonięte oko. — Chyba że polecimy naokoło gór.

— A więc mamy słabe widoki na to, by dotrzeć do wybrzeża — podsumował Elliott. — Czyli katapultujemy się nad górami, w środku zimy, setki mil od skrawka przyjacielskiego lądu. Moglibyśmy spróbować jakoś się wymknąć, ale wątpię, czy uda nam się dostać do wybrzeża, a tym bardziej do Alaski.

— Generale, chce pan przez to powiedzieć, że lądowanie na radzieckim lotnisku wojskowym, opuszczonym czy nie, jest lepszym wyjściem z sytuacji? — spytał Ormack. —

Byłoby to równoznaczne z poddaniem się. Wręczylibyśmy ten samolot — i siebie samych na dokładkę — w prezencie Rosjanom. Nie widzę najmniejszej szansy, byśmy uszli z życiem z radzieckiego więzienia.

Elliott milczał przez długą chwilę, po czym rzekł:

— Patricku, podaj mi odległość dzielącą nas od tego lotniska.

McLanahan wprowadził już współrzędne lotniska do swego komputera nawigacyjnego.

— Odległość do Anadyru osiemdziesiąt mil, kurs pięć stopni w lewo.

— Czy jest wokół niego kółko oznaczające radar?

— Tak — odpowiedział McLanahan, studiując lotnictwa cywilnego. — Nie mogę stwierdzić, co tam mają, ale coś jest.

— Wendy, odbierasz jakieś sygnały?

Odkąd McLanahan po raz pierwszy wystąpił ze swym szalonym pomysłem, Wendy Tork wpatrywała się z uwagą w ekran odbiornika sygnalizującego zagrożenia.

— Ekran czysty. Ostatni sygnał odebrałam z lotniska w Ossorze.

— Brak przeszkód terenowych przez najbliższe sto mil — zameldował McLanahan, regulując obraz na ekranie radaru, tak by objął zasięgiem sto mil morskich. — Nie mamy więc gdzie się schronić przed ewentualnymi nieprzyjacielskimi radarami. Nie widzę też lotniska w Anadyrze.

— W porządku — powiedział Elliott — wysłuchaliście wszystkich za i przeciw. Nie mamy żadnej gwarancji, że lądując w Anadyrze zdobędziemy paliwo i olej, może zaciśniemy sobie tylko pętlę na szyi. Z drugiej strony istnieje możliwość, że wylądujemy i opuścimy to pudło bez szwanku, ukradniemy ciężarówkę, zwiększając szansę na ucieczkę w kierunku Cieśniny Beringa, gdzie mamy lepsze widoki na uzyskanie pomocy. Jeśli ktoś z was jest niepoprawnym marzycielem, jak Patrick, uwierzy, że zatankujemy paliwo do pełna, uruchomimy z powrotem silnik numer dwa, wystartujemy i być może doprowadzimy bombowiec do Alaski.

— Czyste wariactwo — mruknął Ormack. — Jeśli baza jest czynna, nie mamy najmniejszej szansy na ponowny start — silniki zgasną, zanim zdołamy oderwać się od ziemi. Gdyby nie udało nam się zdobyć paliwa, ugrzęźniemy w rosyjskiej bazie wojskowej, trzysta mil od przyjaznego terytorium. Rosjanie dostaną Old Doga, a nam pozostanie nikła nadzieja na przedarcie się do Alaski.

— Cóż, nie mogę dopuścić, by załoga katapultowała się nad górami — powiedział Elliott. — Szansa przeżycia samego katapultowania byłaby niewielka. Gdyby się jednak udało, czeka nas trzysta mil wędrówki przez Syberię z Armią Czerwoną deptającą nam po piętach.

Proponuję spróbować szczęścia na otwartym terenie, wszyscy razem. Dopóki będziemy cali i zdrowi, możemy przecież walczyć albo ratować się ucieczką.

— Jestem za — poparł go Luger. — Do diabła, ta baza to ostatnie miejsce na ziemi, w którym mogliby się nas spodziewać, nie licząc centrum Moskwy.

— W porządku, panie generale, lądujemy. — Wendy przymknęła oczy pogrążając się w bezgłośniejszej modlitwie.

— Zgoda — wzruszyła ramionami Angelina. — Nie wiem, czy odważyłabym się katapultować z tego przeklętego pudła.

— Zrobię wam skrócone szkolenie — powiedział McLanahan. — Kto wie, czy nie okaże się potrzebne. Panie generale, proszę o pozwolenie wejścia na górę. Dave, zastąp mnie przy ekranie.

Ormack, zgodziwszy się, że faktycznie nie mają wielkiego wyboru, wyciągnął instrukcje awaryjnego lądowania, tymczasem McLanahan wszedł na górny pokład i przykucnął obok Wendy i Angeliny. Podłączył swój hełmofon do gniazdka na stanowisku instruktora obrony i poprosił obie kobiety o przełączenie telefonu pokładowego na pozycję „rozmowa prywatna”, co pozwoliłoby im porozumiewać się bez przeszkadzania reszcie załogi.

— Trzymacie się jakoś, moje wojowniczkis?

Angelina skinęła głową, ale nie wyglądała lepiej od Lugera. Ciepłe powietrze McLanahan musiał skierować na dolny, uszkodzony, pokład, by nie narazić Lugera na kolejny szok. Angelina nawet w pożyczonej od Wendy kurtce i ocieplanym podkoszulku, marzła strasznie. Wargi miała sine, powieki jej opadały, jakby walczyła z sennością, ręce w sztywnych metalizowanych rękawicach ognioodpornych schowała głęboko pod kurtkę, próbując je rozgrzać.

Obrona bombowca nie wchodzi właściwie w rachubę, pomyślał McLanahan. W tych warunkach obsługa urządzeń przez Angelinę była trudna lub wręcz niemożliwa. Jedyne wyjście to lądować.

— Trzymaj się, Angie — powiedział.

— Nie martw się o mnie... McLanahan odwrócił się do Wendy.

— A ty jak sobie radzisz?

— Jako tako. Mam ochotę na drinka.

— Stawiam ci szampana po powrocie do domu... Dobra, uczyłyście się tego parę miesięcy temu, ale powtórzmy jeszcze raz. Jeśli zostaniemy zaatakowani w czasie podchodzenia do lądowania albo piloci nie będą w stanie wylądować, nie mamy wyboru, musimy się katapultować. Słuchajcie uważnie, patrzcie na lampki ostrzegawcze i nie wpadajcie w panikę

— w żadnym razie nie wolno wam się zawahać. System katapultowania jest prosty, trzystopniowy — zapamiętajcie tylko: gotów, cel, pal. Gotów — wyciągacie przetyczkę zabezpieczającą uchwyt umieszczony w poręczy fotela, zwalnicie dźwignię i przekręcacie uchwyt do góry. Należy złapać za jego przednią część, nie środkową ani wewnętrzną. Nie ma pośpiechu, róbcie to płynnie i spokojnie. Te urządzenia są stare i trzeba się z nimi obchodzić ostrożnie. Teraz cel — polega na przyjęciu odpowiedniej pozycji. Wciskacie się pupą i plecami jak najgłębiej w fotele, a głowę zapieracie o zagłówek. Brodę trzeba przycisnąć do piersi. Pamiętajcie przez cały czas, by kręgosłup był wyprostowany. Stopy mają spoczywać płasko na podłodze, kolana złączone. Łokcie nie powinny wystawać poza poręcz fotela, ramiona przyciśnięte do oparcia. I wreszcie pal — dziecinnie łatwa sprawa. Ujmujecie dźwignię wewnątrz uchwytów do katapultowania i naciskacie je. Zanim się obejrzyście, będziecie już na ziemi.

— Co się stanie, jeśli fotele nie odpalą? — spytała Angelina, trzęsąc się z zimna. — Czy możesz omówić kolejność czynności przy awaryjnym katapultowaniu?

— Nie przejmuj się tym. Jeśli okaże się to konieczne, sam wystrzelę ręcznie twoją katapultę.

— Ty? — zdziwiła się Wendy, spoglądając na McLanahana. — Jakim cudem?

— Szansa, by nawigatorzy przeżyli katapultowanie w dół na wysokości poniżej dwóch tysięcy stóp, wynosi około pięćdziesiąt procent. Jeśli zejdziemy poniżej tysiąca stóp... niezależnie od tego, co mówią instrukcje... jest bliska zera.

— Ale...

— Dave nie ma wyrzucanego fotela — wyjaśnił Patrick. — Gdy wreszcie się zdecydowano na drugiego nawigatora, poprosiłem o zainstalowanie dla niego wyrzucanego fotela. Ale tak nas pilowali o jak najszybsze zakończenie testowania, że jakoś to przeoczyli. — Spróbował się uśmiechnąć, ale dał za wygraną. — Zrobię tak: ustawię krzyż celownika na pas startowy, żeby komputer artyleryjski wspomagał pilotów podczas lądowania, przypnę Dave'a do fotela, potem wrócę na górę i sam zapnę pasy. Dopilnuję, żebyście obie się katapultowały, jeśli okaże się to konieczne...

— Patricku, nie możesz...

— Owszem, mogę i zrobię to. Koniec dyskusji...

— Pat, znajdujemy się pięćdziesiąt mil od Anadyru — zameldował Luger. Odczekał parę chwil. — Pat...?

Wendy kręciła głową, nieprzekonana. Pomyślał, że powinien powiedzieć jej całkiem co innego, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów. Namacał przełącznik telefonu pokładowego.

— Słucham?

— Pięćdziesiąt mil — powtórzył Luger. — Dobrze się czujesz?

— Świetnie.

— Zapiąć pasy — polecił Elliott. — Wszyscy na miejsca!

McLanahan zszedł powoli po drabince, zajrzał przez ramię Lugerowi. David siedział teraz w lewym wyrzucanym fotelu nawigatora, wpatrując się w dziesięciocalowy ekran radaru.

— Widać to już, stary? — spytał Patrick. Luger przełączył ekran radaru na zobrazowanie terenu w zasięgu pięćdziesięciu mil i ustawił wzmacnienie odbiornika regulatorem umieszczonym obok lewego kolana, zmieniając natężenie odbieranego echa terenu w poszukiwaniu pasa startowego.

— Nie — odpowiedział, zbliżając zdrowe oko do ekranu. — Wciąż nie widzę tego pasa. Gdy wygaszam echo terenu, ekran staje się ciemny.

— Załóżmy, że nawaliły komputery. Powinieneś wyłapać pas startowy z odległości trzydziestu mil. Próbuje dalej. — Pochylił się, sprawdzając uprząż spadochronu i pasy Lugera. — Wygodnie ci?

— W dalszym ciągu jestem temu przeciwny — powiedział Luger.

— To moja wina, że w ogóle znalazłeś się w tym samolocie. Moja — że zostałeś ranny. Chcę, byś przynajmniej miał szansę wydostania się stąd, jeśli coś się nie powiedzie.

— Dzięki, stary, ale wolałbym myśleć, że to mój tak zwany profesjonalizm zapewnił mi bilet na ten samolot. Nie oddałbym tego przeświadczenia za nic. No, może prawie za nic.

— Zgoda. Stawiam ci piwo po powrocie. Albo raczej wódkę. Myślę, że to odpowiedniejszy trunek.

McLanahan klepnął Davida po plecach, wziął jego mapę taktyczną i wdrapawszy się na górę, włożył zapasowy spadochron i przypiął się pasami do fotela.

— Czterdzieści mil — zameldował Luger. — Brak przeszkód terenowych.

— Wystarczy nam paliwa na jedno niskie podejście — poinformował Ormack. — Pałą się lampki ostrzegające o niskim ciśnieniu paliwa we wszystkich zbiornikach. Jeden przelot kontrolny, następnie zakręt w lewo i podejście do lądowania.

— Słuchajcie wszyscy uważnie — odezwał się Elliott. — Jeśli zostaniemy ostrzelani z ziemi, rezygnujemy z planu lądowania i wnosimy się możliwie najszybciej. Przechodzimy do lotu poziomego na piętnastu tysiącach i lecimy aż do wyczerpania paliwa. Potem skaczecie na moją komendę, ale jak zobaczycie czerwone światło ostrzegawcze, nie czekajcie na rozkaz. Po wylądowaniu włączcie radia na kanale dyskretnym, spróbujemy się nawzajem zlokalizować i zebrać do kupy.

— Trzydzieści mil — zameldował Luger. — Wzniesienia terenu, pozycja godzina druga. Nie mają dla nas znaczenia. Na obszarze planowanego zakrętu w lewo brak przeszkód terenowych.

— Przygotowujemy się do wykonania wydłużonego zakrętu przed wejściem na ostatnią prostą. Luger — powiedział Ormack — będziesz miał lotnisko po lewej stronie.

— Przyjąłem.

— Załoga, kontrola czynności przed lądowaniem — zawołał Ormack. — Mamy dwadzieścia tysięcy funtów paliwa. Nawigator, proszę o prędkość podchodzenia do lądowania i dane lądowania awaryjnego.

Luger przywołał dane lądowania na ekranie monitora.

— Przy dwóch nie pracujących silnikach po jednej stronie — prędkość podchodzenia do lądowania jest mniejsza od minimalnej prędkości manewrowej, a więc minimalna prędkość manewrowa ma priorytet — odczytał Luger. — Wynosi ona Jeden-Dwadzieściaosiem, przy całkowicie wychylonych klapach, i dwadzieścia pięć poprawka na stery nie w pełni sprawne. Sto pięćdziesiąt osiem węzłów. Ustawienie obrotów silników symetryczne na moc bojową. Prędkość przyziemienia jeden-czterdzieściosiem. Moc hamowania ograniczona jeden-pięćdziesiąt do końca strefy niebezpiecznej, Jeden-Trzydzieści do końca strefy wzmożonej ostrożności. Maksymalna prędkość przy otwarciu spadochronu hamującego Jeden-Trzydzieści pięć.

— Może nie starczyć na okrążenie lotniska — powiedział Ormack, patrząc na wskaźniki paliwa. Wymieniał dalej czynności kontrolne, wywołując je kolejno na ekranie komputera pokładowego. Można by sądzić, że w bombowcu pozostało niewiele działających sprawnie urządzeń. Lista była długa — lądowanie z przeciekami paliwa, przy nieczynnych dwóch silnikach, po pożarze silnika, z niesprawnym spadochronem hamującym i uszkodzonym systemem hydraulicznym, wyjechanie poza pas startowy, lądowanie na oblodzonym i zaśnieżonym podłożu, postępowanie na nieznanym lotnisku, katapultowanie i przymusowa ewakuacja z samolotu. Gdy wreszcie skończył, Luger zameldował, że od Dalekowschodniej Bazy Lotniczej Myśliwców Przechwytyjących w Anadyrze dzieli ich niespełna dwadzieścia mil.

Elliott i Ormack zaczęli powoli sprowadzać samolot do wysokości tysiąca pięciuset stóp ponad lotniskiem.

— Brak przeszkód terenowych w zasięgu trzydziestu mil — poinformował Luger. — Ekran radaru wciąż czysty.

McLanahan upewnił się, czy Angelina i Wendy są dobrze zabezpieczone w swych

fotelach. Potem skierował się do kabiny pilotów i wślizgnął się na odchylane metalowe siedzenie instruktora-pilota.

— Nie potrzebujecie dodatkowej pary oczu? — spytał Elliotta.

— Co, u diabła, robisz tutaj na górze?

— Dave zajmuje lewy fotel wyrzucany, panie generale. Pomogę wam znaleźć pas startowy, następnie przejdę do tylnego pomieszczenia i pomogę przy katapultowaniu Wendy oraz Angelinie, jeśli...

— Patricku, to samobójstwo! Wracaj na swoje miejsce!

— Dave nie ma wyrzucanego fotela — odparł spokojnie McLanahan. — To jeden z tych drobiazgow, na które nigdy nie było czasu.

— Nie wiedziałem...

— Nieważne. Dave radzi sobie z radarem nie gorzej ode mnie. Jeśli sprawy przyjmą zły obrót, dopilnuję, by Wendy i Angelina opuściły samolot. Tymczasem pomogę znaleźć pas startowy.

— W dalszym ciągu uważam ten pomysł za kompletnie zwariowany... — mruknął Ormack.

— Wykorzystamy element zaskoczenia — powiedział McLanahan. — Jak dotąd, udało nam się utrzymać całe radzieckie lotnictwo z dala od naszych tyłków — właśnie dzięki działaniu z zaskoczenia. To tylko następny krok. — Spytał przez telefon pokładowy: — Widzisz coś, Dave?

— Wciąż to samo — odrzekł Luger, coraz bardziej podenerwowany.

— Szukaj dalej, znajdziesz na pewno. Pamiętaj, że ustawiamy się do wykonania okrążenia, a nie do lądowania z prostej. Nie zdawaj się wyłącznie na komputery nawigacyjne — sprawdź również w mniejszym zasięgu.

— Przyjąłem — powiedział Luger, ponownie regulując radar.

— Będziemy utrzymywać prędkość dwustu pięćdziesięciu węzłów, dopóki nie zobaczymy pasa startowego — poinformował Elliott. — Przelecimy nad lotniskiem, sprawdzimy pas oraz bazę i zadecydujemy o lądowaniu. Następnie zrobimy zwrot z wiatrem i ustawimy się...

— Znalazłem! — zawołał nagle Luger. — Sześć, mil, godzina jedenasta.

— Sześć mil? — spytał Ormack.

— Komputer nawigacyjny musiał się nieźle pomylić — zauważył McLanahan. Cała trójka w kabine pilotów spojrzała w lewo. Elliott natychmiast dostrzegł pas startowy.

— Jest! — wykrzyknął. — Właśnie go mijamy... za późno na wykonanie manewru. Lećmy dalej prosto, sprawdźmy warunki panujące na lotnisku, a następnie wykonajmy zakręt, tak

aby mieć podczas lądowania wiatr z tyłu.

— Przyjąłem — potwierdził Ormack. — Przejmuję samolot, a pan, generale, niech sprawdzi sytuację na lotnisku. — Wygasił prawie wszystkie światła w kabinie, by lepiej było widać pas startowy.

— Niewiele się różni od całej tundry — mruknął Elliott z niezadowoleniem, lustrując pas z lewego okna. — Niektóre zasy mają chyba z dziesięć stóp.

— Brak jakichkolwiek sygnałów — zameldowała Wendy. — Ekran odbiornika zagrożień ciągle czysty. Nie odbieram nawet sygnałów radiowych.

Była to mała baza, niemal całkowicie ukryta w dolinie. Przypominała McLanahanowi Bazę Sił Powietrznych w Utah, położoną wśród ośnieżonych szczytów. Najbardziej charakterystycznym jej elementem było dwanaście alarmowych miejsc postojowych dla myśliwców, znajdujących się na końcu pasa. Rozmieszczone po sześć z każdej strony, by umożliwić jednoczesne kołowanie wszystkim dwunastu samolotom, wyglądały z góry jak świąteczna choinka. Na szczęście tym razem były puste. Co więcej, robiły wrażenie od dawna nie odśnieżanych. Częściowo rozebrane hangary dla myśliwców, wykonane z falistej blachy, pokrywały zwały śniegu.

Leżąca w pobliżu mała wioska, którą McLanahan dostrzegł z prawego okna kabiny, stanowiła poważny problem dla załogi bombowca. Znajdowała się około dziesięciu mil od bazy, ale huk przelatującego B-52 mógł przyciągnąć czyjąś uwagę. Trudno było przewidzieć, jaka będzie reakcja mieszkańców wioski. Czy ludzie w Związku Radzieckim mają zwyczaj skarżyć się na samoloty wojskowe budzące ich w środku nocy? McLanahan .modlił się, by tak nie było.

— Baza nie jest całkowicie opuszczona — powiedział Elliott, gdy pas startowy zniknął z pola widzenia. — Zauważyłem jakieś ciężarówki stojące

przed budynkiem obok drogi do kołowania. Wyglądały na wojskowe.

W samolocie zapadła nagle cisza. Ormack rozpoczął powolny, łagodny zakręt w prawo, ustawiając maszynę równolegle do pasa startowego.

— Jeśli baza nie jest opuszczona, mogą w niej stacjonować jakieś oddziały wojskowe... — zauważyła Wendy.

— Mamy jeszcze paliwo na piętnaście minut — powiedział Ormack. — Przypuszczam, że wystarczy na wejście z powrotem na pułap dziesięciu tysięcy stóp do katapultowania i nic poza tym.

— Gdyby stacjonowało tu wojsko, z pewnością stałoby znacznie więcej ciężarówek. — McLanahanowi odpowiadała ta logika, ale nie całkiem jej ufał.

— Zgadzam się — powiedział szybko Elliott. — Poza tym pas rzeczywiście wyglądał na zamknięty, a budynki na opustoszałe. Zresztą nie mamy wyboru.

— Zwrócił się do Ormacka: — Zaczynamy. Przejmuję stery. Zajmij się czynnościami kontrolnymi przed lądowaniem.

McLanahan poklepał Elliotta po ramieniu.

— Powodzenia, chłopaki, do zobaczenia w Rosji — powiedział, po czym wrócił na fotel instruktora obrony i zapiął pasy. — Następny przystanek, moje panie, w centrum pięknego Anadyru.

— Czy dadzą radę wylądować na takim śniegu? — spytała Angelina Patricia, wyłączając telefon pokładowy.

— Podręczniki tego nie zalecają, ale to twardzi piloci, a i naszemu ptakowi nic nie brakuje... — Co za wspaniała, poczekająca gadka, pomyślał.

— Hamulce powietrzne zero — powiedział Elliott, gdy Ormack odczytywał z ekranu skomputeryzowany wykaz czynności kontrolnych. — Gotów do opuszczenia podwozia i klap. — Pociągnął w dół dźwignię opuszczania podwozia, Ormack zaś ustawił przełącznik klap w pierwszej pozycji. Elliott rozpoczął powolny zakręt w prawo, by ustawić bombowiec prostopadle do pokrytego śniegiem pasa startowego.

— Coś nie w porządku z lewym podwoziem — zameldował Ormack, obserwując wskaźniki. — Wszystkie pozostałe — opuszczone. Klapy dwadzieścia pięć procent.

Elliott przesunął manetki do przodu, by wyrównać utratę prędkości spowodowaną opuszczaniem się w opływający bombowiec strumień powietrza, klap wielkich jak wrota stodoły. Pozwalały one na stopniową redukcję prędkości przy podchodzeniu do lądowania.

— Pałą się lampki sygnalizujące niebezpieczny spadek ciśnienia paliwa we wszystkich czterech, przewodach zasilających — zameldował Ormack.

— W porządku, załoga, żarty na bok — powiedział Elliott, starając się, by jego głos brzmiał pewnie. — Paliwo się skończyło. Lądujemy albo się katapultujemy. Dave, dopilnuj, by było kilkaset stóp więcej w razie katapultowania, ale nie zwlekaj z pociągnięciem za spust.

— Nawigator... przyjął... — mimo wysiłków Lugerowi nie udało się opanować drżenia głosu. Pasy ramieniowe miał zapięte, wyprostował szyję i plecy, rękę trzymał na spuście zwalniania katapulty.

— Patrick... — wyszeptał, walcząc z tępym bólem w nodze. McLanahan nie miał szans. Potrzebowałby kilku tysięcy stóp, by zdążyć wyskoczyć z samolotu bez katapulty, nie mówiąc już o tym, czy by przeżył.

Elliott rozpoczął znów powolny zakręt w prawo, naprowadzając Old Doga na pas startowy.

— Kłapy pięćdziesiąt procent — powiedział Ormack. — Rozruszniki włączone. Lecimy na ostatnich kropkach paliwa.

— Opuść nos — polecił Elliott. Ormack pstryknął przełącznikiem i wydłużony nos Old Doga opuścił się, znikając z pola widzenia.

— Światła lądowania — rozkazał Elliott. Zapaliły się reflektory o mocy czterech tysięcy watów, umieszczone na poprzeczkach podwozia, oświetlając cały pas startowy. Olbrzymia zaspą śnieżną, wysokości co najmniej trzydziestu stóp, blokowała pas od strony podejścia. Elliott pchnął manetki do przodu.

— Pełne wychylenie klap! — zawołał.

Ryk silników zagłuszył wszystko. Luger wpatrywał się jak urzeczony w lampkę ostrzegawczą na swoim pulpicie, czekając na rozkaz katapultowania, a jego palce ścisnęły kurczowo pierścień spustu. Wendy i Angelina zastygły w napięciu.

Wózek prawego przedniego podwozia zahaczył o małą górę lodu, samolot przechylił się ostro na prawy bok, niemal zawadzając nosem o oblodzony pas startowy. Elliott odruchowo wcisnął pedał lewego steru kierunku, zanim zdał sobie sprawę, że jest on bezużyteczny, został uszkodzony podczas starcia z MIG-iem. Z całej siły pchnął drążek sterowy do tyłu i w lewo, by przeciwdziałać gwałtownemu upadkowi, lecz Old Dog był już tylko rozpędzoną górą żelastwa.

McLanahan skrzyżował ręce na piersi i czekał. Poczł uderzenie o lód, nagły przechył na prawy bok, tak gwałtowny i ostry, iż zdawało mu się, że samolot przewrócił się do góry kołami. Prawe skrzydło wciąż znajdowało się w dole i Patrick przyłapał się na myśli, jak też wyglądała katastrofa z zewnątrz — ważący setki ton B-52 koziołkujący po oblodzonej ziemi.

Zamknął oczy i czekał, aż wszystko stanie się ciemnością, ucichnie.

Po raz pierwszy od chwili, gdy rozpoczął pogoń za B-52, Jurij Papendrejow poczuł, że popełnił błąd.

Mimo że wykradł MIG-a 29 Fulcrum, kontrola naziemna oraz siły powietrzne wciąż pomagały mu w jego usiłowaniach ustalenia pozycji bombowca. Jak dotąd — bezskutecznych. Musiał się wzbić na wysokość dwudziestu sześciu tysięcy stóp — by odebrać meldunki od jednostek Dalekowschodnich Sił Powietrznych poszukujących B-52... Na małej wysokości góry blokowały odbiór transmisji pochodzących od stacji leżących na wybrzeżu lub częściowo zasłoniętych przez wzniesienia. Wszystkie przekazały mu informacje o braku kontaktu...

Jurij przeleciał trasę długości dziewięćset kilometrów wzdłuż Gór Koriackich w

kierunku Trebleski i Beringowskiego, głównej nadbrzeżnej bazy obrony przeciwlotniczej, leżącej na północ od Ossory. Był przekonany, że B-52 będzie się trzymał Gór Koriackich, ukrywając się za ostrymi szczytami, następnie zniszczy lub co najmniej zakłóci potężny radar zainstalowany w Beringowskim i skieruje się ku Alasce, lecąc nad Zatoką Anadyrską. Po unieszkodliwieniu radaru nisko lecącemu bombowcowi niestraszne będą MIG-i 23 z Rezerwowych Sił Powietrznych w Trebleski, nawet najlepiej uzbrojone.

Papendrejow sprawdził stan paliwa. Sytuacja byłaby krytyczna, gdyby nie kazał zaopatrzyć swego myśliwca w największy z dostępnych, zewnętrzny zbiornik paliwa, ale teraz leciał znów na rezerwie. Dzięki długiemu powolnemu lotowi ślizgowemu z dużej wysokości, pozostało mu trochę czasu na podjęcie decyzji... Wybór lotniska w Trebleski jako miejsca do szybkiego uzupełnienia paliwa wydawał się najbardziej oczywisty, ale w grę wchodziła także mała, sezonowa baza w Anadyrze: mógł do niej dotrzeć lotem ślizgowym. Pouczono go jednak, by nie korzystał z bazy w Anadyrze, jak również z innych letnich baz, chyba że sytuacja będzie przymusowa.

Nie miał wyboru — pozostawało jedynie lotnisko w Trebleski. Przełączył odbiornik radiowy na stanowisko dowodzenia w Trebleski, poprosił o zezwolenie na lądowanie i „gorące” tankowanie. Była to technika szybkiego uzupełniania paliwa stosowana w czasie działań zbrojnych, polegająca na tym, że wysokociśnieniowa cysterna napełniała zbiorniki samolotu przy pracujących silnikach.

— Ossora jeden-siedem-jeden, Trebleski przyjmuje twoją prośbę. Czekaj na potwierdzenie.

— Czekam — odparł Papendrejow. — Trebleski, przekaz ostatnie meldunki na temat samolotu nieprzyjaciela.

— Jeden-siedem-jeden, według ostatniego raportu ze stacji radiolokacyjnej w Ossorze, namiar pelengacyjny rzeczywisty dwa-osiem-dwa, odległość dwadzieścia jeden kilometrów, kurs rzeczywisty nieprzyjaciela trzy-cztery-jeden.

— Te dane pochodzą sprzed paru godzin. Nie masz nic nowego? Beringowski nie meldował o kontakcie?

— Nie mam żadnego meldunku od centrum radiolokacyjnego w Beringowskim, jeden-siedem-jeden. Trebleski zezwala na podejście do lotniska; zejdź na dwa tysiące metrów i utrzymuj wysokość. Na razie nie ma zgody na gorące tankowanie. Po wylądowaniu czekaj na zwykłe tankowanie na stanowisku siedemnastym.

— Kontrola, przysługuje mi pierwszeństwo jako jednostce obrony powietrznej. Ponawiam prośbę o gorące tankowanie.

— Przyjąłem, jeden-siedem-jeden, ale dowództwo nie wyraziło jeszcze zgody. Muszę uzyskać potwierdzenie twojego zadania. Ustaw nadajnik IFF na jeden-jeden-jeden-siedem do identyfikacji. Pozostań na tej częstotliwości.

Papendrejow zaklął pod nosem. A więc taka była przyczyna opóźnienia... prosząc o gorące tankowanie, zmusił kontrolera w Trebleski do sprawdzenia jego rozkazu wylotu, którego oczywiście nie miał. Gdyby zgodził się na tankowanie w normalnym trybie, to od ręki dostałby paliwo. Ze względu na ogłoszony alarm byłby poddany jedynie pobieżnej kontroli. Teraz niestety Ossora już dokładnie wie, dokąd samowolnie zabrał swój myśliwiec. Z pewnością nakazali aresztować go po wylądowaniu.

Jurij sprawdził swoją pozycję na mapie i zorientował się, że od Anadyru dzieli go mniejsza odległość niż od Trebleski. Anadyr powinien mieć paliwo, może nawet jest przystosowany do gorącego tankowania. Mógłby tam zaczekać, prowadząc nasłuch częstotliwości myśliwców, polując na jakąś wiadomość o B-52, następnie ruszyć w pogoń za bombowcem i go unicestwić. Gdyby nieprzyjaciel się nie pokazał — co było raczej niemożliwe — zawsze mu pozostawało uzupełnić paliwo, wrócić do Ossory i wykręcić się od sądu wojskowego czy plutonu egzekucyjnego.

Zignorował wezwanie do ustawienia nowego kodu identyfikacyjnego i skierował myśliwiec w stronę Anadyru, przełączając częstotliwość radia na tamtejsze stanowisko dowodzenia. Za pół godziny znajdzie się w jego zasięgu, z paliwem na blisko godzinę lotu...

**DALEKOWSCHODNIA BAZA MYŚLIWCÓW PRZECHWYTUJĄCYCH W
ANADYRZE,
ZWIĄZEK RADZIECKI**

Siergiej Sierbientlow delectował się jedną ze swych niewielu przyjemności — potrawą chińskiej kuchni. Nie były to dania popularne w tym odległym zakątku Związku Radzieckiego i chyba właśnie dlatego lubił je przyrządzać i smakować — dawało mu to poczucie odrębności. Niestety ten rodzaj antyradzieckiego myślenia — oraz jedzenia — sprawił, że ugrzązł w Anadyrze, ale przecież każdy w końcu musi gdzieś mieszkać.

Nie było to zresztą takie najgorsze. Pobyt na najbardziej wysuniętym na północny wschód krańcu Związku Radzieckiego nie przypominał wygnania, raczej nie planowane, mimowolne przeniesienie. Miał darmowe mieszkanie, jedzenie, samochody do dyspozycji i kilkaset rubli ekstra każdego miesiąca dla rodziny w Irkucku.

Poza tym był za coś odpowiedzialny i dysponował dużą samodzielnością. Od dwóch miesięcy pełnił i miał pełnić jeszcze przez kolejne dwa miesiące funkcję głównego nadzorca Dalekowschodniej Bazy Myśliwców Przechwytyjących. Nieważne, że nie było w niej ani jednego myśliwca — baza znajdowała się pod jego zarządem. Był komendantem milicji, strażakiem, bankierem, prawnikiem, dozorcą oraz zarządcą mienia o wartości wielu milionów rubli. Podczas długich zimowych miesięcy był najbogatszym i najpotężniejszym człowiekiem w tej krainie rybaków, myśliwych i drwali.

W tej chwili Siergiej manipulował zręcznie parą wystruganych przez siebie pałeczek, podnosząc do ust porcję makaronu z rybą. Przyprawy i zioła wyhodował sam w szklarni na terenie bazy, a rybę oraz mąkę kupił od rybaków i mieszkańców pobliskiej wioski. Można tu było dostać wszystko i Siergiej był pewny, że rybacy wypuszczają się poza Zatokę Anadyrską aż do Wyspy Saint Lawrence lub nawet Nome, by handlować z Amerykanami.

Wciągnął w nozdrza zapach mocno przyprawionej potrawy. Była to dość dziwna kombinacja, jak na śniadanie, ale do wyboru miał tylko, leżącą już cztery miesiące w spiżarni, rzepę od pewnej starej czarownicy z miasteczka. Dziękuję — nie.

Włożył właśnie do ust porcję smakowitego, pikantnie przyprawionego makaronu, gdy podwójne drzwi, prowadzące do zewnętrznego przedsionka, otworzyły się szeroko i do małego pomieszczenia biurowego wtargnęło dwóch mężczyzn, którzy dokuśtykali w pośpiechu do wysokiej lady, zajmującej całą długość pokoju.

Wyższy powłoczył prawą nogą, czarna zakrzepła krew oblepiała nogawkę od stóp aż do

biodra. Podtrzymawał go towarzysz, owinięty w gruby zielony koc.

— Gdzie punkt skoraj pomocy? — wyjęczał ranny stłumionym głosem. — Moja noga!
Gdzie tu jest szpital?

Siergiej omal nie wypluł makaronu na kolana.

— Co?!

— Gdzie tu jest szpital? Moja noga...

— Tutaj nie ma szpitala. Co się stało z waszą nogą?

Siergiej wyszedł szybko zza długiej lady i zbliżył się do nieoczekiwanych gości. Z bliska mężczyzna w kocu okazał się kobietą. Miała długie, przyprószone siwizną włosy, i głęboko osadzone ciemne oczy — według Siergieja mogła być Latynoską lub mieszkanką Wschodu. Wargi drżały jej z zimna. Jej wzrok prześlizgnął się po twarzy Siergieja i spoczął na rannym koledze.

Mężczyzna dowlókł się do drewnianej ławki stojącej w kącie pomieszczenia i opadł na nią. Był wysoki, o mocnej budowie ciała, przypuszczalnie zawodowy wojskowy. Wyglądał na przemarniętego, policzki miał zapadnięte, skórę szarą, prawdopodobnie wskutek upływu krwi.

— Gdzie policja? — spytał. Mówił z obcym akcentem, najwyraźniej nie pochodził z tych okolic, aczkolwiek bardzo niewielu miejscowych pochodziło z tej zapadłej dziury na końcu świata.

— Na co wam milicja? — Siergiej pochylił się nad nogą mężczyzny. Nie widział samej rany, ale facet musiał stracić cholernie dużo krwi. — Tutaj nie ma milicji. Milicjanci z wioski nie zaglądną do bazy. Pomogę wam, w czym tylko będę mógł, jeżeli mi powiecie...

— Niet, spasibo.

Nagle Siergiej zobaczył wymierzoną w siebie lufę dużego, groźnie wyglądającego pistoletu automatycznego. Koniec lufy niemal dotykał jego nosa. Siergiej powoli wstał i cofnął się o krok.

Kobieta zrzuciła zielony koc i pomogła podnieść się rannemu mężczyźnie. Na widok jej ubrania Siergiej zapomniał o pistolecie. Miała na sobie krótką, niebieską kurtkę dżinsową. Dżinsową. Siergiej zauważył też niebieskie dżinsowe spodnie i fantastyczne, skórzane buty.

— ... blue jeans? — wymówił ze zdumieniem jedno z niewielu obcych słów, które znał. — Gdzie się kupuje blue jeans?

— Co on powiedział, panie generale? — spytała kobieta swego towarzysza.

— Nie zrozumiałem dokładnie, ale podobają mi się twoje dżinsy — odrzekł Elliott. Odwrócił się w kierunku drzwi. — Patrick!

McLanahan, przyczajony jak do skoku, wpadł do pokoju z rewolwerem kalibru 38 w rękę. Podbiegł do Rosjanina i przyłożył mu lufę do skroni. Siergiej zamknął oczy.

— Obszukaj go! — polecił Elliott. — McLanahan błyskawicznie obmacał Rosjanina, z rewolwerem wycelowanym w jego głowę. Następnie Elliott odwrócił Siergieja i pchnął go na ławkę, zmuszając, by usiadł z założonymi na głowie rękami, obaj z McLanahanem cały czas trzymali go na muszce. Rosjanin siedział z zaciśniętymi powiekami.

— Wy goworicie po angijski? — spytał Elliott. Siergiej otworzył oczy i zmusił się, by spojrzeć na obcych.

— Nie. Proszę, nie zabijajcie mnie...

— Pożatujsta, goworicie miedlenno — poprosił Elliott. Mężczyzna wyglądał teraz na mniej przerażonego, choć mocno zmieszanego. — Kogda policycja wierniotsal

— Nie ma milicji — odparł Siergiej. Trzymając wciąż ręce w górze, ale był wyraźnie rozluźniony. Starał się mówić wolno: — Milicja... nie przychodzi... do bazy.

— Zrozumiałem „nie” — powiedział McLanahan, ujmując pistolet w obie ręce.

— On chyba mówi, że tu nie ma policji — wyjaśnił Elliott. — Sytuacja zaczyna wyglądać niewesoło — rozumiem co piąte słowo. — Pochylił się, wciąż mierząc w czoło Siergieja. — Bienzin, bienzin. Benzyna. Bienzin topliwo!

Siergiej poczuł wyraźną ulgę.

— Zaraz — powiedział. — Nie martwcie się, towarzysze. Proszę opuścić broń, nie wydam was, jakoś się dogadamy...

— Cokolwiek pan powiedział, generale — odezwała się Angelina — ten mężczyzna wygląda teraz na szczęśliwego. Co on mówi?

— Niech mnie diabli, jeśli cokolwiek rozumiem. Spytałem go po prostu o benzynę. Teraz jestem jego towarzyszem, tyle tylko zrozumiałem.

Rozmawiają po angielsku, pomyślał sobie Siergiej. Najwyraźniej tylko starszy mężczyzna zna trochę rosyjski — młodszy ani be, ani me.

Mrugnął do nich i chciał wstać. McLanahan pchnął go z powrotem na ławkę. Siergiej przyglądał się przybyszom z mieszaniną zdziwienia i humoru.

— Czy macie ryby? — spytał. — Ser? Kurczaki? Pohandlujemy. Nie ma sprawy.

— Ryba? Syr? Kurica? — powtórzył Elliott, zbity z tropu. — Pyta nas, czy mamy ryby? Nic nie... — I nagle zrozumiał. Pokiwał głową, patrząc na Rosjanina, tamten zrobił to samo. Elliott pozwolił mu podnieść się z ławy i opuścić ręce.

McLanahan wciąż mierzył z rewolweru w głowę Siergieja.

— Co to za historia, panie generale?

— Czarny rynek — odparł Elliott, uśmiechając się. Rosjanin odwzajemnił uśmiech. — Ten dżentelmen prowadzi tu coś w rodzaju czarnego rynku. Jeśli moje przypuszczenie jest słuszne, wymienia benzynę na ryby, mięso, ser i ubrania.

Rosjanin odetchnął z ulgą, gdy młodszy mężczyzna opuścił wreszcie lufę rewolweru — oczy miał rozbiegane, ale Siergiej był pewny, że nie drgnęłaby mu ręka, gdyby miał pociągnąć za spust. Pod jego baczny spojrzeniem Siergiej podszedł do szafy stojącej za biurkiem i wyjął z niej czapkę, kurtkę i rękawice z jednym palcem. Wkładając ubranie, przyjrzał się dokładnie kurtce młodego mężczyzny. Była gruba, ciemnoszarego koloru, materiał nie wyglądał na bawełnę ani skórę.

Powoli, ostrożnie sięgnął do kołnierza mężczyzny i dotknął go. Na oko kołnierz był z materiału, ale w dotyku przypominał sztuczne tworzywo. Kurtka z tworzywa syntetycznego? Na piersi i rękawach miała kieszenie zapinane na dziwne złączki zamiast zamków błyskawicznych. Kim byli ci mężczyźni? I czemu byli tak ciepło ubrani, podczas gdy ich kobieta nosiła drogą co prawda kurtkę dżinsową, ale była skostniała do szpiku kości.

Elliott, dostrzegłszy podbitą futrem katanę, którą miał na sobie Rosjanin, spojrzał na trzęsącą się z zimna Angelinę.

— Mnie nużna odzieżda — powiedział. Pokazał palcem futrzany kołnierz kurtki Rosjanina. — Kozuch.

Siergiej skinął głową, sięgnął do szafy i wyciągnął z niej długie ciężkie futro z fok z kapturem obramowanym futrem wilka, następnie podszedł do kobiety i podał je. Angelina, widząc oczywiste zainteresowanie Rosjanina kurtką, wyślizgnęła się z niej i wręczyła mu ją z uśmiechem.

Zachował się tak, jak gdyby ofiarowano mu królewski klejnot. Badał każdy szew, każdy ścieg, mrucząc pod nosem obce angielskie słowa, które widniały na metalowych guzikach, następnie złożył ją starannie i schował na górnej półce szafy.

— Zbiłabym tu majątek — powiedziała Angelina, wkładając futro na drżące ramiona. — Mam szafę pełną tych starych ciuchów. — Twarz jej się rozjaśniła, po raz pierwszy bowiem od wielu godzin poczuła, jak rozgrzewa się jej ciało.

— Chodźcie — powiedział Siergiej. — Wracamy do interesów.

Wprowadził całą trójkę na zewnątrz. Wsiedli do stojącej furgonetki i ruszyli, wzdłuż płyty lotniska.

— Wypatrujcie cysterny lub dystrybutorów paliwa — zawołał Elliott, przekrzykując terkot starożytnego grzejnika, który mimo czynionego przez siebie piekielnego hałasu uparcie odmawiał ogrzewania kabiny.

— Jak oni je nazywają? — spytał McLanahan, nie wypuszczając z dłoni rewolweru Smith and Wesson ukrytego w kieszeni.

— Nie wiem. — Elliott chuchnął na szybę, która natychmiast pokryła się szronem. Chociaż ciężarówka trzęsła i rzucała na boki, udało mu się wyskrobać sześć liter cyrylicą — „O” z chorągiewką u góry. „E”, „H”, odwrócone „E”, odwrócone „N” i jeszcze jedno „H”. — Bienzin — przeczytał. — Tak się nazywa benzyna.

Siergiej uśmiechnął się, kiwając głową... Starszy mężczyzna udzielał młodym lekcji rosyjskiego.

— Dobrze — powiedział — postaramy się o benzynę.

— Spójrzcie — odezwała się Angelina, pokazując palcem w prawo. Tam, za wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, znajdował się biały metalowy cylinder o wysokości dwudziestu stóp i średnicy około trzydziestu. Obok zaparkowany był biały samochód cysterna.

— Bienzin? — spytał Elliott Rosjanina, wskazując na zbiornik.

Rosjanin spojrzał w prawo, ale nie zatrzymał się.

— Nie — powiedział. — To nie benzyna. To nafta. — Generał był wyraźnie zakłopotany — nie rozumiał ani słowa. Siergiej wciąż jechał przed siebie.

— Powiornicie na prawo — rozkazał Elliott. — Skręcaj w prawo. — Znow pokazał na zbiornik.

Siergiej pokręcił przecząco głową. McLanahan wyciągnął rewolwer i przyłożył go do skroni Rosjanina.

— Rób co ci każą, towarzyszc.

Siergiej zeszywniał. Elliott skinął potwierdzająco głową, pokazując na zbiornik.

Siergiej odwrócił się do Elliotta, nie mogąc pojąć, o co im chodzi. Czego, u diabła, chcą?

— Czy wasza łódź jest napędzana naftą? — spytał. — To nie jest dla was dobre.

— Łódka"? — powtórzył Elliott, próbując rozszyfrować poszczególne słowa. — Zrozumiałem słowo „łódź” i nic poza tym.

Siergiej skinął wymownie ręką w kierunku pobliskiej drogi prowadzącej na wschód.

— Olej napędowy. Tędy. Nie martwcie się. Nie oszukam was.

McLanahan przycisnął mocniej wylot lufy do skroni Rosjanina.

— Zgoda, w porządku — powiedział Siergiej, wzruszając ramionami, i skręciwszy w prawo, skierował wóz w stronę zbiornika. W kilka minut później otworzył bramę i wpuścił wszystkich do środka. McLanahan nie chował jednak rewolweru.

Siergiej odkręcił dolny zawór w ciężarówce-cysternie zaparkowanej obok wielkiego

zbiornika naziemnego i kilka litrów cieczy spłynęło na śnieg. Angelina schyliła się i powąchała ją.

— Cuchnie jak nafta — stwierdziła. — To nie paliwo do silników turboodrzutowych ani benzyna. Co robimy?

— Może nam się poszczęściło — odrzekł Elliott, sięgając do wewnętrznej kieszeni i wyjmując żółte, przenośne radio, należące do zestawu ratunkowego. Wciskając czarny guziczek, ustawił przełącznik kanałów na nie oznaczoną częstotliwość, a następnie przycisnął guzik nadawania.

— John, jak mnie odbierasz? — spytał.

Na pokładzie Old Doga John Ormack poprawił hełmofon, przysuwając mikrofon bliżej ust, i wzmocnił siłę głosu, by go było słychać mimo warkotu pracującego na wolnych obrotach silnika numer cztery.

— Głośno i wyraźnie, panie generale. Gdzie jesteście? Jak wam się powiodło?

— Wszystko w porządku. Być może dostaniemy to, czego nam trzeba. Sprawdź dokładnie rozdział piąty instrukcji technicznej. Chodzi mi o zastosowanie paliw zastępczych. Możemy zdobyć tutaj wystarczającą ilość nafty...

— Chwileczkę — Ormack sięgnął za fotel i wyciągnął dane techniczne Old Doga oraz instrukcję obsługi samolotu, znalazł odpowiedni rozdział i włączył mikrofon.

— Mam to, generale. Nafta jest dopuszczalnym paliwem zastępczym. Możemy mieć z nią kłopoty, jeśli nie zawiera środka zapobiegającego zamarzaniu, ale da się na niej lecieć. Ile jej macie?

— Jest tu cysterna o pojemności mniej więcej dziesięciu tysięcy galonów, czyli jakichś sześćdziesięciu tysięcy funtów.

— Powinno wystarczyć. Dave obliczył, że potrzebujemy minimum pięćdziesiąt tysięcy, by dolecieć do Nome.

— Wywołam cię, gdy już będziemy wracać.

— B-52 może używać nafty zamiast paliwa lotniczego? — spytała z powątpiewaniem Angelina.

— Według instrukcji — może. — Elliott odwrócił się do Rosjanina, który już się nie uśmiechał i stracił całą swą jowialność.

— Kim jesteście? Skąd pochodzicie? — spytał surowo. — Nie jesteście rybakami.

— Putniki — odpowiedział Elliott, domyślając się, o co mu chodzi. — Podróżnymi.

Siergiej wciąż patrzył na nich podejrzliwie. Nagle wyrwał Elliottowi żółte radio i zanim generał mu je odebrał, zdążył przeczytać napis SIŁY POWIETRZNE USA na umieszczonej z

tyłu tabliczce. McLanahan błyskawicznie wymierzył z rewolweru w głowę Rosjanina.

— Myślę, że straciliśmy kumpla — powiedział Elliott. — Patricku, sprawdź, ile jest nafty w cysternie.

McLanahan podał swój rewolwer Angelinie, która wycelowała go pewnie w Siergiej a. Patrick znalazł miarkę w kabinie ciężarówki, wdrapał się na górę i zmierzył poziom paliwa przez otwór wlewowy.

— Około jednej czwartej całej zawartości — zameldował.

— To za mało. W porządku, towarzyszc. Potrzebuję benzyny w cysternie. Mnie nużen bienzin... — Elliott popukał w ciężarówkę. Siergiej stał bez ruchu, niepewny, co robić.

— Ja go przekonam, panie generale — powiedziała Angelina. Popchnęła Rosjanina na bok, za ciężarówkę, gdzie McLanahan dźwigał właśnie przewód wysokociśnieniowy. Patrick przymocował jeden koniec węża do cysterny, a drugi do jednego z zaworów wystających z ziemi. Angelina wskazała rewolwerem na ciężarówkę.

— Pomóż mu — powiedziała. Rosjanin spojrział na McLanahana wlokącego ciężki wąż, następnie przeniósł niepewny wzrok z powrotem na Angelinę, która odbezpieczyła rewolwer i wymierzyła mu w skroń. — Już!

Siergiej skinął głową, po czym trzymając ręce w górze podszedł do McLanahana i gestami nakazał mu, by podłączył wąż do innego zaworu, sam zaś odczepił przewód od cysterny i zamocował go w innym miejscu. Gdy wszystko było już zrobione, otworzył zawory i nafta zaczęła płynąć ze zbiornika do samochodu-cysterny. W kilka minut później cysterna była pełna.

— Patricku, poprowadzisz furgonetkę. Angelina zabierze się z tobą — polecił Elliott. — Ja pojedę cysterną razem z naszym gospodarzem.

McLanahan podbiegł do furgonetki i zapaliwszy silnik czekał, aż Elliott wraz z Rosjaninem wsiądą do cysterny.

— Pożalujsta — powiedział generał, gdy znaleźli się obaj wewnątrz kabiny. Machnął pistoletem w kierunku samochodu za ogrodzeniem, po czym wycelował go w Rosjanina. — W etom naprawlenii. Jedź tam.

Siergiej kątem oka widział lufę czterdziestki piątki. Gdy Elliott niechący uniósł pistolet zbyt wysoko, rzucił się na niego, usiłując mu go wyrwać. Zbyt długo grał rolę błazna...

Rozległ się strzał, przednia szyba cysterny rozprysła się w kawałki, na obydwu mężczyzn poleciał deszcz odłamków szkła. Siergiej wyskoczył z ciężarówki i rzucił się biegiem w kierunku płotu. Przestał udawać bohatera.

Jego postać mignęła Patrickowi i Angelinie, gdy zniknął wśród drzew rosnących wzdłuż

drogi wiodącej na płytę lotniska. Wystrzeliła do niego z rewolweru, ale nie trafiła.

McLanahan podbiegł do cysterny i wskoczył do kabiny.

— Nic się panu nie stało, generale?

— Nic, do cholery, ale za chwilę może się tu zrobić gorąco. — Odwrócił się do Angeliny, zbliżającej się z prawej strony. — Podjedź do samolotu furgonetką. My z Patrickiem zajmiemy się cysterną. Mamy niewiele czasu, on z pewnością pobiegnie wezwać pomoc.

Uruchomienie cysterny zajęło McLanahanowi parę chwil, ale wkrótce oba samochody zatrzymały się na placyku pomiędzy hangarami, gdzie ukryli Old Doga. Pojawił się Ormack z drugim rewolwerem w ręku. Dostrzegł roztrzaskaną szybę, przeniósł spojrzenie na Elliota.

— Co?

— Zyskaliśmy towarzysza, ale nas wykiwał. Musimy szybko przepompować paliwo, zanim wezwie pomoc. John, patrz na tablicę, wskaźników paliwa w kabinie. Chyba uda mi się uruchomić pompę cysterny, zostanę tutaj. — Zawołał do Angeliny siedzącej w furgonetce: — Podejź do prawej końcówki skrzydła. Patrick, wdrap się na skrzydło. Otwórz jeden z wlewów do tankowania. Angelina pomoże ci podłączyć wąż. Gdzie są Wendy i Dave?

— Zostawiłem Dave'a w kabinie pilotów, kontroluje silniki — odpowiedział Ormack. — Wendy próbuje wezwać pomoc przez radio.

— Z powodzeniem?

— Na razie nie. Wątpię, by ktokolwiek mógł coś dla nas zrobić, zanim stąd nie wystartujemy.

Ormack zaczął odwijać wąż z cysterny, tymczasem McLanahan wdrapał się na prawe skrzydło bombowca, trzymając śrubokręt w zębach.

— Główne zbiorniki skrzydłowe są podziurawione jak sito — powiedział Ormack do Elliotta, usiłującego właśnie rozszyfrować i uruchomić układ regulacji pomp. — Przedni zbiornik kadłuba również ma kilka przecieków. McLanahan przepompuje paliwo do zbiornika centralnego. Zamierzam napełnić zbiornik centralny, tylny i środkowy kadłubowy, ale gdy uruchomimy silniki i wystartujemy, trzeba będzie przepompować paliwo do skrzydeł. Wówczas będziemy je gubić na potęgę...

— Nic nie możemy na to poradzić — przerwał mu Elliott — chyba że masz tyle gumy do żucia, by pozatykać dziury. — Uruchomił pompy w cysternie i skinął ręką McLanahanowi, który zdjął już przykrywkę wlewu paliwa, a teraz wciągał wąż na górę kadłuba. — Gotowe, Patrick.

Kuląc się z zimna na przenikliwym wietrze, McLanahan wprowadził końcówkę wlotową węża do otwartego wlewu, znajdującego się w kadłubie między ogromnymi skrzydłami i

przystąpił do tankowania paliwa. Ormack pośpieszył do kabiny pilotów i zajął miejsce Lugera przy konsoli.

David, z prawą nogą grubo obandażowaną i usztywnioną, pokuśtykał na dolny pokład, a później do cysterny, niosąc kilka związanych ze sobą puszek.

— Znalazłem zapasowy olej obok racji żywnościowych. Wleję go do silnika numer dwa. Dzięki temu wykorzystamy go do startu, zanim dwójka rozleci się na kawałki.

— Dobrze, Dave... jak się czujesz?

— Świetnie — odpowiedział Luger, stawiając olej na zderzaku ciężarówki, by chwilę odetchnąć. — Mam potworny ból głowy, skostniałem z zimna, a prawa noga przypomina raczej ser szwajcarski. A pan jak się czuje, generale?

— Zakasowałbym cię, Dave, ale obawiam się, że prędzej zemdleję, niż coś powiem.

— Zajmę się pompą, panie generale. Proszę iść do środka.

— Nie. Wleję olej, a potem zobacz, czy dasz radę usunąć ze skrzydeł te żalodne resztki. Tylko przeszkadzają. Możemy się obejść bez nich, zwłaszcza przy starcie z siedmioma silnikami.

— Zrobione, panie generale... wie pan, wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Mam na myśli kradzież paliwa z radzieckiej bazy lotniczej...

— Być może tankujemy do naszych zbiorników wodę. Nie mieliśmy czasu na sprawdzenie... — Elliott zdawał się odpływać, zapadać w sen, jego organizm wydelał coraz mniej adrenaliny...

Komendant miejscowej milicji Wiarelski skrzywił się, przetykając gęsty płyn szumnym nazywanym tutaj kawą, sporządzony z prażonego zboża. Ugryzł kawałek chleba, by zabić mdlący smak, nie spuszczać wzroku z Sierbientłowa, który stał przy biurku, mnąc czapkę w dłoniach.

— Bzdury, Sierbientłow — powiedział. — Opowiadacie mi tu bajki o uzbrojonych napastnikach, atakujących bazę, jakichś dwóch mężczyznach i kobiecie... I co takiego ukradli? Wasze drogocenne chińskie pałeczki? Pewnie zmyśliliście całą historię?

— To nie są żarty, towarzyszu! — odparł Siergiej. — Uciekną, jeśli się nie pospieszymy.

— Z czym? Z pługiem do odśnieżania? Waszym makaronem?

— Zagarnęli cysternę i... mają materiały wybuchowe. Zagrozili, że wysadzą wszystko w powietrze. Całą bazę. Musicie coś zrobić...

— Wasza opowieść staje się coraz bardziej nieprawdopodobna, Sierbientłow — powiedział komendant. Odchylił się na oparcie krzesła, mierząc Siergieja lodowatym wzrokiem. — Na pewno nie są to... powiedzmy, złodziejskie porachunki?

Siergiej poruszył się niespokojnie, udał jednak obrażoną niewinność.

— Złodziejskie? Chyba nie oskarżacie mnie, towarzyszu? Jedyne złodziejami są tamci...

— Dosyć, Sierbientlow! Małe imperium, które stworzyliście w bazie, jest świetnie znane, przynajmniej mieszkańcom tego rejonu. Przez cztery miesiące zuzywacie więcej oleju napędowego niż cała marynarka radziecka w ciągu roku, rzekomo dla waszego parku pługów śnieżnych, tyle że drogi i pasy startowe zawsze są zawałone śniegiem, wy zaś napychacie flaki chińskim makaronem i pijecie prawdziwą kawę. — Wiarelski wylał swą namiastkę kawy do wiadra na śmieci. — Jestem zajęty, więc...

— Towarzyszu komendancie, żądam wysłania waszych ludzi, by zbadali sprawę. Na tym polega wasza praca. Przekonaliście moich dowódców, że za odpowiednim wynagrodzeniem zajmiecie się bezpieczeństwem bazy podczas zimy. Nie będą specjalnie zachwyceni, gdy się dowiedzą, że zniknęło pięćdziesiąt tysięcy litrów paliwa, które zobowiązaliście się pilnować...

Komendant wstał i schwycił Sierbientlowa za kołnierz.

— Ty glisto! Ośmielasz się mi grozić? Bo jak wrzucę to świńskie cielsko w zaspę, którą miałeś wymieść, nie znajdą cię przed nadejściem lata...

Ale gdy spojrzął na Sierbientlowa, uginającego się pod ciężarem obelg, zdał sobie sprawę, że ten stary człowiek zaprzepaścił już swoją karierę i może go pociągnąć za sobą.

— W porządku, wyślę patrol...

— Uzbrojony patrol — dodał Sierbientlow. — Chcę...

— Nieważne, co wy chcecie. Nie pozwolę, by moi ludzie byli zamieszani w szmuglerską wojnę. A teraz wynoście się stąd. — Popchnął Siergieja w stronę drzwi, poczekał, aż wyjdzie, po czym wydał polecenie przez telefon wewnętrzny: — Sierzancie, weźcie patrol — zaraz, zaraz, weźcie lepiej pluton i pojazd opancerzony i pojedźcie z Sierbientlowem do bazy. Niech wam pokaże, gdzie widział tych swoich złodziei. Jeżeli kogoś znajdziecie, przyprowadźcie go do mnie. Jeśli nie będzie żadnych śladów rabunku, chcę mieć tu z powrotem Sierbientlowa — w kajdankach!

— Chryste, można tam zamarznąć na sople lodu — powiedział zziębnięty McLanahan do Elliotta stojącego przy ciężarówce. Na szczycie kadłuba musiała zastąpić go Angelina. Po blisko godzinie pompowania nafty na przejmującym syberyjskim mrozie stracił czucie w dłoniach i stopach. — Pięćdziesiąt tysięcy litrów paliwa — nafty czy czego tam... powinno nam wystarczyć.

— Poczuję się lepiej, gdy już... — głos Elliotta przeszedł w słaby, ledwie dosłyszalny szept. McLanahan zapomniał natychmiast o własnym przemarznięciu, wyjął z kieszeni generała radio.

— Ormack, tu McLanahan. Generał Elliott prawie stracił przytomność.

— Przyjąłem — odpowiedział Ormack. — Mamy już dosyć — wszystkie zbiorniki kadłubowe są pełne. Zacząłem tankować paliwo do nieszczelnych zbiorników skrzydłowych. Przyprowadź generała na górę, a potem zajmij się zwinięciem całego interesu.

— Zrozumiałem. — McLanahan wsunął radio do własnej kieszeni, chwycił Elliotta za kurtkę i zaczął go niemal ciągnąć. — Idziemy, panie generale. — Dowłókl go jakoś do luku podkadłubowego, zawołał na pomoc Wendy, która zeszła na dół i podtrzymała Elliotta przy wprowadzeniu go po drabince na górny pokład i usadowieniu w fotelu w kabinie pilotów.

— Wendy, zamknij wszystkie otwory wentylacyjne po lewej stronie stanowiska nawigatorów na dole — powiedział McLanahan. — Niech powietrze ogrzeje górny pokład. Ściągnę Angelinę i Dave'a.

Wydostał się na zewnątrz.

— Nie ma już więcej paliwa — poinformowała go Angelina.

— Zbieramy manatki — zawołał, przekrzykując hałas silnika numer cztery, pracującego na wolnych obrotach. — Zaraz pomogę ci sprzątnąć cały majdan.

Rozejrzawszy się za Lugerem, dostrzegł go obok lewej końcówki skrzydła. Właśnie oderwał duży zwisający płat poszycia od tego, co z niej pozostało.

— Dave, skończyliśmy tankowanie. Zwijamy się.

Dwaj miejscowi milicjanci w długich, szarozielonych paltach, czarnych futrzanych czapkach, z karabinami liczącymi sobie jakieś czterdzieści lat, weszli do biura Sierbientlowa, przeszukali szybko mały budynek i wypadli na zewnątrz.

Dowódca plutonu zawołał coś do żołnierzy w pojeździe gąsienicowym. Sierżant Gazietin nakazał gestem, by wszyscy weszli z powrotem do środka i odwrócił się do Siergieja.

— Nikogo tu nie ma, Sierbientlow. Nie chciałbym być w waszej skórze, gdy dobierze się do was towarzysz Wiarelski.

Mimo ostrego, porannego mrozu pot spływał Sierbientlowowi po twarzy.

— Byli tutaj... Przysięgam...

— Pokaż mi zbiornik i ciężarówkę — polecił Gazietin.

Pojazd opancerzony ruszył z turkotem wzdłuż drogi równoległej do pustego, ośnieżonego pasa startowego. W kilka minut później zatrzymali się przy ogrodzeniu otaczającym wielki biały zbiornik.

— To ten zbiornik? — spytał Gazietin, wynurzając się z pojazdu. — Zbiornik z olejem opałowym? Na co terrorystom zbiornik pełen oleju opałowego?

— Nie mam pojęcia — odparł rozsierdzony Sierbientlow — ale zmusili mnie pod groźbą rewolweru do napełnienia cysterny. Ledwie uszedłem z życiem. Pilnowało mnie trzech... mieli broń maszynową, ale udało mi się uciec...

— Towarzyszu sierżancie! — Jeden z milicjantów wskazał na ślady w głębokim śniegu. Gazietin przyjrzał im się uważnie.

— Całkiem świeże... — I nagle usłyszał... przytłumiony warkot silnika odrzutowego w oddali. Odwrócił się do Sierbientlowa. — Czy to samolot? Nie wiedziałem, że są tu samoloty o tej porze roku?

Siergiej wsłuchał się w dolatujący dźwięk i zbladł.

— Nie ma tu żadnego samolotu. To... to muszą być terroryści... amerykańscy terroryści.

Gazietin dał ręką znak żołnierzom, by wsiedli do wozu bojowego, i kazał im jechać w kierunku miejsca, skąd dochodził hałas.

Angelina ześlizgnęła się z prawego skrzydła Oki Doga na dach furgonetki. McLanahan, znowu na szczycie kadłuba bombowca, tuż za klapami otworów do katapultowania, zeszkrobywał śnieg i brud z przykrywki wlewu paliwa do centralnego zbiornika skrzydłowego, próbując ją zamknąć. Luger, powłócząc prawą nogą, ciągnął wąż w stronę cysterny.

Wendy, wyskoczywszy z luku pod kadłubem bombowca, by sprawdzić, co robią jej koledzy, zobaczyła nagle duży, przysadzisty pojazd zatrzymujący się przed jednym z hangarów stojących nie opodal. Na moment serce przestało jej bić. Był to radziecki pojazd opancerzony, z żołnierzem na stanowisku karabinu maszynowego.

— Pat... — Wendy pokazała palcem. — Tam...

— Niech to diabli! — zaklął Gazietin, gdy kierowca nacisnął hamulec. — Co się stało?

W mglistej szarówce, zapadającej tu na trzy miesiące z rzędu, zobaczyli ogromne czarne ptaszysko o nieziemskich skrzydłach i długim, spiczastym nosie.

— To ma być samolot? — spytał jeden z milicjantów. — Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego.

— Nie ma żadnych oznakowań — dodał inny. — To chyba jakiś samolot doświadczalny...

— To właśnie ich samolot — upierał się Sierbientlow. — To ten samolot... do którego terroryści omal mnie nie wepchnęli siłą. Musicie ich powstrzymać. Zniszczyć go...

— Opanujcie się, Sierbientlow. — Gazietin wyskoczył z pojazdu. — A jeśli to jeden z naszych doświadczalnych samolotów? Przecież wiecie, że takie istnieją. Kapralu, zawiadomcie komendanta Wiarelskiego. Powiedzcie, że mamy tu na głównej płycie postojowej nie zidentyfikowany samolot. Idę porozmawiać z załogą. Reszta niech tu czeka.

Luger odrzucił wąż sprzed kół Old Doga najdalej jak mógł.

— Pat, Angie, mamy gości.

Angelina usłyszała już ostrzeżenie Wendy i zauważyła nadjeżdżający pojazd gąsienicowy. Zsunęła się szybko z dachu furgonetki i podbiegła do luku w brzuchu Old Doga. McLanahan zakręcił korek wlewu paliwa i ześlizgnął się po kadłubie na prawe skrzydło. Ujrawszy radzieckiego żołnierza wychylającego się z pojazdu, przesunął się po skrzydle w stronę przedniej krawędzi, przewiesił się przez nią i zeskoczył na śnieg.

Słyszając wołanie Wendy, Ormack przerwał przypinanie prawie nieprzytomnego Elliotta do fotela awaryjnego, szybko zajął miejsce w lewym fotelu i wyjrzał oknem. Zobaczył zatrzymujący się pojazd.

— Cholera! — krzyknął, odwracając się do tyłu w nadziei, że go usłyszą. — Wendy, ściągnij wszystkich na pokład!

Ustawił przełącznik klap w pozycji OPUSZCZONE i dokładnie sprawdził wskaźniki układu zasilania, otwierając dopływ paliwa do silników ze zbiorników w kadłubie. Przesunął manetkę silnika numer cztery na dziewięćdziesiąt procent mocy, sięgnął nad fotelem drugiego pilota do rozrusznika silnika numer pięć i włączył go, używając strumienia powietrza z pracującego silnika do rozpędzenia turbiny silnika uruchamianego. Gdy obroty silnika numer pięć osiągnęły piętnaście procent, ustawił jego manetkę na osiemdziesiąt pięć procent, by paliwo zaczęło dopływać do komory zapłonowej.

Potężny huk wstrząsnął kadłubem Old Doga wprawiając prawe skrzydło w drgania. Ormack przedostał się do prawego okna i wyjrzał przez nie. Silnik numer pięć otaczały kłęby dymu. Przebiegł wzrokiem wskaźniki. Obroty powoli wzrastały i, o dziwo, lampki nie sygnalizowały ognia. Nastąpił kolejny huk i wskazanie obrotów zatrzymało się na czterdziestu procentach.

Na przedniej tablicy przyrządów zgasła lampka LUK OTWARTY I NIE ZARYGLOWANY, a w chwilę później Wendy zameldowała, że wszyscy są na pokładzie.

— Dawaj mi tu Patricka — zawołał Ormack i po chwili McLanahan wgramolił się do kabiny. Spostrzegł nieprzytomnego generała Elliotta w fotelu awaryjnym, rozgorączkowanego, z twarzą pokrytą kroplami potu.

— On już wypadł z gry — powiedział Ormack. — Właż tutaj. Będę pilotował samolot z lewego fotela. Zajmij miejsce drugiego pilota i obserwuj przyrządy.

Patrick zawahał się...

— McLanahan!

Patrick otrząsnął się jednak i prześlizgnął ostrożnie obok Elliotta. Zanim usiadł w fotelu drugiego pilota, wyciągnął z kabury generała pistolet.

— Czy możemy uruchomić pozostałe silniki? — spytał, patrząc na pulpit ze wskaźnikami.

— Jeszcze nie. Kiedy numer pięć osiągnie czterdzieści pięć procent, wyłącz rozruch i włącz numer trzeci, szósty, siódmy i ósmy. Gdy obroty osiągną piętnaście procent, ustaw manetki w pozycji WOLNE OBROTY. Patrz na sygnalizatory ognia, ta ich nafta narobi nam kłopotu z zapłonem.

McLanahan skinął głową, nie spuszczać wzroku z obrotomierza silnika numer pięć, trzymając palec na wyłączniku rozrusznika.

Ormack otworzył lewe okno. Radziecki żołnierz zbliżał się teraz do Oki Doga znacznie ostrożniej niż przed uruchomieniem silników. Nie usłyszał, jak Ormack odsuwa plastikową szybę.

— Podchodzi — zawołał Ormack. McLanahan wyciągnął pistolet z kieszeni kurtki i stuknął nim Ormacka w ramię. Pułkownik odwrócił się i zobaczył broń. — Jeśli rozpętamy tu strzelaninę...

— Możemy nie mieć wyboru.

Ormack skinął głową i wziął pistolet, trzymając go tak, by nie był widoczny. McLanahan wskazał na obrotomierz silnika numer pięć.

— Obroty prawie czterdzieści pięć procent. Rozrusznik wyłączony. Włączam trzeci, szósty, siódmy i ósmy.

Radziecki milicjant zatrzymał się piętnaście jardów od Olei Doga, obok lewego okna. Z przypiętej do pasa kabury wystawał pistolet. Na odgłos uruchamianego silnika numer trzy przeciągnął palcem wskazującym po gardle.

— Żąda. byśmy wyłączyli silniki — powiedział Ormack. W odpowiedzi pokręcił przecząco głową. Milicjant powtórzył gest kilkakrotnie.

— Patrick. czas ucieka...

Znów rozległ się głośny huk. tym razem w silnikach na obu skrzydłach i Oki Dog zaczął trząść się i dudnić jak gdyby chwycił go atak kaszlu. Radziecki żołnierz cofnął się o kilka kroków, gdy dosięgła go chmura granatowoczarne dymu z silnika numer trzy.

— Zapuszczaj następne! — ryknął Ormack. Chmury dymu wdarły się do kabiny przez otwarte okno. — Włącz generator piątki.

Gdy za moment zobaczył radzieckiego żołnierza, ten stał już obok pojazdu gaśnicowego, wydając rozkazy. Nagle na górze wozu, na stanowisku karabinu maszynowego pojawił się drugi żołnierz. W chwilę później podano mu duży karabin maszynowy. Zaczął go natychmiast mocować do osłoniętej płytą pancerną podstawy.

Spostrzegłszy, co się dzieje, Ormack ponaglił McLanahana.

— Trójka nie chce zaskoczyć — odparł Patrick. — Numer sześć pracuje.

— Jesteśmy ustawieni do kołowania. Zapuszczaj dalej! Trzymaj się! — Zwolnił hamulce postojowe, przebiegł spojrzeniem wskaźniki silników, ujął manetki silników numer cztery, pięć oraz sześć i pchnął je niemal do oporu.

Old Dog zadudnił potężnie, ale nie ruszał z miejsca.

— Nie damy rady wykołować, jeśli nie uruchomisz wszystkich sprawnych silników — zawołał Ormack do Patricka.

McLanahan trzymał rękę na manetce silnika numer siedem. Usłyszawszy słowa Ormacka, ustawił ją w pozycji WOLNE OBROTY.

— Siódemka zaskoczyła, uruchamiam trójkę. Trzy silniki osiągnęły już prawie pełną moc, trzy

pozostałe krztusiły się i strzelały.

Ormack przesunął manetkę siódemki na pełną moc, lecz mimo to Old Dog wciąż stał w miejscu.

— Ruszaj, skurwysynu!

Rzuciwszy okiem w stronę pojazdu gąsienicowego, Ormack zobaczył pierwszego żołnierza, który zasłaniając jedną ręką ucho, drugą dał ponownie znak, by wyłączyli silniki, po czym szybko zasłonił drugie ucho.

— Trójka zaskoczyła — zameldował McLanahan. — Uruchamiam ósemkę.

— Podłącz generatory pracujących silników — polecił Ormack, nie spuszczając z oka Rosjanina przy karabinie maszynowym. — Włącz instalację przeciwooblodzeniową. Kolektor przełączony. Hydraulika włączona. Stateczniki ustawione... — Ormack podniósł wzrok znad wykazu czynności kontrolnych właśnie w momencie, gdy strzelec przy karabinie maszynowym wycelował w Old Doga i przejechał serią po kadłubie.

Ormack instynktownie schylił głowę i pociągnął McLanahana w dół. Ryk silników zagłuszał terkot ciężkiego karabinu maszynowego i świst kul przelatujących kilka stóp nad ich głowami. McLanahan nie przerwał uruchamiania silników, przesuwając manetkę ósemki na WOLNE OBROTY. Obaj mężczyźni wyjrzeni ponad osłonę przeciwooblodzeniową tablicy przyrządów. Dowódca wozu bojowego kolejny raz dał znak ręką, by wyłączyli silniki, strzelec zaś wymierzył tym razem broń prosto w okna kabiny.

Nie patrząc na McLanahana, Ormack włożył hełmofon i zawołał przez telefon pokładowy:

— Czy wszyscy mnie słyszą? Meldujcie się kolejno.

Następnie ustawił manetki wszystkich silników w pozycji WOLNE OBROTY.

— Załoga, sto metrów od naszego lewego skrzydła stoi radziecki pojazd opancerzony.

Mają karabin maszynowy. Kazali nam wyłączyć silniki...

Na przedniej tablicy przyrządów zapaliła się lampka LUK OTWARTY I NIE ZARYGLOWANY i zgasła.

— Co to było?

— Nie mam... Dave, czy to ty otworzyłeś luk? — Cisza. — Luger. Zgłoś się. — McLanahan chciał odpiąć pasy i zejść na dół, zatrzymał go jednak okrzyk Ormacka: — Luger, nie!

Patrick odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz. Luger, w samym kombinezonie i butach, kuśtykał w kierunku cysterny zaparkowanej w pobliżu lewego skrzydła Old Doga. W ręku trzymał jeden z rewolwerów kalibru 38 z zestawu ratunkowego.

Nikt nie odezwał się słowem, patrzyli tylko przerażeni, jak Luger potknął się i upadł, następnie jakoś się pozbierał i niemal na czworakach dotarł do cysterny właśnie w momencie, gdy strzelec obrócił karabin w jego stronę.

Ormack nie wytrzymał, wystawił pistolet przez okno i wypalił. Kula odbiła się rykoszetem od pancernej osłony karabinu. Strzelec skierował z powrotem karabin w okna kabiny, odsłaniając się z prawej strony. Luger, ukryty za cysterną, oparł rękę na masce silnika i wystrzelał cały magazynek, celując w Rosjanina. Jedna z kul dosięgła celu.

— Luger! wracaj...

David usłyszał wołanie Ormacka i ruszył w kierunku bombowca. Zza pojazdu gaśnicowego wyłonił się kolejny żołnierz, podniósł karabin z długim wygiętym magazynkiem i strzelił. Luger złapał się za udo i runął twarzą na ziemię.

Ormack wypalił jeszcze raz, zmuszając Rosjanina przy wozie bojowym do odwrotu, nie zauważył jednak następnego żołnierza, który zajął miejsce przy karabinie maszynowym i otworzył ogień.

Dwudziestomilimetrowe pociski przebiły lewy bok Old Doga, zasypując kabinę odłamkami szkła. Kula rzuciła Ormacka na centralny pulpit, gdzie próbował ukryć twarz przed fruującymi odpryskami szkła. W lewym ramieniu czuł przeszywający ból.

— Kryjcie się! — krzyknął McLanahan do Wendy i Angeliny.

Kolejna seria z karabinu dosięgła bombowca. Pociski trafiły w centralną tablicę bezpieczników, wywołując deszcz iskier. Niektóre lampki zamrugały i zgasły. Jeden z silników zakrztusił się. Wendy odpięła pasy spadochronu i położyła się plackiem na podłodze, a kule siekły po jej urządzeniach zagłuszających i odbiornikach zagrożeń.

Nagle zapadła cisza. McLanahan obejrzał się i zobaczył obie kobiety skulone na podłodze obok nieprzytomnego generała Elliotta.

— Nic wam się nie stało?

— Nie — odparła Wendy. — O Boże! Pułkownik...

Ormack, leżący górną połową ciała na centralnym pulpicie i zespole manetek, krwawił silnie, a jego ręce wyglądały jak unurzane w czerwonej farbie. McLanahan pociągnął go z powrotem na fotel i wyjrzał przez okno, szukając wzrokiem przyjaciela. Natychmiast zrozumiał powód przerwania ognia. Luger nie leżał już na śniegu. Jakimś cudem udało mu się doczołgać znowu do cysterny, uruchomić ją i teraz pędził w kierunku opancerzonego pojazdu, a siedzący w nim strzelec obracał właśnie lufę karabinu, by wycelować w kabinę ciężarówki.

— Dave, niee...

Rosjanin posłał krótką serię w ciężarówkę i McLanahan widział, jak rozpryskuje się resztką przedniej szyby. W chwilę później cysterna wpadła na wóz bojowy.

— Dave...

Pozostałe w zbiorniku pięćdziesiąt galonów nie wykorzystanego paliwa i trzy tysiące stóp sześciennych jego par zapaliło się i rozerwało cysternę niczym nadmiernie napompowany balon. Opancerzony pojazd przekoziółkował leniwie i wylądował do góry kołami osiemdziesiąt jardów od miejsca wybuchu po drugiej stronie pochylni, a kawałki metalu i ciała żołnierzy rozrzuciło na wszystkie strony.

Hałas sześciu pracujących silników wydawał się niczym w porównaniu z hukiem eksplozji. Tam, gdzie poprzednio stała cysterna, McLanahan dojrzał teraz szerniały krater; nieco dalej bryłę pociętego metalu i dopalające się szczątki ludzkie.

Ani śladu Lugera.

McLanahan nie chciał, nie był w stanie się z tym pogodzić.

— On nie mógł zginąć, nie mógł...

— Musimy się stąd wydostać — powiedział Ormack, poprawiając się z trudem w fotelu pilota. — Patrick, musisz wystartować, ja nie dam rady tego zrobić...

— Ale Dave... nie możemy zostawić...

— Patricku, Dave... dał nam szansę. Nie wolno nam jej zaprzepaścić.

McLanahan pokręcił głową.

— Ja... nie potrafię, nigdy tego przedtem nie robiłem...

Ormack wygramolił się z lewego fotela.

— Wskakuj! Poradzisz sobie, stary. No, już!

— Wieża kontrolna w Anadyrze, tu Ossora jeden-siedem-jeden, jednostka siódma. Proszę o zezwolenie na lądowanie. Odbiór.

Brak odpowiedzi. Jurij Papendrejow sprawdził przyrządy nawigacyjne. Wszystko było w

porządku — znajdował się zaledwie trzydzieści mil od Dalekowschodniej Bazy Myśliwców Przechwytyjących w Anadyrze. Chociaż baza była nieczynna, ktoś przecież musiał tam być.

Papendrejow przełączył radio na FC 8 częstotliwość dla wszystkich radzieckich sił obrony powietrznej .

— Tu Ossora jeden-siedem-jeden na FC Alfa. Jeden-siedem-jeden podchodzi do awaryjnego lądowania na lotnisku w Anadyrze. Odbiór.

Na tej częstotliwości również panowała cisza. Ustawił specjalny kod awaryjny na nadajniku IFF i uaktywnił go. Miał nadzieję, że jednostki obrony powietrznej odbiorą jego „beacon”, zanim otworzą ogień... Podczas alarmu przeciwlotniczego, ogłoszonego dla całego rejonu, musiałby mieć dużo szczęścia, by nie zostać ostrzelany przez własną obronę.

Szybko odszukał instrukcję z wykazem czynności kontrolnych przed lądowaniem; rozpoczął przygotowania do podejścia. Jeszcze jeden grzbiet górski i powinien zobaczyć Anadyr.

Paliwo miał tylko na pół godziny lotu, zdecydował więc, że opuści podwozie i ustawi się do lądowania dopiero na kilka kilometrów przed bazą. Przeleci nad lotniskiem, by sprawdzić pas startowy — a nuż ktoś zwróci na niego uwagę — następnie wykona zakręt, obniży lot i wylądaje. Musi oszczędzać paliwo na wypadek, gdyby przyszło mu krążyć nad lotniskiem w oczekiwaniu na uprzątnięcie śniegu.

Niech to cholera, był absolutnie przekonany, że amerykański samolot wciąż jest gdzieś w pobliżu, wciąż stanowi zagrożenie. Spojrzał na zegar... minęła zaledwie godzina i czterdzieści minut od chwili, gdy ostatni raz widział B-52 niedaleko Ossory. Lecąc nad pasmem Gór Koriackich z prędkością najwyżej sześciuset kilometrów na godzinę, bombowiec nie mógł dotrzeć dalej niż do Uelen czy Egwiekinot nad Zatoką Anadyrską, oddalonych o dwieście kilometrów od Anadyru. Jednakże radary żadnej z tych baz nie wykryły samolotu, musi więc wciąż kryć się w górach otaczających Anadyr, próbując ominąć stanowiska obrony przeciwlotniczej.

Gdyby nieprzyjaciel zdecydował się lecieć na północ lub zachód od półwyspu Kamczatka, zamiast w kierunku Alaski, nadziałby się na dwie eskadry MIG-ów 29 regionalnego dowództwa sił obrony powietrznej w Magadanie. I w tamtym rejonie jednak nie zauważono bombowca. Nie. Musi być gdzieś w pobliżu. Musi.

Zatankuje paliwo w Anadyrze i odnajdzie B-52. Radar zainstalowany w ogonie zdradzi położenie wroga, a gorące silniki przypieczerują jego zgubę. W półmroku Jurij nie będzie potrzebował dopplerowskiego radaru impulsowego do odnalezienia Amerykanina. Używając detektora podczerwieni i biernych urządzeń przeszukujących, będzie mógł prowadzić

poszukiwania, faktycznie niewidzialny dla przeciwnika, w oczekiwaniu, aż B-52 sam się zdemaskuje albo zostanie wychwycony przez radar z Beringowskiego.

Pomyślał przez chwilę o żonie i rodzinie, bezpiecznych w ciepłym mieszkaniu w Kijowie, podczas gdy on pokonywał tysiące kilometrów nad śnieżną Syberią w pogoni za intruzem, który być może już się nawet rozbił. Zaczął też rozważać konsekwencje... Jego doświadczenie i zaangażowanie stwarzały mu szansę przebrnięcia przez dochodzenie w sprawie samowolnego pościgu za B-52. Może się skończy tylko na tym, że stary dowódca eskadry wyśle go na rok do odśnieżania pasów startowych lub zdegraduje. W warunkach alarmu przeciwlotniczego wiele da się wybaczyć, przekonywał sam siebie. Tak czy owak nie wierzył, że czeka go pluton egzekucyjny albo zesłanie.

Ale tylko jedna rzecz mogła mu zapewnić pomyślny powrót na łono rodziny — ewentualny awans i całkowite darowanie kary. Gdy lotnisko w Anadyrze, oddalone jeszcze o trzydzieści sześć kilometrów, zamajaczyło na horyzoncie, wiedział już, że jego jedyna szansa to zdjęcia przedstawiające płonący B-52, zestrzelony przez niego z dwulufowego działka GSh23 lub jedną z najnowszych rakiet AA-8 naprowadzających się na podcierwień.

Tak. Musi go zniszczyć.

Old Dog kołujący po wąskim, ośnieżonym pasie lotniska w Anadyrze przypominał raczej latający szpital niż bombowiec strategiczny.

Za sterami okaleczonego samolotu siedział Patrick McLanahan, w chwili obecnej najbardziej doświadczony i sprawny fizycznie członek załogi. Lodowaty wiatr, wpadający przez dziesiątki otworów w lewej ścianie kabiny i kompletnie rozbite szklane przepierzenie tuż za fotelem, siekł go po twarzy. Patrick próbował robić za wiele rzeczy naraz — najważniejsze jednak było trzymanie się mniej więcej środka drogi zdolnej do kołowania.

Fotel drugiego pilota zajmował znowu Ormack — ranny w ramię i cały zakrwawiony, niezdolny do wykonania czynności bardziej skomplikowanej niż sięgnięcie do przełącznika. Teraz odczytywał czynności kontrolne przed startem i dawał McLanahanowi ostatnie wskazówki, co ma robić, by wystartować.

Angelina pozostała na swoim stanowisku i przeprowadzała kontrolę urządzeń. Dysponowała jeszcze dwoma Scorpionami na prawym wsporniku zewnętrznym, trzema Scorpionami na obrotowej wyrzutni w komorze bombowej, dwoma pociskami antyradarowymi HARM na wyrzutni wewnętrznej i dwudziestoma minami powietrznymi Stinger wystrzeliwanymi z wyrzutnika na ogonie — była jednak zupełnie pozbawiona możliwości sterowania całym tym arsenałem. Podczas starcia na lotnisku uszkodzono monitor radaru wykrywającego. Old Dog był wciąż groźnym przeciwnikiem — Scorpiony i rakiety

HARM mogły się same naprowadzić na cel, ale ich skuteczność znacznie zmalała.

Wendy siedziała na stanowisku oficera zakłócania elektronicznego obok Angeliny. Posługując się instrukcjami wyświetlanymi na monitorze komputera, uruchomiła żyroskop laserowy i satelitarny system nawigacji, znajdujące się w pomieszczeniu nawigatorów na dolnym pokładzie, lodowatym teraz. Poza tymi urządzeniami niewiele im zostało — dziesięciocalowy ekran radaru McLanahana również został zniszczony w czasie strzelaniny. Podobny los spotkał większość elektronicznego sprzętu Wendy.

Gdy była na dolnym pokładzie, przejrzała notatki i gryzmoły Lugera i nawet zabrała jego hełmofon... chcąc mu go wręczyć, gdy tylko pojawi się w drzwiach, roześmiany i rozgadany, z tym swoim niemożliwym teksaskim akcentem... Wyobraziła sobie, że słyszy pukanie do luku w brzuchu bombowca i że Dave stanie przed nią za chwilę... choć wiedziała, że nigdy go już nie zobaczy. Trzeba się było z tym pogodzić...

David odszedł.

Kurtką Lugera okryła rozgorączkowanego generała Elliotta, który przypięty do fotela awaryjnego na górnym pokładzie, pomiędzy kabiną pilotów a stanowiskiem obrony, znajdował się w stanie głębokiego szoku.

Ormack odczytywał kolejne czynności kontrolne, w miarę jak pojawiały się na ekranie komputera.

— Kontrola przyrządów pokładowych pilota i drugiego pilota.

— Moje są w rozsypce — odparł McLanahan. — Wyreguluj sztuczny horyzont. Nie bardzo go stąd widzę, ale na czymś muszę się opierać. — Obserwował Ormacka, jak przeprowadza kalibrację urządzenia. — Dobra. Zapasowy wskaźnik skretu również.

— Tablica zasilania. — Ormack wyteżył wzrok, by odczytać małe wskaźniki. — Jedyńka i dwójka — zero. Reszta w porządku. — Wrócił do wykazu komputerowego. — Dryf boczny.

— Zero. Dalej.

— Ogrzewanie rurki Pitota.

McLanahan znalazł przełącznik dopiero po chwili, musiał tymczasem wykonać parę skrętów, by nie zjechać z twardej nawierzchni.

— Włączone.

— Układ zwiększania stateczności.

— Włączony.

— Wyważenie stateczników.

— Chodzi ci o to duże koło tutaj, tak? — spytał McLanahan. — Nie mamy czasu na

wyliczenie prawidłowego ustawienia, a więc ustawiam podniesienie dziobu na pół działki. Załatwione. Dalej.

— Dźwignia hamulca powietrznego.

— Zabezpieczona.

— Klapy.

— Całkowicie opuszczone, dźwignia w dole.

— Tablica wskaźników paliwa. Sądzę, że ustawiłem wszystko prawidłowo — powiedział Ormack, wzdrygając się z bólu przeszywającego okolice karku. — Upewnij się. W głównych zbiornikach z powodu uszkodzenia pozostała tylko resztkę paliwa, a więc te pompy tutaj... powinny być włączone, a tamte... wyłączone. Sprawdzone. Dalej.

— Wyłączniki rozruszników.

— W porządku. Jesteśmy prawie gotowi do startu. — Za pomocą pedałów steru kierunku McLanahan obrócił Old Doga, ustawiając go na końcu pasa startowego, po czym nacisnął czubki pedałów, by włączyć hamulce.

— Angelina, Wendy, gotowe do drogi powrotnej?

— Gotowa — jak echo powtórzyła Wendy. — Powodzenia!

— Dzięki — McLanahan ujął mocno drążek sterowy. — Będzie mi naprawdę potrzebne.

— Dobra — powiedział stanowczo Ormack. — Zapuszczamy silnik numer dwa. Gotów?

— Tak jest.

McLanahan ustawił manetkę silnika numer cztery na dziewięćdziesiąt procent.

— Ruszaj!

Ormack włączył rozrusznik. Obroty silnika numer dwa zaczęły powoli wzrastać. McLanahan wskazał żółtą lampkę na przednim pulpicie.

— Co to? — spytał Ormack. — Nie widzę...

— Sygnalizator niskiego ciśnienia oleju — zawołał McLanahan, przekrzykując ryk silników. — Miejmy nadzieję, że wystarczy mocy, by wystartować, zanim silnik zgaśnie...

W lewym silniku rozległ się potworny huk. Old Dog zaczął się trząść i dudnić tak, że nikt nie był w stanie odczytać wskazań przyrządów.

— To z powodu fatalnego paliwa — wyjaśnił McLanahan. — Ale mimo wszystko silniki powinny pracować...

Po kilku pełnych napięcia minutach silnik numer dwa osiągnął obroty biegu jałowego i McLanahan mógł zmniejszyć obroty silnika numer cztery.

— Dobra, rozrusznik dwójki w pozycji LOT, generator dwójki włączony — powiedział Ormack. — Dane startu.

— Rozpędzamy się do końca pasa startowego, potem ciągnę drążek do siebie. Jeśli polecimy, to dobrze. Jeśli nie polecimy, katapultujemy się. Dalej.

— Zabezpieczenie dźwigni uzbrojenia.

— W porządku, słuchajcie wszyscy — powiedział McLanahan — przygotujcie fotele do katapultowania. I nie wahajcie się. Jeśli zobaczycie czerwone światło ostrzegawcze skoku, katapultujcie się. Natychmiast.

— Sam nie przeprowadziłbym sprawniej odprawy przed startem, McLanahan — pochwalił go Ormack, usiłując się uśmiechnąć. — Wykaz czynności startowych. Dźwignia nastawcza układu sterowniczego.

McLanahan westchnął głęboko i spróbował nie myśleć o Lugerze. Skoncentruj się, powiedział sam do siebie. Musisz to zrobić. Wszyscy na ciebie liczą... ty sam też. Przesunął dźwignię na centralnym pulpicie.

— START/LĄDOWANIE. Ustawiona.

— Główny przełącznik klimatyzacji.

— Nadmuch naturalny.

— Manetki.

— Dobrze. — McLanahan ujął dźwignie siedmiu manetek pracujących silników i przesunął je na pełne obroty. Z powodu nieczynnego silnika numer jeden Old Doga ściągało na lewą stronę ośnieżonego pasa startowego. McLanahan przycisnął prawy pedał steru, chcąc skorygować kierunek, ale zdał sobie sprawę, że usterzenie tylne zostało zniszczone, zaczął więc z wolna cofać manetkę silnika numer osiem, aż wreszcie zdołał nakierować Old Doga na środek pasa; wtedy ostrożnie zwiększył obroty do maksimum.

— Świetnie — Ormack usiłował przekrzyczeć ryk silników. — Stery ogonowe nie działają... rób, co należy, by utrzymać się na pasie startowym. — Położył ręce na drążku sterowym, nie był jednak w stanie pomóc Patrickowi. — Obserwuj znaczniki odległości pozostałej do końca pasa... są podane w setkach metrów. Musisz się oderwać od ziemi, gdy zostanie jeszcze około tysiąca metrów...

— Nie widzę ich — zawołał McLanahan. — Uciekają cholernie szybko... szesnaście, piętnaście, czternaście... — Gwałtowne wstrząsy i wibracje sprawiały, że nie mógł całkowicie skupić wzroku na przyrządach.

Gdy przechylił drążek sterowy w prawo, by skorygować gwałtowne ściągnięcie na lewą stronę, wydało mu się, że bombowiec ześlizguje się z pasa. Przebiegł wzrokiem przyrządy. Paliła się jakaś lampka ostrzegawcza, ale nie był w stanie ocenić która.

— Trzymaj go prosto, Pat...

— Nie mogę, zbyt mocno zarzuca...

— Spokojnie... potrafisz to zrobić. Spokojnie...

McLanahan z przerażeniem zdał sobie sprawę, że minęli właśnie znacznik tysiąca metrów. Przy dziewięciuset metrach pociągnął drążek sterowy do siebie, walcząc z nim jakiś czas, aż w końcu udało mu się przyciągnąć go do piersi. Mimo to Old Dog wciąż nie chciał oderwać się od ziemi.

— No, kochany, w górę, do cholery!

— Zmień trochę wyważenie dziobu — krzyknął Ormack. — Duże koło obok twojego kolana. Łagodnie. Staraj się je utrzymać mimo przeciwdziałającej siły, ale puść, gdy nos się podniesie.

— Nie podnosi się... — Wstrząs omal nie wyrwał Patrickowi koła z ręki... Widział już przed sobą koniec pasa startowego z wysoką ścianą naniesionego przez wiatr śniegu i lodu.

— Cztery... trzy... dwa... O Boże, zaspą śnieżna, nie damy...

Z nosem wciąż opuszczonym ku dołowi Old Dog oderwał się wreszcie od ziemi, a jego brzuch niemal musnął wierzchołek zaspą na końcu pasa. Unoszony na „poduszce powietrznej”, wirach wytwarzanych przez skrzydła, które odbijając się od ziemi utrzymywały kadłub samolotu w górze, bombowiec leciał zaledwie dwadzieścia stóp nad śnieżystą powierzchnią. Fale powietrza uderzały o potężne skrzydła, potęgując wibrację.

Na szczęście uderzenia traciły impet, a w miarę jak prędkość samolotu powoli wzrastała, nos Old Doga zaczął unosić się ku niebu. McLanahan pochylał czasami drążek aż do oporu, by opanować kołysanie, gdy ogromny bombowiec wzbijał się w przestworza nad Syberią.

Patrick bardzo ostrożnie sięgnął w dół, do dźwigni sterującej podwoziem i przesunął ją do góry, obserwując równocześnie wskaźniki podwozia głównego.

— Podwozie schowane, pułkowniku, proszę mieć oko na...

Przerwał na widok smugi, która przemknęła nagle za oknami kabiny. Ormack zauważył ją pierwszy, ale z wrażenia nie mógł wydobyć z siebie głosu. Uniósł jedynie rękę, wskazując na jasnoszary myśliwiec MIG-29 Fulcrum, który śmignął powyżej Old Doga, następnie przechylił się na lewe skrzydło, zbaczając z kursu, i zniknął z pola widzenia, ciągnąc za sobą podwójną smugę ognia z dopalaczy.

To niemożliwe.

Jurij Papendrejow był zajęty wykonywaniem czynności kontrolnych, szykując się do podejścia i następnie lądowania na lotnisku w Anadyrze. Kierował się sygnałem radiolatarni oraz wskazaniem przyrządów. Wpojono mu, by nie polegał na obserwacji wzrokowej, póki nie znajdzie się bardzo blisko pasa startowego, zwłaszcza w trudnych warunkach zimowych

przy zlej widoczności.

Młodego pilota dzieliły niespełna dwie mile od miejsca przyziemienia, gdy zakończył przygotowania do lądowania. Dopiero wtedy mógł się przyjrzeć drodze startowej. Ponieważ pierwsze podejście miało służyć wyłącznie rozpoznaniu wzrokowemu, poruszał się z prędkością dwukrotnie większą niż zwykle. Podwozie było schowane, ale klapy i przednie krawędzie skrzydeł wychylone dla zwiększenia bezpieczeństwa przelotu na małej wysokości ze stosunkowo małą prędkością. Ustawił myśliwiec pod dużym kątem natarcia, co oznaczało utrzymanie dziobu myśliwca w nieco wyższej pozycji niż podczas normalnego przelotu.

W półmroku Papendrejow nie zauważył kłębow dymu unoszących się nad lotniskiem ani wielkiego, ciemnego kształtu sunącego po ośnieżonym pasie startowym. Gdy spojrział przez okno, wielki, czarny jak heban, samolot opuścił już lotnisko, ginąc na tle nierównego terenu i ciemnego horyzontu.

Jurij przeleciał nad lotniskiem, patrząc w kierunku wieży, budynku dowodzenia bazy i parkingu dla samolotów. Wszędzie pustki. Pomyślał, że może będzie musiał sam przepompowywać paliwo, gdy nagle kłęby dymu przesłoniły mu szybę. Czując, jak fala turbulencji wstrząsa MiG-iem, pchnął manetki do oporu, włączając oba dopalacze.

I wtedy go zobaczył! Był tak blisko, że mógłby go dotknąć, tak blisko, że widział pilota czyniącego gwałtowne wysiłki, by poderwać samolot w powietrze.

Amerykański bombowiec startujący z Anadyru! Jurij zareagował instynktownie, odbezpieczył dwudziestotrzymilimetrowe sprzężone działka dziobowe GSh23 i wypalił.

Strzały poszły z dala od celu, kolejna bowiem fala turbulencji spowodowana przez B-52 uderzyła w Fulcrum i Jurij był zmuszony wykonać gwałtowny unik w lewo, by nie rąbnąć w ogon bombowca. Gdy go mijał, zauważył z satysfakcją, że duże działko na ogonie B-52 nie obraca się za nim...

Sam dziwiąc się swemu szczęściu, kontynuował zakręt w lewo, podnosząc klapy i wybierając dwa pociski AA8 naprowadzające się na źródło promieniowania cieplnego... Początkowy wstrząs wywołany napotkaniem nieuchwytnego Amerykanina tutaj, w najmniej spodziewanym miejscu, przerodził się z powrotem w zawziętą koncentrację myśliwego.

Przeszukał przecież obszar o powierzchni jedenastu tysięcy kilometrów kwadratowych, zaryzykował wszystko, by go dopaść.

I wreszcie go znalazł.

Wysokościomierz radarowy wskazywał zaledwie kilkaset stóp ponad ziemią, ale Patrick nie mógł dłużej czekać... sięgnął w dół do dźwigni i zaczął podnosić klapy.

— Klapy się chowają, pułkowniku. Nos idzie w górę. Trudno mi w to uwierzyć, ale

radziecki myśliwiec właśnie przeleciał obok nas... widzi go pan?

Ormack wyjrzał przez prawe okno.

— Nie.

— Proszę go wypatrywać. — McLanahan obserwował wskaźnik wychylenia klap. Wielkie płaty na skrzydłach schowały się, co spowodowało zmniejszenie siły nośnej i bombowiec zaczął spadać. Patrick pchnął do oporu manetkę ósmego silnika i zaczął walczyć z drążkiem sterowym jak z nieokiełznanym rumakiem. Musiał skompensować nierównomiernie rozłożoną siłę ciągu, by nie spowodować nie kontrolowanego zakrętu i katastrofy. Próbował utrzymać bombowiec w locie poziomym, manipulując tym, co pozostało z elementów sterowania układem wyważenia bocznego.

Klapy podniesione — zameldował.

Nagle jego uwagę przyciągnęła żółta migająca lampka na górnej tablicy przyrządów — silnik numer dwa. Ciśnienie oleju spadło poniżej minimum'. Pociągnął manetkę numer dwa do oporu, odcinając dopływ paliwa do silnika. Wyłączył go, by nie dopuścić do zatarcia i eksplozji. Ponieważ po lewej stronie nie pracowały już dwa silniki, McLanahan nie miał wyboru i musiał zmniejszyć moc silnika numer osiem; wobec nie w pełni sprawnych sterów nie sposób było utrzymać stateczności bombowca przy takiej różnicy siły ciągu.

— Silnik numer dwa wyłączony — powiedział. — Dla równowagi zmniejszam obroty silnika numer osiem. Angelino, spróbuj uruchomić swoje urządzenia...

— Już próbowałam. Rakiety na wsporniku, w komorze bombowej i miny powietrzne Stinger są sprawne, ale nie działa naprowadzanie radarowe. Mogę wystrzelić pociski, ale nie mogę ich nakierować na cel.

McLanahan przeszedł do lotu poziomego na wysokości około tysiąca stóp i przywołał kolejną stronę komputerowej listy czynności kontrolnych — z procedurą uruchomienia automatycznego układu do omijania przeszkód terenowych.

— Uruchamiam automatyczny system omijania przeszkód terenowych. Wendy, zejdź na dół i spróbuj ponownie załadować dane o terenie do komputerów.

Wendy odpięła szybko pasy spadochronu, ostrożnie wygramoliła się ze swego fotela i przytrzymując się szczebli drabinki, zsunęła się na dół, po czym podłączyła swój hełmofon do gniazdka na stanowisku nawigatora.

— Patricku, jestem na dole — przekazała do kabiny pilotów. — Co teraz?

— Dobrze... wciśnij guzik wykazu kontrolnego, a potem wystukaj na klawiaturze OPT. Ukaze się lista czynności kontrolnych. Przewiń do strony „wczytywanie danych”. Będą tam kolejne punkty.

Komputerowa lista czynności kontrolnych oraz niepopularne żądanie pułkownika Andersona, by członkowie załogi Old Doga znali nawzajem swoje obowiązki, potwierdziły teraz swoją przydatność. Wendy przesunęła dźwigenkę czytnika kasety z opisem terenu na pozycję ODCZYT.

— Dane terenowe załadowane, Patricku.

McLanahan przeczytał szybko wykaz, który ukazał się na monitorze Ormacka. Następnie włączył pilota automatycznego i na ekranie ukazał się wykreślony przez komputer obraz terenu. Patrick odnalazł przełącznik automatycznego unikania przeszkód terenowych i ustawił wysokość lotu nad przeszkodami na dwieście stóp.

A okaleczony Old Dog zareagował.

Gdy Fulcrum Jurija wyszedł z beczki i znalazł się za Old Dogiem, potężny bombowiec był silnie pochylony do przodu. Jurij był przekonany, że Amerykanin lada moment się rozbije. Dosłownie w ostatniej chwili pilotowi udało się jakimś cudem wyrównać lot i B-52 przemknął tuż przy samej ziemi, niemal ocierając się brzuchem o skały i poszarpane szczyty...

McLanahan utrzymywał silniki na pełnych obrotach. Manipulując manetką silnika numer osiem, wykonał zakręt w lewo, jednocześnie wyglądając przez okno kabiny.

— Musimy kierować się na wschód, jesteśmy na złym kursie — zawołał do niego Ormack, przytrzymując się ekranu przeciwodblaskowego.

— Powinniśmy raczej szukać schronienia w górach — odparł McLanahan i wyprowadziwszy samolot ze skrzywienia, skierował go na południowy zachód, ku ośnieżonym szczytom Gór Koriackich. — Jeśli znajdziemy się nad morzem z myśliwcem na ogonie, jesteśmy skończeni.

— Ale paliwo...

— Powinno nam wystarczyć, zresztą nie mamy wyjścia... Angelino, czy wyrzutnia rakiet daje się sterować?

Angelina skontrolowała działanie uchwytów współpracujących z wyrzutnią min Stinger.

— Radar działa. Uchwyty sterujące również. Nie wiem jednak, czy wyrzutnia się obraca, uszkodzone są wszystkie wskaźniki położenia.

— Czy rakiety będą detonować?

— Tak, mogę ustawić odległość detonacji ręcznie albo wybuchną same, gdy wyczerpie im się paliwo.

— W porządku, jeśli wyśledzimy myśliwiec, podamy ci jego pozycję. Ustaw miny powietrzne na różne odległości i...

— Widzę go, jest z tyłu za nami... Bombowcem wstrząsnęła silna eksplozja — jak gdyby

potężna kula do burzenia budynków walnęła w sam środek Old Doga. McLanahan czuł się jak w windzie, która w ciągu jednej sekundy opadła o dwadzieścia pięter. Zdawało się, że Old Dog zawisł w powietrzu pomiędzy niebem a ziemią — to sześć pracujących silników usiłowało zniwelować skutki trafienia pocisku AA-8 w jego kadłub.

Jurij Papendrejow, lecąc nieco wyżej, po prawej stronie swej ofiary, zacisnął pięść i uśmiechnął się do siebie. Jeden z jego pocisków na podczerwień chybił, drugi natomiast trafił w środek kadłuba, tuż przy przedniej krawędzi skrzydła. Kłęby dymu wydobywały się z dziury, którą wyrwała rakietą. Ogon bombowca opadł, a nos poddał się do góry.

A mimo to wciąż jakimś cudem utrzymywał się w powietrzu. Cóż, jak dotąd wszystko układało się po ich myśli, ale w końcu szczęśliwa gwiazda Amerykanów zgasła. Jurij miał jeszcze dwie rakiet AA-8 i pięćset sztuk amunicji, a bombowiec był poważnie uszkodzony.

Skręcając ostro w prawo, by zająć pozycję do kolejnego ataku, spojrzął na przyrządy nawigacyjne i stwierdził, że znajduje się zaledwie czterdzieści kilometrów od Anadyru...

Nie ma cenniejszej zdobyczy od B-52, pomyślał, ani większego zwycięstwa... Złagodził nieco zakręt i uśmiechnął się szeroko, widząc swój przyszły los jak na dłoni.

Krztusząc się i kaszląc w gęstych kłębach czarnego dymu, Wendy skierowała gaśnicę na drzwi w tylnej grodzi, za którymi znajdował się pomost komory bombowej. Nacisnęła spust. Krwawiła jej długa rana na czole; w czasie wstrząsu spowodowanego trafieniem rzuciło ją na przednią tablicę przyrządów. W chwilę później znalazła się przy niej Angelina, z drugą gaśnicą i maską przeciwpożarową. Wendy włożyła maskę i podłączyła ją do przewodów tlenowych na stanowisku instruktora-nawigatora, tymczasem Angelina zbliżyła się do ognia i uruchomiła gaśnicę.

W momencie gdy Wendy otworzyła drzwi grodzi, płomienie buchnęły ze zwielokrotnioną siłą, ale strumienie powietrza, wlatujące przez dziury w kabinie pilotów, powstrzymały dym i ogień. Dzięki temu Wendy mogła szybko i skutecznie zdławić pożar w transformatorach i nadajnikach systemu elektronicznego zakłócania.

Wendy opadła na fotel nawigatora, ręce i nogi jej drżały, czoło ociekało krwią. Zdjęła maskę przeciwpożarową i wysapała przez telefon pokładowy:

— Ogień ugaszony, Patricku. W kadłubie jest wielka dziura i pożar uszkodził moje nadajniki, ale podwozie chyba ocalało.

— Jesteśmy tu całkiem ślepi — powiedział Ormack. — Nie możemy go zobaczyć, nie wiemy, kiedy do nas strzela...

McLanahan przełączył autopilota na COLA i od tej pory Old Dog miał sam decydować o najmniejszej możliwej wysokości przelotu. Jednakże wskutek zmniejszonej siły ciągu i

poważnych uszkodzeń zdolność bombowca do reagowania na wzniesienia terenu była znacznie ograniczona. A ponieważ teren stawał się coraz bardziej górzysty, wysokość stopniowo rosła, powodując zwiększenie zagrożenia ze strony radzieckiego myśliwca.

— W porządku, niech każdy sprawdzi, co zostało uszkodzone — polecił McLanahan, zaciskając ręce na drążku sterowym tak mocno, że aż mu kostki zbieleły.

— Zgłaszam przeciek w tylnym zbiorniku paliwa — powiedział Ormack, chuchając w dłonie i kontrolując wskaźniki poziomu paliwa. — Otwieram zawór dwudziesty ósmy, zamykam dwudziesty dziewiąty. Przepompowuję całe paliwo tylnego zbiornika, zanim wycieknie do reszty...

Jego uwagę przyciągnął nagły ruch za lewą szybą kabiny.

— Patricku, spójrz...

McLanahan odwrócił głowę i zdretniał... Szary myśliwiec MIG-29 Fulcrum znajdował się w odległości niespełna stu stóp od Old Doga, tuż przed kabiną pilotów, na nieznacznie większej wysokości. Patrick widział wyraźnie głowę i prawe ramię radzieckiego pilota oraz gładki korpus rakiety powietrze-powietrze pod skrzydłem.

MIG był zadziwiająco mały i zwarty, przypominał amerykański myśliwiec F-16 z podwójnym ogonem. Pilot najwidoczniej nie miał żadnych trudności z utrzymaniem pozycji tuż przy Old Dogu, błyskawicznie reagując na sterowaną przez komputer każdą zmianę wysokości.

— Angelino, on jest z lewej strony, godzina dziesiąta, odległość sto stóp. Może walniemy go Scorpionem z prawego wspornika?

— Jest zbyt blisko, rakietą nie zdąży się namierzyć.

Pilot MIG-a popatrzył na McLanahana i trzykrotnie zakołysał skrzydłami. Po krótkiej przerwie położył samolot na prawe skrzydło.

— Po co on to robi? Ormack zacisnął zęby.

— To sygnał przechwycenia. Chce, byśmy lecieli za nim.

— Lecieli za nim? — powtórzył McLanahan ze ściśniętym żołądkiem. — Nie ma mowy, nie możemy...

— Pat, nie mamy szans ucieczki. Może nam przyłożyć w każdej chwili...

Pilot MIG-a energicznie powtórzył sygnał, jak gdyby słysząc słowa Ormacka. Dla podkreślenia swej przewagi, wystrzelił jednosekundową serię z

działek podkadłubowych. Dwie jasne smugi pocisków fosforowych przecięły ciemność niczym śmiercionośne gwiazdy.

— Jeśli nie polecimy za nim, zrobi nawrót i rozpieprzy nas na kawałki — powiedział

Ormack. — Nie mamy najmniejszej szansy... .

— Wciąż możemy walczyć — odparł McLanahan. — Dopóki mamy rakiety, nie wolno nam się poddać.

Ormack chwycił go za ramię.

— Musimy się poddać — powiedział ściszym głosem. — Spisałeś się na medal, Pat, ale gra skończona. To...

McLanahan strząsnął jego rękę. MIG przesunął się trochę do tyłu, tak że plastikowa osłona kabiny Jurija znajdowała się teraz dokładnie na wysokości kabiny Old Doga. Radziecki pilot wskazał trzykrotnie palcem w dół.

McLanahan odwrócił głowę i spojrzał prosto na Papendrejowa. Samoloty leciały teraz zgodnie, dzieliło je zaledwie pięćdziesiąt stóp. Ku zdumieniu Ormacka Patrick skinął głową, a Rosjanin nakazał gestem, by wykonał zakręt w prawo.

Ormack odwrócił wzrok, żeby nie widzieć, jak Patrick posłusznie wykonuje to, co jego zdaniem dawało jedyną szansę wyjścia cało z opresji. Cierpienie, które z tego powodu przeżywał, kazało mu nawet zapomnieć o bólu poharatanego ramienia.

McLanahan jeszcze raz skinął głową pilotowi MIG-a.

— Załoga, przygotować się do skrętu — zawołał, ujmując mocniej stery.

Jurija Papendrejowa wprost rozpierała duma. Dokonał tego! Amerykanin poddał się. Oczywiście, nie miał przecież wyboru — z oderwaną końcówką lewego skrzydła, uszkodzonym lewym zewnętrznym silnikiem B-52 leciał coraz wolniej, niezdolny do ostrego nurkowania lub wznoszenia, które demonstrował poprzednio, trzymając się blisko ziemi. Jurij zauważył również liczne dziury od pocisków małego kalibru na lewym boku bombowca. Jak przypuszczał, rakietą AA-8, która trafiła w środek kadłuba, dopełniła dzieła zniszczenia.

B-52 zaczął bardzo powoli skręcać w prawo i Jurij napał na drążek sterowy, by wykonać podobny manewr, gdy nagle całą prawą stronę osłony kabiny wypełnił ciemny, groźny kształt amerykańskiego bombowca... Zamiast zawrócić w kierunku Anadyru, obłąkany samolot skręcił w lewo — prosto na MIG-a29 Jurija.

Jurij szarpnął ostro drążek w lewą stronę, przechylając samolot w dziewięćdziesięciostopniowym skręcie. W chwilę później rozległ się straszliwy zgrzyt metalu — to zderzyły się dwa samoloty, lecące z szybkością około dwudziestu kilometrów na minutę. Ponieważ oba wykonywały właśnie ostry zakręt w tę samą stronę, B-52 rąbnął szczytem kadłuba w spód myśliwca.

Jurijowi udało się jakoś utrzymać myśliwiec w ostrym przechyle na lewe skrzydło, ciągnąc do siebie drążek sterowy, by jeszcze bardziej zacieśnić beczkę. B-52 zdawał się skręcać

razem z nim, wlokąc go ku ziemi. Myśliwiec był teraz przechylony o dziewięćdziesiąt stopni, od spodu dobiegały wciąż

przerażające odgłosy miażdżonego metalu. Jurij widział już skały i drzewa zbliżające się do osłony kabiny. Samolot nie reagował na stery...

Włączył dopalacze i MIG jak sprężyna odskoczył od B-52. Nagle znalazł się w pozycji odwróconej, wpadając w nie kontrolowany korkociąg. Ryk silników B-52 rozlegał się zewsząd, Jurij spodziewał się w każdej chwili kolejnego uderzenia...

Wirował coraz wolniej, aż wreszcie udało mu się wyprowadzić maszynę. Znajdował się niespełna dwadzieścia metrów nad ziemią. Otaczały go skały i drzewa — patrzył w górę na potężny grzbiet skalny najeżony olbrzymimi, pokrytymi śniegiem głazami. Na szczęście prędkość szybko wzrosła i ziemia zaczęła się oddalać.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu B-52... ani śladu. Zniknął. Jurij pokręcił głową i przystąpił do powolnego zakrętu w prawo, by sprawdzić, co się dzieje z tyłu...

Jeszcze pod wrażeniem powietrznej kolizji, którą rozmyślnie spowodował, McLanahan wpatrywał się jak zahipnotyzowany w szarego MIG-a, spadającego w korkociągu. Wydawało się, że nic nie może go uratować przed roztrzaskaniem o skały.

A jednak udało mu się. Był tak blisko ziemi, że niemal otarł się o skały, wyszedł jednak z korkociągu i odskoczył w górę, błyskawicznie nabierając szybkości. To McLanahan musiał teraz walczyć o utrzymanie kontroli nad samolotem. Zadźwięczał sygnał ostrzegający o utracie ciągu i Old Dog zamiast lecieć przed siebie, zdawał się spadać prosto w dół.

— Opuść nos, przepadamy — wrzasnął Ormack. McLanahan napał na drążek, usiłując wyjść z trzepotania, które wstrząsnęło ogromnym dwustutonowym bombowcem.

Dźwięk ustał. Prędkość wzrosła i McLanahan wyrównał lot, czując, że znów panuje nad samolotem. Z trudem zmuszał się, by nie patrzeć na skalisty teren przemykający niebezpiecznie blisko trzeszczących skrzydeł Old Doga.

— Widzę go, nadlatuje... — zawołał Ormack, wskazując przed siebie.

Rzeczywiście nadlatywał... wprost na nich.

— Angie — krzyknął Patrick. — Rakieta ze wspornika... ognia!

MIG znajdował się w trzydziestostopniowym skřęcie w prawo, w odległości trzech, czterech mil przed nosem Old Doga, gdy Scorpion odpalił ze wspornika na prawym skrzydle i ciągnąc za sobą smugę ognia, popędził w kierunku myśliwca.

Niestety wystrzelony Scorpion był tylko zwykłym pociskiem poruszającym się po trajektorii z góry określonej, a nie naprowadzaną elektronicznie rakietą powietrze-powietrze. Pozbawiony sprzężonych z radarem sygnałów sterujących z Old Doga, Scorpion namierzał

się na źródło promieniowania cieplnego lub sygnał wytwarzany przez nadajniki zakłócające. Tym razem nie miał na co: radar i nadajniki MIG-a były wyłączone, a na dodatek myśliwiec nie mógł być wykryty przez detektor podczerwieni, dopóki wykonywał zakręt w prawo.

Scorpion przeleciał z dużą szybkością przed nosem MIG-a. mijając go w odległości stu stóp. W dziesięć sekund po odpaleniu rakiety głowica automatycznie się uzbroiła, a komputer sterujący Scorpionem stwierdził, że nie śledzi celu, i wydał rozkaz detonacji głowicy. Rakietka rozerwała się dwie mile od celu, nie czyniąc mu najmniejszej szkody.

Papendrejow dostrzegł amerykański bombowiec i raketę dokładnie w tym samym momencie. Nie miał już czasu, by wykonać jakikolwiek manewr — skręcić, nurkować czy przyspieszyć, nie miał nawet czasu, by zamknąć oczy i przygotować się na eksplozję...

I wtedy, równie nagle jak się pojawił, pocisk zniknął. Jurij wypatrywał kolejnego pocisku — bombowiec B-52 odpalający rakiety? — na szczęście nie doczekał się.

Nabierał wysokości, skręcając wciąż łagodnie w prawo i nie spuszczać z oczu B-52, który był znów niebezpiecznym przeciwnikiem, w niczym nie przypominającym wielkiego, choć bezbronnego zwierzęcia, skazanego na śmierć. Obserwował, jak znajdujący się znacznie niżej bombowiec skręca w lewo, kierując się na wschód. Dla Papendrejowa, który zdołał już odzyskać prędkość, B-52 był jakby zawieszony w powietrzu. Kuszący cel!

Zauważywszy, że wyrzutnia w ogonie B-52 przesuwają się tam i z powrotem zakreślając prostokąt, wyprowadził samolot na pozycję powyżej bombowca, z jego prawej strony, czając się do zadania ostatecznego uderzenia. Lufa wyrzutni wykonywała wciąż miarowy ruch po prostokącie, chwilami sprawiając wrażenie, że jest całkowicie pozbawiona sterowania i bezużyteczna... tak, wyrzutnia była w stanie wystrzeliwać pociski, ale nie mogła ich naprowadzić.

Jurij odbezpieczył działko GSh23 i stopniowo zmniejszał dystans w stosunku do B-52, podchodząc go od tyłu. Nie brał już dłużej pod uwagę możliwości zmuszenia bombowca do lądowania — moment jego zwycięstwa nad nieprzyjacielem miała uwiecznić sprzężona z działkiem kamera.

Zbliżył się jeszcze bardziej do bombowca i rozpoczął ostrzeliwanie...

— Zgubiliśmy go! — powiedział Ormack wyglądając przez okno.

— Jest gdzieś tam — odparł McLanahan, sprzęgając ponownie autopilota z komputerem do omijania przeszkód terenowych. — Może nas łatwo odnaleźć. Musimy go uprzedzić, zanim nam dołoży.

Angelina patrzyła na sygnalizatory pozycji wyrzutni, które pokazywały jej przypadkowe, nieregularne ruchy. Radar łapał zjawy, namierzał się i po chwili ruszał dalej w poszukiwaniu

nowego celu. Zawiedziona, przełączyła radar na STANDBY, odczekała parę chwil i ponownie ustawiła PRZESZUKIWANIE...

Duży jasny punkt pojawił się w lewym, górnym rogu ekranu radaru. Angelina czekała, aż zniknie, tak jak cała reszta zjaw elektronicznych, on jednak wciąż tam pozostawał.

Nacisnęła stopą przycisk telefonu pokładowego.

— Napastnik na godzinie piątej, w górze, unik w prawo.

McLanahan szarpnął z całej siły wolant w prawo.

Ormack uderzył głową w prawe okno kabiny, zaraz się jednak pozbierał i przeszukał przestrzeń powietrzną za bombowcem, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem...

— Pereira, godzina piąta, półtorej mili, kąt dwadzieścia stopni, zniża się. Przyłóż mu!

Jurij wymierzył dokładnie, przeprowadzając atak z podręcznikową precyzją. Nacisnął spust na dźwiku i przytrzymał go przez chwilę, wysyłając z setkę cennych pocisków, zanim zdał sobie sprawę, że B-52 zniknął z jego celownika. Pilot spróbował ruszyć stery tak, by rozszerzyć pole widzenia po prawej stronie, ale to nie wystarczyło. Nie pozostało mu nic innego, jak zmniejszyć obroty i powtórzyć manewr Old Doga.

Ustawił się prawie równoległe do bombowca, gdy niebo rozświetlił oślepiająco jasny błysk. Jurij gwałtownie skręcił w prawo, przyspieszył na widok kolejnego jasnego błysku i chmury skrzących się odłamków metalu wybuchającej nad myśliwcem. B-52 strzelał do niego, i to nie pociskami z karabinu maszynowego, lecz raketami odpalonymi z wyrzutni na ogonie...

Jurij po mistrzowsku wyszedł z zakrętu i lecąc teraz prostopadle do kursu bombowca, znalazł się poza zasięgiem ostrzału.

Jego wzrok przyciągnęła migająca lampka ostrzegawcza.

Był już na paliwie awaryjnym — zostało mu na niespełna dziesięć minut lotu bez żadnej rezerwy. Nie miał nawet czasu na kolejne ustawienie się do strzału. Uzbroił dwa ostatnie pociski AA-8 i skontrolował ekran detektora podczerwieni, by ustalić położenie bombowca.

Była to ostatnia próba i dlatego chciał przeprowadzić ją perfekcyjnie. Na szczęście rakiety AA-8 miały większy zasięg od małych pocisków! Zajdzie B-52 od ogona i wystrzeli w momencie, gdy AA-8 namierzą się na gorące gazy wylotowe z silników.

Zanurkował w lewo, utrzymując odległość dwunastu kilometrów od ogona bombowca. Chłodne oko detektora podczerwieni namierzyło się natychmiast na B-52 i przesłało informację sterującą do pocisków AA-8. Bombowiec nie wykonywał żadnych uników. Odległość między samolotami malała.

Jurij stwierdził, że amerykański samolot, utrzymując kurs na Cieśninę Beringa, znalazł się

nad płaskowyżem górującym nad bazą w Anadyrze. Nie miał już gdzie się ukryć ani gdzie uciekać. Jurij miał nadzieję, że nie spadnie na Anadyr. Z drugiej jednak strony, czyż mógłby znaleźć lepsze miejsce na świadka swego zwycięstwa? I rehabilitacji w oczach przełożonych?

Dystans wciąż malał. Jurij widział już wyrzutnię na ogonie B-52, zastygłą w jednej pozycji, wycelowaną w dalszym ciągu do góry, nieco w prawo. Położył palec na spuście, czekał... ..

W hełmofonie rozległ się wysoki, urywany sygnał — głowice naprowadzające się na podczerwień pocisków AA-8 uchwyciły cel. Jurij sprawdził prawidłowość namierzania, odczekał parę sekund, by jeszcze trochę zmniejszyć odległość i — wypalił. Zielona lampka sygnalizująca uchwycenie celu wciąż się paliła, gdy pociski opuściły wyrzutnię z szybkością dwóch machów...

Ormack przeszukiwał wzrokiem niebo.

— Zgubiłem go.

— Angie, widzisz go?

— Niestety nie, zakłóca mój radar.

Płaskowyż przeszedł w rozległą śnieżystą dolinę, z bazą lotniczą w Anadyrze usytuowaną pośrodku. McLanahan nie czekał, aż komputerowy system omijania przeszkód terenowych sprowadzi Old Doga na minimalną wysokość. Ujął drążek i skierował nos bombowca w dół, zwiększając równocześnie obroty sześciu pracujących silników do maksimum.

Old Dog opadł zaledwie około stu stóp nad doliną, gdy McLanahan zdał sobie sprawę z konsekwencji manewru. Wyteżając wszystkie siły, jakie pozostały, pociągnął z powrotem drążek do siebie.

— Patrick, co ty do diabła robisz? — wykrzyknął Ormack.

— On jest za nami — wyjaśnił McLanahan. — Musi być za nami. Jeśli znurkujemy w tę dolinę, możemy się pożegnać z życiem.

Wydawało się, że podziurawiony kadłub Old Doga rozleci się na kawałki. Zadzźwięczał sygnał ostrzegający przed utratą ciągu przez silnik, ale McLanahan nie wypuszczał drążka, zadzierając nos bombowca ku niebu pod niebezpiecznym kątem.

Oba pociski AA-8, będąc zaledwie kilkaset metrów od celu, utraciły z nim kontakt w podczerwieni, gdy Old Dog niespodziewanie dźwignął się w górę. Natychmiast znalazły nowe źródło ciepła i nastawiły się ponownie na cel — tym razem był to budynek dowodzenia i pojazdy zaparkowane w pobliżu bazy lotniczej w Anadyrze, obsadzonej w tej chwili kilkoma plutonami milicji. Otoczone zaspami nie uprzątniętego śniegu, stanowiły najgorętsze obiekty w promieniu wielu mil.

Komendant milicji Wiarelski, który wybiegł z hangaru na płytę lotniska, by obserwować pościg w przestworzach nad bazą, patrzył teraz ze zgrozą na dwa pociski pędzące ze świstem prosto na niego.

Zanim zdołał wykrzyknąć słowo ostrzeżenia, jeden z pocisków uderzył w drewniany budynek dowodzenia, drugi zaś znalazł pustą ciężarówkę z maską podniesioną z powodu przegrzania chłodnicy. Dwie silne eksplozje odrzuciły żołnierzy na wszystkie strony.

Doprowadzony do wściekłości Wiarelski wyrwał z kabury pistolet kalibru dziewięć milimetrów i wymierzył w amerykański bombowiec, zaraz go jednak opuścił, zdając sobie sprawę, jak absurdalnie musi to wyglądać.

Jurij spodziewał się, że Amerykanin będzie nurkował w dolinę. Cóż, mógł sobie tym razem wyłącznie zaszkodzić, stając się wyraźniejszym celem dla detektora podczerwieni.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że B-52 ma zamiar się wznosić... Tymczasem bombowiec wyłonił się nie wiadomo skąd, gdzieś zza skalistego grzbietu z nosem zadartym do góry.

Żadna z rakiet, nawet nowego typu AA-8, nie była w stanie odpowiednio zareagować na ten manewr. Jurijowi udało się wystrzelić półsekundową serię z działka, ale miał już zbyt dużą prędkość i musiał poderwać myśliwiec, by nie zderzyć się z B-52.

Ogromny czarny bombowiec zniknął gdzieś pod nim. Jurijowi pozostało jedynie utrzymanie maksymalnej mocy przy włączonych dopalaczach, wykonanie beczki i ustawienie się do ostatniego ataku z działka, zanim skończy mu się paliwo...

McLanahan napierał teraz z całej siły na drążek, walcząc z ociężałym Old Dogiem. Prędkość spadła znacznie poniżej dwustu węzłów. Przekrzykując głośny sygnał ostrzegający o utracie ciągu, Ormack wołał, że przepadają, że McLanahan powinien opuścić nos bombowca...

A jednak Patrickowi udało się! Przechodził właśnie w lot poziomy, gdy za lewym oknem kabiny przemknęła z rykiem szara smuga.

Myśliwiec minął Old Doga z ziejącymi ogniem dopalaczami. Przelatywał tak blisko, że McLanahan poczuł przez strzaskaną szybę i dziury po pociskach żar bijący od jego silników. Potem MIG rozpoczął łagodne wznoszenie, zataczając łuk w lewo.

Nie zważając na sygnał ostrzegający przed przeciągnięciem, McLanahan pochylił drążek ku sobie i znów skierował nos Old Doga do góry.

Przy pełnych obrotach silnika numer osiem, Oki Dog zaczął ześlizgiwać się w lewo z nosem zadartym pod kątem czterdziestu stopni.

— Patricku, zwolnij stery, teraz...

McLanahan zignorował rozkaz Ormacka i czekał, nieludzko zmęczony, walcząc z setkami ton prawie niesterownej maszyny. Dosłownie na sekundy przed zniknięciem MIG-a z pola widzenia, krzyknął:

— Angie, rakietę z prawego wspornika — OGNIA!

Po chwili rakietę Scorpion wystartowała ze świstem, ciągnąc za sobą długi pióropusz ognia... W półmroku długiej syberyjskiej nocy dwa gorące turboodrzutowe silniki z włączonymi dopalaczami stanowiły jej jedyny cel.

Pocisk trafił w myśliwiec, eksplodując, gdy gorące gazy wydechowe z dopalaczy spowodowały zapłon paliwa rakiety. Cała ogonowa część MIG-a oderwała się, rozdzierając prawie puste zbiorniki. Eksplozja tysięcy stóp sześciennych par paliwa dodatkowo zwielokrotniła siłę niszczenia.

McLanahan śledził spojrzeniem ognistą kulę, jak zatacza na niebie szeroki łuk i spada na ośnieżone szczyty Gór Koriackich.

Cisza. Nie było braw ani uniesień. Old Dog skręcił na wschód i wziął kurs na Cieśninę Beringa — na dom.

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH GWARDII NARODOWEJ SEWARD, NOME, ALASKA

Pokoiki szpitalne były małe i niedogrzone, łóżka twarde i wąskie, jedzenie ledwie przechodziło przez gardło — ale od tygodnia członkowie załogi Old Doga czuli się, jakby po śmierci znaleźli się w niebie.

Traf zrządził, że po raz pierwszy od przylotu byli znów wszyscy razem. Gdy pielęgniarka zawiadomiła Pereirę, że generał Elliott przyjmuje gości, Angelina — jedyny członek załogi, który nie odniósł poważnych obrażeń — przemierzyła oblodzone ulice lotniska w Nome i znalazła się w szpitalu Sił Powietrznych Gwardii Narodowej, w strzeżonym pokoju generała.

Zastała tam resztę załogi.

— O, dzień dobry — powiedziała mile zaskoczona. Byli tu wszyscy — John Ormack, siedzący na biurku przy łóżku Elliotta, z grubo obandażowaną głową i ramieniem; Patrick McLanahan z odmrożonymi uszami, rękami i twarzą; Wendy Tork z obandażowanym czołem i częściowo twarzą; i generał Elliott. Angelina podeszła do jego łóżka.

— Jak się miewasz, Angie?

— Świetnie, panie generale... Ja... przykro mi z powodu pańskiej nogi. Naprawdę...

— Nie martw się, Angie — powiedział Elliott, spoglądając na fałdy narzuty w miejscu, gdzie powinna znajdować się prawa noga. — Pewien zespół lekarzy z Bethesda umieścił mnie już na swojej liście oczekujących na protezę, a więc nie zdążycie się nawet obejrzyć, gdy stanę na nogach i będę znów dawał się wam we znaki. Nie staram się pokazać, jaki to jestem dzielny, po prostu cholernie się cieszę, że żyję... w rzeczywistości powinienem was przeprosić. — Miał na myśli przede wszystkim Dave'a Lugera.

— Jestem dumna, że służyłam pod pańskimi rozkazami, panie generale — powiedziała Angelina — a także z tego, czego dokonaliśmy. Myślę, że wyraziłam uczucia nas wszystkich.

Elliott popatrzył na zgromadzoną załogę.

— Dziękuję, jestem wam cholernie wdzięczny. — Odchrząknął. — Myślę, że ucieszy was wiadomość, iż rozmawiałem dziś rano z prezydentem. Prosił, by pogratulować każdemu z was. Powiedział również, że osiągnięto nowe porozumienie... Rosjanie zgodzili się nie odbudowywać kompleksu w Kawazni, w zamian za co my zgodziliśmy się nie instalować nowej Ice Fortress. Powiedział mi jeszcze coś, co powinno was zainteresować. Nasze podejrzenia co do przecieku były słuszne. Wygląda na to, że pewien urzędnik w biurze dyrektora CIA Kennetha Mitchella przekazywał informacje Sowiecom. Nie wiem, czy chodzi

tu o sprawę typu: ciągnie swój do swego, czy o pieniądze, a może o jedno i drugie. W każdym razie przypuszczam, że gdybyśmy nie upozorowali katastrofy nad Seattle, Rosjanie czekali by na nas ze wszystkimi myśliwcami, jakimi dysponowali.

Wszyscy słuchali w milczeniu.

Elliott skinął na Wendy, która wyjęła przemyconą butelkę wina z szafy generała. Wraz z Angeliną nalały każdemu, tymczasem generał mówił dalej

— Oczywiście zniszczenie lasera kawaznijskiego i nasze nowe porozumienie nie oznaczają końca badań nad bronią laserową. To tylko kwestia czasu, kiedy my również będziemy dysponować systemami laserowymi o możliwościach nie ustępujących radzieckim. Miejmy nadzieję, że zneutralizują się wzajemnie...

Elliott podniósł szklaneczkę.

— Za chwilę obecna i za załogę Old Doga. To wy daliście przykład innym.

Angelina również wzniosła smutny toast.

— I za Lewisa Camposa.

McLanahan opanował drżenie głosu.

— Za Dave'a Lugera...

— Za Dave'a — powtórzyła Wendy. — Za tego, dzięki któremu jesteśmy w domu.

Wypili wino w pełnym napięcia milczeniu. Pierwsza odezwała się Angelina.

— Co się stanie z Old Dogiem, panie generale?

— No cóż, prawdopodobnie powróci do służby — chociaż wydaje mi się, że obecny tu John doznał chyba urazu głowy, o czym woli zamilczeć, bo ma takie pomysły...

Ormack wzruszył ramionami.

— Po tym, co Old Dog przeszedł, nie byłoby fair pozwolić, aby pocięto go na złom. Dopilnuję napraw i polecę nim z powrotem do Dreamlandu.

— Pewnie kompletnie zwariowałem — oświadczył Patrick — ale lecę na ochotnika razem z tobą.

— Zdaje się, że Patrickowi przypadł do gustu pomysł obijania się z takim starym durniem, jak ja — powiedział z uśmiechem Elliott. — Zgodził się pracować ze mną w Dreamlandzie.

Elliott skinął na Ormacka, który sięgnął do worka z odzieżą.

— Zachowałem to dla ciebie, McLanahan. — Wręczył Patrickowi wolant drążka sterowego. — Oderwał się od lewej kolumny Old Doga. Nie musiałem go nawet odcinać. Przypuszczam, że ta bestia chciała, byś go zachował.

Wendy odwiesiła słuchawkę telefonu i odwróciła się do Patricka McLanahana, siedzącego obok niej w pokoju pielęgniarek.

— Czy wszystko w porządku w domu? — spytał ją.

— W absolutnym. Ulżyło im, gdy usłyszeli mój głos. Przez ostatnie dwa miesiące nie mogli wyciągnąć od Sił Powietrznych ani słowa na mój temat.

— Moja mama też się niepokoiła — powiedział Patrick. — Ale miałem niezłą wymówkę. Powiedziałem jej, że byłem zajęty zrzucaniem bomb na Związek Radziecki.

— Nie zrobiłeś tego...

— Oczywiście, czemu nie? Nie uwierzyła w ani jedno słowo.

Wendy uśmiechnęła się, ale po chwili twarz jej przybrała poważny wyraz.

— Pat... Ta dziewczyna, Catherine, o której mi mówiłeś. Czy do niej też dzwoniłeś?

— Tak. Odbyliśmy długą rozmowę. Bardzo długą. Powiedziałem jej prawdę — że martwiłem się, iż moja praca w Siłach Powietrznych niczemu nie służy, ale teraz wszystko się zmieniło i mam zamiar w nich pozostać. Myślę, że zrozumiała. Życzyła mi szczęścia.

— Och, cóż, to dobrze... przypuszczam, że wyjeżdżasz do Dreamlandu w przyszłym miesiącu. — Splatała i rozplatała dłonie. — Jestem pewna, że będziesz zadowolony... cieszę się, że sprawy przybrały dla ciebie taki pomyślny obrót...

Wstał i spojrzał na nią, ich oczy się spotkały.

— Hej, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, ale... no, wiesz, Elliott potrzebuje w Dreamlandzie dobrego operatora elektronicznych systemów ofensywnych. Cieszyłbym się, gdybyś... o, do diabła z tym! — Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. — Chcę, żebyś pojechała ze mną. Pragnę, byśmy byli razem. Co ty na to?

Zamiast odpowiedzi przytuliła się do niego mocniej, a jej pocałunek powiedział mu wszystko.

SŁOWNICZEK

AFSATCOM (Air Force Satellite Communications) — satelitarny system łączności Sił Powietrznych USA.

AGM-88B HARM (HighSpeed Antiradiation Missile) — pocisk antyradiolokacyjny produkowany przez firmę Texas Instruments, Inc.: wystrzeliwany z samolotu, samoczynnie naprowadza się na źródło promieniowania radarowego; przeznaczony do niszczenia nieprzyjacielskich radarów na lądzie i morzu; ma zasięg około dziesięciu mil; w 1986 roku Amerykanie użyli go podczas nalotu na libijskie instalacje radarowe.

AGM-130 Striker — bomba ślizgowa produkowana przez firmę Rockwell International; wystrzeliwana z samolotu, sterowana za pośrednictwem kamery telewizyjnej lub kamery na podczerwień; jej głowica zawiera dwa tysiące funtów materiału wybuchowego; ma zasięg od dwóch do pięciu mil, nawet przy wystrzeleniu na małej wysokości.

AMRAAM (Advanced MediumRange AirtoAir Missile) — sterowany radarem pocisk powietrze-powietrze średniego zasięgu, produkowany m.in. przez Hughes Aircraft; osiąga prędkość rzędu czterech machów; może naprowadzić się samoczynnie na cel.

BEACON — nadajnik umieszczony w samolocie, statku lub obiekcie naziemnym, pracujący na częstotliwościach radarowych; po odebraniu sygnału radarowego wysyła blok danych pozwalający nadawcy określić pozycję obiektu oraz zidentyfikować go.

BNS (Bombing Navigation System) — system nawigacyjny służący do naprowadzania bomb na cel.

CINCPAC (Commander in Chief Pacific) — oficer dowodzący wszystkimi siłami amerykańskimi, tj. jednostkami armii lądowej, sił powietrznych oraz jednostkami marynarki w obszarze Pacyfiku, zwykle w stopniu admirała.

COLA (Computergenerated Lowest Altitude) — mod pracy automatycznego pilota, w którym wybiera on najniższą bezpieczną wysokość przelotu bombowca nad ziemią na podstawie wskazań wysokościomierza radarowego wprowadzonych do komputera pokładowego samolotu.

DIA (Defense Intelligence Agency) — wywiad wojskowy podlegający Ministerstwu Obrony USA.

DSO (Defensive Systems Operator) — członek załogi odpowiedzialny za obsługę systemów defensywnych bombowca.

EVS (Electrooptical Viewing System) — urządzenia optycznoelektroniczne

współpracujące z radarem samolotu, obrazujące profil terenu na ekranie monitora na stanowisku pilota.

EW (Electronic Warfare) — oficer zakłócania elektronicznego.

FAA (Federal Aviation Administration) — agencja federalna podlegająca Ministerstwu Transportu

USA i sprawująca kontrolę nad całym obszarem powietrznym Stanów Zjednoczonych oraz amerykańskim lotnictwem cywilnym; do jej zadań należą: ustalenie i kontrola przestrzegania przepisów dotyczących bezpieczeństwa ruchu powietrznego, inspekcja stanu technicznego samolotów, weryfikacja pilotów.

FCI (Flight Command Indicator) — umieszczony na stanowisku pilota wskaźnik sterowania lotem informujący o kierunku do celu i odległości.

GPS (Global Positioning System) — system nawigacyjny sił zbrojnych USA wykorzystujący satelity umieszczone na orbicie okołoziemskiej, dostarczający precyzyjnych informacji o położeniu geograficznym oraz prędkości samolotów, statków, ruchomych obiektów naziemnych; tolerancja GPS dla obiektów nieruchomych wynosi cztery stopy (ok. 1,2 m) lub 1/4 mili (ok. 400 m) na godzinę dla obiektów poruszających się.

GUARD — międzynarodowa częstotliwość awaryjna; VHF GUARD = 121,5, UHF GUARD = 243,0.

IFF (Identification Friend or Foe) — rozpoznanie: Swój/Obcy; system elektroniczny zainstalowany w samolocie lub na statku, który po odebraniu odpowiednio zakodowanego sygnału radiowego nadanego przez inny samolot, statek lub stację naziemną, odpowiada własnym sygnałem, na ogół zawierającym symbol identyfikacyjny i pozycję; samoloty nie reagujące na zakodowane sygnały uważane są za wrogię; zmiana kodów następuje każdego dnia.

INS (Inertial Navigation System) — Bezwładnościowy System Nawigacyjny: precyzyjny system nawigacyjny wykorzystujący przyspieszeniomierze do określenia dokładnej pozycji i prędkości samolotu poprzez pomiar jego ruchu w trzech kierunkach; przy uruchamianiu systemu należy „poinformować” go o pozycji początkowej.

IP (Initial Point) — punkt początkowy, pozycja, od której samolot rozpoczyna bezpośrednie podejście do celu.

KC-10 Extender — samolot McDonnell Douglas DC10 przystosowany do pracy w charakterze powietrznej cysterny lub samolotu transportowego.

MMU (Manned Manuevering Unit) — podręczny zespół manewrowo-napędowy wyposażony w niewielki silnik odrzutowy; umocowany na plecach, umożliwia astronautom

przemieszczenie się w przestrzeni kosmicznej na zewnątrz statku.

RCR (Runway Condition Reading) — współczynnik określający stan nawierzchni pasa startowego lub drogi kołowania.

SAC (Strategic Air Command) — dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych USA; podlegają mu: lotnictwo dalekiego zasięgu do przenoszenia broni nuklearnej, zwiadowcze oraz naziemne wyrzutnie międzykontynentalnych pocisków balistycznych.

SATCOM (Satellite Communications) — system łączności przesyłający za pomocą satelitów komunikacyjnych zakodowane informacje między samolotami a stacjami naziemnymi; szybki, bezpieczny kanał łączności o światowym zasięgu.

SRAM (ShortRange Attack Missile) — pocisk powietrze-powietrze krótkiego zasięgu.

TACAN (Tactical Air Navigation) — ultrakrótkofalowy system nawigacji lotniczej bliskiego zasięgu; służy zwykle do komunikacji między dwoma samolotami lub między samolotem a stacją naziemną.